

RAYMOND E. FEIST

*KSIĄŻĘ
KRWI*

(TŁUMACZYŁ: ANDRZEJ RAWICKI)

RAYMOND E. FEIST

KSIĄŻE

KRWI

(TŁUMACZYŁ: ANDRZEJ RAWICKI)

1

SPIS TREŚCI:

[ROZDZIAŁ 1 - POWRÓT DO DOMU](#)

[ROZDZIAŁ 2 – OSKARŻENIE](#)

[ROZDZIAŁ 3 - STARDOCK](#)

[ROZDZIAŁ 4 - PROBLEMY I TROSKI](#)

[ROZDZIAŁ 5 - NA POŁUDNIE](#)

[ROZDZIAŁ 6 – DYLEMAT](#)

[ROZDZIAŁ 7 – WIĘZIEŃ](#)

[ROZDZIAŁ 8 - UCIECZKA](#)

[ROZDZIAŁ 9 - POWITANIE](#)

[ROZDZIAŁ 10 - TOWARZYSZ](#)

[ROZDZIAŁ 11 - ŁOWY](#)

[ROZDZIAŁ 12 – UNIK](#)

[ROZDZIAŁ 13 – JUBILEUSZ](#)

[ROZDZIAŁ 14 – UKŁAD](#)

[ROZDZIAŁ 15 - SIDŁA](#)

[ROZDZIAŁ 16 - PODCHODY](#)

[ROZDZIAŁ 17 - SIDŁA](#)

[ROZDZIAŁ 18 - TRYUMF](#)

2

[ROZDZIAŁ 1 - POWRÓT DO DOMU](#)

W tawernie było cicho i spokojnie.

Grube warstwy sadzy nad kominkiem skąpane teraz w blasku latarni sprawiały, że miejsce to miało szczególną atmosferę. Przygasający żar w kominku dawał niewiele ciepła i - jeśliby wnioskować z zachowania tych, co się przed nim skupili - kiepsko wpływał na ich nastroje. W odróżnieniu od większości innych takich miejsc tutaj było dość ponuro. Siedzący w mrocznych kątach ludzie przyciszonymi głosami omawiali sprawy, o których lepiej było nie mówić głośno. Jedynymi dźwiękami przerywającymi te negocjacje były chichoty sprzedajnych dziewczek i chrząknięcia, które oznaczały zgodę na ich propozycje. Większość gości tawerny "Pod Śpiącym Tragarzem" leniwie obserwowwała toczącą się przy jednym ze stołów grę.

Był to pokiir, dość rozpowszechniony w leżącym na południu Imperium Wielkiego Kesh, który ostatnio wyparł lin-lan i pashawę z karcianych stolików niemal wszystkich tawern i gospód w Zachodnich Dziedzinach Królestwa. Jeden z graczy trzymał w ręku wachlarzyk pięciu kart, wpatrując się w niezweżonymi z napięcia oczyma. Był żołnierzem i choć nie pełnił teraz służby, podświadomie obserwował, co się dzieje w izbie, i wyczuwał, że awantura wisi w powietrzu. Udając, że przekłada karty, dyskretnie przyjrzał się pozostałym pięciu graczom. Dwaj siedzący z lewej byli zwykłymi prostakami. Obaj mieli ogorzałą cerę, a dłonie, w których trzymali karty, naznaczone były odciskami. Szczupli, lecz dobrze umięśnieni, odziani byli w spłowiałe lniane koszule i luźne wełniane spodnie. Żaden nie miał butów ani sandałów, choć noc była chłodna-co kazało się domyślać, że są żeglarzami szukającymi nowego zaciągu. Pieniądze zwykle nie trzymały się takich ludzi, którzy po hucznym przepuszczeniu zapłaty, ponownie musieli szukać szczęścia

na morzu - jednak żołnierz, obserwujący ich grę od dłuższego czasu, był pewien, że ci dwaj pracują dla człowieka, który siedział po jego prawej stronie.

Ten spokojnie czekał, aż żołnierz zdecyduje się na wyrównanie stawki lub spasuje, rezygnując z możliwości dokupienia trzech kart. Żołnierz zaś rozmyślał o tym, że wielokrotnie widywał już takich ludzi, jak siedzący obok, który wyglądał na dysponującego nadmiarem wolnego czasu, niezbyt rozgarniętego synalka bogatego kupca lub młodszego z dziedziców jakiegoś pomniejszego szlachetki. Był więc modnie odziany w coś, co stanowiło ostatni krzyk mody wśród strojnisiów w

3

Kondorze - krótkie spodnie, które opięte na tydkach, rozdymały się niespodziewanie na udach jak balony. Biała koszula, którą nieznajomy osłonił grzbiet, była wyszywana perłami i półszlachetnymi kamieniami, kurtkę zaś miał nowego kroju, w barwie jaskrawego szafranu, z wylewającymi się zza mankietów i kołnierza falami śnieżnobiałych koronek. Jednym słowem - typowy dworski lalusz. Kto jednak spojrzał na jego zwisającą u luzno przerzuconego przez ramię pendentu slamancę, natychmiast zmieniał zdanie. Była to broń używana tylko przez doświadczonych zabijaków lub samobójców - w dłoni eksperta piekielnie niebezpieczna, dla nowicjusza zaś gdyby zechciał popełnić samobójstwo - równie przydatna jak brzytwa.

Wyglądało na to, że nieznajomy przegrał niedawno sporą sumę pieniędzy i uciekłszy się do szulerki, pragnie szybko powetować sobie straty. Od czasu do czasu niewielkie kwoty wygrywał wprawdzie któryś z żeglarzy, żołnierz jednak był pewien, że chodziło jedynie o to, by odciągnąć od młodego dandysa podejrzenia.

Żołnierz westchnął, jakby zakłopotany koniecznością wyboru. Pozostali dwaj gracze

cierpliwie czekali na jego decyzję.

Obaj byli bliźniakami, rośliymi - weteran ocenił ich na nieco ponad dwa cale powyżej sześciu stóp - i proporcjonalnie zbudowanymi. Obaj uzbroili się w rapiery - co świadczyło, że są albo biegłymi zabijakami, albo durniami. Od czasu, kiedy na tronie Kronodoru zasiadł Książę Arutha - co zdarzyło się przed dwudziestu laty - rapiery były modne raczej wśród dworaków niż tych, dla których oręż był środkiem przetrwania. Ci dwaj nie wyglądali jednak na takich, co noszą żelazo jedynie dla ozdoby. Odziani byli jak zwykli najemnicy, którzy właśnie zeszli ze służby w jakiejś karawanie. Ich koszule i skórzane kurtki nadal pokrywał kurz, a płomienście rude czupryny nieznanomych były nieco zmierzwione - obu też przydałaby się wizyta u golibrody. Mimo pewnej niedbałości, z jaką traktowali przyodziewek i wygląd, widać było, że obaj troszczą się o broń - może i nie tracili czasu na kąpiele, ale starannie oliwili i czyścili skórzane i stalowe elementy ekwipunku. Obaj wyglądali też na takich, co świetnie czują się w swojej roli - i w tym miejscu - obserwujący ich żołnierz czuł jednak przez skórę, że coś jest nie tak. Obaj na przykład nie przemawiali szorstką mową najemników, lecz wyrażali się zwięźle, trafnie i z pewną dozą uszczypliwości - dokładnie tak, jak ci, co spędzali czas na dworze, nie zaś pośród bitek i starć z pogranicznymi łotrzykami. I obaj byli młodzi - zaledwie wyrosli z wieku chłopięcego.

4

Bracia żywo komentowali przebieg gry, zamawiali kolejne kufle piwa i widać było, że przegrane partie dostarczały im tyleż uciechy, co wygrane - teraz jednak stawki wzrosły tak bardzo, że obaj spowaźnieli. Wymienili szybkie, badawcze spojrzenia, żołnierz zaś był pewien, że jakoś porozumiewają się ze sobą tak jak

często dzieje się to z bliźniakami.

Potrząsnął głową z udanym żalem.

- Beze mnie. - Rzucił karty na stół. W powietrzu mignął rysunek jednej z nich, zanim spadła na blat. - Za godzinę mam służbę; lepiej będzie, jeśli na czas wrócę do koszar.

Wiedział, że awantura wisi w powietrzu - jeśli da się w nią wplątać, nie zdąży w porę. A dyżurny podoficer nie należał do ludzi, którzy dają się zbyć byle wymówką.

Dandys zwrócił się do pierwszego z bliźniaków. - Grasz dalej?

Zbliżający się właśnie do drzwi wyjściowych żołnierz zauważył dwu mężczyzn stojących spokojnie w kącie. Choć noc była ciepła, obaj kryli twarze w cieniu kapturów, zwieńczających obszerne opończe. Pozornie obserwowali rozgrywkę, jednak ich uwagi nie umykało nic z tego, co działo się w całej tawernie. Kogoś mu przypominali, niestety żołnierz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej ich widział. Sposób, w jaki przyglądali się wszystkiemu, ich niewymuszoną czujność oraz widoczna gotowość do natychmiastowej i bezwzględnej akcji, sprawiły, że żołnierz zapragnął jak najszybciej znaleźć się w koszarach. Otworzył drzwi, przestąpił. Próg i zamknął je za sobą.

Tymczasem stojący bliżej drzwi mężczyzna zwrócił się do swego towarzysza, którego twarz oświetlona była nikłym, migotliwym blaskiem wiszącej nieco wyżej latarni.

- Lepiej wyjdź na zewnątrz. Zaraz się zacznie.

Jego towarzysz kiwnął głową. Przyjaźnili się od dwudziestu lat i przez ten czas nauczył się nie kwestionować zdolności druha do wyczuwania kłopotów.

Szybko wyszedł tymi samymi drzwiami, co umykający przed burdą żołnierz.

Przy stole tymczasem przyszła kolej na odzywkę drugiego z braci. Zrobił dziwną minę, jakby zdumiewając się układem kart. Nieco zirytowany tym zachowaniem dandys rzucił z pozorną niedbałością:

- Przebijasz, sprawdzasz czy pasujesz?

5

- No... - odezwał się zapytany. - Oto jest pytanie. Spojrzał na brata. - Erland, braciszku, przed obliczem samego Astalona Sędzi byłbym przysiągł, że gdy żołnierz rzucił karty, zobaczyłem Błękitną Damę.

- I dlaczegóż to cię niepokoi? - spytał brat, uśmiechając się cokolwiek krzywo.

- Bo ja też mam w dłoni Błękitną Damę.

Ton rozmowy się zmienił i widzowie zaczęli nieznacznie odsuwać się od stołu.

Zazwyczaj nikt nie przyznawał się, jakie karty ma na ręku.

- Borric, nadal nie wiem, o co ci chodzi, przecież w talii są dwie Błękitne Damy - stwierdził mężczyzna nazwany Erlandem.

- I owszem, nie przeczę... - odparł Boric, uśmiechając się złośliwie. - Ale widzisz... ten tu, nasz przyjaciel, też ma Błękitną Damę... wetkniętą za koronki rękawa.

W izbie zakotłowało się nagle - obserwatorzy zapragnęli znaleźć się jak najdalej od miejsca spodziewanej zwady. Boric porwał się na nogi i silnie pchnął stół na dandysa i jego dwu kompanów. Erland trzymał już w dłoni rapier i sztylet - dandys zaś, odzyskawszy równowagę, dobył swej Salamanki.

Pchnięty stół przewrócił jednego z żeglarzy, który szybko się podnosząc, niefortunnie zderzył się z wystawionym butem Borika. Natychmiast też zwałił się na

polepę. Dandys tymczasem zrobił wypad i ciał podstępnie, mierząc w głowę Erland.

Erland sparował cios sztyletem i zrewanżował się przeciwnikowi misternym pchnięciem - którego ten ledwie uniknął.

Obaj wiedzieli już, że każdy stanął twarzą w twarz z godnym przeciwnikiem, przed którym należy mieć się na baczności. Oberżysta tymczasem wyjął zza szynkwasu złowrogo wyglądającą pałkę i okrążał teraz izbę, demonstrując wyraźnie, co spotka każdego, kto zechce wtrącić się do walki. Gdy zbliżył się do drzwi, stojący obok nich zakapturzony mąż zdumiewająco zręcznie i szybko złapał go za nadgarstek. Szepnął coś do ucha oberżyscie, temu zaś gęba zbieleła nagle z wrażenia. Kiwnął tylko głową i żwawo wymknął się na zewnątrz.

Borric bez trudu wyeliminował z walki drugiego z marynarzy i odwrócił się szybko - by odkryć, że jego brat zwał się właśnie pierś w pierś z dandysem.

- Erland, pomoc ci?

- Dam sobie radę! - stęknął Erland. - Zawsze utrzymywałeś, że brak mi praktyki.

6

- I owszem! - odpowiedź Erland skwitował beztroski śmiech. - Ale nie daj się zabić. Musiałbym cię pomścić. Dandys tymczasem spróbował kombinacji, na którą złożyły

się na przemian pchnięcia z góry, z dołu i seria cięć. Erland musiał się cofnąć.

Gdzieś na zewnątrz rozległy się przenikliwe

gwizdy. - Erland! - odezwał się Borric.

Naciskany przez żwawo nań napierającego szulera Erland zdołał tylko

wystękać: - Co tam? - i znów z najwyższym trudem uniknął mistrzowskiego ataku.

- Nadcięża straż. Pospiesz się i zabij go, do kata!

- Robię, co mogę... - stęknął Erland - ale ten typ złośliwie uchyla się od współpracy! - Mówiąc to, nieoczekiwanie poślizgnął się w kałuży rozlanego piwa i stracił równowagę. W tej sytuacji mógł jedynie paść w tył, rezygnując z zasłony.

Dandys pchnął okropnie, pragnąc skończyć z przeciwnikiem, Borric zaś podążył w sukurs leżącemu. Erland zwinął się na ziemi, by uniknąć ciosu, lecz klinga wroga mimo to zahaczyła jego bok. Poczul w piersiach nagły płomień bólu. Zadając pchnięcie, dandys odstąpił się jednak z lewej. Erland zgiął się wzdłuż i pchnął w górę, trącając przeciwnika w brzuch. Ten wyprostował się nagle, stęknął boleśnie, a na jego spodniach zakwitła szybko się rozlewająca, czerwona plama. W tej samej chwili Borric rąbnął go z tyłu w łeb ręką swego rapiersa i pozbawił przytomności. Słyszając dochodzące zza okien wrzaski nadbiegających ludzi, Borric syknął:

- Lepiej się stąd wynośmy! - i podał rękę bratu, pomagając mu wstać. - Ojciec i bez tego będzie wściekły... a jak jeszcze damy się zgarnąć w tej obławie...

Erland tylko skrzywił się z bólu i sarknął:

- Nie musiałeś walić go po łbie! Jeszcze chwila i byłbym go dostał.

- Albo on ciebie. Wolę nie myśleć, co wtedy zrobiłby mi ojciec. Zresztą... wcale byś go nie zabił... brak ci odpowiedniego nastawienia. Spróbowałbyś go rozbroić albo zrobić coś równie szlachetnego. .. - stwierdził Borric, łapiąc oddech - i głupiego.

No, a teraz się stąd wynośmy!

Obaj rzucili się ku drzwiom - Erland trzymał się za zraniony bok. Ujrawszy to, kilku miejskich łotrzyków zastawiło wyjście. Borric i Erland skierowali ku nim swe rapiersy.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę - rzekł Borric i podniósłszy zydła, cisnął nim w najbliższe wychodzące na ulicę okno. Na bruk posypał się deszcz szkła i ołowianych

7
prętów, i zanim ostatni okruch spadł na ziemię, obaj bracia wyskoczyli przez wybity zydłem otwór. Lądujący ciężko Erland potknął się, Borric jednak w porę zdążył go podtrzymać. Podniósłszy się, stwierdził, że stoją niemal nos w nos z końmi straży miejskiej.

Dwóch zuchów skoczyło przez okno za braćmi. Borric zdążył trzasnąć jednego w łeb ręką rapiera. Drugi sam wyprostował się jak struna i podniósł rękę, gdy stwierdził, że niewiele wskóra przeciwko trzem, wymierzonym w jego pierś kuszom. Przed drzwiami tawerny ustawili się ludzie z tak zwanej Kompanii Miłośników Spokoju. Był to oddział straży miejskiej, do którego wybierano najtwardszych, najroślejszych i najbardziej doświadczonych w tłumieniu burd weteranów. Ciężko uzbrojona; rozstawiona w półkole szóstka tych zuchów stanowiła doprawdy imponujący widok, który mógł skłonić do refleksji o rzeczach ostatecznych nawet najbardziej zajadłego awanturnika. Nie oni jednak spowodowali, że bywalcy knajpy aż gęby porozdziawiali ze zdumienia. Za chłopcami z Kompanii Miłośników Spokoju widać było bowiem trzydziestu jeźdźców. Wszyscy odziani byli w barwy Krondoru, a powiewał nad nimi proporzec Przybocznej Gwardii Księżęcej. Ktoś w głębi tawerny opanował wreszcie oszołomienie i wrzasnął: - Królewscy. .. ! - czym zapoczątkował ogólną ucieczkę przez tylne drzwi. Niepomierne zdumione gęby zniknęły z okien jakby wymazane muśnięciem czarodziejskiej gumki. Dwaj bracia łypnęli oczyma ku jeźdźcom, uzbrojonym i wyekwipowanym jak do boju. Oddziałowi przewodził człowiek dobrze

bliźniakom znany.

- Eeee... dobry wieczór, milordzie - odezwał się Borric, uśmiechając się szeroko. Miłośnicy Spokoju tymczasem, ujrawszy, że przeciwnicy sromotnie podali tył, ruszyli, by zatrzymać dwu młodzików.

Dowodzący Gwardią powstrzymał straż skinieniem dłoni.

- Za pozwoleniem, to nie wasza sprawa, sierżancie. Ty i twoi ludzie możecie już odejść. - Podoficer skłonił się lekko i powiódł swoich ludzi z powrotem do koszar, ulokowanych w samym sercu dzielnicy biedaków.

Erland zaś zmrużył oczy i odezwał się z kpiną w głosie: - Baronie Locklear... cóż za miła niespodzianka!

Baron Locklear, konstabl Kronodoru, uśmiechnął się niewesoło.

- Nie wątpię. - Pomimo swej rangi, wyglądał na zaledwie rok starszego od bliźniaków, choć, w rzeczy samej, oglądał szesnaście zim więcej niż oni. Miał krótko

8

ostrzyżone jasne włosy i wielkie błękitne oczy - teraz zmrużone badawczo, przyglądał się bowiem bliźniakom z wyraźną dezaprobatą.

- Spodziewam się wobec tego - zaczął Borric - że baron

James... - Stoi za wami - wskazał dłonią Locklear.

Obaj równocześnie odwrócili się, by spojrzeć na opierającego się o drzwi mężczyznę w obszernej oponczy. Odrzuciwszy kaptur, nieznajomy ukazał twarz zadziwiająco młodą. Baron James liczył sobie trzydzieści siedem wiosen i jego krótko przycięte kasztanowe włosy znaczyły już wąskie pasma siwizny. Bracia znali jego oblicze równie dobrze jak swoje własne, ponieważ od dzieciństwa był ich nauczycielem i zaliczali go do grona swych najbliższych przyjaciół. Teraz zmierzył

obu byстрыm spojrzaniem, na dnie którego kryła się irytacja, i powiedział:

- Wasz ojciec polecił wam wracać prosto do domu. Miałem meldunki o miejscach waszego pobytu - od momentu opuszczenia Wysokiego Zamku do dnia, w którym przekroczyliście bramy miasta, co zdarzyło się przedwczoraj...

Bliźniacy bez większego powodzenia próbowali ukryć uciechę z faktu, że udało im się wywieść w pole eskortę.

- Nieważne, że wasi rodzice zarządzili zebranie się całego dworu, który miał was powitać. Nic to, że wszyscy czekali przez trzy godziny! Wasz ojciec zmusił mnie i Locklear do przeczesania całego miasta, co zajęło nam dwa dni, ale i to furda! -

James przyglądał się młodzikom przez chwilę. - Ufam jednak, że przypomnicie sobie o tych drobiazgach, kiedy ojciec pogada z wami... po oficjalnym powitaniu.

Podprowadzono dwa konie i któryś z żołnierzy niedbałym gestem rzucił wodze każdemu z braci. Ujrzawszy ranę w boku Erland, jeden z oficerów podjechał konno i spytał z fałszywym współczuciem:

- Pomóc, Wasza Miłość?

Erland wetknął stopę w strzemię i choć z wysiłkiem, ale samodzielnie dźwignął się na siodło. Spojrzawszy na oficera ze złością, rzucił sucho:

- Może po spotkaniu z ojcem... ale nie sądzę, byś i wtedy mógł cokolwiek dla mnie zrobić, kuzynie Williamie.

Nazwany Williamem kiwnął głową i szepnął bez śladu współczucia w głosie:

- Kazał wam wracać natychmiast, Erlandzie. Erland machnął dłonią z rezygnacją.

- Chcieliśmy tylko odetchnąć... dzień lub dwa.

William skwitował wymówkę kuzynów wybuchem śmiechu. Niejednokrotnie obserwował, jak sami sprowadzają na siebie najróżniejsze kłopoty, i nigdy nie umiał pojąć ochoty, z jaką przyjmowali wszelkie kary. - Może spróbujecie zwać za granicę? - podsunął niewinnie. - Obiecuję, że do pościgu za wami wybiorę największych durniów spośród moich ludzi.

Erland potrząsnął głową.

- Teraz nie... ale myślę, że jutro, po porannej audiencji, gotów będę skorzystać z twojej rady.

William zaśmiał się ponownie.

- Dajcie spokój... ta reprimenda nie będzie surowsza niż tuziny poprzednich.

Baron James, kanclerz Kronodoru i pierwszy książęcy doradca, dosiadł tymczasem swego konia.

- Jazda! - rzucił krótko i cały oddział ruszył z dwójgiem młodych książąt ku wyniosłemu zamkowi.

Arutha, Książę Kronodoru i Konstabl Dziedzin Zachodnich, następca tronu Królestwa Wysp, bacznie obserwował dworaków i przebieg audiencji. Szczupły w młodości, nie przytył wcale, jak to nieraz się zdarza ludziom w średnim wieku - przeciwnie, stwardniał jakby i stracił tylko młodzieńczą miękkość rysów. Jego włosy nadal były ciemne, choć dwadzieścia lat władania Kondorem i całym Zachodem sprawiło, że można w nich było dostrzec pasma siwizny. Przez te lata prawie nie stracił refleksu i nadal wliczano go do pierwszych szermierzy Królestwa - choć rzadko miewał okazję do ćwiczeń z bronią. W tej chwili zmrużył z uwagą swe piwne oczy, których spojrzeniu niewiele uchodziło - jak utrzymywali ci, co mu służyli. Skłonny do częstych zamyśleń, niekiedy nawet głębokich, Arutha był

wspaniałym wodzem. Zasłużył sobie na tę reputację podczas dziewięcioletnich zmagañ w Wojnie Światów - zakończonej na rok przed narodzeniem się bliźniaków - po tym, jak przejął komendę nad rodzinnym gniazdem, zamkiem Crydee. Był wtedy tylko kilka miesięcy starszy niż jego synowie w chwili obecnej.

Uważano go za surowego, lecz sprawiedliwego władcę, który szybko i zdecydowanie wymierzał kary, często jednak dawał się nakłonić do okazywania łaski - szczególnie, kiedy prosiła o nią jego małżonka; księżna Anita. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, stanowiło o charakterze władzy w Zachodnich Dziedzinach, surowy, logiczny system szybko wymierzanej sprawiedliwości, łagodzonej niejednokrotnie miłosierdziem. Choć niewielu otwarcie stawiało Aruthę;

10

niemal wszyscy go poważali i szanowali, jego małżonka zaś cieszyła się powszechną miłością poddanych.

Teraz siedziała na tronie, utkwivszy spojrzenie swych zielonych oczu gdzieś ponad głowami tłumu dworzan. Królewska powściągliwość maskowała jej troskę o synów przed wszystkimi lecz nie tymi, którzy ją dobrze znali. To, że jej małżonek polecił, by chłopców przywiedziono dziś rano na poranną audiencję, zamiast powitać ich wczoraj wieczorem w prywatnych komnatach, bardziej niż cokolwiek innego świadczyło o jego niezadowoleniu. Anita zmusiła się do uważnego wysłuchania mowy, którą wygłaszał właśnie członek Cechu Tkaczy: uważała za swój obowiązek okazywanie uwagi wszystkim, którzy pojawiali się przed jej królewskim małżonkiem z jakąkolwiek petycją czy prośbą. Na porannych audiencjach nie wymagano obecności pozostałych członków rodziny panującej, ale ponieważ dziś właśnie mieli wrócić bliźniacy, wysłani do służby nad granicą w

Wysokim Zamku, audyencja przekształciła się w formalną rodzinną prezentację. Obok matki stała więc księżniczka Elana. Przypominała wyglądem oboje rodziców - miała bowiem kasztanowe włosy i j jasną cerę swej matki, po ojcu zaś wzięła jego ciemne, bystre oczy. Ci, co bliżej znali rodzinę królewską, często stwierdzali, że o ile Borric i Erland wdali się w stryja, Króla, Elana wrodziła się w ciotkę, baronową Carline z Saldoru. Arutha zaś niejeden raz miał okazję zaobserwować, że jego córka odziedziczyła po ciotce również jej słynny temperament.

Księżę Nicholas, najmłodszy syn Anity i Aruthy, ledwie opanowywał ogromną chęć ukrycia się za siostrą przed ojcowskim wzrokiem. Stał obok matki, poza polem widzenia Aruthy, na pierwszym stopniu tronowego podestu. Zebrani w sali nie widzieli ukrytych przed nimi drzwi do królewskich apartamentów.

Znajdowały się one trzy stopnie niżej i z tyłu - cała książęca czwórka w dzieciństwie zbierała się za nimi podczas porannych audiencji i oddawała się przyjemnościom podsłuchiwania. Teraz Nicky czekał na starszych braci.

Anita rozejrzała się wokół z tą charakterystyczną dla matek uwagą, która sprawia, że często jakby szóstym zmysłem wyczuwają, że ich pociechy powędrowały tam, gdzie nie powinny. Kątem oka zauważyła stojącego już u drzwi Nicholasa i skinieniem dłoni poleciała mu, by wracał. Nicky uwielbiał starszych braci, mimo że niewiele poświęcali mu czasu i często dokuczali. Nie bardzo wiedzieli, jak traktować młodszego o dwanaście lat braciszka.

11

Księżę Nicholas zbliżył się, utykając lekko. Serce Anity zadrżało, jak każdego dnia od chwili jego narodzin. Los sprawił, że przyszedł na świat ze zdeformowaną stopą, i dzięki wysiłkom najlepszych chirurgów oraz zaklęciom i modłom kapłanów

mógł chodzić. Arutha nie chciał pokazywać kalekiego dziecka ludowi i odmówił udziału w prezentacji, rezygnując też ze święta z okazji narodzin i pierwszego publicznego pojawienia się na dworze królewskiego potomka, łamiąc tradycję, której narodziny Nicholasa mogły położyć kres.

W tym momencie Nicky odwrócił się, usłyszał bowiem skrzypienie drzwi, przez które ostrożnie zajrzał do sali Erland. Najmłodszy z książęcego potomstwa szerokim uśmiechem powitał braci i szybko przemknął ku uchylonym drzwiom.

Kuśtykając, podążył, by uściskać braci. Erland skwitował czułość braciszka lekkim grymasem, Borric zaś obojętnie poklepał chłopca po ramieniu.

Nicky poszedł więc za braćmi, którzy powoli wstępowali po stopniach za tronem, by wreszcie stanąć za siostrą. Wyczuwszy obecność braci, Elena szybko obejrzała się przez ramię, wysunęła język i zrobiła rozbieżnego zęza. Cała trójka z trudem stłumiła wybuch śmiechu. Wiedzieli dobrze, że nikt z dworaków nie mógł spostrzec błyskawicznej wymiany grymasów. Bliźniacy od dawna dokuczali siostrze, która z kolei odplacała im pięknym za nadobne. Nigdy nie była jej niemiła myśl o wprawieniu ich podczas uroczystej audiencji w wyraźne zakłopotanie.

Arutha, który natychmiast wyczuł, że coś się zmieniło w nastroju jego dzieci, obejrzał się przez ramię i zmarszczył brwi, co zazwyczaj wystarczało, by wyciszyć sprzeczki rodzeństwa. Przez chwilę mierzył spojrzeniem starszych synów i dał im poznać całą głębię swego gniewu - choć jego oznaki mogli spostrzec tylko najbliżsi. Potem znów skupił się na sprawach bieżących. Przedstawiano mu właśnie wprowadzanego na pomniejszy urząd jakiegoś drobnego szlachetkę i choć czwórka królewskich pociech niekoniecznie musiała uważać sprawę za godną uwagi, nowo mianowany urzędnik zaliczał pewnie ów moment do najpiękniejszych chwil swego

życia. Przez wiele lat Arutha bez większego powodzenia usiłował wytłumaczyć dzieciom, że lekceważenie poddanych jest niewybaczalne.

Nad całością ceremonii czuwał lord Krondoru, lord Gardan. Stary wojownik służył Księciu, a przedtem jego ojcu, od ponad trzydziestu lat. Jego ciemna cera kontrastowała wyraźnie z niemal białą brodą i włosami, spojrzenie jednak - które zawsze się rozjaśniało dla dzieci królewskich-miał niezwykle bystre. Choć urodził się jako człowiek niskiego stanu, jego zasługi wyniosły go wysoko i pozostawał w

12

służbie Aruthy mimo często wyrażanego pragnienia powrotu na ojcowiznę w Crydee. Zaczął służbę jako prosty sierżant w Crydee, potem objął godność kapitana Straży Królewskiej, aż wreszcie został konetabłem Krondoru. Kiedy poprzedni diuk Krondoru, lord Volney, zmarł niespodzianie w siódmym roku wiernej służby, Arutha ofiarował ową godność Gardanowi. Stary żołnierz stanowczo zaprotestował ostro, utrzymując, że nie jest godny szlachectwa, okazał się jednak równie sprawnym rządcą i administratorem, jak wcześniej świetnym wojownikiem. Gardan skończył wreszcie wyliczanie przywilejów (i obowiązków) świeżo upieczonego urzędnika, Arutha mógł podać więc nadętemu jak paw pankowi potężnych rozmiarów pergamin opatrzony ogromną liczbą wstęg i pieczęci. Urzędnik wziął dokument i wycofał się w tłum, gdzie natychmiast zaczął przyjmować wypowiedane szeptem gratulacje.

Gardan skinął dłonią na mistrza ceremonii, chuderlawego jegomościa o imieniu Jerome, i ten natychmiast godnie się wyprostował. Kiedyś, w dzieciństwie, był zaciekłym rywalem barona Jamesa, obecne zaś stanowisko w zupełności odpowiadało jego przepelnionemu poczuciem własnej ważności charakterowi. Był

straszliwym nudziarzem, a jego zamiłowanie do pompatyczności czyniło go wprost idealnym kandydatem na urząd, jaki zajmował. Jego ukochanie drobiazgów manifestowało się na przykład w niezwyklej kroju urzędowego płaszcza (sam go zaprojektował!) i sposobie, w jaki - całymi godzinami - trefił swą rzadką bródkę. Teraz przemówił tak pompatycznie, jakby oznajmiał nadejście kulminacyjnej chwili istnienia całego Wszechświata: Wasza Książęca Mość, niechże będzie mi wolno przedstawić Jego Ekscelencję, lorda Toruma Sie, ambasadora imperialnego dworu Wielkiego Keshu.

Ambasador, który dotąd stał na uboczu i rozprawiał o czymś ze swymi doradcami, zbliżył się do tronu i pokłonił. Jego wygląd dowodził, że jest mieszkańcem Kesh, miał bowiem ogoloną głowę. Na tę uroczystą okazję odział się w szkarłatną, głęboko rozciętą z przodu szatę, pod którą widać było żółte pantalony i białe pończochy. Pierś, zgodnie z modą Kesh, miał obnażoną, szyję zaś ozdobił złotą obręczą, będącą oznaką jego funkcji. Jego szaty skrzyły się drobnymi perełkami i klejnocikami, osadzonymi przemyślnie w cudnej roboty koronkach. Efekt był porażający przy każdym ruchu ambasador rozsiewał wokół siebie deszcz barwnych iskier. Niewątpliwie był najwytworniej odzianym osobnikiem na całym dworze.

13

- Wasza Wysokość - odezwał się, śpiewnie akcentując słowa - Nasza Pani, Lakeisha, Ta Która Jest Keshem, moimi ustami pyta o zdrowie Waszych Wysokości.

..

- Przekaż imperatorowej nasze serdeczne pozdrowienia odparł Arutha - i upewnij ją, że mamy się dobrze.

- Znajwiększą przyjemnością- rzekł ambasador.-Teraz jednak muszę prosić

Waszą Wysokość o odpowiedź na zaproszenie, które przesała moja władczyni.

Siedemdziesiąta piąta rocznica Jej Wspaniałych Urodzin jest wydarzeniem, które cały Kesh wita z najwyższą radością. Obchody jubileuszu będą trwały dwa miesiące. Czy Wasze Wysokości zechcą je zaszczyścić swą obecnością?

Król już wysłał przeprosiny, podobnie zresztą, jak uczynili to wszyscy władcy państw sąsiadujących z Kesh - od Queg po Królestwa Wschodnie. Choć pomiędzy Imperium i jego sąsiadami panował pokój - od pogranicznych utarczek przed jedenastu laty (co samo w sobie było niezwykle długim okresem) - żaden z władców nie był aż tak nierozważny, by z własnej woli wkroczyć w granice narodu, którego na Midkemii obawiano się najbardziej. Zaproszenie skierowane do Księcia i Księżnej Krondoru było jednak sprawą zgoła inną.

Zachodnie Dziedziny Królestwa Wysp stanowiły odrębne państwo, w którym władza spoczywała w dłoniach Księcia Krondoru. Dwór w Rillanonie dyktował jedynie zarysy polityki zewnętrznej. Najczęściej zresztą zdarzało się, że to nie kto inny, tylko Arutha przyjmował ambasadorów Kesh, ponieważ do konfliktów pomiędzy Kesh i Królestwem najczęściej dochodziło właśnie na południowych rubieżach Dziedzin Zachodnich.

Arutha spojrział na żonę, potem skierował wzrok na ambasadora:

- Przykro nam odmówić, ale nasze obowiązki nie pozwalają na podjęcie tak długiej podróży.

Wyraz twarzy ambasadora nie zmienił się wcale, ale jego stwardniałe nagle spojrzenie powiedziało Księciu, że Keshanin potraktował odmowę niemal jak obrazę.

- Doprawdy, wielka to szkoda, Wasza Wysokość. Moja władczyni

przywiązuje wielką wagę do tego zaproszenia-niech mi będzie wolno zdradzić, że uważa je za wyraz przyjaźni i dobrej woli.

Dziwny komentarz nie uszedł uwagi Aruthy. Księżę kiwnął głową.

14

- Uważamy jednak, że zawiedlibyśmy naszych południowych przyjaciół, jeśli nie posłalibyśmy kogoś, by reprezentował władców Królestwa Wysp. - Ambasador natychmiast spojrzął na młodych księżąt.

- Naszym przedstawicielem będzie księżę Boric, nasz dziedzic i pretendent do tronu Królestwa. - Boric, który nagle stwierdził, że znajduje się w centrum uwagi całego dworu, wyprostował się i poczuł chęć obciągnięcia kurtki. - Towarzyszyć mu będzie jego brat, księżę Erland.

Borric i Erland wymienili zdumione spojrzenia.

- Kesh! - szepnął Erland, z trudem tłumiąc podniecenie. Keshanin pochylił głowę, jakby podziwiając mądrość księżęcej decyzji.

- Wasza Wysokość, gest to pełen szacunku i godny przyjaciela. Moja władczyni będzie niezmiernie zadowolona.

Wzrok Aruthy na moment spoczął na człowieku stojącym w głębi sali, potem

Księżę przeniósł spojrzenie dalej. Ambasador Kesh wycofał się z ukłonem, Arutha wstał zaś z tronu i oznajmił:

- Mamy jeszcze dziś ważne sprawy, audiencję dokończymy więc jutro o

dziesiątej godzinie straży. - Podał dłoń żonie, która również wstała. Sprowadzając

Anitę z podwyższenia, szepnął Borikowi: - Za pięć minut z Erlandem w moich

komnatach! Czwórka księżęcego rodzeństwa skłoniła się formalnie rodzicom, potem

wszyscy kolejno ruszyli za nimi.

Borric spojrział na Erlanda i spostrzegł na jego twarzy zaciekawienie równe temu, jakie malowało się na jego własnym obliczu. Bliźniacy zaczekali, dopóki wszyscy nie znaleźli się poza salą audiencyjną, i dopiero wtedy Erland odwrócił się na pięcie i porwał Elenę w niedźwiedzi uścisk. Borric zaś klepnął ją mocno w pośladki - co dziewczyna odczuła dość boleśnie, mimo iż fałdy sukni złagodziły nieco uderzenie.

- Dranie! - jęknęła i... uściskała obu braci: - Wstyd powiedzieć, ale rada jestem, żeście wrócili. Od waszego wyjazdu wszystko było okropnie nudne!

Borric uśmiechnął się szeroko:

- Siostrzyczko:... słyszało się co innego.

Erland objął brata za szyję i szepnął mu do ucha, przesadnie akcentując tajność informacji:

15

- Powiedziano mi, że dwaj książęcy giermkowie zostali przyłapani na bójce... przedmiotem sporu było to, który z nich będzie towarzyszył naszej siostrzyczce podczas święta Banapis.

Elena spojrzała na obu braci spod oka.

- Proszę, byście nie mówili jednym tchem o mnie i tych dwu idiotach - rzekła wyniośle. Potem uśmiechnęła się wesoło. Zresztą... cały czas byłam w towarzystwie Thoma, syna barona Lowery' ego.

Bracia wybuchnęli śmiechem.

- I o tym się słyszało, siostrzyczko - przyznał Borric. Twoja sława w tym względzie zdążyła już dotrzeć do pogranicznych baronii! A nie masz jeszcze szesnastu lat!

Elena uniosła lekko fałdy sukni i przemknęła pomiędzy braćmi.

- Cóż... mam prawie tyle samo lat, co mama, kiedy poznała ojca... a gdy o nim mowa, to jeśli zaraz nie zjawicie się w jego gabinecie, każe sobie podać wasze wątróbki na śniadanie! - Odbiegła kilkanaście kroków, odwróciła się, furkocząc jedwabiami, pokazała braciom język i zniknęła w bocznych drzwiach korytarza.

Bracia roześmiali się i w tejże chwili Erland zauważył, że najmłodszy braciszek nadal stoi obok nich.

*- No, no... i kogóż my tu mamy? Borric udał, że rozgląda się dookoła. -
Czekajże... przecież jesteśmy sami.*

*Na twarzy Nicholasa żywo odmalowało się rozczarowanie. - Boric! -
powiedział płaczliwie.*

- Ach, to... - Borric spojrzał na brata. - A właściwie co to takiego?

Erland obszedł braciszka dookoła, uważnie mu się przyglądając.

*- Nie jestem pewien. Za małe to na goblina, za duże na małpę... no, chyba że
to spora małpa...*

*- Za chude w uszach na krasnoluda, jak na żebraka zaś to trochę za dobrze
odziane...*

Nicky zasmucił się, a w jego oczach zaczęły się zbierać wielkie łzy.

*- Obiecałeś! - powiedział, z trudem powstrzymując wybuch płaczu. Podniósł
wzrok na uśmiechniętych szeroko braci, a potem, nie mogąc sobie poradzić ze
spływającymi po policzkach łzami, kopnął Borika w kostkę i wyraźniej niż zwykle
utykając, ruszył w głąb korytarza. Odgłosy tłumionych łkań pochłonął aksamit
kotar.*

Boric potarł kostkę.

- Oho... nauczył się już wierzgać! - Spojrzał na Erlanda. - Coś ty mu obiecał?

Erland podniósł wzrok w górę, jakby chciał kasetony pułapu wziąć na świadków swej niewinności.

- Obiecałem, że nie będziemy już sobie z niego dworowali. - Westchnął ciężko.

- Kolejna reprimenda. Pobiegnie do matki, ona pogada z ojcem i...

Borric przymrużył oko.

- I znów wysłuchamy nudnego kazania. Nagle obaj zawołali równocześnie:

- Ojciec! - i co tchu pobiegli ku ojcowskim komnatom. Stojący przed wejściem do nich gwardzista, ujrawszy zbliżających się bliźniaków, żwawo otworzył drzwi.

I oto bracia ujrzeli ojca, który siedział w swoim ulubionym drewnianym fotelu, wyłożonym skórą, trzeszczącym już mocno, przedkładanym jednak przez Aruthę nad tuzin innych z komnaty narad. Na lewo od ojca stali baronowie James i Locklear. Ujrawszy synów, Arutha polecił sucho:

- Podejdźcie no tu obaj.

Jak im polecono, obaj bracia potulnie stanęli przed ojcem. Erland poruszał się z pewną sztywnością, bo przez noc skaleczenie w boku zasklepiło się już nieco i teraz trochę mu dokuczało.

- Coś ci dolega? - spytał Arutha.

Obaj synowie uśmiechnęli się niewyraźnie. Niewiele rzeczy uchodziło bystremu wzrokowi ich ojca.

- Spróbował zasłony i pchnięcia, podczas gdy powinien był zastawić się sekstą. Jegomość przemknął się jakoś pod jego klingą - wyjaśnił Borric.

- Znów braliście udział w karczemnych zwadach - skwitował to Arutha

chłodno. - Powinienem być się tego spodziewać... baron James sprawdził swoje przewidywania... I zwracając się do wymienionego, spytał: - Czy ktoś został zabity? - Nie... - odparł zagadnięty. - Ale niewiele brakowało, a twoje chwaty zarąbałoby syna jednego z najznamienitszych i najbogatszych w mieście szkutników.

Arutha wstał powoli z krzesła i widać było, jak ogarnia go gniew. Zwykle umiał trzymać nerwy na wodzy, ale gdy to się nie udawało, wyglądał naprawdę groźnie. Stanął przed bliźniakami i przez chwilę obecni mieli wrażenie, że zaraz spoliczkuje obu. Księżę patrzył im tylko w oczy i zagryzał wargi, jakby usiłował się opanować.

17

- Czy możecie mi powiedzieć, co wam strzeliło do łbów? - Ojcie... ja się tylko bronilem... - rzekł Erland bardzo pokornym głosem. - Ten człowiek chciał mnie wypatroszyć jak kapłona.

- I oszukiwał przy kartach! - wsparł brata Borric. - Miał w rękawie dodatkową Błękitną Damę!

- Gdyby nawet miał ich całą talię - wypalił Arutha – to co z tego?! Tam do licha, nie jesteście zwykłymi sobie wojami! Jesteście moimi synami!

Obszedł braci dookoła, jakby przeprowadzał inspekcję oddziału czy oglądał konie. Obaj stali bez słowa, wiedzieli bowiem, że cierpliwość ojca jest na wyczerpaniu.

W końcu Arutha podniósł ręce w geście jawnej rezygnacji. - To nie są moi chłopcy - powiedział. - Wdali się w Lyama - dodał, przywołując wspomnienie brata, który znany był z tego, że w młodości nie raz dawał się we znaki wychowawcom i

chętnie wplątywał się w bójki. - Anita poślubiła mnie... ale urodziła potomków godnych Króla Opryszków. - James mógł tylko skinąć głową. - To musi być jakieś zrządzenie losu, którego absolutnie nie pojmuję...

- Gdyby żył wasz dziadek - zwrócił się ponownie do bliźniaków - już byście z gołymi zadkami leżeli w poprzek beczułki, a on stałby nad wami z rzemieniem w dłoni... choć stare i rosłe z was byki. Znów zachowaliście się jak smarkacze i tak też powinno się was traktować! Podnosząc głos, ponownie obszedł chłopców, by stanąć przed nimi. - Kazałem wam wracać natychmiast! A czy wy raczyliście posłuchać? Nie! Zamiast przybyć prosto do pałacu, znikacie w dzielnicy biedoty! Po dwu dniach baron James znajduje was zamieszanych w karczemną burdę! Przerwał na chwilę i niemal krzyknął: - Niewiele brakło, a jeden z was dałby się zabić!

- Tylko dlatego, że zamiast seksty... - Borric spróbował obrócić wszystko w żart.

- Dość! - syknął Arutha, który nie mógł już dłużej opanować ogarniającej go wściekłości. Chwycił syna za poły kurtki i pociągnął ku sobie, niemal pozbawiając go równowagi. - Tym razem nie wykręcicie się żartami i uśmieszkami! Okazaliście mi nieposłuszeństwo po raz ostatni! - I poparł swoje słowa pchnięciem, które posłało Borika na jego brata, obu niemal przewracając. Gniew Aruthy dowodził, że tym razem ojciec stracił cierpliwość do wykrętów, jakimi winowajcy wyłgiwali się z podobnych sytuacji wcześniej. - Nie wyobrażajcie sobie przypadkiem, że wezwałem was dlatego, iż wszyscy na dworze stęsknili się za waszymi kretyńskimi figlami!

Myślałem, że przydałby się wam jeszcze rok czy dwa pobytu nad granicą... może jakoś bylibyście się usatkwowali. . . ale nie mam wyboru. Jako księżęta, macie swoje

obowiązki . . . i potrzebni mi jesteście niezwłocznie.

Borric i Erland wymienili szybkie spojrzenia. Znali humory ojca i nieraz stawiali już czoło jego gniewowi - zwykle aż nadto usprawiedliwionemu - tym razem jednak wyczuli, że coś niebywałego wisi w powietrzu.

- Ojczy, pozwól sobie powiedzieć, że jest nam obu bardzo przykro. Nie wiedzieliśmy, że to sprawa obowiązku.

- Nie spodziewam się po was zbyt wiele... ale winniście mi przynajmniej posłuszeństwo! - odparł ojciec. Najwidoczniej całkiem już stracił cierpliwość. - Na tym na razie koniec. Muszę wziąć się w garść, by móc spokojnie przyjąć ambasadora Keshu na prywatnej audiencji dziś po południu. Baron James powie wam resztę... w moim imieniu! - Doszedłszy do drzwi, Księżę zatrzymał się na chwilę i, odwracając do Jamesa, powiedział: - Zrób to, co uznasz za stosowne. Chcę jednak, by te dwa łotrzyki na zawsze zapamiętały sobie dzisiejszą lekcję! - i zamknął drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Baronowie stanęli po obu stronach książąt i James odezwał się ze zwodniczą łagodnością w głosie:

- Za pozwoleniem Waszych Miłości... prosimy za nami... Borric i Erland podejrzliwie popatrzyli na swoich wieloletnich nauczycieli i "wujów", potem łypnęli jeden ku drugiemu. Domyślali się już, co ich czeka. Ojciec-co cieszyło ich matkę- nigdy nie użył wobec synów rzemienia, nie sprzeciwiał się jednak "lekcjom boksu", jakich udzielali im wychowawcy. Ci zaś robili to wtedy, kiedy chłopcy zachowywali się niewłaściwie--to znaczy niemal bez przerwy.

Czekający na zewnątrz porucznik William szybko zrównał krok z bliźniakami i baronami, kiedy ci wyszli na korytarz. Pospieszył też ku drzwiom, wiodącym do

książęcego gimnazjonu rozległej komnaty, w której członkowie rodziny królewskiej mogli ćwiczyć szermierkę, walkę na noże lub zapasy.

Na czele pochodu szedł baron James. Gdy wychodzili do gimnazjonu, drzwi otworzył William, bo - choć był bliskim kuzynem bliźniaków--pozostawał zwykłym żołnierzem na służbie kompanii szlachty. Do komnaty pierwszy wszedł Borric, za nim Erland, któremu następowali na pięty James i Locklear, William zaś zamykał pochód.

19

Wszedłszy do gimnazjonu, Borric odwrócił się zręcznie i szybko podniósł zwinięte w pięści dłonie, mówiąc:

- Wujku Jimmy, jesteśmy już starsi i silniejsi. Choćbyś pękł, nie pozwolę dać sobie w ucho, jak ostatnim razem...

Erland przechylił się w lewo, złapał się za bok, udając zmaganie się z bólem, i nawet zaczął kuleć.

- Jesteśmy też szybsi, wujku Locky. - Niespodzianie wymierzył podstępny cios łokciem w głowę Lockleara. Nie był to niestety najlepszy pomysł, ponieważ baron, człek sprawny i doświadczony, który bywał w opałach, zanim jeszcze obaj chłopcy przyszli na świat, uchylił się zręcznie, pozbawiając Erlanda równowagi.

Porwawszy młodzika za jedno ramię, pchnął go na środek gimnazjonu.

Bracia przyjęli bojowe postawy, obaj baronowie cofnęli się zaś pod ściany.

James podniósł ręce, ukazując braciom otwarte dłonie, i powiedział, uśmiechając się drwiąco:

- Zatem jesteście dla nas za młodzi i za szybcy, co? No dobrze. , . - Chłopcy

usłyszeli nutkę sarkazmu w jego głosie. Ponieważ jednak my dwaj powinniśmy mieć

podczas najbliższych kilku dni sprawne głowy, pomyśleliśmy sobie, że zrezygnujemy z przyjemności walki z wami... dla możliwości przekonania się, jakie podczas ostatnich dwu lat porobiliście postępy. - Machnąwszy niedbale za siebie, wskazał kciukiem róg sali. - Nie ma w tym niczego osobistego...

W rogu stali dwaj żołnierze, rozdzieleni do krótkich spodenek.

Każdy skrzyżował muskularne ramiona na piersiach złożonych jakby z dwu bojowych tarcz. Baron James skinieniem dłoni wezwał ich do siebie. Bracia tylnęli ku sobie z niepokojem w oczach.

Obaj nieznajomi poruszali się z naturalnym wdziękiem doskonale wyćwiczonych koni bojowych, leniwie nawet, ale tak, że patrzący na nich bracia zdali sobie sprawę, iż owa łagodność w każdej chwili może eksplodować błyskawicznym działaniem. Każdy też miał muskulaturę jak wykutą z kamienia. - To nie :udzie! - stęknął Boric. Erland się uśmiechnął - istotnie, obaj atleci mieli potężne szczęki i kiedy zacisnęli zęby, wyglądali jak górskie trolle.

- Ci panowie są członkami załogi wuja Lyama - oznajmił Locklear. - W ostatnim tygodniu mieliśmy tu mistrzostwa Królestwa w walce na pięści i poprosiliśmy obu mistrzów, aby zechcieli zostać z nami przez jakiś czas. - Obaj nieznajomi zaczęli okręzać bliźniaków, zachodząc ich z obu stron.

20

- Zasnowłoby to sierżant Obregon z garnizonu Rodez odezwał się Jimmy.

- Mistrz wagi ciężkiej, powyżej dwustu funtów! - dodał Locklear. - Obregonie, jeśli łaska, poćwicz z Erlandem. Uważaj na jego ranę. Drugim waszym trenerem będzie sierżant Palmer z Bas-Tyra.

- Niech zgadnę - Borric obserwował przeciwnika zwężonymi oczami. - Ja

mam honor zmierzyć się z mistrzem wagi średniej.

- Nie inaczej - uśmiechnął się nieprzyjemnie baron James. I nagle w polu widzenia Borika pojawiła się zbliżająca się nie wiadomo skąd pięść. Błyskawicznie odsunął się w bok, po to jedynie, by odkryć, że czeka już tam na niego druga.

Następne kilka chwil spędził na rozważaniach dotyczących autora fresków, jakie wymalowano na suflecie komnaty, którą ojciec kazał przekształcić na gimnazjon. Trzeba będzie kogoś spytać o nazwisko pacykarza.

Gdy dźwigał się, potrząsając głową, do pozycji siedzącej, usłyszał, docierające doń z dość sporej odległości, słowa Jimmy'ego.

- Wasz ojciec życzył sobie, byśmy dobrze uświadomili wam wagę obowiązków, jakie - być może - przyjdzie wam podjąć niebawem.

- A cóż to za obowiązki? - spytał Boric, ujmując dłoń sierżanta Palmera, który najwyraźniej pragnął mu pomóc podnieść się. Sierżant jednak nie puścił dłoni młodzieńca - szarpnąwszy księcia w górę, jak młotem rąbnął go prawą pięścią w brzuch. Obserwujący to wszystko porucznik William aż zmrużył oczy powietrze ze świstem opuściło płuca Borika i młody człowiek, zrobiwszy rozbieżnego zęza, ponownie zwałił się na matę. Erland tymczasem, pojąwszy już w czym rzecz, odsuwał się czujnie od swego trenera, który zachodził go z boku.

- Jeśli umknęło to waszej uwagi, chciałbym wam przypomnieć, że wasz stryj, Król, po śmierci młodego księcia Randolpha spłodził jedynie córki.

Borric odsunął na bok dłoń, którą podawał mu sierżant Palmer, i powiedział:

- Dziękuję, wstanę sam. - Klęknąwszy na jedno kolano, wystękał: - Niezbyt często zastanawiałem się nad znaczeniem śmierci naszego kuzyna... ale owszem, domyślałem się, ku czemu zmierzasz. - Podrywając się na nogi, niespodziewanie

wymierzył potężny cios w brzuch Palmera.

Starszy i bardziej doświadczony zawodnik utrzymał się na nogach, odetchnął nawet głęboko, uśmiechnął się i powiedział: - No... to było niezłe, Wasza Miłość.

Boric wzniósł oczy ku niebu.

21

- Dziękuję. - Zaraz potem znów ujrzał lecącą mu na spotkanie pięść i raz jeszcze trafiła mu się okazja dokładnego obejrzenia misternie rzeźbionych kasetonów sklepienia. Dlaczego nigdy przedtem nie zauważyłem, jak są piękne? - zastanawiał się leniwie.

Erland tymczasem usiłował utrzymać z dala od siebie zbliżającego się nieuchronnie Obregona. Nagle przestał się cofać i natarł jak burza, zasypując wroga gradem ciosów. Sierżant, zmuszony do obrony, ukrył się za podwójną gardą i pozwolił młodzikowi pracować się do woli.

- Zdajemy sobie sprawę z tego, że naszemu stryjowi brak dziedzica, wujku Jimmy - wycharczał, czując, że od daremnego bombardowania muskularnego podoficera jego ramiona stają się ciężkie jak ołów. I nagle sierżant przebił się przez zaporę ciosów, trafiając młodzieńca krótkim hakiem w korpus. Twarz Erlanda zbladła jak chusta, a jego oczy rozbiegły się w przeciwnne strony.

Ujrzawszy reakcję przeciwnika, Obregon zaczął się tłumaczyć. - Przepraszam Waszą Wysokość, ale nie chciałem trafić w zraniony bok.

- Zbytek łaski... - wyszeptał Erland przez zaciśnięte zęby. Borric tymczasem, potrząsając zaciekle głową, zdołał jakoś przyjść do siebie, szybko więc przetoczył się w tył i stanął na nogach, gotów do walki.

- Aaa... więc o to chodzi w tym przypomnieniu rodzinnych koligacji... brak

księcia następcy tronu. Nieprawdaż?

- Ująłbym rzecz inaczej - sprzeciwił się James. - Ponieważ Królowi brak męskiego dziedzica, dziedzicem tronu jest nadal Księżę Krondoru.

- To znaczy, wasz ojciec - wtrącił Locklear. Wykonawszy zwodniczy cios lewą, Borric trafił prawym prostym w szczękę sierżanta Palmera, który na moment stracił równowagę. Borric powtórzył uderzenie i przeciwnik zaczął się cofać. Księżę odzyskał pewność siebie, przyskoczył bliżej, by zadać zwycięski cios... i najzupełniej niespodziewanie przed jego oczyma świat wywinął piekielnego kozła.

Wszystko rozbłysło żółcią, którą natychmiast zastąpiła czerwień - młody człowiek zaś poczuł, że wisi w powietrzu i nagle okrywająca deski podłogi mata podstępnie podfrunęła w górę, by rąbnąć go w tył głowy. Na moment świat powlókł się czernią, która niechętnie się rozwiała, by ukazać Borrikowi krąg pochylonych nad nim twarzy. Nie znał ich i choć spoglądały nań dość przyjaźnie, było mu wszystko jedno, poczuł bowiem, że obsuwa się w jakąś mroczną czeluść.

Zastanawiał się tylko, czy któryś z tych gapiów wie, jak się nazywał artysta,

22

którego dziełem były te frapujące freski na suficie. Oczy Borika wywróciły się białkami, co ujrawszy, William chlusnął na księcia wiadro wody. Starszy z bliźniaków poderwał się natychmiast, parszając wściekle i tocząc wkoło niezbyt przytomnym jeszcze wzrokiem. Baron James przyklęknął i pomógł księciu usiąść prosto.

- Rozumiesz mnie?

Borric potrząsnął głową i jego wzrok odzyskał bystrość. - Chy... chyba tak - zdołał wystękać.

- To dobrze. Ponieważ, jeśli twój ojciec jest dziedzicem tronu, a ty jesteś jego najstarszym synem - tu klepnął Borika w plecy, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów - to jesteś też ponadto następcą tronu.

Borric odwrócił się i spojrzał Jamesowi w twarz. Nadal nie bardzo pojmował, o co chodzi.

- Jak to?

- Ano tak, mój chwacie, ponieważ jest mało prawdopodobne, iżby nasz dobry Król, a twój stryj, oby żył jak najdłużej, spłodził jeszcze jednego syna - nie zapominajmy o wieku królowej - jeśli Arutha go przeżyje, będzie następnym królem! Wyciągając rękę i pomagając Borrikowi wstać, dodał jeszcze: A Bogini Szczęścia sprawi, że - tu poklepał go żartobliwie po twarzy - ponieważ najpewniej przeżyjesz ojca, któregoś dnia sam zostaniesz królem!

- Chrońcie nas przed tym nieba! - sapnął ze zgrozą Locklear:

Borric powiódł dookoła niezbyt pewnym wzrokiem. Obaj sierżanci wycofali się, ponieważ wyglądało na to, że o lekcji boksu należy zapomnieć. - Ja... Królem?

- Owszem, ty koronny głupcze! - powiedział Locklear. Jeśli dożyjemy tej nieszczęsnej chwili, będziemy musieli klękać przed tobą i udawać, że wierzymy, iż wiesz, co robisz.

- Tak więc - ciągnął James - twój ojciec zdecydował, iż najwyższy już czas, byś przestał się zachowywać jak rozpuszczony synalek niespodzianie wzbogaconego handlarza bydłem i zaczął widzieć w swojej osobie przyszłego Króla Wysp. ·

Erland podszedł do Borika i stanąwszy obok, oparł się lekko na jego ramieniu.

- To dlaczego po prostu... - skrzywił się lekko, ponieważ jego rana

niespodzianie dała znać o sobie - nie powiedzieliście nam, o co chodzi?

23

- Przekonałem waszego ojca, że trzeba wam to dobrze wbić do głów - powiedział James z przekąsem w głosie. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu obu księżętom. - Otrzymaliście wszechstronne wykształcenie, a zajęli się tym najlepsi ludzie, jakich mógł znaleźć wasz ojciec. Mówicie... iloma tam?... sześcioma czy siedmioma językami. Potraficie podczas oblężenia wykonywać obliczenia nie gorzej od biegłych inżynierów. Znacie nauki starożytnych. Nieźle rysujecie i gracie na rozmaitych instrumentach, a dworska etykieta nie ma dla was tajemnic. Jesteście biegłymi szermierzami, świetnymi jeźdźcami i - spojrzał spod oka na obu pięściarzy - obaj macie niezłe uderzenie. - Cofnął się o kilka kroków. - Niestety, podczas dziewiętnastu lat waszego życia ani razu nie daliście nam powodu, by widzieć w was kogoś innego niż zepsutych, zarozumiałych smarkaczy. A powinniście się zachowywać jak Księżęta Królestwa! - podniósł głos, w którym zabrzmiały nutki wyraźnej wściekłości, i wbił ciężkie spojrzenie w Borika. - Ale kiedy z tobą skończymy, mój panie, będziesz postępować jak księżę krwi, nie jak głupi szczeniak!

Te słowa zupełnie dobiły młodego księcia. - Głupi szczeniak?

Na twarzy Erlanda pojawił się uśmiech. Widocznie rad był konfuzji brata.

- To wszystko, prawda? Boric musi tylko popracować nad sobą, wy i ojciec będziecie szczęśliwi i...

James uśmiechnął się doń bardzo nieprzyjemnie.

- Wszystko, com powiedział, tyczy się też i ciebie, mój chwacie! Ponieważ tak się składa, że jeżeli ten dureń da sobie poderżnąć gardło jakiemuś rozjuszonemu

mężowi keshañskiej dwórki, ty będziesz osobnikiem, który pewnego dnia włoży na
łeb koronę conDoinów w Rillanonie! A nawet jeśli uda mu się uniknąć naglej
śmierci, będziesz dziedzicem tronu, chyba że - co w końcu nie jest takie
nieprawdopodobne - twój braciszek zostanie ojcem. Ale i wtedy najpewniej w końcu
wylądujesz gdzieś jako książę. - Teraz James spuścił nieco z tonu. - Obaj więc
powinniście zacząć poznawać swoje obowiązki i powinności.

- Owszem, wiem - odezwał się Borric. - To pierwsza rzecz, do której
weźmiemy się jutro. Teraz chodźmy stąd, a potem, jak się wyśpimy... - spojrzął w
dół, na spoczywającą na jego ramieniu dłoń.

- Ejże... nie tak szybko! - zakpił James. - Lekcja jeszcze się nie skończyła.

- Aaa... ależ... wujku Jimmy! - zaczął Erland.

24

- Dopiąłeś przecie swego... - mruknął wściekły Boric. - Myślę, że nie - odparł
baron. - Nadal jesteście parą aroganckich smarkaczy. - I odwróciwszy się do obu
sierżantów, polecił: - Dalej, proszę, jeśli łaska.

Baron James skinieniem dłoni wezwał Lockleara, by podążył za nim, i
zostawił książąt, zajętych przygotowaniami do wzięcia ciągów z łap
profesjonalistów. Odchodząc, wydał jeszcze polecenie Williamowi:

- Kiedy będą już mieli dość, każ ich odnieść do kwater. Niech odpoczną i
znajdź im jakiś posiłek, potem zaś zadbaj o to, by byli gotowi na popołudniowe
posłuchanie u Księcia.

William oddał honory i aż się skrzywił, słysząc za sobą łomot, z jakim obaj
księżęta ponownie legli na grubej macie. Potrząsnął głową. Fatalnie będą
wyglądali.

ROZDZIAŁ 2 – OSKARŻENIE

Chłopiec wydał głośny okrzyk.

Boric i Erland przyglądali się z okien komnaty rodziców, jak Mistrz Miecza Sheldon napiera na młodego księcia Nicholasa. Po zręcznie wykonanej paradzie i ripości, chłopiec nie mógł się powstrzymać od tryumfalnego okrzyku. Mistrz Miecza musiał się cofnąć.

Obserwujący to wszystko Borric podrapał się po brodzie i mruknął:

- Jak na takiego partacza, to jest nawet niezły. - Siniak, który pozostał mu po porannym treningu, zdążył już nabrać soczystych barw.

- Chłopiec odziedziczył po ojcu smykałkę do miecza zgodził się Erland. - I mimo kiepskiej nogi, dobrze sobie radzi. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, obaj młodzieńcy odwrócili

się, by powitać wchodzącą matkę. Anita skinieniem dłoni odprawiła towarzyszące jej dwórki, które udały się w najbardziej odległy róg komnaty i tam zajęły się najnowszymi ploteczkami. Księżna stanęła obok synów i spojrzała w dół. Właśnie w tym momencie upojony chwilowym sukcesem Nicholas dał się zwabić w pułapkę, wydłużył natarcie, stracił lekko równowagę i... pozwolił sobie wybić miecz z dłoni.

- Nie, Nicky! Powinieneś był to przewidzieć! - wrzasnął Erland, choć znajdujący się na dziedzińcu brat z pewnością nie mógł słyszeć krytyki przez zatrzaśnięte okno.

- On tak się stara! - uśmiechnęła się Anita.

- No... i nieźle mu nawet idzie, jak na takiego smyka wrzusił ramionami

Borric. - W jego wieku nie byliśmy dużo lepsi.

- Jasne - zgodził się Erland. - Małpunia. . .

I oto nagle Anita odwróciła się i wymierzyła synowi siarczasty policzek. W odległym rogu komnaty, gdzie wiodły swe spory nadobne dwórki, zapadła nagle cisza. Wszyscy z niepomiernym zdumieniem spojrzeli na Księżną. Borric wytrzeszczył zdumione oczy na Erlanda, który odpowiedział mu równie zaskoczoną miną. Podczas dotychczasowych beztraskich dziewiętnastu lat życia bliźniaków, matka nigdy przedtem nie podniosła ręki na żadnego z nich. Zdumienie Erlanda było dużo większe niż ból policzka, choć Księżna - jak się o tym właśnie przekonał -

26

potrafiła uderzyć nie gorzej od rozjuszanej córki wiejskiego oberżysty. Oczy Anity przepelnił gniew i żal.

- Nie waż się tak mówić o swoim bracie! - Ton, jakim powiedziała te słowa, zdradzał, że tym razem nie zniesie sprzeciwu. - Wasze drwiny sprawiły mi więcej cierpień niż wszystkie szeptki i niechętnie spojrzenia reszty dworu! Jest dobrym chłopcem, kocha was obu, wy zaś odpłacacie mu głupimi żartami i nieustannie zeń sobie dworujecie. Zaledwie wróciliście z dalekiej podróży... i po pięciu minutach rozmowy z wami znów miał oczy we łzach! Arutha miał rację! Zbyt długo pozwalałam, by uchodziło wam to bezkarnie! - odwróciła się, jakby zamierzała odejść.

Borric rozpaczliwie szukał jakiegoś sposobu, by wykręcić się od kolejnej reprimendy.

- Mateczko... dlaczego po nas posłałaś? Chciałaś z nami o czymś pomówić?

- Nie posłałam po was! - odparła Anita. - Ja to zrobiłem.

Usłyszawszy głos ojca, chłopcy odwrócili się i ujrzeli go stojącego w niewielkich drzwiach, łączących jego gabinet z bawialnią, jak Anita nazwała tę część królewskich apartamentów. Bracia spotkali się wzrokiem, informując się milcząco, że ojciec najpewniej stał tam dostatecznie długo, by być świadkiem wymiany zdań pomiędzy matką i synami.

- Jeśli pozwolisz, chciałbym zamienić z synami kilka słów na osobności - rzekł Arutha po dość długiej chwili milczenia.

Anita skinęła głową i wezwała damy, by podążyły za nią. Komnata szybko opustoszała i zostali w niej jedynie Arutha i jego synowie. Kiedy zamknięto drzwi, Arutha spytał:

- Dobrze się czujecie?

- Jako tako, ojczy..., zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę twe polecenia, dotyczące porannej lekcji pięściarstwa - odpowiedział Erland, udając przesadnie, że zeszywniały mu wszystkie mięśnie. Jednocześnie jednak pokazał, że jego wcześniej zraniony bok nie doznał dalszych szwanków.

Arutha zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Prosiłem Jimmy'ego, by nie wyjawiał mi swoich zamierzeń. - Uśmiechnął się nie bez pewnej złośliwości. - Poprosiłem go tylko, by postarał się wbić wam do głów, że jeśli nie podporządkujecie się poleceniom, czekają was tarapaty.

Erland kiwnął tylko głową, Borric zaś rzekł:

27

- No... nie da się powiedzieć, żeśmy się tego nie spodziewali. Polecieś nam wracać prosto do domu, my zaś zwlekaliśmy, bo chcieliśmy się trochę rozerwać.

- Rozerwać, powiadasz... - Arutha utkwiał w twarzy syna dość szczególnie

spojrzenie. - Obawiam się, że w przyszłości nie będziecie mieli zbyt wielu okazji do rozrywek...

Skinieniem dłoni nakazał młodzieńcom, by podeszli bliżej. Gdy to uczynili, odwrócił się i ruszył do swego gabinetu, przechodząc obok długiego stołu pokrytego pergaminami. Dalej znajdował się sekretny schowek, ukryty za kamienną płytą.

Arutha przesunął dźwignię, odsłonił schowek i wyjął zeń leżący tam zwój pergaminu, ozdobiony godłem rodu conDoin.

- Przeczytaj paragraf trzeci -rzekł, podając pergamin Borrikowi.

Boric uczynił, co mu kazano, i jego oczy lekko się zaokrągliły:

- Smutna to wieść, w istocie - powiedział. - Co tam napisano? - spytał Erland.

Boric podał pergamin bratu.

- Królewscy medycy i kapłani są pewni, że Królowa już nie da dziecka

Królowi. Tron Rillanonu pozostanie bez dziedzica.

- Chodźcie za mną - polecił Arutha, kierując się ku leżącym w głębi drzwiom.

Otworzył je i ruszył w górę krętymi schodami. Synowie podążyli za nim i

wkrótce książęca trójka stała na szczycie starej wieży, skąd można było ogarnąć wzrokiem niemal cały Krondor. Arutha zaczął mówić, nie upewniwszy się nawet, czy synowie stoją obok niego.

- Kiedy byłem w waszym wieku, często stawałem na blankach zamku mojego ojca. Lubilem spoglądać w dół na Crydee i jego port. Nie był to wielki gród... ale w moich wspomnieniach jest bardzo rozległy.

Spojrzał spod oka na Borika i Erlanda.

- Wasz dziadek postępował podobnie, jeśli mam wierzyć temu, co mi kiedyś powiedział Mistrz Miecza Fannon. - Na chwilę Arutha pogrążył się we

wspomnieniach. - Miałem tyle lat co wy, kiedy spadła na mnie odpowiedzialność za całą załogę twierdzy. - Obaj chłopcy słyszeli opowieści o Wojnie Światów, teraz jednak mieli do czynienia z historią innego rodzaju niż te, jakimi dzielili się z nimi niekiedy podczas posiłków ojciec, wuj Laurie lub admirał Trask.

Arutha odwrócił się i przysiadł na jednym z blanków.

- Wiesz, Borric, nigdy nie pragnąłem zostać władcą Krondoru - powiedział.

Erland przysiadł na najbliższym występie, wyczuwając jakby, że ojciec przemawia

28

właściwie do jego starszego brata. Obaj niejednokrotnie słyszeli od ojca, że wcale nie pragnął książęcego tronu. - Kiedy byłem chłopcem, moim marzeniem i życiową ambicją było zostać żołnierzem i służyć gdzieś na pograniczu. Kiedy spotkałem starego barona Highcastle, zrozumiałem, że nasze chłopięce marzenia często towarzyszą nam również w życiu dojrzałym. Niełatwo się od nich uwolnić, a jednak trzeba to zrobić... bo jeśli chcemy ujrzeć świat takim, jakim jest naprawdę, nie wolno nam nań spoglądać oczami dziecka.

Powiódł wzrokiem po odległej linii horyzontu. Chłopcy zrozumieli, że ojciec zamierza powiedzieć im coś szczególnego zawsze bowiem był człowiekiem prostolinijnym i nigdy nie nadużywał słów. Teraz jednak najwyraźniej miał kłopoty ze sformułowaniem myśli.

- Borric... kiedy byłeś dzieckiem... jak sobie wyobrażałeś swoje życie?

Borric spojrzał na Erlanda, potem przeniósł wzrok na ojca. Czując na karku tchnienie wiatru, który pieszczotliwie rozwichrzył mu rudą, nierówno przyciętą czuprynę, odpowiedział:

- Ojczy, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem... - Myślę, że

popelniłem poważny błąd, wychowując was tak, jak zostaliście wychowani - rzekł Arutha z westchnieniem. Kiedy byliście mali, przejawialiście sporą dozę złościwości... ty zaś, Bornc, celowałeś w tym, i przy jakiejś okazji mocno mnie zirytowałeś. Drobną to była sprawa... rozlałeś inkaust na pergamin, ale tydzień pracy kopisty poszedł na marne. Przylałem ci w tyłek. - Starszy z braci radośnie wyszczerzył zęby, ale Księżę nie odpowiedział uśmiechem. - Owego dnia Anita kazała mi przyrzec, że nigdy więcej nie dotknę żadnego z was w gniewie. I tak się stało... ale teraz mniemam, że spełniając jej prośbę, rozpuściłem was i źle przygotowałem do życia, jakie przyjdzie wam wieść.

Erland nie umiał opanować ogarniającego go zakłopotania. Często w przeszłości wytykano im złe postęпки, rzadko jednak spotykała ich za nie kara, nigdy zaś przedtem nie dostali razów.

- Różnie wychowywano was i mnie - kiwnął głową Arutha. - Wasz stryj dość często czuł ojcowski rzemień na swoim jeszcze wtedy nie królewskim - zadku, kiedy dał się złapać. Ja dostałem rżniętkę tylko raz. Dość szybko pojąłem, że kiedy ojciec wydaje polecenie, oczekuje, że zostanie ono wykonane niezwłocznie, bez dyskusji i sprzeciwów. - Arutha westchnął i obaj młodzieńcy po raz pierwszy w życiu usłyszeli w jego głosie niepewność. - Wszyscyśmy się spodziewali, że któregoś dnia

29

Królem zostanie ksiązę Randolph. Kiedy utonął, założyłem, że Lyam doczeka się jeszcze jednego syna. Cóż... kiedy przychodziły na świat jego kolejne córeczki i z każdymi narodzinami zmniejszały się widoki na pojawienie się u stóp tronu dziedzica... jakoś nie przychodziło nam do głów, że któregoś dnia - tu dotknął palcem piersi Borika - ty zostaniesz władcą całego narodu.

Spojrzawszy przez ramię na swego drugiego syna, niespodzianie dla Erlanda wyciągnął rękę i położył ją na jego ramieniu.

- Nie bardzo lubię mówić o uczuciach, obaj jednak jesteście moimi synami i jednako was kocham, choć niekiedy wystawiacie tę miłość na ciężką próbę.

To nietypowe dla ojca wyznanie lekko zaniepokoiło obu braci. I oni kochali Aruthę, podobnie jednak jak ich ojciec, niezbyt umieli otwarcie wyrażać swe uczucia.-Ojczy, my rozumiemy... - to było wszystko, na co potrafił zdobyć się Borric.

- Naprawdę? - spytał Księżę, patrząc im w oczy. - Naprawdę? Pojmijcie więc i to, że od jutrzejszego dnia przestaniecie być tylko moimi synami. Staniecie się synami i nadzieją Królestwa. Każdy z was jest księciem krwi. Ty, Borric, któregoś dnia zostaniesz Królem. Wbij sobie do głowy to, że nic prócz śmierci nie może tego zmienić. Od jutra miłość ojcowska nie będzie was chroniła przed surowością i okrucieństwami życia. Władza królewska oznacza, że trzyma się w dłoni końce nitek, na których często wiszą ludzkie żywoty. Nie przemyślana decyzja, bezmyślny postępek mogą niekiedy posłać ludzi na śmierć równie pewną, jak cios katowskiego topora. - Zwracając się zaś do Erlanda, powiedział: - Bliźnięta królewskiej krwi tworzą zagrożenie dla pokoju państwa, ponieważ jeśli tylko zdarzy się okazja do ujawnienia zadawnionych sporów i rywalizacji, zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów będzie upierać się przy tym, że inny był porządek waszych narodzin, kto bez twej zgody zacznie gardłować za twoją sprawą i uczyni z niej pretekst do wszczęcia wojny ze swymi starymi wrogami. - Obaj słyszeliście opowieść o tym, jak pierwszy Król, Borric, musiał zabić własnego brata, Jona Uzurpatora. Często też mieliście okazję wysłuchać opowieści o tym, jak Król, ja i nasz brat, Martin, staliśmy przed Zgromadzeniem Lordów Królestwa, a każdy z nas miał słuszne i godziwe prawa do

tronu. Dzięki szlachetnemu gestowi Martina korona dostała się Lyamowi i nie rozlano z tego powodu ani kropli krwi. - Wyciągnąwszy dłoń przed siebie, rozsunął kciuk i palec wskazujący na grubość włosa. - Ale tamtego dnia tyle tylko dzieliło nasz kraj od pogrążenia się w zawierusze wojny domowej.

- Ojczy, dlaczego nam o tym mówisz? - spytał Borric.

30

- Ponieważ kończy się twoje dzieciństwo, mój chłopcze Arutha westchnął i położył dłoń na ramieniu starszego z synów. - Nie będziesz już synem Księcia Kronodoru. Postanowiłem bowiem, że jeśli przeżyję brata, przeniosę na ciebie swoje prawo do korony. - Borric otworzył już usta, by zaprotestować, Księżę jednak nie dał mu czasu na sprzeciw. - Lyam jest krzepkim mężczyzną. Kiedy umrze, może okazać się, że jestem starcem, jeśli w ogóle nie odejdę przed nim. Najlepiej będzie, jeśli pomiędzy władaniem twoim i Lyama nie będzie żadnego okresu krótkich rządów. Nie kto inny, lecz ty właśnie będziesz następnym władcą Królestwa Wysp. - Spojrzawszy zaś na Erlanda, dodał: - Ty zaś na zawsze pozostaniesz cieniem swojego brata. Od tronu będzie cię oddzielał jeden krok tylko. Nigdy jednak na nim nie zasiądziesz. Zawsze ludzie będą szukali u ciebie łaski i poparcia... nigdy jednak nie dla twoich własnych cnót czy zalet... lecz dlatego, że za twoim pośrednictwem będą chcieli dotrzeć do Borika. Pogodzisz się z takim losem?

Erland wzruszył ramionami.

- Ojczy, nie sądzę, bym mógł narzekać. Będę miał tytuły i poważanie, sądzę też, że nie zbraknie mi odpowiedzialnych zajęć.

- Jest coś jeszcze, synu. Zawsze i we wszystkim będziesz musiał popierać

Borika, choć prywatnie możecie mieć różne zdania. Nigdy publicznie nie dasz

nikomu poznać, że nie zgadzasz się z wolą brata. To rzecz pierwsza i najważniejsza ze wszystkich.

Pamiętaj, nigdy publicznie nie wolno ci wygłosić innej opinii niż Król. -

Arutha odsunął się nieco i zmierzył obu braci baczny spojrzeniem. - Od czasu waszych urodzin Królestwo zaznaje błogosławieństwa pokoju. Utarczki graniczne to rzecz zwykła i drobna.

- Nie dla tych, co walczyli z najeźdźcami, ojcze! -odezwał się ostro Erland. -

Tam ginęli ludzie, ojcze.

- Mówię teraz o całych narodach i dynastiach - odparł Arutha. - O losach

całych pokoleń. Owszem, ludzie giną na granicach... by naród mógł zaznawać spokoju. Były jednak czasy, kiedy toczyliśmy nieustanne wojny, kiedy co miesiąc zdarzały się graniczne najazdy wojsk Wielkiego Keshu... kiedy galery quegańskie brały nasze statki, kiedy i gdzie im się spodobało, a tsurańscy najeźdźcy zajęli część ziem waszego dziadka... i trwało to dziewięć lat! Z wielu rzeczy będziecie musieli zrezygnować, synkowie. Zażąda się od was, byście poślubili kobiety, które wydadzą

31

się wam obce. Będziecie musieli zrezygnować z wielu uciech dostępnych zwykłym ludziom - możliwości wejścia do pierwszej z brzegu tawerny i wypicia kielicha w przygodnym towarzystwie. Nie wolno wam będzie ot, tak sobie wyjechać do innego miasta. Będziecie musieli zrezygnować ze szczęścia, jakie daje ożenek z miłości i możliwość przyglądania się, jak wasze dzieci rosą i dojrzewają, bez obawy, że ktoś wykorzysta je do swoich celów. - Przenosząc spojrzenie na odległe miasto, dodał jeszcze: - Nie będziecie też mogli usiąść wieczorem wraz z żoną i porozmawiać z nią swobodnie o drobiazgach dnia codziennego.

- Chyba rozumiem. . . - mruknął mocno przygnębiony Borric.

Erland kiwnął tylko głową.

- To dobrze - zakończył Arutha - bo za tydzień obaj wyruszacie do Wielkiego Keshu i od tej chwili jesteście przyszłością Królestwa. - Ruszył ku schodom, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. - Chciałbym wam tego oszczędzić - dodał ale niestety, nie mogę. - Z tymi słowami zostawił synów samych.

Obaj młodzieńcy siedzieli jeszcze przez chwilę spokojnie, potem obaj odwrócili się, by popatrzeć na port. Popołudniowe słońce mocno jeszcze grzało, ale jego dokuczliwość łagodziła bryza znad Morza Goryczy. Leżący niżej port kipiał życiem pomiędzy nabrzeżem i stojącymi na redzie statkami żwawo krążyły łodzie i barki, przewożące towary i pasażerów. Widoczne w oddali białe plamki wieściły kolejne statki zbliżające się do portu-do Kronodoru chętnie zaglądali kupcy z Dalekich Wybrzeży, Królestwa Queg, Wolnego Grodu Yabon czy wreszcie Imperium Wielkiego Keshu.

Twarz Borika rozświetlił nagle radosny uśmiech. - Kesh! - Nie inaczej! Do samego serca Wielkiego Keshu! - pocwierdził, śmiejąc się Erland. Obu radowała perspektywa podróży do dalekich krajów i poznania nowych miast i ludzi - a szczególnie Keshu, które uważane było za ziemię egzotyczną i tajemniczą. Słowa ojca uniósł ze sobą powiew nadmorskiej bryzy.

Niektóre instytucje i zwyczaje trwają przez całe stulecia, inne zaś szybko przemijają. Jedne pojawiają się spokojnie, inne rodzą się z fanfarami i oklaskami. W ciągu ostatnich lat powszechną praktyką stało się zezwalanie giermkom i służbie na spędzanie drugiej połowy szóstego dnia tygodnia wedle ich własnego uznania. Ostatnio zaś upowszechnił się zwyczaj zamykania w południe szóstego dnia

wszelkich kramów i składów, a dzień siódmy spędzano na medytacjach i oddawaniu czci bogom.

32

Podczas ostatnich dwudziestu lat zrodziła się też nowa tradycja. Pierwszego wolnego dnia, jaki następował po równi wiosennej, chłopcy i młodzi mężczyźni, synowie szlacheccy i ludzie z gminu, giermkowie i zwykli służący, zaczęli intensywne ćwiczenia. Od pierwszego dnia Wiosennej Odwilży, przez sześć radosnych tygodni, które po nim następowały, często wbrew kapryśnej pogodzie, trwał sezon piłki nożnej.

Kiedyś zwano ją piłką beczkową, ponieważ chłopcy kopniakami starali się zapędzić szmacianą piłkę do stojących naprzeciw siebie beczulek. Przed dwudziestu jednak laty młody podówczas Księżę Arutha zlecił mistrzowi ceremonii ustalenie szeregu przepisów, które miały ochronić graczy przed obrażeniami, ponieważ gra była brutalna. Teraz rozgrywki stały się uznaną zabawą giermków i pospolitej młodzie, i wraz z powrotem wiosny rozpoczynały się turnieje.

Wszędzie - na otwartych poletkach, z których niedawno spędzono krowy, i na boiskach Ligi Miejskiej, gdzie ćwiczyły zespoły wspierane przez cechy rzemieślnicze, gildie kupieckie lub możnych panów, zawsze gotowych sypnąć złotem dla pomnożenia chwały rodu - widziało się śmigających żwawo i zaciekle wkopujących piłkę do siatki wyrostków i młodzie.

Tłum rykiem aprobaty skwitował akcję najszybszego napastnika Błękitnych, który przebił się z piłką przez obronę przeciwnika i teraz gnał chyżo ku ich bramce. Bramkarz Czerwonych skulił się, szykując do przechwycenia piłki. Niebieski zręcznym zwodem oszukał przeciwnika i gdy ten rzucił się w lewy róg bramki,

strzelił w przeciwną stronę. Rozjuszony Czerwony wsparł dłonie na biodrach i całą swą postawą okazywał wściekłość na siebie samego, podczas gdy uradowani gracze Niebieskich stłoczyli się wokół strzelca.

- No... powinien był się domyślić - skomentował sytuację Locklear. - To było dość oczywiste. Ja bym się nie dał nabrać.

- To dlaczego nie zejdziesz na dół i nie zagrasz za niego? zaśmiał się James. Borric i Erland również wybuchnęli śmiechem.

- Jasne, wujku Locky. Setki razy słyszeliśmy opowieść, jak to z wujkiem Jimmym wymyśliliście tę grę.

Locklear potrząsnął głową.

- Nic podobnego. - Rozejrzał się po trybunach, które kilka lat temu wzniesiono dla wygody widzów staraniem pewnego przedsiębiorczego kupca.

Powiększono je co roku i obecnie mecz mogło obserwować około czterech tysięcy

33

Krondorczyków. Wtedy graliśmy do beczki... i nie wolno było stawać przed nią. Te siatki i bramkarze to wymysł waszego ojca...

- I to już nie jest ten sam sport! - dokończyli chórem znaną już sobie śpiewkę weteranów Erland i Bornc.

- Owszem, to szczerą prawdą! - zaperzył się Locklear. - Za mało krwi! - wtrącił Borric.

- Gdzież połamane ręce i popodbijane oczy? - spytał retorycznie Erland.

- No... to może i lepiej - przerwał wyliczankę James. Pamiętam jak...

Bracia skrzywili się równocześnie, ponieważ pojęli, że raz jeszcze przyjdzie im wysłuchać przestawnej opowieści. Locklear oberwał kiedyś w głowę podkową,

którą ukrył w rękawie zagorzały a przebiegły przeciwnik. Opowiastka ta nieodmiennie prowadziła do zacieklego sporu pomiędzy obu baronami, którzy nigdy nie mogli się zgodzić co do tego, które z obecnych zasad przeszkadzały w grze, a które dodawały jej smaku.

Nie usłyszawszy dalszego ciągu opowieści, Borric odwrócił się i zauważył, że James patrzył nie na boisko, gdzie gra zbliżała się do końca, ale na człowieka siedzącego na skraju rzędu ławek, nieco powyżej miejsc, które zajęli obaj książęta. Pozycja społeczna i sute łapówki) sprawiły, że synowie Księcia Kronodoru zajmowali dwa najlepsze miejsca na trybunach, naprzeciwko środkowej linii boiska.

- Locky, czy powiedziałbyś, że jest chłodno? - spytał James.

- Żartujesz! - mruknął Locklear, wycierając pot z czoła. Za miesiąc letnie przesilenie i już się prawie ugotowałem.

James kciukiem wskazał siedzącego nieopodal jegomościa. - To dlaczego tamten nasz przyjaciel włożył tak ciężką opończę?

Locklear podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i natychmiast zorientował się, o kogo chodziło przyjacielowi. Rzeczywiście, nieznajomy miał na sobie obszerną i ciężką szatę z kapturem. - Może to jakiś kapłan?

- Nie przypuszczam, by członkowie jakiegoś zakonu interesowali się piłką nożną. - James przeniósł wzrok na pole, bo nieznajomy odwrócił się ku nim. - Obserwuj go ponad moim ramieniem, tak jakbyś słuchał tego, co mówię. Co on teraz robi?

- Nic szczególnego... - Na polu zadęto w róg, sygnalizując koniec meczu.

Błękitni-zespół wspierany przez Cech Młynarzy i szacowne Stowarzyszenie

Handlarzy Artykułami Żelaznymi pokonali Czerwonych, za którymi stała grupa bogatej szlachty. Kibice doskonale wiedzieli, kto kogo popiera, i wynik meczu powitali rykiem entuzjazmu.

Gdy tłum zaczął się rozchodzić, okutany w luźną oponczę nieznajomy wstał.

Locklear wybałuszył oczy.

- On wyjmuje coś z rękawa!

James odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak tajemniczy kibic podnosi do ust wąską rurkę i kieruje jej wylot w stronę książąt. Ujrzawszy to, baron popchnął obu młodzików tak, że przewrócił ich między ławki. Jeden z kibiców stojący w niższym rzędzie, odsłonięty teraz przez Erlanda, jęknął nagle i podniósł obie dłonie do krtani. Nie miał nawet cienia szansy skończenia tego gestu, ponieważ zanim zdążył palcami dotknąć choćby sterczącej mu z grdyki strzałki, niby rażony nagłym gromem runął na ziemię.

Reakcja Lockleara była tylko o ćwierć uderzenia serca wolniejsza. Jimmy i bliźniacy nie zdążyli nawet zwalić się w dół czemu towarzyszyły gniewne wrzaski potrąconych kibiców a baron z mieczem w garści biegł już ku odzianemu w szatę z kapturem nieznajomemu.

- Straże! - wrzasnął, zwracając uwagę gwardzistów, którzy jako asysta honorowa stali tuż przez trybunami.

Na jego okrzyk natychmiast rozległ się łomot żołnierskich buciorów.

Żołnierze Księcia śmignęli ku zwawo uciekającemu nieznajomemu. Gwardziści przepychali się bezceremonialnie a z entuzjazmem, nie troszcząc się zupełnie o to, kogo potrąca lub zepchną w dół. Gapie - jak to niekiedy bywa - pojęli natychmiast,

że na trybunie honorowej dzieje się coś niedobrego. Stojący najbliżej roztrysnęli się na boki, niczym stado kuropatw na widok jastrzębiego cienia, pozostali zaś zaczęli się przyglądać nowemu widowisku.

Nieznajomy na widok zbliżających się jak burza gwardzistów i rzednącego błyskawicznie tłumu, który dzielił ich od niego, oparł dłoń o poręcz schodów i przesadziwszy ją jednym susem, sfrunął ku leżącej tuzin stóp niżej ziemi. No... może niezupełnie sfrunął - do uszu Lockleara doleciało ciężkie tupnięcie i stłumiony okrzyk bólu. Locklear dopadł poręczy o jedno mgnienie oka później.

Dwaj kibice podnosili się właśnie z ziemi i gapili z bezbrzeżnym zdumieniem na nieruchomy kształt, leżący pomiędzy nimi. Jeden z nich wstał o własnych siłach, drugi zatoczył się i znów runął na murawę. Locklear skoczył w dół, gracko

35

wylądował na stopach i skierował miecz ku leżącemu nieruchomo nieznajomemu.

Ten drgnął i nagle jednym susem rzucił się na barona. Locklear dał się zaskoczyć.

Zakapturzony opryszek uderzył go barkiem w korpus, oburącz porwał w pół i pchnął ku podporom trybun.

Uderzając grzbietem w drewniane belki podtrzymujące trybuny, baron

stęknął boleśnie, zdołał jednak wyrznąć napastnika rękojeścią miecza w ucho.

Nieznajomy - najwidoczniej bardziej zainteresowany ucieczką niż walką - rzucił się w tył, powstrzymały go jednak krzyki zbliżających się gwardzistów. W tej sytuacji odwrócił się ku baronowi - który rozpaczliwie usiłował złapać dech w płuca - trzasnął go pięścią w szczękę.

Uderzony stracił na chwilę kontakt z rzeczywistością, napastnik zaś

szczurzym susem dał nura w mrok pod trybunami. Baron jednak szybko otrząsnął

się z bólu i oszłomienia i pognął za złoczyńcą. Kryjące przestrzeń pod trybunami cienie były tak głębokie, że uciekinier właściwie mógł schować się wszędzie.

- Sam tu! - wrzasnął Locklear w odpowiedzi na pytające okrzyki strażników i po kilku sekundach otaczało go pół tuzina stróżów prawa. - Rozstawcie się szerzej i uważajcie! To przebiegły drań!

Strażnicy natychmiast wykonali polecenie i powoli ruszyli ławą w mrok.

Tych, którzy znaleźli się przy boisku, ciasnota zmusiła do pochylecia się, bo najniższe ławki dzieliła od ziemi odległość czterech stóp. Jeden z żołnierzy wyjął miecz i zaczął dźgać na oślepie w ciemności, licząc na to, że wypłoszy ukrywającego się tam zbiega. Nad głowami stróżów prawa łomotały deski uderzane stopami tysięcy kibiców, którzy opuszczali trybuny, wkrótce jednak stadion opustoszał i wszędzie zaległa cisza.

I wtedy poszukiwacze usłyszeli odgłosy szamotaniny, dolatujące gdzieś z przodu. Locklear i jego ludzie żwawo skoczyli ku miejscu, gdzie w półmroku dwu ludzi wodziło się za łby z trzecim. Nie tracąc nawet czasu na rozeznanie sytuacji, Locklear zaatakował barkiem - jak za czasów swej wspaniałej młodości, kiedy piłka nożna była grą męską co się zowie. Cała grupa - z baronem włącznie - zwała się na ziemię. Nadbiegający strażnicy hurmą runęli na walczących i wkrótce leżący na spodzie znieruchomieli, przygniecenii bezlitosnym ciężarem nieźle odżywionych stróżów prawa. Dopiero teraz gwardziści - powoli i rozważnie - zaczęli rozbierać stos leżących - wyluskując zeń pierwszej barona Jamesa i Borika, co Locklear powitał

36

szerokim uśmiechem. Na samym spodzie leżał nieruchomo zakapturzony nieznajomy.

- *Wyciągnijcie go na światło!* - poleciał strażnikom. *Żyje?* - spytał Jamesa.

- *Raczej tak* - odparł zapytany - *chyba że mu skręciłeś kark, kiedy tak niespodzianie się na nas rzuciłeś. Niewiele, psiakość, brakło, a byłbyś skręcił mój !*

- *Gdzie jest Erland?* - zapytał Locklear.

- *Tutaj* - z mroku rozległa się odpowiedź. - *Pilnowałem z drugiej strony, na wypadek gdyby te dwa chwaty* - wskazał palcem Jamesa i Borika - *pokpiły sprawę.*

- *Powiedziałbym raczej* - odciął się Borric z uśmiechem - *że wolałeś nie narażać na ponowną kontuzję swego wrażliwego boku, co?*

- *Niewykluczone* - wzruszył ramionami Erland.

Wszyscy ruszyli za gwardzistami, którzy nieśli nieruchome : ciało napastnika. Kiedy wyszli na przestrzeń zalaną promieniami południowego słońca, odkryli, że otacza ich podwójny kordon stróżów prawa. Locklear pochylił się nad nieznanym.

- *Zobaczmy, kogo my tu mamy.. .* - Odsunął kaptur i spojżał w twarz, wytrzeszczając ku niebu martwe oczy. - *Niech to lichu! Nie żyje.*

James ukląkł i otworzył nieboszczykowi usta. Powąchał, :krzywił się i powiedział:

- *Otruł się drań.*

- *Co to za jeden?* - spytał Borric.

- *I dlaczego chciał cię zabić, wujku Jimmy?* -dodał Erland. - *Nie mnie, idioto!*

- *sarknął James i wskazał Borika. To on był celem!*

- *Milordzie...* - odezwał się strażnik, który właśnie podszedł do grupy. -

Człowiek zraniony strzałką nie żyje. Maleńka : Anka zabiła go po kilku sekundach.

Borric zmusił się do dość markotnego uśmiechu. - Dlaczego ktoś miałby mnie

zabijać?

- Może to jakiś rozjuszony a zazdrosny mąż? - podsunął -mu Erland.

- Nie chodziło o ciebie, Borriku conDoin - odezwał się James. - Spojrzał wrogo na zebrany nieopodal tłum, jakby szukając w nim kolejnych morderców. - Ktoś chciał zabić nadzieję i przyszłość Królestwa Wysp.

Locklear rozchylił poły opończy nieboszczyka i odstłonił czarną koszulę.

- Jimmy, zechciej tu spojrzeć...

37

Baron James pochylał się nad trupem. Zabójca miał ciemną cerę, ciemniejszą nawet niż Gardlana, co wskazywało, że jego przodków należałoby szukać w Kesh.

Takich ludzi było jednak w Królestwie, a osobliwie w Kondorze, wielu.

Ciemnoskórzy, a nawet zupełnie czarni trafiali się w każdej warstwie tutejszego społeczeństwa. Ten człowiek jednak miał na sobie czarną, jedwabną koszulę, na stopach zaś miękkie pantofle, jakich młody książę nie widział nigdy przedtem.

James obejrzał dłonie niedoszłego zabójcy i znalazł na jednej z nich pierścień z osadzonym w nim ciemnym kamieniem, a poszukawszy jakiegoś naszyjnika, nie znalazł żadnego.

- Co ty wyprawiasz?

- Stare nawyki - wyjaśnił były złodziejaszek, - On nie należał do Nocnych

Jastrzębi - stwierdził, przywołując pamięć legendarnej Gildii Zabójców. - Ale być może mamy do czynienia z czymś jeszcze gorszym.

- Jak to? - spytał Locklear, który aż nazbyt dobrze pamiętał czasy, kiedy to Nocnym Jastrzębiom niemal udało się zabić Księcia Aruthę. Było to przed dwudziestu laty.

- To obywatel Kesh.

Locklear pochylił się i raz jeszcze obejrzał pierścień. - Gorzej! - powiedział, poblądłszy gwałtownie. - To członek kesańskiej rodziny królewskiej.

W komnacie panowała cisza. Siedzący na ustawionych w krąg fotelach poruszali się tylko nieznacznie - tak, że ich zdenerwowanie zamachem na Borika objawiało się jedynie poskrzypywaniem drewna i skóry, lekkimi pobrzękiwaniami biżuterii i szelestem odzieży. W końcu ciszę przerwał diuk Gardan, który przemówił, potarłszy wpierw nasadę nosa.

- Wszystko to jest dla mnie absolutnie niepojęte. Co, u licha, przysłoby Keshowi z zabójstwa członka waszej rodziny? Czyżby imperatorowa chciała wojny?

- Nad utrzymaniem pokoju pracowała równie usilnie, jak my. .. tak przynajmniej utrzymuj ą nasi agenci - dodał Erland. Dlaczego miałyby pragnąć śmierci Borika? Kto...

- Ten, komu zależy na wybuchu wojny pomiędzy Królestwem i Imperium - przerwał mu Borric.

- Ale to zbyt przejrzyste - zaoponował Locklear. - Atak był tak kiepsko przygotowany, że niełatwo będzie przekonać kogokolwiek o prawdziwości oskarżeń.

38

- A jeśli - zastanowił się Arutha - właśnie tak miało to wyglądać? Jeśli celem zamachu miało być powstrzymanie mnie ~d wysłania synów do Keshu?

Gardan kiwnął głową.

- Królewska rodzina imperatorowej czułaby się śmiertelnie urażona.

- I bez tego mamy w tym względzie nielichy sukces wtrącił się zwodniczo

gładkim tonem Tames, który stał oparty o ścianę za fotelem Aruthy. - Pozbawiliśmy

miłego żywota członka rodziny panującej. Dość daleki kuzyn, ale krew nie woda.

*Gardan znów potarł palcami grzbiet nosa, zdradzając tym gestem raczej
zdeenerwowanie sytuacją niż znużenie.*

*- I co ja mam powiedzieć ambasadorowi Keshu? Och, przepraszam,
natknęliśmy się na młodzieńca, który chyba jest członkiem waszej rodziny
panującej. Nie, nie mieliśmy pojęcia, że przebywa w Kondorze. Tak, w istocie
wygląda na nieboszczyka. Przy okazji, przykro nam to mówić, ale usiłował zabić
księcia Borika.*

*Arutha oparł się wygodniej i złożył palce obu dłoni. Przyjął tym samym pozę,
którą wszyscy obecni w komnacie nauczyli się już rozpoznawać. W końcu spojrzał
pytająco na Jamesa.*

- Najprościej byłoby... splawić nieboszczyka - podsunął młody baron.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - sapnął Gardan.

*- Zabieracie ciało i wrzucicie je cichaczem do zatoki wyjaśnił były
złodziejaszek.*

*- Proponujesz dość drastyczne rozwiązanie, w końcu to członek keshkańskiej
rodziny panującej - stwierdził z przekąsem Erland.*

- Dlaczego uważasz, że tak byłoby najprościej? - spytał Arutha.

*James zbliżył się i przysiadł na krawędzi książęcego biurka. Książę podczas
ostatnich lat nabrał zwyczaju przeprowadzania takich właśnie narad z członkami
najbliższej rodziny i doradcami.*

*- On przecież nie przebywał w naszym mieście oficjalnie. Właściwie to nawet
ukrywał przed nami swoją obecność w mieście. Nikt nie powinien był się*

dowiedzieć. Jedyni Keshanie, którzy coś o tym wiedzą, to ci, którzy orientują się również w tym, po co ów młody człowiek został tu przysłany, wątpię zaś, by którykolwiek z nich poczynił jakieś starania, by dowiedzieć się czegoś o losach ich agenta. Ten człowiek zniknął... chyba że zechcemy powiadomić świat o tym, gdzie można go znaleźć...

39

- I w jakim jest stanie! - dodał kpiąco Bornic.

- Owszem, możemy utrzymywać, że usiłował zabić księcia - przyznał James. -

Wszystko jednak, czym dysponujemy na poparcie swoich pretensji, to jeden trup, jedna dmuchawka i kilka zatrutych strzałek.

- Oraz martwy kupiec - uściślił Gardan.

- Szlachetny diuku... niemal każdego dnia w całych Zachodnich Dziedzinach znajduje się gdzieś jakiegoś zabitego kupca - zauważył cierpko James. - Moja rada jest następująca: niech grabarze zdejmą nieboszczykowi jego pierścień i wrzucą do zatoki. Ten, kto go tu przysłał, diabła zje pierwej, nim zgadnie, gdzie podział się jego człowiek.

Arutha milczał przez chwilę, rozważając trafność rady byłego złodziejaszka, w końcu zaś kiwnął głową. Baron James skinieniem dłoni zlecił wykonanie tego zadania Locklearowi, który do jego wykonania miał dobrać sobie kilku członków książęcej Straży Przybocznej - i drugi z młodych baronów wymknął się z komnaty. Nieobecność Lockleara trwała krótko - tyle, ile zajęło mu wydanie instrukcji porucznikowi Williamowi.

- Co jeszcze? - spytał Arutha z westchnieniem, przenosząc spojrzenie na Jamesa, który wzruszył ramionami.

- Och, takie tam ploteczki. Wydaje się, że kryteria, jakimi kierowano się, wyznaczając nowego ambasadora, były dość niezwykle. Owszem, należy do ludzi, których oni określają jako członków "prawdziwej krwi", nie należy jednak do rodziny panującej - bardziej na miejscu byłoby wybranie choćby tego mordercy, kimkolwiek jest. Przy mianowaniu ambasadora musiano kierować się względami ściśle politycznej natury. Niektórzy utrzymują, że aktualnie ów jegomość posiada na keshzańskim dworze większe i rozleglejsze wpływy niż niejeden z członków rodziny panującej. Nie wiem, dlaczego obdarzono go takim zaszczytem - no, chyba że było to rozwiązanie kompromisowe... że trzeba było zadowolić jakieś dworskie stronnictwo.

Arutha wysłuchał tego wszystkiego, kiwając głową.

- Choć nie bardzo umiemy odnaleźć w tym wszystkim jakąkolwiek logikę, trzeba postępować zgodnie z regułami takich gier. - Zamilkł na chwilę i nikt nie ośmielił się przerwać książęcych rozmyślań. - Zawiadomcie naszych ludzi w Imperium. Chcę, by agenci wzięli się do roboty, zanim jeszcze moi synowie staną w granicach Imperium. Jeśli ktokolwiek chciałby nas wplątać w wojnę z Keshem,

40

wówczas oczywiście atak na królewskiego bratanka i dziedzica tronu miałby swoje logiczne uzasadnienie. Tak więc, baronie Jamesie, będziesz towarzyszyć obu książętom na keshzańskim dworze. Jedyne tobie mogę zaufać i wiem, że w tamtych mętnych wodach potrafisz sobie poradzić.

- Wasza Książęca Mość! - odezwał się Locklear.

- Ty zaś - uśmiechnął się Arutha do drugiego z młodzieńców - dotrzymasz towarzystwa baronowi Jamesowi jako mistrz ceremonii, szef protokołu... wielki

szambelan... czy jaki tam idiotyczny tytuł zechcesz wybrać. Dwór imperialny opanowały kobiety. Nareszcie zatem znajdzie się jakiś pożytek ze sławnego... a raczej niesławnego wdzięku osobistego i uroku Lockleara. Pomówcie z kapitanem Valdisem - pojedzie z wami jako konstabl. Niech obowiązki dowódcy Straży Przybocznej przejmie odeń porucznik William. - Arutha przez chwilę bębnił palcami po stole. - Chcę także - odezwał się do Jamesa - byś na czas owej misji odłożył na bok protokół i swoje oficjalne tytuły. Będziesz jedynie wychowawcą księżąt. Powinieneś mieć swobodę działania.

James - tak jak i pozostali członkowie rodziny - natychmiast pojął, że Księżę podejmuje jakąś grę. Umysł tak głęboki i skomplikowany jak umysł Aruthy przypominał w działaniu mistrza szachowego; Arutha planował posunięcia i przewidywał ich skutki na wiele ruchów naprzód.

James skinieniem dłoni wezwał Lockleara i bliźniaków, by poszli za nim - kiedy zaś cała czwórka znalazła się na korytarzu, powiedział krótko:

- Ruszamy jutro o świcie.

- Mieliśmy wyjechać dopiero za trzy dni - przypomniał mu Bornc.

- Owszem... oficjalnie - przyznał James. - Jeśli nasz keshkański przyjaciel ma tu kilku współników, wolałbym, żeby nie dowiedzieli się niczego o naszych planach.

- Spojrzał na Lockleara. - Mały oddziałek, dwie dziesiątki najlepszych gwardzistów, wszyscy na koniach. Odziani i uzbrojeni jak najemnicy. Dobierzcie najszybsze rumaki i poślijcie do Shamaty wiadomość, że będziemy potrzebować świeżych koni i zapasów dla dwustuosobowej eskorty.

- Hola! - odezwał się Locklear. - W Shamacie będziemy razem z posłańcem i tymi dwustu...

*- Nie jedziemy do Shamaty - uciąż były złodziejaszek. Chcemy tylko, by
myślano, że z całą powagą jedziemy do Shamaty. My tymczasem udamy się do
Stardock.*

41

ROZDZIAŁ 3 - STARDOCK

*Wokół liczącej dwa tuziny konnych grupki jeźdźców, jadących wolno
brzegiem Wielkiego Jeziora Gwiaździstego, wznosiły się tumany kurzu. Po upływie
półtora tygodnia intensywnej jazdy dotarli do Landreth leżącego na południe od
Kronodoru, na północnym brzegu Morza Snów. Dalej ruszyli Rzeką Gwiaździstą
która w tym miejscu wpływała do morza - i, podążając wbrew jej nurtom,
skierowali się na południe, wzdłuż stromych zboczy widocznych na horyzoncie Gór
Szarych, aż dotarli do żyznej Doliny Marzeń. Podczas trwających wiele lat wojen
granicznych pomiędzy Królestwem a Imperium tereny te niejednokrotnie prze:
chodziły z rąk do rąk. Ci, którzy tu mieszkali, z jednakową łatwością posługiwali się
mową północnego Królestwa, jak i południowego Imperium. Widok czternastu
uzbrojonych najemników nikogo szczególnie nie zainteresował. Dolina w swej
historii oglądała znacznie liczniejsze grupy zbrojnych.*

*Mniej więcej w połowie biegu rzeki, nieopodal niewielkiego wodospadu,
przebrnęli nurt i przedostali się na południowy brzeg. Dotarłszy do źródeł Rzeki
Gwiaździstej, która wypływała z jeziora o tej samej nazwie, ruszyli wzdłuż jego
brzegu na południe, szukając miejsca, z którego byłoby najbliżej do największej z
wysp, Stardock. Tam mieli znaleźć prom, którym zamierzali przeprowić się na
wyspę.*

Jadąc wzdłuż brzegu, minęli wiele małych wiosek, których mieszkańcy

zajmowali się uprawą roli lub rybactwem. Niejednokrotnie były to jedynie małe skupiska domostw lub osiedla rodzinne. Wszystkie jednak wyglądały na zadbane i dostatnie. Podczas ostatnich lat społeczność magów zamieszkujących Stardock znacznie się rozrosła i okoliczni wieśniacy nauczyli się czerpać niemałe profity z zaspokajania apetytów wyspiarzy.

Bornc dźgnął konia ostrogami i skierował ku małemu półwyspowi, z którego po raz pierwszy mogli dobrze przyjrzeć się wielkiemu budynkowi, wznoszącemu się na wyspie. Budowla lśniła w blasku słońca, choć nadciągająca noc zabarwiła horyzonty szarością i fioletem.

- Wujku Jimmy! Na wszystkich bogów i demony! Spójrz tylko na rozmiary tej chatupki!

James kiwnął tylko głową.

42

- Owszem, słyszałem, że budują tu coś w rodzaju Akademii Magów, ale żadne słowa nie oddają wrażenia, jakie wywiera to miejsce!

- Diuk Gardan odwiedził to miejsce przed wielu laty stwierdził Locklear. -

Mówił mi, że położono tu rozległe fundamenty pod budynek główny, ale to, co widzę, przerasta wszystko, czego mogłem się spodziewać.

- Jeśli się pospieszymy, dotrzemy na wyspę za dwie godziny - odezwał się

James, spoglądając na słońce. - Wolę ciepły posiłek i kąpiel niż kolejną noc na szlaku. - I ruszył przodem, trącąc ostrogami boki swego tumaka.

Zapadła jedna z tych rzadkich nocy, kiedy na niebie ukazywały się jednocześnie trzy miesiące. Podziwiając skrzęty się tysiącami gwiazd nieboskłon, podróżni przejechali przez naturalną bramę w łańcuchu niewysokich pagórków i

znaleźli się w wyglądającym na zamieszkałe przez zamożnych i przedsiębiorczych ludzi miasteczku. Nad wejściem do każdego kramu czy składu towarów płonęła latarnia lub pochodnia - na taki zaś zbytek nie mogli sobie nieraz pozwolić mieszkańcy znaczniejszych grodów. Po uliczkach biegali roześmiane i rozbawione dzieci, krzykami i ruchliwością powiększając ogólne zamieszanie. Ze strony żebraków i kobiet lekkich obyczajów padały prośby o wsparcie i (dyskretne!) propozycje kuszących usług, a szeroko otwarte wrota prowizorycznych tawern zapraszały zmęczonego wędrowca na chłodny napój, gorący posiłek oraz oferowały miłe towarzystwo.

- Nie spodziewałem się, że ci ludkowie okażą się tak przedsiębiorczy! Wyrosło tu spore miasteczko! - zawołał Locklear, usiłując przekrzyczeć wrzawę.

- O, tak, w istocie spore... - przytaknął James, rzucając okiem na otaczające ich zewsząd brud i tumult.

- Może powinniśmy spróbować szczęścia w jednym z tych małych zajazdów?

- odezwał się Borric.

- Nie - odparł James. - W Akademii z pewnością będziemy mogli się odświeżyć.

- I dostaniemy do picia słodkiego cienkusza - uśmiechnął się kwaśno Erland. -

Czegóż w końcu można się spodziewać po gromadzeniu starych pierników, spędzających żywot na myszowaniu po stosach zalatujących pleśnią manuskryptów?

James tylko potrząsnął głową. Dotarli właśnie do skrzyżowania dwu głównych uliczek miasteczka i skręcili w stronę jeziora. Jak się należało spodziewać,

postawiono tu długie molo, do którego zacumowano kilkanaście promów i barek, różnego typu i wielkości - wszystko dla wygody podróżnych, pragnących dostać się na wyspę. Pomimo dość późnej pory, tragarze nadal trudzili się układaniem na pokładach worków zboża - choć rozsądek podpowiadał, że mogliby tę robotę odłożyć do następnego ranka. James zatrzymał konia i zwrócił się do najbliższego dzierżawcy promu:

- Dobry wieczór. Pragniemy dostać się do Stardock.

Gdy nieznajomy odwrócił się ku nim, ujrzeli twarz, w której dominował potężny nos i włosy opadające na oczy.

- Milordzie, jeśli wola, mogę zrobić jeszcze jeden szybki kurs. Pięć miedziaków od głowy, ale konie trzeba wam będzie zostawić tutaj.

- A co powiesz na propozycję dziesięciu sztuk złota za nas wszystkich, z końmi włącznie? - uśmiechnął się James.

- Żadnych targów-uciął rozmówca i wrócił do swej pracy. Borric brzęknął tkwiącym w pochwie mieczem i udając gniew, powiedział:

- Hola, zuchwalcze! Odwracasz się do nas plecami? Nieznajomy ponownie spojrzął na nich przez ramię. W łagodnej parodii pełnego szacunku pozdrowienia dotknął czoła dłonią i rzekł z niezbyt starannie ukrywaną drwiną w głosie:

- Wasza Młoda Miłość raczy wybaczyć, ale nie chciałem was urazić.

Borric już zamierzał odpowiedzieć tak, iżby arogantowi w pięty poszło,

James jednak w tejże samej chwili dotknął jego ramienia i wskazał siedzącego nieco w głębi człowieka. Oświetlony migotliwym blaskiem pochodni, odziany w prostą szatę z samodziału, młodzieniec spokojnie przyglądał się sprzeczce.

- Co to za jeden? - spytał księżę. - Miejscowy stróż prawa, jak sądzę.

- On? Wygląda mi bardziej na żebraka lub mnicha niż na człeka orężnego.

- Rację macie, panie - przytaknął przewoźnik. - To nasz Strażnik Pokoju. -

Niewolnik (bo słowo właściciel byłoby chyba nie na miejscu) potężnego nochala nieoczekiwanie uśmiechnął się do barona Jamesa. - Nie brak wam obycia w świecie,

panie. W istocie, nie. To jeden z mieszkających na wyspie magów. Zarządzająca

Akademią Rada woli, by w Stardock panował spokój, zapewnili nam więc ochronę.

On nie ma miecza, młody panie - zwrócił się do Borrika - ale jednym machnięciem dłoni może ogłuszyć równie skutecznie, jakby walnął obuchem topora. Wierzcie mi,

panie, sam się o tym przekonałem.. . a nie było to doświadczenie, które chciałbym

powtórzyć. - Głos przewoźnika zniżył się niemal do szeptu: - Albo i gorzej, potrafi

44

sprowadzić na was takie swędzenie skóry, że wolelibyście zdechnąć... - Wracając do

poprzedniego tematu, przemówił głośniejszym głosem: - Jeśli zaś mowa o opłatach, chętnie bym

was zabawił łgarstwami o tym, jak to pozbawiacie środków do życia moje liczne

działki, ale w rzeczy samej to Akademia ustaliła wysokości stawek. - Podrapał się

po brodzie. - Myślę, że możecie potargować się z tym tam... młodym magiem, ale

powie wam chyba to samo. Zresztą, jeśli weźmie się pod uwagę koszta własne i ruch

w interesie, to zarobki są nie najgorsze...

- Gdzie znajdziemy stajnie? - spytał James, a w tejże samej chwili przez tłum

przepchnęło się kilku brzdąców, którzy ofiarowali się z pomocą.

- Niech chłopaki zabiorą nasze wierzchowce do czystej stajni - kiwnął głową

baron i zeskoczył z siodła. Inni jeźdźcy poszli za jego przykładem. Małe rączki

wyjęły cugle z dłoni Jamesa, inni ulicznicy obsłużyli resztę towarzystwa. - Niechże

więc tak będzie - zgodził się baron. - Ale zadbajcie o to, by naszym koniom dostały

się czyste żłoby, świeża pasza i woda, a kowal niech obejrzy ich podkowy!

Przerwał, ponieważ kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się

błyskawicznie, sięgnął dłonią i poderwał w górę małego urwisa, kryjącego się za

koniem Borrika. -Oddaj to, mały -powiedział z pogrózką w głosie. Ulicznik

wybuchnął wrzaskiem oburzenia, James jednak potrząsnął nim tylko w powietrzu i

złodziejaszek, zorientowawszy się, że trafił na lepszego od siebie, przemyślał szybko

sprawę i oddał Borrikowi jego sakiewkę. Bornc otworzył usta, zamknął je, obmacał

się dokładnie i wziął sakiewkę.

James postawił chłopca na ziemi (nie rozluźniając jednak chwytu za koszulę)

i pochylił się, aż jego źrenice znalazły się na jednym poziomie z oczami

początkującego rzezimieszka. - Wierzaj mi, chłopcze, że zanim osiągnąłem połowę

twego wzrostu, wiedziałem o złodziejskim fachu dwakroć więcej, niż ty

kiedykolwiek się dowiesz. - Chłopak, przerażony złapaniem go na gorącym

uczynku, kiwnął jedynie głową. - Zaufaj więc sądowi znawcy... brak ci do tego

smykałki. Jeśli nie zrezygnujesz, zadyndasz gdzieś na belce, zanim skończysz

dwanaście lat. Weź się do jakiegoś uczciwego zajęcia. Teraz zresztą, jeśli zginie nam

coś przed wyjazdem, będę wiedział, kogo mam szukać, prawda? Chłopak znów

kiwnął głową.

James przez chwile obserwował, jak uwolniony przezeń łobuziak wieje,

potem odwrócił się ku przewoźnikowi.

- Zatem dwudziestu czterech pieszych na wyspę.

45

Tę właśnie chwilę wybrał młody mag na wypytanie gości.

- Niezbyt często Akademię odwiedzają uzbrojeni mężowie - powiedział. -

Mogę spytać, co was tu sprowadza?

- I owszem - odpowiedział James. - Ale naszych odpowiedzi wysłucha ktoś inny. Jeśli koniecznie musisz coś zrobić, to prześlij wieść mistrzowi Pugowi, że przybyli jego starzy znajomi.

Młody mag podniósł tylko jedną brew. - I kogóż mam mu oznajmić?

- Powiedz mu - uśmiechnął się James - że przybył złodziejaszek Jimmy z Kronodoru i - tu spojrzał na bliźniaków niektórzy z jego krewniaków.

Gdy prom z lekkim wstrząsem przybił do brzegu wyspy, na wędrowców czekała już kilkusobowa grupka witających. Molo było chyba jedynym miejscem, przez które można się było dostać do prawdopodobnie najdziwniejszej społeczności na całej Midkemii - Akademii Magów. Jak umówiono się na brzegu, tragarze pomogli żołnierzom, z których wielu po raz pierwszy znalazło się na pokładzie płaskodennego promu. Latarnie na molo oświetlały grupkę, która wyszła gościom na spotkanie.

Pośrodku stał niewysoki mężczyzna w średnim wieku, odziany w czarny habit i sandały. Przy jego prawym boku stanęła ciemnoskóra kobieta o uderzającej urodzie i szarych jak stal włosach. Z lewej przystanął starszy już mężczyzna w luźnym habicie - za jego ramieniem ustawił się rostry mąż w łowieckiej skórzanej kurtce i ciasno opinających uda spodniach. Z tyłu widoczni byli dwaj młodszy nieco, odziani w habity i czekający cierpliwie ludzie.

Gdy James i książęcy bracia zeszli z pokładu promu, stojący pośrodku nieznajomy postąpił ku przodowi i lekko pochylił głowę w ukłonie.

- Pozwólcie waszmościowie, zaszczyt to dla nas... Witamy w Stardock! - zakończył niezbyt kwieciste powitanie.

Borric i Erland, postąpiwszy krok do przodu, wyciągnęli dłonie i wymienili z witającym mniej formalne uściski. Choć urodzili się jako książęta i niełatwo ich było speszyć, wiedzieli, że stanęli oto przed człowiekiem, którego przygody stały się osnową wielu legend i zdumiewających opowieści.

- Kuzynie Pug... - odezwał się Borric. - Dziękujemy, żeś zechciał nas powitać.

Mag się uśmiechnął i na twarzach jego towarzyszy również pojawiły się przyjazne uśmiechy. Pug widział prawie cztery tuziny wiosen, wyglądał jednak najwyżej na trzydziestolatka. Orzechowe oczy maga promieniowały ciepłem i

46

serdecznością, a jego jemna broda nie była w stanie ukryć chłopięcego uśmiechu. Ta młoda twarz nie mogła należeć do człowieka, o którym powiadano, że jest najpotężniejszą osobistością na świecie.

Szybka wymiana pozdrowień z Erlandem i do maga zbliżył się iames.

- Lordzie Pug... - zaczął.

- Ejże! Wystarczy Pug. - Mag znów się uśmiechnął. Rzadko używamy tytułów w naszej małej społeczności. Król Lyam zamierzał wprawdzie uczynić Stardock niewielkim księstwem i obdarować mnie związany z tym tytułem... my tu o jednak rzadko myślimy o nas w tych kategoriach. - Wziął Jamesa pod ramię. - No, chodźże... pamiętasz moją żonę?

James schylił się - podobnie jak jego towarzysze - i ujął w dłoń szczupłą rękę kobiety. Przyglądając się jej z bliska, zdumiał się, jak delikatne były jej rysy. Nie widział jej od siedmiu lat, wtedy jednak była krzepką, zdrową kobietą, zaczynającą czwartą dziesiątkę lat życia i miała opalone policzki oraz czarne niczym krucze skrzydło włosy. Teraz wyglądała na osobę o dobre dziesięć lat starszą od swego

męża.

- Pani... -pozdrowił ją, schylając się nad jej dłonią.

- Po prostu Katala. - Kobieta uśmiechnęła się promiennie i James zapomniał o jej wieku. - Jak się czuje nasz syn?

- Szczęśliwy, jak zawsze - uśmiechnął się szeroko James.

- Pełni teraz obowiązki dowódcy książęcej Straży Przybocznej. Robi karierę i myślę, że kiedy Valdis zrezygnuje ze służby, William oficjalnie przejmie jego stanowisko. Zaleca się też do kilku urodziwych panien - dwórek Księżnej Pani. Jest dobrym oficerem i myślę, że daleko zajdzie.

- Powinien był zostać tutaj! - zachnął się Pug. Ujrzawszy cień okrywający twarz małżonki, powiedział jednak: - Wiem, najdroższa... omawialiśmy to już wiele razy. Czy mogę przedstawić moich towarzyszy? - zwrócił się do obu książąt.

Bornc przytaknął kiwnięciem głowy, Pug od razu więc przeszedł do sprawy:

- Myślę, że obaj pamiętacie z dzieciństwa mistrza Kulgana, mojego nauczyciela. I imć Meechama, który dba o zapasy żywności dla naszej małej społeczności i załatwia tysiące innych spraw. - Obaj przedstawieni skłonili się, książęta zaś uściskali im dłonie. Stary mag - kiedyś przewodnik Puga, gdy ten stawiał pierwsze kroki na ścieżce, która zawiodła go ku najwyższym szczytom

47

wiedzy - postarzał się i poruszał z trudem, podpierając się laską i korzystając z pomocy towarzysza.

Meecham, który był mężem roslým, co się zowie, ale mocno posuniętym w latach, strofował starego maga niczym natrętna żona: - Powinieneś był zostać w swojej komnacie...

Kulgan odsunął pomocną dłoń Meechama, miejsce zaś Borika przed starym mistrzem zajął Erland.

- Meechamie, jestem stary, ale jeszcze nie umieram. Włosy starca przypominały bielą pierwszy zimowy śnieg, a jego policzki było poorane zmarszczkami i pociemniałe ze starości. Błękitne oczy Kulgana były jednak bystre i jasne. - Wasza Miłość... - powitał Erlanda.

Księżę odpowiedział mu uśmiechem. Za czasów dzieciństwa wizyty Kulgana sprawiały im niekłamaną radość, ponieważ wiekowy mag zabawiał ich opowiadaniem niezwykłych historii, które ilustrował prostymi magicznymi sztuczkami. - Wuju Kulganie, przybyliśmy tu z wizytą... raczej nieformalną. Ale radzi jesteśmy, że cię widzimy w dobrym zdrowiu. Stęskniliśmy się za tobą. James nie znał dwu młodszych ludzi, stojących za Pugiem. - Oto przywódcy naszej społeczności -przedstawił ich Pug - którzy jako jedni z pierwszych zjawili się, by studiować Wyższą Drogę. Teraz uczą innych. Oto mistrz Korsch. - Pierwszy z nieznanym, wysoki i łysy niczym kolano, skłonił się przed księżętami. Miał jasne oczy, które żywo kontrastowały z jego ciemną cerą i nosił złote nausznicę, które zwisały mu aż do ramion.

Drugi z nieznanym wyglądał niemal jak bliźniaczy brat pierwszego - tyle że pysznił się smoliście czarną, kędzierzawą brodą.

- A oto i jego brat, Watume.

- Ale ja was tu zatrzymuję, wy zaś tymczasem jesteście pewnie zmęczeni podróżą - zakończył prezentację Pug. - Sądziłem, że przyłączy się do nas i nasza córka, Gamina, ona jednak o tej porze karmi dzieci i myślę, że coś ją zatrzymało. Wkrótce ją jednak spotkacie. Zajmijmy się waszymi kwaterami. Przenocujecie w

Akademii. Spóźniliście się na kolację, ale każę wam podać ciepły posiłek do pokojów.

Rankiem złożymy jeszcze kilka wizyt.

Goście i gospodarze ruszyli brzegiem ku miejscu, z którego mogli sięgnąć wzrokiem poza gigantyczną budowlę, która zdominowała całą wyspę. Główny gmach Akademii wznosił się na wysokość czterdziestu pięter, a smukłości dodawała

48

mu strzelista wieża, która sięgała kolejnych stu stóp ponad poziom dachu. Wokół wieży wity się zewnętrzne schody (bez balustrady), na jej szczycie zaś umieszczono niewielki taras. Z owego tarasu sphywała w dół niebieskawa poświata, cała zaś budowla wyglądała tak, jakby za moment miała się wzbić w powietrze - i niełatwo było skojarzyć ją sobie z kamieniami i zaprawą.

- Widok Wieży Prób na każdym wywieru spore wrażenie zauważył Pug. -

Tam właśnie wyznawcy Wyższej Drogi stają się mistrzami i pozostawiają za sobą lata terminowania.

Dwaj ciemnoskórzy bracia chrząknęli znacząco, Pug zaś się uśmiechnął.

- Niektórzy z nas nie podzielają moich poglądów na temat tego, ile można powiedzieć ludziom z zewnątrz.

Gdy obeszli budynek wieży, po drugiej jego stronie ujrzeli coś na kształt ruchliwego miasteczka. Było znacznie czystsze niż bliźniacze osiedle na wybrzeżu, ale nie ustępowało mu ruchliwością mieszkańców. Pomimo dość późnej pory wielu ludzi na ulicach zajmowało się swymi sprawami lub wykonywało zalecenia innych.

- Otóż i miasteczko Stardock - oznajmiła Katala nie bez dumy w głosie.

- Myślałem, że Stardock to gródek na wybrzeżu jeziora stwierdził Locklear.

- Tak go nazywają jego mieszkańcy - zgodził się Pug. Prawdziwe Stardock

leży jednak na wyspie. Tu mieszka wielu naszych braci i sióstr w Sztuce. Tu pozakładali swe rodziny. Zbudowaliśmy bezpieczną przystań dla wszystkich, których z rodzinnych stron wypędziły uprzedzenia lub nienawiść. - Skinieniem dłoni Pug zaprosił gości, by weszli za nim do głównego budynku przez wielkie podwójne wrota. Na skrzyżowaniu dwu wielkich naw większość członków grupy powitalnej pożegnała gości życząc im dobrej nocy. Pug poprowadził orszak księżąt dalej, ku szeregowi drzwi, które flankowały obie strony szerokiego korytarza. - Brak nam tu, jak się obawiam, prawdziwych wygód, cele są jednak suche, ciepłe i znajdziecie w nich wygodne łóża. Nie brak w nich basenów z wodą do mycia, jeśli zaś zostawicie na zewnątrz brudną odzież, ktoś zadba o to, by ją wyprać i połatać. Garderoba jest z drugiej strony korytarza. Teraz zechciejcie odpocząć, bo rankiem czeka nas długa rozmowa.

Gdy się oddalił, bliźniacy szybko zabrali się do kolacji, która czekała już w ich kwaterze. W korytarzu rozległ się gwar żołnierze zdejmowali oręż i elementy uzbrojenia podróznego, słysząc było chlupot wody i zgrzyt sztućców o talerze.

49

Wkrótce na korytarzu zostali tylko Locklear i James, który rozglądał się wokół, jak człowiek, który nie jest pewien tego, co widzi.

- Co cię gryzie, przyjacielu?

- Chyba... chyba nic, jak sądzę-wzruszył ramionami były złodziejaszek. -

Jestem tylko zmęczony... albo... - przypomniał sobie wrażenie, jakie wywarł na nim

widok wiekowego Kulgana i niezbyt zdrowy wygląd Katali. - Po prostu

spostrzegłem, że czas nie ze wszystkimi obchodzi się jednako łaskawie. -

Pomyślawszy jeszcze chwilę, odzyskał humor. - A może po prostu ścigają mnie

grzechy młodości. Niezbyt odpowiada mi perspektywa spędzenia nocy w

pomieszczeniu, które nie bez racji nazywa się celą.

Locklear zrozumiał i z lekkim uśmiechem życzył towarzyszowi dobrej nocy.

James przez chwilę jeszcze stał pośrodku pustego korytarza. Coś tu było nie tak.

Rozstrzygnięcie tego problemu pozostawił jednak na dzień następny. W tej chwili tęsknił jedynie za kolacją i kąpielą.

Obudził go śpiew ptaka za oknem. Jak to było w jego zwyczaju, młody baron

wstał jeszcze przed świtem. Ku swemu zaskoczeniu za progiem celi znalazł swoją

odzież wypraną i starannie złożoną. Niezbyt ucieszyła go myśl, że-choć sen miał nad

wyraz lekki i potrafił obudzić się, gdy szczur zakradał się do jego chlebaka-ktoś

zdołał otworzyć w nocy drzwi jego celi i wynieść przyodziewek. Włożył czystą

koszulę i spodnie, nie wdział jednak wysokich podróżnych skórzni. Od dzieciństwa

przywykł do biegania boso i członkowie służby pałacowej często żartowali, że jeśli

ktoś niespodzianie zajrzy do pracowni barona Jamesa, znajdzie jego buty pod

ścianą, baron zaś będzie ukrywał bose stopy pod biurkiem.

Bezgłośnie przeszedł do wyjścia. Pewien, że wszyscy jeszcze śpią, skradał się

nie z konieczności, ale z nawyku. Urodzony w krongorskiej dzielnicy biedoty, jako

dziecko parął się złodziejskim fachem i bezszelestne przenoszenie się z miejsca na

miejsce stało się jego drugą naturą.

Otworzywszy zewnętrzne odrzwia, wysunął się przez nie bezgłośnie i

zamknął je za sobą. Niebo - zwłaszcza wschodnia jego połać - zdążyło już pokryć się

szarością zwiastującą świt. Jedyne dźwiękami, jakie słyszał, było nawoływanie

się ptactwa i łoskot siekiery - ktoś rąbał drewno na poranną rozpałkę ognia w

kuchniach. James ruszył ku ścieżce wiodącej w stronę osiedla.

rybaka uporali się ze swym zajęciem. Po przejściu dalszych stu kroków James

50

spostrzegł, że ścieżka się rozwidła jedna jej odnoga skręcała ku wiosce, podczas gdy druga, węższa, prowadziła nad jezioro. James nie miał wielkiej ochoty na poranne pogawędki z kmiotkami, skręcił więc ku wodzie. W półmroku nie dostrzegł odzianego w czarny habit człowieka, dopóki niemal nań nie wpadł. Spod kaptura błysnęła ku niemu w uśmiechu biel zębów Puga.

- To moja ulubiona pora dnia. - Mag wskazał dłonią na wschód.

- Myślałem, że nikt nie wstaje wcześniej ode mnie - usprawiedliwił się James.

Pug nie odrywał spojrzenia od odległej linii horyzontu. - Nie... ja również sypiam niewiele...

- Nie widać tego po tobie. Wyglądasz chyba dokładnie tak samo, jak w dniu, kiedyśmy się żegnali przed siedmiu laty.

- Owszem - kiwnął głową Pug. - Właśnie zaczynam się dowiadywać niektórych prawd o sobie samym, Jimmy. Kiedy wdziewałem szaty czarodzieja... - umilkł na chwilę. - Nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji, by tak naprawdę szczerze ze sobą porozmawiać. . .

Jimmy potrząsnął głową.

- Nie, w istocie nigdy nie rozmawialiśmy o czymś poważniejszym... jeśli w rzeczy samej to właśnie masz na myśli. Choć

Nie oznacza to, że nasze ścieżki nigdy przedtem się nie przecinały.

Spotkaliśmy się na ślubie Anity i Aruthy - mówiąc to, splótł palce. - Potem

widzieliśmy się po bitwie pod Sethanonem. Obaj spojrzeli na siebie. O tym niemal kosmicznych rozmiarów pokoju wystarczyło wspomnieć, by obaj zrozumieli się bez słów. No i potem jeszcze dwukrotnie spotkaliśmy się w Kondorze.

Pug spojrzął na wschód, gdzie niebo zaczynało właśnie powlekać się nikłą ezerwienią-pierwszą oznaką nadciągającego brzasku. - Dzieciństwo spędziłem w

Crydee. Byłem zwykłym synem

wieśniaka z Zachodniego Wybrzeża. Wraz z przybranymi rodzicami

pracowałem w kuchni i marzyłem, że kiedyś zostanę żołnierzem. - Powiedziawszy

to, największy z magów Midkemii umilkł na chwilę.

James czekał cierpliwie. Nie miał szczególnej ochoty na opowiadanie o swojej

przeszłości, ponieważ była aż za dobrze znana każdemu ze znaczniejszych

Krondorczyków i wszystkim mieszkańcom pałacu.

- Ja byłem złodziejem.

51

- Jimmy Rączka - przyznał Pug. - Owszem. . . ale jaki był z ciebie chłopiec?

Jimmy przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Zuchwalec - oto pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl. - Patrzył

przed siebie i obserwował narodziny nowego dnia. Przez kilka chwil żaden z nich się

nie odzywał, dopóki obaj nie spostrzegli pierwszych słonecznych grotów,

przeszywających chmury na zachodniej połaci nieba. Zza horyzontu zaczął

wyłaniać się gorejący dysk słońca. - Niekiedy bywałem też głupi dodał wreszcie

James. - Nie miałem pojęcia, że istnieją granice tego, na co mogę się porwać.

Ufałem - nie! nie miałem żadnych wątpliwości - że mogę do woli zajmować się

złodziejstwem, aż kiedyś wreszcie podjąłbym ryzyko o włos za wielkie. Dziś pewnie

byłbym już zapomnianym wisielcem.

- Zuchwalec. . . - powtórzył Pug. - I niekiedy głupiec. Nie za bardzo różniłeś się od książąt.

- Nie za bardzo... -uśmiechnął się James. -- Cóż dalej?

James pozwolił sobie na chwilę namysłu. Potem odpowiedział bez odrobiny fałszywej skromności:

- Chwat był ze mnie nie lada, .. można by rzec, że los obdarował mnie wyjątkową bystrością. Niekiedy zdarzało się, że dostrzegam pewne prawidłowości tam, gdzie inni widzieli tylko chaos i nieład - co mocno ich ogłupiało. Mnie wtedy świat wydawał się jasny i prosty. I wiesz co? Nie jestem pewien, czy teraz, kiedy już dorosłem, widzę go właściwie.

Pug kiwnął dłonią, zapraszając towarzysza do przechadzki ku brzegowi jeziora.

- Kiedy byłem chłopcem - powiedział - moje najskromniejsze ówczesne ambicje wydawały mi się wspaniałe i nieosiągalne. Teraz zaś... '

- Coś cię trapi - odgadł James.

- Ty być może określiłbyś to inaczej - odparł Pug. Odwróciwszy się ku magowi, James odkrył, że oblicze Puga przybrało nieodgadniony wyraz. -

Opowiedz mi coś o zamachu na życie Borrika. - Byłeś przy tym.

- Szybko się to rozniosło - mruknął James.

- Zawsze tak było, Niepokoi nas każdy ewentualny konflikt pomiędzy Imperium i Królestwem.

- Mogę to zrozumieć, biorąc pod uwagę wasze położenie. Jesteście oknem otworzonym na Imperium. - Wskazał dłonią południe i niezbyt odległą granicę.

Opowiedziawszy Pugowi wszystko, co było mu wiadome o napaści na książąt, zakończył relację słowami: - Nie sposób wątpić, że morderca pochodził z Keshu, ale wszystkie ślady, wskazujące, że źródło zamachu należałoby szukać wśród członków rodu królewskiego., są aż zbyt czytelne. Myślę, że ktoś usiłuje nas wykorzystać... - odwrócił się i spojrzał ku wysokiemu budynkowi Akademii. Macie tu mieszkańców Kesh.

Pug kiwnął głową.

- Mamy tu też ludzi z Roldem, Szczytów Quor, Queg i innych miejsc...

Niewielką przywiązujemy tu wagę do kwestii narodowości. Interesują nas sprawy... jakby tu rzec... innego rodzaju.

- Ale ci dwaj, których spotkaliśmy wczoraj wieczorem... - Watume i Korsch - owszem, są Keshanami. Pochodzą z samej stolicy Imperium. - Zanim James zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, Pug dodał dość kategorycznym tonem: - Nie są agentami Imperium. Wiedziałbym o tym, gdyby tak było. Zaufaj mi. Ich w ogóle nie interesuje polityka. W rzeczy samej, bardziej niż ktokolwiek inny pragną separacji Stardock od reszty świata.

James odwrócił się i ponownie spojrzał ku przytłaczającemu swoim ogromem masywowi budynkowi Akademii.

- To ziemie królestwa, przynajmniej formalnie. Wielu wpływowych ludzi zastanawia się, co tu zbudowaliście. Niejeden dworak uważa, że wasza instytucja jest... nieprzewidywalna.

- I niebezpieczna - dodał Pug. James odwrócił się, by spojrzeć w twarz maga.

-Dlatego właśnie z uporem pracuję nad tym, by powstrzymać Akademię od udziału

w konfliktach. Magowie nie staną po żadnej ze stron.

James przez chwilę rozmyślał nad słowami maga.

- Niewielu spośród arystokratów ma tak otwarte umysły, jak Król i jego brat, i nie wszyscy - jak oni - godzą się z istnieniem magii. W końcu wyrastali przy Kulganie. Ale inni...

- Nadal chętnie wyrzucaliby nas z miast, wieszali lub palili na stosach - zakończył Pug. - Jestem tego świadom. Pracujemy tu już od dwudziestu lat i wiele rzeczy uległo zmianie... ale też i niewiele się zmieniło.

W końcu James zadał pytanie, nurtujące go od początku rozmowy:

- Pug... wyczuwam w tobie coś dziwnego. Odkryłem to wczoraj wieczorem.

Co się z tobą dzieje?

53

Pug spojrzał na Jamesa zwięzonymi oczami.

- Dziwne, że właśnie ty to spostrzegłeś, podczas gdy ludzie, którzy są mi bliscy, niczego nie podejrzewają. - Dotarli właśnie do brzegu jeziora. Pug wyciągnął ramię. Wśród trzciny na płyciźnie uwijały śnieżnobiałe czaple. - Piękne stworzenia... nieprawdaż?

- Owszem... całe to miejsce jest niezwykle.

- Wygadało inaczej, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy - odparł Pug. --

Legendy utrzymują, że jezioro powstało w wyniku upadku gwiazdy - stąd jego nazwa. Ale ta wyspa nie jest ochłodzonym sercem gwiazdy, które według moich obliczeń nie mogło być większe niż piłka, w którą grywałeś z takim zapalem. Myślę że gwiazda skruszyła w tym miejscu pokrywą globu i z głębi wydobyła się lawa, z której powstała ta wyspa. Kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, była skalista i

jałowa. .. ot, nad wodą rośło trochę trawy i kilka krzewów. To ja sprowadziłem wszystko, co tu widzisz; delikatne rośliny, drzewa i zwierzęta. - Mag się uśmiechnął i nieoczekiwanie wiek zniknął jakby z jego twarzy. Ptaki trafiły tu same... James przyjrzał się gajom drzew i łąkom soczystej trawy. - Dokonałeś nie lada wyczynu.

Pug machnął dłonią, jakby gratulowano mu sztuczki godnej ulicznego kuglarza.

- Czy wybuchnie wojna?

James westchnął ledwie słyszalnie. W dźwięku tym można było podechwycić nutki rezygnacji.

- Oto jest pytanie, nieprawdaż?- rzekł retorycznie. -Nie, nie tak... Zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna. Pytanie tylko kiedy i pomiędzy jakimi narodami. Jeśli miałbym coś do powiedzenia w kwestii, czynna wybuchnąć wojna pomiędzy Królestwem a Imperium Kesh, to zrobiłbym wszystko, żeby tak się nie stało... przynajmniej nie za mojego życia. Ale... najpewniej nie mnie o tym wyrokować.

- Prowadzisz ryzykowną grę...

- Nie po raz pierwszy w życiu. Gdybym mógł, nie wplątywałbym w nią młodych książąt.

Pug ruszył ścieżką wzdłuż brzegu.

- Są synami swego ojca - zauważył. - Muszą podążać za głosem obowiązku.

Nawet jeśli oznacza to wielkie ryzyko i mizerne korzyści.

54

James mógł jedynie przytaknąć skinieniem głowy. - Taki przypadek im los... i nic na to nie poradzimy.

- Cóż, bywają jednak chwile wytchnienia, takie jak ta dorzucił Pug.--Zajrzyj

choćby tam. - Skinieniem dłoni wskazał niewielką kępę przybrzeżnych wierzb. -

Znajdziesz za nią małą zatoczkę bogatą w gorące źródła. Niezwykłe orzeźwiająca to doświadczenie. Wygrzej się w gorącej wodzie, potem daj nura w jezioro. Odzyskasz wigor i zdążysz w samą porę na śniadanie.

James skwitował propozycję uśmiechem.

- Dziękuję, wydaje się, że tego właśnie było mi trzeba. Przywykłem do zaczynania dnia od pracy, a potem tykałem coś na chybcika. Z chęcią - na jakąś godzinę - oddam się porannemu lenistwu.

Pug ruszył w stronę osiedla, ale po przejściu kilku kroków odwrócił się i rzekł:

- Zachowaj jednak ostrożność, pływając wśród nabrzeżnych traw. Łatwo tam stracić orientację i zablądzić. Wiatr pochyla je ku wyspie. .. jeśli się więc zgubisz, płyn z nimi, aż odzyskasz grunt pod nogami. I wyjdź na brzeg.

- Dziękuję, będę uważał. Do śniadania zatem.

Pug ruszył ku Akademii, James zaś skierował się ku kępie drzew, którą pokazał mu mag.

Przeszedłszy pomiędzy pniami i odsunąwszy na bok zwisające niczym kurtyna gałęzie, James odnalazł za nimi wąską ścieżkę, która zawiodła go do małej zatoczki na brzegu jeziora. Zbliżając się do niej, z daleka już widział wzbijające się nad wodami kłęby pary. Ostrożnie przyjrzał się niewielkiej sadzawce, do której wody najwyraźniej dopływały z głębi ziemi, para bowiem biła właśnie z tego miejsca. Źródło musiało być obfite, ponieważ ze stawu wypływał niewielki strumyk, uchodzący wprost do jeziora. Do brzegu rozległych wód było nie więcej niż dwie

dziesiątki stóp. James rozejrzał się dookoła. Drzewa i zarośla oddzielały sadzawkę od reszty wyspy, zapewniając dyskretne odosobnienie. Zdjął koszulę i spodnie i zbadał stopą temperaturę wody. Była wyższa niż ta, którą zamawiał do kąpieli! Zanurzył się w toni i, pozwalając się ogarnąć poczuciu miłego rozleniwienia, rozluźnił mięśnie.

Rozluźnił mięśnie? Zaraz... Niedawno się przecież obudził. Dlaczego miałby odczuwać napięcie? Sam też sobie odpowiedział. Ponieważ wielce ryzykowne jest wplątywanie dwu chłopców w rozgrywki polityczne imperialnego dworu starszego

55

niż cały ród conDoin. Westchnął mimo woli. Pug był dziwakiem, ale mądrym i potężnym. Został kiedyś adoptowany i w związku z tym należał do krewnych Księcia i Księżnej. Być może trzeba by poprosić go o opinię. Po chwili jednak zmienił zdanie. Owszem, nie da się przecenić zasług Puga w uratowaniu Królestwa w niezbyt odległej przeszłości, było jednak coś dziwnego i w Stardock, i w sposobie prowadzenia całej Akademii. James postanowił, że zanim zasięgnie rady maga, musi się dowiedzieć, co w trawie piszczy.

Bogowie! Jakże nie cierpię porannego zmęczenia, pomyślał. Wyciągnął się najwygodniej, jak tylko mógł, i zaczął rozważać w myślach każdy problem.

Rozleniwiające ciepło sączyło się powoli w jego kości i James poczuł się rozluźniony jak Moredhel przez elfiego łuczника. Po chwili jego umysł uleciał pod niebiosa.

Zamknął oczy i zaczął przywoływać odległe wspomnienia... Był chyba wtedy trzylatkiem. Matka wciągnęła go do swej chatki. Uprawiała w niej - o czym Jimmy nie miał wtedy pojęcia najstarszy zawód świata. Po ulicach myszkowali łowcy niewolników. Jimmy pamiętał, że matka zatkała mu dłońią buzię, by płaczem nie

zdradził kryjówki. Potem go opuściła. Później, po kilku latach zrozumiał, że wtedy ją zabito. Wszystko jednak, co zdołał zapamiętać z owej nocy, to władczy głos rosnącego mężczyzny, który krzyczał na jego matkę, domagając się odpowiedzi, odgłosy uderzeń i czerwień, która pojawiła się wszędzie dookoła.

Osuwając się w ciepłe objęcia wody, James odesłał precz paskudne wspomnienia. Wkrótce zaczął drzemać.

Ocknął się, nie wykonując żadnego ruchu. Spojrzawszy na słońce, osądził, że jego drzemka trwała około dziesięciu minut w najlepszym wypadku pół godziny.

Ranek był cichy i spokojny, coś go jednak zaniepokoiło. Baron wyrósł już z dziecięcego nawyku zrywania się ze snu ze sztyletem w dłoni - co niekiedy przyprawiało o palpację serca niektóre z pałacowych panien służących-nadal jednak nóż trzymał zawsze pod ręką. Otworzył ostrożnie oczy i rozejrzał się po najbliższym otoczeniu, nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Odwrócił głowę i przyjrzał się brzegowi sadzawki - i znów nie zobaczył niczego, co mogłoby usprawiedliwić jego niepokój. Czując się coraz bardziej głupio, powoli uniósł się na łokciach - cóż mogło mu grozić tutaj, na wyspie Stardock?

Uniósłszy głowę, nadal nie dostrzegł niczego, co mogłoby wytłumaczyć jego niepokój. Było w tym miejscu jednak coś dziwnego, czego nie umiał określić. Czuł się trochę tak, jakby wkroczył do komnaty, którą ktoś opuścił tuż przed jego wejściem:

56

nie wiedział, skąd bierze się jego przekonanie, był jednak pewien, że przed chwilą ktoś umknął mu z pola widzenia.

Wyszkolony wśród miejskich zaułków instynkt podpowiadał mu czającą się gdzieś czyjąś obecność - uczuciu temu zbyt często zawdzięczał życie, by je teraz

lekceważyć. A jednak nie wyczuwał tu niebezpieczeństwa, lecz tylko podniecenie.

Przed wieloma laty James nauczył się dyscypliny tych, co żyli w mroku nocy-kazała mu ona teraz pozostać w bezruchu i skupić swe zmysły na otoczeniu, dopóki jakiś nagły ruch nie sprowokuje go do reakcji. Młody baron odetchnął głęboko i legł w wodzie bez ruchu. Spod przymkniętych powiek zaczął ostrożnie badać wzrokiem brzeg sadzawki i odkrył, że owo dziwne uczucie czyjejs niedawnej obecności znikło. Mała zatoczka wyglądała zupełnie niewinnie.

Ponownie legł w wodzie i pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni, nie mógł się jednak uspokoić. Odczuwał rosnące podniecenie - jakby nadchodziła jakaś wspaniała i piękna chwila pomieszane z odrobiną smutku. Oto coś cudownego przemknęło nieopodal, on zaś tego nie zauważył. Przepętniały go dziwne przeczucia - oszołomiony młody baron poczuł, że po policzkach spływają mu dziecięce łzy.

Nie znajdując wytłumaczenia dla swojej wewnętrznej rozterki, wstał, wyskoczył z sadzawki i z dzikimi okrzykami pobiegł ku jezioru - jak mały chłopiec usiłując rozładować frustrację. Dobięł do brzegu, dał nura i zniknął pod wodą, rozbryzgując pianę. Gdy chłód fal orzeźwił go jak chłaśnięcie batem, James jęknął radośnie i poczuł ogromną ulgę.

Nie był świetnym pływakiem, ale potrafił cieszyć się wodą, kiedy nadarzały się okazje. Większość dzieciaków z krondorskiej dzielnicy biedoty szukała podczas letnich upałów ochłody w wodach portu. Skakano z pomostów wprost w pełne odpadków i słone fale. Poczucie świeżości ciała obmywanego czystą wodą poznał dopiero jako nastolatek.

Powoli i leniwie, rozkoszując się świadomością mocy zdrowego ciała, płynął ku jezioru. Zatoczkę zamykały trzciny, wśród których pełno było wąskich

przesmyków wiodących na otwarte wody. Trochę płynąc, trochę brodząc, przedarł się na drugą stronę i stanął przed barierą z gęstwiny niskich, podwodnych traw.

Nie rosły jednak zbitą ławą i pozwalały dostrzec brzeg. James odwrócił się na grzbiet i zaczął leniwie uderzać wodę stopami. Nad nim rozpiniała się kopuła błękitu - słońce już wstało i ranek był naprawdę piękny. Białe pierzaste chmurki spieszyły, by zająć się swoimi sprawami. Po chwili wokół Jamesa pojawiły się łodygi

57

wysokich trzcin-poczuł też ich szorstkie muśnięcia na grzbiecie i po bokach. Po kilku minutach takiego pływania odwrócił się na wodzie i uniósłszy nieco tułów, rozejrzał dookoła.

Otoczenie wyglądało inaczej i nie bardzo wiedział, gdzie leży wybrzeże.

Spokojny z natury James szybko odkrył, że pływanie pośród trzcin nadzwyczaj skutecznie prowadzi do utraty orientacji w terenie, ale przypomniał sobie, co Pug mówił mu o sposobie

odnalezienia drogi powrotnej. Trzciny pochylały się w lewo. Powinien po prostu popłynąć w tę stronę, poczekać, aż poczuje grunt pod stopami, i wyjść na brzeg.

W rzeczy samej, po minucie poczuł stopami przybrzeżny piasek. Brnąc wśród trawy i wysokich trzcin, skierował się ku widocznym już z wody drzewom. Był jeszcze zanurzony po piersi, więc nisko zwisające gałęzie pogrążały otoczenie w cieniu wzrokiem zaś sięgał na odległość zaledwie kilku stóp, a światło poranka zamieniało wszystko w plątanię nagich pasm mroku i oślepiającego błękitu w górze. Szedł po dnie, dopóki nie wynurzył się do pasa. Czuł się trochę niewyraźnie, paradując nago, ale w końcu nikogo tu nie było, od miejsca zaś, w którym zostawił

odzież, dzieliło go jedynie parę kroków.

Gdzieś nieopodal rozległ się gwizd ptaka i James pomyślał, że skrzydlaty łapserdak kpi sobie z jego nagości. Westchnąwszy ciężko, ruszył ku brzegowi, który - jeśliby sądzić po prześwitach pośród trzcin - był nie dalej niż o parę kroków. Kiedy jednak wynurzył się do kolan, stanął wobec nieprzebytej gęstwiny trzcin i nisko zwieszonych gałęzi, których sękate łapska sięgały mu do ramion. Ruszył więc w prawo, próbując znaleźć jakieś przejście, i poczuł, że dno znów się obniża. Kiedy ponownie zanurzył się po piersi, zaczął przeciskać się wśród gęstych i ostrych trzcin. Poruszał się powoli i z trudem udało mu się przebrnąć kilka kroków. Coraz bardziej też irytował się na samego siebie, ponieważ oczywiste było, że oddala się od miejsca, gdzie zostawił ubranie. Rzeczywiście... jak na niewinną wycieczkę pływaką przed śniadaniem, wpakował się w nielichą kabałę.

Gdy dotknął kolanami dna jeziora - z czego wywnioskował, że zbliża się do końca kanału, przez który się przedzierał rozsunał dzielące go od brzegu trzciny. I nagle ujrzał widok, którego w tym miejscu nigdy by się nie spodziewał. Na odległość wyciągniętej ręki miał przed sobą białą i delikatną skórę nagich pleców młodej kobiety. Ze swej pozycji zobaczył zresztą głównie dolną ich część. Pochylona nieco

58

ku przodowi dziewczyna wyciskała wodę z niezwykle jasnych włosów, które później beztrząsco odrzuciła na plecy. Czynność ta ukazywała Jamesowi wdzięk jej pośladków i bioder w niezwykle kuszącej perspektywie.

Młodemu baronowi zaparło dech w piersiach. Niedawne uczucie podniecenia i zaniepokojenia uderzyło weń ponownie z siłą młota. Poczul też zawstydenie swoim natręctwem - w końcu co on sam byłby sobie pomyślał, gdyby ona

wpakowała się do jego sadzawki? W jednej chwili zapragnął pozostać w bezruchu, oddalić się jak najszybciej, powiedzieć coś do nieznajomej, ukryć się choćby w piekle - i w sumie zastygł nieruchomo niczym wrośnięty w dno jeziora kolek.

I znów jego wypracowane w dzieciństwie odruchy pomogły mu przełamać myślowy zamęt i zatrzymały go na miejscu. Natychmiast też zaświtała mu inna myśl, która obudziła w jego lędźwiach gorącą falę podniecenia. Niewiele brakło, a byłby je wypowiedział głośno: Oto najpiękniejszy tyłeczek, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć!

Młoda kobieta natychmiast się odwróciła i podniosła dłonie do ust, jakby spłoszył ją nagły hałas. W tej krótkiej chwili James odkrył, że jej twarz i reszta ciała nie ustępowały urodą temu, co zobaczył do tej pory. Nieznajoma miała figurę gibką niczym tancerka, długą, smukłą szyję, kształtne ramiona, płaski brzuch i niewielkie, lecz kształtne piersi. Gdy odjęła dłonie od twarzy, zobaczył wysokie czoło, pięknie rzeźbione policzki i pełne wargi. Szeroko otwarte oczy boginki były błękitne niczym górskie lodowce. Wszystkie te spostrzeżenia poczynił w jednej sekundzie, ale zrozumiał, że rysy tej twarzyczki pozostaną w jego pamięci do końca życia. W mgnieniu oka pojął też, że młoda, stojąca przed nim kobieta, jest najpiękniejszym i najbardziej wstrząsającym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek zobaczył czy zobaczy. I nagle owe palące, patrzące nań oczy zwęziły się w gniewie, w jego zaś głowie wybuchnął piorun.

Runął na grzbiet, jakby powalił go cios młota, a okrzyk rozpaczony jemu samemu wydał się głuchy i daremny, gdy zanurzał się pod wodę. Mózg przeszyły mu sztylety bólu, jakiego doznaje chyba człek w agonii. Poczul jeszcze, że woda zalewa mu płuca i pogrążył się w mroku.

Unosił się oto w jakimś nierzeczywistym miejscu i błędził wśród wspomnień: bawiąc się na brukowanych ulicach, nigdy nie zaznał chwili trwogi. Obcy byli groźni, owszem, ale każdy nowy dzień przyprowadzał do matczynego domku przynajmniej jednego obcego. Każdego dnia chłopaka mijali hałaśliwi i niekiedy

59

wręcz przerażający mężczyźni - i niektórzy go po prostu ignorowali, inni zaś podejmowali próby zabawienia berbecia, poklepując go po główce lub przemawiając doń w dziwacznych językach.

Potem nadeszła noc, kiedy matka umarła i nie przyszedł doń nikt: człowiek o niedobrym uśmiešku usłyszał płacz chłopaka i uciekł. Jimmy zdołał jakoś wydostać się z chatki - jego dziecięce stópki głośno uderzały o klepisko, kiedy przelaził przez kałużę krwi.

Ponownie przeżywał walki z innymi chłopakami - o kawał kości czy kromkę chleba, które zostały na podłodze tawerny. Gryzł twarde ziarno, które wysypało się z dziurawych worków w porcie. Sączył resztki wina z niemal pustych butelek.

Niekiedy trafiała mu się jakaś moneta, ciśnięta przez litościwego przechodnia - wtedy raczył się gorącym plackiem. Zawsze zaś towarzyszyło mu uczucie głodu.

Kiedys głos z mroku pozbawiony twarzy zapytał go, czy jest przebiegły i cwany. Był przebiegły i cwany. Bardzo przebiegły i niezwykle cwany. Tak zaczęła się jego kariera wśród Szyderców.

Znów jego druhem było niebezpieczeństwo. Żadnych sprzymierzeńców, przyjaciół - jedynie wierność zasadom mogła ocalić Jimmy'ego Rączkę. Był jednak utalentowany; i nawet sprawiedliwy, onże - człek wyjęty spod Prawa, wybaczał drobne potknięcia chłopakowi, który zaczynał tak obiecująco, przynosząc

stowarzyszeniu zyski, jakich nikt przedtem nie przynosił w jego wieku.

Potem znów pojawił się człowiek z niedobrym uśmieszkiem. Jimmy miał wtedy dwanaście lat. To, co zrobił, nie miało niczego wspólnego z literackim wyobrażeniem dumnej i honorowej zemsty. Na poły pijanemu mordercy matki wsypał do kielicha wina truciznę, którą nabył wcześniej od pewnego handlarza. Nieznajomy o krzywym uśmieszku skonał z poczerniałą gębą, z wystającym ze spuchniętych warg językiem i wybalaszonymi ślepiami i nawet nie wiedział, dlaczego umiera. Młodociany morderca obserwował wszystko przez szczelinę w pułapie. Nie odczuwał tryumfu, wiedział jednak, że jego matka - gdziekolwiek jest poczuła się lepiej. Nawet nie znał jej imienia. Czuł, że powinien się rozplakać - nie wiedział jednak, jak to się robi. Płakał jedynie dwa... nie, mówiąc uczciwie, trzy razy w życiu. Kiedy zraniono Anitę i kiedy sądził, że mordercom udało się zabić Aruthę. Nie było się czego wstydzić - żal i rozpacz to uczucia, które przystoją każdemu. Ale był jeszcze jeden raz... w mrokach pieczary, gdzie czaił się skalny

60

wąż... wtedy, kiedy ocalił go książę Martin. Nigdy nikomu się nie przyznał, że odczuwał wtedy strach...

Potem pojawiły się inne wspomnienia - wszystkie miały jeden wspólny mianownik-jego niezwykle, niemal niesamowite zdolności w złodziejskim fachu. Odkrył, że los wymaga odeń więcej - i związał się z Księciem Kronodoru, pomagając mu ukryć się przed prześladowcami ścigającymi go z rozkazu Rodryka Szalonego. Na dachach i pośród nocy stoczył zdumiewający pojedynek z Nocnym Jastrzębiem - ratując życie Aruthy - choć wtedy o tym nie wiedział. Dwukrotnie podróżował na północ, brał udział w wielkich bitwach pod Armengarem i Sethanonem... aż

wreszcie, po pokonaniu Smoczej Sfory, na Midkemię wrócił upragniony pokój.

Teraz zaś był baronem Jamesem.

Przypomniawszy sobie swą służbę dla Aruthy, którą mu wynagrodzono,

wynosząc na dwór i dając miejsce przy Księżciu, tytuły...

pierwszy i następne... mianowanie kanclerzem Kronodoru... co sprawiło, że w

godnościach dworskich ustępował jedynie staremu Gardanowi. Wszystko splątało

się w korowód miłych wspomnień... jedynych, jakie udało mu się zebrać podczas

bujnego żywota. Widział liczne twarze, z którymi niekiedy mógł, a niekiedy nie

mógł, połączyć właściwe nazwiska. Złodzieje, mordercy, szlachta i ludzie z gminu.

Kobiety... Te wspomnienia sięgały daleko w jego przeszłość, bo wcześniej poznał

przyjemności, jakie może ofiarować mężczyźnie chętna mu kobieta - a młody,

obdarzony łaskami Księcia szlachcic miał liczne możliwości dokonywania

ośniewających podbojów. Zawsze jednak czegoś w tym wszystkim brakowało.

Czegoś... ważnego. Aż wreszcie natrafił na tę urzekająco piękną nagą dziewczynę,

brodzącą wśród trzciny na brzegu jeziora. Nigdy wcześniej choćby najbardziej

urodziwa panna nie zrobiła na nim tak piorunującego wrażenia.

I ta twarzyczka... jasnoblękitne oczy i usta, niczym płatki róży. Skupiona

twarz, spoglądająca w samą istotę jaźni Jimmy'ego. James rozjaśniał wewnętrznie

pod wpływem widoku baśniowo pięknego i magicznego, aż zapragnął zalać się

łzami. Przepętniła go ogromna radość pomieszana ze smutkiem i wreszcie, patrząc

w piękne oczy nieznajomej, załkał bezwstydnie. Oczy te zaglądały mu wprost w

duszę, widziały wszystko i nie mógł mieć przed nimi sekretów. I nie miał ich w

rzeczy samej! Przepadłem! - załkał... jak dziecko płacze po śmierci matki, jak

chłopiec płacze na widok młodej kobiety ginącej od bełtu z kuszy mordercy, jak

placze młodzieniec, kiedy jedyny człowiek, któremu nauczył się ufać, leży przed nim na marach... i jak mężczyzna wyplakuje swój ból, udrękę i strach, które nie odstępowały go na krok od czasów dzieciństwa...

Ocknął się na brzegu, nadal czując na wargach posmak swoich łez. Poderwał się i usiadł, osłaniając głowę dłońmi -jak dziecko, które obawia się nieuchronnego bicia. Był wciąż mokry i nagi. I usłyszał łagodny głos: - Ból przeminie.

Odwrócił się i jego okropna wewnętrzna udręka natychmiast się skończyła.

W odległości kilku stóp od niego siedziała na piasku młoda kobietata sama, którą zobaczył kilka-minut? godzin? - wcześniej. Objąwszy ramionami podciągnięte ku piersiom kolana, przyglądała mu się uważnie - tak samo naga, jak przedtem.

Nigdy wcześniej nie poczuł tak przemożnej chęci nagłej ucieczki. Żadne z jego niegdysiejszych doświadczeń z kobietami nie nauczyło go, jak uporać się z tak przerażającym widokiem, jak ta naga, siedząca na piasku, bezimienna piękność.

Jego oczy znów wypełniły się łzami.

- Kim jesteś? - wyszeptał. I nagle poczuł, że jego chęć pozostania przy tej kobiecie - choćby do końca życia - jest większa niż chęć ucieczki.

Dziewczyna podniosła się - jakby nieświadoma własnej nagości - i podeszła bliżej. Potem pochylila się i uklękła, aż jej twarz znalazła się naprzeciwko twarzy młodzieńca.

Jestem Gamina, James, wyszeptał głos w jego głowie. James poczuł ponownie tchnienie strachu.

- Mówisz do moich myśli! - zaprotestował.

- Owszem - odpowiedziała dziewczyna, używając głosu. - Musisz zrozumieć,

że umiem słuchać myśli i potrafię nimi przemawiać -przez chwilę jakby szukała właściwych pojęć. Te słowa są źle dobrane... Potrafię jednak odczytać twe myśli, chyba że zechcesz ukryć je przede mną.

Przez chwilę James usiłował uporządkować myśli, w czym nie pomagało mu uczucie - prawda, że coraz słabsze - bólu pod sklepieniem czaszki.

- Co... co mi się tam przytrafiło? - spytał, wskazując dłonią porośniętą trzciniami zatoczkę.

- Twoje myśli trochę mnie zaskoczyły i zareagowałam całkowicie odruchowo.

Jak się przekonałeś, nie jestem taka bezbronna...

James podniósł dłoń do głowy, wspominając ból, który niemal rozłupał mu czaszkę. - Nie... - To było wszystko, co mógł z siebie wydusić.

62

Dziewczyna wyciągnęła ku niemu dłoń i lekko musnęła nią jego policzek.

- Przepraszam. Nie zrobiłabym tego, gdybym cię znała. Mogę bardzo poważnie uszkodzić czyjś umysł. Nie wolno mi tak nadużywać mojego talentu.

James odkrył, że dotknięcie dziewczęcej dłoni jest jednocześnie rozkosznie przyjemne i okropnie niepokojące. Poczul dreszcz, który przeszył go od krtani po łądźwie.

- Kim jesteś? - zapytał, by ukryć jakoś swoje wzburzenie. Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie i James zapomniał o swoim skrępowaniu i strachu.

- Już ci to powiedziałam. Mam na imię Gamina, jestem córką Puga i Katali. -

Potem pochyliła się i łagodnie, ale nieustępliwie pocałowała go w usta. - Jestem tą, której szukałeś... a ty jesteś tym, na którego czekałam.

James poczuł ogarniający go płomień podniecenia, z którym przyszło

oszołomienie i obawa. Objęcia kobiet nie były dlań niczym nowym... teraz jednak poczuł się niczym żak kradnący swój pierwszy w życiu pocałunek. Niespodziewanie dla samego siebie wyszeptał słowa, o których myślał, że nikt nigdy nie usłyszy ich z jego ust:

- Boję się...

- Nie ma potrzeby - tchnęła ku niemu dziewczyna. Obejmując go mocno, znów zaszeptała wprost do jego myśli. Kiedy cię ogłuszyłam, wpadłeś do wody.

Utonąłbyś, gdybym

cię nie wyciągnęła. Ratowałam cię, a twój umysł otworzył się przed moim.

Gdybyś miał mój dar, poznałbyś mnie tak dobrze, jak ja poznałam ciebie, mój

Jimmy.

Jamesowi wydało się, że jego własny głos jest nikły i słabiutki. - Jak to się mogło...

- Tak po prostu-odpowiedziała Gamina. Cofnęła się lekko i otarła słone łzy z twarzy młodego mężczyzny. - Chodź, pozwól, że ci pokażę. - Przytulila go do piersi niczym małego chłopczyka, a gdy go obejmowała, przemówiła znów do jego serca: Już nigdy nie będziesz sam...

Siedzący obok siebie Borric i Erland napawali się obfitością dań podczas kolacji. Oprócz znanych im potraw, widzieli na stole sporo półmisków z przysmakami keshzańskim. Wraz z gośćmi biesiadowała rodzina Puga, a także Mechaam i Kulgan. Dwa miejsca - pomiędzy Katalą i Locklearem - były puste.

63

Borric żuł właśnie kęs pysznego sera i popijał winem, Erland zaś pytał: -

Kuzynie Pug, ilu właściwie ludzi mieszka tu obecnie? Pug dziobał sztucem jedzenie,

lecz nie jadł zbyt wiele.

Uśmiechnąwszy się do żony, odpowiedział:

- Na to pytanie najlepiej odpowie Katala, która zarządza naszą małą społecznością na co dzień.

- Na wyspie i na brzegu jeziora przebywa teraz blisko tysiąc rodzin - rzekła

Katala. - Na samej wyspie... - przerwała nagle. Wszyscy odwrócili się ku wejściu, pragnąc poznać przyczynę zamilknięcia Katali.

Drzwi wejściowe otworzyły się nagle i do sali wkroczył James, prowadzący młodą kobietę odzianą w prostą lawendowej barwy suknię ściśniętą w talii tęczowym pasem.

Bornc, Erland i Locklear wstali, dziewczyna podbiegła zaś do Puga i pocałowała go w policzek. Potem spojrzała w oczy Katali i przez chwilę obie milczały, jakby porozumiewając się bez słów. Oczy starszej wezbrały łzami i na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech.

Pug odwrócił się do Jamesa i spojrzał nań, jakby oczekiwał jakiejś deklaracji.

- Jimmy. .. - zaczął Locklear.

James odchrząknął uroczyście i zwróciwszy się do Puga, zaczął górnolotnie, jak chłopiec, który popisuje się przed gośćmi wyuczoną na pamięć lekcją.

- Wasza Lordowska Mość, mam, mam zaszczyt prosić o pozwolenie... prosić o rękę córki Waszej Lordowskiej Mości!

Bornc i Erland gapili się na Jamesa z niedowierzaniem, potem zaś, jakby kierowani jedną myślą, spojrzeli na Lockleara. Towarzysz pierwszych młodzieńczych figłów barona Jamesa i jego pierwszych miłostek siedział z dziwnym wyrazem twarzy, w którym oszołomienie szło o lepsze z rozbawieniem. Potrząsając

głową, zdołał wreszcie wybełkotać jedynie pełne wyrazu:

- O niech mnie piorun strzeli!

64

ROZDZIAŁ 4 - PROBLEMY I TROSKI

Boric potrząsnął głową.

- Co cię gryzie? - spytał Erland.

- O co pytałeś? - odpowiedział pytaniem na pytanie Erland.

Od kilku minut łazisz w koło i potrząsasz przecząco głową.

Spierasz się sam ze sobą, czy co?

Boric wydał dźwięk, który można by uznać za coś pośredniego pomiędzy westchnieniem a chrząknięciem.

- Martwię się o wujka Jimmy'ego.

Erland spojrział z ukosa na twarz brata. Wieczorne niebo powlekło się

czernią, ponieważ srodkowy z księżyców jeszcze nie wszedł. Parne powietrze

tchnęło - dla tych, co mieli ochotę znaleźć chętnych partnerów - obietnicą

romantycznej przygody. Obaj bliźniacy wyruszyli właśnie na jej poszukiwania. Gdy

skierowali się ku miejscu, gdzie zwykle cumowały promy, Erland nie wytrzymał:

- Jedną z twoich idiotycznych przywar jest zdolność do przejmowania się

losami tych, co potrafią niezgorzej sobie radzić... czego przykładem jest twoja

troska o takiego franta, jak wujek Jimmy.

- To właśnie mnie martwi - odparł Borric, zatrzymując się dla podkreślenia

efektu swoich słów. - Czy to nie on sam powiedział, że nie masz na świecie nic

głupszego od mężczyzny, który dostał sterczał? - powiedziawszy to, tknął

oskarżycielsko palcem w pierś Erlanda.

Erland wybuchnął śmiechem.

- I owszem - przyznał. - Dotyczy to wszystkich, z wyjątkiem jego samego.

Dopiero wtedy robi się naprawdę przebiegły.

- Ale tylko w tym, co się tyczy znalezienia ciepłej pochewki dla tej jego długachnej głowni. Co do reszty, jest równie gibki jak my wszyscy.

- My wszyscy, z wyjątkiem wujka Jimmy'ego.

- Nie inaczej! - zgodził się Borric. - Byłbym ostatnim, który temu zaprzeczy.

Obaj wiemy, że jego taran zburzył bramy niejednej twierdzy. Nigdy jednak nie związał się z żadną kobietą na stałe i nie ezynił idiotycznych obietnic. Teraz zaś spotyka tę dziewczynę i... - przerwał, bo wzburzenie jakby odjęło mu mowę. -

Zachowuje się jak oczarowany.

65

- Właśnie tak! - wypalił Borric. - A gdzie znajdziesz lepsze miejsce do uprawiania czarów niż Wyspa Czarnoksiężnika? - Erland położył dłoń na ramieniu Borrika, który odwrócił się, by odejść. - Myślisz, że to jakiś czar czy zakęcie?

- Owszem... bardzo szczególny czar i zakęcie - odezwał się poważny głos w mroku.

Obaj bracia odwrócili się jednocześnie, by spojrzeć na siedzącego nieopodal na zwałonym pniu człowieka. Nie dostrzegli go wcześniej w półmroku, bo siedział absolutnie bez ruchu. Podszedłszy bliżej, młodzi księżęta przekonali się, że do ich rozmowy włączył się stary mag, nauczyciel Puga, Kulgan.

- Co to miało znaczyć? - spytał Borric tonem wskazującym na to, że potwierdzają się jego najgorsze podejrzenia. Kulgan roześmiał się serdecznie. Wyciągnął rękę ku młodzieńcom i skinieniem dłoni wezwał ich do siebie.

- No... nie stójcie jak kołki. Pomóżcie staremu. Moje kolana są starsze niż stworzenie świata!

Erland podbiegł do starego czarodzieja i Kulgan wstał, wsparłszy jedną dłoń na ramieniu młodzieńca i zacisnąwszy krzepki, drewniany posoch w drugiej.

- Odprowadzę was do promu - ciągnął mag. - Przypuszczam, że wedle waszego zwyczaju zamierzacie wpakować się w jakieś kłopoty. Chłopcy w waszym wieku nie mogą usiedzieć na zadkach, jeśli przynajmniej raz dziennie zdrowo wszystkich nie rozjuszą.

- Mówiłeś o czarach! - przypomniał mu Bornc.

- Wiesz, kiedy twój dziadek był w waszym wieku, okazywał niecierpliwość nie mniejszą od waszej - roześmiał się Kulgan. - Kiedy żądał odpowiedzi - to do diaska! - chciał ją mieć natychmiast. Minęło kilka lat, zanim nauczył się panowania nad swoim temperamentem. Wasz ojciec zresztą wrodził się w dziadka, tylko lepiej to ukrywa. Najsilniejszą stroną Aruthy jest umiejętność rozpoznawania własnych ograniczeń i wyszukiwanie rozwiązań alternatywnych.

- Jeśli idzie o naszą skórę, to jakoś ostatnio się nie wysiłał - mruknął Erland.

Kulgan zmierzył obu młodzieńców gniewnym spojrzeniem. - A cóż wy, rozpieszczone smarkacze, możecie wiedzieć o rozwiązywaniu problemów? Och...

może i musieliście raz czy dwa pomachać mieczami, ale cóż to za rozwiązanie? -

Mag przerwał na chwilę i mocniej wsparł się o swój posoch. Postukawszy się palcem w czoło, ciągnął po chwili dalej: - Mózgiem trzeba ruszać, ot co! Kiedy już skupicie się na jakimś problemie, kiedy przemyślicie każde możliwe wyjście z jakiegó

kryzysowej sytuacji i zbadacie wszystkie konsekwencje... wtedy zrozumiecie, o czym

mówiłem.

- Ojciec zawsze twierdził, że byłeś najbardziej wymagającym z jego

nauczycieli - rzekł Erland, uśmiechając się niewyraźnie.

- Ha! - zakrzyknął Kulgan. - Trzeba wam było widzieć ojca Tully'ego... ten ci dopiero potrafił dopiec! - Na chwilę utkwiał wzrok w przestrzeni, jakby nad czymś się zastanawiał. Szkoda, żeście go nie poznali. Umarł, kiedy byliście dziećmi. Tragiczna to strata dla nas wszystkich. Jeden z najświetniejszych umysłów, jakie miałem honor poznać... jak na kapłana... -dodał szybko, nie mogąc oprzeć się pokusie wytknięcia byłemu adwersarzowi jego słabości i czując żal, że tamten nie odpowie mu jak dawniej.

- Kiedy mówiłeś o uroku rzuconym na Jimmy'ego, żartowałeś, prawda? - spytał Erland.

- Jesteś jeszcze bardzo młody, mój książę - odpowiedział Kulgan. I trzepnąwszy Borrika niezbyt żartobliwie posochem po udzie, dodał: -Nie wiesz jeszcze ani połowy tego, co powinieneś wiedzieć.

- Auć! - stęknął Borric, odskakując odruchowo.

Erland wybuchnął śmiechem, który urwał się szybko, gdy mag grzmotnął go lagą po grzbiecie, dodając:

- Ale nie można powiedzieć, iż obaj się nie staracie.

Obaj bracia udali, że zwijają się z bólu, Kulgan zaś, skrywając uśmiech, ciągnął dalej: -Teraz nadstawcie uszu. Jestem już stary i nie lubię tracić czasu na powtarzanie.

Bliźniacy natychmiast przestali się wygłupiać, stary mag zaś przemówił z powagą w głosie:

- Mówiłem o czarach i urokach, jakich nie da się nikogo nauczyć. Nie jest to magia, którą można też przywołać wedle życzenia. Bogowie obdarzają nią jedynie nielicznych szczęśliwców spośród mężczyzn i kobiet. To magia miłości - tak głębokiej i prawdziwej, że człek, który ją poznał, nigdy już nie będzie taki, jak przedtem. -
Znów zmierzył wzrokiem odległy horyzont. Jestem już tak stary, że z trudem sobie przypominam, co mi się

śniło choćby wczoraj w nocy. A jednak, kiedy tylko o nich pomyślę, czasy dzieciństwa stają mi przed oczami tak wyraziście, jakby to było zaledwie przed chwilą. - Przez chwilę mag milczał i przyglądał się Borrikowi, jakby szukał w jego

67

twarzy znajomych rysów. - Twój dziadek był człowiekiem silnych uczuć, podobnie jak twój ojciec - choć tego po sobie nie pokazywał. Twoja matka zauroczyła go w chwili, w której się poznali, choć godzi się rzec, że był zbyt tępy, by to zrozumieć. Twoja ciotka, Carline, postanowiła poślubić wuja Lauriego kilka dni potem, jak go poznała... Sęk w tym, że w miarę, jak będziecie dojrzewali, odcujecie w sobie potrzeby, których nie zaspokoi obłapianie w piwiarniach córek rybaków i sieciarzy, choćby nie wiadomo jak różowe były ich policzki, słodkie uśmiechy czy pulchne ramiona. A jedwabne łoża cór szlacheckich również stracą dla was swój powab. Erland i Borric wymienili długie spojrzenia.

- No... długo przyjdzie na to czekać - mruknął Erland. Kulgan skarcił go kolejnym uderzeniem po łydkach.

- Nie przerywajcie! Za nic mam to, że jesteście książętami. Prałem już lepszych od was i wyżej postawionych. Wasz królewski wuj nie należał do najlepszych uczniów i niejeden raz oberwał ode mnie w pysk. - Westchnął z

lubością, wspominając dawne czasy. -O czym to ja... Aaa... o prawdziwej miłości!

Odkryjecie kiedyś w sobie potrzebę głębszych uczuć i znalezienia prawdziwej towarzyski życia. Wasz ojciec ją znalazł... podobnie Carline i wasz wuj, Martin.

Król, niestety, nie.

- Och. .. Lyam kocha królową, tego jestem akurat pewny sprzeciwił się

Borric.

- Na swój sposób tak, niewątpliwie. Jest piękną, dobrą kobietą i nigdy nie pozwolę, by w mojej obecności ktoś powiedział o niej coś innego... ale istnieje miłość... i to, co przytrafiło się twojemu młodemu baronowi Jamesowi. To już inny człowiek, gotów jestem się o to założyć. Patrz i ucz się. Jeśli ci się powiedzie, może zobaczysz coś, czego pewnie nie dane ci będzie poznać.

Borric westchnął i wbił wzrok w ziemię.

- To dlatego, że mam zostać Królem? - spytał markotnie. - Owszem - kiwnął

głową Kulgan. - Nie jesteś tak tępy,

jak myślałem. Ożenisz się ze względów politycznych i dla dobra kraju. Och...

będziesz miał mnóstwo okazji do zaspokojenia swoich chuci i znajdziesz aż nadto chętnych i znających się na rzeczy panien. Wiem, że twój wuj dodał ci przynajmniej pół tuzina kuzynów, urodzonych po niewłaściwej stronie łoża. Kilku z nich w swoim czasie niewątpliwie zostanie uszlachconych. Ale sedno sprawy tkwi w czym innym.

James trafił na osobę, którą sami bogowie mu zesłali, by uczyniła jego życie

68

pełniejszym. Nie wolno wam wątpić, że tak miało być... i nie myślcie, że działał pod wpływem impulsu lub że wzięto go przez zaskoczenie. To, co wydaje się wam aktem z jego strony pospiesznym i nie przemyślanym, w rzeczy samej jest poznaniem

prawdy tak głębokiej, że tylko ten, komu samemu dane było coś takiego przeżyć, może to w pełni pojąć i zrozumieć. No... to już wiecie.

- Mamy zostawić go jego własnemu losowi? - spytał Erland.

- Nie inaczej - odparł Kulgan, który nadął się powagą tak, że Borric z najwyższym trudem powstrzymał chętkę kolnięcia go sztyłem w zadek. Mag tymczasem przez chwilę jeszcze przyglądał się książętom w milczeniu. - Wiecie co? Kiedy człek chwilę z wami pogada, przekonuje się, że nie jesteście wcale parą tępych ulicznych mordobojów, jakich niestety przypominacie. Myślę, że to sprawa dobrej krwi. Cóż... i tak pewnie zapomnicie o wszystkim, co powiedziałem, jak tylko znajdziecie jakąś tawernę z wyszynkiem, stołem do gry i kilkoma hożymi dziewczkami, które tylko patrzą, jak by tu oskubać głupiego a majątnego młodzika. Ale przy odrobinie szczęścia, kiedyś... w jakimś ważnym momencie życia, przypomnicie sobie to, co powiedziałem. Być może potraficie dokonać wtedy trafnego wyboru... który obróci się na dobre Królestwu.

- Coś mi się wydaje, że podczas ostatnich kilku tygodni wszyscy się sprzysięgli, by przypominać nam o naszych powinnościach - zauważył kwaśno Borric.

- Tak właśnie być powinno - Kulgan znów przez chwilę obserwował bliźniaków w milczeniu. - Borric... los umieścił cię wysoko, a ty, Erlandzie, jedynie o krok będziesz ustępował bratu. Władza, którą wam dano, nie może służyć tylko czczym rozrywkom. Okaże się, że przyjdzie wam za nią płacić... . cena zaś będzie wysoka. Zapłacili ją wasz dziadek, wuj i ojciec. Do dziś prześladują go widma ludzi, którzy zginęli pod jego komendą. I choć każdy z nich oddał z ochotą życie w służbie swego Króla i Księcia, każda śmierć legła ciężkim brzemieniem na barkach Aruthy.

Takim właśnie człkiem jest wasz ojciec. Poznacie go lepiej, kiedy dojrzejecie.

Bracia milczeli. Kulgan odwrócił się ku imponującej wieży Stardock.

- Robi się chłodno. Muszę znaleźć jakiś komin, przy którym się ogrzeję. Wy idźcie i poszukajcie sobie jakiejś awantury. - Oddaliwszy się o kilka kroków, stary mag odwrócił się i powiedział ostrzegawczo: - I uważajcie z tymi rybackimi synami.

Jeśli zaczniecie zaczepiać ich dziewczyny, wypatroszą was pierwszej, zanim sobie przypomną, że jesteście dziedzicami tronu. - Przez chwilę jeszcze przyglądał się

69

bliźniakom, potem zaś dodał zupełnie innym tonem: - Uważajcie na siebie, chłopcy...

Borric i Erland odprowadzili wzrokiem starego maga, aż zniknął w podwojach Akademii, a potem udali się ku promowi.

- I co o tym myślisz? - zapytał po chwili Erland.

- O tym, co mówił? - upewnił się Borric. - Myślę, że to stary człowiek, który za bardzo się wszystkim przejmuję.

Erland przytaknął, potem zaś obaj zaczęli dawać przewoźnikowi znaki, świadczące o ich chęci odwiedzenia miasteczka na brzegu.

Gamina i James spacerowali nad brzegiem, owiewani podmuchami łagodnego wietrzyku i cieszyli się pięknem wieczoru. James czuł się jednocześnie podniecony i znużony. Podczas poprzednich trzydziestu siedmiu lat życia rzadko dzielił się z kimkolwiek swymi przeżyciami. Nigdy wcześniej nie zaznał poczucia jedności z drugą osobą, Gamina jednak okazała się istotą, która bez trudu pokonała wszystkie bariery. Nie... to nie tak, poprawił sam siebie. Ona przecież nie musiała

niczego pokonywać. Po prostu otworzyła drzwi, którym sądzono było, że ona właśnie je otworzy.

Od południa dął lekki wietrzyk, przynoszący zapachy odległych kwiatnych pól i sadów, których pełna była Dolina Marzeń. Na wschodzie wzbił się na niebo miedziany dysk średniego księżyca. James odwrócił się ku swej przyszłej żonie.

Zachwycił się wdzięcznym łukiem jej szyi i sposobem, w jaki jej niemal białe włosy opadały na twarzyczkę i ramiona Gaminy, tworząc wokół nich jasną aureolę.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się baronowi bez słowa, potem na jej ustach pojawił się uśmiech i serce Jamesa radośnie zabiło.

- Kocham cię - szepnęła.

- Ja też cię kocham - powiedział James, nie wierząc jeszcze własnemu szczęściu. - A jednak muszę cię tu zostawić. Dziewczyna odwróciła się odeń i przez chwilę patrzyła na

księżyc. Potem James usłyszał jej myśli:

Nie, najmilszy. Mój pobyt w Stardock dobiega końca. Pojadę z wami do Kesh.

James porwał ją w ramiona.

70

- Nie może być! To niebezpieczne. Nawet dla kogoś posiadającego twoje zdolności. - Pocałował ją w kark i poczuł, że lekko zadrżała. - Będę znacznie spokojniejszy, wiedząc, że zostałeś tutaj, gdzie nic ci nie grozi.

Naprawdę? spytała. Zastanawiam się, czy...

Odstąpiła o krok i przez chwilę bacznie mu się przyglądała, korzystając z nikłej poświaty miesiąca. - Obawiam się, Jimmy,

że zechcesz się wycofać i po pewnym czasie przekonasz samego siebie, iż to,

cośmy w sobie znaleźli, jest złudzeniem tylko... znowu też wzniesiesz w swoim sercu bariery przeciwko bólowi i miłości... a będą bardziej krzepkie, wyższe i mocniej podbudowane niż kiedykolwiek przedtem. Wymyślisz jakiś powód, by wracać do Kronodoru innym szlakiem... potem zaś będziesz odkładał ponowny przyjazd do Stardock. Przez jakiś czas będziesz nawet przekonywał samego siebie, że pragniesz tu wrócić, tylko okoliczności się sprzysięgły przeciwko tobie... ale zawsze znajdzie się jakiś powód, który będzie cię trzymał z dala ode mnie. I zawsze znajdziesz jakiś powód, by po mnie nie posyłać.

James zrobił minę, jaka często pojawia się na twarzach niewinnie posądzonych. W jego sercu kipsiały niedawno poznane uczucia i baron zrezygnował ze swej zwykłej pozy - której głównymi elementami były pewność siebie i niewymuszona swoboda zachowania. Wyglądał i zachowywał się jak młody i niedoświadczony chłopiec - którym był po części nadal - wzburzony i zaniepokojony bliskością kochanej przezeń i kochającej go kobiety.

- Naprawdę masz mnie za takiego nędznika?

Dziewczyna uśmiechnęła się, dotknęła dłonią jego policzka i wszelkie obawy Jamesa znikły, jak to już wielokrotnie zdarzało się od ich spotkania. Od momentu, w którym przywróciła go do życia na brzegu jeziora, czytała jego myśli i uczucia - oddała mu też swe ciało i serce. James jednak niechętnie wyzbywał się starych uprzedzeń - nawet jeśli chodziło o kobietę, która poruszyła w nim takie struny, jakich przedtem żadnej dotknąć się nie udało.

- Nie, miły... nie myśl, że uważam cię za lekkoducha. Ale znam też potęgę lęków i strachu. Moje talenty nie ograniczają się tylko do magii - jak sądzą mieszkańcy wysepki. Potrafię również leczyć umysły i serca. Mogę dzielić brzemię

chorych na duszy i na umyśle i - niekiedy -- umiem im pomóc. Potrafię wsłuchiwać się w czyjeś sny. I wiem, czego mogą dokonać strach i obawy. Ty zaś boisz się, żeby cię nie porzucono... jak to zrobiła twoja matka.

71

James pojął, że Gamina mówi prawdę. W tejże samej bowiem chwili dopadły go wspomnienia owej strasznej nocy, kiedy jako sześciolatek wymykał się z tamtej nory, w której podłoga była lepka od matczynej krwi. Poczul też, że jego oczy wypełniają się łzami, jak wtedy, gdy pojął, że oto został ostatecznie, nieodwołalnie porzucony i zdany na samego siebie. I znów - jak niedawno - objęły go i ukoili ramiona Gaminy. Nigdy już nie zostaniesz sam, usłyszał jej słowa w swoich myślach.

Przez chwilę stał bez ruchu i tylko obejmował dziewczynę tak, jakby była jedynym pośrednikiem, który łączy go z życiem. I jak to się już zdarzyło, ból i rozpacz go opuściły, zostawiając tylko uczucie zmęczenia i ulgi. Poczul się jak ktoś, kto przez lata całe nosił w sobie jęczącą się i wyniszczającą go ranę - która teraz została opatrzona. Owszem, nie zaleczy się jej w jeden dzień... ale kuracja - choćby miała trwać długo - uda się z pewnością i uczyni Jamesa z Krondoru lepszym niż był człowiekiem. Gamina tymczasem odezwała się doń ponownie.

Ja również mam swoje obawy. Wiedz też, że wątpliwości tylko nas osłabiają i odsłaniają nasze słabe miejsca.

- Ja ich nie mam - odpowiedział szczerze. Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie i mocno się doń przytuliła.

Zanim jednak zdarzyło się coś więcej, James usłyszał głośny tupot butów i kilkakrotne głośne pokastywania, które oznajmiły mu, iż zbliża się do nich jego

serdeczny - w tej chwili nieprzyjaciel, baron Locklear.

- Eee... niechętnie wam przeszkadzam, ale posłał mnie po ciebie Pug, mój drogi Jamesie - uśmiechnął się z udanym współczuciem. - A twoja matka, Gamino, pragnie cię widzieć w kuchni.

- Dziękuję - odpowiedziała Gamina. Obdarzywszy Lockleara ciepłym uśmiechem i pocałowała Jamesa w policzek, podniosła się z miejsca. - Zobaczymy się przy kolacji.

Dziewczyna ruszyła w stronę kuchni, James zaś i Locklear skierowali się ku pracowni Puga. Locklear znów przesadnie głośno, niczym kiepski aktor pragnący zwrócić na siebie uwagę, odchrząknął.

- No dalej - rzekł James. - Nie duś tego w sobie! Wywalaj to, co tam kryjesz w tym swoim mrocznym worze, zwanym nie bez przesady szlachetną duszą.

Słowa Lockleara popłynęły potokiem, który niełatwo byłoby zatrzymać.

72

- Posłuchaj... znamy się... ile to już... dwadzieścia dwa lata. Przez cały ten czas ani razu nie zdradziłeś najnędrniejszego choćby śladu zainteresowania kobietami... - James łypnął ku niemu złowrogim spojrzeniem i Locklear pośpiesznie się poprawił: - W sensie matrymonialnym, oczywiście. A teraz, jakby nigdy nic, ot, tak sobie, wkraczasz do sali i oznajmiasz wszystkim, że zamierzasz się ożenić! Oczywiście... jest piękna, ani słowa... te jasne włosy i tak dalej... ale przecie znałeś dziesiątki innych, równie. . .

- Nie... takiej jak Gamina nie znałem - przerwał mu niespodziewanie Jimmy.

I podniósł dłoń ku piersi Lockleara, jakby pragnąc uprzedzić dalsze protesty. - Nie wiem, czy ktoś taki jak ty potrafi to zrozumieć, Locky, ona jednak zajrzała w głąb

mej duszy. Zobaczyła wszystko, co tam jest do zobaczenia... widziała mnie takim, jakim nikt inny mnie nie ujrzał i nie ujrzy... wie o wszystkim, co kiedykolwiek zrobiłem czy czułem. O niektórych moich sprawkach nie napomknąłem nawet tobie... a ona mimo wszystko mnie pokochała. Mimo wszystko. . . możesz to pojąć!
Odetchnął głęboko. - Nigdy się nie dowiesz, ile to dla mnie znaczy . . .

Ruszył dalej, przyjaciel jednak go zatrzymał.

- Co miałeś na myśli, mówiąc "ktoś taki jak ty"? James obejrzał się przez ramię i przystanął.

- Posłuchaj, jesteś moim najlepszym przyjacielem, może jedynym godnym tego miana, ale jeśli mowa o kobietach, to brak ci odpowiedzialności. Potrafisz być czarujący, potrafisz zabiegać o względy, potrafisz być nawet konsekwentny i natarczywy, ale kiedy już zaciągniesz dziewczynę do łóża i dopniesz swego, wiejesz stamtąd szybciej od najsmiglejszego charta. Nie mam pojęcia, jak udało ci się dożyć swego wieku i nie przyszpilił cię dotąd do ściany jakiś rozjuszony brat czy nie rozplatał gdzieś tasakiem ojciec uwiedzionej przez ciebie panny. Jeśli idzie o kobiety... cóż... jesteś niestały, mój Locky.

- A ty to niby jesteś, co?

- Teraz już tak - odparł James. - Tak stały, jak woda spływająca ze wzgórza w dół.

- No... -pocieszył się Locklear- zobaczymy jeszcze, co na to powie Arutha.

Pamiętasz może, robaczku, że my, baronowie dworu, nie możemy zawierać związków małżeńskich bez jego zgody?

- Owszem.

- No to zostawię cię twojemu czarodziejowi - oznajmił Locklear, kiedy dotarli do podwojów budynku Akademii. Myślę, że i on ma coś do powiedzenia w kwestii dość nagłego małżeństwa jego córki. - Wypuściwszy tę ostatnią strzałę, Locklear oddalił się otulony, posługując się językiem bardów, w płaszczyznynie milczenia.

James wszedł do wnętrza budowli i długim korytarzem przeszedł do wieży, na szczycie której znajdowała się pracownia Puga. Ruszył w górę krętymi schodami i wspinał się mozolnie, aż dotarł do drzwi pracowni. Zanim zdążył podnieść dłoń, by zapukać, drzwi otworzyły się bezgłośnie; zapraszając go do środka. Przekroczywszy próg, odnalazł Puga pochylonego nad stołem. nieopodal drzwi - które zresztą same zaraz się za Jamesem zamknęły.

- Musimy ze sobą pomówić - oznajmił Pug, prostując się i zapraszając go kiwnięciem dłoni do rozległego okna. Wyjrawszy na zewnątrz, wskazał plamki światła na dalekim brzegu. Pełno tam ludzi - powiedział.

James milczał. Znał czarodzieja na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten nie wezwał go do siebie po to, by omawiać rzeczy oczywiste.

- Kiedy przed dwudziestu laty przybyliśmy do Stardock, był to jedynie skrawek ziemi pośrodku jałowego jeziora. Brzegi może odrobinę bardziej sprzyjały ludziom, ale cała Dolina była placem nieustannej wojny pomiędzy Królestwem i Imperium, a panujący tu wszędy ogólny zamęt wzmagały jeszcze zbrojne spory pogranicznych baronów i najazdy band licznych maruderów. Pojawiali się tu też łapacze niewolników z Durbinu, a zwykli opryszkowie byli dokuczliwsi od szarańczy. - Chwilę wspomnień zakończyło westchnienie. - Teraz ludzie wiodą tu dość spokojne życie. Och... od czasu do czasu zdarzają się jakieś drobne utarczki, ale

w zasadzie wokół Jeziora Gwiazdzistego panuje pokój. -Nie odwracając się do

Jamesa, spytał: - A co spowodowało te zmiany?

- Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że te zmiany wywołałeś ty, Pugu

- odparł James.

Pug odwrócił się od okna.

- Jimmy... kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ja byłem młodzieńcem, a ty chłopcem. Od tamtych czasów przeżyłem jednak więcej, niż większość ludzi mogłaby sobie wyobrazić, choćby każdemu dano tuzin żywotów. - Skinieniem dłoni stworzył pośrodku komnaty kulistą chmurę o średnicy może dwu stóp. Kula zamigotała i nagle przekształciła się jakby w dziurę... przez którą James mógł zobaczyć dziwny

74

korytarz. Wisiał on pośrodku rozległej, szarej nicości, którą przecinał jak ścieżka. W ścianach korytarza co mniej więcej dwanaście kroków umieszczono drzwi. Szara pustka pomiędzy drzwiami była tak absolutnie wałowa, że w porównaniu z nią czerń najgłębszej nocy wydawałaby się żywa i tętniąca ruchem.-Korytarz Światów- wyjaśnił Pug. - Tędy właśnie udawałem się do miejsce, których żaden człek nie widział... i nie zobaczy. Zwiedzałem ruiny prastarych cywilizacji i widziałem narodziny nowych ras, liczyłem gwiazdy i ziarnka piasku, odkrywając, że Wszechświat jest tak rozległy. iż nie masz nikogo, kto byłby go ogarnął - nie jestem zaś pewien, czy z twierdzenia tego należy wyłączyć i bogów... Mag skinął dłonią i wizja znikła. - Po tym wszystkim zrozumiesz mnie, gdy ci powiem, że ktoś inny na moim miejscu mógłby sądzić, że nie powinien zawracać sobie głowy przyziemnymi troskami mieszkańców takiego odległego zakątka jak Dolina.

- Bo porównane z tym wszystkim, co widziałeś i czego doświadczyłeś, są w

istocie trywialne - rzekł James, splatając ramiona na piersiach.

- Nie dla tych, którzy tu żyją - potrząsnął głową Pug. Nie czekając na Puga,

James usiadł i powiedział:

- Wiem, że nie mówisz tego wszystkiego bez powodu. Pug wrócił na swój fotel przy biurku.

- Owszem. Katala umiera.

Ta wiadomość, równie zdumiewająca, co niespodziewana_ sprawiła, że

James otworzył usta.

- Sądziłem, że ona tylko źle wygląda... ale żeby była umierająca.. .

- James, wiele już możemy zdziałać, nasza wiedza wciąż ma jednak pewne granice. Żaden czar, żadna modlitwa, żaden lek nie pomoże mojej żonie, bo wyczerpaliśmy już wszelkie możliwości. Wkrótce wróci przez Rozdarcie do swojej ojczyzny, którą są Wyżyny Thuńl na Kelewanie. Od prawie trzydziestu lat nie widziała się z krewniakami. Wróci, by tam dokonać żywota.

James potrząsnął głową w milczeniu, wiedząc, że żadne słowa Puga nie pocieszą. W końcu jednak odważył się zapytać:

- A Gamina?

- Jimmy, patrzyłem, jak moja żona starzeje się przedwcześnie, choć nawet gdyby ta choroba się nie rozwinęła i tak musiałbym w końcu stawić czoło rzeczywistości. Widzisz przecież, że ja sam niemal się nie zmieniłem. I tak będzie przez całe twoje życie. Nie jestem chyba nieśmiertelny, ale moja moc zapewni mi

75

życie znacznie ponad ludzką miarę. I wcale nie mam ochoty obserwować, jak moje dzieci i wnuki się starzeją, a ja sam trwam niczym skała. W kilka godzin po

odjeżdżie Katali i ja opuścę Stardock. Przed Williamem otwiera się droga żołnierza, bo on zrezygnował ze swych magicznych uzdolnień. Chciałbym oczywiście, by sprawy potoczyły się innym torem, ale jak większość ojców, muszę pogodzić się z tym, że moje własne pragnienia niekoniecznie muszą odpowiadać pragnieniom moich dzieci. Umiejętności Gaminy przenikania do umysłów innych ludzi są zarówno magiczne, jak i naturalne... szczególne jednak są u niej takie cechy, jak wrażliwość, troska o innych i zdolność do współczucia.

James kiwnął tylko głową.

- Z tym nie mogę się spierać. Jej umysł jest istnym cudem. - I owszem- potwierdził Pug. - Badałem jej umiejętności dokładniej niż cokolwiek innego i lepiej od niej znam zasięg jej talentów i ich ograniczenia. Gdyby cię nie spotkała, zostałaby w Stardock, by przejąć obowiązki swojej matki - przez cały ten czas Katala była bowiem rzeczywistym przywódcą naszej małej społeczności. Wolałbym jednak, by Gaminie tego oszczędzono.

Jako dziecko przeżyła wielki ból i stratę - podobnie zresztą jak ty sam... tak przynajmniej myślę.

James potwierdził skinieniem głowy. - Przeżywaliśmy wspólnie...

- Nie wątpię - zgodził się Pug, uśmiechając się tak, iż James zrozumiał, że naiwny to wśród magów ptak bardzo rzadki. - Tak jednak dziać się powinno z kochankami i małżonkami. Ja sam wiele stracę, gdy Katala mnie opuści... więcej nawet, niż ona sądzi. - Na ułamek sekundy Pug odsłonił się całkowicie przed Jamesem i ten ujrzał przed sobą człowieka, którego od innych oddziela nieustannie brzemień ogromnej i nie znanej im odpowiedzialności- a oto, jedna z niewielu osób,

które mogły zmniejszyć i nieco owo brzemie, dając mu kilka rzadkich chwil wytchnienia i ulgi, z wolna i nieubłaganie się odeń oddalała. W tej krótkiej chwili James odkrył głębię bólu i rozpacz czarodzieja, ale chwilę później nieprzenikniona maska wróciła na swe miejsce. - Kiedy Katala odejdzie, zajmę się tymi poważnymi sprawami, o których ci napomknąłem, i dam sobie spokój z troskami o Stardock, Dolinę czy nawet Królestwo. Jak każdy człowiek, pragnę jednak, aby moi bliscy byli szczęśliwi i prowadzili spokojne życie w otoczeniu beztrosko rosnących dzieci, krótko mówiąc, życzę im tyle szczęścia, ile tylko

76

zapragną. Gamina dała mi poznać, co się dzieje w jej i twoim sercu. Pragnę, żebyś wiedział, że masz moje błogosławieństwo.

James odetchnął z ulgą.

- Mam nadzieję, że Arutha również mnie zrozumie. Aby się ożenić, muszę mieć jego zezwolenie.

- Och, to się da załatwić - mruknął Pug. Ponownie poruszywszy dłońmi, stworzył pośrodku komnaty kłęb szarego dymu. Wewnątrz mglistej kuli zaczęły formować się jakieś kształty i oto James odkrył nagle, że spogląda na siedzącego w swojej krontorskiej pracowni Aruthę-tak jakby pomiędzy Stardock a Kondorem ktoś przebił przejrzyste okno. Księżę podniósł wzrok znad pergaminu i ujrawszy gościa, w dość niezwykły dla siebie sposób zdradził swe zaskoczenie - poderwał się na równe nogi.

- Pug, to ty?

- Owszem, Wasza Księżęca Mość. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym prosić o pewną łaskę.

Arutha usiadł, z wyraźną ulgą. Widmo, które niespodziewanie objawiło się w jego pracowni, okazało się przyjacielem i wszystko znalazło logiczne wyjaśnienie.

Odłożył trzymane w dłoni gęsie pióro i spytał:

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Pamiętasz, Księżę, moją córkę, Gaminę? - Owszem, pamiętam - odparł

Arutha.

- Chciałbym wydać ją za mąż-za mężczyznę o odpowiednim majątku i pozycji. Za jednego z twoich młodych baronów.

Arutha przesunął spojrzenie za plecy Puga, zobaczył Jamesa i uśmiechnął się z rzadkim u niego rozbawieniem.

- Spodziewam się, że moglibyśmy ją wydać za któregoś z naszych prześwietnych młodzieńców. Masz na oku kogoś określonego?

- Baron James ma wspaniałe widoki na przyszłość. Uśmiech Aruthy się pogłębił i James mógłby przysiąc, że Księżę śmieje się całą gębą-czego nigdy wcześniej nie widział.

- Rzekłbym, że wprost niebywale - stwierdził władca Kronodoru z żartobliwą powagą. - Któregoś dnia może zostać diukiem, jeśli wcześniej go nie powieszą ze względu na jego narwany charakter- albo jakiś rozwścieczony król nie wygna go precz na Wyspy Słone. Żona mogłaby się okazać wspaniałym wędzidłem na jego

77

niezbyt odpowiedzialny charakter. Ja sam zrezygnowałem już z prób ustatkowania tej szalonej pałki. Rad jestem, że komuś się udało. W jego wieku byłem już od dziesięciu lat żonaty. - Księżę umilkł na chwilę, przypominając sobie pierwsze młodzieńcze zachwyty swoją młodą małżonką. Spojrzał na Jamesa z widoczną i

szczerą satysfakcją, co zdradziło głęboką przyjaźń, jaką żywił dla młodego barona.

Szybko jednak ponownie skrył się za swoją maską sceptyka. - Cóż, jeśli on się nie wyrywa, macie moją zgodę.

- Nie, wcale się nie wyrywa-uśmiechnął się Pug. -Jakoś się dogadali... co widać na każdym kroku.

Arutha rozsiadł się wygodniej i przywołał na twarz typowy dla siebie półuśmiech.

- Doskonale to rozumiem. Wciąż jeszcze pamiętam, co czułem do Anity, gdyśmy się poznali. Bywa, że spotyka to człowieka całkiem niespodzianie.

Doskonale. Kiedy tylko James wróci z Keshu, wyprawimy weselisko, co się zowie.

- Właściwie to myśleliśmy o czymś skromniejszym. Gamina pragnie towarzyszyć mu w podróży.

Twarz Aruthy spochmurniała.

- Nie sądzę, bym dał na to zgodę. Być może James nie powiedział wam, jak bardzo niebezpie...

- Mości Księżę, doskonale zdaję sobie sprawę ze wszystkich zagrożeń -

przerwał mu Pug. - Sądzę jednak, że nie wiadomo ci nic o talentach mojej córki.

Doskonale wiem, co się szykuje w Kesh. Ona pomoże twoim synom, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Arutha przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, aż wreszcie powiedział:

- Owszem, biorąc pod uwagę, że to ty jesteś ojcem dziewczyny, mogę założyć,

że posiada ona pewne umiejętności, które pomogą jej uporać się z

przeciwnościami. Dobrze więc, niech tak będzie. Niech się pobiorą tak szybko, jak

uznasz za stosowne, a kiedy powrócą, wyprawimy na cześć młodej pary oficjalną ucztę weselną w Kondorze, jak przystało na małżeństwo książęcych krewniaków.

Żona i córka nigdy mi nie darują zaprzepaszczenia okazji do pokazania się w nowych sukniach - dodał tytułem usprawiedliwienia.

- Kto, u licha, jest książęcym krewniakiem? - spytał zdumiony James.

78

- Gamina - kiwnął głową Arutha ze współczuciem - Jest, przez adopcję, królewską kuzynką. Chyba o tym zapomniałeś. Cała rodzina Puga ma tę pozycję. Nasz kuzyn Willy któregoś dnia zostanie księciem Stardock. Zostajesz członkiem rodziny, mój Jimmy. Choć muszę rzec, że jak o tym myślę, przechodzą mnie dreszcze - dodał z udanym przestraciem.

- Dzięki, Mości Książę - rzekł Pug, rozbawiony żartem Aruthy.

- Nie ma za co, Pug. Hej, Jimmy... - dodał Arutha, uśmiechając się naprawdę serdecznie.

- Słucham, Arutha-odezwał się James, uśmiechem odpowiadając na uśmiech.

- Życzę ci, abyś w swoim małżeństwie znalazł tyle szczęścia, ile ja znalazłem w moim.

James podziękował kiwnięciem głowy. Arutha nigdy nie okazywał publicznie swoich uczuć, baron pamiętał jednak okres sprzed dwudziestu lat, kiedy wskutek zdradzieckiego zamachu niewiele brakło, a Anita umarłaby - ówczesna rozpacz Aruthy i dziś jeszcze rozdzierała mu serce. Niewielu ludzi w Królestwie - oprócz Jamesa - wiedziało, jak głębokim uczuciem Książę jarzy swą małżonkę.

- Dziękuję za te życzenia w imieniu nas obojga...

- Mam też dla ciebie ślubny prezent. - Książę otworzył szkatułkę stojącą na

biurku i wyjął z niej zwój pergaminu. Chciałem ci to wręczyć po powrocie, ale w tych okolicznościach. . .

- Mości Księżę, jeśli zechcesz, zaraz mu to doręczę przerwał Pug.

Jeśli nawet Aruthę zdumiała ta propozycja, nie okazał tego po sobie.

- Proszę bardzo... nie krępuj się...

Pug zamknął oczy na moment i dokument zniknął z ręki Księcia, by pojawić się w dłoni maga. Jedyne lekkie zmrużenie oczu świadczyło o zaskoczeniu Aruthy tą zdumiewającą demonstracją umiejętności Puga, który w mgnieniu oka przeniósł pergamin na tak znaczną odległość.

Mag podał zwój Jamesowi. - Proszę.

Baron rozwinął dokument i szybko przebiegł go wzrokiem. - To nominacja.

Od tej chwili jestem earlem i pierwszym ministrem.

- Jak powiedziałem, zamierzałem ci to wręczyć po powrocie. Zasłużyłeś sobie... i to przynajmniej w dwojnasób. Kiedy wrócisz do Kronodoru, omówimy sprawy dotyczące nadania ziem i określenia trybutu. Kiedy Gardan złoży urząd, przejmiesz także obowiązki kanclerza Dziedzin Zachodu.

79

James uśmiechnął się szeroko i nagle Pug i Arutha znów ujrzeli przed sobą łotrzyka i złodziejaszka, jakiego poznali ponad dwadzieścia lat temu.

- Dziękuję Waszej Księżęcej Mości.

- A teraz, za waszym pozwoleniem... chciałbym wrócić do swoich zajęć.

- Życzę Waszej Miłości miłego wieczoru - rzekł Pug. - Wzajemnie, mój diuku i mój earlu...

Pug skinął dłonią i obraz Księcia rozplynął się w nicości.

- Zdumiewające - rzekł James. - Jeśli możesz dokonywać takich sztuczek...

albo takich... - spojrzał na trzymany w dłoni dokument - jakież wrogie armie mogłyby nam zagrozić...

- Właśnie dlatego musimy pomówić i o innych, nie dotyczących twego małżeństwa sprawach... - Pug podszedł do stołu i wskazał Jimmy'emu karafkę z winem. James nalał rubinowy trunek do dwu pucharów. Pug usiadł, spróbował wina, przez chwilę delektował się jego bukietem, i ruchem dłoni poprosił Jamesa, by uczynił to samo. - Nigdy nie pozwolę, by Akademia została wciągnięta w tryby polityki jakiegokolwiek nacji. Mam swoje sposoby, żeby temu zapobiec. Mój syn nie odziedziczy po mnie tytułu diuka Stardock. Myślę, że tak czy inaczej wolałby zostać żołnierzem. Nie... po moim odejściu ze Stardock władzę nad naszą społecznością przejmą ci, których poznałeś przy powitaniu... Watume i Korsh. Dobierze się też trzeciego i powstanie triumwirat magów, którzy będą podejmować wszelkie decyzje o przyszłości Akademii. W razie potrzeby będą też mogli poszerzyć skład Rady. Rzecz w tym, że na tronie Królestwa Wysp nie zawsze będzie zasiadał Lyam, ja zaś nie pozwolę, by władza nad Stardock przypadła komuś w rodzaju Rodryka Szalonego. Miałem okazję go poznać i jedno ci powiem..., gdyby do walki o swoją sprawę zdołał wciągnąć magów takich, jakich tu dzisiaj mamy, świat zatrząsłby się w posadach. Pamiętam też zniszczenia, jakie na Kelewan sprowadzili magowie, którzy za czasów Wojen Światów poparli sprawę Wojennego Wodza. Nie... Stardock musi się trzymać z dala od polityki. Nie może być inaczej.

James wstał i spojrzał Pugowi w oczy.

- Jako szlachcic i poddany Królestwa Wysp, muszę rzec, iż słowa twoje pachną zdradą stanu. - Zrobiwszy kilka kroków ku oknu,

wyjrzał na zewnątrz. Kiedy ponownie odwrócił się do maga,

80

na jego twarzy zakwitał przekorny uśmiezek. - Ale jako człowiek, który już w dzieciństwie przywykł do kierowania się własnym zdaniem, mogę jedynie przyklasnąć mądrości tej decyzji.

- Rozumiesz zatem, dlaczego ufam, że zawsze pozostaniesz głosem rozsądku w Radzie Lordów.

- Niezbyt głośnym i ważkim - odparł James - ale takim, który będzie wspierał twoją mądrość. Wolałbym jednak – dodał po chwili - przekonać i innych tak, by zrozumieli. Pojmujesz jednak, że wielu uważa, iż jeśli nie stoisz po stronie Królestwa, to musisz być wrogiem.

Pug kiwnął tylko głową.

- Zajmijmy się pozostałymi sprawami. W wiosce nad jeziorem mamy jakiegoś kapłana, ale nasze stosunki ze świętymi mężami są... jakby to rzec... niezbyt serdeczne.

- Kłusujecie na ich terenach - uśmiechnął się James.

- Tak właśnie uważają - westchnął Pug. - Tak czy owak, jedyni kapłani, z którymi jakoś się dogadywałem, albo nie żyją, albo mieszkają daleko stąd.

Obawiam się, że w miarę tego, jak wzrasta nasza moc tutaj, rośnie podejrzliwość wielkich świątyn w Rillanonie i Keshu. - I naraz twarz maga rozjaśnił uśmiech. - Ale ojciec Marias, który opiekuje się naszym małym kościółkiem w tej wiosce, jest dość przyzwoitym człowiekiem. On poprowadzi ceremonię ślubną. - Uśmiech na twarzy Puga jeszcze się poszerzył. - Z pewnością zaś nie odmówi udziału w uczcie weselnej.

James wybuchnął śmiechem, ale gdy pomyślał o poślubieniu Gaminy, poczuł

jednocześnie radość i przestrasz. I wtedy właśnie Pug powiedział:

- Nie oczekuję, byś zrozumiał, co teraz powiem. Jeśli jednak kiedykolwiek nadejdzie czas, że będziesz miał powiedzieć coś o mnie, powiedz po prostu: Prawda jest taka, że nie ma żadnej magii.

- Nie pojmuję - stwierdził James.

- Wcale tego od ciebie nie żądam. Gdybyś zrozumiał, com rzekł, nie jechałbyś teraz do Keshu... namówiłbym Aruthę, by zostawił cię tutaj. Po prostu pamiętaj o tym, co powiedziałem. Pug raz jeszcze spojrzął na twarz przyszłego zięcia i zakończył słowami: - Idź i powiedz mojej córce, że ceremonia odbędzie się pojutrze. Nie ma powodu, dla którego musielibyśmy czekać jeszcze cztery dni do szóstego - i tak łamiemy tradycję.

81

James uśmiechnął się, odstawił puchar z resztkami wina i wyszedł z pracowni maga. Gdy na zewnętrznych schodach ucichły jego kroki, Pug odwrócił się do okna i odezwał się w mrok: Wszystkim nam się przyda chwila wesela.

Nadciągają prawdziwie mroczne dni...

Wszyscy mieszkańcy Stardock i spora część tych, którzy mieszkali za wodą, ale jakoś zdołali przedostać się na wyspę, zgromadzili się wokół wiejskiego kapłana.

Ojciec Mañas uśmiechnął się i skinieniem dłoni wezwał przed siebie Jamesa i

Gaminę. Był to człowiek o rumianych policzkach i naiwnym spojrzeniu;

przypominał dziecko, które nigdy nie dorosło - choć jego mocno już przerzedzone

włosy połyskiwały siwizną. Jego zielony habit i wyszywany złotem ornat były już

mocno wyświechtane od częstego prania, kapłan nosił się jednak z dumą nie

ustępującą lordowskiej. Teraz oczy błyszczały mu radośnie, bo nic nie mogło

sprawić mu większej uciechy, jak poprowadzenie ceremonii ślubnej. Jego trzódką składała się głównie z rybaków i kmieciów, wśród których tyleż było pogrzebów co narodzin. Wioskowy proboszcz przepadał zaś za ślubami i ceremonią poświęcania niemowląt Bogini Wszystkiego Co Żyje.

- Podejdźcie tu, dzieci - polecił powoli zbliżającym się Jamesowi i Gaminie.

James wdział na tę okazję ten sam strój, który wybrał na audiencję u imperatorowej - jasnobłękitną tunikę. ciemnoniebieskie ciasno opinające uda spodnie i czarne, miękkie skórznie. Na to narzucił jeszcze krótką białą pelerynę z materiału obficie przetykanego złotem. Zgodnie z najnowszą modą głowę przykrył beretem, który nad lewym uchem zwisał mu niemal na ramię. Zdobila go srebrna wstęga i pyszne, białe czaple pióro.

Obok nowożeńców stał Locklear, odziany równie strojnie, choć bardziej bogato w purpurę i złoto. Baron rozglądał się niezbyt pewnym wzrokiem, przekonany był bowiem, że ich cudaczne choć modne! - stroje wywołają wśród prostodusznych kmiotków gromkie wybuchy śmiechu. Wyglądało jednak na to, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Wszyscy przyglądali się pannie młodej.

Gamina miała na sobie prosto skrojoną suknię koloru lawendy, ozdobioną tylko przy szyi sznurem zdumiewająco pięknych pereł. W kibici strój ściągnięty był białym, atlasowym pasem, ozdobionym perłami i srebrną klamrą. Na skronie włożyła wianek z białych stokrotek - tradycyjną panięńską koronę.

- A teraz-odezwał się kapłan dźwięcznym głosem, akcentując słowa jak ktoś urodzony na południowych rubieżach Królewskiego Morza-ujrzawszy was

stojących przede mną z zamiarem zawarcia świętego związku małżeńskiego,

postanowiłem powiedzieć wam pierwszej kilka słów. - Poprosił, by James wziął dłoń Gaminy w swoją, i przykrył ręce młodych swoją pulchną dłonią. - Killian, bogini, której służę z zapalem, wejrzała na męża i niewiastę stworzonych przez Ishap, Jedność Która Jest Ponad Wszystkim i zobaczyła, iż są samotni. Mąż i niewiasta wejrzeli wówczas w głąb swoich serc i zapłakali nad ich pustką. Usłyszawszy to, ulitowała się nad nimi Bogini Zielonej Ciszy i przemówiła tymi słowami: "Żadne z was nie przetrwa oddzielnie". Stworzyła tedy małżeństwo, jako związek, co połączyć ma męża i niewiastę. Wiąże on ze sobą ich serca, umysły i dusze.

Rozumiecie? - Spojrzał w oczy stojącej przed nim parze i oboje kiwnęli głowami. Zwracając się do zebranego tłumu, ojciec Mañas ogłosił uroczyście: -Oto stają przede mną James z Krondoru, earl dworu królewskiego, i Gamina, córka diuka Puga i jego małżonki, Katali. Pragną wobec nas wszystkich ślubować zawarcie związku małżeńskiego, my zaś mamy świadczyć o ich wolnej woli. Jeśli jest wśród was ktoś, kto zna jakieś powody, dla których związek ów byłby przeciwny woli bogów, niech przemówi teraz... albo na zawsze zachowa milczenie. - Nawet jeśli ktoś miałby ochotę zerwać ceremonię, ojciec Marias nie dałby mu szans na wygłoszenie sprzeciwu. - Jamesie i Gamino, od tej chwili stajecie się jednością. Każde z was będzie częścią drugiego.

- Jamesie, ta oto kobieta pragnie spędzić życie u twego boku. Czy zgadzasz się wziąć ją za małżonkę i towarzyszkę, bez zastrzeżeń i wiedząc, iż od tej chwili będzie z tobą jednością, godzisz się ją hołubić i aż do śmierci przedkładać nad inne?

- Tak - zdołał wykrztusić James.

Skinieniem dłoni ojciec Marias wezwał Lockleara, by podał Jamesowi złoty pierścień.

- Włóż go na palec panny młodej. - Zgodnie z poleceniem, James włożył

pierścień na serdeczny palec lewej dłoni Gaminy.

- Gamino, ten oto mężczyzna pragnie spędzić życie u twego boku. Czy

zgadzasz się wziąć go za męża i towarzysza, bez zastrzeżeń i wiedząc, że od tej

*chwili będzie z tobą jednością, godzisz się go hołubić i aż do śmierci przedkładać nad
innych?*

- Tak - odpowiedziała Gamina, uśmiechając się słodko. Marias polecił

*Gaminie włożyć pierścień na dłoń Jamesa, co dziewczyna uczyniła szybko i
sprawnie.*

83

- Wszyscy zebrani tutaj mają w razie potrzeby zaświadczyć, iż James i

Gamina ślubowali sobie w obliczu bogów i ludzi. Poświadczamy!

- Poświadczamy! - huknęli ochoczo zebrani.

- I to byłoby wszystko! - uśmiechnął się szeroko puciołowaty duchowny. -

Jesteście mężem i żoną.

- Jak to? Już? - James potoczył dookoła nieco nieprzytomnym wzrokiem, co

Erlandowi żywo przypomniało jego niedawną lekcję boksu.

- Myśmy tu ludzie prości, Wasza Miłość - roześmiał się ojciec Marias. -

Pocałuj swoją żonę i zabierajmy się do uczy!

James roześmiał się szczerze, objął Gaminę i ucałował ją ogniście. 'Tłum

ryknął radośnie i wszystkie kapelusze pofrunęły w górę na cześć młodej pary.

Dwaj mężczyźni, stojący nieco na uboczu, nie brali udziału w powszechnej

radości. Żyłasty i chuderlawy człowiek o trzydniowym zarobku ujął towarzysza pod

łokieć i odprowadził go na bok. Obaj mieli na sobie odzież, którą najlepiej opisałyby

słowa: obszarpana i brudna, obu też szerokim łukiem ominąłby każdy, kto ma jakie takie powonienie. Rozejrzawszy się bacznie, czy nikt ich nie podsłuchuje, pierwszy z nieznanomych rzekł z przekąsem:

- Earl James z Krondoru. To znaczy, że tamte dwa czerwonowłose chłystki są synami Aruthy.

Jego towarzysz, niewysoki i krępy, ale o szerokich barach anamionujących nie lada krzepę, był najwyraźniej pod wrażeniem bystrości kompana.

- Nieczęsto widuje się tu książąt, Lafe - powiedział z naiwną i niemal nabożną miną.

- Dureń z ciebie, Reese - warknął jego rozmówca.-Znam takich, co sporo zapłacą za taką wiadomość. Ruszaj do karczmy "Pod Dwunastoma Stołkami" na skraju pustyni - nasze ptaszki z pewnością pojedą właśnie tamtędy. Wiesz, o kogo pytać. Powiedz naszym keshzańskim przyjaciółom, że krondorscy książęta i ich eskorta wkrótce wyruszą ze Stardock i że nie będą podróżowali oficjalnie, ale potajemnie. Towarzyszy im niezbyt liczna grupa jeźdźców. Poczekaj tam na mnie. I nie przepij wszystkiego, co ci dałem, bo wyrznię ci podroby i rzucę sępom na pożarcie!

Reese spojrział na kompana tak, jakby zastanawiał się, czy można być do tego stopnia okrutnym.

84

- Ja pojedę za nimi i prześlę wiadomość, jeśli ruszą innym szlakiem. Z pewnością wiozą złoto i prezenty na urodziny imperatorowej. Jest ich zaledwie dwudziestu kilku... jeśli bandyci poderzną im gardziołka i dadzą nam nasz udział, obłowimy się tak, że powinno wystarczyć nam do końca życia.

Człowiek nazwany Reesem spojrzął ku brzegowi.

- Lafe... a jak mam się dostać na drugą stronę. Wszyscy przewoźnicy są na weselu.

- Uprowadź jakąś łódkę, baranie! - syknął wyższy przez poczerwiałe zęby.

W oczach Reese'a pojawił się błysk zrozumienia - sam najwidoczniej nie potrafiłby wpaść na tak skomplikowane rozwiązanie.

- Dobra. Podjem sobie tylko i...

- Nie, do licha! Ruszaj natychmiast! - rozkazał wyższy. popychając kompana ku brzegowi. - Zwiń coś w wiosce! To nie powinno być trudne... wszyscy chyba przyleźli tutaj. Ale uważaj... kilku mogło tam zamarudzić. - Reese odwrócił się i ruszył brzegiem, rozglądając się za łódką na tyle małą, by mógł z nią sobie poradzić w pojedynkę.

Lafe prychnął z pogardą i odwrócił się ku zastawionym stolom. Grające głodowego marsza kiszki powiedziały mu, że propozycja Reese'a nie była wcale głupia, ale wrodzona przewrotność kazała mu stale mieć się na baczności. Siedzący przy stole biesiadnym książe wcale nie podzielali radości nowożeńców. Obaj nie mogli się doczekać, by jak najszybciej ruszać dalej. James nie chciał im zdradzić, kiedy to nastąpi, choć Locklear napomknął, że mimo niespodziewanej zwłoki, jaką spowodowały wydarzenia ostatnich dwu dni, nie zabawią tu zbyt długo.

Niespodziewany wybuch uczuć i natychmiastowa decyzja o małżeństwie powzięta przez Jamesa zdumiała bliźniaków, niepomrotnie bardziej jednak zaskoczyła ich zgoda ojca na ślub barona i szybkość rozwoju wydarzeń. Życie nauczyło ich, że niczego nie otrzymuje się za darmo.

Do tej pory żyli w świecie nagłych wydarzeń, gdzie spokój w każdej chwili mógł zostać zakłócony jakimś nieszczęściem. Wojny, zaraza, klęski żywiołowe czy choroby były nieustannymi zagrożeniami - obaj młodzieńcy zaś przeżyli większą część życia w pałacu, gdzie obserwowali, jak ich ojciec codziennie musi stawiać czoło takim właśnie wydarzeniom. Na jego biurko napływały meldunki o poważnych granicznych utarczkach z Kesh, dokumenty dotyczące sporów

85

kompetencyjnych gildii i cechów, wiadomości o głodzie czy suszy w odległych prowincjach ojciec zaś jakoś sobie z nimi radził.

I obaj nauczyli się obojętności - nigdy nie dawali się ponieść entuzjazmowi chwili. Toteż teraz byli znudzeni.

Borric łyknął piwa i westchnął ciężko: - To najlepsze, jakie tu mają, czy co?

- Niestety, chyba tak - odparł Erland. - Jeśli miałbym sądzić po tym, co piłem do tej pory, warzenie piwa nie należy do sztuk, jakie opanowano tu w stopniu choćby zadowalającym. Ale może we wiosce znajdzie się coś lepszego. - Obaj bracia wstali i skłonili się lekko nowożeńcom, którzy z kolei kiwnięciem głów skwitowali dyskretną rejteradę księżąt.

Gdy mijali inne, ustawione w kwadrat stoły, Borric zapytał: - Gdzie cię niesie?

- Nie mam pojęcia - odparł Erland. - Położę trochę po okolicy. Muszą gdzieś tu być jakieś rybackie córeczki. Widziałem parę ładnych buziaków. Chyba nie wszystkie są zamężne dodał, udając beztroskę.

Tymczasem kiepski humor Borika chyba się pogłębił.

- A ja naprawdę chciałbym już opuścić to gniazdo zaklinaczy i ruszyć w

dalszą drogę.

Położył dłoń na ramieniu brata i obaj oddalili się w milczeniu. Nieustanne kazania na temat odpowiedzialności, jakich im ostatnio nie szczędzono, sprawiły, że obaj czuli się jak więźniowie i nie mogli się już wprost doczekać jakiejś zmiany.

Życie wydawało im się nudne i bezbarwne.

86

ROZDZIAŁ 5 - NA POŁUDNIE

Gwardziści wybuchnęli śmiechem.

James odwrócił się, by zobaczyć powód ich rozbawienia. i ujrzał dwu zbliżających się książąt. Erland miał na sobie ciężką kolczugę, która wyglądała na równie trudną do przebicia jak kowadło, i ważącą przynajmniej pięć razy tyle, co zwykły skórzany pancerzyk, jaki wdziewał w normalnych okolicznościach. Przez ramię przerzucił też jaskrawoczerwoną opończę. Ryk śmiechu gwardzistów wywołał jednak jego brat - ten włożył długą szatę, okrywającą go od czubka głowy po pięty. Miała ona krój opończy, porażająco szkarłatną barwę, a wokół kaptura i na mankietach złotą nicią wyszyto jakieś tajemnicze symbole - łatwo można było wysnuć wniosek, że jeszcze w niedalekiej przeszłości pysznił się nią jakiś mag, na którego widać przyszły ciężkie czasy. Zamiast miecza u boku, Borric trzymał w okrągłej pochwie długi, drewniany posoch ozdobiony na czubku mlecznobiałą sferą. Kulgan czy jeden z keshkańskich magów byłby w tym wszystkim wyglądał prawie normalnie; na widok Borrika nawet ponury grabarz uśmiełby się serdecznie. Zbliżający się właśnie Locklear zareagował jak pozostali i niemal zwił się ze śmiechu.

- Co oni znów wymyślili?

- Nie mam pojęcia - westchnął James. I zwracając się do książąt, spytał: - Co wam strzeliło do łbów?

- Nic takiego.. , - uśmiechnął się szeroko Erland. - Po prostu trafiliśmy na miłośników pokier... tu nazywają tę grę pokerem. Mieliśmy dość kapryśne szczęście. James wzruszył ramionami, zastanawiając się raczej, jak długo Gamina każe mu czekać. Zostawił małżonkę w jej komnatach. gdzie pakowała rzeczy, które miała zabrać w podróż do Kesh. Resztę trzeba będzie przesać do Kronodoru, ale tym zajmie się Po powrocie z imperialnych obchodów Najszlachetniejszych Urodzin.

- Przegrałem opończę z jakimś przewoźnikiem, miecz zaś t z jegomościem, który pewnie zaraz wymienił go na bukłak wina - usprawiedliwiał się tymczasem Borric. - Potem napatoczył się jakiś magik, który miał pecha do kart i nie dość rozumu, by się i w porę wycofać. Spójrz tylko na to.

James zobaczył, że starszy z braci trzyma w dłoniach dziwacznie wyglądającą długą laskę.

87

- No dobrze. Co to takiego?

Bornc wyjął posoch z jego pochwy i podał Jamesowi.

- To przedmiot pełen magicznych mocy. Kryształowa kula na czubku świeci w ciemnościach, nie potrzebujesz więc martwić się o latarnie czy pochodnie. Wczoraj w nocy widzieliśmy, jak to działa. Niezwykle interesujące.

James kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć, że rozplywa się z zachwytem.

- I co jeszcze?

- Nic... poza tym, że to całkiem niezła laska do podpierania się przy chodzeniu

- odparł Erland. I dodał, zwracając się do brata: - Ale założę się, o co zechcesz, że kiedy tylko zobaczysz, iż ktoś leci na ciebie z zakrwawionym kordelasem w ręce, poczujesz nagły przypływ tęsknoty za swoim mieczem.

- Zgadzam się z przedmówcą - mruknął James.

- Cóż... kupię miecz, kiedy tylko dotrzemy do jakiegoś cywilizowanego miasta-przyznał Bornc.

- Przy okazji nie zapomnij o zwykłej kurtce i spodniach. To, co masz na sobie, wygląda idiotycznie... - westchnął James. - Chcesz zobaczyć coś prawdziwie idiotycznego? - wybuchnął śmiechem Locklear. - Dalej, Borric, pokaż mu buty! Szczercząc zęby, Bornc podciągnął w górę skraj swej szaty i James potrząsnął głową. Młody książę miał na stopach sięgające do połowy łydek skórzane jaskrawoczerwone ciżmy z zawijanymi noskami, ozdobione wyszywanymi złotą nicią wizerunkami orła.

- To też wygrana.

- Sądzę, że ich poprzedni właściciel serdecznie się ucieszył, kiedy zorientował się, że przegra - skwitował to James. W tych szatkach mógłbyś otwierać karnawał błaznów. Przykryj choćby buciki, jeśli łaska, bo spłosisz konia przy wsiadaniu dodał, wskazując zdumiewający kontrast pomiędzy czerwienią i żółcią butów i szkarłatem opończy. Spojrzawszy zaś na Erlanda, powiedział: -Ty wyglądasz, jakbyś sam jeden zamierzał podbić cały Kesh. Do licha... ostatni raz widziałem kolczugę za czasów bitwy pod Sethanonem.

Locklear, który jak James miał na sobie prostą tunikę i skórzany kubrak, powiedział tylko:

- Wiesz, kiedy dotrzemy na skraj pustyni, pokochasz tę kolczugę prawdziwie

głęboką miłością.

88

Erland byłby może się odciął, w tejże jednak chwili pojawili się Gamina i jej rodzice. Pug wspierał Katalę i James pojął, że jego teściowa w istocie była ciężko chora. Nie umiałby rzec, czy widoczną w jej wyglądzie zmianę spowodowały trudy poprzedniego weselnego dnia, ulga matki, która widzi, że nie jest już potrzebna pociechom, czy też nagły postęp choroby. Każdy, kto na nią spojrział, widział wyraźnie, że w najlepszym wypadku pozostało jej już tylko kilka tygodni życia. Małżonkowie podeszli do odjeżdżających i Katala odezwała się spokojnie, jakby mówiła o pogodzie:

- Musimy się pożegnać, mój drogi.

James kiwnął tylko głową. Ziomkowie Katali byli ludem dumnych wojowników, którzy zawsze mówili to, co myśleli. Wyjaśnił mu to Pug i młody baron zachował się odpowiednio.

- Będzie nam ciebie brakowało - powiedział po chwili milczenia.

- Mnie również będzie was brakowało. - Kobieta wyciągnęła dłoń i lekko dotknęła piersi młodego barona tuż nad sercem. - Ale przecież tak naprawdę tracicie mnie tylko z oczu. Żyjemy zaś tak długo, jak długo pamiętają nas bliscy i przyjaciele.

James pochylił głowę i ucałował ją w policzek, gestem, w którym było tyleż szacunku co sympatii.

- Nigdy cię nie zapomnimy - powiedział po prostu. Kobieta odpowiedziała mu podobnym pocałunkiem i odeszła, by pożegnać się z córką.

Pug skinieniem dłoni wezwał Jamesa, by ten poszedł za nim. Kiedy się

oddalili poza zasięg słuchu pozostałych, mag powiedział:

- Dziś w nocy Katala wraca do swoich. Nie istnieje już żaden powód do zwłoki, jeśli zaś nie zrobimy tego teraz, może nie przetrzymać podróży od wyjścia Przetoki na Kelewanie do granicy Thuril. Mam oczywiście przyjaciół, którzy chętnie udzielą jej pomocy... ale i tak zbyt ciężka to podróż, by ktoś w jej stanie odbywał ją samotnie.

James podniósł tylko brwi:

- Nie zamierzasz jej towarzyszyć? Pug potrząsnął głową.

- Mam inne sprawy, którymi muszę się zająć. Młody baron mógł tylko westchnąć.

- Czy... czy jeszcze kiedyś się... - Zamierzał oczywiście spytać beztróska, kiedy się zobaczą, ale coś w oczach Puga sprawiło, że słowa zamarły mu w ustach.

89

Pug obejrzał się przez ramię na żonę i córkę, które stojąc w milczeniu, trzymały się za ręce. Obaj - i Pug, i James wiedzieli, że kobiety porozumiewają się myślami.

- Prawdopodobnie nie... Podejrzewam, że jeśli raz jeszcze miałbym przejść przez to wszystko, niewielu witałoby mnie z fanfarami... widzieliby we mnie bowiem zwiastuna straszliwych wieści... może spodziewaliby się czegoś takiego jak nowy Sethanon.

Przez chwilę James milczał. Był jeszcze chłopcem, kiedy na Królestwo runęły armie moredhelów, Braci Mrocznego Szlaku, zebrane pod sztandarami fałszywego proroka, Murmandamusa. Tamte dni na zawsze ostro wryły się w jego pamięć.

Bitwy pod Armengarem i Sethanonem pamiętał tak, jakby toczono je wczoraj, i nie

umiałby nawet zapomnieć widoku nieba rozdieranego skrzydłami Smoczej Sfory wracających po swe dziedzictwo Valheru - a ich powrót wieścił zagładę wszelkiego życia. Zdumiewające zwycięstwo, jakie lud Midkemii zawdzięczał wysiłkom Puga, Tomasa z Elvandaru, Czarnego Macrosa i Aruthy było zdarzeniem, które James nadal jeszcze nie w pełni pojmował. Po dłuższej chwili odezwał się z powagą:

- Nigdy nie zjawiałeś się wtedy, kiedy mogliśmy poradzić sobie bez ciebie...

Pug wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie jest to stwierdzenie do końca prawdziwe.

- Tak czy inaczej ufam, że inni doprowadzą do końca dzieło, które zaczęli pod moim przewodem. Ty zaś musisz im pomóc. - A cóż ja takiego mogę zrobić?

Na ustach Puga pojawił się nikły uśmiezek.

- Pierwsza rzecz, jakiej od ciebie zażądam, nie będzie chyba przedmiotem sporu między nami. Kochaj moją córkę i otaczaj ją troską.

James uśmiechnął się lekko.

- Nikt mnie w tym nie wyprzedzi. - I uważaj na jej brata.

- Pug, Willy jest doskonałym oficerem. Świetnie sobie radzi i wcale nie trzeba na niego uważać. Za kilka lat będzie dowódcą Przybocznej Gwardii Aruthy.

Pug ponownie wzruszył ramionami, okazując lekkie niezadowolenie z tego, że syn nie poszedł w jego ślady. Ale spory pomiędzy magiem i jego synem nie były sprawami, o jakich chciałby teraz rozmawiać z Jamesem.

- Po wtóre, pragnąłbym, żebyś popierał niezawistość Akademii Stardock.

- Zgoda.

90

- I pamiętaj, co masz powiedzieć, jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci o mnie

mówić.

James usiłował znaleźć choć odrobinę radości w tym dość smętnym pożegnaniu, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

- Jak sobie życzysz. Choć dość dziwne to słowa... zwłaszcza tu, na wyspie, na której niemal każdy z jej mieszkańców jest biegły w Sztuce. To chyba jakiś nonsens.

Pug klepnął go po ramieniu i obaj zawrócili ku jego żonie i córce.

- Żaden nonsens. Nigdy nie daj się zwieść pozorom i nie sądź, że coś jest nonsensem tylko dlatego, że tego nie rozumiesz. James ruszył za magiem i wkrótce wszyscy się rozeszli. Kiedy kroczyli ku nabrzeżu, gdzie czekały już trzy wielkie barki, na których mieli przepłynąć przez jezioro, James obejrzał się przez ramię na Borika i Erlanda. Bracia rozprawiali z ożywieniem o czekającej ich podróży. Najwyraźniej cieszyła ich perspektywa wyjazdu z miejsca, które uznali za zapadłą dziurę, i baron pomyślał, że być może pożałują jeszcze nudy i spokoju, które zostawiali za sobą.

Lekki wiatr dął miarowo, niosąc ze sobą kąśliwe ziarenka piasku, i obaj bracia szarpnęli końskie cugle. Gamina przez chwilę przyglądała się niebu, aż wreszcie wygłosiła swoją opinię, podnosząc głos, tak by wszyscy mogli ją usłyszeć.

- Nie sądzą, by nadciągała prawdziwa burza piaskowa. Niebo wygląda trochę inaczej. Ale możemy mieć pewne kłopoty...

Wędrowali skrajem pustyni Jal-Pur, drogą do Nar Ayab, najbardziej na północ wysuniętego miasta Imperium. Krajobraz rozległego płaskowyzu był niemal równie jałowy, jak sama pustynia. Okolicę porastały rzadkie krzewy i drzewa, których skupiska widoczne były głównie nad brzegami kilku mizernych strumieni, spływających z gór zwanych przez miejscową ludność Gwiazdzistymi Kolumnami.

James wskazał dłonią odległe wzgórze, za którym znikła droga i skąd wolno zjeżdżała ku nim grupka jeźdźców.

- Keshkańska straż graniczna! - zawołał, przekrzykując coraz silniejszy szum wiatru. - Sierżancie! Czas okazać się proporcami! - Sierżant skinął na dwu jeźdźców z czoła, którzy pospiesznie wydobyli z juków części długich drzewc. Skręciwszy je sprawnie, podnieśli proporce dokładnie w tej samej chwili, w której jeźdźcy podjechali do wzgórza, na szczycie którego zatrzymali się Krondorczycy. Dwa wąskie proporce Królewskiego Domu, każdy z inną oznaką starszeństwa (Bornc 91 przed Erlandem), zatrzepotały przed podejrzliwymi oczyma nadjeżdżających strażników.

Ciemnoskóry dowódca patrolu, o zmierzwionej, pokrytej pyłem bródce, zatrzymał swoich ludzi. Każdy z nich dzierżył w dłoni łuk, przełożony teraz przez łęk siodła, i osłaniał ramię okrągłą skórzaną tarczą z metalowym sednem. Każdy też miał przytroczony na krótkich rapciach jatagan i umocowaną do strzemienia lekką lancę. Wszyscy odziani byli w grube luźne spodnie wpuszczone w cholewy wysokich butów, białe lniane koszule, skórzane kurtki i metalowe hełmy, których misiurki uzupełniono chustami, zwisającymi jeźdźcom na karki. Borric wskazał to Erlandowi:

- Dobry pomysł, prawda? Osłaniają karki przed słońcem, a jeśli zacznie dąć dokuczliwy wiatr, mogą chustami okryć twarze.

Erland westchnął tylko przeciągle i żałośnie. Odzianemu w ciężką kolczugę młodzieńcowi upał doskwierał bardziej niż innym. Dowódca patrolu dał koniowi ostrogę i podjechał do przodu.

Zatrzymując się przed Jamesem. Zmierzył wzrokiem kompanię obszarpańców, nie bardzo chcąc uwierzyć, że ci brudni i zmęczeni jeźdźcy to wysłannicy Królestwa Wysp. W końcu oddał honory. podnosząc leniwie prawe ramię otwartą dłonią do czoła i pozwolił jej opaść na koński kark. - Witajcie... panowie... i ty, łaskawa pani.

James pchnął konia ku przodowi.

- Jestem earl James z Kronodoru i mam honor przedstawić waszmości Ich Książęce Wysokości, Borika i Erlanda.

Obaj książęta lekko skłonili głowy, na co Keshanin również odpowiedział niedbałym pochyleniem czoła.

- Sierżant Ras-al Fawi, milordzie. Co sprawiło, że wasza boska kompania raczy podróżować przez tak nędzny kraj?

- Jedziemy do stolicy Keshu na obchody urodzin imperatorowej.

Sierżant wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że zwykli śmiertelnicy nie potrafią pojąć powodów, dla których bogowie postępują tak, a nie inaczej. Nie potrafią ich także pojąć posługujący się zdrowym rozsądkiem żołnierze.

- Gotów byłbym się założyć, że tak szlachetni panowie podróżują w towarzystwie bardziej okazałego orszaku.

92

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej i konie zaczęły niecierpliwie drobić w miejscu. James podniósł głos, by przekrzyknąć świst wichury.

- Mości sierżancie, sądziliśmy, że mądrzej będzie podróżować szybko i skrycie. Czy możemy jechać dalej?

Podoficer skinieniem dłoni polecił swoim ludziom ruszać dalej.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Wraz z całym patrolem udajemy się teraz do gospody "Pod Dwunastoma Stołkami", by przeczekać burzę pod dachem. Proponuję, byście się do nas przyłączyli.

- Będzie niebezpiecznie?

Sierżant, podobnie jak niedawno Gamina, spojrzął ku horyzontowi.

- Któż to może wiedzieć, Wasza Miłość. Piaskowe burze, które rodzą się w Jal-Pur, mogą trwać krótko... albo bardzo długo. Gdybym był hazardzistą, zaryzykowałbym zakład, że ta nie będzie czymś większym niż zwykła niedogodność w podróży. Ale my przeczekamy ją pod dachem.

- A my pojedziemy dalej - postanowił James. - Na ostatnim postoju zabawiliśmy dłużej, niż zamierzaliśmy, i nie chcielibyśmy spóźnić się na rozpoczęcie obchodów urodzin.

Sierżant wzruszył ramionami, wskazując, że w zasadzie decyzja cudzoziemców jest mu obojętna.

- Obrza imperatorowej, oby jej sława przetrwała wieki, to oczywiście coś, czego za wszelką cenę należy unikać. Okazuje ona często łaskę, ale rzadko przebacza. Niechaj zatem wiodą was bogowie!

Skinieniem dłoni kazał swoim ruszać, a wysłannicy Królestwa zacięli konie i zjechali w dół. James wskazał towarzyszom zakurzoną ścieżkę, która na północnych rubieżach Imperium uchodziła widać za szlak wędrowny.

Gdy mijali milczących Keshan, Borric skinieniem głowy wskazał ich

Erlandowi, który również bacznie przyglądał się brudnym i znużonym żołnierzom.

Każdy wyglądał na wojownika, który bywał w niejednej potrzebie.

- Granicę trzymają dla Kesh weterani - powiedział do brata.

Jimmy, który usłyszał to przypadkiem, nie wytrzymał i powiedział głośno:

- W Kesh nie brakuje doświadczonych weteranów. Każdy, kto odsłużył swoje dwadzieścia lat, spędził ten czas na tłumieniu powstań i wojen domowych. Niemal dziesiąta część ich armii służy na granicach.

- To dlaczego się nas boją? - spytał Bornc. James potrząsnął tylko głową.

93

- Wszystkie ludy boją się swoich sąsiadów. Jest to jedna z niezaprzeczalnych prawd... taka jak ta, że na niebie krążą trzy miesiące. Jeśli twój sąsiad jest potężniejszy od ciebie, obawiasz się inwazji i zaboru. Jeśli jest słabszy i uboższy, obawiasz się jego nienawiści, dlatego sam najeżdżasz jego ziemię. Prędzej czy później wybucha wojna.

- Ale przynajmniej masz co do roboty - zaśmiał się Erland.

James spojrział na Lockleara. Obaj mieli dość wojen, zanim doszli do wieku obu księząt. Obaj też nie pochwalali wojowniczych upodobań młodzika.

- Jeźdźcy!

Żołnierz wskazał odległą połąć horyzontu, gdzie podmuchy coraz gwałtowniejszej wichury wzbity w niebo mroczną chmurę piasku, która gnała ku podróżnikom. Wśród kłębow kurzawy widać było sylwetki gnających na złamanie karku konnych. Niespodziewanie, jakby okrzyk żołnierza był sygnałem, jeźdźcy rozproszyli się w ławę i jeszcze przyspieszyli.

- Gamina! Do tyłu! - ryknął James, dobywając miecza. W następnej chwili jego żołnierze z tyłu kolumny puścili wodze luzaków i porwali za oręż.

- Bandyty! - krzyknął jeden z nich, podjeżdżając do Borrika. Księżę odruchowo sięgnął po miecz - i zamiast niego znalazł dziwaczną laskę. Klnąc

sąźniście, zawrócił konia i cofnął się na tyły kolumny, gdzie zajął się zebraniem w kupę jucznych koni, tak, żeby się nie rozpierzchły. Przekonawszy się, że nie da rady czwórce zwierząt, zeskoczył z siodła i wziął w dłonie wodze dwu z nich.

Szczęk stali uderzającej o stal zmusił go do odwrócenia się tyłem do wiatru - w samą porę, by zobaczyć, jak pierwsi opryszkowie padają w piach ścięci przez ludzi z jego eskorty. Rozejrzał się też w poszukiwaniu Erlanda - nie mógł jednak dostrzec brata, wszystko bowiem przesłoniły mu końskie zady i tumany piasku.

Znów usłyszał rozpaczliwe rżenie konia i przekleństwa, jakimi obsypał rumaka spadający na piasek jeździec. Potem gdzieś niedaleko rozległ się szczęk miecza o tarczę, stęknięcie i seria okrzyków, wśród wycia wiatru niemal zupełnie niezrozumiałych. Bandyci świetnie wybrali moment ataku, nadciągając z wiatrem w chwili, kiedy podróżników oślepił piasek. I udało im się wywołać nieliczne zamieszanie wśród karnych skądinąd żołnierzy z Wysp.

Ludzie Aruthy byli jednak zahartowanymi w bojach weteranami, wybranymi spośród najlepszych-i szybko się przegrupowali. Błyskawicznie zebrali się wszyscy wokół barona Lockleara, który wydawał rozkazy najbliższym, ci zaś

94

powtarzali je sąsiadom. I wtedy w kompanię uderzył potężny piaskowy huragan. Wokół zapanował mrok, jakby niespodzianie zgasło słońce.

Otoczony chmurami kąśliwego piachu Borric na próżno usiłował zapanować nad przerażonymi wyciem wichury, odgłosami utarczki i zapachem krwi końmi.

Mógł jedynie zawisnąć całym ciałem na postronkach i opierać się, powtarzając uspokajające okrzyki. Dwa luzaki, doświadczone już w bitwach, usłyszawszy bojowe okrzyki, uspokoiły się nawet, ale juczne konie wpadły w panikę.

Borric stracił równowagę i puścił wodze. Runął na ziemię. przetoczył się kilkakrotnie i stanął na równe nogi. Pomyślał o Gaminie, zastanawiając się, czy dziewczyny nie stratują spłoszone konie. Wykrzyczał jej imię, przemagając wycie wiatru. I usłyszał w myśli odpowiedź: Nic mi nie jest. Zatroszcz się o siebie. Ja postaram się uspokoić zwierzęta.

Usiłując odpowiedzieć jej w myślach, na wszelki wypadek wrzasnął co sił w płucach:

- Uważaj na bandytów! Będą chcieli porwać nam bagaże... to znaczy juczne konie! - Rozejrzał się dookoła, licząc na to, że znajdzie jakąś porzuconą broń, ku swej rozpaczy jednak nie zobaczył niczego, co nadawałoby się choćby do bitki w domu starców.

Nagle ujrzał jeźdźca-jednego z jego własnych gwardzistów. który galopował ku niemu, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Jednocześnie wyczuł za sobą czyjąś obecność. Okręciwszy się na pięcie. ujrzał zmierzających ku niemu dwu napastników - jeden rzucił się z wyciągniętym jataganem ku żołnierzowi gnającemu w sukurs księciu, drugi skierował swego konia prosto na Borrika.

Pierwszy z napastników startł się z obrońcą, Borric zaś zebrał się w sobie i skoczył, wyciągając dłoń ku uprząży lecącego nań konia. Szarpnąwszy potężnie, zachwiał wierzchowcem napastnika i jeździec upadł w piach. Koń jednak uderzył Borrika piersią i księżę ciężko upadł na plecy. Szybko porwał się na nogi i odskoczył w bok, spodziewając się ataku. Napastnik także zdołał się pozbierać - miał jednak znacznie sposobniejszy oręż. Borric wyrwał z pochwy swoją laskę i uniósł ją oburącz nad głową. Opryszek zamachnął się potężnie, księżę zdołał jednak sparować uderzenie i przemykając pod jego mieczem, przedarł się do zwarcia. Wykorzystał to

natychmiast, uderzając zwięźczeniem laski w brzuch napastnika i nie bez satysfakcji usłyszał, jak trafiony stęka boleśnie i wciąga powietrze w płuca. Łotrzyk zgiął się wpół, co widząc, Borric wyrzwał go laską w łeb i pozbawił przytomności.

95

Nie bawiąc się w sprawdzanie skutków swego ciosu, chwycił miecz napastnika - krótki, ciężki kord, nadający się raczej do rąbaniny w tłoku, nie tak ostry jak jatagany pozostałych napastników i nie tak smukły jak rapier.

Odwrócił się, usiłując zobaczyć, jak potoczyły się losy potyczki, mógł jednak dostrzec tylko kłębiące się bezładnie i klnące szańście cienie. Potem usłyszał, nie, raczej wyczuł, jakiś ruch za sobą. Błyskawiczne odsunięcie się w bok uratowało mu życie cios, który miał roztrzaskać jego czaszkę, ześlizgnął się po skroni. Padając niczym wór, zdołał jakoś przetoczyć się w bok, spróbował uciec jeźdźcowi, który zaskoczył go od tyłu. Podniósł się na kolana i prawie udało mu się wstać, kiedy został uderzony końską piersią-napastnik posłużył się koniem jak taranem.

Oszołomiony książę znów upadł na plecy i mógł tylko obserwować tępym wzrokiem, jak jeździec sfruwa z siodła i staje obok niego. Wszystko pomieszało się razem - kłęby kurzu, świst wichury, rżenie koni... i Borric mętym i prawie nieobecny wzrokiem spostrzegł, jak rabuś podnosi obutą stopę i kopie go w głowę.

James zawrócił konia i pognał, by przechwycić napastnika, który ruszył ku luzakom. Do tej pory Krondorczycy stracili dwu ludzi, Locklear zaś wdał się w wymianę ciosów z pędzącym konno napastnikiem. Rabuś nie dotrzymał pola byłemu złodziejaskowi który korzystając z chwili spokoju, szybko rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu obu książąt. Ujrzał, jak Erland potężnym ciosem miecza powala jednego z rabusiów na ziemię, nigdzie jednak nie mógł dostrzec

Borrika. Przez wycie wiatru usłyszał okrzyki Lockleara:

- Do mnie! Do mnie! - Odłożywszy poszukiwania Borrika do sposobniejszej chwili, James dał koniowi ostrogę i skierował go szparko ku grupce wyspiarzy. Szybko wydane rozkazy spowodowały, że tam, gdzie jeszcze przed chwilą była zbieranina pierzchających w różne strony zaskoczonych strażników, pojawił się na powrót karny oddział najprzedniejszych jeźdźców Królestwa, gotów odeprzeć kolejne natarcie pustynnych opryszków.

Chwilę później najeźdźcy runęli na nich i na piaskach rozgorzała zacięta bitwa. Przez wycie wichury dały się słyszeć wściekłe wrzaski i okrzyki bólu. James czuł jednocześnie ulgę i strach, których oszalamiającą mieszaninę pamiętał spod Sethanonu. Uderzył na najbliższego z napastników i zmusił go do ucieczki, w następnej jednak chwili wzmagający się napór burzy wszystkim uniemożliwił walkę. Otaczał ich tylko piasek i wiatr. Musieliby walczyć na oślep, ponieważ nie sposób było zobaczyć cokolwiek wśród burzy. Ludzie daremnie usiłowali osłonić

96

twarze rękawami czy skrawkami zawojów - jedyną ulgę zapewniało odwrócenie się tyłem do wiatru. I nagle burza ucichła...

James usłyszał zdumione stęknienie i paskudny bulgot krwi, zalewającej czyjeś gardło, po czym wszędzie dookoła niego rozległ się szczeł stali... i na piaskach ponownie rozgorzała zacięta walka. Miecze uderzały o szable i jatagany, a wyspiarze ponownie zwarli swe szyki i zaczęła się niemiłosierna kośba, w której bieglejsi w szermierce Krondorczyki znacznie górowali nad opryszkami.

Zaraz potem jednak znów uderzyły w nich skrzydła wiatru i ponownie trzeba było zapomnieć o walce. Podmuchy wichury dosłownie oślepiły i odwrócenie

twarży w stronę, z której wiatr wiał, oznaczało ryzyko utraty wzroku. James osłonił twarz i odwrócił konia zadem ku napastnikom, świadom boleśnie swej bezbronności - niczego jednak nie mógł zrobić, jedynym zaś pocieszeniem była myśl, że tamci są dokładnie w takiej samej sytuacji. Niespodziewanie napór wiatru zelżał i baron odwrócił konia ku wrogom, gotów odeprzeć atak każdego napastnika. Ci jednak zniknęli w zawierusze niczym piaskowe duchy.

Rozejrzawszy się, ujrzał wokół siebie jedynie wyspiarzy. Locklear wydał rozkazy i cała kompania zsiadła z koni, trzymając je silnie za wodze i przeciwstawiając się kolejnym podmuchom burzy. Wszyscy odwrócili się plecami do wiatru i czekali, aż nawałnica się uspokoi.

- Czy jesteś ranny? - ryknął Locklear, przekrzykując wycie wiatru.

James zaprzeczył, machając ręką. - Co z Gaminą? - spytał o żonę. Locklear gestem wskazał na tyły.

- Odesłaliśmy ją do juczych koni. O ich bezpieczeństwo miał zadbać Borric.

I wtedy w myślach Jamesa rozległ się głos żony:

Jestem, kochany. Nic mi się nie stało. Ale bandyci uprowadzili Borrika i jednego z gwardzistów.

- Gamina mówi, że uprowadzono Borrika i jednego z gwardzistów! - powtórzył James.

Locklear zaklął siarczyście.

- Do licha, teraz jesteśmy bezradni... możemy jedynie czekać, aż burza przeminie.

James usiłował rozeznać się w otaczającym ich półmroku, ale z trudem dostrzegał przedmioty oddalone o trzy kroki. Rzeczywiście, mogli jedynie czekać.

Borric stęknął, gdy silny kopniak w żebra przywrócił mu zdolność myślenia.

Gdzieś w górze wiatr wyl z całą mocą, ale w głębi wąskiego jaru, w którym schronili się bandyci, było dość spokojnie. Młody książę uniósł się na łokciu i odkrył, że dłonie skuto mu dziwacznie wyglądającym łańcuchem.

Obok niego leżał mocno skrępowany sznurami, nieprzytomny krongorski gwardzista. Mamrotał coś niewyraźnie. Zasnęta krew na zmierzwionej czuprynie wskazywała na poważną ranę głowy. Borrikowi nie dano czasu na rozważanie stanu zdrowia towarzysza, bo został brutalnie chwycony za włosy i jakiś człowiek - ten sam, który przed chwilą obudził go kopniakiem odwrócił go ku sobie. Człowiek ów przykucnął teraz przed młodym księciem. Był to chuderlawy jegomość z mizerną bródką, którą przy odrobinie dobrej woli można by uznać za niedokładnie wygolony zarost. Nieznajomy zawiązał na głowie turban, który kiedyś mógł uchodzić za piękny, teraz jednak wyglądał na spłowiałą i zawszoną szmatę. Opryszek miał na sobie zwykle portki i kurtkę, nogi zaś obuł w wysokie skórznie. Nad nim stał jego towarzysz, odziany w wyświechtaną, skórzaną kurtkę, którą włożył na goły tors. Ten ogolił sobie łeb, zostawiając jedynie pojedynczy kosmyk zwisający z czubka głowy, w ucho zaś wpiął potężnych rozmiarów złoty kolczyk. Po tych znakach Borric natychmiast rozpoznał w nim łowcę i handlarza, członka niesławnej Gildii Łapaczy Niewolników z Durbinu.

Pierwszy z nieznajomych, spojrzawszy na Borrika, kiwnął głową, potem przeniósł wzrok na nieprzytomnego gwardzistę i wykonał gest świadczący o jego szczerym rozczarowaniu. Łapacz brutalnie poderwał Borrika na nogi, a chudeusz dobył noża i zanim książę zdążył się zorientować w jego zamiarach, poderznął

gardło nieprzytomnemu więźniowi.

- Żadnych sztuczek, zaklinaczu! - szepnął ochryple łapacz wprost w ucho

Borrika. - Te łańcuchy zniweczą twoją magię albo wypruję bebechy z Moskatoniego

Handlarza. Wyniesiemy się stąd, zanim twoi przyjaciele zdążą nas tu odnaleźć.

Powiedz choć jedno słowo na głos i jesteś trupem! - mówił dialektem północnych

provincji Keshu.

Bornc, który nadal pozostawał oszołomiony po kopnięciu, jakim

potraktowano jego książęcą głowę, zdołał tylko niemrawo machnąć dłonią na znak,

że zrozumiał. Łapacz pociągnął go ku wylotowi jaru, gdzie grupka spieszonych

jeźdźców pospiesznie przeglądała kupkę bezładnie porzuconych tobołków. Jeden z

98

nich zaklął łagodnie i bez szczególnej pasji. Kompan łapacza minął Borrika i złapał

za ramię niezadowolonego.

- Coście znaleźli? - spytał w pustynnym patos, języku będącym luźną

mieszanką keshkańskiego, mowy ludów pustyni Jal-Pur i języka Królestwa Wysp.

- Trochę kobiecych łaszków, niewielki zapas suszonej baraniny i suchary.

Gdzie to złoto, które nam obiecano?

Chudzielec, który najwyraźniej przewodził bandzie, zaklął paskudnie.

- Zabiję tego syna dromadera i oślicy, Lafe'a. - Mówił o szlachcicach, którzy

wiozą imperatorowej całe wory złota. Handlarz żywym towarem potrząsnął głową,

jakby tego właśnie oczekiwał.

- Powinieneś być mądrzejszy i nie ufać temu durniowi. Spojrzał w górę, na

brzegi jaru, gdzie wiatr powoli cichł. - Burza się kończy. A kompani tego tu chwata -

kiwnął głową ku Borkowi - są o kilka kroków od nas. Lepiej, żeby nas tu nie znaleźli,

kiedy wiatr ucichnie całkowicie.

Chudzielec spojrział kompanowi w twarz.

- Kasim... nie zapominaj, że ja jestem hersztem. - Łypnąwszy okiem w górę,

dodał: - Ja decyduję, kiedy mamy ruszać i gdzie się zatrzymujemy.

- Jak sobie życzysz, Luten. Chciałbym ci tylko napomknąć, że jeśli

zostaniemy, znów będziemy musieli walczyć. I tym razem oni będą przygotowani. A

w tym, co tu znaleźliśmy, nie było niczego, co pozwalałoby mi żywić nadzieję na

obecność w ich jukach złota i klejnotów.

Luten rozejrzał się dookoła, a jego oczy rozbłysły złowrogo. - To dobrze

uzbrojeni i wyćwiczeni żołnierze. - Zamknął oczy, potem otworzył je i zgrzytnął

zębami. Borric zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, który swoją wodzowską

pozycję zawdzięczał groźbom i gwałtownemu charakterowi, a nie przyrodzonym

zdolnościom: - Ha! - sapnął opryszek. I wskazując na Borrika, zdecydował: - Zabij

go i ruszajmy.

Kasim stanął przed Borrikiem, jakby zamierzał go osłonić. - Umawialiśmy

się, że ja biorę jeńców. Inaczej moi ludzie nie zechcieliby współdziałać z twoimi.

- Ha! - powtórzył Luten i splunął na piach. - Nie byliście nam potrzebni. Sami

poradzilibyśmy sobie z tymi wyspiarzami. Ten bałwan Lafe nabrał nas obu.

Tymczasem wiatr wyraźnie przycichł.

99

- Nie wiem, kto jest gorszy, głupiec, czy ten, co go słucha... ale tego zucha

sprzedam na targu. Dzięki niemu jakoś wytłumaczę się przed swoimi w Durbinie.

Władze Gildii złym okiem patrzą na tych, co wracają bez choćby mizernego łupu.

Odwracając się ku Borrikowi, Luten warknął: - Ty! Gdzie jest złoto?

- Jakie złoto? - spytał Borric, udając zdziwionego. Luten podszedł i uderzył go w twarz.

- Złoto, które ci szlachcice wieźli imperatorowej!

- Szlachcice? - spytał Borric, grając na zwłokę. - Aaa... owszem, minęliśmy jakąś grupkę szlachty. Dwu... nie... trzech. z eskortą. Jechali do jakiejś karczmy.

Zaraz... chyba do "Dwunastu Stołków". Myśmy się spieszyli, bo handlarz skór, który nas wynajął, chciał dotrzeć do garbarni, zanim zacznie mu się psuć towar.

Luten odwrócił się i dał upust furii, wyjąc z wściekłości na wiatr. Dwaj ludzie, stojący nieopodal, ujęli w dłonie rękojeści szabel.

- Uspokój się - mruknął Kasim.

Luten splunął i wyjąwszy kindżał, skierował go w stronę Kasima.

- Nie rozkazuj mi, łapaczu! - Potem, z nożem w dłoni odwrócił się do Bornka.

- Ten tu nie zda mi się na nic, a ja nie zadowolę się butami w zamian za trzech

zabitych! - Bornk spojrział niżej i zobaczył, że wygrane przezeń niedawno buty

zdołyły teraz kacze stopy opryszka. Wyglądało na to, że kiedy leżał bez ducha,

dobrze go obszukano. Luten odsunął Kasima na bok i podszedł do młodego księcia. -

Tak czy inaczej, wyduszę z niego prawdę. - Cofnął dłoń z nożem, jakby zamierzał się

do pchnięcia, i nagle zeszywniał. Na jego twarzy pojawił się smutny, niemal

przepraszający uśmiech i pod opryszkiem ugięły się kolana.

Stojący z tyłu Kasim wyjął z jego pleców swój sztylet. Następnie złapał

Lutena za włosy i szarpnął jego głowę w tył.

- Nie powinieneś być mi grozić, durniu. - Błyskawicznym cięciem przejechał

swojej ofierze po grdyce i na piach trysnęła fontanna krwi. - I nie powinieneś potem

odwracać się do mnie plecami. - Gdy oczy Lutena wywróciły się białkami, Kasim

puścił nieszczęśnika, pozwalając mu upaść w piasek przed Borrikiem. - Niech to będzie dla ciebie nauczka na kolejne życie.

- Przejmuję dowodzenie! - powiedział, zwracając się do pozostałych członków bandy Lutena. Nikt się nie sprzeciwił. Rozejrzawszy się dookoła, wskazał na niewielkie zagłębienie pod stosem kamieni. - Zakopcie go tam. - Dwaj ludzie

100

chwycili ciało Lutena i cisnęli do płytkiej jamy. - Tego drugiego też. Martwy gwardzista spoczął obok swego zabójcy.

Handlarz zwrócił się do Bornka rzeczowym tonem:

- Nie rób kłopotów, a przeżyjesz. Jeśli będą z tobą jakieś Problemy, skończysz jak tamci. Zrozumiałeś?

Borric kiwnął głową.

- Szykujcie się do drogi - poleciał Kasim swoim ludziom. Potem, nie dbając o dmący mu w twarz wicher, wspiął się na krawędź jaru. Znalazłszy się tam, naparł na jeden z leżących kamieni i zepchnął go w dół, powodując lawinę, która zasypała oba trupy. Handlarz zręcznie zeskoczył w dół i rozejrzał się czujnie, jakby oczekując buntu ze strony byłych ludzi Lutena. Nie znalazł oponenta, więc wyprostował się butnie.

- Ruszamy do Oazy Złamanych Palm.

- Co ty właściwie umiesz? - zapytał stojący nad Borrikiem handlarz. Młody człowiek powoli odzyskiwał zdolność jasnego myślenia. Wciągnięto go na konia i zmuszono do jazdy ze skutymi dłońmi. Przedtem, oczywiście, skopano go na zapas, wszystko to zaś razem powiększyło tylko oszołomienie, które towarzyszyło młodzieńcowi od chwili, kiedy go pojmano. Niejasno przypominał sobie, że burza

ucichła... potem pamiętał przybycie do oazy otoczonej trzema starymi palmami, których pnie popękały w czasie jakiejś dawno minionej burzy.

Borric potrząsnął głową, by oprzytomnieć, i odpowiedział, używając formalnej dworskiej mowy Kesh:

- O jakich umiejętnościach mówisz?

Handlarz wziął jego oszołomienie za efekt uderzenia w głowę. - Jakie znasz sztuczki? Jaką władasz magią?

Borric zrozumiał wszystko. Handlarz wziął go za maga ze Stardock - co tłumaczyło te dziwaczne, krępujące mu dłonie łańcuchy. Przez chwilę miał ochotę, wyjaśnić drabowi, z kim ma honor, kiedy jednak wyobraził sobie ojca, który otrzymuje żądanie okupu, zacisnął zęby i postanowił na razie zachować swą tożsamość w tajemnicy. Jeśli będzie trzeba, zawsze jeszcze zdąży się ujawnić choćby i na targu w Durbinie - a do tego czasu może pojawić się sposobność ucieczki.

Opryszek niespodziewanie pochylił się i uderzył Borrika w twarz.

-Słuchaj no, kuglarzu. Nie mam czasu na uprzejmości. Twoi towarzysze są o kilka godzin stąd i niewątpliwie gwałtownie cię szukają. A nawet jeśli nie... to i tak

101

tu w okolicy kręci się zbyt~ wiele imperialnych podjazdów. Musimy szybko się stąd oddalić.

Nad klęczącym Borrikiem stanął inny z opryszków.

- Kasim, zabij go i ruszajmy. Na targu niewolników za magów nie dostaje się dobrej ceny. Zbyt wiele czasu zajmuje nauczenie ich posłuszeństwa.

Kasim obejrzał się tylko przez ramię.

- Teraz ja dowodzę tą bandą. I to ja decyduję, kogo zabić, a kogo zabrać na targ.

- Nie jestem magiem - usiłował wyjaśnić Borric. - Te szaty wygrałem w karty.

Drugi z opryszków pogładził się dłonią po zarośniętej gębie. - Łże jak pies.

Ima się wszelkich sposobów, byśmy zdjęli mu te okowy... a wtedy nas dopadnie.

Powiadam, zabijmy go teraz, zanim...

- Ja zaś powiadam, że jeśli nie zamkniesz gęby i nie przestaniesz marudzić, sępom dostanie się jeszcze jeden kąsek. Pogoń ludzi. Chcę, byśmy oddalili się stąd jak najszybciej, a weźmiemy się do tego, jak tylko konie odpoczną i napiją się wody.

- Do Bornka zaś powiedział: - Magu, na dnie jednego z jucznych worów znaleźliśmy trochę klejnotów. Dama, z którą podróżowaliście, miała ze sobą dość złota, bym mógł opłacić tych drabów. Ja zaś obłowię się, sprzedając ciebie. - Wydawszy niełatwe do rozszyfrowania stęknienie, opryszek oddalił się ku kompanom.

Borric zdołał jakoś usiąść i oparł się o głaz. - Nie jestem magiem!

- Ale nie jesteś też wojownikiem. Aby bez żadnego oręża przejeżdżać nawet brzegiem Jal-Pur, trzeba albo być człkiem wielkiej wiary, albo mieć ze sobą liczną eskortę. Wiara jest dla kapłanów... ty zaś kapłanem nie jesteś. Nie wyglądasz mi też na durnia, ale być może się mylę. - Przerzucając się z keshkańskiego na język

Królestwa Wysp, zapytał niespodziewanie: - Skąd jesteś?

- Z Krondoru... - Bornk pomyślał, że w razie czego może tłumaczyć się bólem głowy. - Ale sporo podróżowałem. Łapacz przysiadł na piętach i oparł ramiona o kolana.

- Właściwie to jesteś jeszcze niemal chłopcem. Po keshkańsku mówisz jak

dworak, a twój kronadorski jest niemal równie dobry. Jeśli nie jesteś magiem, to kim?

102

- Ja... jestem nauczycielem - odparł Borric, zmyślając na poczekaniu. - Znam kilka języków. Umieję pisać, czytać i rachować. Znam historię i geografję. Potrafię wyrecytować imiona wszystkich królów i imperatorów, znam nazwiska rodów magnackich i wielkich kupców...

- Dość! - uciął Kasim. - Przekonałeś mnie. A więc jesteś nauczycielem... Cóż, niektórzy bogacze potrzebują wykształconych ludzi, by uczyli ich dzieciarnię. - Wstał, nie czekając na odpowiedź Borrika. Odchodząc, rzucił niedbale przez ramię: - Słuchaj no... na nic mi się zdasz jako nieboszczyk, ale nie należę też do ludzi słynących z cierpliwości. Jeśli chcesz przeżyć. nie sprawiaj żadnych kłopotów. W przeciwnym razie zabiję cię tak samo łatwo, jak spluwam na piasek. - I zwracając się do czekających na rozkazy opryszków, ryknął: - Na koń! Do Durbinu!

103

ROZDZIAŁ 6 – DYLEMAT

Erland zawrócił swego konia.

- Borric! - ryknął, przekrzykując wycie burzy.

James i gwardziści obserwowali to wszystko z miejsca, w którym stali, trzymając konie za uzdy. Niedawno mianowany earl nie wytrzymał.

- Złaź z konia... zanim się spłoszy!

Klacz, której dosiadał Erland, w istocie rżała i parskła, przerażona wyciem wichury, żądającym ją zewsząd piaskiem i uderzającymi wokół piorunami. Mimo wysiłków księcia była bliska paniki. Księżę tymczasem zignorował rozkazy Jamesa

i, krążąc wokół, nieustannie nawoływał brata.

- Borric... !

Stojąca obok męża Gamina powiedziała:

- Niełatwo mi się skupić w tych warunkach, ale wyczuwam jakieś myśli z tamtej strony. - I zasłoniwszy twarz przedramieniem, odwróciła się ku zachodowi.

- Jest tam Borric? - spytał Locklear, który stał obok Jamesa plecami do wiatru.

Gamina podniosła ramię wyżej, zakrywając twarz rękawem. - Niestety, nie.

Przykro mi, nie znam tamtych ludzi, ale żaden z umysłów, których dotknęłam, nie należał do Borrika. Kiedy usiłuję sobie przypomnieć, jak jego myśli zanikły podczas bitwy...

- Nic ci nie wychodzi - dokończył za nią James. - Może jest nieprzytomny - zasugerował Locklear.

- Owszem... -odpowiedziała Gamina. -Jeśli go ogłuszono albo uprowadzono dalej... wówczas, tak... mogłoby się zdarzyć, że bym go nie odnalazła. Moje możliwości ogranicza siła i ćwiczenie umysłu, z którym się kontaktuję. Z ojcem na przykład mogę rozmawiać na odległości setek mil, a bylibyście zdumieni, usłyszawszy, z jak nieprawdopodobnych odległości on może mówić do mnie. Ci, co nas zaatakowali, są nie dalej niż o kilka setek kroków... Chwytam obrazy i myśli o niedawnej walce. Nie odnajduję wśród nich Borrika - zakończyła ze smutkiem w głosie.

James wyciągnął ramiona i Gamina poszukała pociechy w ciepłym uścisku małżonka. Jego rumak zarżał, protestując przeciwko dodatkowemu obciążeniu, lecz

młody baron uspokoił zwierzę krótkim szarpnięciem cugli. Cicho, tak że tylko

Gamina mogła go usłyszeć, szepnęła na poły do niej, na poły do siebie:

- Błagam bogów, by zachowali go przy życiu.

Wiatr dął jeszcze przez godzinę i cały ten czas Erland krążył wokół - na granicy widoczności - nieustannie nawołując brata.

W końcu na pustyni zapanowała cisza, przerywana tylko jego ochryplymi wrzaskami:

- Borrik! Borrik!...

Locklear wezwał dowódcę eskorty, by ten złożył meldunek. - Milordzie...

zginęło albo przepadło gdzieś w burzy trzech ludzi. Mamy dwóch rannych, którym potrzebna jest opieka. Reszta jest gotowa do dalszej podróży.

James zastanawiał się przez chwilę, wreszcie podjął decyzję - Zostaniesz tu z Erlandem. Przeszukacie najbliższą okolicę. nie oddalajcie się jednak zbyt daleko. Ja z dwoma ludźmi udam się do "Dwunastu Stołków" i spróbuję namówić dowódcę tamtejszego patrolu, by wraz ze swymi ludźmi pomógł nam w dalszych poszukiwaniach. - Rozejrzył się po pustynnej okolicy i dodał półgębkiem: Choćby mnie zabito, nie miałbym pojęcia, gdzie zaczynać.

W ciągu kilku najbliższych godzin, to jest przez całe niema popołudnie,

Locklear musiał używać swej niemałej sztuki przekonywania, uciekając się niekiedy do niezbyt nawet zawołanych gróźb, by powstrzymać Erlanda od zapuszczenia się w głąb pustyni. Młody człowiek był gotów na wszystko. Obsesyjnie myślał, że brat leży gdzieś niedaleko nieprzytomny i w jakim: jarze czy wąwozie czeka daremnie na pomoc. Locklear rozstawili ludzi wokół prowizorycznego obozowiska w taki sposób, że każdy widział zawsze dwu sąsiadów - i polecił im obserwować

okolicę. Gamina tymczasem zajęła się przygotowaniem rannych do transportu. James powrócił wreszcie w towarzystwie keshkańskiego patrolu. Sierżant Ras-al-Fawi, któremu przerwano odpoczynek, nie krył swego niezadowolenia. Wzmagало się ono, ilekroć przypominał sobie, że przełożeni mogą go obarczyć odpowiedzialnością za taki obrót wydarzeń. Napaść zdarzyła się przecież w rejonie powierzonym jego pieczy. Wolałby posłać tych przeklętych wyspiarzy do diabła albo jeszcze dalej - ale perspektyw wymiany wrogich not dyplomatycznych i ewentualnego konfliktu pomiędzy Imperium i jego najznacześniejszym północnym sąsiadem kazala mu zapomnieć o irytacji i przyłożyć się do poszukiwań

105

zaginionego księcia. Doświadczeni tropiciele szybko odnaleźli wąwóz, w którym po napadzie skryli się bandyci. Usłyszawszy ich okrzyki, wszyscy co tchu popędzili nad krawędź jaru, gdzie dwaj szperacze badali rumowisko. Jeden uważnie przyglądał się kupie kamulców, drugi przyniósł wyspiarzom znaleziony but. wszyscy pamiętali ten szkarłat i żółć skóry. Zwiadowca wskazał na rumowisko w dole.

- Milordzie, tam to znalazłem. Pod skałami leży reszta tego, co zostało po właścicielu buta.

Erland usiadł na ziemi, porażony rozpaczą, a James zapytał: - Można go odkopać? - Grzebiący wśród kamieni na dole Keshanin potrząsnął głową. - To robota dla całej kompanii i to przynajmniej na dzień lub dwa. - Podniósł dłoń, wskazując miejsce, z którego runęły kamienie. - Wasza miłość, jeśli sądzić po śladach, zrobiono to niedawno, po to, żeby ukryć zwłoki. Może zresztą leży ich tu więcej. - Zwiadowca spojrział na przeciwległe zbocze jaru. - Jeśli będziemy tu

grzebać bez odpowiednich zabezpieczeń, może obsnąć się i druga ściana. Obawiam się, że to zbyt wielkie ryzyko.

- Chcę, by go wykopano - odezwał się Erland. - Rozumiem... - zaczął James.

- Nie, wcale nie rozumiesz - przerwał Erland. - Może to nie Borric tam leży.

Locklear też usiłował coś pojąć. - Wiem, co czujesz...

- Nie! - ponownie przerwał mu Erland. - Nie wiesz i nie możesz wiedzieć. - Do

Jamesa zaś powiedział: - Nie wiemy, czy naprawdę leży tam Borric. Mógł stracić but podczas potyczki. Mógł zostać pojmany, a but zabrano mu siłą. Może okazać się, że tam leży ktoś zupełnie inny.

- Gamino. .. - spytał James. - Czy wyczuwasz... Borrika? - Nie - potrząsnęła głową jego żona. - Myśli, które chwyciłam wcześniej, pochodziły z jego jaźni. Ale nie było wśród nich znajomego mi wzoru.

- To o niczym nie świadczy - upierał się Erland. - Do Jamesa zaś powiedział:

- Wiesz, jak byliśmy sobie bliscy... Borric i ja. Gdyby go zabito... byłbym to wyczuł. - Spojrzawszy na jednostajny krajobraz rozciągającej się przed nimi pustyni. dodał: - On tam gdzieś jest. Zamierzam go odszukać.

- A jak się do tego zabierzecie, dostojny panie? - spytał podoficer. - Ruszycie w ten pustynny kraj bez wody i zapasów żywności? Z pozoru nie jest to kraina zupełnie jałowa, ale w istocie niczym nie różni się od piaszczystych wydm Jal-Pur.

Zresztą piaski zaczynają się za tamtymi wzgórzami. Jeśli nie dotrzecie w porę do

106

Oazy Złamanych Palm, nie zdołacie odszukać Oazy Głodnych Kóz. Jest tam około trzydziestu miejsc, gdzie możecie znaleźć wodę, i kilka innych, gdzie rosną kaktusy, z których możecie wysysać wilgoć. Nie wiedząc jednak, jak szukać, możecie ich

wcale nie zauważyć i minąć je o kilkadziesiąt kroków. Czeka was tam śmierć, dostojny panie. -Zawracając wierzchowca w stronę, z której nadjechał, odezwał się pojednawczo: Niechże wolno mi będzie powiedzieć waszmościom jedno. Podzielał wasz smutek, ale moje obowiązki każą mi poszukiwać i innych łotrzyków, naruszających spokój szlaków Imperium. Kiedy powrócę do stаницy, złożę szczegółowy raport o wszystkim. Jeśli zechcecie, pozostawię wam jednego tropiciela i możecie podjąć dalsze poszukiwania. Kiedy upewnicie się, panowie, że nic więcej nie da się działać, radzę, byście wracali na szlak. Wskazując południe, powiedział: - Droga ciągnie się u podnóża Niebiańskich Kolumn aż do Nar Ayab. Wzdłuż całego szlaku rozmieszczono stаницe i krążą tam patrole. Pomiędzy stanicami i sercem Imperium nieustannie kursują gońcy. Wyślijcie wieści o swoim przybyciu i namiestnik Nar Aya zgotuje wam oficjalne powitanie. Da wam też zbrojną eskortę, byście mogli bezpiecznie dotrzeć do stołecznego grodu Kesh. - Powstrzymał się od uwagi, że gdyby przybysze zrobili to wcześniej, nie doszłoby do niespodziewanej napaści sępów pustyni. - Imperatorowa, oby jej imię przetrwało wieki, we właściwym czasie przyśle tu kopaczy, którzy wydobędą ciało młodego księcia i z należnymi honorami wyekspediuje do jego ojczyzny, by mógł spocząć wśród przodków. Ja mogę jedynie życzyć wam, by nie opuszczała was łaska bogów. -Machnąwszy dłonią i wbiwszy ostrogi w końskie boki, sierżant skierował swych ludzi ku ujściu jaru. James podszedł do krawędzi i spojrzał z góry na zwiadowcę.

- Co tam?

Tropiciel przez chwilę jeszcze przyglądał się śladom.

- Kręciło się tu wielu ludzi. A ot, tam, popełniono morderstwo. - Wskazał

dłonią ciemną, wyschniętą już plamę za piasku. - Morderstwo! - rzekł James. - Jesteś pewien?

- Dużo tu krwi, panie-odpowiedział tropiciel. - Co może nie byłoby niezwykle, gdyby toczyła się tu jakaś walka, ale nie widać po niej śladów... i nie ma także żadnych, wiodących tu tropów rannego. Powiedziałbym, że podejrzyję tu gardło komuś, kto się tego nie spodziewał. - Dłonią wskazał dwie wąskie linie prowadzące od plamy krwi ku rumowisku. - Kogoś przeciągnięto stąd tam, wlokąc pięty po

107

ziemi. - Potem pokazał krawędź jaru. - Jeden wspiął się na górę. - Rozejrzawszy się dookoła, podszedł ku miejscu, gdzie wcześniej zostawił konia. - Pojechali na południe... do Oazy Złamanych Palm.

- Skąd wiesz? - spytał Locklear. Keshanin uśmiechnął się, tak jak uśmiecha się dorosły pytany przez dziecko o rzecz oczywistą. - To jedynie miejsce, gdzie mogą uzupełnić zapasy, ponieważ jadą przez pustynię... a nie mają jucznych koni, które wiozą zapas wody dostateczny, by mogli przedostać się do Durbinu.

- Do Durbinu! - Nazwę tę Erland wypluł z siebie z najwyższą odrazą. - Do tego legowiska szcurów! Dlaczego mieliby ryzykować jazdę przez pustynię?

- Bo to bezpieczna przystań dla każdego rzezimieszka i pirata, którzy grasują wokół Morza Goryczy.

- I największy ośrodek handlu niewolnikami w Imperium dodał tropiciel. - W centralnych prowincjach Imperium niewolników jest aż nadto, jak na mój gust, tutaj jednak towar to rzadki i cenny. Tylko Kesh i Queg pozwalają na handel niewolnikami. W wolnych miastach i Królestwie Wysp ten proceder jest bezprawny.

- Chyba nie nadążam.. - przyznał Erland.

James zwrócił konia w stronę wskazaną wcześniej przez tropiciela.

- Jeśli dwaj nasi ludzie... i Bornc - dodał pospiesznie pozostali przy życiu, na targu w Durbinie może się okazać, że napaść była całkiem zyskowna. W głębi Imperium natomiast bandyci dostaną za nich jedną trzecią tego, co na wybrzeżu... a jeśli ich herszt ma na karku wściekłych ludzi, którzy żądają udziału w łupach, to może stracić głowę... dosłownie - stwierdził James tonem człowieka, który wie, co mówi.

- To dlaczego Borric nie powie im po prostu, kim jest? - pytał Erland. - Okup, jaki mogliby za niego uzyskać, byłby z pewnością większy, niż gdyby sprzedano go na targu.

James powiódł zamyślonym spojrzeniem po pustkowiu. oświetlonym promieniami chylącego się już ku zachodowi słońca. - Gdyby żył, spodziewałbym się jakichś wieści od tych opryszków. Prawdopodobnie powiadomiliby nas jakoś, że jeniec czuje się nie najgorzej i nie wolno nam jechać za nimi... i że wkrótce przekażą nam żądania dotyczące wysokości okupu. Tak ja bym to rozegrał... wolałbym się też upewnić, że nie depte mi po piętach kompania rozjuszonych żołnierzy.

- Ci opryszkowie mogą nie być tak przebiegli, jak ty sam. milordzie. -

Keshanin dobrze rozważył słowa Jamesa. - Wasz księżę, jeśli żyje, mógł dojść do

108

wniosku, że bezpieczniej będzie dla niego, jeśli na razie nie wyjawি, kim jest.

Mogliby ze strachu przed waszą zemstą po prostu poderżnąć mu gardło i uciec na pustynię. A może jest nieprzytomny... lub lekko ranny, a oni mają nadzieję, iż wkrótce się ocknie, i dlatego go nie porzucają. Milordzie, być może któryś z tych wariantów jest odpowiedzią na twe wątpliwości.

- No to musimy się pospieszyć - skwitował Erland domyślność tropiciela.

- Ale ostrożnie, Wasza Miłość... by nie wpaść w zasadzkę - powstrzymał krewkiego młodzika Keshanin. Wskazał piaszczystą krainę. -Jeśli łapacze niewolników robią wypad na szlak,

tam, w jakimś jarze lub jednym z wieców zbiera się cała karawana. W to miejsce doprowadzają swój towar i pod silną eskortą ruszają do Durbinu - zbyt wiele tam szabel i jataganów, byśmy mogli im sprostać, choćby nawet wsparł nas oddziałek mojego sierżanta - oby żył wiecznie. Niekiedy zbiera się tam setka strażników.

Erland poczuł, że zaczyna ogarniać go rozpacz pomieszana a poczuciem bezsilności.

- Znajdziemy go. Na pewno żyje! - stwierdził z uporem. Ale nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Zwiadowca wspiął się po zboczu jaru i podszedł do swego konia.

- Milordzie, jeżeli się pospieszymy, przed świtem dotrzemy do Oazy Złamanych Palm.

James polecił dwu ludziom odwieźć rannych do gospody "Pod Dwunastoma Stołkami", gdzie mieli wracać do zdrowia. Gdy tylko będzie to możliwe, rozkazał im wracać do Królestwa. Dokonawszy pobieżnej oceny sił, przekonał się, że ma pod swymi rozkazami tuzin żołnierzy. Czując, że to liczba żałośnie niewystarczająca, skierował swą grupkę w głąb pustyni.

Słońce dotykało już linii horyzontu, kiedy młody baron ujrzał wracającego ku nim galopem zwiadowcę. Skinieniem dłoni były złodziejaszek zatrzymał całą grupę. Pogranicznik osadził konia przed baronem.

- *Wasza Miłość, karawana zbiera się w Wadi al Safra... i jest tam ponad setka strażników.*

Erland zaklął szpetnie.

- *Widziałeś mojego brata? - spytał młody książę.*

- *Mój książę, nie mogłem podkraść się dostatecznie blisko. by to sprawdzić.*

109

- *Czy jest tam jakieś miejsce, z którego moglibyśmy przedostać się w pobliże obozu? - spytał Locklear.*

- *Owszem, do widu dochodzi dość płytki jar, a właściwie rów, który zwęża się przy ujściu... ale - co istotne, ujście jest niedaleko ich obozowiska. Czterech, pięciu ludzi może podkraść się niepostrzeżenie, jeżeli będą zachowywać ciszę. Ujście jest płytkie... i stojący na dnie rowu wyprostowany człowiek może zajrzeć do obozu, ale niebezpieczeństwo tkwi w tym, że z obozu też mogą go dostrzec.*

Erland zaczął już zsuwać się z konia, ale James go powstrzymał. - Nie, ty zostaniesz tutaj. W tej kolczudze robisz więcej hałas niż kilkunastu srodze zapracowanych krasnoludzkich kowali.

- *Powinnam pójść z wami - wtrąciła się Gamina. - Jeśli zdołam dostać się w pobliże karawany, potrafię wam powiedzieć czy mają tam Borrika.*

- *Co to wedle ciebie znaczy "pobliże"? - spytał jej małżonek.*

- *Odległość rzutu kamieniem - odpowiedziała Gamina. - Dotrzemy tak blisko?*

- *spytał James tropiciela.*

- *Milordzie, jeśli bogowie pozwolą, będziesz mógł policzyć pryszcze na mordach tych psów - stwierdził Keshanin.*

- *Dobra nasza - ucieszyła się Gamina, podnosząc rąbek swej sukni i zatykając*

go za pas, tak jak robiły to rybaczki w Kondorze, kiedy przychodziło im brodzić po płycznach. James usiłował nie patrzeć w jej stronę i przegnać z myśli niestęchające pociągający i pełen obietnic widok obnażonych aż po ud~ kształtnych nóg swej małżonki. Próbował też wymyślić jakiś pretekst, który pozwoliłby mu zrezygnować z jej pomocy niestety przysłowiowa pomysłowość Jimmy'ego Rączki tym razem sromotnie go zawiodła. Na tym polega problem ludzi światłych, którzy posiadając logiczny umysł - rozmyślał, zsiadając z konia - przyznają kobietom te same prawa i możliwości. Nie

sposób wymyślić coś, co w razie potrzeby pozwoli trzymać je a dala od zagrożeń.

Skinieniem dłoni wezwał dwu gwardzistów, by towarzyszyli jemu, Gaminie i zwiadowcy, po czym cała piątka ruszyła pieszo w kierunku wyznaczonym przez Keshanina. Szli wolno, bo słońce ukryło się już tymczasem za krawędzią horyzontu. Gdy dotarli wreszcie do odległego krańca jaru, niebo przybrało barwę ołowiu, cała zaś pustynia, skąpana w świetle odbitym od chmur i odległego morza, zamieniła się w krainę szkarłatu i różu. W gęstniejącym szybko mroku usłyszeli dźwięki

110

dochodzące z obozowiska handlarzy niewolników i James rozejrzał się niespokojnie, sprawdzając, czy ktoś z jego towarzyszy za bardzo się nie oddalił. I usłyszał bezgłośnie słowa, wypowiedziane przez Gaminę: Kochany... wyczuwam tam wielu ludzi...

Jest tam Borric?, spytał w myśli.

Nie mam pojęcia, odpowiedziała. Aby się upewnić, muszę odejść bliżej.

James złapał zwiadowcę za ramię.

- Możemy podejść bliżej? - spytał szeptem.

- Owszem - również szeptem odparł zapytany. - Przed nami jest zakręt tego jaru i jeśli pójdziemy dalej, znajdziemy się tak blisko, że przy sprzyjającym wietrze możemy naszczać tym psom do pysków. Ale zachowajcie ostrożność, panie, bo to dobre miejsce na wyrzucanie śmieci i odpadków... i w pobliżu mogą być jacyś strażnicy.

James kiwnął głową i tropiciel powiódł ich w mrok.

Ze swojej bujnej przeszłości James bez trudu mógłby przytoczyć kilka przypadków, kiedy to pozornie krótka wyprawa przekształcała się w nieskończoną wędrówkę, żadna jednak nie dała się porównać z podchodzeniem obozu pustynnych zbójów. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, usłyszeli przyciszone rozmowy wartowników. Całe przedsięwzięcie dało się Jamesowi we znaki nie tylko z powodu łączącego się z nim ryzyka - płytki rów okazał się śmietnikiem i latryną, wyspiarze musieli przekradać się więc wśród śmieci i odchodów. Końskich i ludzkich. Wlazł w co miękkiego i wilgotnego, a z odoru wiszącego w rowie niczym paskudna mgła wywnioskował, że lepiej nie dociekać, co to było. Mógł się zresztą domyślić. Dał znak zwiadowcy, który odpowiedział innym znakiem - podeszli już tak blisko, jak tylko być można. Ostrożnie przechylił głowę ponad krawędź rowu. Na tle obozowych ognisk zobaczył dwu strażników, stojących nie dale_ niż o dziesięć kroków. W pobliżu kulilo się z zimna przynajmniej trzydziestu skutych mizeraków, wśród których jednak nie dostrzegł Borrika. Nie potrafiłby w tym świetle rozpoznać twarzy. Pewien był jednak, że ruda czupryna księcia wyróżniałaby się wśród ciemnowłosych głów więźniów nawet w migotliwym blasku obozowych ognisk. Po chwili do dwu strażników podszedł? jakiś człowiek w czerwonej szacie i James

sprężył się wewnątrz, okazało się jednak, że to nie Bornc. Odziany w szatę księcia nieznajomy zdjął kaptur i James był pewien, że nigdy wcześniej nie widział tej okolonej rzadką bródką gęby. Nowo przybyły miał u boku miecz i rozkazującym

111

tonem polecił obu strażnikom przerwać pogawędkę i zająć się swoimi obowiązkami. Po chwili dołączył doń drugi, rosty mąż w skórzanej kurtce z wyszytym na ramieniu emblematem durbińskiej Gildii Handlarzy Niewolników. Tego emblematu James nie widział od czasów dzieciństwa, ale jak wszyscy członkowie krondorskiego Cechu Złodziejów, Towarzystwa Szyderców, znał doskonale reputację durbińczyków. Nie należeli oni do ludzi, z których można było żartować lub bezkarnie ich niepokoić. Raz jeszcze obrzucił cały obóz uważnym spojrzeniem i schylił się, by przykucnąć obok Gaminy. Dziewczynę myślami szukała Bornka wśród więźniów, co można było odgadnąć z jej zamkniętych oczu i skupionej twarzy. W końcu odstłoniła powieki i przesłała Jamesowi myślowo odpowiedź na jego nieme pytanie: W tym obozie nie odkryłam śladów umysłu Borrika.

Jesteś pewna?, spytał. Gdyby tu był, niewątpliwie bym go wyczula, odpowiedziała ze smutkiem. Nawet gdyby spał; odkryłabym jego obecność. Westchnęła w duchu i James poczuł, że jego małżonka jest głęboko zasmucona. Jedyne możliwe do przyjęcia wytłumaczenie jest takie, że leży pochowany pod tamtą kupą kamieni. Milczała przez chwilę, aż w końcu pomyślała: On nie żyje. James przez chwilę również milczał, potem skinął dłonią ku zwiadowcy. Dał rozkaz do odwrotu. Poszukiwania Borrika dobiegły końca.

- Nie! - Erland nie przyjmował do wiadomości wyroku Gaminy. - Nie możecie być pewni!

James po raz trzeci powtórzył księciu to, co widzieli.

- Owszem... zobaczyliśmy opryszka, który obnosił się z opończą Borrika, więc można założyć, że ktoś inny zdjął mu buty, na to zgoda. Ale w tamtym obozie nigdzie go nie widzieliśmy. Czy jest możliwe, że banda, która nas napadła, nie połączyła się z tą karawaną? - spytał zwiadowcę. Zapytany wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że z woli bogów wszystko może okazać się możliwe.

- Raczej nie, milordzie. Relacja z napadu, przekazana mi przez waszych ludzi, każe mi myśleć, że atak nie był dziełem przypadku. Wszyscy wasi ludzie, którzy pozostali przy życiu, z pewnością byli w tym obozie.

James kiwnął głową.

- Erland... gdyby twój brat żył, Gamina z pewnością znalazłaby go wśród więźniów.

- Jakże możesz być tego pewien?!

112

Gamina odpowiedziała tak, że usłyszeli ją wszyscy obecni: Erlandzie, znam zasięg i moc swoich możliwości i talentu. Mogę wybierać pomiędzy przemawianiem do wielu i do nielicznych, a kiedy raz dotknę czyjegoś umysłu, potrafię go rozpoznać pośród innych. Myśli Borrika nie odkryłam pomiędzy tymi, co znajdowali się w tamtym obozie.

- Może był nieprzytomny!

Młoda kobieta potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Wyczułabym jego obecność, nawet gdyby jego umysł był pogrążony w nieświadomości. A ja... odczuwałam jego brak. Nie umiem tego wyjaśnić lepiej. Nie było go tam... i tyle.

- Wasza Miłość... - odezwał się zwiadowca. - Jeśli pozwolicie mi przenocować z wami, rano chciałbym wrócić do swoich. Sierżant powinien dowiedzieć się o tych durbińczykach Namiestnik Durbinu to ktoś niewiele lepszy od zwykłego pirata i zdrajcy... i prędej czy później wieści o jego sprawkach dotrą na dwór Jej Światłości. Kiedy Imperatorowa, oby jej pamięć żył wiecznie, zdecyduje się na działanie, kara będzie szybka i straszna. Wiem, że nie zmniejszy to waszej rozpacz, ale napaść na osobę krwi królewskiej, która podążyła na dwór cesarski, jest zbrodnią stanu! Imperatorowa, niech nieba zleją na nią swe wszystkie błogosławieństwa, z pewnością poczyta to jako osobistą urazę... i pomści wasz ród ponad wszelką miarę.

Oświadczenie żołnierza wcale nie uspokoiło Erlanda.

- I co zrobi? Udzieli temu łajdakowi upomnienia? A potem pewnie prześle na nasz dwór notę z przeprosinami!

- E... nie, panie. Prędej każe otoczyć miasto kordonem żołnierzy i spalić je wraz z jego wszystkimi mieszkańcami. A może, jeśli będzie w łaskawym nastroju, każe tylko zakuć namiestnika w kajdany i z całą jego rodziną i domownikami odeśle waszemu Królowi, by zrobił z draniem, co zechce... ale miasto oszczędzi Wszystko zależeć będzie od jej humoru.

Erland poczuł, że okoliczności go przerastają. Szok, jakiego doznał po uświadomieniu sobie śmierci Borrika i obojętność keshkańskiego tropiciela, który spokojnie mówił o tak niezmierne potężne skupionej w ręku jednej kobiety, pozbawiły go odpowiedzi. Kiwnął tylko głową. James, który szukał sposobności, by nie mówić o straszliwie skomplikowanej dyplomatycznie sytuacji. jaką stworzyła

śmierć Borrika, wykorzystał milczenie młodego księcia, by zwrócić się do zwiadowcy:

- Poprosimy cię, przyjacielu, byś zabrał listy, które trzeba przesłać do Krondoru, aby w miarę możliwości zmniejszyć perturbacje i napięcia, jakie mogą powstać w stosunkach pomiędzy naszymi nacjami.

- Zrobię to niechybnie, Wasza Miłość... bom długo służył na granicy - odpowiedział zwiadowca. I oddalił się, by zadbać o swego konia. James skinął głową Locklearowi, który z kolei dyskretnie wskazał mu Erlanda. Obaj młodzi szlachcice oddalili się, by porozmawiać na osobności.

- Nielicze zamieszanie - stwierdził Locklear.

- Cóż, kryzysy miewaliśmy i wcześniej. Do tego w końcu nas szkolono... powinniśmy podjąć jakąś decyzję.

- Myślę, że trzeba nam rozważyć możliwość powrotu do Krondoru - mruknął Locklear.

- Jeżeli to zrobimy, a Arutha każe Erlandowi wracać na obchody Jubileuszu imperatorowej, ryzykujemy niechybnie obrażę Jej Majestatu, ponieważ się spóźnimy - wytknął mu James.

- Uroczystości z pewnością potrważą około dwu miesięcy upierał się przy swoim Locklear. - Zdążymy przed ich zakończeniem.

- Ja jednak wolałbym być przy ich rozpoczęciu - mruknął James, rozglądając się po otulonej kirem nocy pustyni. - Coś tam się szykuje. Czuję to przez skórę. - Oskarżycielskim gestem tknął Lockleara palcem w pierś. - To nie przypadek, że napadnięto jedynie naszą grupę.

- Może i nie... - niechętnie zgodził się Locky. - Jeżeli masz rację, to ci, którzy

nastali opryszków, są pewnie tymi samymi, co stoją za próbą zabójstwa Borrika w Kondorze.

- A diabli ich tam wiedzą. - James milczał przez chwilę. - To wszystko nie ma sensu. Po cóż ktoś miałby zabijać tego smyka?

- Żeby wywołać wojnę pomiędzy Keshem i Kondorem. - Nie... to jasne. Ale powiedz mi, dlaczego ktoś miałby pragnąć tej wojny?

- A dlaczego ludzie w ogóle zaczynają wojny? – spytał filozoficznie Locklear i wzruszył ramionami. - Musimy dowiedzieć się, kto w Imperium odniesie największe korzyści z wywołania niepokojów na północnej granicy. . . i to pewnie będzie nasz chwyt

114

- Owszem - zgodził się James. - Ale nie dokonamy tego, tkwiąc niczym kołki w Kondorze.

Wróciwszy do obozu i spotkawszy Erlanda siedzącego na koniu i wpatrującego się w pustynną noc, James zatrzymał się obok młodzika.

- Musisz oswoić się z sytuacją - powiedział spokojnie. Zapomnij o rozpaczliwej i pogódź się ze swoją nową, wymuszoną przez los pozycją, Erlandzie.

- O czym ty mówisz? - Erland zamrugnął powiekami jak

ktoś, kogo wyciągnięto z mroku i postawiono w pełnym słońcu. James odwrócił się i spojrzał księciu w twarz. Położywszy dłoń na ramieniu młodzieńca, rzekł z powagą:

- Jesteś teraz dziedzicem tronu. I będziesz następnym Królem. Kiedy wyruszymy do Keshu, poniesiesz na swoich barkach odpowiedzialność za losy kraju.

Baronowi wydało się, że młody książę wcale go nie usłyszał. Bez słowa zwrócił spojrzenie ku zachodowi, gdzie zebrała się karawana handlarzy niewolników. W końcu zawrócił konia i powoli ruszył ku miejscu, gdzie zebrali się już pozostali członkowie grupy, która kierując się na południe, miała zagłębić się w serce Wielkiego Keshu.

115

ROZDZIAŁ 7 – WIĘZIEN

Borric ocknął się wreszcie.

Przez chwilę leżał bez ruchu, wsłuchując się w mieszaninę głosów i dźwięków, którymi nawet w nocy kipiało obozowisko.

Przypominał sobie niejasno, że w pewnym momencie, we śnie, wydało mu się, iż ktoś wzywa go po imieniu.

Usiadł na ziemi, zamrugnął powiekami i rozejrzał się dookoła. Większość pojmanych skuliła się wokół ogniska, jakby szukając w jego blasku i ciepłe pociechy przeciwko czającym się w ich sercach rozpacz i strachowi. Wieczorem Borric położył się jak najdalej od smrodliwego ścieku, po przeciwnej stronie miejsca, gdzie znalazła sobie legowisko grupa więźniów. Jeszcze przed wyruszeniem, ponownie zakuto go w dziwaczne kajdany z płaskich Taśm białego metalu, które miały uniemożliwić mu korzystanie z jakiejkolwiek magii. Borric wzdrygnął się, poczuwszy, że pustynna noc niesie ze sobą prawdziwe chłody. Zabrano mu opończę i koszulę, zostawiając go tylko w spodniach. Spróbował jakoś przepchnąć się ku ognisku, choć musiał kilkakrotnie łagodnymi przekleństwami kwitować stęknienia tych, co nie usuwali się zbyt chętnie. Robił to jednak bez zapału i gniewu - były to chwilowe wybuchy wrogości, skierowanej w istocie przeciwko komu innemu.

Siadł w końcu pomiędzy dwoma innymi, którzy nie bardzo mieli ochotę na to, aby zrobić mu miejsce. Każdy pogrążył się w rozpatrywaniu głębi swej sromoty i upadku. Ciszę nocy rozdarł krzyk jednej z pięciu kobiet molestowanych przez strażników. Szósta, nieco wcześniej, opierała się zaciekle i w końcu przegryzła krtań gwałcicielowi, powodując śmierć ich obojga- z tym, że opryszek oczywiście konał znacznie szybciej i mniej boleśnie.

Ustyszawszy rozpaczliwe łkania, które rozległy się po chwili, Borric pomyślał, że niedawno zamęczona miała sporo szczęścia. Wątpił, by choć jedna z kobiet przeżyła wędrówkę do Durbinu. Wydając je strażnikom na uciechę, handlarz uniknął problemów, jakie ich obecność mogła spowodować w przyszłości. Jeśli którakolwiek przeżyje pełną udręki drogę, zostanie tanio sprzedana jako posługaczka do kuchni. Żadna z nich nie była dostatecznie młoda i ładna, by handlarz kłopotał się z ochroną jej przed żądzami strażników.

116

Jakby wywołany książęcymi myślami, handlarz wyłonił się z mroku po przeciwnej stronie ogniska. Stał przez chwilę, oświetlony od dołu blaskiem płomieni i w milczeniu poruszał ustami, jak troskliwy gospodarz rachujący swoją trzodę. W końcu zadowolony z siebie odwrócił się i ruszył do własnego namiotu. Kasim. Tak nań wołano. Borric dobre go sobie zapamiętał, przysięgając w duszy, że któregoś dnia człek ów zginie z jego ręki.

Gdy Kasim oddalał się od grupy pojmanych, inny człowiek zawołał go po imieniu i podszedł bliżej. Miał na imię Salaya i Borric również zakarbował go w pamięci, bo to on właśnie zabrał mu purpurową opończę. Gdy młody książę przybył rankiem do obozowiska, opryszek natychmiast zażądał od niego opończy i pobił go

brutalnie, niezadowolony z opieszłości, z jaką Borric zdejmował szatę. Fakt, że pojmany miał na sobie okowy, wcale nie zmniejszył wściekłości opryszka. W końcu musiał interweniować Kasim, który zwrócił uwagę, że trzeba uwolnić najpierw jedną, a potem drugą dłoń więźnia i stopniowo zdejmować opończę. Wyglądało zresztą na to, że Salaya ma do Borrika pretensje za kłopot wywołany jego niecierpliwością, jakby to ksiązę winien był temu, że on sam jest durnym osłem. Jemu też Borric obiecał w duszy nagłą śmierć. Kasim tymczasem wydawał jakieś polecenia Salayi, który wysłuchiwał ich z dość kwaśną miną. Potem handlarz skierował się ku grupie koni i zniknął w mroku. Najpewniej poszedł nadzorować jeszcze jedną bandę, która miała się przyłączyć do pospiesznie organizowanej karawany.

Kilka razy podczas minionego dnia zastanawiał się, czy nie zdradzić opryszkom, kim jest, powstrzymywała go jednak zwykła ostrożność. Mogli mu przecież po prostu nie uwierzyć. Nigdy nie nosił ksiązęcego sygnetu, bo uważał, że nie jest to najwygodniejsze, szczególnie dla jeźdźca. Teraz pierścień tkwił gdzieś pośród bagażu, najpewniej w jakimś nie tkniętym przez zbójów tobole. Rude włosy mogły potwierdzić jego tożsamość - ale wśród mieszkańców Kronodoru nie były aż taką rzadkością. Biali Yabończycy i ludzie z Dalekiego Wybrzeża mieli najczęściej jasne włosy, ale w .Kondorze rudowłosi trafiali się równie często jak blondyni.

Udowodnienie zaś, że nie jest magiem, w ogóle wydało mu się niemożliwe - logika podpowiadała mu, że nie ma żadnej różnicy w zachowaniu między człowiekiem, który nie zna żadnej magii, a takim, który zna, ale udaje, że jest inaczej.

Postanowił, że poczeka, aż dotrą do Durbinu, gdzie - być może - odnajdzie kogoś, z kim będzie można się jakoś dogadać. Wątpił szczerze, czy Kasim - albo

którykolwiek z jego ludzi (istniała przecież możliwość, że Salaya był wśród nich najbystrzejszy) - zrozumie go lub mu uwierzy. Ale ktoś, kto ma dostatecznie dużo oleju w głowie, by zostać ich panem, może pojąć, jaka trafiła mu się gratka. Wtedy Borric mógłby się po prostu wykupić.

Pocieszając się tym rozumowaniem, Borric odepchnął nieco w bok drzemiącego współwięźnia i ponownie ułożył się na ziemi. Uderzenie w głowę mocno go oszołomiło i często morzył go sen. Zamknął oczy i przez chwilę czuł mdłości, wydało mu się bowiem, że grunt pod nim chwieje się i zatacza. Szybko to jednak minęło i po chwili spał tak krzepko, jak tylko młodzik mógłby spać w tych okolicznościach.

Słońce grzało tak, jakby na ziemię zstąpił sam gniewny Prandur, bóg ognia.

Jasnoskóry Borric cierpiał niczym potępieniec - wydawało mu się, że ognista kula wisi nad nim w odległości kilku jardów. Podczas służby na północnych rubieżach opalił sobie tylko twarz i dłonie, ostre promienie pustynnego słońca zupełnie pozbawiały go więc sił. Drugiego dnia na plecach miał już pęcherze, a głowa pękała mu z bólu. Już dwa pierwsze dni, podczas których karawana opuściła skalisty płaskowyż i zagłębiła się w rozległe pustkowia ergu Jal-Pur, dały się Borrikowi we znaki. Pięć wozów poruszało się wolno po pustyni, która przypominała teraz bardziej prażoną cegłę niż piasek. Słońce, główny sprawca tego stanu rzeczy, zabijało nieszczęsnych niewolników.

Poprzedniego dnia skonało trzech. Salaya nie potrzebował słabych - na targu niewolników w Durbinie w cenie byli tylko zdrowi i wytrzymali. Kasim nie wrócił ze swej wycieczki, pełniący zaś obowiązki przywódcy karawany okazał się

dokładnie takim sadystycznym bydlakiem, za którego wziął go Borric pierwszego dnia, kiedy się poznali. W ciągu dnia wodę wydzielano trzykrotnie - przed świtem, w południe, kiedy wszyscy zatrzymywali się na odpoczynek, i przy wieczornym posiłku. Jedynym posiłku, poprawił się Borric. Całą kolację stanowiło kilka kęsów suszonych kukurydzianych podpłomyków, pozbawionych niemal smaku i wartości odżywczych. Borric miał nadzieję, że trafiające się niekiedy w nich miękkie, słodkawe części były rodzynkami, wolał jednak nie sprawdzać, czy tak jest w istocie. Dzięki temu pożywieniu utrzymywał się przy życiu, jego smak był bez znaczenia.

Niewolnicy stanowili posępną grupę. Każdy z nich był pogrążony we własnych myślach. Wszystkich osłabiło słońce i niewielu miało ochotę na rozmowy z towarzyszami niedoli; mówienie okazywało się tylko stratą energii. Borrikowi

118

udało się jednak wyciągnąć z jednego czy dwu jakiejś strzępy informacji. Teraz, kiedy coraz bardziej zagłębiali się w pustynię, nadzorcy wyraźnie osłabili czujność - dokąd zresztą miałby się udać zbiegły niewolnik? Pustynia była najsurowszym i najpewniejszym ze strażników. Kiedy znajdą się w Durbinie, dostaną kilka dni na odpoczynek - może nawet tydzień - żeby mogli zaleczyć pokrwawione stopy i oparzenia. W tym czasie muszą też przybrać na wadze wycieńczeni wędrowną niewolnicy nie przynieśliby handlarzom spodziewanych zysków.

Borric usiłował ponownie przemyśleć wszystkie możliwości ucieczki, ale i lejący się z nieba żar, a także ból oparzeń na grzbiecie mocno go osłabiły, brak wody zaś zupełnie go otępił. Potrząsając głową, usiłował skupić myśli na ucieczce, potrafił się jednak zdobyć tylko na mechaniczne przesuwanie stóp.

Słońce zaszło i nad pustynią zapadła noc. Niewolników zgromadzono przy

ognisku, gdzie jak podczas trzech poprzednich nocy musieli wysłuchiwać odgłosów zabaw strażników z pozostałymi przy życiu pięcioma pojmanymi kobietami. Te zresztą już się nie opierały i nie walczyły. Borric zjadł swój kawałek kukurydzianego placka i ostrożnie, maleńkimi łyčkami wypił swoją wodę. Pierwszego wieczoru na pustyni jeden z więźniów wypił swoją wodę jednym haustem - by wymiotować ją w chwilę później. Strażnicy nie wydzielili mu dodatkowej porcji i następnego dnia człowiek ów skonał na piasku. Borric dobrze zapamiętał sobie tę lekcję. Niezależnie od tego jak bardzo pragnął przechylić głowę i opróżnić miedziany kubek, sączył ciepłąwą i niezbyt przyjemnie pachnącą ciecz powoli, pozwalając jej wolno spływać przelykiem. Szybko też zasnął, pogrążając się w kamiennym, pozbawionym snów mroku, który nie zapewniał porządnego wypoczynku. Gdy tylko się poruszył, budził go ból pękających oparzelin. Zbliżywszy się do ognia, cierpiał katusze od gorąca płomieni, kiedy jednak spróbował się odeń oddalić, okazywało się, że noc jest nieznośnie chłodna. Ale mimo tych ręk zapadał w końcu w sen, który trwał, dopóki udręczony młodzieniec nie wykonał jakiegoś ruchu, wtedy bowiem budził go ból popękanych strupów i wszystko zaczynało się od nowa. Rankiem wstawał, ponaglany kopniakami i uderzeniami drzewca włóczni.

Niemal wilgotna noc szła natychmiast w zapomnienie, gdy tylko zza horyzontu wylaniała się słoneczna soczewka, która płomienistym dotykem Prandura znów zaczynała codzienną udrękę pojmanych. Zanim minęła godzina,

119

umarło dwu kolejnych niewolników, jakby dotkniętych nagłym paraliżem, pozostając w miejscach, w których runęli na piasek.

Borric zamknął się w głębi swej jaźni. Z całej jego świadomości pozostały tylko najprymitywniejsze instynkty i przebiegłość - i zwierzę, jakim stał się młody książę, postanowiło przetrwać. Każdą najmniejszą porcję energii przeznaczał na stawianie jednej stopy przed drugą i baczenie, by nie upaść. Upadek oznaczał śmierć.

Po nieskończeniu długiej, pełnej udręki wędrówce, poczuł, że chwytają go czyjeś dłonie.

- Stój! - rozległ się rozkazujący głos.

Zamrugnął i przez oślepiające go boleśnie błyski słonecznego światła ujrzał czyjąś twarz. Było to oblicze poorane zmarszczkami, o ciemnej, prawie czarnej cerze, ozdobione kędzierzawą bródką. Należało do najbrzydszego chyba człowieka, jakiego Borric kiedykolwiek spotkał. Nieznajomy miał twarz tak odrażającą, że była niemal piękna w swej szpetocie.

Młody książę zapragnął roześmiać się prosto w tę twarz, ale z jego wysuszonej krtani wydobyło się jedynie słabe charczenie. - Siadaj! - polecił mu strażnik, sadzając go na piasku

z niespodziewaną łagodnością i troskliwością. - Czas na południowy postój. -

Rozejrzawszy się ukradkiem i sprawdziwszy, czy nikt go nie obserwuje, odkorkował swój bukłak z wodą i wylał sobie na dłoń odrobinę życiodajnej cieczy. -

Wy z północy łatwo umieracie na tym słońcu. - Zwilżył wodą kark Borrika i wytarł dłoń o jego włosy, ochładzając nieco spieczoną głowę młodzika. - Zbyt wielu już skonało po drodze, Kasim nie będzie z tego zadowolony. - Szybko napoił młodego księcia wprost z dłoni i odszedł obojętnie, jakby nic się nie zdarzyło.

Drugi ze strażników przyniósł gurdę z wodą i miedziane kubki i zaczął się

zwykły rozgardiasz przy pojeniu. Każdy z niewolników, który mógł wydać z siebie głos, krzyczał wniebogłosy, oznajmiając wszem wobec swoje pragnienie, co nie było pozbawione sensu, ponieważ milczący mógł zostać uznany za nieboszczyka i pominięty.

Borric zaledwie mógł się ruszać i każde, najdrobniejsze nawet jego drgnienie powodowało nawrót żółtoczerwonych błysków, które tak dręczyły oczy młodzieńca.

A jednak niemal na oślep wyciągnął dłoń po metalowy kubek. Woda była ciepła i gorzka, ale w wyschniętych ustach pijącego miała smak najprzedniejszego wina z

120

Natalu, w jakim młody książę kiedykolwiek miał honor umoczyć wargi. Przełknął

wino, zmuszając się do tego, by - jak uczył go ojciec - przetrzymać je chwilę w

ustach, pozwalając, by purpurowy płyn zwilżył mu język, którym smakował

subtelne komponenty smaku boskiego trunku. Był w nim jakiś nikły ślad goryczy...

pozostały może po kilku liściach i łyżkach, które dostały się do kadzi, kiedy

winiarz usiłował obliczyć właściwy moment fermentacji przez zlanie płynu do

beczek. Być może zresztą należało tę gorycz zaliczyć do - nieznacznych jednak

niedoskonałości trunku. Borric nie mógł rozpoznać gatunku, brakowało w nim

znanych mu elementów gęstości i bukietu, w sumie napój był może zbyt wytrawny.

Nie... to nie było dobre wino. Musi sprawdzić, czy ojciec po prostu nie nabiera jego

i Erlanda... mógł przecież zalecić podczasem podanie kiepskiego, miejscowego

cienkusza, by zobaczyć, czy chłopcy w ogóle to spostrzegą.

Borric zamrugał piekącymi powiekami i spróbował zobaczyć, gdzie stoi

spluwaczka. Jakże ma wypluć to wino, jeśli nigdzie nie ustawiono spluwaczki? Nie

wolno mu go połknąć, bo się upije, jak już kiedyś mu się to przydarzyło. . . kiedy był

małym chłopcem. Może, jeżeli odwróci głowę i splunie za stół, nikt niczego nie zauważy. . .

- Hej ! - wrzasnął ktoś nieopodal. - Ten niewolnik wypluwa wodę!

Czyjeś ręce wydarły puchar z dłoni Borrika i książkę padł na plecy. Leżał na posadzce w biesiadnej sali dworu swojego ojca i zastanawiał się, dlaczego kamienie nagle zrobiły się takie ciepłe. Powinny być chłodne. Zawsze takie były. Jakim sposobem się ogrzały?

Para dłoni dźwignęła go szorstko z ziemi i z pomocą drugiej - przytrzymały go w pionie.

- Co to ma znaczyć? Próbujesz się zabić, odmawiając wody? - Borric otworzył oczy i ujrzał przed sobą niewyraźne zarysy czyjejs twarzy.

- Ojczy, nie umiem rozpoznać, co to za wino - powiedział słabym głosem.

- Bredzi - rozległ się ten sam, co poprzednio głos. Silne dłonie dźwignęły go i przeniosły w cień. Zaraz też spryskano mu wodą szyję, kark i twarz. Nieznajomy tymczasem mówił: Salaya, klnę się na wszystkich bogów i demony, masz we łbie tyle mózgu, co kot zdechły przed tygodniem! Gdybym nie wyjechał wam na spotkanie, temu też pozwoliłbyś zdechnąć, prawda?

Borric poczuł w ustach wodę i zaczął pić łapczywie. Zamiast gorzkiej cieczy z kubka, dano mu chłodną, rozkosznie czystą wodę. Pił i pił...

121

- Te słabeusze na nic nam się nie zdadzą - bronił się tymczasem Salaya. -

Jeżeli przestaniemy ich karmić i pozdychają w drodze, oszczędzimy sobie wydatków na żywność.

- Ty bałwanie! - rozjuszył się jego rozmówca. - To pierwszorzędny

niewolnik! Spójrz tylko na niego! Nie ma jeszcze dwudziestu lat, o ile znam się na ludziach, i wygląda nieźle, jeśli nie liczyć oparzelin... to znaczy, wyglądał tak przed pięcioma dniami. - Tu rozległo się pełne niesmaku splunięcie. - Ci jasnoskórzy mieszkańcy północy nie znoszą upałów tak dobrze jak my, urodzeni wśród piasków Jal-Pur. Temu jednak wystarczyłoby trochę więcej wody, cienia... i w przyszłym tygodniu nadałby się na targ. A teraz muszę przynajmniej dwa tygodnie go odkarmiać i leczyć jego oparzenia, ty ośle!

- Panie...

- Dość! Połóżcie go pod wozem, ja zaś obejrzę pozostałych. Może jeszcze jacyś przeżyją, jeżeli znajdę ich w porę. Nie wiem, co się przytrafiło Kasimowi, ale czarny to był dzień dla Gildii, kiedy zostawiono ci dowodzenie tą karawaną!

Borric doszedł do wniosku, że wszystko to jest bardzo dziwne. I co u licha stało się z tym winem? Leżąc pod wozem we względnym chłódzie, rozmyślał leniwie o dziwacznych kolejach losu, a Mistrz Gildii Handlarzy Niewolników z Durbinu przyglądał się innym, którzy następnego dnia mieli zostać przekazani do baraków więziennych.

- Otóż i Durbin! - powiedział Salman. Jego sękatą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Ciemnoskóry południowiec powoził ostatnim zaprzęgiem, tym, na którym transportowano Borrika. Po dwu dniach, podczas których młody książę jechał na osłoniętym płótnem wozie, Borric cofnął się znad krawędzi śmierci. Teraz wieziono go w wozie wraz z trzema innymi niewolnikami, którzy również odzyskiwali siły po udarze słonecznym. Wody mieli tu pod dostatkiem, a ich porażoną przez niemiłosierne promienie słońca skórę namaszczone oliwą z dodatkiem jakiejś ziołowej maści, która wydatnie łagodziła ból. Borric podniósł się na kolana, potem

wstał chwiejnie i usiłował zachować równowagę, gdy powóz podskakiwał na przydrożnych kamieniach. Patrząc na wskazywane przez woźnicę miasto, nie dostrzegł niczego szczególnego - chyba jedynie to, że zamiast piaszczystych wydm otaczały je zielone ogrody. Przez połowę ostatniego dnia podróży mijali małe gospodarstwa rolne. Młody książę usiłował teraz przypomnieć sobie, co mówiono mu o tym niesławnym gnieździe piratów, kiedy był chłopcem. Durbin panował nad

122

jedynymi jako tako żyznymi ziemiemi pomiędzy Morzem Snów a podnóżem Gór Trollhome i pozostawał jedyną bezpieczną przystanią, którą mógł znaleźć żeglarz pomiędzy Krańcem Ziemi i Random. Wzdłuż całego południowego wybrzeża Morza Goryczy ciągnęły się zdradzieckie rafy, czyhające na statki i łodzie, które miały pecha i złapały w żagle niespodzianie silniejszy podmuch dmącego tu nieustannie wiatru z północy. Od setek lat był też Durbin schronieniem wszelkiej maści piratów, bukanierów i handlarzy niewolnikami. Borńc kiwnął głową Salmanowi. Niewysoki i pałający radością życia opryszek okazał się człekiem otwartym i gadatliwym.

- Mieszkałem tu od dziecka - powiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej, co przed chwilą wydałoby się Borrikowi rzeczą zgoła niemożliwą. - Mój ojciec też był rodowitym durbińczykiem. Kiedy członkowie pustynnych plemion z Jal-Pur kilkaset lat temu zwycięsko wtargnęli do Durbinu, zajęli kluczowy gród szlaku handlowego wiodącego przez Morze Goryczy, kiedy zaś sami zostali podbici przez Imperium, Durbin był już ich stolicą. Teraz formalnie władał miastem namiestnik imperialny - ale Durbin pozostał Durbinem.

- Powiedz mi - spytał Borric Salmana - czy miasto nadal jest rządzone przez trzy gildie?

- A... nie lada z ciebie ptaszek... - roześmiał się Salman. - Wie o tym bardzo niewiele. .. poza durbińczykami, oczywiście. Tak... Gildia Handlarzy Żywym Towarem, Gildia Braci Wybrzeża, którzy łupią wraki statków rozbitych na przybrzeżnych rafach, i Stowarzyszenie Morskich Kapitanów. Owszem, Wielka Trójca nadal włada Durbinem. To oni, nie ten imperialny pies, decydują, kto ma żyć, kto ma umrzeć, kto ma pracować i kto będzie spożywał owoce pracy. - Ciemnoskóry wzruszył ramionami. - Tak zresztą było tu zawsze. Przed nastaniem władzy Imperium. Przed ludźmi pustyni. Zawsze...

Przypomniawszy sobie potęgę i zasięg wpływów Szyderców, gildii krontorskich złodziejów, Borric spytał:

- A żebracy i złodzieje? Nie mają tu żadnej władzy?

- Ha! - zaśmiał się Salman. - Mój bywały przyjacielu, Durbin to najuczciwsze miasto na świecie! Jego mieszkańcy nie muszą na noc zamykać drzwi swoich domów i mogą przez całą noc bezpiecznie włóczyć się po ulicach. Ten, kto ukradnie cokolwiek w Durbinie jest skończonym głupcem... i w ciągu trzech dni wyląduje na cmentarzu lub w zagrodzie dla niewolników. Tak postanowiła Trójca... a któż okaże

123

się na tyle głupi, by kwestionować jej mądrość? Na pewno nie ja. I tak być musi, bo Durbin nie ma innych przyjaciół, poza tymi wydmami i morskimi rafami.

Borric lekko klepnął Salmana po ramieniu i cofnął się w głąb powozu. Z czterech chorych niewolników on właśnie najszybciej odzyskał siły - był bowiem najmłodszy i najzdrowszy. Pozostali byli wieśniakami i żaden z nich nie spieszył się z powrotem do zdrowia. Borric podejrzewał zresztą, że powodem ich kiepskiego stanu była raczej rozpacz i przygnębienie, a nie brak sił. Łyknął nieco wody i

zdumiał się, czując na policzkach pierwsze powiewy nadmorskiego wiatru, gdy powóz zaczął zjeżdżać w dół, ze wzgórz ku miejskim bramom. Jeden z doradców ojca, człowiek który uczył go sztuki żeglarskiej, Amos Trask, był za młodych lat piratem i jako sławny kapitan Trenchard, Sztylet Mórz, łupił wszystko, co pływało na wodach Wolnych Miast, Queg i samego Królestwa. Był też szanowanym członkiem Stowarzyszenia Morskich Kapitanów. Opowiadał szeroko i długo o swoich morskich przewagach, stawał się dziwnie milkliwy, kiedy przychodziło do rozmów o samym Stowarzyszeniu. Ale ktoś pewnie jeszcze pamiętał tu kapitana Trencharda - i to mogło się Borrikowi przydać. Młody książę postanowił, że jeszcze przez jakiś czas będzie ukrywał, kim jest naprawdę. Nie wątpił, że po wysłaniu żądań okupu do jego ojca potraktowano by go lepiej -pomyślał jednak, że może uda mu się jakoś uniknąć międzynarodowych komplikacji, do jakich niewątpliwie wtedy by doszło. Jeżeli zdoła jakoś przetrwać kilka dni w barakach niewolników i odzyska w tym czasie siły - spróbuje ucieczki. Pustynia była barierą nie do pokonania- teraz już o tym wiedział, sprawdzając to na własnej skórze - ale jakakolwiek mała łódeczka w porcie może stać się dlań przepustką do wolności. Aby dotrzeć do Krańca Ziemi, włości ojca barona Lockleara, trzeba pokonać ponad pięćset mil przeciwnych wiatrów - nie jest to jednak przedsięwzięcie niewykonalne. Borric rozmyślał o tym wszystkim ze spokojną pewnością siebie dziewiętnastolatka, który nigdy jeszcze w życiu nie doznał niepowodzenia. Jego niewola jest przejściowym kłopotem - i niczym więcej.

Przed słonecznym żarem lub furią burz niespodziewanie nadciągających znad Morza Goryczy osłaniały niewolników oparte na wysokich belkach zadaszenia. Boki miały jednak otwarte, tak by strażę mogły obserwować więźniów.

Zdrowy człowiek łatwo mógłby się wspiąć na dziesięciostopowe ogrodzenie, ale zanimby dotarł do jego szczytu i zdążył precyzyjnie przycisnąć się pod rozciągającym się trzy stopy wyżej dachem, na dole zebraliby się już czekający nań strażnicy. Borric

124

rozważył swoje szanse. Kiedy zostanie sprzedany, jego nowy właściciel może zaniedbać środki ostrożności, ale nie jest też wykluczone, że trafi na takiego, co je podwoi.

Rozum podpowiadał mu, że powinien podjąć próbę ucieczki teraz, póki jest niedaleko morza. Nowy właściciel może okazać się quegańskim kupcem, podróżnikiem z Dalekich Miast lub nawet szlachcicem z Królestwa. Najgorsza jednak była możliwość, że zabiorą go w głąb Imperium. Borric był zbyt niecierpliwy, by pozwolić losowi igrać ze sobą dłużej. Wkrótce miał już plan.

Największą trudnością było namówienie współwięźniów do okazania mu pomocy.

Jeśli potrafiliby na dłuższą chwilę odwrócić uwagę strażników, mógłby przedostać się przez płot i przepaść gdzieś w mieście. Potrząsnął głową. Ten plan, kiedy przemyślał go ponownie, nie wydał mu się najlepszy.

- Pssst!

Odwrócił się, by się zorientować, skąd dochodził dziwny dźwięk. Nie dostrzegłszy niczego, powrócił do ulepszania kiepskiego na razie planu.

- Pssst! Tutaj, szlachetny panie... tutaj!

Borric ponownie spojrzął pomiędzy pręty ogrodzenia i tym razem dostrzegł wśród cieni pochyloną nisko, drobną sylwetkę jakiegoś wyrostka. Spośród podtrzymujących dach belek uśmiechał się do niego szeroko chłopiec najwyżej dwunastoletni. Gdyby ów zuch przesunął się choć o cal w lewo czy prawo, z

pewnością zostałyby zauważony przez któregoś ze strażników. Borric obejrzał się i zobaczył, że dwaj najbliżsi z nich beztrosko zajęli się pogawędką.

- Czego chcesz? - spytał smarkacza szeptem.

- Gdybyś, o potężny, zechciał odwrócić choć na mgnienie oka uwagę tych strażników, oby trąd i szpetna choroba stoczyły im członki, byłbym ci wdzięczny aż po kres czasu!

- I co ci z tego przyjdzie? - spytał Borric.

- Potrzebna mi chwila ich nieuwagi, wielmożny panie.

Nie spodziewając się podstępu - w najgorszym razie miał przecie tylko zarobić w łeb - Borric kiwnął głową. Podeszedł do miejsca, gdzie stali obaj strażnicy, i zawołał:

- Hej, wy! Kiedy dostaniemy coś do jedzenia?

125

Obaj strażnicy wytrzeszczyli oczy, jakby zobaczyli gadającego wołu. Jeden z nich wetknął koniec swej włóczni pomiędzy pręty i usiłował dziobnąć bezczelnego więźnia, ale Borric z łatwością uniknął uderzenia.

- Tylko pytałem! - mruknął.

Zaraz potem uśmiechnął się do siebie i wetknąwszy dłoń pod koszulę, którą dostał tu niedawno, podjął bezowocny wysiłek oparcia się naglej chęci podrapania strupów. Przez ostatnie trzy dni miał już grzbiet jako tako osłonięty i oparzeliny zaczęły się goić, ale nieustanne swędzenie mocno dawało mu się we znaki.

Następna aukcja niewolników miała się odbyć za tydzień i młody książę wiedział, że znajdzie się na targowisku. Szybko odzyskiwał siły. Poczul szarpnięcie za rękaw, odwrócił się i spojrzał w oczy nieznajomego wyrostka.

- Co ty tu robisz?

Chłopiec spojrział nań, jakby nie rozumiał pytania. - Tu, to znaczy gdzie, szlachetny panie?

- Myślałem, że próbujesz uciec! - wyjaśnił Borric szeptem. - Nie, o wielki i szlachetny! - roześmiał się chłopak. Odwrócenie uwagi strażników, czego się tak wspaniałomyślnie podjąłeś, potrzebne mi było, by wejść do środka!

Borric wzniósł oczy ku niebu.

- Żeby wśród dwustu więźniów, którzy nieustannie marzą o ucieczce na zewnątrz, trafić na jedyne chyba w świecie idiotę, co pragnie dostać się do środka! Dlaczego coś takiego przytrafia się właśnie mnie?

Chłopiec również spojrział ku górze.

- Panie, do którego z bogów się zwracasz?

- Do wszystkich naraz i każdego z osobna. Słuchaj, może zechciałbyś mi wyjaśnić...

Wyrostek ujął Borrika za łokieć i powiodł ku wnętrzu baraku, gdzie mogli nie obawiać się przynajmniej, że strażnicy podsłuchają ich rozmowę. - Mój panie... to trochę skomplikowana sprawa...

- Dlaczego nazywasz mnie swoim panem?

Chłopiec wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i Borric dopiero teraz zaczął mu się uważnie przyglądać. Najbardziej charakterystyczne w smagłej twarzy nieznajomego wyrostka okazały się jego puciołowate policzki. Oczy, przesłonięte niemal zupełnie zmrużonymi ze śmiechu powiekami, były prawie czarne. Spod zbyt obszernego kaptura luźnej, lekkiej opanczy, którą jego nowy znajomy okrywał swe

chude ciało, na wszystkie strony wysuwały się zmierzwione, nierówno przycięte, czarne włosy.

- Wszyscy ludzie są godniejsi od kogoś tak mizernego jak ja, mój panie - rzekł nieznajomy wyrostek, kłaniając się lekko - i zasługują na mój niegasnący szacunek.

Nawet te świnie, strażnicy - dodał po krótkim namyśle. Borric nie umiał powstrzymać uśmiechu - ten zuch podobał mu się coraz bardziej.

- Dobrze więc, zechciej mi proszę wyjaśnić, dlaczego mimo iż nie wyglądasz mi na dziedzicznego idiotę - jako jedyny chyba w świecie dokładasz starań, by dostać się tam, skąd wszyscy pragną uciec.

Chłopak usiadł na piasku i poprosił Borrika, by uczynił to samo.

- Młody panie, zwę się Suli Abul, do twoich usług. Z zawodu jestem żebrakiem. Wstyd mi to przyznać panie, ale Trójca wzięła mnie na cel. Słyszałeś o Trójcy? - Borric kiwnął głową. - Wiesz więc, że ich gniew jest wielki i mają długie łapy. Zdarzyło się, że w swoich wędrówkach po mieście spotkałem starego kupca, który zasnął w słońcu. Z jego rozdartej sakiewki wypadło kilka monet. Gdybym był poczekał, aż się obudzi (licząc na to, że nie spostrzeże swej zguby), a potem podniósłbym to, co upadło mu na ziemię, nikt nie mógłby mi niczego zarzucić. Ja jednak jestem człowiekiem nieufnym i nie spodziewałem się, że bogowie okażą mi aż tyle łaski. Zacząłem więc ostrożnie podnosić monety. . . i trzebaż było trafu, że ten syn muła i starej studni ocknął się w najmniej odpowiednim momencie! Zaczął ryczeć: Złodziej! Złodziej! i wszyscy zwrócili na mnie swe spojrzenia. Jeden z obecnych... oby bogowie dali łapserdakowi krótką śmierć po długich mękach... rozpoznał mnie i nie omieszkał ogłosić wszem wobec mojego imienia. Teraz zaś cała Trójca mnie szuka, by przykładowie ukarać. A gdzież lepiej się ukryć niż we

więzieniu?

Borrika zdumiała przewrotna logika takiego wniosku. Potrząsając głową, zapytał:

- Powiedz mi jednak, co zrobisz za dziewięć dni, kiedy wezmą nas na targ?

Chłopiec ponownie się roześmiał:

- Do tego czasu, panie wielki i łagodny jak powiew chłodu na pustyni, dawno już stąd zniknę.

- I gdzie się skryjesz? - spytał księżę, który nagle zmrużył powieki.

- Z powrotem w mieście, młody panie! Drobny i nikczemnego wzrostu jestem, niełatwo mnie więc zauważyć, a Trójca będzie wkrótce miała inne troski. Coś się

127

szukuje w pałacu namiestnika... takie przynajmniej wieści krążą po ulicach. Ciągłe tam włączą i wylączą ważni ludzie z Trójcy i agenci Imperium. Tak czy owak, ci co mnie szukają, za kilka dni dostaną inne zajęcie, a ja spokojnie zajmę się swoją robotą.

- Czy wydostaniesz się równie łatwo, jak dostałeś się do środka? - spytał

Borric.

Chłopiec wzruszył tylko ramionami.

- Pewnie tak... choć w życiu niczego nie da się przewidzieć. Myślę, że jakoś sobie poradzę. Jeżeli nie... cóż... nic się nie dzieje bez woli bogów.

Borric złapał w garść koszulę zuchwalca i przyciągnął go do siebie.

- A więc, mój miłośniku filozofii, zawrzyjmy umowę... szepnął księżę. - Ja pomogłem tobie dostać się do środka, ty pomożesz mi wydostać się stąd na zewnątrz!

Twarz chłopca pobladła.

- P... panie... - wyjął szeptem, co samo w sobie było nie lada sztuką. -

Jestem niezwykle pomysłowy i może udałoby mi się znaleźć sposób, by wyprowadzić cię na zewnątrz, ale jesteś wielki jak góra i masz skute dłonie!

- Nie wiesz, jak uwolnić mnie z łańcuchów?

- A skądże miałbym to wiedzieć? - odparł chłopiec takim tonem, jakby spytano go właśnie, czy nie umie przypadkiem wskrzeszać umarłych.

- Nie wiesz? To co z ciebie za złodziej? Chłopiec potrząsnął głową.

- Kiepski, panie, nad wyraz kiepski, by rzec prawdę. Paranie się kradzieżą w Durbinie jest straszną głupotą, jestem więc jeszcze i głupcem. Kradłem zresztą tylko najdrobniejsze rzeczy... nic ważnego. Przysięgam na duszę matki, panie, dziś zresztą spróbowałem pierwszy raz...

Borric potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Któryś z bogów bardzo mnie chyba nie lubi. Potrzebny mi złodziej, nieba zsyłają mi więc złodzieja... i trzeba trafu, że w całym Imperium i Królestwie Wysp trudno byłoby o większego odeń idiotę i niedołęgę. Cóż, gdybym miał wytrych, sam mógłbym się uwolnić. Czekałże, to jest myśl! - Nabierając tchu w płuca, zaczął mówić spokojnie i łagodnie, by nie spłoszyć chłopaka. Słuchaj, mały... potrzebny mi kawałek sprężystego drutu. . . o, mniej więcej tej długości. Mógłby to być nawet nieduży gwóźdź. Rozstawiając palce na odległość dwu cali, pokazał chłopcu

128

rozmiary potrzebnego mu kawałka żelaza. Kajdany utrudniły mu rozsunięcie dłoni, ale w końcu chłopiec kiwnął głową.

- To mogę znaleźć, panie.

-- Dobra nasza! - rzekł Borrik, puszczając chłopaka. W następnej chwili mały odwrócił się, jakby zamierzając rzucić się do ucieczki, księżę jednak przewidział tę możliwość, zręcznie podstawił mu nogę i przewrócił na ziemię. Zanim urwis zdążył wstać, Borric złapał go za ramię. - Zwracasz na nas ich uwagę -- powiedział, wskazując głową stojących nieopodal strażników. - Chłopcze, wiem, co zamierzasz. Nie próbuj uciekać. Jeśli mają mnie sprzedać za parę dni, nie będę się sprzeciwiał towarzystwu. Jeszcze jeden taki figiel i wydam cię strażnikom. Zrozumiałeś?

- Tak, panie! - wyszeptał chłopiec, teraz już bez reszty upokorzony.

- Znam takich jak ty, chłopcze - ciągnął dalej Borric. Uczył mnie i wychowywał ktoś, kto w złodziejskim fachu przewyższał cię tak bardzo, jak ty przewyższasz pchły w twoim kaftanie. Wierzysz mi? - Suli kiwnął głową, bojąc się zaufać głosowi. - Jeśli zechcesz mnie zdradzić czy zostawić, pewien bądź, że znajdę sposób, by cię pojmano i sprzedano jak mnie. Siedzisz w tym po same uszy i nie wydostaniesz się beze mnie. Chłopiec znów kiwnął głową, Borric zaś stwierdził, że potulność urwisa nie wynikała z chęci odzyskania wolności, ale z pragnienia przekonania go, iż łobuziak szczerze wierzy, że przy próbie opuszczenia księcia zostanie wydany strażnikom. Młody wyspiarz puścił żebraka, ten zaś upadł ciężko na piasek. Tym razem nie podjął próby ucieczki - usiadł po prostu i zapatrzył się przed siebie tępym wzrokiem człowieka, przed którym nie już nadziei. - Och, Panie Miłosierny... błagam, wybacz mi moją głupotę. Czemu wydałeś mnie w ręce tego szaleńca'?

Borric przyklęknął obok złodziejaszka.

- Możesz zdobyć dla mnie jakiś drut, czy po prostu tak sobie gadałeś?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Owszem... mogę. - Wstał i kiwnięciem dłoni wezwał Borrika, by poszedł za nim. Podeszli do płotu. Chłopiec odwrócił się plecami do strażników, tak by nie mogli spostrzec, w którą stronę spogląda. Pokazując dłonią deski, powiedział:

- Niektóre z nich są spaczone. Zobacz, czy jakiś gwóźdź ci się nie nada.

Borric również się odwrócił, kątem oka jednak uważnie przyjrzał się deskom.

Trzecia od dołu rzeczywiście była wypaczona i wystawała z niej główka sporego ćwieka. Oparłszy się o nią, poczuł, że gwóźdź uwiera go w ramię. Odwróciwszy się

129

szybko, pchnął chłopca na deskę. Suli naparł na nią całym ciężarem, Borric zaś w sekundę potem zaczepił krawędź kajdan o wysuniętą w ten sposób główkę ćwieka.

- Teraz módl się, żebym go nie wygiął! - Szarpnął potężnie i gwóźdź wyszedł jak węgorz z saka. Pochyliwszy się szybko, podniósł zdobycz i ukrył ją przed oczami innych. Rozejrzawszy się wokół, spostrzegł z ulgą, że nikt nie zwrócił uwagi na jego dziwaczne manewry. Wykonawszy kilka nieznaczących ruchów, zdjął kajdany z jednego, potem z drugiego nadgarstka. Przetarł szybko piekące go dłonie i ponownie założył kajdany.

- Co robisz? - stęknął zdumiony złodziejasek.

- Jeśli strażnicy zobaczą mnie bez tych łańcuchów, zaraz podejdą, by zbadać, co się stało. Teraz chciałem tylko zobaczyć, jak łatwo je zrzucić. To żadna sztuka.

- Gdzie też szlachecki syn, taki jakim jesteś, panie, mógł się nauczyć takich sztuczek? - spytał niewinnie Suli. Borric uśmiechnął się szeroko.

- Jeden z moich wychowawców miał barwne dzieciństwo. Nie wszystko, czego mnie nauczył, godziło się... - niemal powiedział „księciu”, w ostatniej jednak chwili jednak zdołał to zmienić na „szlacheckiemu synowi”.

- *Aha! - powiedział chłopiec. - Więc jesteś szlachetnie urodzony... tak właśnie myślałem, sądząc po twojej mowie.*

- *Mojej mowie? - zdumiał się Borric.*

- *Mówisz, panie, jak człowiek z gminu. Ale twój akcent wskazuje na wysokie... może nawet królewskie urodzenie. Borric przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.*

- *Trzeba będzie to zmienić. Jeżeli przyjdzie mi dłużej ukrywać się w mieście, muszę uchodzić za prostaka.*

- *Mogę cię tego nauczyć - ofiarował się chłopiec. Spojrzawszy zaś na kształt krępujących ruchy Borrika kajdan, spytał: Dlaczego zakuli cię w tak dziwaczne okowy, o synu najszlachetniejszego z ojców?*

- *Wzięli mnie za maga.*

Chłopiec wytrzeszczył zdumione oczy.

- *To dlaczego od razu cię nie zabito? Uwięzienie maga to ogromnie trudna sprawa. Nawet ci pomniejsi potrafią zesać wrzody i czyraki na tych, co im dokuczają.*

Borric stłumił uśmiech.

130

- *Prawie ich przekonałem, że miałem kiepskich nauczycieli. - To dlaczego cię okuto?*

- *Powiedziałem, że prawie ich przekonałem. Chłopiec uśmiechem skwitował żart.*

- *Dokąd udamy się potem, panie?*

- *Do portu... gdzie zamierzam ukraść jakąś łódź. Potem spróbujemy dostać*

się na wody Królestwa.

- To piękny plan - zgodził się Suli. -Ja będę twoim sługą, młody panie, twój ojciec zaś sowicie mnie nagrodzi za pomoc w twojej ucieczce z tego legowiska łotrów i morderców.

Borric nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Teraz sam zaczynasz gadać niczym szlachetnie urodzony, nieprawdaż?

Chłopiec uśmiechnął się tak, że gdyby nie uszy, odpadłby mu chyba wierzch czaszki. - Aby zarabiać na życie żebraniem, trzeba mieć giętki język, o najwspanialszy z panów. Zwykła prośba o wsparcie kwitowana jest najczęściej kopniakiem albo kuksańcem... no, chyba że nagabywany ma gołębie serce. Aby otrzymać datek, trzeba używać bardzo wymyślnych przekleństw.

- Jeśli powiem na przykład: „Oby piękność twojej małżonki zgasła i zamieniła się w brzydotę”, jakież kupiec zatrzyma się choćby na chwilę? Ale jeżeli jęknę: „Oby twoja kochanka stała się jako twoja żona! I niech podobny los spotka twe córki!”, każdy ciśnie mi kilka miedziaków, aby odwrócić klątwę, bo jeśli córki wyrosną na podobieństwo żony, biedak nie znajdzie dla nich mężów, a jeżeli jeszcze i kochanka zacznie mu ją przypominać, tedy jego życie przemieni się w piekło.

- Czekażże! Czy ty naprawdę możesz rzucać takie klątwy? - spytał prawdziwie rozbawiony Borric.

- A któż to może wiedzieć? - roześmiał się chłopiec. Jakiż jednak mężczyzna nie pozbędzie się paru miedziaków dla odwrócenia klątwy, która może się przecie spełnić?

Borric przysiadł na ziemi.

- Podzielę się z tobą posiłkami... to znaczy zupą i chlebem. Ale przed dniem

targu muszę stąd uciec.

- Podniosą wrzawę i przeszukają całe miasto.

- Na to właśnie liczę - uśmiechnął się młody książę. Zjadłszy połowę swej porcji, Borric oddał talerz chłopcu. Suli połknął jego zawartość niczym młody

131

wilczek i skrzętnie wylizał resztki. Od siedmiu dni dzielili się porcjami i choć nie dojadali, nie cierpieli też głodu, ponieważ handlarze tuż przed aukcją nie żalowali niewolnikom jedzenia. Podkrążone oczy, zapadnięte policzki i wynędzniałe sylwetki niewolników z pewnością nie przyniosłyby handlarzom godziwego zarobku, czemuż więc nie zadbać o towar, zwłaszcza że cena, jaką trzeba zapłacić za starunek i kilka dodatkowych porcji nie była wysoka. Jeśli nawet inni więźniowie spostrzegli, że chłopak dołączył do nich w dość niezwykły sposób, żaden tego nie komentował.

Wszyscy pogrążyli się w posępnym milczeniu i nikt nie podejmował prób nawiązywania jakiegokolwiek rozmowy. Po cóż zresztą się trudzić i zaprzyjaźniać z ludźmi, których pewnie już się nigdy nie spotka?

- Musimy uciec przed porannym liczeniem - odezwał się Borric szeptem, tak by nikt nie mógł podsłuchać. Chłopiec kiwnął głową, ale zaraz potem mruknął:

- Dlaczego akurat teraz?

Od siedmiu już dni ukrywał się pośród niewolników, pochylając się za każdym razem, gdy ich liczą. Może go i zauważono, ale strażnicy nie powtarzali liczenia, jeśli odkrywali nadmiar zakładali po prostu, że się pomylili. Oczywiście odliczyliby jeszcze raz, gdyby więźniów brakowało.

- Potrzebne mi jak największe zamieszanie, gdy tylko uciekniemy. Ale chcę też, by większość strażników następnego dnia znalazła się na aukcji. Rozumiesz?

Chłopiec nie próbował nawet udawać. - Nie, panie.

Podczas minionego tygodnia Borric nieustannie i skrzętnie wypytywał chłopca o każdy szczegół, dotyczący samego miasta i terenów otaczających gmach Gildii.

- Za tym płotem jest ulica, którą moglibyśmy dojść do portu, prawda? -

spytał Borric, Suli zaś potwierdził kiwnięciem głowy. - Kilka minut po tym, jak łapacze zorientują się, żeśmy uciekli, tą uliczką pomknie kilkunastu strażników, by odciąć nam drogę na morze, ponieważ w porcie moglibyśmy zdobyć łódź i ruszyć do Queg albo gdzie indziej...

Suli ponownie kiwnął głową. Wszystko było logiczne i na swoim miejscu.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby ucieczki na pustynię, prawda?

- Prawda.

- A więc my właśnie ruszymy ku pustyni. - Panie! Czeka nas tam niechybna śmierć!

132

- Nie powiedziałem wcale, że ruszymy przez pustynię, tylko że pobiegniemy w tamtą stronę i poszukamy jakiejś kryjówki zaśmiał się Borric.

- Ale gdzie ją znajdziemy? W tamtym kierunku są tylko domy bogaczy, koszary i... pałac namiestnika!

Borric uśmiechnął się tak, że jakiemuś mistrzowi dłuta mógłby służyć za model do portretu uosobienia Przebiegłości.

- Bogowie! -oczy Suliego niemal wypadły z orbit. -Chrońcie nas głupców! Nie zamierzasz chyba, panie wielki i potężny... - Oczywiście, że zamierzam! To jedyne miejsce, w którym nikt nie będzie szukał zbiegłych niewolników!

- Oj, dobry panie! Chyba żartujesz, by zadrwić z twego niegodnego sługi.

- Suli, nie upadaj na duchu. - Borric obejrzał się precz ramię, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. - To zresztą ty podsunąłeś mi ten pomysł.

- Ja? Nigdy w życiu nie mówiłem niczego o ukrywaniu się pod bokiem namiestnika.

- To prawda... ale sam nigdy bym tego nie wymyślił, gdyby nie twoja próba szukania schronienia w barakach niewolników.

Borric zręcznie zsunął z dłoni okowy, poleciał chłopcu wstać. W odległym końcu zagrody strażnicy grali w kości, a jeden, który miał baczyć na więźniów, uciął sobie drzemkę. Borric uniósł głowę, Suli zaś przytaknął. Urwis zdjął z siebie szaty, zostawiając tylko przepaskę lędźwiową, a młody książę złączył dłonie, tworząc jakby strzemię. Chłopiec postawił na nich stopę i książę podrzucił go ku belkom poddasza. Młodociany złodziejasek zręcznie przeczołgał się po belkach ku najdalszemu kątowni zagrody, gdzie drzemał samotny, zostawiony przez kompanów strażnik.

Źle byłoby się teraz wahać lub hałasować, Borric wstrzymał więc oddech.

Przekradł się ku miejscu, gdzie w górze czaił się Suli. Tam szybko wspiął się na wysokość kilku stóp i sięgnął wyżej, by złapać prowizoryczną drabinę z brudnego kaftana, który chłopiec zawiązał wokół jednej z belek. Podciągnąwszy się wyżej, przerzucił się nad ogrodzeniem i zsunął w dół ku pogrążonemu w drzemce strażnikowi. Suli Abul tymczasem zawisł niemal nad niedbałym nadzorcą.

Zręcznie, jakby wielokrotnie to przećwiczyli, chłopiec uniósł hełm z głowy strażnika, Borric zaś trzasnął stróża w ciemię kajdanami. Żelazo uderzyło z

głuchym stukotem i strażnik padł jak wół pod obuchem siekiery rzeźnika.

133

Nie dbając o to, czy ktoś na nich patrzy - zresztą w takim przypadku i tak wszystko by przepadło - Borric podskoczył i chwycił zwisający kaftan Suliego. Szybko podciągnął się w górę. zatrzymał na chwilę, by nabrać tchu i ruszył za chłopakiem. Suli zręcznie i bezgłośnie przemknął pomiędzy belkami podtrzymującymi dach. Borric, jako cięższy i z mniejszą praktyką linoskoczka. musiał opaść na czworaki i podązał za chłopcem znacznie wolniej. Przemknęli nad hazardzistami i zanurzyli się w półmroku. Na przeciwległym krańcu zagrody zeskoczyli na dach ostatniego z baraków i śmignęli przez zewnętrzne ogrodzenie. Z trudem złagodzili upadek, obu jednak się to udało i pognali w noc pędząc, jakby na pięty następował im cały durbiński garnizon. Biegli oczywiście ku pałacowi namiestnika.

Plan Borrika nie zawiódł i wszystko poszło jak po maśle. W ruchliwym pałacu panowało spore zamieszanie i każdy zajmował się swoimi sprawami. Para bezimiennych niewolników, którzy powoli człapali przez dziedziniec do kuchni, nie zwróciła na siebie niczyjej uwagi. Po dziesięciu minutach podniosła się wrzawa i na ulicach miasta pojawiło się wielu strażników, którzy pilnie poszukiwali zbiega.

Borric i Suli zdążyli już tymczasem zaszyć się na poddaszu w skrzydle przeznaczonym mdła gości, które - sądząc po ilości nagromadzonego tam kurzu - od wielu lat stało puste.

- Bez dwu zdań, panie mój, jesteś na pewno czarodziejem - wyszeptał Suli. -

Nawet jeżeli nie takim, za jakiego cię wzięto, to jakimś innym... Nikomu nie przyjdzie do głowy, by szukać w pałacu namiestnika.

Borric kiwnął tylko głową. Podniósł palec w geście nakazującym ciszę i położył się na plecach, jakby szykując do snu. Podniecony wyrostek nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczył, że młody człowiek rzeczywiście zasnął snem sprawiedliwego. Suli był zbyt przejęty - i przestraszony - by nawet spróbować tego samego. Ostrożnie wyjrzał więc przez małe okienko, przez które dostali się na to poddasze, a z którego miał piękny widok na cały dziedziniec i częściowo na boczne skrzydła pałacu.

Przyjrząwszy się przypadkowo wchodzącym do głównego budynku i wychodzącym zeń domownikom i służbie, mały żebrak zaczął badać poddasze. Mógł się tu poruszać na stojąco, choć Borric musiałby się mocno schylić. Chłopiec ostrożnie przeszedł po belkach, starając się nie zaalarmować nikogo, kto znalazłby się w komnacie niżej. W odległym kącie poddasza trafił na drzwi w podłodze.

134

Przyłożył do nich ucho, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Odczekał długą chwilę, taka przynajmniej mu się wydała-i spróbował lekko podnieść płytę. Znajdujący się niżej pokój był mroczny i pusty. Chłopiec ostrożnie uchylił drzwi, starając się nie spowodować opadnięcia kurzu w dół, i wytknął głowę przez powstałą szczelinę. I niemal wrzasnął głośno - okazało się bowiem, że z odległości kilku cali spogląda na czyjąś gębę. Gdy wzrok przyzwyczaił mu się do półmroku, przekonał się, że patrzy w oczy posągu, jakie bogacze przywożą z Queg - naturalnych rozmiarów i wyrzeźbionego z marmuru. Oparłszy dłoń o głowę rzeźby, Suli opuścił się do leżącego niżej pomieszczenia. Rozejrzał się dookoła i odkrył nie bez satysfakcji, że trafił do komnaty, której używano jako graciarni. W jednym kącie, pod jakimiś szmatami, znalazł tępy nóż kuchenny. Kiepska broń lepsza niż żadna - pomyślał,

wtykając nóż za pazuchę kaftana. Poruszając się najciszej jak potracił, zbadał jedyne znajdujące się w komnacie drzwi. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Suli otworzył je ostrożnie i wyjrzał przez uchyloną szczelinę na pusty ciemny korytarz. Cichutko wymknął się na zewnątrz i ruszył powoli aż do skrzyżowania z drugim, równie ciemnym przejściem. Nasłuchując przez długą chwilę, upewnił się, że nikt nie używa tej części namiestnikowskiego rozległego pałacu. Poruszając się nieco śmieiej, zbadał kilka wybranych na chybił trafił komnat i przekonał się, że wszystkie są puste. W wielu z nich w ogóle nie było mebli, w innych zaś przykryto je płóciennymi osłonami. Przystanął na chwilę i rozejrzał się dookoła, zawzięcie drapiąc się po ramieniu. Wyglądało na to, że nie znajdzie tu niczego, co warto byłoby zabrać ze sobą, postanowił zatem wrócić na poddasze i trochę odpocząć. W tej samej chwili dostrzegł nikły blask światła w drugim końcu korytarza.

Jednocześnie ciszę przerwał czyjś gniewny głos.

Ciekawość i ostrożność wzięły się za łby i stoczyły w sercu chłopca krótką - choć gwałtowną - walkę. Zwyciężyła ciekawość. Suli przemknął ostrożnie korytarzem i odnalazł drzwi, zza których dały się słyszeć stłumione głosy.

Przytknąwszy ucho do płyty, usłyszał wrzask jakiegoś mężczyzny:

- Durnie! Gdybyśmy dowiedzieli się o tym wcześniej, moglibyśmy się jakoś przygotować!

- Wszystkim kierował przypadek - odpowiedział drugi, bardziej opanowany głos. - Nikt nie wiedział, co miał na myśli ten idiota Reese, kiedy przekazał wiadomość od Lafe'a, że do wzięcia jest karawana księżęca. . . z kilkoma zaledwie strażnikami.

- Nie książe - uściślił pierwszy, opanowując gniew. Karawana księcia. Tak powinna brzmieć ta wiadomość.

- To znaczy że więzień, który zbiegł dziś w nocy, był księciem?

- Nie inaczej. To ten, jak mu tam... Borric. Albo Bogini Szczęścia gra z nami w kotka i myszkę. Tylko on spośród więźniów miał rude włosy.

- Lord Ogień będzie niezadowolony, że chłopiec przeżył odezwał się spokojniejszy. - Jeśli Borrika uznają za nieżyjącego, to dopięliśmy swego, ale gdyby przypadkiem księciu udało się jakoś wrócić do kraju...

- Zatem musicie się postarać, by mu się to nie udało odparł gniewnie. - A do kompletu dołóżcie jeszcze trupa jego braciszka.

Suli spróbował zajrzeć przez szczelinę, ale nie dostrzegł niczego, zerknął więc przez dziurkę od klucza. Niestety, zobaczył jedynie plecy jakiegoś mężczyzny i część jego spoczywającej na stole ręki. Potem siedzący za stołem pochylił się ku przodowi i chłopiec poznał namiestnika Durbinu. Do niego należał ów gniewny głos, którym teraz przemawiał:

- Wiadomość o tym, że zbiegły niewolnik to książe Borric, nie może wyjść poza tę komnatę. Nie może wyjawić swej tożsamości. Rozpuść plotki, że podczas ucieczki podstępnie zamordował strażnika i wydaj rozkaz, by zabito go na miejscu.

Przemawiający spokojniejszym głosem przesunął się nieco, zasłaniając chłopakowi widok. Żebrak odskoczył spiesznie, w obawie, że drzwi nagle się otworzą, ale rozmówcy kontynuowali naradę.

- Handlarzom niewolników to się nie spodoba. Oni woleliby publiczną egzekucję, najlepiej śmierć w klatce, na słońcu... tak żeby dać nauczkę innym niewolnikom.

- Jakoś ich uspokoję - mruknął namiestnik. - Ale zbiegowi nie wolno dać sposobności otwarcia gęby! Jeśli ktokolwiek odkryje nasz udział w tej całej sprawie... - nie dokończył. Lafe'owi i temu drugiemu też trzeba zamknąć pyski... i to na zawsze... .

Suli odsunął się od drzwi. Borric, myślał... Tak... Jego nowy pan jest zatem dziedzicem rodu conDoin, synem księcia Krondoru!

Nigdy przedtem nie był tak przerażony, jak teraz. Przypadkowo wpakował się w rozgrywkę pomiędzy smokami i tygrysami! Z twarzą zalaną łzami pomknął na poddasze. Miał choć tyle przytomności umysłu, by zamknąć za sobą cicho drzwi do graciarni. Wdrapał się na quegański posąg, podciągnął się na stryszek i

136

starannie zamknął klapę w podłodze. Bezszelestnie podczołgał się do śpiącego księcia.

- Borric! - szepnął mu prosto w ucho. Młody człowiek natychmiast się obudził.

- Co się stało?

- O, najwspanialszy z panów! - jęknął Suli, zalewając się łzami. - Miej litość nad swoim nędznym sługą. Wiedzą już, kim jesteś, rozpoczęli dokładne poszukiwania. Postanowili, że trzeba cię zabić, zanim zdołasz wyjawić komukolwiek swoją tożsamość.

Borric zamrugnął powiekami i chwycił chłopca za ramiona. - Kto wie, kim jestem?

Namiestnik... i jeszcze jeden człowiek. Nie mogłem dostrzec, kto to taki. To skrzydło przylega do innego, w którym namiestnik

odbywa narady. Mówili o jakimś czerwono włosym niewolniku, który zbiegł dzisiejszej nocy, i o księciu z Wysp. Jesteś, panie, jednym i drugim.

Borric zaklął pod nosem.

- To niczego nie zmienia.

- Wybacz, najłaskawszy panie, ale to zmienia wszystko jęknął chłopiec. - Nie przestanę cię szukać po jednym dniu, będą cię ścigać tak długo, aż cię pojماją i zabiją. A mnie zabiją za to, że wiem.

Borric puścił przerażonego chłopaka i stłumił swoje własne obawy.

- To znaczy, że musimy ich po prostu przechytrzyć, czy nie tak?

Niezbyt to było przekonujące, ponieważ, tak naprawdę, sam nie miał pojęcia, co zrobić w tej sytuacji.

137

ROZDZIAŁ 8 - UCIECZKA

Chłopiec przecząco potrząsnął głową. - Tak! -powtórzył Borric.

Suli znów potrząsnął głową. Od powrotu na poddasze prawie odebrało mu mowę.

- Mój księżę, jeżeli tam wrócę, zabiją mnie!

Borric pochylił się i mocno ujął urwisa za ramiona. Nadając głosowi tak groźny ton, na jaki tylko potrafił się zdobyć, warknął gniewnie:

- A jeżeli tam nie wrócisz, sam cię wyprawię do twoich przodków! -

Ujrzawszy błysk przestachu w oczach ulicznika, domyślił się, że mu się powiodło.

Sprzeczką dotyczyła odmowy ponownego podsłuchu komnat namiestnika, gdzie

Suli mógł dowiedzieć się czegoś jeszcze o planach wrogów. Borric bezskutecznie

wyjaśniał samozwańczemu słudze, że każdy dodatkowy strzęp informacji zwiększa

ich szanse na przeżycie. Przerażony chłopak nie bardzo ufał teoriom. Odkrycie, że zbiegły więzień jest księciem krwi z sąsiedniego królestwa było dla wyrostka potężnym wstrząsem, który przywiódł go niemal na krawędź hysterii. Wracając na poddasze, doszedł do słusznego - jego zdaniem wniosku, że każdy, kto miał w Durbinie choć odrobinę wpływów. będzie szukał zaginionego księcia, opętany jedną myślą - zabić go! Ta myśl wystarczyła, by chłopiec stracił niemal zdolność rozumowania. Potem dołączyła do niej druga - zabity zostanie również ten, kto będzie księciu towarzyszył. Powód będzie jasny: zapewnić spiskowcom wieczne milczenie ofiary. Dość niezwykle było to, że na obu tych spostrzeżeniach wsparł resztki zdrowego rozsądku i gdyby nie one, byłby chyba popadł w zupełną histerię. Usiadł pod ścianą i objął ramionami kolana, a potem zalał się łzami-jedynie strach przed ujawnieniem kryjówki powstrzymał krzyk paniki, który narastał mu w krtani. W końcu Borric przekonał się, że chłopaka nijak się nie da uspokoić. Potrzęsnał głową i zniechęcony powiedział:

- Doskonale. Zostań tutaj, a ja pójdę się czegoś dowiedzieć. Gdzie to było?

Wyobraźnia ukazała Suliemu widok rosnącego księcia przewracającego posągi, wpadającego po ciemku na meble i robiącego tyle hałasu, że na nogi niechybnie stanie całe miasto. Podziałało to na niego niczym strumień lodowatej wody. Wizja ta była jeszcze bardziej przerażająca niż ryzyko ponownego schwytania na podsłuchiwanie. Chłopiec przemógł swe obawy i drżącym głosem powiedział:

138

- Nie... mój dobry panie. Ja pójdę. - Przez chwilę zbierał się w sobie, potem już pewniejszym głosem zaproponował: Zostań tutaj, ja zaś posłucham, o czym tamci rozmawiają.

Podjąwszy decyzję, chłopiec nie wahał się dłużej i ruszył ku klapie w podłodze poddasza. Dotarł do niej, otworzył ją i bezgłośnie zsunął się w dół. Borric pomyślał, że jego nowy przyjaciel okazuje szczególny typ odwagi, która każe mu dokonać tego, co sobie zamierzył, niezależnie od odczuwanych lęków. Czas włókł się niemiłosiernie i po upływie godziny książę zaczął się niepokoić.

A jeżeli chłopca pojmano? Co będzie, jeśli zamiast pyzatego, małego żebraka spod podniesionej klapy wyłoni się uzbrojony wojownik albo morderca? Minuty mijaly jedna za drugą, Borric zaś słyszał jedynie łomot własnego serca. Ktoś pragnął jego śmierci. Wiedział to od owego meczu w Krondorze. Ten ktoś ukrywał się pod imieniem Lorda Ognia. Głupie imię, przybrane tylko po to, by zachować w tajemnicy tożsamość osobnika, który wydał rozkaz zabicia dziedzica tronu Królestwa Wysp. Jednym ze spiskowców był namiestnik Durbinu i człowiek w czarnym płaszczu-prawdopodobnie posłaniec Lorda Ognia. Zmęczenie, napięcie psychiczne i dające się we znaki skutki wędrówki przez pustynię sprawiły, że Borrikowi głowa pękała z bólu. Przemagając udrękę, usiłował jakoś się w tym wszystkim rozeznać. Jeżeli do spisku przyłącza się namiestnik takiej zapadłej dziury jak Durbin, oznacza to dwie rzeczy. Po pierwsze, można założyć, że autor i główny animator planu, zgodnie z którym zamierzano wciągnąć Imperium w wojnę z Królestwem Wysp, musi być osobnikiem niezwykle wpływowym. Po drugie, spisek musi być niezwykle rozgałęziony, ponieważ w Imperium niewiele znalazłoby się miast bardziej oddalonych od stolicy niż Durbin. Klapa w podłodze uniosła się nieznacznie i Borric ujął w dłoń rękojeść noża.

- Panie! -rozległ się znajomy szept. Wrócił Suli. Chłopak był tak czymś poruszony, że nawet mrok nie zdołał skryć jego podniecenia.

- Co się stało?

Chłopiec przysiadł obok księcia i raptem zaczął swoją opowieść.

- *Twoja ucieczka wywołała w mieście wielkie poruszenie! Jutrzejsza aukcja została odwołana. Przeszukują wszystkie wozy wyjeżdżające z miasta! Wszyscy rudowłosi mają być natychmiast aresztowani, zakneblowani i niezwłocznie doprowadzeni do pałacu na przesłuchanie.*

139

- *Do licha! Naprawdę zależy im na tym, by nikt nie dowiedział się o mojej obecności w tym mieście!*

Borric usłyszał uciechę w głosie chłopca i wyobraził sobie jego szeroki uśmiech.

- *Panie... z tym będą trudności. Miasto jest tak poruszone, że, prędzej czy później, ktoś odkryje prawdę. Kapitanowie zgodzili się przeszukać morskie szlaki pomiędzy rafami stąd aż do Krondoru - będą wypatrywać zbiegłego niewolnika.*

Każdy budynek w mieście ma być przetrząśnięty od piwnic po strych...

poszukiwania już zresztą się zaczęły. Niczego nie rozumiem. Borric wzruszył ramionami.

- *Ja też. Jak im się udało zaprząć do roboty tylu ludzi, nie mówiąc nikomu, o co chodzi? - Księżę podszedł do szczeliny pomiędzy krokwiemi i wyjrzał na dziedziniec. -Do świtu zostało jeszcze pięć, może sześć godzin. Możemy trochę odpocząć.*

- *Panie! - rzekł chłopiec. - Jak możesz odpoczywać? Powinniśmy uciekać!*

- *Tego właśnie się po nas spodziewają - rzekł łagodnie Borric. - Szukają człowieka, który będzie uciekał. Samotnie. Rudowłosego.*

- Owszem - przytaknął ulicznik.

- A my położymy się tu wygodnie, podkradniemy trochę jedzenia z kuchni i poczekamy, aż emocje nieco opadną. W domu tak dużym jak ten możemy się ukrywać przez kilka dni.

Siedzący na piętach chłopak westchnął przeciągle. To, co usłyszał, wcale go nie uspokoiło, nie miał jednak lepszych pomysłów i musiał pogodzić się z planem Borrika.

Młody książę ocknął się nagle, czując gwałtowny łomot serca. Wokół panował mrok. Nie, poprawił się Borric, spostrzegając smugę światła sączącego się ze szczeliny pomiędzy krokwiami. Mrok panował tylko na poddaszu. Przypomniawsobie czasy, kiedy wraz z bratem bawili się w ojcowskim pałacu i korzystali z sekretnych przejść, którymi służba skrycie przedostawała się z jednego apartamentu do drugiego. Kiedyś chłopcy się rozdzielili i Borric zabłądził. Czekał długo... bardzo długo, aż w końcu odnalazł go wujek Jimmy. Młody książę uśmiechnął się do wspomnień. Erland miał wtedy większego stracha niż on.

Przesuwając się ku szczelinie w więźbie dachu, Borric nie miał wątpliwości, że teraz

140

musi być tak samo. - Erland uważa mnie za nieboszczyka mruknął do siebie. I nagle zdał sobie sprawę z faktu, że na poddaszu jest sam. Chłopiec gdzieś zniknął!

Po omacku poszukał noża. Znalazł go tam, gdzie leżał wcześniej. Poczucił się nieco lepiej (kiepski oręż lepszy niż żaden!), zaczął więc rozmyślać, co też urwisowi strzeliło do głowy. Może postanowił kupić sobie życie za wiadomość o miejscu ukrycia się pewnego rudowłosego niewolnika? Niewiele brakowało, a Borric wpadłby w panikę. Jeśli chłopiec rzeczywiście postanowił go wydać, obaj mogli się

już uważać za nieboszczyków. Zmuszając się do zachowania spokoju, znów wyjrzał przez szparę w dachu. Zbliżał się świt i na dziedzińcu zaczęła się już codzienna krzątania - służba krążyła pomiędzy skrzydłami, kuchnią i budynkiem głównym. Młody książę nie spostrzegł jednak nic, co kazałoby mu myśleć, że dzieje się tu coś niezwykłego. Nigdzie nie było widać zbrojnych i nikt nie wykrzykiwał komend. Cofnął się i zaczął rozważać wszystko od nowa. Być może chłopiec nie był przesadnie wykształcony, ale też i nie należał do głupców. Z pewnością potrafił się domyślić, iż jeśli ktokolwiek powźmie podejrzenie, że maczał palce w ucieczce Krondorczyka, jego życie stanie się tańsze od funta kłaków. Z pewnością ukrył się gdzieś w mieście, a może nawet już zeń wypływał... na przykład na pokładzie jakiegoś statku jako zwykły chłopiec okrętowy. Borric, który lubił jadać często i dobrze, poczuł, że kiszki zaczynają mu grać ponurego marsza głodowego. Przed puszczeniem się w tę podróż nigdy nie zaznał głodu i wolałby, żeby tak pozostało. Podczas morderczej wędrówki do Durbinu zbyt wiele wycierpiał, by uskarżać się jeszcze i na głód. Teraz jednak, gdy niedawno poparzona skóra stała się ciemnobrązowa, a on sam prawie odzyskał dawną krzepę, naprawdę poczuł, że ma pusty żołądek. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie mógłby wyślizgnąć się niepostrzeżenie i, korzystając z porannej krzątania, jakoś przedostać się do kuchni, z rzadkim u niego jednak przejawem zdrowego rozsądku ocenił, że jest to zbyt ryzykowne. Rudowłosi, mierzący sześć stóp niewolnicy nie trafiali się w Durbinie zbyt często i zostałby pewnie schwytany, zanim zdążyłby się zbliżyć choć na sto kroków do celu. Los tymczasem jakby się sprzysiągł przeciwko niemu, bo poranny wietrzyk przyniósł na poddasze znajomy i jakże apetyczny zapach. W kuchni smażyono jajecznicę na szynce! Ślinka pociekła mu do ust i Borric usiadł na

deskach, ujął głowę w dłonie i zaczął rozpamiętywać smak biszkoptów z miodem, jaj na twardo i miękko, kremu owocowego, a zwłaszcza gorących płatów parującej, soczystej szynki i ciepłego chrupiącego chleba... Ech!

141

- Nie roztkliwiaj się tak nad sobą! - upomniął się surowo i ponownie przyłgnął okiem do szczeliny. Zgarbiwszy się w mroku poddasza, zmusił swój zdyscyplinowany - tak, do licha! umysł do zajęcia się czym innym niż rozmyślaniami o pustym żołądku. Musi poczekać do zmroku, a wtedy będzie mógł zakraść się do kuchni, gdzie czeka owa szyn... nie! ... nie myśleć! Doczekać zmroku!

Odkrył też wkrótce, że czekania nie lubi niemal tak samo jak pustego żołądka. Położył się, poleżał trochę, wstał i wyjrzał przez krokwie, zastanawiając się, ile też czasu już upłynęło. Raz nawet zdrzemnął się krótko, odkrywając z niemałym rozczarowaniem, co poznał po niemal nie zmienionym kącie padania cieni, iż jego drzemka trwała kilka minut - on zaś myślał, że przespał parę godzin!

Wrócił na miejsce spoczynku - podłoga tutaj wydała mu się odrobinę mniej niewygodna niż gdzie indziej, co pewnie należało przypisać imaginacji, nie zaś istotnym wartościom spoczynkowym twardych przecie i gołych desek. Czekał i był głodny. Nie... poprawił się zaraz. Był konająco głodny.

Znowu minęło trochę czasu i młody książę się zdrzemnął. Potem, by zająć myśli czym innym, wziął się do ćwiczeń, których kiedyś nauczył go góral Hadati. Obmyślono je tak, by utrzymywały mięśnie i ścięgna w sprawności tam, gdzie brakło miejsca na ćwiczenia z bronią czy inne zajęcia gimnastyczne. Borric wstał i zaczął przenosić ciężar ciała z nogi na nogę w pewien szczególny sposób, na przemian napinając i rozluźniając mięśnie. Ku swemu zdziwieniu przekonał się, że

nie tylko zapomniał o pustym żołądku, ale zdołał się też trochę uspokoić. Cztery następne godziny spędził przy szczelinie, obserwując tych, co pojawiali się i znikali z dziedzińca. Kilkakrotnie dostrzegł gońców z wieściami. Borrikowi przyszło do głowy, że gdyby pozostał w ukryciu dostatecznie długo - oczywiście zakładając, iż uda mu się skraść dość żywności i nie da się przy tym złapać - po kilku dniach jego prześladowcy doszliby najpewniej do wniosku, że im się wymknął. Wtedy powinna się nadarzyć okazja do wślizgnięcia się chyłkiem na pokład jakiegoś statku. I co dalej? - zadał sobie pytanie. Wracając do domu - nawet jeśli znajdzie na to jakiś sposób - niewiele zdoła osiągnąć. Ojciec z pewnością wyśle najszybszych jeźdźców na południe do Kesh z ostrzeżeniem dla Erlanda, by ten miał się na baczności. Choć z pewnością niewiele w ten sposób zdoła - Erland na pewno przedsięwziął już wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Po zniknięciu Borrika wuj Jimmy niewątpliwie przyjął najgorszą z możliwości i założył, że młody księżę nie żyje. Żeby dostać się teraz do Erlanda mimo ochrony earla Jamesa, trzeba by zabójcy o

142

najwyższych kwalifikacjach. Jako młodzieńki chłopak, Jimmy nie na darmo stał się niemal legendarną postacią w krongorskim podziemnym świecie. Młodszy o kilka lat od Borrika zuch był mistrzem sztuk złodziejskich i Szydercy uważali go za dorosłego, pełnoprawnego członka bractwa. Wyczyn najwyższej próby, pomyślał Borric.

- Nie! - powiedział sobie. - Muszę jak najszybciej dotrzeć do Erlanda. Powrót do domu zajmie mi zbyt wiele czasu. Przypomniał sobie Stardock i zaczął rozważać możliwość dotarcia do Akademii. Magowie potrafili dokonywać zdumiewających wyczynów i mogliby szybciej przenieść go do Kesh. Jimmy jednak wspominał, że

Pug zamierza opuścić Stardock nazajutrz po ich wyjeździe - najpewniej więc już go tam nie było. Dwaj zaś keshkańscy czarodzieje, których zostawił, by kierowali Akademią, nie wydawali się Borrikowi osobami, które mógłby poprosić o pomoc - zwłaszcza w takiej sprawie. Było w nich coś odpychającego. I byli mieszkańcami Kesh! Któż mógł wiedzieć, jak daleko sięgnęły macki spisku Lorda Ognia? Borric porzucił myśl o szukaniu pomocy w Stardock. Podniósł wzrok i zobaczył, że na zewnątrz zaczęło się zmierzchać. W kuchni przygotowywano posiłek i zapach pieczonego mięsa sprawił, że młody książę cierpiał katusze. Za kilka godzin, powiedział sobie. Rozluźnij się i czekaj, aż przyjdzie pora... To nie potrwa długo, za parę godzin służba pójdzie spać. Wtedy się tam zakradniesz i... Nagle kłapa w podłodze drgnęła, serce Borrika skoczyło do gardła i młody książę chwycił nóż. Pokrywa uniosła się wyżej i na poddasze wciągnął się ktoś lekki i szczupły.

- Panie? - rozległ się szept Suliego Abula.

Borric poczuł tak ogromną ulgę, że niemal wybuchnął śmiechem. - Tutaj!

Chłopiec podczołgał się bliżej.

- Bałem się, panie, że dasz się złapać, choć spodziewałem się, iż jesteś dość przebiegły, by się stąd nie ruszać i poczekać na mój powrót.

- Gdzie się podziewałeś? - spytał Borric. Chłopiec ciągnął za sobą jakiś wór, którego zarysów książę nie mógł dostrzec z powodu zalegającego poddasze mroku.

- Panie, wykradłem się stąd przed świtem, kiedy ty chrapałeś tak, że wolałem cię nie budzić. Potem odwiedziłem wiele różnych miejsc. - Rozwiązał worek i wyjął zeń bochen chleba. Borrika nie trzeba było zapraszać - oderwawszy potężny kęs, wetknął go sobie w usta. Suli tymczasem już podawał mu gomólkę sera i niewielki bukłak z winem.

- *Gdzieżeś to znalazł? - spytał Borric, gwałcąc dobre maniery i mówiąc z pełnymi ustami. Chłopiec westchnął, jakby powrót na poddasze sprawił mu znaczną ulgę.*

- *Mój dobry panie... dzień to był dla mnie pełen wrażeń i niebezpieczeństw.*

Nie będę łgał... kiedy wychodziłem stąd, myślałem, czy cię nie opuścić. Potem jednak zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać. Jeśliby mnie złapali, trafiłbym na targ niewolników... nie jestem też najlepszy w złodziejstwie. Gdyby ktoś domyślił się, że miałem coś wspólnego z twoją ucieczką, to szybciej niż ty teraz dławisz się tym serem, stałbym się karmą dla sępów. Czymże więc ryzykowałem? Wyrokiem śmierci przeciwko powrotowi do życia, jakie wiodłem przedtem - jeśli oczywiście zdołałbym się ukrywać, dopóki by cię nie złapano i jeżeli nie wydałbyś mnie przed śmiercią - a muszę ci wyznać, najszlachetniejszy z panów, że moje życie nie było usłane różami. Pomyślałem, że równie dobrze mogę zaryzykować to nędzne życie i wrócić do mojego młodego pana w nadziei, że po powrocie do ojca wynagrodzi najwierniejszego ze sług.

Borric wybuchnął śmiechem.

- *I jakiej to nagrody spodziewasz się w Krondorze?*

- *Chciałbym zostać twoim sługą, panie - odparł chłopiec z powagą, która ponownie rozbawiła Borrika. - Chciałbym, żeby ogłoszono wszem wobec, że jestem osobistym sługą księcia pana.*

A złoto? - spytał Borric. - Albo jakiś przywilej handlowy? - A cóż ja wiem o handlu? - wzruszył ramionami Suli.

Byłbym kiepskim kupcem i może po roku zostałbym goły i bosy. A złoto?

Wydałbym je na głupstwa, i tyle. Ale sługa wielkiego człowieka... o, ten jest tak bliski wielkości, jak to tylko może być dane biedakowi. Rozumiesz, panie? . Śmiech zamarł Borrikowi w gardle. Pojął, że dla tego ulicznika stanowisko sługi wielkiego człowieka było szczytem życiowych marzeń, najwyższą z pozycji, po jakie mógł sięgnąć człowiek. Pomyślał o niezliczonych i bezimiennych w gruncie rzeczy sługach, jacy otaczali go dotychczas... o tych wszystkich, którzy w Krondorze przynosili mu rano czystą bieliznę, wieczorem ślali łóżko, przygotowywali posiłki, dbali o jego buty... wątpił, czy zna imiona choć dwu, a pamięta twarze więcej niż tuzina. Byli dlań... częścią umeblowania, nie ważniejszą od, powiedzmy, krzesła przy stole. Potrząsnął głową i westchnął.

- Co się stało, panie?

144

- Nie wiem, czy mogę ci obiecać pozycję osobistego przybocznego, ale daję ci słowo, że znajdziesz miejsce wśród moich sług i zajdziesz tak wysoko, jak pozwolą ci na to twoje zdolności i zapał. Czy to cię zadowala?

Chłopiec kiwnął głową z powagą.

- Mój pan jest wielce łaskawy. - Po chwili wyciągnął z worka jakąś kielbasę.

- Wiedziałem, szlachetny panie, że okażesz mi łaskę, wróciłem więc jeszcze i z tym oto...

- Czekażże! Gdzie to zdobyłeś?

- W jednym z pokoiów na niższym piętrze - zaczął Suli który, sądząc z jego umeblowania, chyba był sypialną jakiejś damy, znalazłem grzebień w oprawie ze srebra zdobionego turkusami. Zostawiła go tam chyba jakaś niedbała służąca (ja nigdy bym do czegoś takiego nie dopuścił!). Sprzedałem go na bazarze. Za

pieniądze, które mi za niego dano, nabyłem różne różności. Nie trap się, panie.

Każdą rzecz kupowałem na innym kramie, tak że nikt nie mógł mnie rozszyfrować.

Proszę. - Podał Borrikowi koszulę. Materiał, z którego ją uszyto, nie był zbyt wytworny, ale o niebo lepszy od grubego samodziału prymitywnego wora, jaki dali mu handlarze. Potem chłopiec wręczył księciu parę portek, jakie chętnie wdziawali marynarze żeglujący po Morzu Goryczy.

- Nie mogłem już kupić butów, panie, ale zostało mi jeszcze trochę na jedzenie.

Borric nagrodził przedsiębiorczego wyrostka przyjaznym uśmiechem.

- Świetnie się spisałeś. Poradzimy sobie i bez butów. Marynarze często łażą na bosaka. Ale do portu musimy przedostać się w nocy, żeby nikt nie zauważył mojej rudej czupryny.

- Panie, i o tym pomyślałem. - Chłopiec podał Borrikowi jakąś buteleczkę i grzebień. Dostałem to u przekupnia, który zaopatruje stare kobiety lekkich obyczajów. Twierdzi, że to się nie zmyje i nie splucze tego zwykły deszcz. To olej zwany macasar.

Borric odkorkował, powąchał i zachnął się uderzony ciężkim, zawieszonym korzennym zapachem płynu.

- No. . . dobrze by było. Ten zapach ściągnie do mnie wszystkie muchy stąd do stolicy.

- Kupiec twierdzi, że szybko się ulotni.

145

- Lepiej będzie, jeśli ty się tym zajmiesz - ja mógłbym połowę rozlać. Jest tak ciemno, że nie wiem, jak sobie poradzisz. Chłopiec wtarł zawartość buteleczki we

włosy księcia bez

najmniejszych kłopotów. Potem rozczesał czuprynę Borrika, przeciągając grzebieniem po każdym kędziorze.

- Z tą opalenizną, wasza miłość, wyglądasz kubek w kubek jak typowi durbiński marynarz.

- A ty? - spytał Borric.

- Mam w worku koszulę i portki dla siebie, szlachetny. Suli Abul znany był z tego, że odziewał się w luźną opończę. Była dość obszerna, by ukryć moje członki, kiedy udawałem kalekę.

Borric wybuchnął śmiechem, chłopiec zaś nadal pracował nad jego włosami.

Z westchnieniem ulgi książę pomyślał, że ich sytuacja nie jest najgorsza i że może jeszcze zdołają się z niej jakoś wykaraskać.

Żeglarz ze swoim młodszym bratem wyszli na ulice Durbinu tuż przez świtem. Borric zupełnie słusznie spodziewał się, że o tej porze w pobliżu pałacu namiestnika nie będzie żywej duszy, z drugiej zaś strony sąsiedztwo siedziby władz było chyba ostatnim miejscem w mieście, gdzie szukaliby go łapacze. Obaj zbiegowie właśnie dlatego skierowali się też zaraz do koszar niewolników. Niełatwo byłoby się domyślić, że uciekinierzy ukrywali się w pałacu namiestnika, ale jeszcze bardziej nieprawdopodobne było przypuszczenie, że schronili się tam, skąd niedawno uciekli. Borric zresztą nie najlepiej się czuł w bogatszych dzielnicach - obecność kiepsko odzianych żeglarzy mogła tu ściągnąć na nich niepożądaną uwagę.

Książę zatrzymał się, kiedy byli zaledwie o jeden kwartał od koszar. Na drewnianej ścianie mijanego właśnie składziku przybito nowe ogłoszenie.

Namalował je biegly rysownik i czerwonymi literami wypisał sumę nagrody.

- Panie, co tu jest napisane? - spytał Suli.

- Okropne morderstwo! - przeczytał Borric na głos. Niech ich zaraza!

Chłopcze, obwiniają mnie o śmierć żony namiestnika! - Młody książę zbladł jak kreda. - Bogowie i demony! - szybko przeczytał cały list gończy. - Napisano tu, że niewolnik z Królestwa zgwałcił i zamordował małżonkę namiestnika, a następnie skrył się gdzieś w mieście. Tysiąc sztuk złota nagrody dla tego, kto go wyda! - Borric niemal nie wierzył własnym oczom.

146

- Tysiąc? - zachnął się Suli. - Panie, to fortuna!

Borric spróbował ocenić wysokość nagrody. Było to około pięciu tysięcy królewskich suwerenów, roczny dochód z niedużego majątku, suma oszałamiająco wysoka za schwytanie żywego czy martwego zbiegłego niewolnika-nawet jeśli do jego zbrodni dolożyć też zamordowanie żony dostojnika. Borric potrząsnął głową, gdyż domyślił się prawdy.

- Ten bydlak sam zabił swoją żonę, by dać strażnikom powód do uciszenia mnie na zawsze!

Suli filozoficznie wzruszył ramionami.

- Nic w tym dziwnego. Powinieneś wiedzieć, panie, że namiestnik ma kochankę, która żąda odeń coraz więcej. Usunął zatem żonę, by - po odczekaniu odpowiedniego czasu - poślubić kochankę. I tak to przy jednym ogniu upiecze dwie pieczenie - zadowoli zarówno kochankę, jak i przywódcę spisku, Lorda Ognia.

Dodatkową korzyścią z całej operacji jest to, że owa kochanka, choć powiadają, iż to kobieta zdumiewającej urody, będzie musiała zachować umiar, skoro wychodzi

za człowieka, który tak łatwo i sprawnie pozbył się pierwszej żony, by jej

miejsce zajęła następna. Kiedy jej uroda nieco zbladnie z wiekiem...

- Lepiej ruszajmy - przerwał Borric filozoficzne wywody urwisa. -Za godzinę

ulice wypełnią się gwarem i ruchem. Wyglądało na to, iż Suli nie potrafi zamilknąć

- chyba że pod

groźbą natychmiastowej śmierci. Borric zresztą zrezygnował z zamiaru położenia

kresu potokowi słów, bo doszedł do wniosku, że rozgadany urwis wyda się

przechodniom mniej podejrzany niż ktoś, kto niespokojnie, w milczeniu łypie

oczami na wszystkie strony.

- Teraz, panie, wiemy już, jak namiestnik przekonał starszyznę Trójcy, by

pomogli zastawić na ciebie sidła. Nie darzą oni namiestnika przesadnymi

uczuciami, ale jeszcze mniej lubią, gdy niewolnicy zabijają swoich panów.

Borric nie mógł zaprzeczyć. Jednocześnie stwierdził, że namiestnik jest

przeróżającym człowiekiem. Nawet jeśli nie kochał swej żony, to przecież spędził z

nią kilka lat. Czyżby był człowiekiem zupełnie pozbawionym ludzkich uczuć?

Skręciwszy za róg, ujrzeni ogrodzone wysokim płotem baraki niewolników. Z

powodu odwołania aukcji były teraz przepelnione. Borric odwrócił się do Suliego i

ruszyli powolnym, spokojnym krokiem, by nie zwracać na siebie uwagi. Każdy

147

spoglądający ku nim strażnik ujrzałby w Borriku żeglarza strofującego młodszego

braciszka. Gdy zza rogu wyłoniło się dwu strażników, Suli odezwał się płaczkliwie:

- Nieprawda! Obiecałeś, że tym razem zabierzesz mnie na morze! Jestem już

duży i mogę pracować jak mężczyzna! To nie moja wina, że sieci się splątały. To

Rasta! Spłł się jak konik morski i...

Borric, trzeba rzec, dał się zaskoczyć tylko na sekundę, i zaraz podjął grę, odzywając się szorstko:

- Powiedziałem, że się zastanowię! Teraz siedź cicho albo zostaniesz na brzegu, choćbyś był moim potrójnym braciszkiem! Zobaczymy, jak ci się spodoba robota w kuchni u mamy!

Strażnicy obrzucili ich obojętnym spojrzeniem i minęli bez słowa. Borric z trudem oparł się pokusie obejrzenia się za siebie, by sprawdzić, jaki skutek odniosła ta mała inscenizacja. Zresztą niebawem mieli się o tym przekonać. Skręciwszy za kolejny róg, młody książę niespodziewanie zderzył się z jakimś człowiekiem. Nieznajomy przez chwilę gapił się na niego, zionąc mu w twarz oddechem przesyconym zapachem kiepskiego, taniego wina, i nagle w jego tępym spojrzeniu pojawił się błysk rozpoznania i nienawiści!

- T... ! -warknął Salaya, sięgając po spory sztylet zatknięty za pas.

Borric zareagował natychmiast i zwinąwszy dłoń w pięść. z całej siły rąbnął w pierś. Trafiony w splot słoneczny brutal stracił dech i zaczął rozpaczliwie łapać powietrze szeroko otwartymi ustami. Jego i bez tego czerwona z przepicia gęba poczerwieniała jeszcze bardziej, a oczy nagle rozjechały się w przeciwnie strony. Borric zaś z całej siły trzasnął go płasko grzbietem dłoni w krtań. potem pociągnął go ku sobie i złączywszy zwinięte w pięści dłonie, wyrznął go oburącz w kark, celując w podstawę czaszki. Zanim strażnik zdążył upaść, książę chwycił jego ramię, zarzucił je sobie na kark i obrócił ofiarę ku sobie. Gdyby w tej chwili jakiś strażnik wyjrzał zza rogu, ujrzałby zwykły w tej dzielnicy obrazek: marynarz i jego młodziutki brat taszczą do domu przyjaciela. który przeholował w picciu. Szybko ruszyli dalej i skręcili w boczną uliczkę, ciągnąc między sobą

nieprzytomnego Salayę jak worek warzyw. Borric zrzucił go tam na stos odpadków i szybko pozbawił sakiewki. Skórzany woreczek zawierał w sobie kilka złotych monet, bitych w Keshu i w Królestwie. Wsunął mieszek za pazuchę i odpiął nieprzytomnemu drabowi pas z pochwą na nóż - wolałby wprowadzić, by opryszek obnosił się z mieczem, ale trzeba było brać, co wpadło im w dłoń. Podczas gdy

148

książę wahał się, co dalej, Suli zdążył już zdjąć cztery pierścienie z dłoni łapacza a z uszu wyjął kolczyki. Potem zsunął mu z nóg buty i schował.

- Jeśli zostawimy cokolwiek wartościowego, wzbudzi to podejrzenia -

wyjaśnił. Potem cofnął się o krok i stwierdził rzeczowo: - Teraz możesz go, panie, zarznąć.

- Ot tak, po prostu? - wytrzeszczył oczy Borric. Wszystko w nim sprzeciwiało się takiemu czynowi. Owszem, marzył o zemście na tym bydlaku, ale w snach zabijał go w pojedynku... niekiedy zaś mścił się, wlokąc go za kark do krondorskiego ratusza i przekazując władzom. - On jest nieprzytomny!

- Tym lepiej, panie. Nie będzie się szarpał... -dostrzegłszy wahanie Borrika, ulicznik dodał równie rzeczowo, jak przed chwilą: - Pospiesz się panie, zanim ktoś nas tu odkryje. Miasto się budzi i niedługo ktoś tędy będzie przechodził. Znajdą go... i marny będzie nasz los, jeśli ten byk zacznie gadać... - urwis pozostawił resztę domyślności księcia.

Pojmując wagę argumentów chłopca, Borric wziął się w garść i sięgnął po nóż, który przed chwilą odebrał łapaczowi. I nagle okazało się, że stoi przed nowym problemem - jak tego dokonać? Wbić tamtemu sztylet w brzuch, poderznąć mu gardło, czy co?

- Panie! -ponaglił go Suli. -Jeżeli nie chcesz zrobić tego sam, pozwól mnie...

ale trzeba to zrobić szybko. Panie, proszę! Myśl o tym, że nieprzytomnego draba będzie sprawiało dziecko, zdała się Borrikowi jeszcze bardziej odrażająca, podniósł więc ramię i przeciągnął nożem po krtani Salayi. Ten nawet nie drgnął. Borric przez chwilę patrzył nań zdumiony, aż wreszcie parsknął nerwowym śmiechem.

- Drab był już martwy! Drugie uderzenie złamało mu kark! - Borric potrząsnął głową. - Cios w splot słoneczny i w krtani to uderzenia, których nauczył mnie James - i nie są to rzeczy, w jakich zwykle kształci się książęcych synów. Ale rad jestem, że je poznał swego czasu. Nie wiedziałem tylko, że uderzeniem w kark można zabić.

Suli wcale nie dbał o wyjaśnienia.

- Panie, chodźmy już stąd! - Pociągnął Borrika za koszulę i książkę dał się wyprowadzić z zaułka.

Straciwszy z oczu martwego handlarza, książkę przestał myśleć o zemście i zajął się planami dalszej ucieczki. Obejmując chłopca ramieniem - jak przystało starszemu bratu - spytał go półgębkiem:

149

- Którędy do portu?

- Tędy! - Suli nie zawahał się i pokazał dłonią.

- No to prowadź! - odpowiedział Borric. Żebrak powiodł ich obu ulicami miasta, którego każdy mieszkaniec gotów był zabić ich obu, gdyby tylko w biednym żeglarzu rozpoznano rudowłosego zbiega.

- Weźmiemy tamtą-zawyrokował Borric, wskazując małą łódź żaglową przywiązaną na końcu odległego pomostu. Była to pinaka, której najczęściej

używano w porcie do komunikacji pomiędzy większymi statkami a nabrzeżem.

Takimi łodziami zwykle przewożono pasażerów, pocztę lub niewielkie ładunki ale w dobrych rękach nieźle sprawdzały się i na otwartym morzu, jednak nie podczas burzy. Ponieważ cała flota durbińskich piratów wypłynęła poprzedniego dnia w morze, by przeszkodzić w ucieczce zbrodniczemu niewolnikowi, w porcie nie było prawie nikogo. Borric sądził jednak, że nie potrwa to długo - mnóstwo mieszkańców miasta nie miało niczego lepszego do roboty, niż zająć się poszukiwaniami niewolnika. Wkrótce na pomostach zaroi się od przepętnionych nadzieją nagłego wzbogacenia się gorliwców i kradzież małej łodzi z pewnością zostanie zauważona. Rozejrzawszy się dookoła, Borric wskazał chłopcu leżący nieopodal zwój starej brudnej liny. Suli podniósł go i zarzucił sobie śmierdzący rybami sznur na ramię. Borric znalazł jakąś pustą, drewnianą skrzynię.

- Za mną! - polecił chłopcu. Nikt nie zwrócił uwagi na dwu marynarzy, którzy spokojnym, pewnym krokiem podeszli do niewielkiej łodzi na końcu ostatniego pomostu. Borric odstawił niesioną przez siebie skrzynię, szybko wskoczył do łodzi i zajął się odwiązywaniem cumy. Odwróciwszy się ku swemu słudze, zobaczył, że ten stoi na rufie łodzi i rozgląda się wokół z miną wielce niepewną.

- Panie... co mam robić?

- Nie byłeś nigdy na morzu? - jęknął Borric.

- Nigdy nie postawiłem nawet stopy na łodzi - odpowiedział chłopiec.

- Cóż... schyl się i udawaj, że coś robisz - polecił mu Borric. - Nie chcę, by ktoś zauważył, że jako pomocnik żeglarza jesteś do niczego. Kiedy już odbijemy od brzegu, masz robić, co ci każę - i nic więcej !

Księżę sprawnie odepchnął łódź od pomostu i po chwili płynęli już z

podniesionym żaglem ku wyjściu z portu. Przekazał chłopcu listę najpilniejszych obowiązków, Borric powiedział: Teraz weź ster. -Chłopiec przeszedł ku ławeczce sternika, książkę zaś przekazał mu rumpel i linkę bomu. - Trzymaj kurs !

150

-polecił mu Borric, pokazując wyjście z portu. - Ja zaś zobaczę, co my tu mamy. Przeszedłszy na dziób, wyciągnął z fordeku małą skrzyneczkę. Nie była zamknięta, ale też wewnątrz nie znalazł niczego wartościowego: ot, żagiel na zmianę, zardzewiały nóż, pozostawiony chyba przez właściciela, i zwój nieco wytartej, cienkiej linki. Wątpił, czy ryba, jaką ewentualnie można by złowić za pomocą tej linki, byłaby dość duża, by użyć jej choćby na przynętę. Pod pokładem natrafił na drewniany, okuty żelazem kosz, w którym żeglarze zwykle trzymali zdobycz za burta, by zachowała świeżość, lub niekiedy umieszczali przynętę. Wpadła mu też w ręce zardzewiała latarnia - bez oleju. Odwróciwszy się do chłopca, który z zastygłą twarzą wpatrywał się w rumpel, książkę spytał smętnie:

- Nie sądzę, by zostało ci jeszcze trochę sera lub chleba? - Nie, panie - odparł Suli przeproszającym tonem. Borric melancholijnie zauważył, że okoliczności się zmieniały, jedna rzecz wszak w tym wszystkim na trwale wpisywała się w codzienność: nieustannie był głodny...

Dął rześki wiatr z północnego wschodu, a ponieważ pinaka najlepiej sprawowała się przy solidnym bocznym wiatrze, Borric po wyjściu w morze skierował ją ku północnemu zachodowi. Chłopiec wyglądał na wyczerpanego i przerażonego. Przez większą część drogi mamrotał coś pod nosem-co najwyraźniej było jego sposobem na walkę ze strachem. Kiedy jednak wyszli z portu, zaszczyceni jedynie kilkoma obojętnymi spojrzeniami członków załogi sporą karaweli o

łacińskim ożaglowaniu, strach chłopaka rozplynął się niczym poranna mgła w promieniach słońca. Borric zresztą celowo podplynął blisko statku strażników portowych, jakby zupełnie się nie przejmował ich obecnością i był jedynie lekko poirytowany koniecznością opływania tej przeszkody. Gdy wyjście z portu zostało w tyle, książe spytał świeżo upieczonego żeglarza:

- Umiesz się wspinać?

Chłopiec kiwnął głową, Borric zaś dodał:

- Włóż na maszt, od przodu... uważaj na żagiel!... i złap się tamtej pętli z liny.

Rozglądaj się uważnie dookoła i mów natychmiast, jeśli coś zobaczysz.

Chłopiec wspiął się na maszt, jakby od urodzenia nie robił niczego innego, i złapał za pierścień obserwacyjny, umieszczony na jego szczycie. Obciążony maszt zakotłysał się gwałtownie, chłopiec jednak nie zwracał na to uwagi.

- Panie! - wykrzyknął radośnie. - Widać tam takie małe, białe plamki! -

wskazał ręką ku wschodowi i następnie zatoczył nią łuk na północ.

151

- Żagle?

- Chyba tak! Pełno ich na całym horyzoncie! - A na północy`?

- Tam też jest parę!

Borric zaklął tak, że gdyby to usłyszeli jego stajenni, zdobyłby sobie ich dozgonny szacunek.

- A co z zachodem?

Chłopiec odwrócił się ku zachodowi, popatrzył i odkrzyknął:

- Tam także są!

Borric poświęcił chwilę czasu na rozważenie całej sytuacji. Miał zamiar

popłynąć do Ranom, niewielkiego portu handlowego na zachodzie, albo - w razie potrzeby - do Lilneth, niedużego miasta, które leżało na południowym cyplu Mrocznych Cieśnin. Plan ten miał jednak i swoje wady - rozstawienie pikiet czyniło go bezużytecznym, teraz musiałby bowiem popłynąć dalej na północ i spróbować dotrzeć do Wolnych Miast - jeżeli pierwszej nie umarłby z głodu - albo zaryzykować przeprawę przez Cieśniny. O tej porze roku były one względnie spokojne, nie jak podczas zimy, kiedy stawały się zaporą nie do przebycia. Aby ryzykować zimowe przejście przez -mroczne Cieśniny, trzeba być wyjątkowo dzielnym i zuchwałym - albo głupim żeglarzem. Borric pamiętał zaś, że ojciec kiedyś mu powiedział: Synu... są śmiali żeglarze i starzy żeglarze... ale nie ma śmiałych starych żeglarzy. Skinieniem dłoni wezwał chłopca na dół. kiedy zaś Suli stanął obok niego, powiedział:

- Myślę, że musimy płynąć na północni zachód i ;próbować ominąć ten kordon. - A spojrzawszy na Gońce. dodał: - Jeżeli teraz skręcimy, tak by ominąć te statki na zachodzie. zaraz nabiorą podejrzeń i spadną nam na karki. Musimy płynąć swoim kursem, jakby nas nic nie obchodzili... może i? nabiorą. - Spojrzał w dół.

- Widzisz, jak tu - pokazał dłonią - zmienia się kolor wody?

Chłopiec skinął głową.

- Powodem jest zmiana głębokości - pod powierzchnią czają się rafy. Ta łódź ma bardzo małe zanurzenie, możemy więc przemykać górą - przynajmniej nad niektórymi - ale ta ciężka krypa, jaką widzieliśmy w porcie, wpadłaby na nie i rozpruwszy dno, szybko by zatonęła. My też musimy uważać - niektóre z nich mogą być niebezpieczne i dla naszej ślicznotki, ale przy odrobinie czujności zdołamy

się przedrzeć.

152

W spojrzeniu, którym Suli obrzucił Borrika, znów pojawił się strach. To, co książę mówił, było dlań najwyraźniej zbyt skomplikowane i zrozumiał z tego jedynie, że ich sytuacja nie jest łatwa.

- Wszystko będzie dobrze-musiał zapewnić go Borric. Powiem ci, na co uważać. - Spojrzał ku zachodowi i zobaczył tylko jedną białą plamkę. - Wszystkie statki, które trzymają się brzegu, mają pewnie zanurzenie równie niewielkie jak my i są szybsze. - Pociągnąwszy za linę i upewniwszy się, że ustawił żagiel pod właściwym kątem, by przy tym kursie i wietrze wydobyć z łodzi jej największą chyżość, zwrócił się do chłopca: Uważaj na tę plamkę na zachodzie i powiedz mi, gdy zacznie się powiększać.

Chłopiec ustawił się na nawietrznej, skupił swą uwagę na plamce i wykorzystując przechył łodzi, usiadł na burcie tak wysoko, jak tylko mógł - zamiast wdrapywać się na maszt. Przez niemal godzinę plamka nie zmieniała swoich rozmiarów - i nagle ruszyła prosto na nich.

- Panie! - zawołał Suli. - Płyną ku nam!

Borric zmienił kurs, usiłując wydobyć z łodzi możliwie największą prędkość przy tym wietrze, wrogi żagiel jednak powoli i uparcie powiększał swoje rozmiary.

Tamci byli po prostu szybsi.

- Do kata! - zaklął książę. - Jeżeli nadal będziemy wiali w tym kierunku, wkrótce nas dopadną.

- Panie! - wrzasnął Suli. - Jeszcze jeden!

Na północy pojawił się drugi statek - jakby wezwany przez pierwszy, by

przeciąć drogę uciekinierowi.

- Biorą nas w kleszcze! - ryknął Borric.

Przeklinając własną głupotę, przesunął rumpel. Strażnicy w porcie zaniedbali służbę, ale też władze nie mogły mieć pretensji do załogi karaweli - polecono im, by przechwycili wszystkich podobnych do zbiegów, a na małej pinace nie spostrzegli czerwonołosego. Statki tworzące kordon były w innej sytuacji majtkowie widzieli jedynie plamki żagli. Wobec niemożności sprawdzenia tożsamości załogi podejrzanych łodzi, ich dowódcy postanowili zbliżyć się i wypytać ich na miejscu - a Borric wcale nie życzył sobie dokładnego przesłuchania. W Durbinie może byłby spróbował jakoś się wyłgać, tu jednak, gdy wolność była tak blisko, nie zamierzał dać się schwytać po raz drugi, bo oznaczało to dlań niemal natychmiastową śmierć.

153

- Podejź tutaj ! - poleciał chłopcu i rozejrzawszy się dookoła, przekazał mu rumpel wraz z liną bomu. - Trzymaj kurs! Przeszedł do fordeku, otworzył skrytkę i wyjął z niej drugi

żagiel. Przymocował go do masztu, ale go nie podniósł. - Pospiesz się, panie!

- darł się chłopiec.

- Nie... teraz byłby nas powstrzymywał - odparł Borric. - Idziemy

niewłaściwym kursem. - I książę wrócił do steru. Dwa inne statki też zawracały, szykując się do pościgu i Borric mógł teraz wyraźniej je zobaczyć. Od północy drogę odcinał mu spory dwumasztowy galeon, szybko idący z wiatrem. ale wolniejszy w zwrotach i głębiej zanurzony. Książę wiedział, że jego kapitan nie zaryzykuje pościgu przez rafy. Jednak pierwszy ze statków, który ruszył za nimi, był smukli-

slupem z wielkim sztakslem. Te stateczki były nowością na Morzu Gonczy pojawiły się przed dwudziestu laty i piraci. którzy nawiedzali płycizny południowej części akwenu, bardzo je polubili. Były szybsze niż pinaki, szczególnie przy słabym wietrze. i zwrotniejsze, zanurzenie zaś miały niemal równie płytkie. Borric mógł jedynie żywić nadzieję, że prześcignie slup. i dodawszy płótna, dostanie się na jak najpłytsze wody. Na pełnym morzu jego pinaka mogłaby ujść slupowi jedynie przy mocnym wietrze.

Większy z prześladowców ruszył właśnie, by przeciąć drogę zbiegom, i Borric poluzował liny, coraz bardziej odpadając od wiatru. Potem niespodzianie skręcił na wiatr i zostawił galeon z przodu - szybkość jego stateczku gwałtownie spadła.

Skierował się ku rafom, ale slup szybko zawrócił, by przeciąć im drogę.

Puszczając linę, Borric pozwolił, by żagiel załopotał swobodnie, tak by ścigający go kapitan pomyślał, że odciął im wiatr. Księżę się skupił, ponieważ musiał wszystko przeprowadzić dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Gdyby popełnił błąd, zostawił slupowi zbyt wiele miejsca na manewr, oni zdołaliby wykonać zwrot i dopaść go. Jeśli zaś pozwoliliby im zbliżyć się za bardzo, mogliby zaczepić go kotwicznymi abordażowymi i też byłoby po wszystkim. Naparł na rumpel, jakby zamierzał wykonać kolejny zwrot. Żegluga ostro pod wiatr była jedynym sposobem, który pozwalał przy tej lekkiej bryzie wyprzedzić przeciwników ale wiele w ten sposób nie zyskiwali. Gdyby nadal płynęli tym kursem, w końcu wpakowaliby się na burtę galeonu.

trzem mniej więcej dziesiątkom paskudnie wyglądających łotrzyków, wymachujących kordelasami z zapalem naprawdę godnym lepszej sprawy. Gdyby na pokładzie mieli łuczników, byłoby już po nas, pomyślał.

W następnej chwili jednak zdumiał wrogą załogę i Suliego, kierując swą łódź prosto na większy statek. Suli wrzasnął rozpaczliwie i zakrył dłońmi twarz, oczekując zderzenia, zamiast jednak trzasku pękającego drewna usłyszał szum fal i przeraźliwe a barwne przekleństwa zaskoczonych piratów. Sternik dupa zareagował zgodnie z oczekiwaniami Borrika i mocno skręcił kołem sterowym. Przekleństwa kapitana piratów niemal wzburzyły fale. Słup oddalał się szybko od łodzi, którą przecież miał podejść i zaczepić kotwiczkami. Pirat szybko skręcił ster, ale utracił już poprzednią przewagę.

Pinaka Borrika stanęła niemal w miejscu, po chwili zaś zaczęła się lekko cofać. Niczym tancerka w piruecie, okręciła się wokół rufy. Sucho trzasnął napinany żagiel i łódź skoczyła przed siebie, idąc niemal z pełnym wiatrem. Słup aż się przechylił - cała załoga zbiegła się przy relingu i stanęła z pootwieranymi gębami. Jeden śmiałek zdobył się nawet na równie głupi, co zuchwały wysiłek, i spróbował przeskoczyć na pokład łodzi Borrika. Trzeba przyznać, że zabrakło mu zaledwie kilku stóp.

- Suli! Sam tu! - krzyknął książę.

Chłopiec podbiegł, by przejąć rumpel od księcia, Borric zaś przemknął ku maszтови. Gdy tylko upewnił się, że mają wiatr w plecy, podciągnął w górę drugi żagiel, robiąc zeń dość prosty spinaker. Liczył na to, że dzięki niemu zyska nieco na szybkości i zdoła ujść słupowi. Tymczasem kapitan słupa, klnąc na czym świat stoi, zaprzągnął swych ludzi do roboty. Smukła łódź

szybko zawróciła i ruszyła w pościg. Suli siedział przy sterze z lękiem w oczach.

- Nieco na sterburtę! - zawołał Borric.

- Gdzie, panie? - jęknął urwis. Gapił się na księcia, nie pojmując żeglarskiego języka.

- Trochę w prawo! - wrzasnął Borric. I zajął się niebezpieczeństwami, które mieli przed sobą. Okrzykami kierował chłopcem, każąc mu sterować nieco w prawo. potem lekko w lewo, i znowu w prawo - w ten sposób jak szaleńcy gnali ku rafom.

Obejrzawszy się, stwierdził, że prześladowcy lekko się zbliżyli, zaklął więc szpetnie.

155

Nawet z pomocą spinakera nie płynęli dość szybko. - Zawróć ku brzegowi! - polecił chłopcu.

Chłopiec zareagował natychmiast i wykonał zwrot tak gwałtownie, że Borric stracił niemal równowagę. Księżę zaczął wypatrywać zanurzonych tuż pod powierzchnią wody raf i skał. które ich łódź miała uniknąć, ale które w dość paskudny sposób powinny zatrzymać prześladowców.

Gdy zbliżyli się do brzegu, łódź zaczęła raźniej poruszać się w dół i w górę, ponieważ napływające od morza fale odbijały się tu od płycizny dna. Teraz słyszeli też wyraźnie huk przyboju.

- Tam! Steruj tam! - wskazał Borric ręką. Modląc się do Bogini Szczęścia, księżę podjął decyzję: - Na tamtą rafę! Uśmiechnięta Pani musiała go chyba usłyszeć, bo pinaka

uniosła się na grzbiecie fali i przeszli nad wybraną przez księcia skałą.

Trzeba jednak powiedzieć, że gdy splywali w dół - usłyszeli jęk drewna i zęby im

ścierpły od zgrzytu, z jakim dno łodzi przesunęło się po kamiennym grzebieniu. Suli

zbladł, zgarbił się nad rumplem i zacisnął na nim dłonie; jakby ten kawał drewna był jego jedynym łącznikiem z życiem.

- W lewo! - wrzasnął Borric i chłopiec szarpnął ster. Ponownie usłyszeli zgrzyt drewna o skały, ale łódź popłynęła dalej.

Obejrząwszy się, Borric zobaczył słup w ostrym przechyle jego załoga żwawo wykonywała polecenia kapitana, których celem było wyprowadzenie statku z niebezpieczeństwa i skierowanie na spokojniejsze wody. Księżę pozwolił sobie na ciche gwizdnięcie, które miało wyrażać ulgę. Nie miał czasu na dłuższe napawanie się tryumfem, dał więc Suliemu znak, by odbił lekko od wybrzeża, co zwiększyło nieco ich szybkość. Płynęli teraz na fali przyływu i mogli pójść lepiej na wiatr. Orzeźwiająca bryza rażno popychała łódź i Borric widział, że słup z każdą minutą zostaje coraz bardziej w tyle - piraci musieli trzymać się z dala od raf, oddzielających ich od pinaki zbiegów.

Borric opuścił prowizoryczny spinaker i wziął ster od Suliego. Chłopiec uśmiechał się na poły radośnie, na poły z przestraczem. Przez jego koszulę przesączały się wielkie krople potu - księżę zaś odkrył, że też musi otrzeć nie wiadomo czemu mokre czoło. Skierował łódź lekko na wiatr i płynąc wzdłuż linii raf ku północnemu zachodowi, widział, jak żagiel dupa łopocze coraz słabiej. Roześmiał się ochryple. Choćby ci na słupie stawali na głowach. było już za późno.

156

Kiedy okrążył rafę, pinaka oddali się na tyle, że stracą ją z oczu. Zapadnie zresztą noc, która skryje wszelkie ślady i pozwoli zbiegom wymknąć się bezpiecznie na pełne morze. W ciągu następnych dwu godzin nic się nie działo - aż wreszcie Suli opuścił miejsce na dziobie i zbliżył się do księcia. Borric zauważył, że idąc ku niemu,

chłopiec rozbryzguje wodę. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że zbiera się w zębie. -

Wybieraj! - ryknął. - Co takiego, panie?

Zrozumiawszy, że chłopiec nie wie, o co chodzi, Borric zmienił polecenie:

- Weź wiadro ze skrzyni i zacznij wybierać nim wodę. Wylewaj ją za burtę.

Chłopiec zajął się żmudną i ciężką robotą. Przez godzinę wydawało się

nawet, że daje sobie radę, minęła jednak następna

i wokół jego kostek zaczęła zbierać się woda. Borric zamienił się z nim

miejscami i sam zaczął pracować jak opętany. Po następnej godzinie stało się jasne,

że nawet gdyby miał niewyczerpane siły, nie sprosta zadaniu, które okazało się

niewykonalne. Prędzej czy później, łódź musiała pójść na dno. Pozostawało tylko

pytanie, kiedy i gdzie to nastąpi. Obejrzawszy się, książę przekonał się, że linia

brzegu cofnęła się ku południowemu zachodowi, oni zaś płyną na północny zachód,

ku Mrocznym Cieśninom. O ile pamiętał mapy, teraz byli już tak daleko od

wybrzeża, jak tylko się dało - znajdowali się nieco na północny wschód od Ranom.

Tam gdzie linia brzegu skręcała ku północy. Musiał zdecydować płynąć na

południe, ku brzegowi. czy też trzymać kurs, ufając, że wraz z Sulim uda im się

dopłynąć w okolice LiMeth. Ponieważ w obu wypadkach odległość była ta sama.

postanowił nie oglądać się na nic i nie zmieniać kursu. Gdy słońce zaczęło chylić się

ku zachodowi, Borric i Suli znów zmienili się miejscami. Łódź zaś coraz ciężiej

płynęła ku LiMeth. Tuż przed zmierzchem na północy pojawiły się rzadkie chmury,

wiatr zaś zmienił kierunek, dmąc im prosto w twarz. Pinaka nieźle się

sprawowała. idąc pod wiatr, Borric jednak wątpił, czy utrzymają się na wodzie

dostatecznie długo, by dotrzeć do brzegu, zwłaszcza jeżeli zacznie padać. Gdy tak

rozmyślał, poczuł pierwsze krople deszczu na twarzy - a po godzinie lało już jak z

cebra.

O wschodzie słońca ujrzeli jakiś statek. Borric od kwadransa przyglądał się widmowej sylwetce, która wyłoniła się niespodzianie z mgieł przedświtu. Obaj, księżę i żebrak, byli wyczerpani całonocną harówką i z trudem się poruszali. Borric zdołał jakoś zebrać się w sobie i wstał. O zmierzchu opuścili żagiel, księżę doszedł bowiem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli zamiast żeglować w ciemnościach, staną

157

w dryfie i obaj zaczną wybierać wodę. Gdyby zbliżyli się do brzegu, ostrzegłby ich o tym huk fal przyboju. Borric nie miał niestety pojęcia o nurtach i prądach w tej części Morza Goryczy. Nadpływający statek okazał się niewielkim handlowym trójmasztowncem o ożaglowaniu rejowym i łacińskim żaglu na trzecim, ostatnim z masztów. Mógł należeć do każdej z nacji, zamieszkujących brzegi Morza Goryczy - nie wiedzieli więc, czy na jego pokładzie zbliża się do nich wolność czy niewola.

Kiedy tamci podpłynęli do nich na odległość głosu,

Borric wrzasnął:

- Co to za statek?

Przy relingu pokazał się kapitan, polecający zmienić kurs, tak by podejść jak najbliżej do tonącej pinaki Borrika.

- Dobry Podróżny, z Kordonu - odpowiedział, machając ręką. - Dokąd płyniecie?

- Do Fanfary - padła odpowiedź.

Borric poczuł, że serce ponownie zaczyna mu tłoczyć krew do żył. Natknęli się na statek jednego z Wolnych Miast, zmierzający do imperialnego portu leżącego na Morzu Smoczym.

- Macie na pokładzie miejsce dla dwu ludzi?

Kapitan spojrział z góry na dwu obszarpańców, rozpaczliwie wylewających wodę z tonącej łodzi i spytał z przekąsem:

- Opłaciecie przejazd?

Borric nie bardzo miał ochotę na rozstanie się z pieniędzmi, które zabrał Salayi, wiedział bowiem, że jeszcze mogą im się przydać.

- Nie, ale możemy to odpracować.

- Załogę mam w komplecie - odparł tamten.

Z zasłyszanych opowieści książę wiedział, że kapitan prawdopodobnie nie zostawi ich na morzu na pewną śmierć - żeglarze to ludek przesądny - mógł jednak zmusić ich do zamustrowania się na kilka kolejnych rejsów; marynarze często opuszczali pokłady i utrzymanie stałej załogi było wiecznym utrapieniem kapitanów. Kapitan po prostu zaczynał targi. Borric obnażył więc swój zardzewiały nóż i kilkakrotnie wywinął nim w powietrzu.

- Opuśćcie banderę! Jesteście moimi jeńcami!

Kapitan wytrzeszczył oczy, a potem ryknął śmiechem. Marynarze, którzy zgromadzili się przy relingu, również zaczęli zataczać się w napadzie wesołości,

158

poklepując wzajemnie po ramionach i zapewniając, że takiego oryginała jeszcze nie widzieli. Gd, trochę się uspokoiło, kapitan polecił:

- Weźcie na pokład tego wariata i chłopaka. A potem.. Kurs na Cieśniny!

159

ROZDZIAŁ 9 - POWITANIE

Rozległ się huk trąb. Tysiąc żołnierzy wyprężyło się jak struny, prezentując

broń. Setka konnych doboszy rozpoczęła rytmicznie wybijać rytm. Erland odwrócił się do jadącego po jego lewej Jamesa i powiedział, przekrzykując zapal werblistów:
- To niewiarygodne!

Przed nimi, na wyniosłym płaskowyżu, leżała stolica Imperium, Kesh.

Godzinę wcześniej wkroczyli do naszego miasta. gdzie powitała ich delegacja składająca się ze stołecznego namiestnika i jego świty. Ceremonia była dokładnie taka sama jak te którym musieli się poddawać podczas całej nużącej i uciążliwej podróży z Nar Ayab do stolicy. Kiedy na przedmieściach swojego grodu witał ich namiestnik Nar Ayab. Erland znalazł w tym pewną pociechę-mógł zająć myśli czym innym niż rozpamiętywaniem losu brata. Śmierć Borrika wprawiała to w ,tan tępego oszołomienia, które trwało blisko tydzień. Przygnębienie i rozpacz potęgowały jego wściekłość na niesprawiedliwość i okrucieństwo losu.

Widowiskowość i wystawność powitania, jakie zgotował mu namiestnik Nar Ayab, na całe trzy godziny odciągnęły jego myśli od zasadzki i napaści. Teraz jednak wszystko potężnie go nużyło. Równie pompatyczne powitanie czekało go w Khmrat i Thattarze, pomiędzy którymi trafiło się pół tuzina innych, skromniejszych, ale równie formalnych i bezdusznych jak wszystkie mijane przez wędrowców miasteczka. Erland musiał wysłuchiwać nadętych przemówień każdego urzędnika - od namiestnika prowincji po burmistrza najbardziej zapyziałej miejsciny. Obejrzał się przez ramię, szukając wzrokiem Lockleara i keshkańskiego urzędnika, którego przydzielono im przy bramach niższego miasta. Księżę skinął dłonią i obaj wbili pięty w boki wierzchowców, kierując je ku następcy tronu. Przedstawicielem Keshu okazał się emir Kafi Abu Harez, szlachcic z rodu Beni-Wazir, jednego z tych, które władały pustynią Jal-Pur. Podczas ostatnich stu lat wielu mieszkańców pustyni

szukało szczęścia na dworze. Posiadali szczególne zdolności do dyplomacji i rokowań. Stary, zmarły przed dziesięciu laty ambasador Keshu na stołecznym dworze zachodnich dziedzin Abdur Rachman Memo Hazara-Khan powiedział kiedyś, zwracając się do Erlanda i jego brata:

- Jesteśmy ludem kochającym konie i jako tacy doskonale znamy się na końskim handlu.

160

Erland dostatecznie często słyszał, jak ojciec mówiąc o tym człowieku, klnie z niechętnym podziwem, by uwierzyć, że to, czym chełpił się stary pustynny sęp, jest prawdą. Teraz też zrozumiał, że niezależnie od wrażenia, jakie wywarł na nich Abu Harez, nie wolno brać go za głupca i lepiej zrobić, jeśli będą mieli się przy nim na baczności.

- Na rozkaz, Wasza Wysokość! - zwrócił się do niego Keshanin. - Czym mogę służyć?

- Trochę to odmienne od tego, czego świadkami byliśmy do tej pory - rzekł Erland. - Co to za wojsko?

Emir lekko poprawił swą szatę. Wszystko, co miał na sobie, nie odbiegało zasadniczo od odzieży, jaką Erland widywał na przedstawicielach Keshu w Krondorze-okrycie głowy, koszula, spodnie, długa kurtka, buty do kolan i pas. Jego strój różnił się jednak od widzianych przez Erlanda wcześniej skomplikowanymi haftami - keshkańscy urzędnicy przepadali wprost za złotogłowie i perłami.

- To członkowie Gwardii Imperialnej, Wasza Wysokość. - Wszyscy? - spytał Erland obojętnym głosem.

- Nie inaczej, Wasza Wysokość.

- Wygląda na to, że stawił się tu cały miejski garnizon zauważył Locklear.

- Zależy jak na to spojrzeć, Wasza Wysokość - odparł młody Keshanin. - W waszym Królestwie, owszem, byłby to cały garnizon. W każdym mieście Imperium Kesh byłaby to część garnizonu. W stołecznym grodzie Kesh, to tylko bardzo niewielka jego część.

- Czy pytanie o liczebność osobistej straży Jej Imperialnej Wysokości byłoby poczytane za próbę zdobycia informacji militarnych? - spytał Erland nie bez kpiny w głosie.

- Liczy ona dziesięć tysięcy - odpowiedział emir.

- Dziesięć tysięcy! - Erland i Locklear wymienili zdumione spojrzenia.

- Mówię oczywiście tylko o gwardii pałacowej, będącej częścią Gwardii Imperialnej, która z kolei jest tylko częścią stołecznego garnizonu-a ta stanowi jedynie serce armii Kesh. Tej Która Jest Keshem broni tu - wliczając w to dolne i górne miasto jedynie dziesięć tysięcy najlepszych wojowników.

Skierowali konie wzdłuż drogi obstawionej przez żołnierzy, za plecami których tłoczyli się, obserwujący ich ze stoickim spokojem, mieszkańcy stolicy.

Erland zobaczył, że droga przed nimi wije się zakosami ku górze i niczym jakiś

161

gigantyczny kamienny wąż wznosi się ku szczytowi płaskowyżu. Od połowy tej rampy nad stojącymi wzdłuż niej ludźmi trzepotały złoto-białe proporce i - czego Erland nie omieszkał zauważyć - zmieniły się barwy obstawiających ją żołnierzy.

- Ci należą do innego regimentu? - spytał.

- W dawnych czasach - odparł emir - prawdziwi Keshanie byli jedynie jednym z wielu ludów, zamieszkujących brzegi Głębiny Overn. Zagrożeni przez

nieprzyjaciół, chronili się na płaskowyżu, gdzie teraz stoi pałac. Stało się więc tradycją, że w górnym mieście i pałacu mogą mieszkać jedynie ci, w których żyłach płynie wyłącznie keshkańska krew, pozostali obywatele żyją niżej. - Wskazał ku proporcom. - Wszyscy żołnierze, których tu widzicie, należą do załogi garnizonu stołecznego, ale ci, co stoją wyżej, są obywatelami prawdziwej krwi. Tylko oni mogą stacjonować i służyć w pałacu. - W głosie młodego arystokraty pojawiło się pewne napięcie. - Nikt, kto nie ma w sobie keshkańskiej krwi, nie może zamieszkać wyżej. - Erland spojrzał nań bystro, ale oficer zdążył już skryć swe uczucia za maską godnego dyplomaty. Uśmiechnął się, jakby chciał dać do zrozumienia, że tak tu już po prostu jest i wszyscy się z tym godzą.

Gdy zbliżyli się do podnóża wiodącej w górę rampy, Erland mógł przyjrzeć się ludziom i poczuł się tak, jakby oglądał całe Imperium - różne typy i rasy ludzi. Jego spojrzenie częściej niż na ulicach grodów Królestwa natrafiało na ciemnoskórych, a z pewnością widział też większy wybór w kolorach czupryn ale i tu mignęło mu gdzieś kilku jasnowłosych i rudzielców. Stojący pod proporcami wyglądali jednak jak odlani z jednej formy: smagli, o ciemnych lub kruczoczarnych włosach - niekiedy z czerwonym odcieniem. Nie spostrzegł wśród nich ani jednej płomiennej czy jasnej czupryny. Nie ulegało wątpliwości, że żołnierze tego regimentu rekrutują się z plemienia, które rzadko mieszało swą krew z innymi.

Przyjrząwszy się krawędzi ściany nad płaskowyżem, książę zauważył szczyty wielu wystających zza niej wieżyczek i iglic. Rozważywszy rozległość przestrzeni na górze, zapytał:

- W żyłach tych, którzy żyją w górnym mieście wokół pałacu, również płynie

prawdziwa krew?

Kafi uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Wasza Wysokość, na górze nie masz żadnego miasta. To, co stąd widzisz, jest tylko częścią pałacu. Kiedyś były tam rozmaite budynki, pałac jednak ciągle się

162

rozrastał i w końcu je usunięto. Przeniesiono w dół nawet wielkie świątynie... tak żeby bogów wielbić mogli i ci, co nie są prawdziwymi Keshanami.

Wszystko to zrobiło na Erlandzie spore wrażenie. Pod rządami Rodryka

Szalonego stolicę Królestwa, Rillanon, upiększono tak, by stała się

najwspanialszym miastem Midkemii - taką przynajmniej opinię Rodryk często

wygłaszał. Spoglądając na rozciągający się przed nim gród, Erland musiał jednak

przyznać, że nawet po spełnieniu królewskich ambicji, po oblicowaniu marmurem

wszystkich znaczniejszych budowli, po ułożeniu ogrodów wzdłuż wszystkich

miejskich alei - Rillanon i tak gasł przy porównaniu ze stołecznym Keshem. Nie

chodziło nawet o to, że Kesh był piękniejszy - bo nie był. Wiele z ulic i uliczek było

zabudowanych ciasnymi, mizernie wyglądającymi budynkami, od których wiatr

przynosił najrozmaitsze zapachy - smakowite kuchenne, kwaśne i ostre wonie

kuźni, obrzydliwe smrody z garbarni, nad wszystkim zaś unosił się wszechobecny

odór odchodów i nie mytych ciał. Niewiele dało się powiedzieć o urodzie stołecznego

grodu Kesh. Był jednak stary. Słyszało się w nim echo historii, po tych uliczkach

krążył jeszcze duch narodu, który wzniósł się z nicości ku chwale wielkiego

imperium. Erland stanął w obliczu kultury, która wydawała artystów i muzyków,

kiedy jego własni przodkowie byli rybakami, nie gardzącymi pirackimi wypadami

z Rillanonu na mieszkańców sąsiednich wysepek. Wyjaśniono mu to jeszcze w

dzieciństwie, kiedy uczył się historii, dopiero teraz jednak zrozumiał, co nauczyciel miał wówczas na myśli. Kamienie, po których stukwały podkowy jego konia, wyszlifowały wcześniej kopyta rumaków i podeszwy butów najeźdźców, pobitych wodzów i tryumfujących legionów Kesh, zanim w Rillanonie po władzę sięgnął ród conDoin. Stąd właśnie ruszały zwycięskie armie, by pod wodzami, których imiona przeszły do legendy, podbijać inne narody, kiedy Rillanon i Bas-Tyra zaczynały dopiero swe utarczki i panowanie nad handlowymi szlakami na Północy. Z rywalizacji tych dwu miast dopiero po latach zrodziło się Królestwo Wysp. Kesh był stary. Bardzo stary.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - mówił tymczasem emir - goście imperatorowej zostaną umieszczeni w honorowym skrzydle pałacu, wychodzącym na Głębiny Overn. Nie byłoby uprzejme wymagać od Waszej Miłości, by taką przejażdżkę wykonywał codziennie.

Erland ocknął się ze swego zamyślenia i powiedział:

- Ty jednak, panie, pokonujesz tę trasę każdego dnia, nieprawdaż?

163

Głos rozmówcy odrobinę stężał:

- Oczywiście, ale ci z nas, którzy nie są Keshanami, znają swoje miejsce w porządku społecznym. Służymy ochoczo, a o tak drobnej niedogodności nie warto nawet wspominać.

Erland pojął intencję rozmówcy i zrezygnował z kontynuowania tego tematu.

Miał zresztą na co patrzeć - drogą w dół, mijając orszak, nieustannie schodzili jacyś urzędnicy, z których każdy następny odziany był jeszcze barwniej niż poprzednik.

Nieznośny łoskot werbli już ustał i teraz jacyś muzycy dręczyli uszy słuchaczy

utworem, który wydał się Erlandowi znajomy - był to chyba hymn Królestwa grany przez ludzi, którzy nigdy w życiu go nie słyszeli. Zwracając się do Jamesa, rzekł półgębkiem:

- Powitanie w wielkim stylu i na cały gwizdek.

James skinął tylko głową, pochłonięty myślami o czym innym. Od momentu wjazdu do miasta pozwolił, by ocknęły się w nim dawne nawyki czujności. Oczami nieustannie badał tłum, szukając najdrobniejszych choćby oznak grożącego Erlandowi niebezpieczeństwa. Wcześniej oczywiście wysłano wiadomości do Kronodoru i otrzymano odpowiedzi - keshkańska konna poczta z zaskakującą sprawnością przekazała Arucie wieść o śmierci Borrika i przywiozła korespondencję od niego. W dostarczonym przez gońca worku znaleziono tylko kilka listów. Kronorczyk był skrajnie wyczerpany jazdą, ponieważ polecono mu, by oddał pocztę wyłącznie earłowi Jamesowi, baronowi Locklearowi lub księciu Erlandowi. Eskortowali go oczywiście nieustannie zmieniający się gońcy keshkańscy i cały czas dostawał świeże konie. Galopował bez odpoczynku przez trzy tygodnie. Zatrzymywał się jedynie na krótko, wtedy kiedy ze zmęczenia zsuwał się z konia - często ograniczał odpoczynek do drzemki w siodle jadł gez podczas jazdy. James podziękował gońcowi i polecił mu wracać do Kronodoru, ale obarczając go nową pocztą, nakazał, by jechał umiarkowanym tempem - wśród listów zaś goniec wiozł propozycję awansu i nagrody za niezwykle jeździecki wyczyn. Odpowiedź Aruthy na rewelację o śmierci Borrika była taka, jakiej James oczekiwał: zwięzła i pozbawiona emocji. Książę Kronodoru nie pozwolił, by cokolwiek zakłóciło jego zdolność do pełnienia obowiązków Władcy Dziedzin Zachodu. Polecił earłowi Jamesowi, by zadbał o wydobycie zwłok syna, nakazał też, by nie dali po sobie

poznać, że jakkolwiek zmienili swe nastawienie do całej misji. Pierwszym ich obowiązkiem nadal pozostało przekazanie imperatorowej wyrazów najwyższego

164

szacunku z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin, mieli też za wszelką cenę unikać wszystkiego, co mogłoby rzucić cień na stosunki pomiędzy dwoma państwami. Mordercy Borrika liczyli na to, że ich czyn stanie się zarzewiem wojny między Królestwem a Imperium, Arutha nie dał się jednak podejść. Mogło to co prawda oznaczać eskalację prowokacji - jedyną zaś rzeczą, myślał James, bardziej zuchwałą i prowokującą od zabicia jednego z książąt Kronodoru, było zabicie ich obu. James czuł się osobiście odpowiedzialny za śmierć Borrika, postanowił jednak, że na czas wyprawy, podczas której głównym jego zadaniem będzie ochrona zdrowia Erlanda, zapomni o osobistej tragedii. Spojrzawszy w bok, napotkał wzrok żony. Jak się czujesz, najdroższa?, pomyślał.

Rada jestem, kochany, że już wkrótce będę mogła zsiąść z konia. Lady Gamina nie okazywała, że jest jej niewygodnie. Wszelkie trudy podróży zniosła bez słowa skargi. Każdej nocy, leżąc u boku małżonka, czuła, że wspólnie przeżywane szczęście odsuwa na bok codzienne troski Jamesa, nie może jednak zmazać w jego pamięci rozpacz po śmierci Borrika ani potrzeby czujności wobec groźby zamachu na życie Erlanda. Skinąwszy głową, zwróciła się do męża w myślach: Królewskie to powitanie, mój drogi.

Nieopodal, w cieniu złoto-białych proporców stało ponad stu urzędników, którzy mieli powitać księcia i jego świtę w górnym mieście. Ujrawszy ich, Erland lekko zamrugał z niedowierzania oczami. Poczul się jak ktoś, kto pada ofiarą dziwnego żartu. Oto stali przed nim mężczyźni i kobiety, których stroje składały

się niemal wyłącznie z klejnotów. Wspólnym elementem tego, na co spoglądał, była prosta spódniczka-może należałoby ją uznać za rodzaj kiltu - osłaniająca ciało od połowy ud do bioder. Spódniczkę podtrzymywał na miejscu pas ze złotą klamrą, ozdobiony niezliczonymi wprost klejnotami. Kobiety i mężczyźni mieli obnażone torsy, na stopach zaś nosili proste sandały z rzemieni. Głowy mężczyzn były ogolone, kobiety zaś miały krótko przystrzyżone fryzury - do ramion lub uszu, ozdobione za to pysznymi, wplecionymi we włosy klejnotami.

- Możesz tego, Wasza Wysokość, nie wiedzieć, ale pospolite wśród twego narodu i niektórych ludów Imperium tabu nagości nie istnieje dla potomków prawdziwej krwi Kesh - odezwał się Emir, odwróciwszy lekko głowę ku Erlandowi.

- Ja również przywykłem do tego widoku. . . choć wśród moich ziomków ujrzeć twarz żony innego mężczyzny znaczy umrzeć. Ci ludzie przyszedli tu z cieplejszych krajów - dodał z nutką ironii w głosie. - Ale nie tak gorących, jak moja rodzinna

165

pustynia, gdzie takie obnażanie się byłoby przywoływaniem śmierci z nadmiaru słońca. Kiedy jednak poznasz gorące, długie i wietrzne noce na pałacowym płaskowyżu, zrozumiesz, dlaczego ubiór jest tu jedynie kwestią mody. A keshkańscy błękitnokrwisci nigdy nie przejmowali się wrażliwością poddanych. Stare powiedzenie głosi: „Jeżeli przybyłeś do Kesh, zachowuj się jak Keshanin”.

Erland kiwnął głową, starając się nie gapić na rozległe połacie obnażonych... torsów. Na czoło grupy powitalnej wysunął się tymczasem jakiś mąż, niewiele starszy od młodego księcia, potężnie umięśniony, dzierżący łuk i kij pasterski - oba wyglądające raczej na ceremonialne oznaki funkcji niż oręż czy narzędzie pracy. Nieznajomy miał ogoloną głowę, na której pozostawił sobie tylko jeden kosmyk

włosów, spięty broszą skrzącą się od

złota i szlachetnych kamieni. W następnej chwili u jego boku stanął drugi,

krępy i najwyraźniej niezbyt zadowolony z tego, że musiał pojawić się w

słonecznym skwarze. Nie zwracając uwagi na krople potu występujące na jego

szybko czerwieniejącej skórze, powiedział:

- Witamy szlachetnych gości.

- Lordzie Nirome - odezwał się Kafi do krępego jegomościa. - Mam honor

przedstawić waszmości Jego Wysokość, księcia Erlanda, dziedzica tronu Królestwa

Wysp i Konetabla Armii Zachodu, oraz jego świtę, z którą przybył, by uczcić Tej

Która Jest Keshem.

- Wasza Wysokość - odezwał się Nirome. - Aby uczcić twe przybycie, wita cię

jeden z członków rodziny impejalnej. Niechże będzie mi wolno przedstawić księcia

Awai, syna Tej Która jest Keshem.

Młody człowiek wystąpił do przodu i zwrócił się bezpośrednio do Erlanda:

- Witamy naszego książęcego brata. Zostań z nami, książę Erlandzie, i baw u

nas, jak długo ci się spodoba. Wysłać dziedzica do Tej Która Jest Keshem, to zaiste

honor niebywały. Matka Nas Wszystkich, aby cię ukontentować, raczyła wysłać ci

na powitanie swego biednego syna. Przybyłem tu, by wam powiedzieć, że nasze

serca przepelniły się radością i każda chwila waszego pobytu w naszym mieście

wzbogaca skarbiec naszych uczuć. Wasza mądrość i cnoty są niezrównane i Ta

Która Jest Keshem z niecierpliwością oczekuje chwili, w której powita was na

swoim dworze.

Powiedziawszy to, książę Awari odwrócił się i ruszył pod górę. Kobiety i

mężczyźni stanowiący komitet powitalny rozstąpili się tak, by książę i Nirome

mogli przejść, emirzae dyskretnie dał znak Erlandowi, że powinien ruszyć za nimi z Locklearem, on sam zaś i James pójdą w drugiej parze. Gdy szli pod górę, James odwrócił się do Kafiego.

- W istocie niewiele wiemy o Imperium, poza strzępami informacji, które docierają do nas przez południową granicę. Jego Wysokość byłby niezmiernie rad, gdybyś mógł, panie, zostać z nami i opowiedzieć nam nieco więcej o tym wspaniale urządzonym państwie.

Syn pustyni uśmiechnął się i James ujrzał przyjazny błysk w jego oczach.

- Wasze życzenie zostało przewidziane. Będę się pojawiał o świcie każdego dnia u waszych drzwi i nie odejdę, dopóki mnie nie odeślecie. Taka jest wola imperatorowej, oby żyła wiecznie. James uśmiechnął się i pochylił głowę.

- Tak więc, człowiek ten ma być naszym stróżem. Gamma uśmiechnęła się i odparła:

- Nie tylko on, najdroższy... będzie ich wielu...

James spojrział na czoło orszaku, gdzie Erland szedł za powitalną delegacją imperialnych urzędników. Wiedział, że podczas najbliższych dwu miesięcy jego inteligencja i spryt zostaną wystawione na najcięższą z prób. Miał tylko dwa zadania - chronić Erlanda przed śmiercią i nie dopuścić do wybuchu wojny pomiędzy Imperium i Królestwem. Bagatela!

Erland stracił niemal język w gębie. Jego apartament składał się z sześciu komnat w przydzielonym do ich dyspozycji skrzydle pałacu, które samo w sobie było tylko nieco mniej rozległe niż cały ojcowski pałac w Krondorze. Imperialny pałac w rzeczy samej był niemal odrębnym miastem. Apartamenty gości

ośniewały zbytkiem, przekraczającym granice wyobraźni. Wszystkie ściany wyłożono marmurem i wypolerowano do gładkości, która odbijała światła pochodni niczym iskry tysięcy klejnotów. Inaczej niż w Królestwie, gdzie budowano komnaty niewielkie i przytulne, wszystkie sale apartamentu były rozległe, ale tak urządzone, że można je było podzielić na mniejsze części zasłonami o różnym stopniu przejrzystości. Teraz jedyne zasłony znajdowały się z lewej i prawej - obie były przejrzyste i widział przez nie, że krzesła i kanapy ustawiono tak, by mógł urządzać narady i spotkania. Po lewej stronie był taras, z którego rozciągał się wspaniały widok na

Głębię Overn, rozległe słodkowodne jezioro, będące sercem Imperium. Za podwójnymi drzwiami znajdowała się jego sypialnia i komnata, w której w razie

167

potrzeby mógł przyjmować doradców. Skinieniem dłoni rozkazał dwu gwardzistom, których wyznaczono na jego osobistych służących, by otworzyli wielkie drzwi. Zanim zdążyli się poruszyć, u jego boku pojawiła się młoda kobieta, która powiedziawszy: - Milordzie! - klasnęła w dłonie. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i Erland, kiwając obojętnie głową, wkroczył do komnaty, która miała być jego sypialnią. Na widok tego, co zobaczył, stanął jak wryty. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział złoto. Użyto go do ozdoby stołów i krzesel, kanap i dywanów, którymi urządzono całe pomieszczenie. Przemysłny dekorator ustawił tu wszystkie meble, jakich mógłby potrzebować ktoś, kto pragnąłby się tu ubrać, napisać list czy zjeść samotnie posiłek. Górne części ścian zamiast marmurem wyłożono piaskowcem, na którym jaskrawymi barwami wymalowano piękne freski. W stylizowany, keshkański sposób ukazywały one wojowników, królów i bogów - wielu

z tych ostatnich miało zwierzęce głowy, ponieważ imperialne koncepcje boskości różniły się znacznie od tych, do jakich przywykli mieszkańcy Królestwa Wysp.

Przez długą chwilę młody książę napawał się splendorem pomieszczenia. W centrum komnaty stało gigantycznych rozmiarów łóże, otoczone z trzech stron muślinowymi zasłonami, zwisającymi ze znajdującego się na wysokości dwóch dziesiątek stóp sufitu. Łóże było przynajmniej trzy razy większe niż jego własne, które wydało mu się ogromne, gdy wrócił do Kronodoru z Highcastle, gdzie z bratem sypiali na wąskich pryczach w barakach koszar.

Wspomnienie o Borriku obudziło w nim ból - jakże byłby rad, dzieląc się z nim tymi wspaniałościami. Tysięczny chyba raz pomyślał, że nie pogodzi się ze śmiercią Borrika. Nie czuł po prostu, że Borric nie żyje. Musiał gdzieś być... Erland nie umiał w to zwątpić. Młoda kobieta, która weszła z nim do komnaty, klasnęła tymczasem w dłonie i nagle wokół księcia zaczął się ruch. Książęcy gwardziści stali oniemiały ze zdumienia, obserwując pozornie nieskończony szereg służby, która przemaszerowała przez apartament. Powodem zdumienia weteranów była po części szybkość, z jaką służba rozpakowała książęce bagaże i wyłożyła z nich paradną odzież na stojaki pod ścianami, głównie jednak wytrzeszczali oczy, ponieważ służącymi były przeważnie kobiety - wszystkie bez wyjątku urodziwe i odziane tak samo oszczędnie, jak komitet powitalny. Od dam dworu różniły się jedynie brakiem klejnotów. Nad skromnymi (jeśli mowa o rozmiarach!) spódniczkami zawiązane miały lniane, szerokie pasy. . . i to wszystko. Erland podszedł do stojących w drzwiach gwardzistów i mruknął:

Weterani zasalutowali słuźbiście i odwróciwszy się na pięcie, przystanęli niepewni, dokąd mają się udać. Jakby czytając w ich myślach, podeszła do nich młoda kobieta. - Tędy, proszę i powiodła ich gdzieś w głąb skrzydła. Inna dziewczyna o orzechowych oczach skłoniła się przed księciem i powiedziała: - Jeżeli Wasza Miłość pozwoli, to kąpiel jest już gotowa. Erland zauważył, że miała czerwony pas ze złotą klamrą, i pomyślał, iż jest pewnie przełożoną reszty przydzielonej mu słuźby.

Młody książę nagle poczuł, że jest ubrany zbyt ciepło, jak na pałacowe komnaty i że po dwu dniach konnej podróży rozsiewa wokół siebie bogaty bukiet silnych, naturalnych zapachów. Kiwnął więc głową i przeszedł za dziewczyną do sąsiedniej komnaty. Tam czekało go kolejne zdziwienie - ujrzał przed sobą niewielką sadzawkę o średnicy przynajmniej dziesięciu kroków. Na przeciwległym krańcu komnaty stał posąg (złoty, oczywiście) jakiegoś wodnego bóstwa trzymającego w dłoni wazę, z której do sadzawki lała się woda. Rozejrzawszy się dookoła, książę zobaczył, że w basenie stało pięć młodziutkich i urodziwych dziewcząt wszystkie bez szatek. Dwie inne już doń podchodziły z boków, podczas gdy ta, która go tu przyprowadziła, odwróciła się i zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Eee... - jęknął Erland niezwykle inteligentnie, próbując się cofnąć.

- Czyżbyś jeszcze sobie czegoś życzył, milordzie? - spytała piękność o orzechowych oczach. Erland zauważył, że jej ciemna skóra ma przynajmniej kilkanaście odcieni: różne stopnie opalenizny i naturalna, oliwkowa cera dziewczyny tworzyły zapierającą dech w piersiach mieszankę. Smagłolica piękność ciemne włosy wiązała w warkocz, odsłaniający piękną, długą szyję. Erland otworzył usta, by coś powiedzieć, i zamarł niepewny, co rzec. Gdyby był tu Borric,

obaj dawno daliby już nura w wodę i rozbryzgując pianę, badaliby... hm... uległość młodych dam. Ale sam... czuł się jakoś niezręcznie.

- Jak masz na imię? - Miya, milordzie.

- Otóż, Miya... - Obejrzał się na piękne panny, czekające w wodzie, by wyraził jakieś życzenie. - W moim kraju nie jest przyjęte zatrudnianie tak licznej... obsługi tam, gdzie... eee... nie potrzeba aż tylu...

Dziewczyna przez chwilę przyglądała mu się z uśmiechem, który w normalnych warunkach obudziłby w nim... bestię. Potem powiedziała łagodnie:

169

- Jeżeli milord zechce powiedzieć, jaka liczba służących go zadowoli, odeślę pozostałe. - Zawahawszy się przez sekundę, dodała: - A może życzysz sobie, panie, tylko jednej... wtedy będę zaszczycona, mogąc... osobiście zatroszczyć się o twoje potrzeby. - Ostatnie słowa nie pozostawiały cienia wątpliwości, co do chęci i zapału smagłej panny.

- Nie... chciałem tylko... Och, dajmy już temu spokój! jęknął Erland, kapitulując na całej linii.

Zręczne dłonie pozbawiły go szybko odzieży i nagi młodzieniec, czując się niezręcznie i głupio, szybko podszedł do basenu. Schodząc po niskich stopniach, odkrył ze zdziwieniem, że woda jest gorąca. Kiedy usiadł na najniższym, zanurzył się do piersi. Miya szybko rozpięła własną spódniczkę i pozwoliła jej opaść na posadzkę. Jakby nieświadoma własnej nagości, spokojnie zeszła do wody i usadowiła się o stopień wyżej od Erlanda. Klasnąwszy w dłonie, rozkazała pozostałym służącym przynieść mydła, olejki i pachnidła.

Następnie pociągnęła Erlanda ku sobie, aż jego głowa spoczęła na jej

miękkich piersiach. Zdumiony młodzik poczuł, że biegle palce dziewczyny zręcznie rozprawiają w jego włosach wonne olejki. Tymczasem u jego boków znalazły się dwie inne służące, które szybko i sprawnie namydlity mu tors pachnącym mydłem. Dwie inne równie sprawnie zajęły się jego paznokciami, a jeszcze dwie zaczęły rozcierać zmęczone mięśnie jego ud i łydek.

Poddawszy się intymnym zabiegom wykonywanym przez kilka niezwykle urodziwych dziewcząt, Erland początkowo był okropnie skrępowany, po chwili odprężył się, odetchnął głęboko i rozluźnił. Powiedział sobie w duchu, że właściwie wszystko to nie za bardzo różni się od usług łaźiebnych w jego kraju - jedyną istotną różnicą było to, że w tej łaźni pracowały kobiety. Spojrzawszy na tuzin innych, stojących na brzegach sadzawki i obsługującą go siódmkę, zachichotał niespodziewanie nawet dla samego siebie. No tak... zupełnie jak w domu.

- Milordzie? - spytała Miya.

- Do niektórych rzeczy trzeba się po prostu przyzwyczaić westchnął filozoficznie młody książę.

Dziewczyna przestała oliwić mu włosy, uniosła jego głowę ze złotej misy i zaczęła łagodny masaż karku i ramion. Młody książę, mimo podniecenia, którego źródłem była obecność nagich piękności, poczuł, że równomierny ruch palców dziewczyny sprawia iż zaczynają mu opadać powieki. Z woniami olejków i

170

pachnideł zmieszał się aromat cudownie złocistej, wilgotnej skóry młodej, pieszczącej go dziewczyny. Książę zamknął oczy i poczuł, że wszelkie jego troski i zmartwienia odpływają w niebyt. Westchnął głęboko, Miya zaś spytała:

- Czy mój pan czegoś sobie życzy?

Erland uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu napaści pustynnych

łotrzyków.

- Nie... ale myślę, że mógłbym to polubić.

- Odpocznij zatem, piękny młodzieńcze o włosach koloru ognia - szepnęła mu dziewczyna wprost do ucha. - Odpocznij... bo dziś w nocy zostaniesz przyjęty przez

Tę Która Jest Keshem.

Erland oparł się zatem wygodniej o miękkie ciało służącej i pozwolił ogarnąć się uczuciu rozleniwienia, wywołanego ciepłem kąpeli i biegłością masażystek.

Wkrótce poczuł, że pogrąża się w zmysłowej drzemce, jego ciało zaś zaczęło coraz żywiej odpowiadać na coraz bardziej ogniste pieszczoty kobiet. Spod opuszczonych rzęs obserwował uśmiechnięte twarze, spoglądające nań wyczekująco... inne dziewczyny wymieniały stłumione chichoty i szepty... na koniec zaś zdumione i pełne nabożnego niemal podziwu spojrzenia.

O tak, z całą pewnością mógłbym to polubić, pomyślał młody książę.

- Milordzie! -Jedna z dziewcząt ostrożnie potrząsała jego stopą.

Erland uniósł się na łokciu, by sprawdzić, kto tak brutalnie go budzi.

Mrugając zaspanymi oczyma, spytał:

- O co chodzi?

- Lord James przysłał wiadomość, że będzie tu za pół godziny, milordzie.

Radzi, abys się przygotował na prezentację u imperatorowej. Powinieneś się ubrać, panie.

Erland spojrział najpierw w lewo, potem w prawo - i odkrył, że z obu stron tulą się doń nieruchome dziewczyny. Z prawej dyszała mu w ramię śpiąca Miya, z lewej, inna dziewczyna - ta ze zdumiewająco zielonymi oczami... jak ona miała na

imię... obserwowała go spod na poły przymkniętych powiek. Księżę żartobliwie

klepnął Mięę w goły tyleczek i powiedział:

- Czas wstawać, ślicznotki!

*Miya natychmiast się obudziła i giętkim ruchem uniosła się z ogromnego
łoża. Klasnęła w dłonie i do komnaty wpadł tuzin dziewcząt, trzymających odzież*

Erlanda, wypraną, wyprasowaną i gotową do włożenia. Erland wyskoczył z

171

pościeli, gestem dłoni zatrzymał dziewczęta i pobiegł do komnaty z sadzawką.

*Nakazawszy służbie zostać na brzegu, zszedł trzy stopnie w dół i dał nura pod
wodę. Wynurzył się, otrząsnął i powiedział do Miyi, która oczywiście weszła do*

łaźni tuż za nim:

- Spocilem się.

Dziewczyna uśmiechnęła się skromnie:

- Cóż... Wasza Wysokość wykazał się sporym... wigorem. Erland

odpowiedział jej również uśmiechem.

- Czy tu zawsze jest tak gorąco?

- Mamy lato, więc nic w tym dziwnego - odparła dziewczyna. - Ci, którzy

*sobie tego życzą, mogą szukać ochłody u służby wachlarzowej. W zimie natomiast
jest okropnie zimno i żeby utrzymać ciepło w łożu, potrzebne są futra.*

Wychodząc z sadzawki, Erland pomyślał, że niełatwo to sobie wyobrazić.

Trzy dziewczyny szybko go wytarły i wrócił do sypialni. Pogodzenie się z tym, że

ktoś go ubiera, okazało się trudniejsze, niż sądził. Cały czas usiłował czynnie

pomagać, szczególnie, kiedy dziewczyny niezbyt skoro radziły sobie z klamrami czy

sprzączkami. Gdy jednak oznajmiono przybycie earla Jamesa, był już całkowicie

ubrany. Erland skinieniem głowy pozwolił przyjacielowi na wejście do środka.

No... wyglądasz znacznie lepiej. Wypałeś się? – spytał James, ledwie wytknął głowę zza drzwi.

Erland rozejrzył się po wspaniałej wystawie obnażonych kobiecych ciał.

- I owszem...

James uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Gamina niezbyt była zadowolona, kiedy w naszym apartamencie zobaczyła tyle pięknych dziewcząt, przystali więc też kilku urodziwych młodzieńców.

Strasznie się zmieszala, kiedy

ofiarowali się jej z pomocą przy kąpieli. - Rozejrzył się dookoła. - Nie nazwałbym ich rozpustnymi... dla nich to normalne. Muszą nas uważać za... nie, nie mam pojęcia, za kogo nas uważają.

Kiwnąwszy w milczeniu na księcia, zawiódł go do rozległego korytarza, w którym zastali już pogrążonych w rozmowie Gaminę i Lockleara. Gdy tylko weszli,

Gamina przemówiła:

172

Erlandzie, James w naszych komnatach odkrył już dwa stanowiska do podsłuchu. Bądź ostrożny i uważaj na to, co mówisz. Stali w milczeniu, gdy przyszedł po nich keshkański oficer,

odziany w barwy, jakie widzieli tu wszędzie - biały kilt i złote sandały. Miał jednak na szyi ozdobny tork ze złota wykładanego turkusami, w dłoni zaś trzymał długą laskę, znamionującą jego służbową funkcję.

Poprowadził ich długimi korytarzami, w których wejścia do rozległych apartamentów przeplatały się z pasażami. Mijane przez Krondorczyków korytarze,

pasáže, placyki, klomby i fontanny oświetlane były pochodniami zdobnymi w imperialne proporce. Gdy przechodzili przez kolejny ogród, James zwrócił się do księcia:

- Powinieneś się przyzwyczaić do tych drzemek, Wasza Miłość. To miejscowy zwyczaj. Rano Imperatorowa i jej najbliżsi urzędnicy załatwiają sprawy dworskie, po południu je się tu lekki posiłek, potem drzemka do wieczora, znów sprawy dworskie od zachodu słońca do dziewiątej i wreszcie kolacja.

Erland spojrział na stadko mijanych służących odzianych jedynie w króciutkie spódniczki.

- Jakoś przywyknę - powiedział.

Gamina przesłała mu myśl, której nie dało się wyrazić słowami, ale która była totalną dezaprobatą.

Minąwszy długi korytarz, skręcili w jeszcze rozleglejszy. Po obu jego stronach wzniesiono kamienne, obłożone marmurem kolumny, które sięgały wysokości trzech pięter. Ściany pomiędzy nimi ozdobiono malowidłami z wielkim artyzmem przedstawiającymi konflikty bogów i demonów. Przez cały czas kroczyli po dywanie, bajecznie miękkim i kolorowym, niemożliwie wprost długim i bez skazy. W tej części pałacu, co dwadzieścia mniej więcej kroków, pod każdą ze ścian, prężąc się jak struna, stał keshkański gwardzista. Erland zauważył jednak, że ci ludzie zupełnie nie przypominali wojowników ze słynnych Psich Legionów, które stacjonowały na keshkańskim pograniczu. Wszyscy mieli na sobie kilty - różnego kroju, ale wszystkie zaprojektowano tak, by pozwalały na swobodę ruchów. Każdy opinał tors munsztukiem tej samej barwy co kilt. Rzemienie munsztuku zamykały się na ozdobnym pasie tuż nad srebrną klamrą. Wszyscy mieli na nogach proste,

rzemienne sandały. Głowy kryli pod hełmami, te jednak Erlandowi wydały się barbarzyńskie i prymitywne. Niektórzy ozdobili je czaszkami zwierzęcymi - jeden

173

na przykład przymocował do hełmu łeb lamparta spreparowany tak, że skóra zwierzęcia opadała gwardziście na barki. Kilku innych w podobny sposób ozdobiło się głowami łosi i niedźwiedzi. Wielu pozakładało na hełmy przepaski zdobione kością słoniową, do których poprzyczepiali orle lub sokole pióra. Inni jeszcze pysznili się pióropuszcami z papuzich i strusich piór, kilku zaś powtykało na łby wysokie stożkowate konstrukcje z wikliny pomalowanej na wiele kolorów-ale wedle oceny Erlanda w ogóle nie nadające się do bitwy.

- Jest na co popatrzeć, prawda? - odezwał się James Erland kiwnął głową.

Wszystko, co widział do tej pory w górnym Kesh, miało świadczyć o niesłychanym zbytku i bogactwie Imperium. Wrażenie stawało się jeszcze bardziej przytłaczające, jeżeli porównało się pałac z dolnym miastem. Nadmiar, zbytek i przepych widać było wszędzie nawet w najdrobniejszych szczegółach - stały się tu one niemal stylem życia i religią. Wszędzie, gdzie wystarczyłoby coś zwykłego, zastępowano to czymś zbytkownym

- żelazo złotem, szkło szlachetnymi kamieniami, wełnę jedwabiem. Po

przejściu kilkunastu korytarzy Wyspiarze przekonali się, że to samo dotyczy ludzi.

Tam, gdzie trzeba było człowieka, zadbano o to, by był nie tylko zdolny i sprawny - musiał być jeszcze i urodziwy. Napotykanie nawet przypadkiem dziewczęta -

wszystkie, bez wyjątku! - były młode i piękne. Jeszcze kilka takich dni - pomyślał

Erland - i zatęsknię za widokiem gęby szczerbatej lub zezowatej. Prowadzący ich

oficer podszedł do drzwi, całych inkrustowanych złotem i uroczyście stuknął w nie

metalowym (złotym, oczywiście!) okuciem swej laski.

- Księżę Erland, earl James, contessa tiamina i baron Locklear! - oznajmił napuszczonym tonem. Drzwi stanęły otworem i Erland ujrzał ogromną salę, której przeciwległa ściana znajdowała się w odległości przynajmniej stu kroków. Pod ową ścianą ustawiono widoczne aż od wejścia podwyższenie, na nim zaś stał złoty tron.

- Nie uprzedziłeś mnie - syknął Erland - że to formalna audiencja!

- Bo nią nie jest - odciął się James. - To po prostu malutkie, skromne przyjęcie dla grona dobranych gości.

- Nie mogę się wprost doczekać oficjalnej prezentacji. Erland odetchnął głęboko. - No dobra... spróbujmy się z Jej Wysokością. - Ruszając naprzód, księżę poprowadził swych doradców ku tronowi imperatorowej Wielkiego Keshu.

Szedł prosto do celu, jakim - w tym wypadku - był środek komnaty. Stukot obcasów uderzających o marmurową posadzkę wydawał się tu jakoś nie na

174

miejscu - był głośnym i natrętnym wtargnięciem w intymną ciszę miejsca, gdzie wszyscy używali sandałów lub chodzili w pantoflach. Hałas ten jednak jakoś wsiąkał w ciszę, ponieważ nikt się nie odzywał i wszyscy gapili się z ciekawością na orszak z Królestwa Wysp. Na podwyższeniu, przed złotym tronem, umieszczono stos poduszek. Leżała na nich ;tara kobieta. Erland usiłował jej się przyjrzeć, starał się jednak, by nie wyglądało to na bezczelne gapienie - i okazało się, że ciekawości nie da się pogodzić z dobrymi manierami. Oto na jedwabnych poduszkach przed najpotężniejszym z tronów znanego mu świata leżała najpotężniejsza z władczyń i władców tegoż świata. Młody księżę zdumiał się, widząc taką potęgę wcieloną w postać drobnej, mizernej kobiety o niezbyt imponującym wyglądem. Ubrana była

w spódniczkę, podobną do tej, jakie nosili jej poddani - jej była tylko nieco dłuższa i sięgała za kolana. Pas imperatorowej lśnił blaskiem klejnotów i stał tysiące iskier barwnego, odbitego światła pochodni na ściany i sufit komnaty. Ta Która Jest Keshem okryła się też luźną szatą z białej tkaniny, spiętą z przodu niezwykłą broszą ciętą z jednego wielkiego, krwistego rubinu. Głowę ozdobiła złotym diademem wysadzonym szafirami i rubinami. Jakich książę nigdy przedtem nie widział. Za ozdoby tej starej kobiety można byłoby wykupić z niewoli cały naród.

Choć karnacja jej skóry była ciemna, nie kryła jednak wieku imperatorowej. Poruszała się jak kobieta o dziesięć lat starsza niż była w rzeczywistości, ale jej oczy kazały Erlandowi myśleć o wielkości tej kobiety, bo ciągle płonęły ogniem żywej inteligencji. Ciemne oczy starej kobiety, jarzące się ogniem nie ustępującym intensywnością iskrom miotanym przez jej klejnoty, uważnie przyglądały się księciu idącemu pomiędzy biesiadnikami, którzy dostąpili zaszczytu zjedzenia posiłku z imperatorową. U podstaw podwyższenia rozstawiono tuzin niskich okrągłych stolików oraz wygodne kanapy, na których usadowili się ci, których imperatorowa uznała za stosowne wyróżnić w tak niesłychany sposób Erland stanął w końcu przed władczynią i skłonił się, bacząc, by ukłon nie był niższy od tych, które składał swemu królewskiemu stryjowi. James, tiamina i Locklear przyklękli na jedno kolano o tej powinności pouczył ich urzędnik odpowiedzialny za przestrzeganie protokołu - i czekali na sygnał, który pozwoliłby im się podnieść.

- Jak nasz młody gość z Wysp znajduje Kesh?

Głos tej kobiety miał moc gromu uderzającego z jasnego nieba i Erland prawie podskoczył na jego dźwięk. Proste pytanie kryło w sobie odcienie i znaczenia, których młodzieniec nie był w stanie rozwikłać.

Zapanowawszy jakoś nad niespodziewanym atakiem paniki, księżę zdołał odpowiedzieć, starając się, by w jego słowach usłyszano spokój - którego wcale nie odczuwał:

- Miłościwa Pani, mój stryj, Król, przesyła ci życzenia zdrowia i pomyślności.

- A wierzę... wierzę, młodzieńcze - odparła imperatorowa, uśmiechając się nieznacznie. - Na tym dworze jestem jego najlepszą przyjaciółką i orędowniczką... możesz w to nie wątpić. - Westchnęła i dodała: - Kiedy już skończymy te obchody, przekaz Wyspom najserdeczniejsze życzenia od Keshu. Wiele nas łączy... Ale może zechcesz mi przedstawić członków swojej świty?

Erland uczynił to, czego odeń oczekiwano, kiedy zaś formalnościom stało się zadość, imperatorowa zdumiała wszystkich, unosząc się lekko na swoich poduszkach i mówiąc:

- Contesso... czy nie zechciałabyś zrobić mi uprzejmości... i podejść bliżej?

Gamma obrzuciła małżonka pytającym spojrzeniem i ruszyła schodami w górę, by zatrzymać się przed imperatorową.

- Wy, z Północy, macie tak jasną cerę, ale takiej jak twoja nigdy nie widziałam - rzekła stara kobieta. - Nie pochodzisz z okolic Stardock, nieprawdaż?

- Nie, Najjaśniejsza Pani - odpowiedziała tiamina. Moją ojczyznę były góry leżące na północ od Romney. Imperatorowa kiwnęła głową, jakby to, co rzekła Gamina, wszystko jej wyjaśniło.

- Wróć do małżonka, moja droga. Na swój egzotyczny sposób wyglądasz niezwykle miło.

Gdy Gamina schodziła ku przyjaciółom, imperatorowa zawyrokowała:

- Wasza Wysokość, dla członków twej świty ustawiono odrębny stolik.

Zrobicie mi przyjemność, spożywając z nami posiłek.

Księżę ponownie się skłonił i odpowiedział: - To dla nas zaszczyt, Miłościwa Pani.

Gdy już się usadowili przy stoliku, który od tronu oddzielał tylko jeszcze jeden, ukazał się inny dworak i oznajmił:

- Księżę Awari, syn Tej Która Jest Keshem! -Przez boczne drzwi wkroczył do komnaty młodzieniec, którego Erland miał już okazję poznać. Kronдорczyk domyślił się, że drzwi, przez które syn imperatorowej wszedł do komnaty, łączyły to pomieszczenie z innym skrzydłem pałacu.

176

- Jeśli wolno mi coś doradzić Waszej Księżęcej Mości... rozległ się głos z prawej, gdzie Erland, odwróciwszy się, znalazł Kafiego Abu Hareza, który usadowił się pomiędzy nim a earlem Jamesem. -Jej Imperatorski Majestat, oby żyła wiecznie, domyśliła się, że będziesz się czuł nieswojo wśród nowego dla ciebie otoczenia i poleciła mi zasiąść u twego, panie, boku. Mam odpowiadać na wszelkie pytania, jakie raczysz zadać.

I wybadać, co nas interesuje, w myślach zwróciła się do księcia Gamina.

Księżę skinął głową, co Kafiemu musiało się wydać milczącą zgodą, Gamina jednak wiedziała, że oznacza to potwierdzenie jej myśli. W tejże samej chwili jeden z dworaków zawołał:

- Księżniczka Sharana!

Do Awarię dołączyła młoda kobieta, którą Erland uznał za swoją rówieśniczkę. Wygląd wnuczki imperatorowej zaparł młodzieńcowi dech w

piersiach. Nawet w tym pełnym pięknych kobiet pałacu widok był oszalamiający. Nosila, podobnie jak wszystkie, spódniczkę, ale jak imperatorowa osłoniła piersi lnianą szatą-i ukrycie tego, co wszystkie inne ukazywały bez najmniejszych oznak skrepowania, spotęgowało jeszcze jej powab. Jej ramiona i twarz miały barwę migdałów, wyzłoconą lekko keshzańskim słońcem. Włosy przycięła krótko nad czołem i u ramion. z tyłu zaś splotła w długi warkocz, przetykany złotem i klejnotami.

- Księżniczka Sojiana! - obwieścił tymczasem mistrz ceremonii. Ta sprawiła, że z kolei poderwał się Locklear. Jeżeli księżniczkę Sharanę należało uznać za kwiat dopiero rozkwitający z pięknego pączka, jej matka, Sojiana, była pięknością w pełni już ukształtowaną i doskonałą pod każdym względem. Wysoka kobieta o pełnych kształtach poruszała się z wdziękiem świadomej swej urody tancerki. Każdy ruch jej ciała miał ukazać je w jak najlepszym świetle - a było co pokazywać! Księżniczka miała długie, smukłe nogi, płaski brzuch i pełne piersi. Jej ciało było doskonale zbudowane, bez śladu tłuszczu i na pierwszy rzut oka można było się założyć, że jest równie miękkie jak sprężyste. Na tę skromną uroczystość włożyła jedynie krótką spódniczkę opasaną złotą wstęgą. Wokół ramion księżniczki wiły się dwa złote węże, na szyi zaś miała złoty tork wysadzany ognistymi opalami, które swym blaskiem podkreślały urodę jej opalanej cery. Ciekawe, że jej włosy miały barwę ciemnokasztanową, w której czerwień mieszała się z brązem. Z twarzy, równie

177

pięknej jak reszta ciała, na przybyszów z Wysp spoglądały zdumiewająco zielone oczy.

- Na wszystkich bogów! - stęknął Locklear. - Ona jest... oszalamiająca!

- Księżniczka, mości baronie, uchodzi za uznaną piękność wśród

błękitnokrwistych - wtrącił się emir. W jego głosie zabrzmiała delikatna nutka ostrzeżenia.

James spojrział badawczo na syna pustyni, ten jednak pozostawił swą wypowiedź bez komentarza. Wytrzymał wzrok barona, po chwili zaś zwrócił się do Lockleara, który nie odrywał zachwyconego wzroku od idącej ku matce księżniczki.

- Mości Locklearze, czuję się zobowiązany do udzielenia ci pewnego przyjacielskiego ostrzeżenia. - Obejrzał się na Sojiane, która właśnie wstępowała na podwyższenie. - Księżniczka uważana jest też za drugą z najbardziej niebezpiecznych kobiet na tym dworze... zaraz po imperatorowej. To zaś czyni ją drugą z najniebezpieczniejszych kobiet świata.

- Mogę w to uwierzyć! - odparł Locklear z nieco wyzywającym uśmiechem.

- Samym wyglądem zapiera człowiekowi dech. Sądzę jednak, że gdybym miał okazję...

Gamina spojrzała nań gniewnie z powodu tej zuchwałej uwagi. a młody Keshanin stłumił uśmiezek:

- Może się taka nadarzyć. Mówi się, że księżniczka ma nieco egzotyczne upodobania i nie gardzi przygodami...

Prawdziwy sens stwierdzenia Kafiego nie uszedł uwagi bystrego Jamesa, choć Locklear był zbyt zadurzony, by słuchać tego. co się doń mówi. Były złodziejaszek skinieniem głowy podziękował pustynnemu arystokracie za ostrzeżenie. Zamiast, jak przedtem Awari i Sharana, skłonić się tylko imperatorowej i cofnąć do sąsiedniego stolika, Sojiana dygnęła nisko i powiedziała:

- *Czy moja matka czuje się dobrze'?* - *Wszystko to zabrzmiało jak zwykłe pytanie, zadane zgodnie z etykietą.*

- *I owszem, moja córko. Będę jeszcze władała Keshem.. przez jakiś czas.*

- *A zatem bogowie przychylnie odpowiedzieli na moje prośby - księżniczka skłoniła się ponownie. I przeszła w bok, by usiąść obok brata i córki. Zaraz potem do sali wkroczyła służba. Przed oczyma biesiadników zaczęły się pojawiać kolejne potrawy i przez następną minutę czy dwie Erland zastanawiał się nad wyborem*

178

danía. Przyniesiono też wina, słodkie i wytrawne, czerwone i białe - te ostatnie schłodzone lodem, dostarczonym sztafetą z Gór Strażniczych.

- *Powiedz mi waść - zwrócił się Erland do Keshanina dlaczego członkowie rodziny imperatorowej wkroczyli ostatni' - Tu, w Kesh - odparł emir - mamy nieco odmienni*

obyczaje. Pierwsi wchodzią najmniej ważni... niewolnicy, służb i pomniejsi urzędnicy, którzy nadzorują wszystko tak, by były gotowe na przyjęcie wysoko urodzonych. Potem zjawia się Ta Która Jest Keshem i zajmuje miejsce na podwyższeniu. Dopiero wtedy przybywają szlachta krwi i znaczniejsi panowie, ponowicie od najmniej ważnych do pierwszych rodów Imperium. Jesteście panowie najznaczniejszymi z gości... wprowadzono was więc tuż przed członkami najbliższej rodziny imperatorowej.

Erland kiwnął głową, choć zdumiała go dziwaczność tej koncepcji.

- *To oznacza, że Skarana jest...*

- *Oczywiście, Mości Księżę. Jej pozycja na dworze jest wyższa niż pozycja a*

jej wuj a, księcia Awariego - stwierdził Emir, obejrzawszy się ku tronowi. - To,

Wasza Miłość... kwestia rodzinna.

I coś, o czym on nie ma ochoty rozprawić, dodała Gamina. Erland zerknął ku niej, ona zaś wyjaśniła: Nie czytam jego myśli, Wasza Wysokość. Nigdy tego nie robię tym, którzy nie dadzą mi swego przyzwolenia. On po prostu... wcale się z tym nie kryje. Nie umiem tego wyjaśnić lepiej... ale inne myśli tłumi bardzo starannie.

Erland dał spokój dalszym wyjaśnieniom i zaczął wypytywać ~ inne dworskie zwyczaje. Kafi odpowiadał dokładnie tak, jak mógłby to robić znudzony historyk, choć niekiedy odpowiedź zmieniała się w zabawną, skandaliczną lub - czasami - nieco wstydliwą anegdotkę. Okazało się, że młody arystokrata jest trochę plotkarzem. James pozwolił mówić innym, sam zaś analizował w myślach odpowiedzi Kafiego. Podczas całego posiłku wkładał usłyszane wiadomości i porównywał je z innymi, znanymi mu już wcześniej. Keshkański pałac był strukturą równie skomplikowaną jak mrowisko, porządek zaś w nim utrzymywały jedynie przemożne wpływy imperatorowej. Walka różnych klik o władzę, stare waśnie rodowe i animozje narodowościowe tworzyły istne kłębowisko najróżniejszych interesów-imperatorowa zaś utrzymywała równowagę, nastawiając jednych przeciwko drugim. James napił się wytrawnego wina i zaczął się zastanawiać, jaką rolę wyznaczono w tym dramacie Wyspiarzom, bo wiedział z równą pewnością, z

179

jaką wyczuwał ucisk butów na palce, że ktoś zamierza wykorzystać ich obecność dla własnych celów. Pytanie tylko: kto i jakie ma zamiary...

Uświadomił sobie, że główną kartą w przyszłej intrydze będzie z pewnością Erland. Jasne było na razie, że przynajmniej jedna z koterii pragnie śmierci Księcia i wojny pomiędzy Imperium i Królestwem. James powiódł wzrokiem po sali i

ponownie skosztował wina. Napawając się jego bukietem, przypomniał sobie że jest tu obcy w obcym kraju i szybko musi nauczyć się panujących tu zwyczajów.

Przenosząc wzrok z miejsca na miejsce, nie omieszkał zauważyć, że przynajmniej kilkunastu obecnych przygląda mu się z nie mniejszą uwagą. Westchnął i pomyślał, że na wszystko przyjdzie pora. Nie spodziewał się kłopotów pierwsze_nocy, jaką mieli spędzić w pałacu. Jeśli to jemu polecono, by zamordować Erlanda, zrobiłby to wtedy, kiedy w pałacu będzie więcej gości... tak by efekt zniszczył zupełnie odświętny nastrój. Jubileuszu. Chyba że - dodał w myślach dla porządku - śmierci Erlanda życzy sobie sama imperatorowa. Wybrał delikatnie przyprawiony kawałek melona i położył go sobie na talerzu, po czym podniósłszy do ust, zaczął żuć.

Napawając się smakiem potraw postanowił, że na kilka godzin zapomni o sprawach wagi państwowej. Po kilku jednak minutach przyłapał się na tym, że nadal błądzi wzrokiem po rozległej sali, jakby szukając podpowiedzi, z które strony spodziewać się kolejnego ataku.

180

ROZDZIAŁ 10 - TOWARZYSZ

- Farafra! - rozległ się wrzask obserwatora.

Kapitan rozkazał ustawić żagle na wiatr i statek okrążył przylądek i wpłynął na wody keshkańskiego portu. Stojący przy relingi marynarz zwrócił się do Borrika.

- Zabawimy się dziś wieczorem, prawda, Wariacie?

Borric uśmiechnął się kwaśno. Stojący za nimi kapitan wydał kolejne polecenie:

- Na wanty i szykować się do refowania żagli! Żeglarze pobiegli wykonać komendę.

- Dwa rumby na port! - rozkazał kapitan i Borric zakręcił kołem sterowym, by położyć statek na wskazany kurs. Od chwili, w której postawił stopę na pokładzie Dobrego Podróżnego i przyłączył się do załogi, zdobył zabarwiony z początku niechęcią szacunek kapitana i towarzyszy. Niektóre prace wykonywał dobrze od początku, innych nie pojmował, ale szybko się uczył. Dzięki wyczuciu statku, prądów i wiatrów, jakie posiadał jeszcze w dzieciństwie, kiedy poznawał żeglarstwo pod okiem Amosa Traska, zdobył sobie miejsce za sterem - gdzie kapitan pozwalał stawać oprócz Borrika jedynie dwu innym żeglarzom. Księżę spojrzał ku górze, gdzie po rei biegł Suli, śmigający wśród lin i płócien niczym małpa. Chłopiec tak szybko przywykł do morza, iż można by pomyśleć, że się na nim urodził. W ciągu miesiąca, jaki spędzili na pokładzie Podróżnego, zmężniał i obrósł w mięśnie, które nabrały krzepy dzięki nieustannym ćwiczeniom i obfitości prostego, ale sycącego pożywienia. Wszystko wskazywało na to, że będzie z niego kiedyś chłop na schwał. Księżę nie zdradził towarzyszom swojej tożsamości. Prawdopodobnie i tak niczego by to nie zmieniło. Po szalonym popisie z nożem kapitan i załoga zaczęli go nazywać Wariatem i tak już zostało. Pewien był, że gdyby ogłosił, iż jest księciem Kronodoru, utwierdziłby tym tylko wszystkich w ich opinii. Suli był zaś po prostu chłopcem. Nikt ich nie pytał, co robili na morzu, dryfując w łodzi bliskiej pójścia na dno, jakby wypytywanie o podobne sprawy było napraszaniem się o guza na łbie.

- Do portu wprowadzi nas farafranski pilot - odezwał się stojący za Borrikiem kapitan. - Pioruńska głupota... ale tak rozkazał zarządca portu, musimy więc stanąć na redzie i poczekać. - Rozkazał zrefować żagle i przygotować się do rzucenia kotwicy. - Wariacie.. . tu się rozstaniemy. Za godzinę pojawi się pilot.

Ale do tego czasu wysadzimy cię za burtę i damy łódź, byś dostał się na plażę za miastem. - Borric milczał. Kapitan przez chwilę uważnie wpatrywał się w twarz księcia i wreszcie rzekł z westchnieniem: - Porządny z ciebie chłop, ale kiedy postawiłeś nogę na pokładzie, od razu poznałem, że żaden z ciebie marynarz. Zmrużywszy oczy, ciągnął dalej: -Znasz statek jak ktoś, kto nim dowodzi, a nie jak ten, kto wykonuje rozkazy... i nie masz pojęcia o większości zwykłych marynarskich zajęć. - Gdy to mówił, rozglądał się wokół, pilnie śledząc, czy wszyscy wykonują swe zadania. - Wygląda na to, że spędziłeś sporo czasu na wyżce kapitańskiej i ani chwili pod pokładem w kubryku, jak syn kapitana... - i znizywszy głos, dodał: - albo bogatego człeka właściciela wielu statków.-Borric poruszył kołem, statek lekko odpadł od wiatru, kapitan zaś mówił dalej: - Na twoich dłoniach widać odciski... ale takie, jakich dorabia się człek parający się mieczem i cugłami, nie linami czy sterem. - I znów rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy wszyscy robią to, co do nich należy. - Cóż, Wariacie, o nic nie pytam. Wiem jednak, że pinaka, na której cię znaleźliśmy, była z Durbinu. Nie jesteście pierwszymi, którzy opuszczali to miasto, nie zawracając sobie głowy pożegnaniami. Im dłużej o tym wszystkim myślę, tym mniej zależy mi na poznaniu prawdy. Nie mogę rzec, że byłeś dobrym żeglarzem, ale robiłeś co w twojej mocy, zachowywałeś się godnie i na nic się nie skarżyłeś - a czegoż więcej można od człowieka oczekiwać? Spojrzawszy w górę, przekonał się, że żagle już zwinięto, rozkazał więc rzucić kotwicę. Następnie zabezpieczył pętlą koło, które Borric trzymał nieruchomo, i dokończył: - W zwykłych okolicznościach kazałbym ci zająć się rozładunkiem z resztą ludzi ażby ci się tylek zagrzał - i nie pozwoliłbym zejść z pokładu. dopóki wszystko nie znalazłoby się na swoim

miejscu... ale co _< w twoich oczach mówi mi, że twoim tropem podążają kłopoty...

wolę więc, byś się chyłkiem oddalił. - Raz jeszcze zmierz yli Borrika uważnym spojrzeniem. - Ruszaj pod pokład i zabieraj swoje rzeczy. Wiem, że ograteś chłopców do czysta swoimi karcianymi sztuczkami. Dobrze, że im jeszcze nie zapłaciłem, obyś złupił im i te pieniądze.

Borric wyprężył się jak struna i rzekł: - Dziękuję, kapitanie.

Odwróciwszy się ku trapowi, zjechał po nim na śródokręcie i zawołał

Suliego:

- Hej! Chodź tu na dół... zabierz swoje rzeczy!

Durbiński żebrak zsunął się po olinowaniu i wpadł na Borrika u wejścia do forkasztelu. Weszli razem i zebrali swój lichej mająteczek. Oprócz noża i pasa, Borric

182

wygrał niewielki stosik monet, parę koszul, drugą parę portek i kilka sztuk odzieży dla Suliego. Kiedy wyszli na zewnątrz, natknęli się na kilkunastu stojących kręgiem marynarzy, którzy czekali na pojawienie się farafrkańskiego pilota. Kilku pożegnało się ze zbiegami, kiedy ci opuszczali się za burtę, korzystając ze zwisającej tu drabinki sznurowej. W dole czekała mała kapitańska szalupa i dwu wioślarzy, którzy mieli przewieźć ich na brzeg.

- Wariacie, chłopcze... zaczekajcie - rzekł kapitan, gdy odwrócili się ku drabince. Obaj zawahali się przez chwilę. Kapitan podał im małą sakiewkę. - Macie tu czwartą część normalnej zapłaty. Nie wysadzę człeka na keshkański brzeg bez gotówki. Lepiej, prościej i dużo bardziej miłosiernie byłoby was utopić.

- Wielka jest łaska kapitana - rzekł Suli, biorąc sakwę. Gdy łódź prula fale, kierując się ku brzegowi, Borric zważył sakiewkę w dłoni. Zatknął ją sobie za

pazuchę, obok tej, którą odebrał Salayi. Odetchnąwszy głęboko, zaczął rozważać następne posunięcia. Musi dostać się do stolicy Imperium - teraz już wiedział, że nie pozostało mu nic innego. Tylko jak tego dokonać? Borric postanowił odłożyć te rozmyślenia na czas, gdy poczuje pod stopami ląd.

- Co kapitan miał na myśli, mówiąc, że nie zostawi na keshzańskim brzegu człeka bez grosza przy duszy? - zwrócił się z pytaniem do Suliego.

Zanim chłopiec zdążył otworzyć usta, odpowiedział mu jeden z wioślarzy.

- Wariacie, jeśli trafisz do Kesh bez pieniędzy, to możesz uważać się za trupa.

- Potrząsnął głową, jakby dziwił się ignorancji Borrika. - Mógłbyś być sobie nawet, psiakrew, królem Queg - jeśli nie masz forsy, pozwolą ci zdechnąć na ulicy i bez zmrużenia oka będą przelazić przez trupa i zajmować się swoimi interesami - co najwyżej któryś przeklnie twoją duszę za to, że potknął się o ciało.

- To prawda, panie - wtrącił się Suli. - Keshanie to prawdziwe bydlaki.

Borric wybuchnął śmiechem. - Sam jesteś Keshaninem.

- Nie! - chłopiec splunął przez burtę. - My, Durbińczycy. nie uważamy się za Keshan. .. tak samo jak ludzie pustyni. Zostaliśmy przez nich podbici... płacimy ich podatki, ale nie jesteśmy Keshanami. - Wskazał palcem ku miastu. - Ci też nimi nie są. Nigdy zresztą nie pozwolono nam o tym zapomnieć. Prawdziwych Keshan można spotkać w stołecznym Kesh. Zobaczysz!

- Chłopiec mówi prawdę, Wariacie-dodał gadatliwy wioślarz. - Keshanie to dziwni ludzie. Nie spotkasz ich wielu ani na Smoczym Morzu, ani nigdzie indziej, chyba że w okolicach Głębi Overn. Golą głowy, łażą nago i nie mają nic przeciwko

temu, byś poswawolił z ich kobietami. To szczerza prawda! - drugi żeglarz

chrząknął, jakby tego mu jeszcze nie dowiedziono. Pierwszy tymczasem mówił dalej: -Jeżdżą rydwanami i uważają, że są od nas lepsi. Łatwiej im zabić człowieka, niż splunąć. - Żeglarze pociągnęli potężniej, ponieważ łódź zbliżała się już do linii przyboju. Borric poczuł, że unoszą ich przybrzeżne grzywacze. Pierwszy z marynarzy zwrócił się do swego rozmówcy: - A jeśli któryś z nich cię zabije, sąd po prostu puszcza go wolno. Nawet jeżeli to taki sam pospolitak, jak ty, Wariacie. Bo on ma w żyłach prawdziwą krew.

- To prawda, przyjacielu-dodał drugi z żeglarzy. -Uważaj na błękitnokrwistych. Myślą, że są ponad pospółstwem. Mają też inne poczucie honoru. Gdy wyzwiesz któregoś z nich, stanie do walki albo i nie, zależnie od kaprysu, i honor nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. Ale jeśli uzna, żeś go jakoś uraził, bez pardonu zacznie cię ścigać i zabije, jakbyś był zwierzęciem.

- A gdy będzie trzeba, pójdzie za tobą aż na koniec świata to także fakt... - dodał pierwszy z wioślarzy. Uniesiona na grzbiecie jednego z grzywaczy łódź spłynęła na brzeg. Borric i Suli wyskoczyli do wody, zanurzyli się w niej po pas i pomogli wioślarzom odwrócić szalupę. Potem, kiedy nadpłynęła następna fala, odepchnęli łódź tak, by wioślarze nie musieli się trudzić, walcząc z prądem.

Wychodząc z wody, książę zwrócił się do towarzysza:

- Kesh nie wita mnie tak, jak się tego spodziewałem, ale przynajmniej zostaliśmy przy życiu - a sięgając za pazuchę, dodał: - i mamy środki, by zdobyć żywność... a pościg zostawiliśmy za sobą. - Obejrzał się ku statkowi, wciąż jeszcze czekającemu na pilota. Wiedział, że prędzej czy później jakiś marynarz wygada się i opowie przygodnym znajomkom o człowieku, którego wzięli na pokład nieopodal Durbinu - ci zaś, którzy pracują dla imperialnej sieci wywiadowczej mogą połączyć

ten fakt z jego ucieczką. I łowy zaczęły się od nowa. Nabierając tchu w płuca, odezwał się do chłopca: - Na razie nikt nas nie ściga. - Trzepnąwszy urwisa po plecach, powiedział: - Chodź, przekonajmy się, co to keshkańskie miasto może ofiarować ludziom szukającym solidnego, obfitego i smacznego posiłku!

Suli energicznie przytaknął i przyspieszył kroku.

Podczas gdy Durbin był miastem ciasnym, brudnym i nędznym, Farafra była miastem egzotycznym. I oczywiście ciasnym, brudnym i nędznym. Przebywszy połowę drogi do rynku, Borric zrozumiał, co kapitan chciał rzec, kiedy mówił o trupach. W odległości może dwudziestu kroków od miejskiej bramy, przez którą

184

wkroczyli do miasta, natknęli się na gnijące w słońcu zwłoki. Ucztowały na nich roje brzęczących much, a poszarpany tors wskazywał na to, że w nocy użyły sobie także miejskie psy. Przechodzący obok ludzie nie zwracali na trupa uwagi - tylko niektórzy esteci odwracali wzrok. Borric rozejrzał się dookoła i spytał:

- Czy nie powinna się tym zająć straż miejska?

Suli pilnie rozglądał się na wszystkie strony, nieustannie wypatrując możliwości zarobienia miedziaka lub dwu.

- Jeżeli jakiś kupiec, mający tu nieopodal swój kram, dojdzie do wniosku, że przeszkadza mu to w interesach, zapłaci kilku chłopakom, by przeciągnęli zwłoki do portu i wrzucili do wody odparł obojętnie, jakby mówił o czymś normalnym. - W przeciwnym razie będą tu leżały... aż gdzieś znikną. - Suli jakby założył milcząco, że za znikanie zwłok odpowiada jakaś magiczna agenda.

W odległości kilku stóp od nich przykucnął jakiś jegomość w długich, powłóczyстых szatach. Zaczął wykrzywiać pociesznie twarz, zupełnie nie

zwracając uwagi na przechodniów. Zdumiony Borric ujrzał, jak nieznajomy po chwili wstaje i spokojnie odchodzi, zostawiając po sobie świeży dowód, że nie medytował tu nad sprawami boskimi, tylko zupełnie, ale to zupełnie przyziemnymi.

- O bogowie! -jęknął książę. -Czy nie ma w tym mieście publicznych szaletów?

Suli spojrział zdziwiony na księcia.

- Publicznych? Co za dziwaczny pomysł. Kto miałby je czyścić i opróżniać? I w ogóle po cóż zawracać sobie głowę takimi głupstwami?

- No dobrze, zostawmy ten temat - mruknął książę. Z pewnymi rzeczami trzeba się po prostu pogodzić.

Gdy znaleźli się w strumieniu ludzi krążących pomiędzy miastem i portem, Borrika zdumiała różnorodność mijanych przezeń typów ludzkich. Można tu było usłyszeć najdziwaczniejsze akcenty, gwary, i zobaczyć najróżniejsze stroje. Czegoś takiego młodzieniec nie widział nigdy przedtem. Obok niego przechodziły kobiety pustynnych nomadów, od stóp po czubki głów spowite w błękitne lub brązowe szaty, kilka zaś kroków dalej mijał stepowych myśliwych, którzy przyglądali się wyłożonym towarom, odziani jedynie w skąpe przepaski biodrowe. Godzi się dodać, że mieli jeszcze na sobie mnóstwo ozdób w postaci miedzianych bransolet, naszyjników i kolczyków w rozciągniętych do granic możliwości uszach. Barwne tatuaże prymitywnych łowców zdumiewały księcia równie jak egzotyczny krój szat

185

niektórych kapłanów. Gdzieniegdzie widział kobiety o cerze barwy kawy z mlekiem, od ramion po kolana okryte zwojami barwnej tkaniny i noszące na głowach stożkowe kapelusze z tej samej materii. Z przewieszonych przez ich plecy małych

hamaków na ulicę spoglądały z powagą oczy maleńkich dzieci - jakby berbecie strzegły matczynych pleców. Po ulicy uganiały się zresztą całe chmary smarkaterii w różnym wieku, zajętej na przykład ściganiem psa, który z przerażeniem w oczach gnał jak oszalały przez las ludzkich nóg.

- Ten pies wyrywa tak, jakby ścigał się o życie - zaśmiał się Borric.

- Tak właśnie jest - wzruszył ramionami Suli. - Te dzieciaki są głodne.

Wszystko to Borric przyswajał sobie z najwyższym trudem. Było tego zbyt wiele - i za bardzo różniło się od jego pojęć o świecie. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział setki ludzi idących w jedną albo w drugą stronę -niektórzy gnali na złamanie karku, inni człapali leniwie i powoli, wszyscy jednak zupełnie nie zwracali uwagi na innych. Nad całym tym tłumem i gwarem unosił się zaś wszechpotężny zapach. Była w nim mieszanina smrodu nie mytych ciał, drogich perfum, ekskrementów, egzotycznych przypraw i woni zwierząt - razem zaś uderzała w nozdrza Borrika obcością. Tłum zapchał ulicę i nie sposób było przejść, by nie zderzyć się z kimś innym. Borric cały czas pilnował wetkniętej za pazuchę sakiewki - na razie uznał, że to najbezpieczniejsze miejsce na ukrycie ich skromnego mająteczku. Każdy złodziejasek, który chciałby go okraść, musiałby wetknąć mu łapę za koszulę od przodu - co Borric uznał za niewykonalne. Po pewnym czasie książę poczuł, że ma już dość nowych wrażeń i że musi odetchnąć. Natrafili wreszcie na otwartą piwiarnię, gdzie trunek serwowano na świeżym powietrzu, i książę skinieniem dłoni skierował Suliego do środka. Wewnątrz panował półmrok i przy jednym z odleglejszych stolików dwu tylko mężczyzn rozmawiało cicho, poza nimi jednak nie było żadnych klientów. Borric zamówił pełne dla siebie i jasne dla chłopca, płacąc ze skromnej sumy. jaką wręczył im kapitan - książę wolał nie

wyjmować bez potrzeby drugiej, bardziej pękatej sakiewki. Trunek był przeciętnej jakości, ale po długim okresie przymusowej suszy Borric rad był i z takiego napitku.

- Z drogi! - Wrzask kobiety poprzedził tylko o sekundę łoskot kopyt i kolejne okrzyki, przez które słysząc było trzask bata. Borric i Suli odwrócili się, by zobaczyć przyczynę zamieszania. Przed otwartą piwiarnią rozgrywała się dziwaczna scenka. Para wspaniałych koni zaprzężonych do pięknego rydwanu cofała się, rżąc przeraźliwie, zmuszana do tego przez szarpiącego wodze woźnicę.

186

Powodem całego zajścia był rosty mężczyzna, który stał spokojnie pośrodku drogi. Stojący za woźnicą właściciel rydwanu darł się przeraźliwie:

- Z drogi, cymbale! Zejdź z drogi!

Nieznajomy podszedł spokojnie do koni i krzepkimi dłońmi ujął je za wędzidła. Cmoknąwszy głośno, naparł na konie i te zaczęły się cofać. Woźnica wrzasnął wściekle i strzelił z bata tuż za uchem jednego z koni. Zwierzęta jednak wolały ulec naporowi z przodu niż hałasowi z tyłu. Rydwan zaczął się cofać, mimo wrzasków i siarczystych przekleństw, miotanych pod adresem całego bez wyjątku świata precz woźnicę. Właściciel rydwanu gapił się na wszystko z niedowierzaniem w oczach. Woźnica podniósł bat, by ponownie strzelić, płosząc zwierzęta, osiłek jednak warknął:

- Trzaśnij tylko, a okaże się to najgłupszą rzeczą, jakiej dokonałeś w swoim chyba za długim życiu!

- Zdumiewające! - rzekł szczerze zdziwiony Borric. Zastanawiam się, po co ta cała awantura naszemu rostemu przyjacielowi?

Rosty przyjaciel był chyba najemnikiem, o czym świadczył

jego wygląd i skórzana, nabijana metalowymi ćwiekami zbroja, okrywająca zieloną koszulę i spodnie. Na głowie miał stary, metalowy hełm, któremu bardzo przydałaby się drucziana szczotka i miękka szmatka z oliwą, do grzbietu zaś przytroczył skórzaną pochwę, w której tkwił spory obosieczny miecz lub kord. Zza szerokiego pasa nieznanego wystawały rękojeści dwu morderczo wyglądających kordelasów. Człowiek stojący obok woźnicy rydwanu mierzył najemnika wściekłym spojrzeniem. Był niemal nagi - jeżeli nie liczyć krótkiego kiltu i dość niezwykłego skózanego munsztuku, który służył mu do noszenia broni, a składał się z dwu szerokich pasów przez ramię, zbiegających się na piersiach w literę Y. Tuż pod ręką, zatknięte w specjalny stojak z boku rydwanu, miał lekkie oszczepy, które sterczały prosto w górę, niby maszty okrętu. Z drugiej strony rydwanu przyczepiono luk i kołczan ze strzałami.

- Z drogi, bałwanie! - ryknął pasażer, który z wściekłości zdążył już niemal zsinieć.

- Ten jegomość w rydwanie należy do błękitnokrwistych szepnął Suli. - Jest także członkiem Zakonu Rydwanów. Wygląda też na to, że znalazł się tu przejazdem w sprawach Imperium. Człowiek, który go zatrzymał, jest albo bardzo męzny, albo bardzo głupi.

187

Tymczasem nieznanomy trzymający konie krótko przy pyskach potrząsnął głową i splunął. Napierając na wędzidła, zmusił rydwan do cofnięcia się i zwrotu w prawo - co spowodowało, że tył powozu skręcił ku wystawie sklepiku sprzedawcy glinianych garnków. Ten rozwrzeszczał się okropnie-i cofnął, by nie zostać przejechanym. Nieznajomy z mieczem zatrzymał jednak wóz, zanim ten zniszczył

dobytek sklepikarza. Potem puścił uzdę, schylił się, podniósł coś z ziemi i odszedł na bok.

- Możecie jechać - powiedział.

Woźnica już miał podciąć konie, kiedy stojący obok arystokrata wyrwał mu bicz z dłoni. Jakby przewidując jego reakcję, najemnik okręcił się na pięcie w samą porę, by chwycić świszczący rzemień na skórzaną, szeroką bransoletę, którą miał na lewym nadgarstku. Zacisnąwszy palce na rzemieniu, szarpnął potężnie i arystokrata zachwiał się, omal nie wypadając z rydwanu. Udało mu się jednak odzyskać równowagę i z kolei on pociągnął za biczysko. Najemnik jednak miał już w drugiej dłoni sztylet, którym przeciął rzemień, i jego przeciwnik przechylił się w drugą stronę. Zanim się jakoś pozbierał, pieszy nieznajomy klepnął potężnie w bok jednego z koni i wrzasnął: - Hoooo!!! - aż z pobliskich ścian sypnął się tynk.

Zaskoczony woźnica zaledwie miał czas wczepić się w lejce i zaprzęg runął wzdłuż ulicy, siejąc panikę wśród przechodniów i ulicznych przekupniów.

Wszyscy świadkowie tego wydarzenia zanieśli się śmiechem i tylko

rozwścieczony arystokrata klął tak, że w kachłach zaczęła parować woda.

Wojownik spoglądał przez chwilę w kienmku oddalającego się rydwanu, po czym wszedł do piwiarni u stanął obok Suliego.

- Piwa! -powiedział, kładąc na szynkwasio to, co podniósł z ulicznego kurzu.

Była to mała, miedziana moneta.

- Dałeś się prawie przejechać tylko dlatego, że chciałeś podnieść z ulicy

miedziaka?- Borric z niedowierzaniem potrząsnął głową. Nieznajomy zdjął hełm,

ukazując wilgotne, oblepiające głowę włosy - te, które jeszcze zostały, bo widać

było, że dawno przekroczył czterdziestkę i czubek jego głowy świecił już łysiną.

- Przyjacielu, nie zawsze możesz liczyć na to, że sprawy same się ułożą, jeżeli poczekaś - powiedział wolno z dość dziwnym akcentem, który brzmiał tak, jakby mówiący wypchał sobie wełną policzki. - To pięć luni, więcej niż widziałem w ciągu ostatniego miesiąca.

188

Coś w jego mowie zabrzmiało Borrikowi znajomo. - Pochodzisz z Wysp? - spytał.

Nieznajomy potrząsnął głową.

- Nie, jestem z Langost, to miasto u podnóża Szczytów Spokoju. Moi przodkowie byli jednak Wyspiarzami. Prapradziadek urodził się w Taunton.

Zakładam, że i wy pochodzicie z Wysp?

Borric wzruszył ramionami, jakby ta sprawa w istocie nie miała znaczenia.

- Ostatnio byliśmy w Durbinie - powiedział. - Ale owszem, bywałem i na Wyspach.

- Farafra nie jest rajem, ale zawsze to lepsze miejsce niż ta zapchlona dziura, Durbin. - Nieznajomy wyciągnął rękę. Ghuda Bule, strażnik karawan, ostatnio z Hansule, przedtem z Gwalinu, a jeszcze wcześniej z Ishlany.

Borric serdecznie potrząsnął dłonią pełną odcisków od miecza i lejców.

- Przyjaciele nazywają mnie Wariatem - przedstawił się z uśmiechem. - Ten pędrak to Suli.

Suli uścisnął dłoń najemnika z powagą, z jaką wita się równy z równym.

- Wariat? Z tym imieniem związana jest jakaś historia czy po prostu miałeś złośliwego tatusia?

Borric wybuchnął śmiechem.

- Nie. Zdarzyło mi się palnąć kilka głupstw, nazwano mnie więc Wariatem i tak już zostało. Jesteś strażnikiem karawan? Księżę potrząsnął głową. - Aaa... to stąd wiedziałeś, jak obejść się z tymi końmi?

Najemnik uśmiechnął się lekko, ale w jego oczach zatańczyły iskierki szczerego rozbawienia.

- Właściciele rydwanów i ich woźnice samym swym istnieniem wywołują u mnie wzdęcia. O koniach zaś wiem z pewnością to, że jeżeli ktoś pcha je za pyski w tył, wcale im się to nie podoba... i grzecznie się cofają. Możesz tego spróbować z koniem w zaprzęgu, ale nie radzę ćwiczyć tej sztuczki, jeśli na koniu siedzi jeździec, który ma krzepkie uda i parę ostróg. - Zachichotał. Głupio gadam, prawda?

- I owszem - roześmiał się księżę.

Ghuda wysączył ze swego kufła ostatnie krople piwa i powiedział:

- No dobrze, muszę ruszać do karawanseraju. Kobieta, z którą ostatnio żyłem, wykopała mnie dziś rano z łóżka, kiedy ostatecznie się przekonała, że nie mam zamiaru jej poślubić i znaleźć sobie jakiejś roboty w mieście. Straciłem więc

189

wikt i opierunek, to zaś oznacza, że muszę nająć się do pracy. Zresztą dość mam już Farafrzy i postanowiłem zmienić otoczenie. Musimy się więc pożegnać.

Borric pomyślał chwilkę i powiedział: - Czekażcie, pozwól, że cię ugoszczę.

Ghuda zdjął hełm i ponownie położył go na szynkwasio. - Prosił, prosił... aż wyprosił. Ha!

Borric zamówił następne kufle. Gdy szynkarz postawił je na ladzie, księżę zwrócił się do najemnika:

- Ghuda, muszę jakoś dostać się do stolicy Keshu.

Ghuda rozejrzał się, jakby chciał zobaczyć, gdzie się znajduje. - Najpierw idź w tamtą stronę - rzekł, wskazując wzdłuż ulicy - aż dotrzesz do południowych rubieży Świetlistych Szczytów. To spory łańcuch górski, nie da się go nie zauważyć. Potem skręć w lewo, by je ominąć, i w prawo, gdzie rzeka Same opływa północne stoki Strażników. Z biegiem rzeki podążysz do Głębi Overn. Żyje tam wielu ludzi i tam właśnie znajdziesz Kesh. Nie możesz zablądzić. Jeśli ruszysz od razu, nie powinno ci to zająć więcej niż sześć... no, może osiem tygodni.

- Dzięki za wskazówki - odparł Borric kwaśno. - Ja jednak myślałem o czymś innym. Chciałem zabrać się z jakąś karawaną, która zdąża w tamtą stronę.

- Aha... - Ghuda skinął głową, nie okazując zdziwienia. - I byłoby lepiej, gdyby przemówił za mną ktoś, kto ma już jaką taką reputację.

- Aha... -powtórzył Ghuda. -Chcesz więc, żebym zabrał cię ze sobą do karawanseraju i powiedział jakiemuś poczciwemu i niczego nie podejrzewającemu przewodnikowi, że jesteś moim starym przyjacielem, zawołanym szermierzem i tropicielem, którego - jakoś tak zupełnie od rzeczy - nazywają Wariatem.

Borric zamknął oczy, jakby niespodziewanie rozboleła go głowa.

- Mniej więcej... choć to ostatnie możesz sobie darować.

- Słuchaj, przyjacielu, dziękuję ci za traktament, ale to cię wcale nie upoważnia do żądania, bym narażał swoje dobre imię, wstawiając się za kimś, kto później może je narazić na szwank.

- Czekażże! - zaprotestował Borric. - A kto powiedział, że narazisz swoje dobre imię? Naprawdę jestem dobrym szermierzem!

- A gdzie twój miecz?

Książkę wrzucił ramionami. - To dość długa historia.

- *Nigdy nie bywa inaczej. - Ghuda podniósł hełm i wetknął go sobie krzywo na głowę. - Przykro mi, ale nic z tego.*

190

- *Zapłacę.*

Najemnik ponownie zdjął hełm i położył go na szynkwasie, kiwając jednocześnie do szynkarza, by nalał następną kolejkę. - Nooo... widzę, że zaczynamy się jakoś rozumieć. Dobre imię ma określoną wartość, prawda? Co proponujesz?

- *Ile mógłbyś zarobić podczas podróży stąd do Kesh?*

- *To dość spokojna trasa - zaczął zastanawiać się najemnik. - Ciągłe krążą po niej patrole, zapłata jest więc raczej mizerna od czego w końcu są strażę? Im większa karawana, tym lepsza zapłata. . . W dużej, może dostałbym dziesięć ecu. W małej pięć. Plus, oczywiście, wyżywienie. Może niewielka premia, jeżeli po drodze zdarzyłby się jakiś napadzik i trzeba by było sięgnąć po oręż.*

Borric szybko przeliczył w pamięci i zsumował zdobycz na Salayi i wygrane ze statku.

- *Złożę ci następującą propozycję. Załatw nam trzem miejsce w jakiejś karawanie, a zapłacę ci podwójnie - zauważ przy tym, że nie obchodzi mnie to, co dostaniesz od właścicieli towaru za ochronę.*

- *Czekajże... uściślijmy rzecz dla pewności... Dostajemy się do Kesh i tam oddajecie mi to, co zarobicie po drodze?*

- *Tak.*

- *Nie... - odparł najemnik, podnosząc kufel do gęby. Jaką mam gwarancję, że nie wymkniecie się z gotówką, zanim zdążę ją od was odebrać?*

Nie wierzysz memu słowu? - Borric wyglądał na mocno

urazonego. - Twoje słowo? Synku, dopiero co się poznaliśmy. A co ty

byś sobie pomyślał, gdyby taką propozycję złożył ci ktoś, kto sam siebie

nazywa Wariatem? - I spojrzął znacząco na pusty kufel. Bornic kiwnięciem dłoni

zamówił następną kolejkę.

- No dobrze.. . zapłacę ci połowę przed wyruszeniem, a drugą połowę na

miejscu.

Ghuda miał jeszcze wątpliwości.

- A chłopiec? Nikt nie da się przekonać, że ten smark może pracować jako

członek straży.

Bornic spojrzął na Suliego, który znajdował się w stanie wskazującym aż

nadto wyraźnie, że wypił trzy tęgą piwa.

- Może robić cokolwiek. Wynajmiemy go jako małpę kucharza.

191

Suli tytnął ku nim mętным wzrokiem. - Chukarza...

- Hej, Wariacie... jakby tu spytać, nie okazując nieufności... ale tak między

nami... umiesz trzymać miecz w garści, prawda? - spytał Ghuda.

- Lepiej niż wszyscy, na których się dotąd natknąłem odparł Bornic rzeczowo.

- To przechwałka, a ja pytam poważnie! - Oczy Ghudy błysnęły gniewem.

- Żyję jeszcze, prawda? - uśmiechnął się Bornic.

Ghuda przez chwilę gapił się na księcia, nagle wybuchnął śmiechem i

odchylił głowę w tył. - W istocie, niezła to rekomendacja - powiedział, ocierając

resztki piwa z warg. Wyciągnąwszy zza pasa jeden ze swoich sztyletów, podał go

księciu rękojęścią do przodu. - No, Wariacie... pokaż mi, co potrafisz.

Bornic nagle uchylił się i sparował podstępne pchnięcie, z najwyższym trudem unikając ciosu, który mógłby go zabić. Nie wahając się ani chwili, rąbnął najemnika w łeb tak mocno, jak tylko potrafił. Ghuda potrząsnął głową, by dojsć do siebie, Bornic

zaś pchnął błyskawicznie i najemnik cofnął się, uderzając grzbietem o szynkwas.

- Hola, wy tam! - ryknął oberżysta. - Przestańcie się rozbijać!

Ghuda łypnął okiem na wymierzone weń ostrze.

- Możemy przerwać w każdej chwili, kiedy tylko dasz się przekonać - rzekł książę, który (przypomniawszy sobie nauki Jamesa) zdążył już przybrać klasyczną postawę nożownika nogi lekko rozstawione i ugięte, grzbiet zgarbiony, nóż trzymany w palcach ostrzem skierowany do przodu, lewa ręka zwrócona nadgarstkiem na zewnątrz, jakby trzymała niewidzialną tarczę osłaniającą piersi i krtań. Najemnik znów roześmiał się hałaśliwie. - Dałem się przekonać!

Bornic zręcznie przerzucił sztylet w dłoni, chwycił palcami ostrze i podał oręż Ghudzie.

- Dobrze... ale zanim pójdziemy poszukać pracy, znajźmy pierwej jakiś kram ze śmiercionośnym żelastwem. Nawet jeśli umiesz się bronić, niewiele ci z tego przyjdzie, gdy będziesz bezbronny.

Bornic wetknął dłoń za pazuchę swej workowatej koszuli i wyciągnął sakiewkę. Rzuciwszy parę miedziaków rozjuszonemu szynkarzowi, zwrócił się do chłopca:

- Suli, rusz... - zaczął, ale okazało się, że ten leży na ziemi i głośno chrapie.

Ghuda potrząsnął głową.

- Nielatwo mi zaufać ludziom, co nie potrafią dotrzymać pola tak łagodnemu trunkowi!

Bornic roześmiał się i podniósł pijaniutkiego chłopca na nogi. Zatrząśł nim jak febra chorym i odezwał się rozkazująco:

- Suli, musimy się zbierać!

- Panie... dlaczego wszystko się kręci? - spytał chłopiec, rozglądając się mętnym wzrokiem.

- Zaczekam na zewnątrz, Wariacie. Ty spróbuj orzeźwić jakoś chłopaka - rzekł Ghuda, chwytając hełm. Wyszedł z piwiarni, stanął obok sąsiedniej wystawy jubilerskiej i zaczął oglądać miedziane ozdoby - z piwiarni zaś buchnęły aż pod niebo odgłosy opróżnianego pospiesznie żołądka.

Trzy godziny później dwaj mężczyźni i okropnie blady chłopiec opuściwszy wschodnią bramę miasta, skierowali się do karawanseraju. Było to dość rozległe pole, otoczone z trzech stron rzędami namiotów i drewnianych składzików, położone na wschód od grodu w odległości ćwierci mili. Pośrodku stało niemal trzysta wozów o różnych kształtach i rozmiarach. W powietrzu pełno było kurzu, który unosił się w górę z gruntu ubijanego kopytami setek wielbłądów, wołów i koni.

Suli uginał się pod ciężarem sporego worka, pełnego rzeczy, przy kupnie których uparł się Ghuda. Borric zgadzał się we wszystkim z najemnikiem - sam wybrał tylko uzbrojenie. Miał teraz na sobie starą, ale jeszcze zupełnie dobrą skórzaną kurtkę z takimi spodniami i ochraniaczami na nadgarstki. Nie mogąc znaleźć lekkiego, dobrze leżącego na głowie hełmu, zadowolił się skórzaną taśmą

na czoło z płóciennym pokryciem, która utrzymywała jego włosy w tyle i chroniła oczy przed spływającymi z czoła kroplami potu. Płótno chroniło także kark przed palącymi promieniami keshkańskiego słońca. Z lewego biodra zwisał mu teraz długi, obosieczny miecz, a z prawego morderczo wyglądający puginał. Borric wolałby rapier, te jednak były rzadsze w Farafrie niż w Krondorze i za drogie na jego kieszeń. Zakupy pochłonęły niemal cały zapas monet - a do Keshu było jeszcze bardzo daleko.

Minąwszy zagrody, w których trzymano konie, dotarli do głównej alei karawanseraju, gdzie ustawione w dwa rzędy stały liczne wozy. Pomiędzy nimi przechadzały się tuziny uzbrojonych mężczyzn i kupcy, szukający transportu dla

193

swoich towarów. Na siedzeniu każdego z wozów siedział człowiek, który energicznie werbował najemników.

- Do Kimri! Potrzebuję straży do Kimri! - Następny pokrzykiwał miarowo: - Ghuda! Potrzebna mi straż do Telemanu!

- Trzeci na ich widok zakwilił: - Najwyższa cena! Jutro ruszamy do Hansule!

W połowie alei znaleźli karawanę wyprawiającą się do Keshu. Przewodnik obrzucił wszystkich trzech uważnym spojrzeniem i rzekł:

- Słyszałem o tobie, Ghuda Bule! Mogę wziąć ciebie i twego przyjaciela, ale chłopiec mi niepotrzebny!

Zanim Borric zdążył się odezwać, Ghuda rzekł tonem, który wskazywał na to, iż rzecz nie podlega dyskusji:

- Nigdzie się nie ruszę bez mojego Szczęśliwego Kuchcika! Otyły przewodnik, na którego tysej pale zebrały się już grube krople potu, spojrział na chłopca i spytał:

- Szczęśliwego Kuchcika?

Ghuda skinął głową, jakby sprawa była oczywista. - Nie inaczej!

- A kimże, Panie Dziesięciu Tysięcy Wszy, jest ten Szczęśliwy Kuchcik?

- Kiedy byłem strażnikiem w karawanie Taymusa Riodena, zmierzaliśmy z

Querel do Ashunty. Siedem lat temu, jeśli dobrze pamiętam. Napadli nas wówczas

bandyci. Uderzyli jak grom z jasnego nieba. Nie miałem nawet czasu, by zmówić

modlitwę do Bogini Śmierci. - Wykonał gest odpędzający uroki, podobnie uczynił

przewodnik. - Ale przeżyłem... ja i mój Szczęśliwy Kuchcik. Poza nami nie ocalał

nikt. Od tamtej wyprawy nigdzie się nie ruszam bez mojego Szczęśliwego Kuchcika.

- Ponieważ chłopiec nie ma chyba nawet dwunastu lat, Ojczy Hemoroidów,

musi być rzeczywiście mistrzem w swej robocie, skoro siedem lat temu najęto go

jako kucharza całej karawany!

- Ależ to nie ten! - Ghuda potrząsnął głową, jakby dziwił się głupocie

rozmówcy. - Tamten nie był dobrym kucharzem. Widzisz, kiedy napadli nas

bandyci, kucąłem właśnie nad rozpadliną ze spodniami wokół kostek i najcięższym

przypadkiem biegunki w życiu. Mimo najszczerzych chęci, nie mogłem nawet

wstać i przyłączyć się do walki. Tamci mnie nie znaleźli.

- A jak udało się kucharcowi? - Kucnął kilka stóp ode mnie.

- I co się z nim potem stało? - spytał przewodnik, patrząc na Ghudę z

wyraźną sympatią.

- Poderżnąłem gardło skurczybykowi za to, że prawie mnie otrul.

194

Przewodnik ryknął śmiechem. Kiedy udało mu się opanować wesołość,

Ghuda odezwał się rzeczowo:

- *Chłopiec nie sprawi żadnych kłopotów. Wieczorami może pomagać*

kucharzowi i nie trzeba mu płacić. Zadowolili się pożywieniem, dopóki nie dotrzemy do Keshu.

- *Umowa stoi! - Przewodnik splunął na dłoń i wyciągnął ją do najemnika.*

Ghuda splunął na swoją i obaj uścisnęli sobie ręce. - Przy ognisku zawsze przyda się jakiś dobry łgarz. Przy opowieściach podróż mija szybciej. - Zwracając się do Suliego. powiedział: -Chłopcze, poszukaj kucharza. -Kiwnął kciukiem przez ramię, wskazując wóz stojący pośród tuzina innych. Powiedz mu, że jesteś nową kuchenną małpą.

Suli spojrział pytająco na Borrika, który kiwnięciem głowy nakazał mu posłuszeństwo. Gdy chłopak się oddalił, przewodnik powiedział:

- *Jestem Janos Saber, kupiec ze stołecznego grodu Kesh. Ruszamy o brzasku.*

Ghuda zsunął z ramienia niewielki węzełek z rzeczami osobistymi.

- *Dziś w nocy prześpiemy się pod waszymi wozami.*

- *Zgoda, a teraz zmiatajcie Zanim zapadnie noc, muszę wynająć jeszcze czterech strażników.*

Ghuda i Borric odeszli i szybko legli w cieniu rozłożystego drzewa. Najemnik zdjął hełm i przetarł dłonią spoconą twarz.

- *No, Wariacie, teraz możesz trochę odpocząć. Prawdziwa udręka zacznie się jutro.*

- *Udręka? - spytał Borric.*

- *Jakże inaczej? Dziś jesteśmy po prostu zmęczeni i spoceni.*

Jurto o tej porze będziemy zakurzeni po białka oczu, wściekli, spragnieni, zmęczeni i spoceni.

Borric skrzyżował ramiona na piersi i spróbował poddać się lenistwu.

Wiedział dobrze - ponieważ wbijano mu to w łeb od dzieciństwa - że żołnierz korzysta z wypoczynku przy każdej nadarzającej się okazji. W głowie księcia kłębiły się jednak najróżniejsze myśli. Co dzieje się z Erlandem i jak ułożą się sprawy w Keshu? Wedle jego oceny, brat powinien już tam być. Czy zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo? Uważa Borrika za zabitego czy zaginionego? Westchnął głośno i ułożył się wygodniej. Wkrótce chrapał zdrowo w upale południa, a hałasy

195

szyczącej się do drogi karawany wcale mu w tym nie przeszkadzały - przeciwnie, w szczególny sposób ukołysały go do snu.

196

ROZDZIAŁ 11 - ŁOWY

Lew stał nieruchomo.

Erland z niemalą ciekawością obserwował wielkiego kota, czyhającego na pasące się nieopodal stepowe antylopy. Księżę siedział na koniu, obok niego zaś, również konno, zatrzymali się James, Locklear i syn pustyni, Kafi Abu Harez. Nieco dalej stało kilka rydwanów, które od wieków stanowiły tradycyjnie główną siłę uderzeniową keshkańskiej armii. Dowódca Legionu Imperialnych Rydwanów, lord Jaka, uważnie przyglądał się swemu synowi Diigai, przygotowującemu się do łowów na lwa. Jakby wyciosana z czarnego kamienia twarz starego żołnierza nie wyrażała żadnych uczuć, choć z pewnością niepokoił się konfrontacją czekającą syna. Kafi wskazał miejsce, gdzie lew skrył się wśród traw, i zwrócił się do Erlanda:

- Ten młody samiec nie ma swojej sfory. - Erland nie omieszkał zauważyć, że

młody samiec, o którym mówił emir, jest znacznie roślejszy niż górskie lwy, na które polowano niekiedy w Królestwie. Miał też prawie czarną grzywę, podczas gdy widywane przez Erlanda w ojczyźnie były niemal całkowicie rude. Młody książę patrzył na prawdziwie królewskie zwierzę. - Psotuje samotnie - dodał emir. - Jeżeli przeżyje dzisiejsze łowy, któregoś dnia stanie się tłustym, leniwym jegomościem, dla którego zwierzynę będą łowiły Iwice.

- A przeżyje? - spytał Locklear. Kafi wzruszył ramionami.

- Najpewniej nie. Ale wszystkim rządzą bogowie. Chłopiec nie może zejść z pola, chyba że zostanie okaleczony tak, iż nie będzie w stanie się ruszyć - co dla kogoś z jego sfery i z jego pozycją jest równoznaczne ze śmiercią. Ojciec należy do najbardziej wpływowych ludzi w Imperium, tak więc ogłoszenie chłopca sah-dareenem - nie mającym prawa do łowów - będzie ogromnym wstydem dla całej rodziny, która po czymś takim nie zdoła już utrzymać swej pozycji. Chłopiec będzie musiał porzucić ród i dokonać jakiegoś ogromnie dzielnego - i głupiego - czynu. ale tak czy owak zginie, by odkupić winę.

Lew ruszył z miejsca zwodniczo wolnym truchtem, pochyliwszy głowę i nie spuszczać oka z antylop. Wyłowił już wzrokiem słabszych członków stada - młodego kozła, starego chorego byka i łanię. I wtedy zmienił się wiatr - całe stado, jak jedno zwierzę, podniosło łby i zaczęło węszyć czarnymi nosami: antylopy zwietryły niebezpieczeństwo.

197

Nagle jeden z kozłów śmignął w górę zupełnie nieprawdopodobnym, sześciostopowym skokiem i wszystkie zwierzęta ruszyły kopyta przed siebie. Lew ruszył do przodu i gwałtownie przyspieszając, pomknął za antylopami, dopadając

ostatnich zwierząt Stara, słaba lania kopnęła lwa, który błyskawicznie odskoczył w bok. I przystanął, kompletnie ogłupiały. Antylopy nie powinny robić lwom takich rzeczy! Co jak co, ale to wiedział na pewno.

I nagle chwycił w nozdrza zupełnie nowy zapach. Zrozumiał, że ~o już nie jest jego polowanie - teraz on stał się zwierzyną łowną.

W tej samej chwili Diigai wydał głośny okrzyk, jego woźnica zaś smagnął konie biczem i poderwał rydwan do pościgu. Na ten sygnał ruszyła nagonka.

Erland i jego towarzysze dźgnęli konie ostrogami s pomknęli przed siebie, by nie zostać w tyle za myśliwymi.

Jak podczas bitwy, rydwany rozciągnęły swój szyk, by zamknąć lwu drogę z boków. Powietrze rozdarły okrzyki łowieckie, którymi młodzi Keshanie wzywali swego boga polowań, Guis-wa. W Królestwie uważany za jedno z mrocznych bóstw, Łowca o Czerwonej Paszczy był w Kesh głównym bogiem i patronem keshkańskich myśliwych.

Lew tymczasem rwał przed siebie przez step. Nie mógł tak biec zbyt długo-i nigdzie w zasięgu wzroku nie było dlań kryjówki. Diigai i inni myśliwi na rydwanach mknęli za uciekającym drapieżnikiem. Nagle James szarpnął wodze i wezwał Erlanda; by się zatrzymał. Wyspiarze zwolnili, podobnie uczynił też Abu Harez. - Co się dzieje? - spytał Erland.

- Po prostu pozwólmy, by to całe zamieszanie trochę nas wyprzedziło - wyjaśnił James. - Nie chciałbym, żebyś przypadkowo znalazł się na drodze tej lawiny kopyt.

Erland zamierzał zaprotestować, kiedy nagle dotarło doń prawdziwe znaczenie słów earla. Taka sceneria aż się prosiła o wypadek. Kiwnąwszy głową,

poprowadził konia klusem - na tyle szybko, by zobaczyć, co dzieje się z przodu, ale i na tyle wolno, by nie ryzykować otoczenia przez porwanych zapalem myśliwych.

Rydwany zaczęły zwalniać, dając Diigaiemu szansę dopadnięcia zdobyczy. Gdy Erland i jego grupa zbliżyli się do reszty myśliwych, chłopiec zeskoczył już z powozu i szedł na lwa, uzbrojony w długą włócznię i tarczę z utwardzonej skóry.

- Dość prymitywna to broń, by używać jej do polowania na lwa tych rozmiarów - zauważył Erland. - Dlaczego nie użyje łuku? - To jego próba

198

dojrzałości - wyjaśnił Kafi. - Jako najstarszy syn lorda Jaki jest nie byle jakim młodzieńcem. Błękitnokrwisci do zabijania dojeżdżanej zwierzyny używają co prawda łuku, ale naprawdę wielcy myśliwi - Bimbani - aby móc wkładać na uroczyste okazje lwią grzywę, muszą użyć broni swoich przodków.

Erland kiwnął głową i podciął konia, by podjechać do rydwanu Diigaiego.

Woźnica młodzieńca - sam niewiele starszy, rozglądał się niespokojnie w obawie o losy pana. Młody myśliwy oddalił się już od rydwanu o jakieś pięćdziesiąt loków i był już w połowie drogi do miejsca, gdzie przyczaił się lew. Płowy zwiera przypadł do ziemi, wywiesił jęzor i ciężko dyszał. Łypał też n~ wszystkie strony ślepiami, usiłując odgadnąć, z której stromnad ciągnie zagrożenie. Po chwili przysiadł na tylnych łapach i rozejrzał się dookoła. Nie miał żadnej możliwości ucieczki rydwany otoczyły go ze wszystkich stron. I wtedy dostrzegł zbliżającego się doń samotnego człowieka z włócznią. Powietrze rozdarł ryk wściekłości i strachu. Kilka koni szarpnęło się w tył. woźnice jednak szybko opanowali panikę zwierząt. Erland odwrócił się do Kafiego i zapytał:

- Co będzie, jeżeli Diigai rzuci i chybi?

- Nie rzuci - odparł emir. - To zbyt niebezpieczne. Spróbuje sprowokować lwa do ataku i ustawi włócznię tak, by drapieżnik nadział się na nią podczas skoku. Zabrzmiało to dość sensownie - o ile w tym absurdalnym rytuale w ogóle można się było dopatrzeć jakiegoś sensu. Praktyczni wyspiarze polowali na lwy, niedźwiedzie, wilki i wywerny. które trzebiły bydło. Pomysł, że można polować na stworzenia których nie dało się zjeść, wyłącznie po to, by ozdobić się ich skórami, nie mieścił się Erlandowi w głowie.

Lew zaatakował. Kilkunastu myśliwych stęknęło ze zdziwienia i Erland z towarzyszami pojęli, że zwierzę zachowało się nietypowo. Diigai zawahał się na ułamek sekundy - ale to wystarczyło. by stracił możliwość odparcia drapieżnika. Nie zdążył ustawić włóczni pod właściwym kątem i ostrze ześlizgnęło się po boku zwierzęcia. Nagle wszystko się skłębilo - na szczęście młodzieniec zdołał jakoś schronić się za tarczą, gdy z tumanu kurzu wyłoniła się potężna łapa waląca na odlew. Diigai upadł na plecy, a lew zatopił kły we własnym boku, z którego sterczała dzida. Zwierz czuł tylko ból i smak krwi. Ryknął potężnie, a młody człowiek próbował się cofnąć i skryć za tarczą. Lew zaczął się kręcić w koło gryźć włócznię, aż ta odpadła od jego boku. Diigai odkrył, ku swemu przerażeniu, że od oręża oddzieliła go rozjuszony drapieżnik.

199

- Zginie! - zawołał Erland.

- Nikt nie może się wtrącić - ostrzegł go Kafi. - Musi zabić lwa albo zginąć... i to jego przywilej. - Mieszkaniec pustyni wzruszył ramionami. - Mnie samemu wydaje się to idiotyzmem, ale takie są obyczaje błękitnokrwistych.

Nagle Erland przechylił się w siodle i wysunął stopy ze strzemion.

Sięgnąwszy pod prawe kolano, szybko odpiął ramię wraz ze strzemieniem i ostrogą. Oderwał go od siodła i zdjął też lewą ostrogę tak, by nie zranić konia.

Następnie owinął sobie ramię prawego strzemienia wokół dłoni, zostawiając spory kawał luzem. Zamachnąwszy się mocno, sprawdził wagę prowizorycznej broni jej zasięg.

- Co ty wypra... - zaczął James, zanim jednak dokończył pytanie, Erland rąbnął konia piętami i skierował prosto na młodego myśliwego. Lew przypadł do ziemi i ruszył do ataku, trzymając się nisko przed ostatnim skokiem, nie zdążył jednak runąć na wroga, bo oto nagle pojawił się przed nim nowy przeciwnik.

Erland uniósł swój oręż w górę i potężnie zdzielił drapieżnika w łeb ostrogą. Lew ryknął z bólu, a koń Erlanda instynktownie skoczył w tył. Drapieżnik okręcił się wokół osi i walnął na oślep łapą, koń i jeździec zdążyli się jednak cofnąć. Lew ruszył za -nimi... i przypomniał sobie o poprzednim celu. Młody myśliwy nie zmarnował okazji, którą stworzył mu przybysz z Wysp. Śmignął ku leżącej nieopodal broni, porwał ją i natychmiast odwrócił się ku lwu, opierając koniec włóczni o ziemię.

Erland skierował konia ku towarzyszom, Diigai zaś głośnym okrzykiem zwrócił na siebie uwagę lwa. Młody drapieżnik, ogłupiały z bólu i nadchodzących z różnych stron ataków, ujrzał przed sobą dawny cel i skoczył. Tym razem włócznia została osadzona właściwie i trafiła lwa w sam środek szerokiej piersi. Własny ciężar pchnął drapieżnika prosto na ostrze, które utonęło w jego sercu.

Od strony rydwanów zerwał się gromki okrzyk, młody myśliwy zaś podszedł do miotającego się w przedśmiertnych drgawkach kota. Erland zawrócił konia, ten jednak płoszył się, węsząc zapach krwi. Młody książę miał kłopoty z opanowaniem przerażonego zwierzęcia bez pomocy ostróg, ale jako wyśmienity jeździec, jakim

był, odprowadził w końcu konia truchtem od grupki tryumfujących błękitnokrwistych. I nagle uderzyła go niezwykłość wyczynu, którego właśnie dokonał. Czy odwracając uwagę lwa, nie pogwałcił przypadkiem jakiegoś odwiecznego prawa łowieckiego? Erland spojrział w oczy lorda Jaki, z którym właśnie się mijali. Młody książę szukał we wzroku starego myśliwego oznak

200

potępienia lub aprobaty, ale stary legat żadnym gestem ani spojrzeniem nie zdradził swych uczuć. Do Erlanda, który wreszcie się zatrzymał, by uporządkować uprzęż, podjechał James.

- Zwariowałeś? Co cię podkusiło do tego idiotycznego wyczynu?

- Chłopiec byłby zginął - wyjaśnił Erland. - Potem oczywiście pozostali zabiliby lwa. Teraz mamy tylko jedną ofiarę lwa. Uważam, że tak jest lepiej.

- Gdyby twój koń spłoszył się moment wcześniej, to ty być tam leżał! - James chwycił Erlanda za koszulę i niemal uniósł go z siodła. - Nie jesteś, psiakrew, jakimś tam sobie zwykłym synem bezimiennego szlachetki! Nie jesteś głupim szczeniakiem bogatego kupczyka! Masz być następnym Królem Wysp... na litość boską! Jeżeli jeszcze raz spróbujesz czegoś równie głupiego. osobiście spiorę cię tak, że nie zostanie na tobie nawet kawałeczek skóry wolnej od siniaków!

- Nie zapomniałem! - Erland odepchnął dłoń Jamesa. Wiodąc konia wokół rumaka Jamesa, młody książę zakipiał gniewem nie mniejszym niż wściekłość earla. - Mój earlu, ani przez chwilę nie zapomniałem, kim jestem... Od śmierci brata nie było nawet sekundy, w której bym o tym nie pamiętał! - Nagle Erland dał koniowi ostrogę i zerwał go do galopu w stronę stolicy. James kiwnął dłonią i krondorska straż

ruszyła za księciem. Nie próbowali go zatrzymać, ale nie mogli też zostawić go bez ochrony. Do samotnego teraz Jamesa podjechał Locklear.

- Chłopak wcale nie stara się ułatwić nam zadania, prawda? James potrząsnął głową

- Ja albo ty w jego wieku zachowalibyśmy się tak samo. - Byliśmy aż takimi durniami? - spytał Locklear.

- Wstyd mi to rzec, ale chyba tak. - Locklear rozejrzał się dookoła. - Odcinają trofea, możemy więc chyba wracać do pałacu. A potem, oczywiście, zaproszą nas na kolejną uroczystość.

- Czy ktoś kiedyś powiedział tym poczciwcom, że nie jest grzechem, jeżeli w jednym miejscu i czasie je naraz mniej niż setka ludzi? - skrzywił się Locklear.

- Chyba nie - odpowiedział James, dając koniowi ostrogę. - Jedźmy zaleczyć zranioną dumę naszego księcia.

James spojrział w kierunku Erlanda, otoczonego teraz przez przybocznych.

- Locky, to nie jego duma została zraniona. - Obejrzawszy się ku miejscu, gdzie myśliwi ceremonialnie patroszyli lwa, dodał: - Diigai jest w tym samym wieku

201

co Erland... i Borric. Naszemu księciu brak jego brata. - James westchnął długo i ciężko. Klnie zresztą też. Chodź, musimy się z nim rozmówić.

Obaj ruszyli ku miejscu, gdzie ze stoickim spokojem czekał Kafi Abu Harez.

Mieszkaniec pustyni zawrócił konia i dołączył do wracających ku stolicy krondorskich doradców. Gdy oddalili się już od grupy świętujących łowiecką przewagę Keshan, Locklear spytał:

- Kafi... co takiego właściwie zrobił Erland, wtrącając się do całej sprawy?

- Doprawdy nie umiem odpowiedzieć, milordzie - rzekł młody arystokrata. -

Gdyby młody książę zabił lwa, okryłby Diigaiego hańbą, pokazując światu, że chłopiec nie potrafi polować... i byłby sobie przysporzył potężnego wroga.

Tymczasem on tylko odciągnął uwagę zwierzęcia, pozwalając chłopcu odzyskać oręż i zabić lwa. - Kafi wzruszył ramionami, uśmiechnął się i podciął konia, który ruszył klusem za Jamesem i Locklearem. -Może wszystko rozejdzie się po kościach. Z tymi błękimokrwistymi nigdy nic nie wiadomo.

- Pewien jestem, że nie przyjdzie nam długo czekać na odpowiedź - mruknął James. Do miasta wracali pogrążeni w milczeniu.

Miya siedziała za Erlandem na dnie basenu i rozcierała mu palcami ramiona i kark. Byli sami, ponieważ Erland odesłał resztę służby. Ostatnio często korzystał z usług chętnych aż nadto keshkańskich służących, odkrył jednak, że najbardziej odpowiada mu towarzystwo Miyi. Nie czuł do niej oczywiście niczego, co można by nazwać miłością, w jej towarzystwie jednak mógł się cieszyć swobodą mówienia o tym, co go gryzło, Dziewczyna wiedziała, kiedy zamilknąć, a kiedy zadać właściwe, rozpraszające wątpliwości księcia pytanie. Często się kochali, ale teraz początkowe zafascynowanie nowością i pożądanie przekształciło się w pełne wzajemnego zrozumienia zaspokajanie potrzeb (wcale niemałych!) partnera. Do komnaty weszła inna ze służących i zaanonsowała:

- Wasza Wysokość, przyszedł lord James i prosi o posłuchanie. Erland oparł się pokusie odmowy, wiedział bowiem, że i tak będzie musiał spotkać się dziś zatem. Kiwnął głową i po chwili do komnaty wkroczył James.

Młody arystokrata i były złodziejaszek spojrzali na nagą, siedzącą w wodzie parę, ale nawet jeśli widok ów go zaskoczył, wcale tego nie okazał. Nie pytając o

nic, podał swój płaszcz służącej, która przewiesiła go sobie przez ramię. James tymczasem przeciął komnatę, podszedł ku małemu stolikowi, który stał po przeciwległej stronie basenu, i usiadł na nim wygodnie.

202

- Więc jak? - spytał księcia. - Czujesz się lepiej?

- Nie - odpowiedział Erland. - Nadal jestem wściekły. - Na kogo się wściekasz, Erlandzie?

Młodzieniec umilkł na chwilę, a na jego twarzy wyraźnie widać było gniew i smutek. Po chwili znikły - może pod wpływem pieszczot Miyi, która masowała węzły mięśni na ramionach i karku księcia.

- Myślę, że na cały świat. Na bogów losu i przypadku. Na ciebie... na ojca.

Na wszystkich. - Znów umilkł. - Najbardziej jestem wściekły na Borrika za to, że dał się zabić.

- Wiem - kiwnął głową James. - Czuję to samo. Erland westchnął z rezygnacją i powiedział:

- Myślę, że właśnie dlatego na polowaniu postąpiłem tak a nie inaczej. Nie mogłem po prostu dopuścić do tego, by lew zabił chłopca. Może ten młodzik ma brata. . . -głos mu się załamał i nagle z jego oczu popłynęły łzy. Przez długą chwilę siedział w basenie i oddawał się smutkowi - po raz pierwszy od śmierci brata publicznie okazał żal. James czekał spokojnie, aż książę skończy opłakiwać zaginionego. Sam opłakał Borrika tydzień wcześniej, szukając ukojenia w ramionach żony. Po chwili Erland spojrzał na swego nauczyciela czerwonymi od łez oczami i spytał tylko: - Dlaczego... niech to licho, dlaczego?

James mógł tylko potrząsnąć głową.

- Dlaczego? Jedyne bogowie znają odpowiedź, oni zaś niczego nie wyjaśniają. Przynajmniej nie mnie. - Zanurzył dłoń w wodzie, wyjął ją i przetarł czoło. - Niektóre rzeczy mają-na pozór- jakiś sens, inne nie. Nie umiem odpowiedzieć. - Zamyślił się na chwilę i dodał: - Posłuchaj, nigdy ci tego nie mówiłem. Twojemu ojcu zawdzięczam życie. Ratował mi je kilka razy. Nie wiem, czy istnieje jakiś powód, dla którego Książę Wysp ratował życie drobnemu złodziejaskowi, nie wiem też, jaki los kazał jego synowi ginąć w zasadzce na pustyni... Mogę ci tylko rzec, że nikt nigdy mi nie powiedział, że cokolwiek w życiu musi mieć sens. Tak to już jest... i nic na to nie poradzisz.

Erland oparł się o ciepłe ciało Miyi i dał się ogarnąć fali rozleniwienia.

Westchnął i poczuł, że coś się w nim łamie... a ból, który niczym cierń tkwił w nim od dnia zasadzki na pustyni, rozplywa się w nicość. - Wszystko to jest takie dziwne... powiedział spokojnie. - Właśnie pogodziłem się z myślą, że Borric nie żyje. A jednak...

203

- Cóż takiego? - spytał łagodnie James.

- Nie wiem, jak to powiedzieć. - Erland spojrzał na earla z osobliwym pytaniem w oczach. - Co powinienem czuć? Borric i ja nigdy nie rozstawaliśmy się na dłużej niż na kilka dni. Jeden był jakby częścią drugiego. Myślałem, że kiedy go stracę... albo on mnie... jakoś to odczujemy. Wiesz, o czym mówię?

- Myślę, że tak - odparł James. - Oczywiście mówię to jako ktoś, kto nigdy w życiu nie miał osoby, z którą byłby tak blisko, jak wy dwaj ze sobą. Ale patrzyłem, jak dorastacie... widziałem was podczas zabaw i w walce. Myślę, że wiem, co czujesz.

Erland ponownie ciężko westchnął.

- Sądziłem po prostu, że będzie inaczej. To wszystko. Nie czuję się tak, jakby on był martwy... tylko tak, jakby odjechał gdzieś daleko. - Powieki zaciążyły młodemu księciu i po chwili jego oddech się wyrównał. Młodzieniec zasnął. James skinął na służącą, która trzymała jego szatę.

- Dziś wieczorem znów jemy kolację z Jej Imperatorską Mością. Obudźcie go, kiedy będzie pora.

Miya kiwnęła głową, nie chcąc obudzić śpiącego księcia. Earl przerzucił sobie opończę przez ramię i wyszedł.

Erland właśnie kończył toaletę, kiedy Miya zaanonsowała lorda Jakę. Księżę nie był zdziwiony, ponieważ spodziewał się, że ojciec Diigaiego zechce omówić z nim wypadek na łowach. Skinieniem dłoni kazał wpuścić gościa i po chwili do komnaty wszedł wysoki, stary arystokrata. Miya odeszła na odległość zapewniającą dyskrecję rozmówcom, pozwalającą jej jednak na usłyszenie wezwania Erlanda, gdyby ten potrzebował jej usług. Taka skłonił się przed Erlandem.

- Wasza Księżęca Mość, ufam, że nie zjawiłem się nie w porę. . .

- Nie, milordzie. Właśnie skończyłem się ubierać na wieczorne przyjęcie u imperatorowej.

Jaka wysunął przed siebie obie ręce dłońmi na zewnątrz i pochylił je w geście, który - jak objaśnił emir Erlandowi wcześniej - oznaczał życzenie: „Niechaj strzegą Jej nieba” lub: „Niechaj nieba obdarzą Ją łaskami”. Było to ogólne błogosławieństwo.

- Przybyłem, by porozmawiać z Waszą Księżęcą Mością o tym, co stało się

dziś rano - rzekł stary żołnierz.

204

- Słucham.

Wydawało się, że staremu arystokracie niełatwo powiedzieć to, co zamierzał.

- Jestem myśliwym o znacznej reputacji i... wstydem dla mnie i mojego syna byłoby, gdyby zawiódł dziś rano. Ciężko byłoby mi się pogodzić z taką hańbą. Są tacy, którzy powiedzieliby, że Wasza Księżęca Mość pozbawił mojego syna możliwości zaszczytnej śmierci... albo że jego pierwsza zdobycz została splamiona przez twoją, panie, interwencję.

No cóż, pomyślał Erland. Właściwie czegoś takiego powinienem był się spodziewać.

- A przecież - ciągnął Jaka - ty, panie, tylko odwróciłeś uwagę lwa na czas potrzebny mojemu synowi do odzyskania broni. Erland skinął głową.

- Tak było... Śmiertelny cios zadał on sam i nikt nie może twierdzić, że widział coś innego.

- To prawda. Tak więc, choć żywię mieszane uczucia, gdy mowa o myśliwskiej elegancji w zadaniu ciosu, jako ojciec chłopca, którego darzę głębokim uczuciem, chciałbym podziękować Waszej Księżęcej Mości za to, żeś pozwolił mu stać się mężczyzną.

Erland milczał przez chwilę, niepewny, co rzec. Potem powiedział to, co zdało mu się słuszne dla ocalenia w tych okolicznościach ojcowskiej dumy starego myśliwego.

- Może zdołałby odzyskać włócznię i bez mojej pomocy? Któż to wie?

- Oto jest pytanie - odrzekł stary człowiek. - Lew był młody i zwił się z bólu.

Łowca o większym doświadczeniu byłby odparł jego atak tarczą, uderzając go boleśnie po nosie. Gdyby kot skierował się na tarczę, łowca powinien ją rzucić i podjąć próbę odzyskania włóczni. Uczymy tego młodych myśliwych, ale podnieceni łowcami niekiedy łatwo o tym zapominają. Łatwo zapominają, Mości Księżę. Po chwili dodał: - Wasza Księżęca Mość, muszę już odejść. Zanim jednak to zrobię, wiedz, że mam wobec ciebie dług i chętnie go splacę na każde żądanie.

Erland nie umiał wymyślić niczego, czym mógłby dwornie skwitować tak szczerą ofertę, rzekł więc tylko:

- Dziękujemy za to, żeś zechciał nas odwiedzić, milordzie, i żeś zaszczyił nas swoją obecnością.

205

Dowódca Legionu Imperialnych Rydwanów skłonił się i wyszedł. Erland zaś odwrócił się ku Miyi.

- Oczekuję, że zobaczymy się później.

Dziewczyna podeszła do księcia i zaczęła wygładzać mu tunikę - bardziej z chęci zbliżenia się do miłego niż z rzeczywistej potrzeby.

- Wcześniej, mój księżę, wcześniej -odpowiedziała. -Ja także otrzymałam polecenie, by zjawić się na przyjęciu.

- Jest jakiś szczególny powód?

- Nie... -Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Wszyscy, którzy służą w pałacu, mogą od czasu do czasu skąpać się we wspaniałości imperialnego dworu.

- Dobrze więc... zobaczymy się na przyjęciu.

Skinął dłonią i dwie kobiety otworzyły na oścież drzwi do jego

apartamentów. Na zewnątrz czekali już czterej krondorscy gwardziści w uroczystych strojach. Otoczyli Erlanda i cała piątka w zwartym szyku ruszyła korytarzem ku sali przyjęć. Po drodze dołączyli do nich James, Gamina, Locklear, a na końcu lord Kafi. Gdy dotarli do imperialnej części pałacu, gwardziści się zatrzymali, ponieważ etykieta zabraniała im stawania przed obliczem imperatorowej. Gdy Erland wchodził do sali, powietrze rozdarły hałaśliwe fanfary. Poprowadził swą nieliczną grupkę ku imperatorowej - powinien był też pozdrawić ją pierwszy, jako najwyższy stanowiskiem wśród Krondorczyków. Keshanski mistrz ceremonii zaczął uroczystym głosem wyliczać wszystkie tytuły Księcia, z czego Erland wywnioskował, że tym razem przyjęcie będzie miało formalny charakter. Powstrzymał się od uśmiechu, jaki wzbudziła w nim myśl, że uroczyste przyjęcie od prywatnego różnił jedynie kaprys imperatorowej. W istocie wolałby być teraz w Krondorze i spożywać z Borrikiem skromną kolację gdzieś w kącie kuchni. A zdarzało się to w przeszłości dość często, obaj bowiem, jak mogli, unikali uroczystych posiłków z rodzicami. Dotarłszy do podwyższenia, Erland skłonił się, mistrz ceremonii zaś powiedział:

- O Ty Która Jesteś Keshem, mam zaszczyt przedstawić ci Jego Wysokość, Księcia Erlanda, Dziedzica Tronu Królestwa Wysp i Konetabla Dziedzin Zachodu.

Po tych słowach Erland wyprostował się i rzekł:

- Najjaśniejsza Pani, dziękuję za zaproszenie. Proszę też o pozwolenie przedstawienia... - i tak dalej, i tak dalej. Wedle zwyczaju, musiał przedstawić imperatorowej swoich towarzyszy jak to już był uczynił poprzednio. Zastanawiał

się tylko, czy będzie musiał powtarzać te bzdury za każdym razem, kiedy przyjdzie

mu przed nią stawać. Tymczasem imperatorowa powiedziała:

- Wasza Wysokość miał, jak mi powiedziano, dzień bogaty w przeżycia. -

Erland zaczął na dalszy ciąg, imperatorowa jednak ograniczyła się do

zdawkowego stwierdzenia: - Miło nam, żeś się do nas przyłączył, panie. Zechciej, proszę, zasiąść przy swoim stole.

Gdy Erland i jego towarzysze szli na miejsce, do sali wkroczył książę Awari

w otoczeniu swej świty. Jeden z młodych ludzi, gdy mijał Erlanda, splunął przed

nim na posadzkę. Erland stanął jak wryty, a twarz natychmiast nabiegła mu

krwią. Młodzieniec ruszał, kiedy książę odwrócił się i huknął na całą salę:

- Hej, ty!

Wszystkie oczy zwróciły się na dwu młodych ludzi. Nieznajomy patrzył na

Erlanda spod na poły opuszczonych powiek.

Należał do błękitnokrwistych, był pewnie synem jakiegoś ważnego dostojnika

- co tłumaczyło jego obecność w książęcej świątyni - i miał mocne, smukłe ciało.

Erland wyczuł nieuchronny konflikt i wcale nie miał ochoty go unikać.

- Erlandzie! - syknął mu w ucho James. - Cofnij się natychmiast!

Imperatorowa patrzy!, ostrzegła go tiamina. Erland zerknął ku tronowi,

tymczasem młody arystokrata stanął tuż przed nim. Imperatorowa w istocie

bacznie przyglądała się dwu stojącym przed nią młodzieńcom. Szlachta na

wypródki rzuciła się, by zapobiec sprzeczce, imperatorowa jednak zatrzymała

wszystkich skinieniem dłoni. Najwidoczniej nie zamierzała się wtrącać i uznała, że

spór młodzików ma charakter prywatny. Ba, obserwowała rozwój wydarzeń z

osobliwym rozbawieniem w oczach. Erland pomyślał, że może to być rodzaj próby,

która pozwoli jej określić, z jakim też władcą Królestwa Wysp przyjdzie jej mieć do

czynienia w przyszłości. Jeżeli tak, pomyślał zapalczywy młodzik, to przekonasz się, starucho, że będziesz miała nielichy problem. Tymczasem młodzieniec stojący przed Erlandem wyduł pogardliwie wargi i spytał:

- Czego sobie życzysz, sah-darem?

Wszędzie rozległy się podniecone, choć stłumione szepty. Na tym dworze, ktoś pozbawiony przywileju polowania znaczył mniej niż najlichszy szlachetka i określenie kogoś takim mianem było śmiertelną obrazą. Erland spojrział na księcia Awariego, by zobaczyć, czy ów nie zechce interweniować. Księżę obserwował wszystko z osobliwym zainteresowaniem i uśmiechem na ustach: Wyspiarz

207

zrozumiał, że młodzieniec obraził go na rozkaz Awariego. Zaczerpnął więc tchu, potem skrzyżował dłonie na piersiach, skłonił się grzecznie... i najmocniej jak potrafił, strzelił zuchwalca w pysk. Młodzik zachwiał się i poleciał w tył, zanim jednak zdążył upaść, Erland złapał go za tork i niemal uniósł w powietrze.

- Kto obraża mnie na imperialnym dworze Kesh, obraża

w mojej osobie Króla Wysp. Nie pozwolę, by zniewaga uszła bezkarnie. -

Puścił młodzieńca i pchnął go lekko w tył. Ten się zachwiał, ale zdołał utrzymać się na nogach. - Zostawiam ci, panie, wybór broni.

- Nie wolno ci wziąć udziału w tym pojedynku! - Podniecony James złapał

Erlanda za ramię. - Na tym im właśnie zależy! Tymczasem młody człowiek,

zaskoczony najwyraźniej reakcją Erlanda, wybąkał tylko:

- Nie rozumiem...

- Dostałeś ode mnie w pysk - wyjaśnił uprzejmie Erland. - Masz prawo

wyboru broni, jaką posłużymy się w pojedynku. Na twarzy zuchwalca pojawiło się

wcale nie udawane zdumienie. - *Pojedynek? Po cóż miałbym z tobą walczyć? Z pewnością mnie zabijesz!*

Teraz z kolei zdumiał się Erland. Z kłopotu wybawiła go imperatorowa, która władczym tonem rzekła:

- Lordzie Kilowa!

Zza stołu ustawionego w głębi sali podniósł się mężczyzna w średnim wieku.

- Co Najmiłociwsza Pani rozkaże?

- Twój syn, Kilawo, jest nadętym durniem. W moim domu obraził mojego gościa. Co z nim zrobimy?

Twarz Kilawy pokryła się śmiertelną bladością. Stał jednak prosto.

- Jaka będzie wola Najjaśniejszej Pani? Imperatorowa zawahała się przez chwilę.

- Zgodnie z naszym zwyczajem, powinnam posłać jego głowę księciu

Erlandowi w dzbanie miodu... ale Jego Księżęcej Mości chyba by się to nie spodobało. Obyczaje panów z Wysp są nieco inne. -Znów przerwała, przez chwilę zastanawiała się nad rozwiązaniem problemu, potem zaś rzekła władczo: -

Rasajani! Młodzik, który obraził Erlanda, zgiął się w pokłonie.

- Najjaśniejsza Pani?

- Twój widok nieustannie będzie mi przypominał tę niezręczną sytuację.

Zostajesz wygnany z górnego miasta. Jak długo moje oczy zachowają światłość

208

dnia, nie wolno ci postawić stopy na płaskowyżu. Kiedy udam się do Sal Wieczystej

Urody, ten, kto po mnie wstąpi na tron, może oczywiście okazać łaskę i zezwolić ci

na powrót. Nie oczekuj jednak ode mnie większej łaskowości nie zdobyłabym się i na

taką, gdyby nie fakt, że wielce cenię sobie twego ojca... w moich starych kościołach niewiele już pozostało miłosierdzia. Teraz zaś idź precz!

Gdy Erland wrócił do swego stolika, spytał natychmiast Kańego: - Co się właściwie stało?

Wyglądało na to, że nomada nie bardzo wie, o co go pytają. - Wasza

Wysokość chce wiedzieć...

- Dlaczego, w imię wszystkich demonów, ten szczeniak mnie obraził, jeżeli nie zamierzał się bić? - spytał Erland, siadając.

- Abyś mógł to pojąć, musisz, książę, dowiedzieć się, jak rozumują

błękitnokrwisici - odparł Emir. - Musisz przyjąć do wiadomości, że oni nie są wojownikami. To myśliwi. Wojownicy są dla nich jak psy, które spuszcza się ze smyczy, by dopadły zdobycz. Och... w razie potrzeby potrafią walczyć zajadle i skutecznie, ale nie traktują tego jak honor czy zaszczyt. Umiejętność wytropienia, osaczenia zwierzyny i położenia jej jednym ciosem - oto czyn, jakim chlubią się błękitnokrwisici. Dla młodego Rasajaniego bitka z tobą, Mości Książę, nie miała sensu. Jesteś sprawnym i doświadczonym wojownikiem. Zabiłbyś go tak łatwo, jak dziecko zabija muchę. On o tym wiedział i dlatego walkę z tobą uznał za głupotę.

- Nielatwo to wszystko zrozumieć - odparł Erland, potrząsając głową.

Kafi wzruszył ramionami.

- Oni zaś na przykład nie potrafią pojąć, jak to się dzieje, że niekiedy niegłupi nawet człowiek da się wmanewrować w sytuację, w której musi walczyć z kimś, o kim wie, że jest bieglejszy odeń we władaniu bronią-a wszystko to z powodu honoru. Z ich punktu widzenia jest to demonstracja skłonności do samobójstwa.

Do sali wkroczył orszak księżniczki Sharany, w którym zaraz za księżniczką

szła Miya. Na widok złotoskórej księżniczki, Erland zakrztusił się winem, a gdy opanował atak kaszlu, spytał Kafiego:

- Dlaczego moja służąca idzie w orszaku księżniczki?

- Ponieważ „twoja służąca”, księżę, to w istocie lady Miya, kuzynka księżniczki Sharany - odparł z uśmiechem młody nomada. Erland wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Kuzynka? Księżniczki? Chyba kpisz, mój panie?

209

- Ależ skądże, Wasza Wysokość. Imperatorowa nigdy by się nie zgodziła na to, by usługiwali ci osobnicy niskiego urodzenia lub obcokrajowcy, jak ja. - Słowo obcokrajowcy zostało wymówione z odcieniem goryczy. - Jedyne ludzie z najszlachetniejszego .rodu - dalsi członkowie rodziny panującej - mogą usługiwać imperatorowej i jej gościom. - Wytrzeszcz oczu Erlanda pogłębił się jeszcze, choć emir przed sekundą byłby przysiągł, iż nie jest to możliwe. - Wszystkie bez wyjątku są krew...

- Owszem, mości panowie - odparł Kafi - każda z waszych służących jest szlachetnego rodu - wskazał wszystkich siedzących przy stole. - Rozumie się zaś samo przez się, że . w twoich apartamentach, Wasza Księżęca Mość, usługują wyłącznie krewniaczki imperatorowej.

- Bogowie i demony! - stęknął Erland. - Wychędożyłem przynajmniej połowę księżniczek Imperium!

- Ależ nie, Wasza Księżęca Mość - zaśmiał się Kafi. Z całym szacunkiem dla twych iście nieprzeciętnych osiągnięć, daleki jesteś nawet od zaliczenia dziesiątej ich części. A nawet jeżeli tak by się stało, to co? Błękitnokrwieści mają - jak sam się

zdążyłeś przekonać - nieco inne zapatrywania na sprawy cielesne. Ich kobiety mogą sobie brać kochanków równie swobodnie, jak czynią to mężczyźni. Jest to wynikiem tradycji, która nie odcina od tronu żeńskiej części potomstwa - stąd mieliśmy tyluż imperatorów co imperatorowych.

Wedle zwyczaju księżniczka Sharana i jej orszak byli ostatnimi i księżniczka podeszła, by - również zgodnie ze zwyczajem - spytać o zdrowie swej matki.

Wymieniono zdawkowe uprzejmości i rozpoczęto kolację. Przy stolikach pojawiła się służba i zajęto się jedzeniem. Tam, gdzie siedział Erland, niewiele prowadzono rozmów, ponieważ książę i Locklear nieustannie przyglądali się świcie księżniczki Skarany. Erland nie odrywał wzroku od Skarany i Miyi, Locklear zaś pożerał oczami ich matkę.

Tego samego wieczoru James zaprosił Erlanda, by zechciał towarzyszyć jemu samemu i Gammie w przechadzce po jednym z pałacowych ogrodów.

Zakładając, że owo dziwne żądanie ma swoje przyczyny, książę wyraził zgodę.

Gdy szli do ogrodu, książę usłyszał w głowie głos Gaminy: James prosi, byś rozmawiał za moim pośrednictwem, ponieważ jest pewien, że nawet w tym ogrodzie nas podsłuchują. Głośno zaś powiedziała:

- Nie jest tu tak pięknie, jak w domu, ale ładny to ogród, nieprawdaż?

210

- Zgadzam się całkowicie - odpowiedział Erland.

Dzięki pomocy Gaminy, książę usłyszał teraz Jamesa: Nasz agent w tym pałacu w końcu się ze mną skontaktował. W końcu? Były zatem jakieś kłopoty?

Kłopoty? - W odpowiedzi Jamesa pojawił się nikły odcień wesołości. - Żadnych...

poza tym, że jesteśmy nieustannie obserwowani. Połowa naszej służby to

najpewniej keshkańscy szpiecy - co zresztą niewielu czyni różnicę, bo ci, co nie są zawodowcami, i tak meldują o każdym naszym słowie. Myślę, że stoimy u progu jakiegoś ważnego wydarzenia.

Erland spytał Gaminę, jak minął jej dzień, i zaczęli rozmowę o drobiazgach - potem zaś znaleźli ciekawszy temat, trafili bowiem na wspaniałą fontannę z marmuru: trzy dość zabawnie przedstawione demony uciekały przed nagimi pięknosciami ścigającymi je na rydwanach. Z tylnych części rydwanów tryskała woda, demony zaś bezradnie tłoczyły się w środku basenu. Marmury podświetlono od spodu i efekt był iście zdumiewający.

- Muszę się dowiedzieć, jak osiąga się ten efekt ze światłem - odezwał się książę na głos. - Coś takiego przyda nam się w Krondorze. - Bezgłośnie zaś zapytał: Jak sądzicie, co się szykuje?

Nie jestem jeszcze pewien, odpowiedział James. Do tej pory dowiedziałem się niewiele. Imperatorowa jest osłabiona i to dużo bardziej, niż okazuje to publicznie. Ciągłe o tym plotkują i w pałacu, i w dolnym mieście. Oczekuje się, że na swego następcę i dziedzica wyznaczy księcia Awariego, każdy jednak widzi, iż nad syna przedkłada Sojiane albo i Sharang. Imperatorowa i jej syn nieraz się ze sobą nie zgadzali... bywało nawet, że ze sobą nie rozmawiali.

Powstaje więc kwestia dziedzictwa tronu?

Wszystko na to wskazuje, odparł James. Zwykle tron dostaje się najstarszemu dziecku.

- Piękna noc - odezwał się Erland. A to oznacza Sojiane. Owszem, ale znaczna część szlachty wolałaby na tronie zobaczyć Awariego. Przede wszystkim dlatego, że ostatnio dwa razy z rzędu Keshem władały kobiety, wiele zaś ludów

podległych Imperium zaciekle obstaje przy patriarchacie... ich przedstawiciele obawiają się więc, że trzecia kobieta na tronie utrwali matriarchat. W dawnych czasach już się coś takiego w Keshu zdarzyło. Większość jednak chce zobaczyć księcia na tronie po prostu dlatego, że uważają, iż będzie lepszym władcą. Wielu postrzega Sojiana jako niezbyt wyrazistą indywidualność. Jej ostatni mążnek

211

miął wielkie wpływy w Radzie Lordów i Parów... czymś, co u nas ma chyba swój odpowiednik w Zgromadzeniu Parów. Inni zaś obawiają się jej, ponieważ sądzą, że mogłaby być niebezpieczna. Potrafi manipulować Awarim i innymi do tego stopnia, że nawet jeżeli Awari zostanie okrzyknięty kolejnym imperatorem, ona nadal będzie rządzić w Radzie.

Czy to, co nam tu wyjawileś, da się jakoś powiązać z zamachem na życie mojego brata? Zobaczmy, jakie jeszcze cuda możemy obejrzeć w tym ogrodzie...

- Chętnie - powiedziała Gamina. - Tu jest tak uroczo.

- Nie zatrzymuj nas, kochana - rzekł James. - Obawiam się, że jutro

będziemy mieli ciężki dzień. Zostaniemy oficjalnie przedstawieni całemu dworowi i zaczną się uroczyste obchody Jubileuszu. Po raz pierwszy od dość długiego czasu w jednym miejscu zbiorą się wszyscy wasale Imperium. Musimy zrobić co się da, aby wypaść jak najlepiej.

Jednocześnie do Erlanda dotarły znów myśli Jamesa. Być może wszystko to łączy się jakoś z napaścią na pustyni. Frakcja Awariego jest silna w sercu Imperium, ale Sojiana ma wielu zwolenników w pałacu. Gdyby na północy wybuchła wojna, na którą trzeba by było wysłać Psie Legiony, osłabiłoby to pozycję księcia. Zresztą myślę, że wolałby sam osobiście poprowadzić działania przeciwko

nam. Aber Bukar, Wódz Naczelny, mocno sil już zestarzał. Zgodnie z logiką wybór imperatorowej powinien paść na lorda Jakę, ale Bractwo Konia i kilka innych stronnictw uważają, że Rydwaniarze mają zbyt wielkie wpływy... jest więc mało prawdopodobne, by imperatorowa zaryzykowała otwarty rozłam w siłach zbrojnych. Nie... księżę jest jedyną osobą, za którą opowiedzą się wszyscy bez wyjątku. Poza tym jest jeszcze jeden arystokrata, który chciałby zdominować Radę...

Kto taki?, spytał księżę.

Lord Ravi, Mistrz Bractwa Konia. Nie należy jednak do błękitnokrwistych i choć jego oddziały kawalerii z pewnością mogłyby odegrać kluczową rolę w wojnie z Krondorem, nie cieszą się jednak takim poważaniem jak Rydwaniarze.

Malujesz nam tu dwór jako teren zaciekłych walk i sporów. Może... ale pamiętajcie, że jak długo na tronie spoczywa imperatorowa, wszyscy są jej posłuszni. Jej śmierć może zapoczątkować okres chaosu... albo wojny domową.

Ktokolwiek zamierza wszcząć wojnę z Krondorem, nie chce widocznie czekać na to,

212

aż tron opustoszeje w sposób naturalny. W tej łamigłównie są też części, które nijak mi nie pasują do reszty...

- Cóż, jeżeli jutro czeka nas sporo zajęć, to może wracajmy

powiedział Erland i umilkł. Cała grupka podążyła śladem

księcia do swoich apartamentów.

Większość tego, co nam wiadomo, jest niejasna i niepewna. Możemy tylko mieć nadzieję, że uda nam się jakoś w tym połapać, zanim dojdzie do konfliktu.

Wszyscy bezgłośnie zgodzili się z tym stwierdzeniem.

ROZDZIAŁ 12 – UNIK

Borric wyciągnął rękę przed siebie.

- A cóż to jest, u licha? - spytał Ghuda.

Karawana podążała ubitym traktem z Farafrzy do Keshu, mijając rozległe połacie ziemi uprawnej. Do tej pory podróż przebiegała bez szczególnych wydarzeń.

Teraz jednak oczy podróżników ujrzaly dziwną scenę, rozgrywającą się na północ od traktu. Trzej konni usiłowali pochwycić pieszego - dziwnie odzianego jegomościa w żółtej, luźnej szacie do kolan. Nieznajomy miał ogolony na mnisią modłę łeb, ale jego szata nie przypominała krojem żadnej, noszonej przez znane Borrikowi zakonne bractwa. Wyglądało też na to, że świetnie się bawi, i uciekając jeźdźcom, robił znacznie więcej wrzawy niż jakikolwiek mnich, którego Borric spotkał wcześniej. Gdy tylko któryś z konnych próbował złapać go za szatę, szafranowy dziwak robił unik - najczęściej dając nura pod koński kark - cały czas wydając niesamowicie brzmiące wrzaski i śmiejąc się na całe gardło.

Wszystkiego tego dokonywał ze zdumiewającą swobodą choć w dłoniach trzymał sporą laskę, na plecach zaś dźwigał solidne biesagi, których pas przeciągnął sobie przez piersi. Biegał tu i tam, śmiał się radośnie i bez przerwy bezczelnymi uwagami podsycał wściekłość prześladowców. Obserwujący tę niezwykłą scenkę Ghuda i Borric nie mogli powstrzymać śmiechu. Jeden z jeźdźców odwrócił się ku nim i rozbawienie obserwatorów rozjuszyło go jeszcze bardziej.

Jeździec dobył zza pasa jakąś egzotyczną maczugę i ruszył na rozigranego uciekiniera, usiłując zdzielić go w łeb - ten jednak uchylił się, przetoczył po ziemi i

zanim jeździec zdążył zawrócić konia, zuchwały żółtek ponownie był na nogach i sypał przechwałkami, aż skry leciały. Odwrócił się też tyłem do trójki prześladowców i wypiąwszy zadek, wydał przeciągły dźwięk, wskazujący na jego bezmierną dla nich pogardę.

- Co to za jedni?- spytał Borric pomiędzy jednym i drugim atakiem śmiechu.

- Uciekinier to, sądząc po jego odzieży, jeden z Isalanich. Zamieszkują oni Shing Lai, leżące na południe od Przepaski. Dziwni to ludzie. Tamci trzej zaś to niżowy z Ashunty. Możesz to odgadnąć po sposobie wiązania włosów i

214

ceremonialnej bojowej maczudze, którą ten poczciwiec usiłuje roztrzaskać łeb Isalańczykowi.

Borric istotnie przekonał się, że wszyscy trzej jeźdźcy mieli podobnie ułożone włosy, mimo że mocno różnili się ubiorami jeden miał na sobie portki z kozłej skóry i był bez koszuli, tylko w skórzanej kurtce, drugi wdział nabijany żelaznymi kólkami długi kubrak, pełniący rolę zbroi, trzeci zaś pysznił się kawaleryjskimi wysokimi butami i bogato zdobioną koszulą, na łeb zaś wcisnął kapelusz z pióropuszem. Każdy jednak miał włosy związane z tyłu w węzeł przetykany piórami, z którego opadały długim luźnym kosmykiem aż na grzbiet, i nad uszami każdego widać było dwa inne, krótsze kosmyki.

- O co w tym wszystkim chodzi? Ghuda wzruszył ramionami.

- Tam, gdzie zamieszany jest Isalani, niełatwo cokolwiek orzec. Wszyscy są mistykami, wróżbitami, przepowiadaczami przyszłości i wizjonerami. Można też o nich powiedzieć, że są największą szajką złodziei i oszustów w całym Keshu. Ten czym prawdopodobnie wykorzystał któregoś z tej trójki alt wszystkich trzech.

Jeden z jeźdźców wydał okrzyk wściekłości, dobył miecz i zamachnął się potężnie na uciekiniera. Borric zeskoczył z wozu który jechał powoli po pochyłości drogi, wznoszącej się łagodnie ku podnóżom Świetlistych Szczytów. Janos Saber, przewodu: i starszy karawany, nie forsował koni, utrzymując dość równi mierne, powolne tempo.

- Wariacie, wracaj na swój wóz.! - wrzasnął teraz. - Ni wtrącaj się do tego!

Borric machnął dłonią na znak, że nie zamierza zrobić niczego głupiego, i pospiesznie ruszył ku miejscu dziwacznej gonitwy: wołając z daleka:

- Hola! Co się tu wyrabia?

Dziwacznie wyglądający nieznajomy w żółci nie przerwał; skoków i uników, ale strojniś w kapeluszu odwrócił się i wrzasnął ku nadbiegającemu:

- Trzymaj się z daleka, przybłedo!

- Widzę, przyjacielu, że tracisz cierpliwość, ale wyciągani miecza na

bezbronnego człeka to pewna przesada, nie uważasz? Jeździec zignorował tę

słuszną ze wszech miar uwagę i wydawszy głośny okrzyk, pognął konia na

Isalańczyka. Drugi przypuścił podobny atak z przeciwnej strony, uciekinier zaś dał

nur pomiędzy nich dwu. Pierwszy przechylił się w siodle - i w tej samej chwili

zrozumiał, że podjął błędną decyzję. Isalani przykucnęły błyskawicznie i zatrzymał

się w miejscu, oba konie zaś z impetem wpadły na siebie. Jak to niekiedy bywa z

215

ogierami, jeden natychmiast ugryzł drugiego w kark, na co ten odpowiedzi

wierzgnięciem i pierwszy jeździec znalazł się na ziemi. Klnąc tal że Borric

przystanął, by podziwiać niezwykły kunszt nieznajomego, zrzucony jeździec wstał i

zaczął machać do trzeciego, by uchronić go od podobnego wypadku. Drugi odwrócił

się w sam porę, by zobaczyć opadający na jego głębę koniec łaski Isalańczyka- i można by rzec, że na chwilę zabawa dlań się skończyła. Trzeci z jeźdźców-ten w skórzanej kurtce--nie zawahał się, ale ruszył truchtem ku całej zawierusze, w ostatniej jednak chwili szarpnął konia w bok. Pochyliwszy się w siodle, uniknął zamasytego ciosu pałki, jakim uciekinier spróbował powtórzyć swój niedawny sukces. Nie dał się też nabrać na kolejny unik stojącego z lewej uciekiniera, zebrał się w sobie - i odkrył, że czyjeś krzepkie dłonie, zacisnąwszy się na jego kurtce, porwały go z siodła i cisnęły ku dwu jego dźwigającym się chwiejnie na nogi kompanom.

- Ooo... toś się, bracie, pomylił. .. - rzekł pierwszy z jeźdźców, który zdążył już sięgnąć po swój obosieczny miecz. Na jego twarzy malowała się żądza krwi.

- Być może - odrzekł Borric, szykując się do walki, podczas gdy dwaj pozostali Ashunti również zwrócili się przeciwko niemu. - Pozwól, że ci rzeknę, przyjacielu, iż nie pierwsza to moja pomyłka. Miejmy nadzieję - rzekł ciszej i do siebie - że też i nie ostatnia.

Pierwszy z przeciwników skoczył nań żwawo, usiłując wziąć go z zaskoczenia. Księżę zręcznie uskoczył w bok i uderzył napastnika po udzie - od tyłu, tam gdzie nogi nie chroniła skórzana zbroja. Niefortunny wojownik wrzasnął przeraźliwie i padł na ziemię, niezdolny do dalszej walki. Rana była poważna, ale taka, którą można leczyć.

Drugi i trzeci natychmiast pojęli, że trafili na bieglego w szermierce gracza. Rozdzielili się i człowiek z pióropuszem skoczył w prawo, a posiadacz kurtki w lewo, zmuszając Borrika do walki na dwa fronty. Borric tymczasem zaczął rozmawiać sam ze sobą. Ów jego zwyczaj bawił Erlanda od dzieciństwa.

- Jeżeli mają razem choć uncję mózgu, drań z prawej spróbuje zwodniczego ataku, a naprawdę uderzy przyjemniaczkę z lewej. I nagle narzucił napastnikom swoją taktykę -dobywszy lewą ręką sztyletu (do parowania ciosów), przesunął się nieco i skoczywszy do przodu, odparł atak z boku. Odwrócił się też natychmiast, bo napastnik z prawej spróbował wykorzystać okazję, jaką stwarzał mu nie chroniony grzbiet księcia.

216

Kiedy spróbował zadać cios, Borric okręcił się na pięcie i przyjął cios na sztylet. Natychmiast też nastąpiła riposta i człowiek w ozdobnej koszuli oraz kawaleryjskich butach został poważnie ranny w brzuch.

Napastnik padł, charcząc z bólu, książę zaś odwrócił się szybko, by stawić czoło ostrożnie zbliżającemu się doń ostatniemu z napastników.

- Psiakrew! - zaklął. - Ten się zna na swojej robocie. Borric liczył na to, że napastnik w kurtce popełni ten sam błąd co jego poprzednicy i spróbuje ataku na wprost.

Ostatni ze spieszonych jeźdźców wykazał jednak znacznie więcej rozwagi.

To, co widział do tej pory, upewniło go, iż ma honor z wybornym szermierzem.

Obaj zaczęli się więc okręzać, nie zwracając już uwagi na nic innego.

Doświadczony wojownik, jakim był książę, dostrzegł po chwili pewną prawidłowość w ruchach przeciwnika. - Krok, dostawienie, krok, dostawienie i przekładka nóg - zaczął powtarzać sobie cicho Borric. - No dalej, piękniszu, powtórz. Krok, dostawienie, krok, dostawienie i przekładka. - Borric uśmiechnął się szeroko i kiedy napastnik po raz trzeci robił przekładkę, książę natarł jak błyskawica. Lekkie odślonięcie było wszystkim, czego potrzebował. Uderzył i

zepchnął przeciwnika w tył nawałnicą cięć i pchnięć sztyletem.

Jeździec jednak zdołał utrzymać pozycję i sam przeszedł do natarcia, książę zaś odkrył, iż musi się ostro bronić. Przeklinając los, który dał mu do ręki obosieczny miecz zamiast rapiera, parował jak szalony i ciągle się cofał. - Psiakrew, ten drań jest naprawdę dobry! - sapnął do siebie.

Przez około pięć minut-które Borrikowi zdały się godzinami - obaj wymieniali cios za cios, parując i wychodząc z przeciwpchnięciem. Obaj zaczęli się też obficie pocić, bo walczyli w ostrym słońcu. Borric spróbował każdej kombinacji, jakiej go uczono -po to jedynie, by odkryć, że przeciwnik zna je również.

Nastąpiła chwila przerwy, podczas której obaj dyszeli ciężko i usiłowali złapać drugi oddech. Jedyнным dźwiękiem, jaki teraz im towarzyszył, był szum wiatru wśród wysokich traw i brzęczenie rozochoconych much. W końcu Borric mocno zacisnął dłoń na rękojeści miecza, czując, że zmęczenie powoli zaczyna nad nim panować. Walka doszła do niebezpiecznego punktu, w którym osłabienie mogło - niezależnie od zręczności - stać się przyczyną fatalnego błędu. Pragnąc zakończyć ją jak najszybciej, Borric skoczył przed siebie, zadał cios na głowę i natychmiast ciął płasko w nogi przeciwnika. Choć miał przewagę sztyletu, który

217

pozwalał mu na parowanie uderzeń z lewej, nie potrafił jej wykorzystać i rozstrzygnąć starcia na swoją korzyść.

Szala zwycięstwa przechylała się to w jedną, to w drugą stronę -każdy z przeciwników z powodzeniem odpierał ataki drugiego. Po gołej piersi niżowca spływały strumienie potu, koszula księcia przemokła do cna - co gorsza, rękojeść oręża zaczęła mu się ślizgać w palcach. Obaj dyszeli ciężko, okazało się bowiem

teraz, że najbardziej bezlitosnym przeciwnikiem było dla nich słońce. Wniecony obcasami kurz tłumiał hałas i drapał obu w gardziele -żaden jednak nie potrafił rozstrzygnąć starcia na swoją korzyść. Borric spróbował każdej sztuczki, jakiej się dotąd nauczył, i kilkakrotnie był bliski zranienia przeciwnika. W równie wielu jednak przypadkach o włos uniknął trafienia. W końcu z przerażającą jasnością zrozumiał powagę sytuacji - miał oto przed sobą przeciwnika najbieglejszego ze wszystkich, z jakimi zetknął się do tej pory - może mniej gibkiego niż on sam, ale z pewnością znacznie bardziej odeń doświadczonego.

Przerwali na chwilę, bacznie się obserwując - obaj skuleni, ciężko dyszący i drżący z wyczerpania. Wiedzieli, że ten, kto pierwszy popełni błąd, zapłaci zań życiem. Borric dyszał chrapliwie, usiłując zebrać ostatnie zapasy energii, jaka jeszcze mu została. Utkwił wzrok w przeciwniku, wiedząc, że tamten uczyni to samo. Żaden nie tracił czasu na gadanie - obaj czekali na powrót sił, które miały umożliwić przeprowadzenie ostatniego ataku. Wreszcie nożowiec sapnął głośno, pochylił się ku przodowi, wrzasnął wściekle i zmusił się do skoku. Borric odsunął się w bok, mieczem i sztyletem sparował oburącz cięcie i uniósłszy kolano, uderzył nim napastnika w brzuch. Nożowiec stęknął ciężko, Borric zaś pchnął go w bok, uwalniając swój miecz. Napastnik runął w tył i zwałił się na ziemię z kolejnym jękiem. Borric natychmiast pchnął mieczem w korpus wroga, ten jednak błyskawicznie przetoczył się na bok. Książę zamachnął się po raz drugi - ale coś uderzyło go w piętę i stracił równowagę.

Zanadto zbliżył się do przeciwnika i ten podciął go stopą. Teraz na ziemi znalazł się książę, który przetaczając się z boku na bok, szukał okazji do powstania. Gdy dźwignął się na kolana, stwierdził, że patrzy prosto w mknące ku niemu ostrze

miecza. I nagle znikąd pojawił się drugi miecz, który mocnym ciosem posłał pierwszy w bok. Podniósłszy wzrok, ujrzał na tle nieba ciemną sylwetkę Ghudy, który wtykał pomiędzy nich swój półtoraręczny miecz.

218

- Za pozwoleniem, chłopaki... - odezwał się najemnik. Może byście tak dali sobie spokój, co?

Jeździec podniósł wzrok i stracił ochotę do dalszej walki. Było jasne, że nowy przeciwnik gotów jest do natychmiastowego działania - jeżeli on sam zechce zachować się wojowniczo - a szerokość jego barków i długość miecza wskazywały na to, iż żadną miarą nie wolno go lekceważyć. Borric też wyraził brak ochoty do dalszej bitki - podniósł dłoń i machnął nią w powietrzu. Jeździec cofnął się o kilka kroków i potrząsnął głową.

- Dość! - wychrypiał spieczonym gardłem.

Zza pleców najemnika wychylił się Suli, który szybko podał księciu bukłak z wodą.

- Twoim przyjaciółom potrzebna jest pomoc - odezwał się Ghuda do jeźdźca.

- Jeden z nich silnie broczy krwią i jeśli czegoś się w tej sprawie nie zrobi, gotów wykrwawić się na śmierć. Dobrze będzie, jeżeli zabierzecie go do jakiegoś medyka.

- A ty - zwrócił się do księcia - zobacz lepiej, czy cię nie ma na drodze, gdzie powinieneś zająć się tym, za co ci płacą, zamiast zabawiać się z tymi durniami.

Borric patrzył przez chwilę, jak ostatni z przeciwników zajmuje się swoimi kompanami. Ranny w udo dźwignął się jakoś na nogi i obaj pochyłili się nad tym, który dostał w brzuch.

- A gdzie ten roześmiany idiota? - spytał Borric, ponownie sięgając po wodę.

- Nie mam pojęcia- odparł spokojnie Ghuda. - Straciłem go z oczu, kiedy postanowiłem się wmieszać do waszej zabawy. - Nie mógł przecie zniknąć, prawda?

- Na boga, Wariacie, nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi. Janos Saber mocno się wkurzył, kiedy ot, tak sobie, wtrąciłeś się do sprawy. A gdyby wszystko to miało odwrócić naszą uwagę od ataku, który nastąpiłby z drugiej strony?

Mogłoby się to źle dla nas skończyć. - Wsunąwszy miecz do pochwy na grzbiecie, Ghuda wyciągnął dłoń ku siedzącemu jeszcze na ziemi księciu, a kiedy ten ją ujął, nagle otrzymał cios drugą dłonią odzianą w rękawicę. Uderzenie trafiło go w bok głowy i poślą ponownie na piasek.

- Za co? - spytał Borric, potrząsając głową, w której usłyszał nagle tysiące dzwonów.

Ghuda pomachał pięścią tuż przed jego nosem.

219

- Za to, że niemal dałeś się zabić, ty głupcze! Do kata, musisz nauczyć się odpowiedzialności! Rób to, co do ciebie należy! Mogła to być przecież zasadzka. Może nie?

Borric potrząsnął głową i powiedział ze skruchą: - Owszem... mogła.

Wstał bez niczyjej pomocy, Ghuda zaś kiwnął dłonią i kazał mu iść za sobą.

Gdy znaleźli się na drodze, Borric odezwał się kwaśno: - Dużo bym dał za to, by ludzie zechcieli znaleźć jakiś inny sposób przekazywania mi wiedzy niż walenie w głowę.

Ghuda zignorował tę uwagę, powiedział natomiast:

- Wariacie, za dużo czasu spędziłeś z rapierem, ot co!

- Tak? - spytał ksiączę. - A co właściwie masz mi do zarzucenia?

- Cały czas usiłowałeś nadzieć tamtego jak na rożen, co przy długim mieczu

jest dość kłopotliwe. Niewiele zresztą w ten sposób

osiągniesz, chyba że oprzesz dłoń o jelec i pchniesz z całej siły a jeśli trafisz na

przeciwnika w zbroi, to tylko go rozjuszysz. Gdybyś mnie grzecznie spytał, tobym ci

powiedział, że miałaś przynajmniej kilka szans na ładne cięcia - na przykład w

głowę - których nie wykorzystasteś. Jeżeli zamierzasz jeszcze trochę pożyć, naucz się

lepiej szybko korzystać z całego ostrza, nie tylko z jego czubka, jak ci krondorscy

nadziejacze świń.

Borric skwitował tę tyradę lekkim uśmiechem. Rapier nie był popularną

bronią, dopóki jego ojciec - jeden z najlepszych szermierzy w Królestwie i zaciekły

zwolennik lżejszego orężnie zasiadł na książęcym tronie w Krondorze. Wtedy wszedł

w modę, ale najwidoczniej nie na południu za Doliną Snów.

- Dzięki za uwagę. Zakarbuję ją sobie, gdy będę ćwiczył. - I następnym

razem wybierz sobie przeciwnika, który nie będzie się tak upierał przy tym, by cię

zabić. - Spojrzał wzdłuż drogi, na kurz wzbijany przez oddalające się wozy

karawany i dodał: - Teraz, kiedy zjeżdżają w dół, trzeba będzie stracić połowę

dnia, by ich dopaść. No, dalej!

- Och, nie! - jęknął Borric, zupełnie wyczerpany niedawną walką. Powoli

przywykał już do kesańskich upałów, nadal jednak znosił je gorzej, niż ci, którzy

się tu urodzili. Wypijał mnóstwo wody i soku pomarańczowego - tak samo jak

Ghuda i Suli ale wciąż szybko tracił siły na słońcu. Zastanawiał się, czy byłby w

lepszej kondycji, gdyby nie owo bliskie śmierci osłabienie na pustyni Jal-Pur. Gdy

dotarli do szczytu wzgórza, odkryli, że karawana powoli i miarowo nadal ciągnie

drogą - a na ostatnim z wozów siedzi Isalańczyk, beztrosko wymachujący nogami i żujący pomarańczę. Ghuda pokazał go Borrikowi i rzekł:

- Bystry człowiek, nieprawdaż`?

Najemnik ruszył za karawaną i księżę uczynił podobnie choć nogi i ramiona miał jak z mokrej, wyżętej do cna waty. Po kilku minutach dogonili ostatni wóz i Borric zdołał jakoś wspiąć się na jego tył, Ghuda zaś rozsiadł się obok woźnicy. Suli śmignął do ruchomej kuchni. Borric westchnął tak, aż wydęło się płócienne pokrycie wozu i zaczął przyglądać się człowiekowi, którego uratował z łap trzech nożowców. Prawdę rzekłszy, Isalańczyk nie był tym, kogo określa się mianem dorodnego samca-ot, niewysoki, krzywonogi jegomość o sępich rysach twarzy. Miał dość niezwykłą czaszkę - na którą składały się kąty niemal proste - osadzoną dziwacznie na szczycie chudej szyi, co nadawało mu dość komiczny wygląd. Nad uszami i u nasady karku wyrastały kępki dość rzadkich włosów - ten człek doprawdy niewiele pieniędzy zostawiać musiał u balwietza. Uśmiechał się szeroko do Borrika, patrząc nań wąskimi jak szparki oczami, spoglądającymi z twarzy o złocistym odcieniu - Borric widywał niekiedy takich ludzi w La Mut. Byli to ci, którym w drzewo rodowe niedawno zaplątali się Tsuranni. Mówiąc z powagą, a jednak z jakimś odcieniem wesołości w głosie, nieznajomy spytał:

- Chcesz pomarańczę?

Borric kiwnął głową, przybysz zaś wetknął rękę do worka, który dyndał mu na grzbiecie podczas starcia z trzema jeźdźcami, i rzeczywiście wyjął zeń pomarańczę. Księżę obrał owoc i przyssał się do plasterka, dziwaczny zaś człowieczek podał drugi Ghudzie.

- O co poszło? - spytał najemnik.

Uśmiech nie zniknął z gęby nieznanego, kiedy odpowiadał: - Myśleli, że oszukuję przy kartach. Bardzo się zdenerwowali. - A oszukiwałeś? - spytał Borric.

- Może, ale to doprawdy drobiazg.. . oni zresztą też oszukiwali. Borric kiwnął głową, jakby to wyjaśnienie mu wystarczyło. - Znajomi nazywają mnie Wariatem.

Nieznanomy uśmiechnął się szerzej. - Mnie niekiedy też. Ja sam przedstawiam się jako Nakor, Błękitny Jeździec.

- Błękitny Jeździec? - spytał Ghuda. Odpowiedzi towarzyszyło energiczne kiwnięcie głową.

221

- Swego czasu widywano mnie, jak odziany w błękitne szaty z jedwabiu jeździłem na pięknym czarnym rumaku dobrej krwi. W niektórych miejscach cieszę się dobrą sławą.

- Ale to nie jest jedno z tych miejsc? - spytał Ghuda z fałszywym współczuciem.

- Niestety... nie. Tu jestem prawie nieznan. Wtedy jednak, kiedy wkładam na siebie swój piękny błękit i dosiadam konia, szybko zdobywam sławę, ponieważ niewielu może ze mną równać się urodą.

Borric zmierzył wzrokiem wypłowiałą żółtawą szatę i mruknął: - Dzisiaj jednak nie nosisz błękitu?

- Znów, Niestety, muszę przyznać ci rację, ponieważ tak jest w istocie. Koń mi zdechł-co niezmiernie utrudniło jazdę na nim, błękitną zaś szatę przegrałem w karty z człowiekiem, który oszukiwał lepiej ode mnie.

Księżę wybuchnął śmiechem.

- Cóż, jesteś przynajmniej szczerzy i przyznajesz się do oszustw. Nie tak jak ci, z którymi zwykle mam do czynienia. Nakor również się roześmiał:

- Oszukuję jedynie tych, którzy próbują oszukać mnie. Z tymi, co są wobec mnie uczciwi, i ja postępuję uczciwie. Sęk w tym, że uczciwych rzadko się dziś spotyka.

Borric kiwnął głową, rozbawiony zuchwałą szczerością małego dziwaka.

- A ilu ich spotkałeś ostatnio?

Nakor wzruszył ramionami, co wywołało dwukrotny przechył jego dziwacznej głowy.

- Jak do tej pory, ani jednego. Ale nie tracę nadziei, że gdzieś kiedyś natknę się na takiego oryginała.

Bornic po raz kolejny potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem -

najzabawniejszą rzeczą w tym wszystkim wydała mu się jego własna ochota ratowania tego dziwaka, który najwyraźniej wydał wojnę zdrowemu rozsądkowi z mocnym postanowieniem niezawierania rozejmu.

Z nastaniem nocy wozy ustawiono w krąg wokół ognisk- jak to zawsze

działo się z karawanami. Janos Saber w krótkich i dosadnych słowach bez ogródek powiadomił Borrika, za kogo uważa strażnika, który szuka guza zamiast zajmować

się tym, za co mu płacą, Ghudę zaś wypytał, jakie лихо go podkusiło, by wesprzeć

Borrika w walce. Upiekło się jedynie Suliemu, jako że od chłopców nie oczekuje się,

222

by postępowali mądrze i z rozwagą. Z jakiegoś tajemniczego powodu Ghuda nie był przeciwny temu, że Isalańczyk przyłączył się do karawany - choć dziwak nikogo

nie pytał o zgodę. Borric podejrzewał, że kurdupel zdołał jakoś rozbawić i zyskać

sobie przychylność poważnego i surowego zwykle przewodnika - co jednak sugerowało, że mały spryciarz dysponował magiczną mocą. Chyba że był zawołanym oszustem, na tyle przy tym bezczelnym, by prowadzić swą grę na tyłach wozu, odległego o pięć innych od pojazdu, którym jechała jego ofiara. Borric pomyślał, że aż tak dobry nie był nawet wuj Jimmy. Na wspomnienie Jamesa ponownie uświadomił sobie beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazł. Jak, u licha, miał bezpiecznie dotrzeć do pałacu imperatorowej i przelać earlowi wiadomość o tym, że jednak żyje? W pałacu namiestnika Durbinu odkrył fakty świadczące o tym, że w spisku na jego życie brali czynny udział możni ludzie, zajmujący wysokie stanowiska we władzach Imperium. Pewien też był, że im bliżej pałacu się znajdzie, tym sieci będą gęstsze. Siadając przy ognisku, postanowił, że pomyśli jeszcze o tym podczas podróży. Do wrót pałacu miał jeszcze szmat drogi. Zjadłszy ciepły posiłek, pogrążył się w drzemce, z której obudził go kopniak Ghudy.

- Twoja warta, Wariacie.

Wstał i wraz z dwoma innymi wartownikami zajęli posterunek na obrzeżach obozowiska - każdy miał pieczę nad mniej więcej jedną trzecią obszaru. Wszyscy trzej pod nosem mamrotali klątwy, które nie zmieniły się chyba od czasów, kiedy pierwsi podróżnicy zaczęli puszczać się w drogę karawanami.

- Jeeloge! - wrzasnął Ghuda. Borric uniósł się na ramieniu i zerknął pomiędzy plecami Ghudy i woźnicy, w kierunku, który wskazywał najemnik. Jako dodatkowy strażnik tej części karawany mógł spędzać dni, drzemiąc na zwojach jedwabiu importowanych z Wolnych Miast. Gdy pokonali szczyt kolejnego wzgórza, zza linii horyzontu wyłoniło się miasto. Wyglądało na spore, W Królestwie mogłoby nawet uchodzić za znaczniejszy gród.

Borric jednak przekonał się, że w porównaniu z Keshem, jego ojczyzna była dość rzadko zaludniona. Księżę ponownie pogrążył się w drzemce. W Jeeloge mieli spędzić całą noc i większość woźniców wespół ze strażnikami zamierzała to uczcić tańcami, hulankami i swawolą.

Dzień wcześniej okrążyli wreszcie północną rubież Strażników: łańcucha górskiego, otaczającego od zachodu Głębinę Overn. Teraz wędrowali do stolicy Keshu, posuwając się wzdłuż rzeki Sarn. Nieustannie mijali małe miasteczka i

223

wioski. Borric pojmował już, dlaczego konwojowanie karawany kierującej się w głąb Imperium uważane było za zajęcie o małym stopniu ryzyka. W pobliżu stolicy na drogach w rzeczy samej panował spokój.

- Ciekaw jestem, co się tam wyrabia? - spytał Ghuda. Spojrzawszy ponownie, Borric przekonał się, że nieopodal miasteczka wzdłuż gościńca ustawiła się grupa jeźdźców. Księżę przesunął się na prawo, tak by porozumieć się z najemnikiem, nie budząc podejrzeń woźnicy, i szepnął Ghudzie na ucho:

- Może to mnie szukają...

Odwracając się ku towarzyszowi, stary najemnik wściekle lypnął okiem.

- Zdumiewające, nieprawdaż? Czy nie masz dla mnie jeszcze innych równie ciekawych nowin, o których powinienem wiedzieć, zanim powloką mnie za łeb przed oblicze sędziego? Złość Ghudy wyraźnie przebijała przez szept, kiedy pytał dalej: - O co cię oskarżają?

- O zabójstwo żony namiestnika w Durbinie - szepnął Borric. Jedyłą reakcją Ghudy było zamknięcie oczu i przyłożenie na chwilę kciuka i palca wskazującego do nasady nosa.

- Za co mnie to spotyka? Czym aż tak bardzo rozwścieczyłem bogów? - i

spojrzawszy księciu prosto w oczy, spytał: A zrobiłeś to, Wariacie?

- Co za pomysł, jasne że nie!

Wąskie oczy Ghudy przez chwilę mierzyły Borrika badawczym spojrzeniem.

- Nie zrobiłeś, to jasne. - Potem dodał z westchnieniem: - Możemy stawić

czoło bandzie obszarpanych rzezimieszków, jeżeli pójdzie na noże, ale gdy okaże się,

że mamy sprzeczne interesy, imperialni poszatkują nas niczym indyka na pieczeń w

czasie krótszym, niż potrzebny będzie do opowiedzenia o całej sprawie. Postuchaj:

jeżeli ktoś cię spyta, jesteś moim kuzynem z Odoskoni.

- Gdzie leży Odoskoni? - spytał Borric, gdy wozy toczyły się ku jeźdźcom.

- To mała miejscina w Górach Ukojenia, niedaleko Kampari. Żeby tam trafić,

trzeba pokonać kilka setek mil Zielonych Rubieży i mało kto się na to decyduje.

Niewielkie są szanse, że któryś z tych chłopaków zbliżył się choć na tysiąc mil do tej

dziury.

Pierwszy z wozów zwolnił i zatrzymał się, a gdy inne również zaczęły

zwalniać, Borric, Ghuda i pozostali strażnicy przeskakiwali z kozłów i ruszyli za

przewodnikiem - na wypadek, gdyby się okazało, że domniemani imperialni to

jednak poprzebierani bandyci. Maniery i postawa oficera, który natychmiast

224

ruszył w kierunku przewodnika, wyraźnie wskazywały jednak na to, iż naprawdę

jest on wojskowym z elitarnych oddziałów - widać było, że spodziewa się

natychmiastowego posłuszeństwa. Każdy z członków drużyny miał na sobie

wspaniałą tunikę z czerwonego jedwabiu, głowę zaś krył metalowy hełm z paskiem

futra na obrzeżu - ten oddział pysznił się futrem lamparta. Każdy też miał

włócznie, miecz u boku i łuk na łąku siodła. Borric musiał się zgodzić z oceną Ghudy

- ci ludzie wyglądali na weteranów. Nachyliwszy się do ucha najemnika, spytał szeptem:

- Czy w keshkańskiej armii nie ma nowicjuszy ani rekrutów? - Są, Wariacie - odparł Ghuda również szeptem. - Pełno ich na przykład na cmentarzach.

- Szukamy pary zbiegów z Durbinu - zwrócił się oficer do Janosa Sabera. -- Jeden z nich to młody człowiek w wieku może dwudziestu lat, drugi jest jedenasto - lub dziesięcioletnim chłopcem.

- Panie - odparł Janos - moi ludzie to strażnicy lub wozacy, wszyscy wynajmowani osobiście przeze mnie albo przez ludzi dobrze mi znanych. Jedyne dziecko jest kucharczykiem.

Oficer machnął dłonią, jakby to, co mówił przewodnik, nie miało dlań prawie znaczenia. Ghuda podrapał się po policzku, jakby z rozmysłem, w rzeczywistości zaś po to, by ukryć ruch warg.

- Ciekawe - szepnął do Borrika - że szukają zbiegów właśnie tutaj. Dlaczegoż, u licha, niewolnik uciekający z Durbinu miałby się pchać ku sercu Imperium, zamiast wiać co tchu w stronę przeciwną?

Jeśli nawet Janos skojarzył sobie Borrika i Suliego z parą poszukiwanych zbiegów, nie zdradził się nawet jednym słowem czy gestem. Jeden ze strażników podszedł do Borrika i Ghudy. Obrzucił pobieżnym spojrzeniem najemnika, Borrikowi jednak przyglądał się dłużej.

- Skąd jesteś? - spytał, jak ktoś, kto chce jak najszybciej skończyć z formalnościami, ponieważ - nie znając prawdy zakładał, iż szuka zbiegłego niewolnika. Nie podejrzewał nawet, iż ów niewolnik stoi przed nim wolny i

uzbrojony, jego obowiązkiem jednak było sprawdzić wszystko.

- Trochę stąd, trochę stamtąd - odpowiedział Borric. Urodziłem się w

Odoskoni.

Coś w mowie Borrika albo w sposobie bycia wzbudziło ciekawość żołnierza.

- Mówisz z dziwnym akcentem.

225

- Żołnierzu - odpowiedział natychmiast Borric - mnie twój akcent wydaje się dziwny. Tam, skąd pochodzę, wszyscy mówią tak jak ja.

- Masz zielone oczy.

I nagle zerwał Borrikowi nakrycie głowy, odsłaniając jego czarne włosy.

- Hola! - zachnął się książę. Ostatnią porcję farby zużyli z Sulim kilka dni temu i Borric żywił nadzieję, że czerwone odrosty nie są dość długie, by go zdradzić.

- Kapitanie!- wrzasnął żołnierz.-Ten tu pasuje do opisu! Borrikowi dopiero teraz przyszło do głowy, że choć ci, którzy chcieli go zabić, wiedzieli o jego rudych włosach, opis zbiegłego niewolnika mógł zostać uzupełniony poprawkami tych, co ścigali go po ucieczce z portu. Ależ ze mnie bałwan, pomyślał. Powinienem użyć innej farby. Kapitan zbliżył się do nich wolno i przyjrząwszy się Borrikowi, spytał:

- Jak cię zwą`?

- Wszyscy wołają na mnie Wariat- odpowiedział książę. Oficer podniósł jedną brew.

- Dziwne... skąd to przezwisko?

- Niewielu ludzi opuściło moją wioskę, przedtem zaś znany byłem z tego, że niekiedy robię...

- Głupstwa - dokończył Ghuda. - To mój kuzyn. -- Masz zielone oczy -

zauważył kapitan.

- Jak jego matka - odparł Ghuda.

- Zawsze odpowiadasz za niego? - oficer zwrócił się do Ghudy.

- Kiedy tylko mogę, panie. Jak już mówiłem, on często popełnia głupstwa.

Mieszkańcy Odoskoni nie nazwali go Wariatem bez powodu. - I wykonał małą

pantomimę, pokazując tradycyjnego półgłówka-zrobił zeza i wysunął język w

kąciku ust. Tymczasem zbliżył się do nich drugi żołnierz, popychając przed sobą

trzymanego za kark Suliego.

- Co to za jeden? - spytał oficer.

- Nasz kucharczyk - odpowiedział Janos Saber. - Jak masz na imię, chłopcze?

- zapytał Kapitan. - Suli z Odoskoni - odpowiedział Ghuda.

- Spokój! - rzucił cierpko oficer.

- To mój brat - wtrącił się Bornic. Kapitan niedbałym ruchem uderzył księcia

na odlew dłonią w skórzanej rękawicy.

226

Borrikowi łzy stanęły w oczach, pohamował jednak gwałtowną chętkę

natychmiastowego wyprucia flaków kapitanowi keshkańskich imperialnych

gwardzistów. Ten zaś chwycił Suliego za podbródek i zajrzał mu w oczy.

- Ty jesteś ciemnooki - zauważył.

- Jak... jak moja matka - wybąkał chłopiec. Kapitan spojrzał uważniej na

Ghudę.

- Przed chwilą mówiłeś, że jego matka miała oczy zielone... - Ależ nie - odparł

natychmiast Ghuda. - To jego matka miała zielone oczy - i wskazał na Borrika.

Pokazując zaś Suliego, dodał: - Ten miał matkę ciemnooką. Mieli różne matki, ale

jednego ojca.

Do całej grupki zbliżył się kolejny żołnierz.

- Panie, poza tymi dwoma nikt nie odpowiada opisowi. Żołnierz trzymający chłopaka zapytał:

-Kto jest twoim ojcem? - Suli spojrzała na Borrika, żołnierz jednak szarpnął go ku sobie: - Odpowiadaj!

- Suli z Odoskoni! - kwiknął urwis. - Mam imię po ojcu! Oficer palnął żołnierza przez łeb.

- Idioto! - syknął. - Tamten mógł usłyszeć!

- Kapitanie - zaproponował Borrik. -- Weźcie chłopca na bok i spytajcie go o imię naszego trzeciego brata. - Oficer skinął dłonią, zgadzając się na propozycję, Borrik zaś syknął do Ghudy: - I tak zamierza nas uwięzić!

- To po kiego czorta te wygłupy'? - spytał Ghuda szeptem. - Bo kiedy się upewni, że jesteśmy tymi, za których nas bierze, w następnej minucie będziemy obaj trupami!

- Zabici bez sądu? - spytał Ghuda. Borrik potwierdził skinieniem głowy w tej samej chwili, w której stanął przed nimi oficer. - Któż jest więc waszym mitycznym bratem, wy łgarze? - Mamy jeszcze brata o imieniu Rasta. To straszny pijak odparł Borrik, licząc na to, iż chłopak przypomni sobie zaimprovizowany dialog z dnia, w którym natknęli się w Durbinie na Salayę. Po chwili podszedł do nich żołnierz wypytyujący chłopca.

- Chłopiec powiada, że mają brata Rastę, który jest okropnym pijakiem.

Borric miał ochotę ucałować urwisa, powstrzymał jednak uśmiech. Kapitan rozmyślał chwilę, w końcu zaś rzekł:

- Jest w was coś, co budzi moje podejrzenia. - Obejrzał się przez ramię na czekającego cierpliwie Janosa Sabera. - Możecie jechać, tych dwu zabieram jednak na odwach. - Potem spojrzął na Ghudę i dodał: - Weźcie też i tego.

- Cudownie! - sapnął Ghuda, gdy żołnierze odbierali mu "broń i wiązali nadgarstki. Podobnie skrupowano Borrika i chłopca - pozbawiwszy ich uprzednio oręża - i wkrótce więźniowie powlekli się za jeźdźcami ciągnięci na linach, rozpaczliwie starając się dotrzymać kroku koniom.

W miasteczku Jeeloge był wprowadzie areszt, kiepsko jednak nadawał się do trzymania w nim znaczniejszych więźniów, ponieważ głównie przetrzymywano w nim okolicznych kmiotków, którzy przebrali miarę w picciu albo w bójce rozbili czerep jakiemuś sąsiadowi. Teraz mizerny budynek zajęł energiczny oficer ze swoim oddziałkiem - co stało się powodem kiepskiego humoru miejscowego stróża prawa. Był to stary weteran, któremu brodę przyprószyła już siwizna, nad pasem zaś zwisało obfite brzuszysko - potrafił wprowadzie przywołać do porządku kilku rozochoconych kmiotków, nie dałby sobie jednak rady, gdyby przyszło do spraw poważniejszych. Szybko też pogodził się z losem, zwłaszcza że kapitan wziął na siebie całą odpowiedzialność za więźniów. Borric podслуchał rozmowę oficera z sierżantem, któremu polecił jak najszybsze wysłanie gońca do stolicy z zapytaniem, co zrobić z trzema więźniami. Książę usłyszał tylko część rozmowy, z której jednak pojął, iż rozkazy przyszły z najwyższego dowództwa z pewnymi zastrzeżeniami, których celem było zapobieżenie przekształceniu się poszukiwań w ogólnonarodowe łowy na zbiegów. Borric pomyślał, iż w Keshu, państwie, na które składało się wiele narodów, tego typu operacja mogłaby trwać bardzo długo i w

rezultacie dowiedziałby się o niej może jeden mieszkaniec na stu. Tymczasem minął dzień i zbliżała się noc. Godzinę wcześniej zasnął Suli, pojąwszy, że nadzieja na kolację rozwiła się z odejściem konstabla. Imperialni gwardziści widocznie nie przejmowali się takimi drobiazgami jak głodni więźniowie.

- Hej, wy tam! - rozległ się radosny głos od okna. Suli podskoczył niczym spłoszony konik polny. Wszyscy trzej spojrzeli w górę i zobaczyli uśmiechniętą gębę, gapiącą się na nich -r. okienka pod sklepieniem celi.

- Nakor! - szepnął zdumiony książę. Poprosiwszy gestem Ghudę o pomoc, podciągnął się ku kratom i stanął na ramionach najemnika. -Co ty tu robisz?

- Pomyślałem, że może macie ochotę na pomarańcze uśmiechnął się mały kpiarz. - Więzienne żarcie nie należy do najlepszych.

228

Oszołomiony Borric kiwnął głową, człowieczek zaś podał mu przez kraty soczysty owoc. Książę cisnął go Suliemu, który wgrzył się weń żarłocznie i po chwili wypluł przeżute pestki.

- Nie będziemy się sprzeczać! - mruknął Borric. - Te dranie nawet sobie nie zadały trudu podania nam jakiegokolwiek żarcia! - Nagle coś go zastanowiło. - Jak się tu dostałeś? Okno znajdowało się na wysokości przynajmniej ośmiu stóp, Nakor zaś nie zwisał na kratkach.

- Nieważne. Chcecie stąd wyjść?

- Jest to jedno z najdurniejszych pytań, jakie zadał człowiek człowiekowi w czasie ostatniego tysiąca lat! - stęknął Ghuda, który zaczynał się już lekko chwiać pod ciężarem Borrika. Oczywiście, że chcemy stąd wyjść!

- To cofnijcie się wszyscy do tamtego rogu i zasłońcie sobie oczy - odparł

rozpromieniony jak księżyc w pełni Isalańczyk. Borric zeskoczył z ramion najemnika. Wszyscy przeszli do wskazanego precz kurdupła rogu i zakryli oczy dłońmi. Przez chwilę nic się nie działo, potem Borric poczuł się nagle tak, jakby ogromna, miękka łapa chwyciła go w pól i rzuciła nim o ścianę. Jednocześnie ogłuszył go straszliwy huk. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że w ścianie zionie pustką rozległa dziura, a cela pełna jest kłębow śmierdzącego siarką dymu. Przez kraty zobaczył kilkunastu gwardzistów leżących na ziemi, ogłuszonych najwidoczniej eksplozją, która zburzyła ścianę, Ci, co nie leżeli, chwiejnie opierali się o resztki popękanych murów. Na zewnątrz zaś Nakor stał obok czwórki koni, osiodłanych w typowe imperialne kawaleryjskie siodła.

- Jestem pewien, że nie będą im one potrzebne - powiedział, podając Borrikowi wodze.

- Panie... ja nie umiem jeździć konno-rzekł przestraszony nie na żarty Suli. Ghuda podniósł chłopca z ziemi i wsadził na najbliższe zwierzę.

- To musisz się szybko nauczyć! Jeśli zaczniesz spadać, łap za grzywę i nie puszczaj!

Bornic śmignął na siodło i powiedział ponuro:

- Natychmiast ruszy za nami pościg. Rusza...

- Nic podobnego! - zachichotał Nakor. - Popodcinałem im popręgi i strzemiona. - Wydobył skądś dość paskudnie wyglądający kozik, jakby pragnął

229

uwiarygodnić swoje słowa. -Ale mądrze zrobimy, jeśli się stąd wyniesiemy... bo ci, co usłyszeli hałas, mogą powziąć pewne podejrzenia.

Ponieważ nikt nie podjął dyskusji, ruszyli w skok-choć Suli z najwyższym trudem utrzymywał się w siodle. Gdy oddalili się nieco, Bornic zsiadł z konia i dopasował długość strzemion do nóg chłopaka. Wierzchowiec Suliego, wyczuwszy w nim niedoświadczonego jeźdźca, próbował się go pozbyć - i Bornic mógł tylko żywić nadzieję, że chłopiec przeżyje wszystkie nieuniknione upadki.

Gdy opuścili rozbudzone nagle miasteczko, Bornic spytał Nakora:

- Co to właściwie było'?

- Och...drobna demonstracja magii- odparł uśmiechnięty natręt.

Ghuda szybko zrobił ochronny gest. - Jesteś magiem?

- Oczywiście! - zaśmiał się Nakor. - Nie wiedziałeś, że wszyscy Isalani

potrafią posługiwać magicznymi sztuczkami? - Czy to dzięki magii uniosłeś się do okna więzienia?

spytał Borric. - Uleciałeś w górę, używszy zaklęcia lewitacji? - Nie, Wariacie-

Nako rbawił się coraz lepiej.- Stanąłem na końskim zadzie!

Radując się odzyskaną wolnością, Borric dał koniowi ostrogę i zwierzę

ruszyło klusem. Zaraz też usłyszał z tyłu tupot kopyt innych koni - a wkrótce potem głucho łupnięcie i okrzyk bólu powiedziały mu, że Suli rozstał się z siodłem.

Odwracając się, by zobaczyć, czy chłopiec nie odniósł poważniejszego skaleczenia, księżę mruknął do siebie:

- Może się okazać, że to najwolniejsza ucieczka w całej historii eskapizmu.

230

ROZDZIAŁ 13 – JUBILEUSZ

Erland skinął dłonią, prosząc świętę, by wszyscy ruszyli wolno za nim,

ponieważ mieli jeszcze godzinę do formalnego wejścia na scenę. Obok niego stał

Kafi Abu Harez, wszechobecny przewodnik, który miał odpowiadać na jego pytania.

-- Kafi - spytał Erland, wiedząc, iż tego właśnie pytania się odeń oczekuje - jak długo to budowano?

- Kilka stuleci, wasza Księżęca Mość - odpowiedział emir. Wskazał odległe miejsce, w pobliżu podstawy gigantycznego klina, który został wycięty w płaskowyżu. - Tam właśnie zaczęto, kiedy dawno temu imperator Sujinrani Kanafi, zwany Dobrotliwym, postanowił, że trzeba coś zrobić z zakazem przebywania na płaskowyżu, dotyczącym wszystkich niebłękitnokrwistych i pozbawiającym sporą część jego poddanych możliwości podziwiania państwowych ceremonii - podczas których wstawiał się dobrotliwością-i publicznych egzekucji zdrajców, które utrwalaty jego wizerunek jako Ojca Sprawiedliwości. Czuł też, że najlepiej wbija się do głowy lekcja oglądana osobiście. Wydał więc dekret, na mocy którego ów jar - i jego dno - stał się w rzeczywistości częścią górnego miasta. W skale wycięto niewielki amfiteatr, wyższy może o tuzin stóp od późniejszego. Następną uwagę emir podkreślił szerokim gestem dłoni. W skale zaś wycięto szeroki klin, tak aby dwór mogli podziwiać i ci, którym wzbroniono wstępu do górnego miasta.

- Od tamtych czasów musiano go powiększać przynajmniej kilkakrotnie - zauważył Locklear.

- Owszem - odparł Kafi. - Przy pięciu różnych okazjach powiększono na przykład samo wejście. Łożę imperialną trzy razy przenoszono z miejsca na miejsce

- wskazał punkt, nad którym zwisały wspinały jedwabny baldachim, pośrodku kamiennego, schodkowego podwyższenia, ku któremu zbliżali się Erland i reszta świty. - Ta Która Jest Keshem, Oby Żyła Wiecznie, osobiście bierze udział w

większości ceremonii. I Va małym podwyższeniu stanie złoty tron, na którym spocznie pana Sama, wokół zaś rozłożą się wygodnie pozostali członkowie królewskiej rodziny. Do tego miejsca wolno ubliżyć się jedynie najwyższej arystokracji. Bez pisemnej zgody samej imperatorowej nikt nie może tam wejść pod groźbą natychmiastowej śmierci, ponieważ każdego wejścia strzegą Jej Izmxlisi.

231

Wskazując na rzędy łóż ~ każdy ustawiony nieco niżej niż bliższy tronu - dodał z przekąsem:

- Najbliżej imperatorowej siedzą najwyżej urodzeni w Imperium - ci, z których składa się Rada Lordów i Panów. Gestem dłoni wskazał na cały poziom po którym kroczyli obecnie.

- Emirze... tylko na tyrs poziomie może się zmieścić pięć, sześć, tysięcy ludzi - zauważył Erland.

- Może i więcej ~- zgodził się Kafi, - Ten poziom przekształca się w rodzaj rampy, schodzi niżej i obejmuje łukami dno - jak ramiona otaczające ciało.

Przeciwległe końce są o sto stóp niżej od tronu imperatorowej. Chodźcie, pokażę wam coś jeszcze.

Emir - który na tę uroczystą okazję włożył szaty koloru olśniewającej bieli i najczystsze błękitu - powiódł ich wzdłuż barierki oddzielającej Mijali ich arystokracji, którzy dostąpili zaszczytu prezentacji już wcześniej i naprawdę tylko nieliczni zatrzymywali się, by wymienić ukłony z Księciem Wysp. Erland zauważył, że W przejściu za lożami znajdują się wyloty kilkunastu korytarzy Wnikających w głąb góry.

- Chyba wszystkie nie zaczynają się w pałacu? - Jakżeby inaczej`?

- Myślałem, że względy bezpieczeństwa imperatorów przeważą nad wygodą szlachty, która przecież nie korzysta z tych przejść częściej niż raz lub dwa w rok⁴.

Te tunele po prostu zapraszają każdego najeźdźcę wprost do pałacu.

- Przyjacielu - emir filozoficznie wzruszył ramionami problem jest czysto akademicki. Musis² zrozumieć, że jeżeli najeźdźcom trafi się okazja szturmować tunele, będzie to oznaczało, iż trzymają już dolne miasto, to zaś może nastąpić jedynie po bezprzykładnej klęsce całego Imperium. Jesteśmy w samym jego sercu i pierwszej padną setki tysięcy legionistów, zanim wróg zbliży się do tego miasta na odległość wzroku.

Erland przez chwilę rozmyślał nad tym, co usłyszał, i wreszcie kiwnął głową.

- Chyba masz rację. Ale jako przedstawiciele narodu zrodzonego na wyspie otoczonej morzami, po których pływają statki kilkudziesięciu bander, spoglądamy na sprawy trochę inaczej.

- Ależ rozumiem - zapewnił go emir. Wskazał palcem rejon pomiędzy obniżającymi się łozami i posadzką amfiteatru. Kamienne zbocze pocięto tam w opadające coraz niżej, współśrodkowe kręgi, tak że utworzyły ogromną widownię.

232

Tuziny przejść wiodły z dołu do poziomu znajdującego się tuż pod łozami i rzędy twardej ław wypełniały się już barwnie odzianymi obywatelami. - Tam, na poduszkach albo wprost na kamieniu, zasiadają przedstawiciele pomniejszej szlachty, starszyzna cechów i wpływowi kupcy. Środek zarezerwowany jest dla gości zaproszonych przez imperatorową.

- Wasza Wysokość wejdiesz tam po całej szlachcie i przed pospólstwem-jak wszyscy ambasadorowie. Imperatorowa uhonorowała was, zarządzając, że macie

wejść przed wszystkimi innymi delegacjami. Przyznała tym samym, że Królestwo

Wysp ustępuje potęgą i majestatem jedynie Wielkiemu Keshowi.

Erland i James uśmiechami skwitowali ten nieco naciągany komplement.

- Jesteśmy oszołomieni łaskawością Jej Imperatorskiej ludzie tłoczyli się na dachach, balkonach i w każdym wyżej położonym oknie. Myśl o tym, że tak ogromny tłum może zebrać się w jednym miejscu, zapierała dech w piersiach.

Idąca w milczeniu za małżonkiem tiamina wtrąciła nagle:

- Nie sądzę, by widzieli zbyt wiele. Kafi Abu Harez potrząsnął głową.

- Może i masz rację, pani, ale przedtem, zanim Sujinrani Kanafi podjął swą wiekopomną decyzję, nie widzieli w ogóle niczego.

- Dostojny emirze - odezwał się Locklear - zanim ruszymy dalej, czy nie zechciałbyś rzucić okiem na treść mowy, jaką zamierza wygłosić dziś mój książe, tak żeby mimo woli nie została popełniona jakaś niezręczność?

Kafi oczywiście domyślił się prawdziwej przyczyny tej prośby - chodziło o to, by Krondorczycy mogli choć przez chwilę pozostać sami - ale ponieważ nie mógł napędce znaleźć istotnego wykrętu, pozwolił Locklearowi odprowadzić się na bok, zostawiając tiaminę, Erlanda i Jamesa we względnym odosobnieniu. W pobliżu stało kilkunastu keshahńskich gwardzistów, którzy zajmowali się przygotowaniami do uroczystości. Przynajmniej paru z nich to imperialni agenci, pomyślał Erland, patrząc na Jamesa.

- No i jak?

James odwrócił się, oparł o marmurową balustradę i spojrzał w dół.

- tiamino?

Młoda kobieta zamknęła oczy i Erland usłyszał w głowie jej głos: Jesteśmy

Jeżeli nawet emir wyczuł sarkazm Krondorczyków, nie dał Księżę z trudem zapanował nad nagłą chęcią rozejrzenia się tego po sobie poznać. Jak gdyby nigdy nic ciągnął dalej: dookoła. Tegośmy się ,spodziewali, prawda?

- Ludzie z gminu mogą obserwować uroczystości od wejścia śledzą nas za pomocą magii.

Wejścia, z dachów i wielu innych wynioślejszych miejsc. Erland z trudem powstrzymał się od sypnięcia przekleństwa Erland spojrział ku dolnemu miastu, gdzie dziesiątki tysięcy mi. Czy w ten sposób mogą nas też podsłuchiwać?

pospólstwa napierało na szeregi żołnierzy. Nieopodal amfiteatru ~ -

Wspaniały widok-usłyszeli głos Jamesa. W myślach zaś powiedział: Gotów jestem ,się założyć, że nie, bobyś to wyczuło. I nie sądzę, żeby w najbliższym czasie miano rozluźnić obserwację naszej delegacji. Musimy więc po prostu przyjąć, że jest tak, jak. mówię.

Owszem, odpowiedziała tiamina. Nie zdawała sobie nawet ,sprawy z istnienia tej magii, dopóki o niej nie pomyślałam. Ktoś, kto to robi, jest bardzo delikatny - i zręczny. Myślę, że mogą nas widzieć i słyszeć, co mówimy - ale wyczułabym chyba, gdyby podsłuchiwali nasze myśli.

Na chwilę zamknęła oczy, jakby usiłowała przeciwstawić się słabości wywołanej upałem. Nie sądzę> by robił to ktoś obdarzony umysłem... wyczułabym bowiem zamiar i cel.

Nie rozumiem, przyznał Erland.

Myślę, że znaleźliśmy się w polu widzenia jakiegoś urządzenia. Może to

kryształ lub zwierciadło. Kiedyś mój ojciec posługiwał się podobnymi przyrządami w swoich badaniach. Jeśli tak, to znaczy, że ktoś nas obserwuje i podsłuchuje - a ci, to robią, mogą zatrudnić ludzi biegłych w czytaniu z ruchu warg. Pewna jednak jestem, że nasze myśli są przed nimi zakryte.

Doskonale, stwierdził James. Wreszcie dostałem wiadomości od naszych agentów. Sam diabeł nie spisałby się lepiej przy dostarczaniu mi tych informacji.

- Zastanawiam się, jak długo każą nam stać podczas tych ceremonii! - spytała tiamina.

- 0... przynajmniej kilka godzin - zapewnił ją James. Erlandowi zaś przekazał: Wpadliśmy w sam środek kotła, pod który ktoś podkłada drewno, i wszystko wskazuje na to, że wkrótce się w nim zagotuje, a miło. Nasi agenci

234

domyślają się, że szykuje się przewrót pałacowy... i ktoś zamierza obalić imperatorową.

Księżę ziewnął, jakby wszystko to zaczęło go potężnie nudzić. - Mam nadzieję, że uda mi się nie zasnąć. Ale po co komu wojna pomiędzy Królestwem i Imperium?

Ba... gdybyśmy to wiedzieli, potrafilibyśmy odgadnąć; kto stoi za spiskiem. Erlandzie, mam złe przeczucia.

A to czemu?

Do istniejących już zagrożeń dochodzi jeszcze jedno-dziś po południu zjawi się w mieście mnóstwo żołnierzy. Każdy z lennych władców sprowadzi swą własną straż honorową- co oznacza, że podczas najbliższych dwu miesięcy w murach Keshu będzie się tłoczyło tysiące zbrojnych, nie podlegających formalnie

imperatorowej. '

Piękna perspektywa, odpowiedział Erland. - Może powinniśmy odpocząć, zanim zaczną się ceremonie?

- Owszem... - rzekł James. - To chyba najlepsze, co możemy teraz zrobić.

A ja... spytała tiamina. Co ja mam robić?

To samo, inni, odpowiedział jej małżonek. Czekać i zachować czujność.

Wraca Kafi, zauważyła tiamina.

- Wasza Wysokość, twoje spostrzeżenia są podwójnie cenne, z powodu ich szczerości i trafności - rzekł emir. - Obawiam się, że po dzisiejszych ceremoniach osądzisz może, iż zwięzłość mowy nie należy do cnót, jakimi mogą pochwalić się Keshanie. - Erland już miał odpowiedzieć, kiedy Kafi dodał: - Patrzcie! Zaczyna się!

Do loży imperialnej wszedł wysoki mężczyzna, stary, ale krzepki, i zbliżył się do samej krawędzi. Odziany był - jak wszyscy błękitnokrwisci - w kilt i sandały, nosił jednak również szeroki złoty tork na szyi i ozdobny złoty napierśnik, które wedle oceny Erlanda ważyły tyle, co solidna kolczuga. W dłoni trzymał drewnianą, długą laskę z dziwnym zwieńczeniem, inkrustowaną złotem. Na szczycie laski na złotym krążku rozpiął skrzydła

G złocisty sokół. Kafi odezwał się szeptem, choć możliwość podsłuchu wydała się Erlandowi niepodobieństwem:

235

- Sokół Kesh, najświętsze z królewskich insygniów. Pokazuje się go publicznie jedynie podczas najbardziej uroczystych ceremonii państwowych. Dla błękitnokrwistych sokół dzierżący w szponach dysk słoneczny jest święty.

Stary człowiek podniósł posoch i stuknął nim o posadzkę łoży, Erlanda zaś zdumiało, jak głośny rozległ się dźwięk.

- Usłysz mnie, o Kesh, największy z narodów świata!

W amfiteatrze była wspaniała akustyka. Gdy ucichły szepty podniecenia, słowa starego człowieka mógł usłyszeć każdy na ulicach, dachach i oczywiście na samej widowni.

- Przybywa! Przybywa! Przybywa Ta Która Jest Keshem i opromienia swą obecnością nasze żywoty! - Setki błękitnokrwistych zaczęły uroczyście wypełniać łożę imperialną. - Kroczy i gwiazdy korzą się przed Jej wspaniałością, bo ona jest sercem chwały! Przemawia i milkną ptaki, bo Jej słowa są samą mądrością! Myśli i płaczą uczeni, bo Jej wiedza jest niezgłębiona! Sądzi i płacze sprawiedliwość, bo Ona przenika spojrzeniem ludzkie serca!

I tak trwało wyliczanie boskich atrybutów imperatorowej, a błękitnokrwisci, różnego wieku i pozycji społecznej, wypełniali powoli łożę. Do tej pory Erland uważał, iż poznał sporą część tych, co mają w Imperium największe wpływy i władzę - ale nawet na pojedynczym przyjęciu widywał kilkunastu obcych. Jedynym arystokratą, z którym rozmawiał więcej niż jeden raz, był lord Nirome, krępy i mimo woli zabawny szlachcic, który witał ich u granic górnego miasta w orszaku księcia Awariego. Erland ze zdziwieniem dowiedział się, że Nirome jest błękitnokrwistym i krewnym rodziny królewskiej. Po namyśle doszedł do wniosku, że jedynie pochodzenie tłumaczy fakt, iż człowiek w tak oczywisty sposób nieudolny piastuje wysoką w końcu godność w rządzie. Tymczasem mężczyźni i kobiety - wszyscy z błękitną krwią w żyłach - napływali do łoży, mistrz ceremonii zaś recytował z coraz wyraźniejszym już znudzeniem listę niesłychanych cnót

imperatorowej. Robi to wrażenie, pomyślał Erland, usiłując nawiązać kontakt z tiaminą. Dłoń małżonki Jamesa lekko musnęła jego ramię.

Owszem. James też tak uważa.

- Lordzie Kafi - odezwał się Erland. - Słucham, Wasza Miłość.

- Czy wolno nam będzie zostać tu jeszcze przez chwilę? - Jeśli zdążycie na czas, by wejść wtedy, kiedy powinniście, dlaczego nie?

236

- Doskonale - odparł Erland, uśmiechając się do emira. Czy nie zechciałbyś odpowiedzieć nam, panie, na kilka pytań? - Jeśli tylko będę mógł, to uczynię to z przyjemnością. Być

może, uda wam się coś z tego dodać do posiadanych już przez Jamesa wiadomości, dodał w myślach. Gamma przekazała to Jamesowi, który nieznacznie skinął głową.

- Jakże to się dzieje, że w loży imperialnej jest już tak wiele osób, ja jednak nie zobaczyłem jeszcze żadnego z wielkich panów i lordów?

- Do loży imperialnej - odpowiedział Kafi - mogą wejść jedynie krewni rodziny królewskiej, nie licząc oczywiście służby i straży.

- Oczywiście - skwitował Erland.

Co oznacza, że przynajmniej trzy setki ludzi ma tu oficjalnie przyznane prawo do tronu, dodał James. Zakładając oczywiście, że będą umierali we właściwej kolejności, zauważył Erland nie bez kpiny. Dobrze powiedziane, odrzekł James.

Po wejściu królewskich krewniaków pojawił się pierwszy dysonans - nagle ukazali się wojownicy w czerni. Każdy miał na głowie czarny turban i czarną

zastłonę na twarz, odsłaniające tylko jedno oko. Ich długie, luźne szaty pozwalały na wykonywanie błyskawicznych ruchów. Każdy miał też u pasa szablę w czarnej pochwie. Erlandowi już wcześniej opowiadano o nich niezwykle historie - byli to Izmalisi, prawie legendarni keshkańscy Wojownicy Cienia. Opowieści nie blakły wraz z upływem czasu, aż w końcu czarnym wojownikom zaczęto przypisywać niemal nadnaturalne zdolności. Na taką straż osobistą stać było jedynie najzamożniejszych ludzi Imperium. Uważano ich za najbieglejszych w rzemiośle wojennym, w razie potrzeby zaś potracili być - jak opowiadano sobie szeptem - cichymi, śmiertelnie groźnymi zabójcami.

- Lordzie Kafi - odezwał się James, starając się, by pytanie zabrzmiało zupełnie naturalnie - czy imperatorowa zwykle nie otacza się swoją własną strażą? Oczy emira lekko się zwęziły, odparł jednak zwykłym głosem: - Roztropniej jest posłużyć się Izmalisami. Sprawują się bez zarzutu.

Co oznacza, pomyślał James do Erlanda za pośrednictwem Gammy, że imperatorowa nie może już ufać nawet własnej straży. Kiedy Izmalisi zajęli swe miejsca, oczom zebranych ukazała się imperatorowa. Wniesiono ją w lektyce dźwiganej przez tuzin krzepkich niewolników o lśniących od oliwy ciałach. Podczas

237

jej wejścia, stary mistrz ceremonii wymieniał długą listę największych dokonań Kesh pod rządami Imperatorowej Lakeishy. Nagle Erland wyczuł subtelną zmianę nastroju i zaczął słuchać uważniej.

- ...zgnieciono rebelię Niższego Keshu-recytował starzec z namaszczeniem.

Erland przypomniał sobie to, czego kiedyś go uczono: mniej więcej wtedy, kiedy się urodził, wszystkie narody zamieszkujące tereny położone na południe od łańcucha

górskiego, przecinającego kontynent na dwie połowy - zwanego Pasem Kesh -

poskromiono wreszcie brutalnie po niemal dwadzieścia lat trwającym buncie.

Członkowie samozwańczej Konfederacji Kesh drogo zapłacili za swoje pragnienie

wolności. Stracono tysiące ludzi, a z raportów, które rzadko docierały do

Królestwa, wynikało, że żadne wydarzenie w historii Keshu nie było tak krwawe i

wyniszczające - całe miasta szły na pastwę płomieni, a ich ludność zakuwano w

kajdany. Zniknęły całe narody, rasy, języki i kultury - pielęgnowane odtąd jedynie

wśród niewolników. Tę część wyliczanki skwitował gniewny pomruk, dający się

słyszeć nie tylko wśród tłumu na ulicach, ale i wśród pomniejszej szlachty w niższej

części amfiteatru. Świadczył on o tym, że władczyni nie wybaczone rozlanej wtedy

krwi. Gamma zbladła, co nie uszło uwagi emira:

- Dobrze się czujesz, pani?

Młoda kobieta przez chwilę chwiała się na nogach, zaciskając dłoń na

ramieniu męża. Opanowawszy słabość, potrząsnęła głową:

- To tylko upał, milordzie. Gdybyś mógł zdobyć dla mnie nieco wody...

Kafi po prostu skinął dłonią i natychmiast przy ich boku pojawił się sługa.

Emir wydał polecenie i już po krótkiej chwili Gamma trzymała w dłoni puchar z

zimną wodą. Pijąc z wyraźną przyjemnością, wyjaśniła Jamesowi, Erlandowi i

Locklearowi:

Zaskoczyli mnie, to wszystko. Straszny był ten potok gniewu i nienawiści.

Wielu z nich z radością udusiłoby imperatorowo własnymi rękami. I liczni, bardzo

liczni potencjalni zabójcy siedzą w łoży imperialnej.

James poklepał małżonkę po ramieniu, Locklear zaś spytał łagodnie:

- Lady Gamino, czy nie sądzisz, że stanie tu przez resztę dnia może być dla

ciebie zbyt męczące?

- Nie, Locky, nie. Po prostu potrzebne mi było te parę łyków wody, to wszystko.

- Bardzo roztropnie - stwierdził Kair.

238

Erland zwrócił uwagę na następną grupę. Po wejściu imperatorowej i obu księżniczek anonsowano teraz najpotężniejszych lordów i panów Imperium.

Pojawił się lord Jaka, Legat Imperialnych Rydwanów.

- Jak ważne są legiony rydwanów? - spytał Erland. - Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem pytanie...

- Chcę wiedzieć, czy zachowali swą pozycję jedynie dzięki tradycji, czy też w istocie stanowią główną siłę uderzeniową keshkańskiej armii? W przeszłości, gdy pomiędzy naszymi narodami dochodziło do sporów, zawsze natykaliśmy się na te wasze straszne Psie Legiony.

Kafi wzruszył ramionami.

- Wasza Miłość, to rydwany skruszyły opór Konfederacji. Wasze państwo leży daleko na północy, Legiony Rydwanów i wychodzą zaś ze stolicy jedynie w sytuacjach prawdziwie wielkiego zagrożenia dla Imperium.

Jaka dysponuje dostateczną siłą, by sam mógł obalić imperatorowg lub zniweczyć wszelki spisek przeciwko niej skierowany, poddał James. Erland kiwną głową, jakby zastanawiając się nad słowami emira. Do tiaminy, Lockleara i Jamesa skierował zaś myśl: Wydaje się, że to człowiek uczciwy, choć zamknięty w sobie. Jest przede wszystkim świadomy własnej potęgi, odparł James. Wie, że żaden zamach stanu się nie uda bez jego poparcia... lub wcześniejszej neutralizacji.

Tymczasem na ramieniu Erlanda spoczęła dłoń emira.

- Jeśli mowa o Psich Legionach... oto ich dowódca. Sula Jafi Buton Książęcy Regent Armii, dziedziczny pan Kistanu, Isanu i Paji, a także innych krain, skąd rekrutuje się naszych wojowników.

W łóżu pojawił się człowiek, którego Erlandowi niełatwo byłoby opisać - poza tym, że był czarnoskórą wersją błękitnokrwistego. Miał na sobie dokładnie taki sam jak inni kilt i sandały. Jego głowa też była ogolona, ale jego skóra lśniła w słońcu czernią hebanu. Większość członków jego orszaku stanowili ludzie ciemnoskórzy jak on sam - choć niedoświadczony Erland byłby może kilku uznał za błękitnokrwistych. Książę zerknął pytająco na Jamesa, który odpowiedział:

Erlandzie, ten jest graczem, o którym niewiele nam wiadomo. Wydaje się, że jest otwarcie i szczerze lojalny wobec tronu. Jego lud został podbity przez Keshan jako jeden z pierwszych, tak więc ich rodowód w Kesh należy do najdłuższych, ustępuję jedynie błękitnokrwistym. Ich nominalnym dowódcą i przełożonym jest Aber Bukar, ale ten człowiek ma w armii wielkie wpływy.

239

- Książę... - odezwał się Kafi. - Może powinniśmy powoli ruszać. W ten sposób nie popełnimy nietaktu.

- Ależ oczywiście - odpowiedział Erland. - Prowadź. Wokół Erlanda i jego orszaku pojawili się nagle gwardziści, co zaskoczyło i zdumiało księcia. Nie zauważył, by straż przeciskała się wśród tłumu. Nie musieli torować sobie drogi okrzykami. budzie jakby instynktownie ustępowali im z drogi.

- W tym systemie społecznym - zauważył James - ludzie wykształcają w sobie umiejętność wyczuwania obecności lepszych od siebie.

Kafi wykonał znany już Wyspiarzom gest - wysunął dłonie na zewnątrz i w dół, mówiąc „Malisch”, co, według wiedzy Erlanda, w ojczystym języku emira, Beni, oznaczało „Przepraszam”, w tym przypadku jednak należało to zrozumieć jako „Bywa i tak”. W ten sposób mówiący w Beni określali wolę bogów, zrządzenie losu lub przeznaczenie. Tymczasem oznajmiono wejście lorda Ravięgo, co obudziło ponownie czujność Erlanda, który obejrzał się za siebie ku grupie bawnie odzianych, wkraczających do łoża mężczyzn. Każdy z nich miał ogoloną głowę i zostawił na niej jedynie pośrodku wąski, usztywniony za pomocą wosku i sterczący w górę kosmyk. W każdy kosmyk cienkim rzemieniem wpleciono tresę z końskiego włosa, ufarbowanego tak, by nie różniło się od naturalnego koloru czupryny strojnisia. Wszyscy nosili jedynie przepaski biodrowe, a ich ciała lśniły od oliwy. Mieli opaloną skórę, Erlandowi wydało się jednak, że ich cera była nieco jaśniejsza niż pozostałych Keshan i miała niemal czerwony odcień. Większość z nich należała do ciemnowłosych. Za nimi pojawili się młodszy mężczyźni, którzy włosy splekli z tyłu w imitację końskich ogonów, a w uszy powtykali sobie spore pierścienie. Ci mieli na sobie skórzane kaftany, powypychane mocno na ramionach, co nadawało wszystkim wygląd niezwykle barczystych. Jak poprzednicy, nosili przepaski łądzwiowe i wysokie buty do kolan.

- Co to za jedni?- spytał Erland, zatrzymując na chwilę grupę. Tym razem

Kafi z trudem ukrył odrazę i pogardę:

- Jeźdźcy Ashuntai, Mości Księżę. Lord Ravi jest Mistrzem Bractwa Konia.

To zakon wojowników, będących spadkobiercami najlepszych jeźdźców, jakich wyćwiczyli i wysyłali w pole Ashuntai. To najbezpieczel... - Nagle emir zdał sobie sprawę z faktu, że niemal zdradził się z prywatną opinią. - Pokonano ich z

obyczajów. Ich lojalność wobec tronu bierze się głównie stąd, że dwór kupuje ich przywódców zaszczytami.

I stąd, że ich stolica leży po niewłaściwej stronie Pasa, dodał James z odcieniem wesołości w myślach. Jeśli wierzyć doniesieniom naszych agentów, AberBukar, wódz naczelny, musiał uciec się do gróźb, by zmusić ich do wyjścia w pole przeciwko konfederatom. Gdy grupa przesuwała się w dół, ku amfiteatrowi, Erland spytał niespodziewanie:

- Nie widzę wśród nich kobiet. Czy jest po temu jakiś szczególny powód?

- Ashuntai do dziwni ludzie - odpowiedział Kafi. Spojrzał na Gaminę, jakby zaznaczając, że nie zamierza jej urazić. Uważają kobiety za własność mężczyzn.

Mężczyzna może kobietę sprzedać, kupić lub pożyczyć albo podarować drugiemu.

Ashuntai w ogóle nie uważają ich za istoty ludzkie. - Widać było, że Kafi nie zgadza się z takim poglądem, ale stara się to ukryć. Erland jednak nie umiał oprzeć się pokusie:

- Zechciej mi powiedzieć, emirze, czy nie jest prawdą, że twoi ziomkowie również niewiele swobody dają kobietom? Skóra Kafiego pociemniała na policzkach, gdy wypełził na nie rumieniec gniewu czy może wstydu.

- Być może tak to wygląda, Wasza Wysokość, ale te zwyczaje przejęliśmy od przodków. Pod wpływem sąsiadów już się zresztą ucywilizowaliśmy i nie sprzedajemy już córek za wielbłądy. - Obejrzał się przez ramię ku łożu, w której rozsiadł się lord Ravi ze swoim orszakiem. - Oni jednak sprzedają nawet małe dziewczynki, a jeżeli kobieta sprawia mężczyźnie jakiegokolwiek kłopoty, wolno mu

zrobić z nią, co zechce. Nikt nie zaprotestuje, nawet gdyby ją zabił. Są wychowywani w pogardzie dla cieplejszych uczuć i uważają, że pokochać kobietę, znaczy okazać się słabym. Żądza i chuć... tak, te uczucia rozumieją, bo są przydatne przy płodzeniu synów, ale miłość... - Kafi wzruszył ramionami. - Moi współplemieńcy mają powiedzenie: „Nawet najwyżej urodzony jest tylko sługą w łożu swej żony”. Wielu z naszych najlepszych władców szukało rady u swoich małżonek, co tylko na dobre wyszło narodowi... Ci jednak... - Kafi wzruszył ramionami. - Wybacz mi, książę. Nie chciałbym cię nudzić.

- Ależ nie - odezwała się Gamina. - Nie nudzisz nas żadną miarą. To fascynujące. On żywi do Ashuntai o osobistą urazę, przekazała innym, przerastającą zwykłą niechęć do ich zwyczajów. On ich po prostu nienawidzi.

241

- Dawno temu-zaczął Kafi-kiedy byłem chłopcem, mój ojciec służył Tej Która Jest Keshem, oby spłynęły na nią łaski nieba. Wziął mnie ze sobą do pałacu i tu poznałem chłopaka, który był synem lorda Ravięgo. Byliśmy samotnymi chłopcami w ogromnym pałacu i więcej nic nas nie obchodziło. Syn Ravięgo, Ranavi, był świetnym kompanem i często wybieraliśmy się na konne przejażdżki. Wśród jeźdźców często toczy się spory, kto lepiej radzi sobie z końmi - Ashuntai czy my, mieszkańcy Jal-Pur. Obaj często wyjeżdżaliśmy konno za bramy miejskie on na swoim kucyku, ja na stepowym koniu. Po jakimś czasie zaprzyjaźniliśmy się. Była też dziewczyna. Dziewczyna Ashuntai, którą poznałem przypadkowo. - Kafi mówił to wszystko z nieruchomą twarzą, choć utrzymanie maski obojętności sporo go kosztowało. - Chciałem ją od nich kupić... wedle ich zwyczajów. Ravi uczynił z niej nagrodę w konkursie jeździeckim. Wygrał ją któryś z ich wojowników i wziął do

domu jak swego psa. Podejrzywałem, że miał już w domu dwie czy trzy kobiety. Machnął niedbale dłonią, jakby opowiadał o jakimś dawnym, niemal już zapomnianym incydencie. - Wiecie, oni zakładają kobietom skórzane obroże i prowadzą je na łańcuchach. Nie pozwalają im nosić odzieży - z wyjątkiem przepaski na biodrach -nawet podczas chłódów. Fakt, że chodzą niemal nagie, niewiele znaczy dla błękitnokrwistych. Imperatorowa jednak, a przed nią jej matka uwalaty, iż podle traktowanie żon, matek i córek przez mężów, ojców i synów jest w złym guście. Lord Ravi i jego kompani mieli dość rozsądku, by nie irytować imperatorowej, nie przyprowadzali więc kobiet do pałacu. Nie zawsze jednak tak było. Powiada się na przykład, że dziadek imperatorowej bardzo lubił młode dziewczęta Ashuntai. Powiada się też, iż gotowość, z jaką Ashuntai dostarczali mu tyle dziewczeczek, ile potrzebował dla swej rozrywki, stała się powodem, dla którego Bractwo Konia osiągnęło tak wysoką pozycję na imperialnym dworze.

- Na takich sprawach opiera się niekiedy wielkość narodów -zauważył Locky z drwiną w głosie.

- Tak bywa - odpowiedział Kafi.

potarłszy do podstawy długiego zejścia, ujrzeli po obu jego stronach szeregi straży, która miała utrzymać tłum z dala od areny, gdzie wkraczali ci, co dostąpili zaszczytu prezentacji. Czekali na nich krondorscy gwardziści Erlanda, odziani w paradne uniformy Królestwa, każdy z godłem Krondorskiej Straży Pałacowej na piersi. Erland, nie bez pewnego rozbawienia, zauważył stojącą za jego ludźmi

delegację Queg, której członkowie niemal spopielali Krondorczyków wzrokiem,

ponieważ usytuowano ich w drugiej kolejności, co stanowiło niewątpliwie dyplomatyczny precedens. Kafi tymczasem ciągnął dalej swoją opowieść: Ranavi pragnął ukraść dziewczynę i podarować ją mnie byłem w końcu jego przyjacielem. To również leży w ich tradycji - jeżeli uprowadzisz kobietę rywalowi i zdołasz ją jakoś dowieźć do domu, możesz ją zatrzymać. Oczywiście kobiety nikt o nic nie pyta - czy ktoś pyta o zdanie konia lub psa? Ranavi nie miał nawet siedemnastu lat, kiedy podjął próbę wykradzenia siostry człowiekowi, który wygrał ją podczas turnieju. Został jednak wówczas zabity. Widzisz więc, Wasza Księżęca Mość - dokończył Kafi bez cienia goryczy w głosie - że mam pewne powody, dla których niełatwo mi dostrzec jakieś pozytywy w kulturze Ashuntai... Jeżeli takie w ogóle istnieją... - dodał ciszej po chwili.

Gamina patrzyła na emira z nie ukrywanym współczuciem i przychylnością, nie rzekła jednak niczego.

Przez prawie dziesięć minut stali w miejscu, czekając u wejścia na plac amfiteatru. Wszyscy milczeli -każdy na swój sposób analizował historię Kafiego i jego przyjaciela. W końcu Locklear zdecydował, iż najwyższa pora zmienić temat.

- Lordzie Kafi, gdzie się podziewa delegacja Wolnych Miast?

- Jest nieobecna, milordzie- odparł emir.-Nieprzysyłają nikogo na żaden z

Jubileuszy. Kraina, która kiedyś była Imperialną Bosanią, nie nawiązała stosunków dyplomatycznych z Imperium.

- Niełatwo jest przełamać starą wrogość i zadawnione urazy - stwierdził

James.

- Nie bardzo rozumiem-rzekł Erland. -Queg i Imperium za mojego, krótkiego przecież życia trzykrotnie prowadziły ze sobą wojny, a pomiędzy Wyspami i

Imperium kilka razy dochodziło do... jak to określono... utarczek granicznych.

Dlaczego z Wolnymi Miastami jest inaczej?

- Mieszkańcy tak zwanych Wolnych Miast - wyjaśnił Kafi, gdy ruszali na swoje miejsce w procesji prezentacyjnej - byli kiedyś pokornymi poddanymi

Imperium. Dawno temu, za pierwszej rewolty Konfederacji, Kesh wycofał wszystkie północne garnizony z Jal-Pur i zostawił kolonistów ich własnemu losowi. Queg zbuntował się - z powodzeniem - zaledwie dekadę wcześniej. Queg w ogóle ma szczęście do buntów. Wasze Królestwo zawsze było dla nas suwerennym państwem,

243

Wolne Miasta jednak to grody zdradzone przez swoich władców. Tych kmieciów i mieszczuchów zmuszono do obrony własnych granic.

Erland rozmyślał o tym wszystkim, gdy jego orszak przesuwiał się do przodu w oczekiwaniu na prezentację. Spojrzał w górę, ku galerii, i zobaczył, że szybko wypełniają ją ostatni lordowie i panowie. Bosania, będąca obecnie częścią królewskiego księstwa Crydee, podbita zresztą przez prapradziadka Erlanda, była surową krainą, gdzie można było natknąć się na trolle, gobliny lub członków Bractwa Mrocznego Szlaku. Walka o przeżycie, bez wspierających ją garnizonów Keshu, musiała być ciężka i krwawa. Erland mógł zrozumieć, dlaczego mieszkańcy Wolnych Miast zachowali urazę do Imperium. W tym momencie usłyszał gromko wypowiedziane przez mistrza ceremonii własne imię.

- Wasza Księżca Mość, już czas - rzeki Kafi.

Cały orszak ruszył równym krokiem, z którego wylamywała się tylko tiamina. Weszli na kamienną płytę amfiteatru. Przecięcie rozległego placu zajęło im pięć minut, w końcu jednak, pod palącym ostro słońcem, Księżę Wysp został

formalnie przedstawiony imperatorowej Keshu. Dopiero w tej chwili młody książę zdał sobie sprawę z prawdziwego znaczenia zniknięcia Borrika. Oto on sam, nie jego brat, stawał teraz w obliczu najpotężniejszej władczyni świata... której następcą może się kiedyś okazać najbardziej zajadłym jego wrogiem... bo to nie Borric, ale on, Erland, któregoś dnia zasiądzie na tronie Królestwa Wysp. Młody książę poczuł strach, jakiego nie doznał od chwili, kiedy opuścił bezpieczne ramiona matki.

Prezentacja trwała bez końca, aż wszystko zaczęło mu się mylić. Erland niemal nie pamiętał chwili, kiedy przedstawiono go u dworu, i wybąkał słowa, które musiał wcześniej wykuć na pamięć. Ponieważ nikt nie wybuchnął śmiechem, książę doszedł do wniosku, że wymówił je właściwie i poprawnie. Nie umiał tylko przypomnieć sobie, co mówili członkowie delegacji, którzy pojawili się po nim.

Teraz siedział na najniższym poziomie amfiteatru, czując pod pośladkami twarde kamień ławy ustawionej dla delegatów, którzy przybyli życzyć imperatorowej zdrowia i pomyślności z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin. Usiłując jakoś opanować niedawne uczucie strachu i osamotnienia, spytał Kafiego:

- Milordzie, dlaczego Jubileusz obchodzi się tak długo po Festiwalu Banapisa?

244

- W przeciwieństwie do was, my w Keshu nie świętujemy Letniego

Przesilenia jako swoich urodzin. U nas każdy obchodzi urodziny w tym dniu w roku, w którym przyszedł na świat oczywiście, jeśli wie, kiedy to było. Ponieważ bogowie raczyli obdarować świat Tą Która jest Keshem piętnastego dnia miesiąca Dzanin, w tym właśnie dniu obchodzimy Jej urodziny. To będzie zaś ostatni

dzień Jubileuszu.

- Jakież to dziwne, obchodzić urodziny w dniu, w którym się przyszło na świat. Każdego zatem dnia muszą być tuziny małych uroczystości. Ja osobiście poczułbym się oszukany, gdybym stracił Festiwal Banapisa.

- Co kraj, to obyczaj - mruknął James.

Przed księciem pojawił się sługa odziany jak błękitnokrwisty i nisko się uklonił. Równocześnie podał mu zwój pergaminu, opieczętowany złotą wstęgą.

Zwój wziął Kafi, który występował teraz w roli oficjalnego przedstawiciela i mistrza protokołu. Spojrzawszy na woskową pieczęć, uśmiechnął się i powiedział:

- Myślę, że to sprawa osobista...

- Dlaczego? - zainteresował się Erland. - Widzę tu godło księżniczki Skarany.

Z tymi słowy podał zwój Erlandowi, który złamał pieczęć i rozwinął pergamin. Nieskazitelne pismo przeczytał powoli, ponieważ nigdy jakoś nie zdołał opanować biegle pisanego dworskiego języka Imperium Kesh. Gdy czytał, tiamina parsknęła śmiechem. James odwrócił się nagle, pewien, iż jego małżonka mimo woli zdradziła się ze swoją umiejętnością czytania myśli, i usłyszał słowa tiaminy:

- Erlandzie, gotowa jestem przysiąc, że się zarumieniłeś! Księżę uśmiechnął się i zwinąwszy pergamin, wetknął go sobie za pas.

- Nie... to sprawka słońca. - Nie potrafił jednak ukryć uśmiechu

zakłopotania, który jakoś nie chciał zniknąć z jego ust. - Co to takiego? - spytał Locklear z zabawną miną.

- Zaproszenie - odpowiedział Erland.

- Na co? - nie ustępował Locklear. - Jesteśmy już zaproszeni na uroczystą kolację z imperatorową.

Erland nadal nie mógł ukryć uśmiechu, z którym przypominał psa, co dostał zaproszenie do jatek.

- To... na potem.

James i Locklear wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Emirze - spytał

Locklear- jak błękitnokrwisci umawiają się na schadzki?

245

Kafi wzruszył ramionami.

- Nie jest to sprawa, która budziłaby zgorszenie... zresztą księżniczki krwi są tak wysoko urodzone, że mogą nieco przesuwać granice skromności, jeśli rozumiesz, milordzie, o czym mówię.

- A księżniczka Sojiana? - spytał Locklear.

- Zastanawiałem się - parsknął James - kiedy przejdiesz do sprawy.

- Do sprawy? - zdziwiła się tiamina.

- To... figura retoryczna, kochanie. Locky znany jest na dworze z tego, że usiłuje zaznajomić się z każdą urodziwą kobietą, jaka pojawia się w zasięgu jego wzroku.

- Jeżeli zechcesz, milordzie, posłać liścik z prośbą o spotkanie, przygotuj się na to, że nie będziesz jedynym, który to uczyni. Mówi się, że ostatnio księżniczka Sojiana spędza sporo czasu w towarzystwie lorda Raviego, spodziewaj się więc uprzejmej odmowy.

Locklear usiadł wygodniej, usiłując jakoś umościć się na kamiennej ławie, twardej i niepodatnej, mimo iż wyłożonej ozdobnymi poduszkami.

- Cóż, mimo to jednak spróbuję znaleźć jakiś sposób, by się z nią spotkać.

Jeśli zdarzy się okazja, by z nią pomówić...

Kafi ponownie wykonał gest oznaczający „Bywa i tak”. James spojrział na Erlanda, książę jednak pogrążył się już w marzeniach. Kafi ukrywa coś, co dotyczy księżniczki Sojiany. Czy chcesz zbadać, co to takiego? spytał earl tiaminę. Nie, odpowiedziała mu żona. Ale gdy wspomniano jej imię, odebrałam odeń pewien sygnał. Jaki? Skrajnego niebezpieczeństwa.

246

ROZDZIAŁ 14 – UKŁAD

Borric potarł dłonią szczękę.

- Życzyłbym sobie, by ludzie przestali walić mnie w pysk, kiedy chcą mi coś wyjaśnić - stęknął niewyraźnie.

- To za utratę żołdu - warknął Ghuda. - Nie mogę ruszyć za Janosem

Saberem, kiedy mam na karku połowę imperialnej armii, a nawet gdybym go odnalazł, wątpię, czy byłby mi zapłacił. Wszystko to stało się za twoją sprawą, Wariacie.

Borric nie mógł się z nim nie zgodzić, choć - jako siedzący na kupie mokrej słomy w opustoszałej stodole stojącej gdzieś pośrodku krainy, której wszyscy mieszkańcy uparli się, żeby go zabić - uważał, że zasługuje choć na odrobinę współczucia.

- Ghuda, posłuchaj, jakoś cię splacę.

Najemnik, który zdążył się już odwrócić, by zdjąć siodło z grzbietu jednego ze skradzionych koni, skrzywił się i spojrział ku niemu przez ramię.

- Doprawdy? I jakże to, racz powiedzieć, się do tego zabierzesz? Zamierzasz posłać lordowi Aber Bukarowi notatkę tej mniej więcej treści: „Łaskawy panie, zechciej proszę wysłuchać tłumaczeń mojego przyjaciela. Kiedy się spotkaliśmy, nie

wiedział, poczciwina, że za moją głowę wyznaczono nagrodę i że mam być zabity natychmiast po ujęciu". Dobrze mówię?

Bornic wstał i przez, chwilę poruszał szczęką, by się upewnić, że nie została złamana. Bolała go okropnie i z jednej strony nie bardzo mieściła się w stawie, ale czuł, że jest cała. Rozejrzył się po wnętrzu starej stodoły. Stojący nieopodal budynek mieszkalny został spalony do cna przez bandytów albo gwardzistów z jakiegoś imperialnego powodu - co stworzyło księciu i jego kompanom możliwość dania koniom wypoczynku. Zgodnie z dobrym kawaleryjskim obyczajem znaleźli przy siodłach sakwy z owsem i Borric zajął się karmieniem swego rumaka. Suli, przedstawiający sobą obraz nędzy i rozpaczy, ostrożnie i z pojękiwaniem usiadł na kupie na poły przegnilej słomy. Nakor tymczasem zdążył już rozkulbaczyć swego wierzchowca i wycierał go starannie najczystsza, jaką mógł znaleźć, kępą słomy. Podczas tej pracy nucił sobie pod nosem jakąś melodyjkę. I ani na chwilę nie przestał się uśmiechać.

247

- Wariacie - warknął Ghuda - rozstaniemy się, jak tylko konie trochę odpoczną. Jesteśmy kwita. Jakoś dostanę się do Farafrzy i spróbuję dotrzeć statkiem do Dolnego Keshu. Tam Imperium nie kładzie na wszystkim swej ciężkiej łapy, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Może jakoś się z tego wykaraskam. - Czekażże, Ghuda - wystękał Borric.

Rosły najemnik cisnął siodło na stertę słomy i spytał: - Co znowu?

Borric wezwał go skinieniem dłoni na stronę i rzekł spokojnie: - Słuchaj, przykro mi, że cię w to wszystko wpakowałem, ale jesteś mi potrzebny.

- Jestem ci potrzebny, Wariacie? I po cóż to? Żebyś tu nie zdechł samotnie?

Piękne dzięki, ja jednak wolę umrzeć w ramionach jakiejś dziwki i dopiero za kilkanaście przynajmniej lat.

- Chodzi mi o to, że nie dostanę się do Keshu bez twojej pomocy.

- Dlaczego mi to robicie? - Ghuda wznosił oczy do nieba. - Spójrz na chłopaka - rzekł Borric. - Jest śmiertelnie przerażony i tak potłuczony, że nie może myśleć. Może i miał jakichś przyjaciół w Durbinie, ale na tym się kończą jego zalety, a Isalańczyk - jakby to rzec - nie należy do ludzi, na których można polegać.

- Borric przyłożył palec do głowy i wykonał nim okrężny ruch. Spojrzawszy na wzmiankowaną parę, Ghuda nie mógł się nie zgodzić z przedmówcą.

- No, zgoda. Ale co mnie to może obchodzić?

Po dość długim namyśle, Borric nie znalazł przyczyny, dla której Ghuda powinien zacząć się martwić. Połączyły ich okoliczności, ale nie prawdziwa przyjaźń. Starszy najemnik dawał się lubić, nie był jednak tym, kogo Borric nazwałby dobrym towarzyszem.

- Posłuchaj, mogę sprawić, że to ci się naprawdę opłaci. - Jak bardzo mi się opłaci?

- Pomóż mi dostać się do Keshu i spotkać się z ludźmi, którzy będą mogli rozsupłać tę sieć wokół mnie, a zapłacę ci tyle, że do końca życia nie będziesz musiał rozbijać się z karawanami.

Ghuda spojrzał uważnie na księcia nagle zmrużonymi oczyma. - Nie mówisz tego na wiatr, co?

- Daję ci na to moje słowo - odparł książę.

- A skąd zamierzasz wytrzasnąć tyle złota? - spytał Ghuda. Borric już

wcześniej rozważał możliwość opowiedzenia Ghudzie wszystkiego, nie mógł jednak

się zmusić do okazania najemnikowi aż tak daleko idącego zaufania. Pomoc

248

bezimiennemu człowiekowi, ściganemu za zbrodnię, której nie popełnił, to jedno, ale wesprzeć księcia, przeciwko któremu sprzyśleli się najmożniejsi panowie

Imperium, to zupełnie inna sprawa. Borric wiedział, że każdy, przed kim odkryje swoją tożsamość, będzie martwy, jeśli tylko strażnicy złapią ich razem - Ghudę jednak perspektywa nagrody mogłaby przekonać do spróbowania szczęścia.

Minione doświadczenia Borrika z najemnikami nie zawierały wspomnień o ich przesadnej lojalności. W końcu musiał jednak coś powiedzieć.

- Zostałem oskarżony o morderstwo żony gubernatora, ale kryje się za tym polityka. - Nawet nie skłamał, a Ghuda nie mrugnął okiem - morderstwa polityczne w Kesh nie były czymś niesłychanym. - W stolicy znajdę ludzi, którzy oczyszczą mnie z zarzutów. Co więcej, mają oni środki, z których wynagrodzę twoją lojalność sumą... - szybko obliczył dostatecznie wielką jak na Królestwo kwotę i przełożył ją na walutę keshkańską- dwu tysięcy złotych ecu.

Ghuda mrugnął oczami, potem jednak potrząsnął głową:

- Nieźle zabrzmiało, Wariacie, ale to gruszki na wierzbie... - No dobrze, trzy tysiące - palnął Borric.

Pragnący przebić blef Borrika Ghuda, warknął:

- Pięć tysięcy!

- Zgoda! - rzekł książę. Splunąwszy na dłoń, wyciągnął ją do najemnika.

Odrzucenie tak podanej - wedle starego zwyczaju - ręki równało się

krzywoprzysięstwu. Ghuda splunął niechętnie na swoją dłoń i uścisnął nią dłoń księcia.

- Niech cię лихо, Wariacie! Jeśli mnie nabierzesz, przysięgam, że osobiście wypruję ci flaki. Jeżeli mam zginąć przez moją naiwność, niechże mam przyjemność posłania pierwszej ciebie na spotkanie z Boginią Śmierci!

- A jeżeli nam się uda - odpowiedział Borric - umrzesz jako bogaty człowiek, Ghuda Bule.

Najemnik opadł na mokrą słomę, by trochę odpocząć.

- Wolalbym, żebyś powiedział to jakoś inaczej, Wariacie. Borric zostawił mruczącego coś do siebie najemnika i przysiadł się do Suliego.

- Jak sądzisz, dasz sobie radę? - spytał chłopaka.

- Owszem - odpowiedział ulicznik. - Boli mnie tylko trochę. Ale ta bestia ma grzbiet wąski niczym ostrze miecza. Przecięło mnie na dwie części!

249

- Pierwszy raz jest ciężko - zaśmiał się Borric. - Jutro, przed wyjazdem, spróbujemy poćwiczyć tu trochę.

- Nie na wiele się to zda, Wariacie - rzucił ze swego miejsca Ghuda. - Musimy wyrzucić te siodła. Chłopiec i tak będzie musiał jechać na oklep.

- Nie inaczej! - kiwnął energicznie głową Nakor. - Jeżeli mamy sprzedać te konie, nikt nie może się domyślić, że jeszcze niedawno chodziły w takt kawaleryjskiej trąbki.

- Sprzedać? - zdumiał się Ghuda. - Skąd ten pomysł? - Podczas Jubileuszu - wyjaśnił Nakor - łatwiej nam będzie dotrzeć do miasta rzeką Sarne, na pokładzie wynajętej łodzi. Będziemy tylko czwórką podróżnych pośród wielu innych pasażerów. Ale taka podróż wymaga środków. Musimy sprzedać konie.

Borric szybko obliczył, ile im zostało monet po nabyciu ubioru i broni w

Farafrze i zrozumiał, że mały frant ma rację. Nie zostało

im dość, by zjeść przyzwoity posiłek w pierwszej lepszej przydrożnej oberży.

- A kto je tam kupi? - mruknął Ghuda. - Są nacechowane. - I owszem - odparł nieposkromiony Nakor - ale nic nie jest wieczne. Z siodeł niestety nie da się usunąć znamion bez poważnych uszkodzeń.

- Jak zmienisz cechy na zwierzęcych zadach? - spytał Ghuda, unosząc się na łokciu. - Masz może jakiś zestaw narzędzi, które wygrałeś od pechowego koniokrada?

- Mam coś znacznie lepszego - odpowiedział przechera, sięgając do swego przepastnego worka. Pogrzebawszy w nim przez chwilę, wyjął niewielki, zapieczętowany dzban. Sięgnął jeszcze raz i wyjął niewielki pędzelek. - Patrzcie i uczcie się. - Odkorkował pojemniczek i wylał odrobinę cieczy na pędzel. - Ponowne cechowanie rozgrzanym żelazem zostawia ślady, które da się wykryć. Artyści pracują inaczej. - Z pędzelkiem w dłoni zbliżył się do najbliższego z koni. - Wojsko cechuje wszystkie konie znakiem imperialnej armii. - Mówiąc to, pociągnął pędzelkiem po końskim boku. Rozległ się syczący dźwięk i tam, gdzie pędzelek dotknął końskiej skóry, ta poczerniała, jakby liznął ją płomień. - Przytrzymaj konia - polecił Borrikowi. - To go nie zaboli, ale głupie bydło może się spłoszyć i przestraszyć pozostałe.

Księżę złapał konia za wędzidło i trzymał go mocno, podczas gdy ten strzygł uszami, jakby nie bardzo wiedział, jak zaprotestować przeciwko temu, co z nim wyrabiano.

250

- No... - odezwał się Nakor po chwili. - Teraz jest to cecha Jung Suta,

handlarza końmi z Shing Lai.

Borric obszedł konia dookoła i popatrzył na dzieło Isalańczyka. Piętno zostało zmienione - Nakor miał rację. Wyglądało tak, jakby wypalono je za jednym przyłożeniem. - Czy ktoś w Keshu zna tego handlarza?

- Mało prawdopodobne, przyjacielu, ponieważ tak naprawdę to go sobie wymyśliłem. Choć z drugiej strony, w Shing Lai żyją tysiące handlarzy zajmujących się końmi, więc kto wie?

- No tak - rzekł Ghuda. - Obudźcie mnie, kiedy skończycie i będziecie gotowi do drogi, dobrze? - Z tymi słowami wyciągnął się na stercie stęchłej słomy i zaczął mościć sobie pośladki.

- Wiesz co? - książkę zwrócił się do Nakora. - Ogromnie sobie cenię twoje towarzystwo, ale może będzie lepiej, jeśli zechcesz nas opuścić, gdy już dotrzemy nad rzekę?

- Przeciwnie! - uśmiechnął się mały przechera i błysnął nieprawdopodobnie białymi zębami. - I tak zamierzałem udać się do Keshu, gdzie podczas Jubileuszu łatwiej o jakiś zarobek. Trafi się tam wiele okazji, by pograć... albo skorzystać z moich nader skromnych umiejętności magicznych. Poza tym, jeśli będę wam towarzyszył, chłopca zaś wypuścimy kilka godzin wcześniej lub pojedzie za nami, wówczas nasza trójka nie wzbudzi podejrzeń strażników.

- Może i tak - odparł Borric - choć gotów jestem się założyć, że mają już nasz dokładny opis. _

- Owszem, ale nie mój! - zaśmiał się Isalani. - Kiedy zatrzymali nasz wóz, żaden z żołnierzy nie zwrócił na mnie uwagi! Rzeczywiście! Borric przypomniał sobie, że choć imperialni

przeypytywali wszystkich, ani jeden ze służbistów nie zatrzymał Nakora.

- Owszem, kiedy o tym wspomniałeś... Jakżeś to zrobił? - Tajemnica! - odparł frant i uśmiechnął się z wyższością. - Ale to nieważne. Istotny jest natomiast fakt, że trzeba coś zrobić z twoim wyglądem. - Spojrzał okiem fachowca na odsłoniętą głowę Borrika. - Twoja ciemna czupryna podejrzenie mocno zachodzi czerwienią od spodu. Musimy jakoś zmienić ci twarz, przyjacielu. Borric potrząsnął głową. -- Znowu sięgniesz do twojego wora z niespodziankami? - Jakżeby inaczej, przyjacielu? - i Nakor pochylił się nad biesagami.

251

Borric ocknął się natychmiast, gdy Suli lekko trącił go w ramię. Na dworze było jeszcze ciemno. W panującym wewnątrz półmroku ksiązę dostrzegł tkwiącego nieruchomo przy drzwiach z mieczem w dłoni Ghudę. W następnej chwili stał już uzbrojony przy najemniku.

- Co się dzieje? - syknął ksiązę.

Pilnie nasłuchujący Ghuda podniósł ostrzegawczo dłoń.

- Jeźdźcy! - szepnął. Czekał przez chwilę, potem odłożył miecz. - Pojechali na zachód. Ta stodoła jest dość daleko od traktu i pewnie jej nie dostrzegli, ale jak tylko spotkają się z chłopakami, których spieszyliśmy w Jeeloge, wrócą tu liczniejsi niż muchy. Lepiej się stąd wynieśmy.

Borric wybrał spośród koni spokojną klacz i podsadził chłopca na jej grzbiet.

Podał mu lejce i powiedział:

- Jeśli trzeba będzie przyspieszyć, złap lewą dłonią za grzywę. Nogami utrzymuj równowagę i nie ściskaj boków kolanami. Zrozumiałeś?

Chłopiec kiwnął głową, ale wyraz jego twarzy wskazywał wyraźnie, że

pomysł szybkiej jazdy przeraża go niemal tak samo, jak możliwość wpadnięcia w łapy straży. Odwróciwszy się, Borric zobaczył Nakora dźwigającego siodła.

- Dokąd je niesiesz?

- Tam z tyłu jest sterta kompostu - odparł uśmiechnięty Isalani. - Jestem pewien, że pod nią nie zajrzą.

Borric nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Po chwili chronicznie rozbawiony frant wrócił i zręcznie skoczył na konia mimo iż jego ruchy krępował dwudzielny wór i laska. Borric poczuł zalatujący od Nakora zapaszek.

- Faj! Jeśli to ten smród, masz rację, szybko tam nie zajrzą. - Ruszajmy - ponaglił Ghuda. - Jeszcze przed świtem musimy się stąd znacznie oddalić.

Borric kiwnął dłonią i najemnik szeroko otworzył drzwi, potem zaś skoczył na koński grzbiet. Trąciwszy piętą koński bok, ruszył truchtem, Borric zaś, Nakor i Suli podążyli jego śladem. Młody książę z najwyższym trudem poskromił rodzące się w nim paskudne uczucie, że za każdym zakrętem na drodze może czekać na niego zasadzka. Zamiast tego myślał o tym, że z każdą minioną minutą zbliża się do Keshu, gdzie czekają nań Erland i inni.

Pahes było ruchliwym miasteczkiem, które przycupnęło na drodze przy moście przez Sarne, gdzie łączyły się dwie drogi jedna z Farafry, druga z Khattary.

Na wschodnim brzegu rzeki, nieopodal mostu powstał rozległy magazyn i doki, w

252

których przeladowywano towary z wozów na barki rzeczne, wiozące wszelakie dobra do serca Imperium. Obecnie widać było tylko kilka płaskodennych łodzi, ponieważ dmąca tu przeważnie z zachodu wiatry umożliwiały przez większą część roku żeglugę w górę rzeki - wyjąwszy czas wiosennych powodzi - z Kesh do Jamili i

innych położonych na wybrzeżu miast. Ruch statków po wielkim jeziorze, Głębi Overn, był równie duży, jak na każdym z otaczających Midkemię mórz.

Bornic rozejrzył się dookoła. Nadal czuł się nieswojo w nowym stroju - obecnie miał na sobie dahe - tradycyjny strój górali Bendrifi, zamieszkujących zbocza Gór Deszczowego Cienia. Był to wyjątkowo barwny kawał płótna zawiązany wokół bioder i przerzucony przez ramię niczym toga. Nogi i prawe ramię miał Bornic odślonięte, na stopy zaś zamiast butów włożył rzemieńne, podobne do wojskowych, sandały. Bez kolczugi czuł, że wygląda śmiesznie, i zdawało mu się, że wszyscy się nań gapią. Przebranie się za górala było jednak dość rozsądnym wyborem, bo Bendrifi należeli do nielicznej grupki jasnoskórych ludów zamieszkujących Kesh. Poprzedniej nocy Nakor ściął Borrikowi włosy niemal tuż przy skórze, resztę zaś czupryny posmarował jakąś okropnie śmierdzącą miksturą własnego pomysłu i wyrobu. Teraz więc książę miał na głowie zdumiewająco jasną, najeżoną - dzięki słodko pachnącej pomadzie - fryzurę odsłaniającą uszy. Bendrifi należeli też do ludzi wyniosłych i trzymających się na uboczu, mało więc było prawdopodobne, by ktoś zwrócił uwagę na jego maniery. Książę modlił się tylko w duchu, by nie trafić tu na jakiegoś ziomka z gór - język górali do tego stopnia różnił się od języków innych narodów Keshu, że nie potrafił wymówić w nim poprawnie żadnego słowa.

Podczas kiedy Borric przy pomocy Nakora przekształcał się w albinosa, Suli zdradził się, że znakilka przekleństw w Ghendrifi, i książę poprosił go o naukę choć kilku zdań.

Książę nie miał pojęcia, skąd Nakor wziął zdumiewający strój, ale wszystko, czego się imał Isalańczyk, kończyło się zaskakującym sukcesem. Niewysoki frant

dostał za konie sumę dwukrotnie większą od tej, jakiej spodziewał się Bornic, i zdołał wytrzasnąć skądś rapier - tu, w lichej miejscinie, podczas gdy Borrikowi nie udało się znaleźć ulubionej broni w jednym z większych miast Keshu. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, zdobył też wszystkie potrzebne do zdumiewającej przemiany księcia w górala przedmioty.

253

Suli przebrał się teraz za chłopca z plemienia Beni-Sherin, którego członkowie od niepamiętnych czasów włóczyli się po Jal-Pur-i miał miecz u boku. Okrył się długą, luźną szatą, głowę owinął turbanem, z którego zwisały fałdy płótna zasłaniającego całą twarz z wyjątkiem oczu. Kiedy pamiętał o tym, by się nie schylać, mógł nawet uchodzić za dorosłego. Nie bardzo miał ochotę rozstać się ze swoimi łachmanami - aż Ghuda musiał zagrozić, że odetnie go od nich mieczem. Bornic - który nie omieszkał zauważyć, że od chwili, kiedy ich aresztowano w Jeeloge, najemnik zrobił się dziwnie niecierpliwy - nie był pewien, czy Ghuda w istocie żartował.

Ghuda sprzedał swoją kolczugę i nabył inną, lżejszą, wraz z niemal nowymi skórzanymi ochraniaczami przedramion. Zrezygnował też z dawnego hełmu. Sprzedał go i nabył inny, podobny do noszonych przez żołnierzy z Psich Legionów - metalowy szyszak zwieńczony ostrym szpikulcem, ozdobiony po brzegach czarnym futrem i z misiurką chroniącą kark i szyję. Misiurką można też było zakryć twarz, odsłaniając jedynie oczy - i tak właśnie nosił się teraz Ghuda.

Nakor zgubił gdzieś swoją żółtą szatę i teraz miał na sobie coś niemal równie dziwnego - ale zdecydowanie innego, śliwkowego koloru. Bornic nie sądził zresztą, że wyga wygląda mniej zabawnie. Isalańczyk odczuwał jednak - jak sam

powiedział silną potrzebę zmiany barw, poznawszy zaś już jego pomysłowość i przedsiębiorczość, książę nie widział potrzeby sporów. Nakor zdołał też wykupić im miejsca na pokładzie barki płynącej do Keshu. Czwórka zbiegów mogła się skryć wśród setki innych pasażerów. Zgodnie z przypuszczeniami Borrika, wszędzie było pełno straży. Żołnierze usiłowali nie rzucać się w oczy, było ich jednak zbyt wielu, by przedsięwzięcie się udało - zbyt często też zaglądali ludziom w oczy, by nie wydało się to wszystkim podejrzanym.

Wyszli z za rogu - Borric i Suli wyprzedzali o kilka kroków podążających za nimi Ghudę i Nakora - i ruszyli w stronę tawerny wzniesionej tuż obok portu. Łódź miała odbić od brzegu za dwie godziny. Powinni zachowywać się jak pasażerowie zmuszeni do spędzania wolnego czasu w towarzystwie obcych ludzi. Gdy mijali otwarte drzwi, Suli nagle się potknął i szepnął do Borrika: - Panie, poznaję ten głos!

Borric wepchnął chłopca w następną bramę i skinieniem dłoni nakazał Nakorowi i Ghudzie, by obojętnie szli dalej.

- O czym ty mówisz? - spytał chłopca.

254

Suli wskazał dłonią drzwi, które przed chwilą minęli.

- Usłyszałem jedynie kilka słów, ale jestem pewien, że się nie mylę. Znam ten głos.

- Czyj?

- Nie mam pojęcia. Pozwól, że wrócę i posłucham jeszcze raz. - Chłopiec rzeczywiście odwrócił się i przeszedł kilka kroków, zatrzymał się na chwilę koło drzwi, o których mówił, potem ruszył dalej i wyjrzał z za rogu, jakby się kogoś lub

czegoś spodziewał. Przez chwilę udawał, że czeka, potem wzruszył ramionami i wrócił do Borrika. Minąwszy drzwi, przyspieszył i dotarłszy do księcia, powiedział:

- Słyszałem ten głos w durbińskim pałacu namiestnika, kiedy spiskowcy zrywali się, by cię zabić!

Przez chwilę Borric się wahał, niepewny, co czynić. Jeżeli spróbują przejść raz jeszcze przed tymi drzwiami, mogą niepotrzebnie zwrócić na siebie uwagę, chciał jednak wiedzieć, kto był na jego tropie i kto pragnie jego śmierci.

- Poczekaj tu - polecił chłopakowi - i sprawdź, kto stąd wyjdzie. Potem wróć do gospody i opowiedz mi o wszystkim. Zostawiwszy chłopca, udał się do gospody, gdzie jego towarzysze popijali już piwo. Na chwilę zatrzymał się przy ich stole i mruknął cicho:

- W mieście jest ktoś, kto mnie zna - i minąwszy ich stół, usiadł przy następnym. Nie musiał długo czekać, wkrótce zjawił się Suli.

- Panie, to był mąż w czarnym płaszczu. Nigdy go chyba nie zdejmuję. Głos niewątpliwie należy do niego.

- Przyjrzałeś mu się?

- Dostatecznie, by go poznać, jeżeli znów gdzieś go spotkamy - odpowiedział chłopiec.

- Świetnie! - rzekł Borric, wiedząc, że Ghuda i Nakor uważnie się wszystkiemu przysłuchują. - Kiedy znów go gdzieś zobaczysz, daj nam znać.

- Panie... jest coś jeszcze... - Co znowu?

- Przyjrzałem mu się na tyle, by poznać, że on należy do błękitnokrwistych.

- To akurat nie jest dla mnie niespodzianką - mruknął Borric. - To nie wszystko... Kiedy poprawiał swą opończę, zobaczyłem na jego szyi błysk złota.

- I cóż to oznacza? - spytał Borric. Odpowiedział mu Ghuda, syknąwszy

gniewnie przez ramię:

255

- A to, ty tępogłowy bałwanie, że twój błękitnokrwisty nie jest takim ot, zwykłym sobie keshzańskim szlachetką, ale należy do rodziny królewskiej! Tylko im wolno nosić złote wtorki! Może jest nawet dość dalekim krewnym imperatorowej, ale ciotunia wciąż przysyła mu prezenciki na urodziny! W jaką, do stu czartów, kabałę nas wpakowałeś?

Borric umilkł, bo podeszła do nich rosta i ponura dziewczka służebna.

Ochryptym głosem księżę zamówił dwa kufle piwa, a kiedy dziewczyna odeszła, odwrócił się bokiem do Ghudy.

- Przyjacielu, sprawa jest ciemna i zagmatwana. Jak powiedziałem, to polityka.

Kiedy dziewczka podała im piwo i poszła, Ghuda wpadł w nastrój filozoficzny:

- Moja droga, zmarła mamusia zawsze chciała, bym sobie znalazł jakieś powszechnie szanowane zajęcie, na przykład okradanie grobów. Czy jej posłuchałem? Skądże. Zostań mordercą, mówiła, jak poczciwy wuj Gustaw.

Przejąłem się jej gadaniem? Wcale. Stryj Tomas, dusza człowiek, nekromanta, potrzebował ucznia...

Zwykle Borric znajdował upodobanie w szubienicznym humorze i żartach, teraz jednak miał do przemyślenia poważny problem. Kim był człowiek pragnący śmierci obu krontorskich księżąt krwi? I dlaczego mu na niej zależało? Przedtem wiedział tylko, że spisek zawiązał się w najwyższych sferach Imperium, ale żeby brali w nim udział członkowie rodziny panującej? Westchnąwszy ciężko, przełknął

nagle zgorzkniałe piwo i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zabić czas, który pozostał im do odpłynięcia łodzi.

Wreszcie oznajmiono, że łódź odbija od brzegu i Borric wraz z towarzyszami i kilkunastoma innymi pasażerami, zebrawszy tobołki i bagaże, pospieszyli ku drzwiom. Po wyjściu na zewnątrz Borric spostrzegł kompanię gwardii imperialnej, która rozstawiwszy się przy trapie, uważnie przyglądała się wchodzącym na pokład. Byli to żołnierze Legionu Wewnętrzznego, któremu dowództwo armii powierzyło czuwanie nad bezpieczeństwem serca Imperium. Każdy z nich miał hełm i czarno szmelcowany napierśnik. Krótkie, czarne kilty, nagołenniki i stalowe ochraniacze przedramion nadawały im groźny, władczy wygląd. Dowodzący oddziałkiem oficer miał na głowie hełm ozdobiony czerwoną końską kitą, która opadała mu aż na plecy.

256

- Zachowajcie spokój - szepnęła Borric - i postarajcie się wyglądać jak obywatele nie mający powodów do strachu przed władzą. - Popchnąwszy lekko Suliego, dał mu do zrozumienia, że powinien pójść przodem, potem posłał na trap Nakora i Ghudę. Sam postanowił jeszcze poczekać. Gwardziści od czasu do czasu spoglądali na jakiś pergamin, na którym prawdopodobnie dokładnie opisano całą trójkę poszukiwanych. Suliego przepuścili, nie zaszczycawszy go nawet drugim spojrzeniem. Ghudę zatrzymali i zadali mu jakieś pytanie, ale odpowiedź najemnika najwidoczniej ich zadowoliła, bo pozwolili mu wejść na pokład. I nagle serce księcia okryła powłoka lodu, gdy zobaczył, że Nakor zatrzymuje się przy jednym ze strażników i pokazuje go palcem ponad głowami tłumu. Gwardzista kiwnął głową i powiedział coś swemu towarzyszowi. Borric poczuł nagle, że

zasycha mu w gardle trzech strażnicy oderwali się od barierki i ruszyli ku niemu!

Księżę błyskawicznie ocenił sytuację, pomyślał, że w razie walki lepiej będzie ją toczyć na otwartej przestrzeni i ruszył ku trapowi, jakby niczego nie podejrzewał.

Kiedy mijał strażników, na jego ramieniu spoczęła ciężka łapa.

- Hola, bratku! Zaczekaj no! - Nie była to prośba.

Borric udał człowieka poirytowanego bezpodstawnym zatrzymaniem.

Obejrzał się przez ramię, ku obserwującemu całą scenkę oficerowi.

- O co chodzi? - spytał, wkładając w głos tyle złości, ile potrafił jej w sobie wzbudzić.

- Słyszeliśmy, że w drodze z Khattary starałeś się wywołać burdę. Może strażnicy karawany nie potrafili się z tobą uporać, ale tu, na pokładzie łodzi, będzie cię miało na oku sześciu legionistów. Zacznieś rozrabiać i wylecisz na pysk za burtę, zrozumiano?

Borric spojrział w oczy mówiącego, gniewnie wyjął wargi i warknął mu w twarz jedno z obraźliwych zdań, których nauczył go Suli. Wyrwał ramię z uścisku gwardzisty, kiedy jednak zobaczył, że trzy dłonie natychmiast zacisnęły się na rękojęściach krótkich, imperialnych kordów, uniósł je otwartą dłonią ku górze, pokazując, że się zamierza wdawać się w bitkę.

Odwrócił się do strażników plecami i ruszył na trap, usiłując zachować wygląd dumnego i zranionego w swych uczuciach górala - miał przy tym nadzieję, że jego kolana nie wyglądają na aż tak rozdygotane, jak to odczuwał. Na pokład wszedł niemal ostatni i znalazł sobie siedzisko naprzeciwko szerokiej ławy, na której ulokowali się jego towarzysze. Ostatnia weszła na łódź szóstka strażników,

którzy trzymali się razem i rozmawiali również tylko ze sobą. Borric przysięgł sobie w duchu, że kiedy dotrą szczęśliwie do Keshu, z radością udusi małego Isalańczyka. Minęło półtora dnia, gdy zobaczyli na horyzoncie zarysy Keshu. Borric otrząsnął się już z szoku, jaki przeżył dzięki Nakorowi, i teraz przybrał pozę ponuraka - co zresztą przyszło mu bez najmniejszego trudu. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, on jednak jakoś musiał jej sprostać. Ojciec nieustannie pouczał jego i Erlanda, że jedyną rzeczą, jaką życie gwarantuje bez żadnych starań z naszej strony, jest klęska - aby osiągnąć zamierzony cel, trzeba dołożyć starań i podejmować ryzyko. Wtedy nie bardzo rozumiał, o czym ojciec mówi. Obaj z Erlandem byli książętami krwi i niewiele było rzeczy, których nie mogliby dokonać - zawdzięczali to jednak swemu statusowi społecznemu. Teraz znacznie lepiej pojmował to, co usiłował im wyjaśnić ojciec, stawką zaś w grze było życie jego samego, Erlanda i - być może - istnienie Królestwa. Gdy zbliżyli się do imperialnej przystani, Borric spostrzegł rozstawioną tam kompanię żołnierzy. Może czekali na przewóz przez Głębię Overn, może była to zwykła straż portowa - ale mogło być i tak, że czekali, by przyjrzeć się przybyszom, co czyniło z nich jedną więcej przeszkodę, oddzielającą Borrika od brata.

Gdy łódź skierowała dziób ku nabrzeżu, Borric precyzyjnie przycisnął się do grupki sześciu legionistów. Ci także szykowali się do 7xjścia na ląd i gdy rzucono cumy, Borric stanął obok żołnierza, z którym rozmawiał przed wejściem na pokład. Ten obejrzał się przez ramię i odwrócił ku swoim kompanom. Borric nie przedsięwziął niczego, dopóki nie zobaczył, że wszyscy pasażerowie przed odejściem są badani i przepytывani i zrozumiał, że niewielkie ma szanse na to, by ujść niegłupim w końcu strażnikom. Gdy więc nadeszła jego kolej, odwrócił się i odezwał ochryple do

stojącego obok legionisty:

- Żołnierzu... obrażłem cię przed wejściem na pokład. Oczy legionisty

zweźliły się nieznacznie.

- Domyśliłem się tego, choć nie pojmuję waszego bełkotu. Borric wszedł na trap razem z żołnierzem.

- Przybyłem tu, by świętować Jubileusz imperatorowej, oby żyła wiecznie, i złożyć ofiarę w świątyni Tith-Onaki. - Borric już wcześniej zauważył, że jego rozmówca, jak wielu innych żołnierzy, nosi na szyi medalion wyznawcy Dwulicego Boga Wojny. -Przy tak pobożnej okazji nie pragnę złej krwi pomiędzy mną i innym

258

wojownikiem. Isalańczyk oszukał mnie przy kartach. Dlatego byłem taki wściekły.

Czy przyjmiesz moją dłoń wraz ze szczerymi przeprosinami?

- Żaden wierny nie powinien wkraczać na święte tereny z urazą w sercu,

jaką żywi do innego wojownika-odpowiedział legionista. Po zejściu z trapu, tuż przed przepytującymi wszystkich strażnikami, Borric i legionista uścisnęli sobie dłonie, stosując je do łokcia drugiego i potrząsając serdecznie przedramionami.

- Oby wróg nigdy nie ujrzał twoich pleców, góralu!

- Obyś jeszcze przez wiele lat mógł śpiewać pieśń zwycięstwa, legionisto!

Jak dwaj starzy, żegnający się serdecznie druhowie wymienili raz jeszcze

uściski i Borric odwrócił się, mijając strażników przy zejściu. Jeden z nich drgnął,

jakby chciał zatrzymać księcia, rozmyślił się jednak i złapał za kark próbującego

przemknąć obok niepostrzeżenie małego, śliwkowego Isalańczyka. Borric przeszedł

na drugą stronę ulicy i przystanął, by zobaczyć, jak też poradzi sobie Nakor. Ten

tymczasem sprzeczał się zaciekle ze strażnikiem i inni zaczęli się odwracać, by

zobaczyć, co się dzieje. Obok Borrika pojawił się Ghuda, który przystanął tu jakby przypadkiem. Po kilku chwilach był już przy nich Suli. Wokół Nakora skupił się już niemały krąg strażników i wszyscy pokazywali na jego spory, pękaty wór.

Wreszcie, jakby ustępując bezczelnym żądaniom, Isalańczyk podał wór pierwszemu ze strażników, który wetknąwszy weń dłoń, sięgnął w głąb i wywrócił biesagi szwami na zewnątrz. Były puste.

- To ci dopiero! - gwizdnął Ghuda.

- Może jednak magia to nie tylko zręczność palców? mruknął Borric.

- No dobrze, Wariacie. Jesteśmy w Keshu. Dokąd teraz? Rozejrzawszy się dookoła, Borric powiedział:

- Skręć w prawo i idź wzdłuż nabrzeża. Wejdziesz w trzecią ulicę z prawej i idź nią aż do pierwszej oberży, na jaką się natkniesz. Tam się spotkamy. - Ghuda kiwnął głową i ruszył we wskazanym mu kierunku. - Suli! - szepnął Borric. -

Poczekaj na Nakora i powiedz mu, gdzie się spotkamy.

- Jak rozkażesz, panie! - odpowiedział chłopiec i Borric leniwym krokiem udał się w ślad za Ghudą.

Oberża okazała się dość podejrzanie wyglądającym lokalem o wspaniale brzmiącej nazwie „Pod Imperialnym Sztandarem i Obsypaną Klejnotami Koroną” .

Borric nie miał pojęcia, jakie wydarzenie w historii Keshu podkusiło oberżystę do nadania swej mordowni tak szumnej nazwy, ponieważ rozejrzawszy się dookoła,

259

nie spostrzegł niczego imperialnego ani koronnego. Nie różniła się niczym szczególnym od setek podobnych, mrocznych i zasnutych dymem gospód w setkach innych miast Midkemii. Różne w nich panowały obyczaje, mówiono różnymi

językami, klientela była w nich jednak zawsze taka sama i składała się ze złodziejasków, dziwek, wszelkiego rodzaju rzezimieszków, graczy i pijaków.

Borric po raz pierwszy od chwili wkroczenia w granice Imperium poczuł się jak w domu.

Rozejrzawszy się dookoła, stwierdził, że panuje tu zwykły w takich miejscach szacunek dla prywatności, do którego przyzwyczał się już w Królestwie.

Spoglądając na swój kufel, powiedział obojętnym głosem:

- Można przypuszczać, że przynajmniej jeden z klientów jest agentem imperialnym lub tajnym informatorem tutejszych stróżów prawa.

Ghuda zdjął hełm, podrapał się po spoconej głowie i mruknął: - Ba... gotów jestem się o to założyć.

- Nie zostaniemy tu zbyt długo - stwierdził Borric.

- Co za ulga! - sapnął Ghuda. - Choć przyznam, że zanim stąd wyjdziemy, chętnie wypiję kufel piwa.

Borric się zgodził i najemnik złapał za łokieć posługacza, który przyniósł cztery kufle. Książę napił się i powiedział:

- Zdumiewające! Piwo jest schłodzone!

Ghuda przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w kościach.

- Jeśli zechcesz spojrzeć ku północy, Wariacie (kiedy wyjdziemy na zewnątrz), zauważysz w oddali łańcuch górski. To Świetliste Szczyty - nazwane tak dlatego, że ich wierzchołki okryte są stale lodem, który przy odpowiednim oświetleniu odbija światło słońca i tworzy ów niezwykle efektowny wygląd odległych gór. W tym mieście handluje się lodem, Wariacie. Gildia Wycinaczy Lodu należy do najbogatszych w Keshu.

- Każdego dnia człowiek dowiadyuje się czegoś nowego zauważył filozoficznie

Borric.

- Wcale mi się to nie podoba - mruknął Nakor. - Piwo powinno być ciepłe. Od tego chłodu tylko łeb mnie rozboleł. Borric wybuchnął śmiechem.

- No tak... to jesteśmy w Keshu - powiedział Ghuda. Co dalej, Wariacie? Jak dotrzemy do twoich przyjaciół?

Borric ściszył głos. - Hmm...

260

- Co hmm'? - Oczy najemnika zwęziły się groźnie.

- Wiem, gdzie ich znaleźć. Niestety, nie bardzo wiem, jak się tam dostać.

- A gdzie są? - Oczy Ghudy przekształciły się w dwie wąskie szparki.

- W pałacu.

- Bodajbyś pękł! - wybuchnął Ghuda i kilkunastu gości odwróciło głowy, by zobaczyć, co się stało. Najemnik zniżył głos do szeptu, co wcale jednak nie mitygowało jego wściekłości. Żartujesz, prawda? Powiedz, że to żart! - Borric potrząsnął głową. Ghuda wstał, zatknął za pas swój długi sztylet i podniósł ze stołu swój hełm.

- Dokąd się wybierasz? - spytał go Borric. - W przeciwną stronę, Wariacie!

- Zawarliśmy umowę!

- Zobowiązałem się dowieść cię do Keshu - rzekł najemnik, patrząc na księcia z góry. - Jesteśmy w Keshu! Ani słowem nie wspomniałeś o pałacu. -

Wycelowawszy oskarżycielskim gestem palec w Borrika, dodał: - Jesteś mi winien pięć tysięcy złotych ecu, Wariacie! I pewnie nie zobaczę ani dziesiątej części tej sumy.

- Dostaniesz wszystko co do grosza - pospieszył z zapewnieniem książę. -

Masz na to moje słowo. Pierwej jednak muszę znaleźć przyjaciół.

- W pałacu! - syknął Ghuda. - Siadaj, kpie! Ludzie się gapią!

- A niech się gapią! - ciskał się Ghuda. - Pierwszą lepszą łodzią ruszam do Kimri. Potem jakoś dostanę się do Hansule, a stamtąd statkiem przeprawię się do Wschodnich Królestw. Resztę dni spędzę wprawdzie, strzegąc cudzych karawan, ale przynajmniej zachowam życie, czego się nie da powiedzieć o tobie, jeśli spróbujesz dostać się do pałacu.

- Znam kilka sztuczek - odparł Borric z uśmiechem. - Co mam zrobić, byś zechciał zostać z nami?

Ghuda nie bardzo wierzył, że Borric mówi poważnie, udał więc, że się namyśla.

- Podwójna stawka. Dziesięć tysięcy ecu. - Zgoda! - uciął Borric.

- Ha! - odparł Ghuda. - Łatwo ci obiecywać! Za dzień lub dwa możemy być karmą dla szczurów!

- Musimy nawiązać kontakt z pewnymi ludźmi - rzekł tymczasem książę do Sulięgo.

261

- Z kim, panie?- Suli zamrugał powiekami jak ktoś zupełnie nieświadomy tego, o czym mowa.

- Z przedstawicielami Gildii Złodziei. Z Szydercami. Z członkami Obszarpanego Bractwa, czy jak oni się tu nazywają.

Suli kiwnął głową, ale wyraz twarzy chłopca wskazywał na to, iż młodzik nie ma pojęcia o kim mowa.

- *Panie?*

- *Co z ciebie za ulicznik? - spytał Borric.*

- *Panie, pochodzę z miasta, w którym nie ma takiego stowarzyszenia -
wzruszył ramionami Suli.*

Borric potrząsnął głową.

- *Posłuchaj. Idź i poszukaj najbliższego targowiska. Znajdź jakiegoś żebraka*

-- *tyle chyba potrafisz, prawda? - Suli kiwnął głową. - Daj mu monetę i powiedz, że
przybysz z daleka chciałby porozmawiać z kimś o pewnej pilnej i sekretnej sprawie,
która niechybnie zainteresuje ludzi, mogących załatwić w tym mieście niektóre
rzeczy cicho i dyskretnie. Zrozumiałeś?*

- *Chyba tak, panie.*

- *Jeżeli żebrak zacznie ci zadawać pytania, powiedz mu Borric przypomniał
sobie pewne historyjki, którymi częstował go James, kiedy opowiadał mu swe
spędzone wśród krontorskich złodziejasków dzieciństwo - że jesteś wysłannikiem
kogoś, kto pragnie uniknąć kłopotów, związanych z jego pobytem w tym mieście i
kto chce przedsięwziąć pewne kroki, które wszystkim wyjdą na dobre.*

Zapamiętasz?

*Suli powtórzył wszystko sumiennie, a kiedy Borric upewnił się, że chłopiec
niczego nie zapomniał, wysłał go na ulicę. Pozostali pili w milczeniu, dopóki Borric
nie zauważył, że Nakor sięga do worka i wyciąga zeń ser i chleb. Spojrzał bystro na
Isalańczyka i rzekł: - Hola! Kiedy strażnik zaglądał do worka, był pusty!*

- *Nie inaczej - zgodził się Nakor, którego niezwykle białe zęby jakby nie
chciały się zmieścić w ustach.*

- *Jakżeś to zrobił? - spytał Ghuda.*

- Ot, zwykła sztuczka -odpowiedział roześmiany przechera, jakby to wyjaśniało wszystko.

Suli wrócił o zmierzchu. Usiadł obok Borrika i rzekł:

262

- Panie, trwało to trochę, ale w końcu znalazłem odpowiedniego człowieka.

Dałem mu monetę i powiedziałem, co kazałeś. Zadał mi wiele pytań, odpowiadałem jednak tylko tak, jak mi poleciałeś, i niczego więcej mu nie zdradziłem. Kazał mi czekać i gdzieś przepadł. Czekałem w wielkim strachu, ale on powrócił i powiedział, że wszystko w porządku. Ci, z którymi chcesz się spotkać, będą we wskazanym przez niego miejscu i o czasie.

- Zatem gdzie i kiedy? - spytał Ghuda.

- Drugi dzwon po zachodzie słońca. Miejsce jest niedaleko stąd. Wiem, bo kazał mi kilkanaście razy wszystko powtórzyć. Musimy jednak iść na tamten targ, bo nie wiem, jak tam trafić z naszej obozowiny - tłumaczył Suli Borrikowi.

- Dobrze - odpowiedział Borric. - I tak za długo już tu siedzimy. Ruszajmy.

Wszyscy wstali i podążyli za Sulim do najbliższego targowiska. Borric znów się zdumiał różnorodnością i liczebnością otaczającej go ciżby ludzkiej. Czuł się głupio, ponieważ nikt nawet nie zwrócił uwagi na jego góralskie przebranie. W stolicy Imperium natknął się na znacznie większy wybór ubiorów niż w prowincjonalnej w końcu Farafrze. W promieniach późnego, popołudniowego słońca miał okazję zobaczyć najczarniejszych mężów, jacy kiedykolwiek znaleźli się w polu jego widzenia. Byli to łowcy lwów z trawiastych równin. Spotkał też znaczną liczbę jasnoskórych przybyszów z północy, która wykazywała wyraźnie, że Kesh utrzymuje ostatnio dobrosąsiedzkie stosunki z Królestwem Wysp. Wielu

mijanych miało skośne oczy i żółtawą skórę Nakora, ubrani byli jednak inaczej niż Isalańczyk- niektórzy nosili jedwabne kurtki i spodnie do kolan, inni odziewali się w dziwaczne zbroje z polerowanej laki, jeszcze inni mieli mnisie habity. Mijały ich też rozmaicie odziane kobiety -jedne od stóp po czubek głowy spowite w płótno, inne niemal zupełnie nagie - i niewielu zwracało uwagę na te ostatnie, chyba że rzeczywiście było na co popatrzeć. Obok przeszło dwu Ashuntai, którzy prowadzili na obroży każdy po dwie kobiety skute łańcuchami - obie były nagie i patrzyły w ziemię. Mijający ich muskularni mężczyźni o czerwonych i białych włosach, odziani w kolczugi i -- mimo wszechobecnego upału futra, obrzucili nożowców obelgami i przekleństwami.

- Co to za jedni? - spytał Borric Ghudę.

- Brijani. Marynarze z Brijane i portów leżących na wybrzeżu przy Górach Ponurych. To rozbójnicy i kupcy, którzy na swoich długich łodziach przemierzają Wielkie Morze od Keshu aż po Wschodnie Królestwa - i nawet się chępią, że

263

przeptywają Morze Bezkresne. To dumni, porywczy ludzie, wielbiący duchy swych matek. Wszystkie kobiety Brijani są kapłankami i wróżbitkami, mężczyźni zaś wierzą, że ich duchy przybywają, by prowadzić łodzie precz morza - dlatego też czczą kobiety i uważają je za święte istoty. Ashuntai zaś traktują kobiety znacznie gorzej niż psy. Gdyby nie imperialny pokój, ogłoszony w mieście, już by się wzięli za łby i pocięli w sztuki.

- Wspaniale-rzekł Borric. - Często w Keshu zdarzają się takie waśniè?

- Ot, tak sobie - odparł Ghuda. - Podczas każdej uroczystości zdarza się mniej więcej setka orężnych rozpraw -dlatego trzyma się w stolicy Straż Pałacową i

Legion Wewnętrzny. Legion utrzymuje porządek w całym wewnętrznym Imperium

- nad brzegami Overn i wewnątrz pierścienia gór utworzonego przez Matkę Wód, Świetliste Szczyty, Strażników i Góry Ponure. Na zewnątrz porządek zaprowadzają miejscowi magnaci. Pokój zresztą obowiązuje jedynie na imperialnych drogach i podczas wszelkiego rodzaju uroczystości. Kiedy indziej lub gdzie indziej przeciągnął znacząco dłonią po swej krtani -mniej liczni i słabsi idą sępom na źer.

Borrika nieustannie zdumiewały obyczaje panujące w Keshu.

Tłum na ulicach wydawał mu się jednocześnie znajomy i całkowicie obcy.

Wiele z tego, co obserwował w tym mieście, było takie jak w Krondorze - ale to miasto widziało już całe wieki obcych kultur i wpływów. Kiedy wkroczyli na rynek, Bornic powiedział: - Jestem pod wrażeniem.

- To miejscowy rynecek, Wariacie - zachnął się Ghuda. - Największy jest naprzeciwko amfiteatru. Tam właśnie udaje się większość podróżnych.

Bornic potrząsnął głową i rozejrzał się dookoła. - Kiedy powinniśmy ruszać? - spytał Suliego.

- Mamy jeszcze chwilę czasu, panie. --Gdy to mówił, rozległy się uderzenia dzwonów i kurantów na wieżach całego miasta. Dopiero pierwszy dzwon, panie, mamy jeszcze godzinę.

- Dobrze, zdążymy jeszcze coś zjeść.

Nikt się nie sprzeciwił, więc zaczęli się rozglądać za jakąś jadłodajnią, w której ceny nie byłyby ulicznym rozbojem.

O drugim dzwonie weszli we wskazaną uliczkę. - Tędy, panie - szepnął cicho Suli.

Mimo wczesnej godziny, uliczka była już opustoszała. Wąski zaułek

zastawiono pojemnikami na śmieci, od których ciągnął straszliwy smród. Usiłując

264

zatrzymać w żołądku tłustą wieprzowinę z chlebem, którymi nasycił głód, Bornic powiedział:

- Kiedyś pewien bywały w świecie przyjaciel wyjaśnił mi, że złodzieje często zastawiają drogę kubłami na śmieci i-przerwał, potknąwszy się o zdechłego psa-innymi rzeczami, aby zniechęcić stróżów prawa do odwiedzania niektórych zaułków.

Na końcu uliczki zobaczyli drzwi --drewniane, ale z metalowym zamkiem.

Bornic spróbował je otworzyć i przekonał się, że są zamknięte. Wówczas usłyszeli z tyłu czyjś głos mówiący:

-- Dobry wieczór.

Bornic z Ghudą odwrócili się i odepchnęli Suliego oraz Nakora za siebie. Z drugiego końca uliczki nadchodziło ku nim kilku uzbrojonych ludzi.

- Mam złe przeczucia, Wariacie! - syknął Ghuda.

- Witajcie - odezwał się książę. - Czy to wy jesteście tymi, z którymi mamy się spotkać?

- To zależy - odparł przywódca szajki, chudy jegomość z przyklejonym do lisiej gęby uśmiechem. Miał straszliwie piegowatą twarz, co widać było nawet w kiepsko oświetlonej uliczce. Stojący za nim kryli się w cieniu. - O co wam chodzi?

- Chcę się dostać do pałacu.

Kilku przybyszów roześmiało się gardłowo.

- To niezwykle proste - odpowiedział przywódca. - Daj się aresztować i zażądaj, by postawiono cię przed Wysokim Trybunałem. Musisz tylko złamać

prawo. Zabij na przykład strażnika... to działa bez pudła.

- Muszę tam wejść niepostrzeżenie.

- Nic z tego, to niemożliwe. Dlaczegoż zresztą mielibyśmy ci pomagać'? Nie mówisz jak Bendrifi, choć nosisz ich szaty. Miasto pełne jest agentów, którzy kogoś pilnie szukają - nie wiemy, o kogo chodzi, a tym kimś możesz być ty. Złożywszy jedno z drugim - dodał, wyciągając długi miecz - dajemy ci dziesięć sekund na przekonanie nas, że masz dla nas lepszą ofertę, niż zabicie was tu i teraz oraz zabranie waszego złota.

Bornic i Ghuda również sięgnęli po miecze.

- Mogę wam na przykład obiecać tysiąc ecu, jeżeli powiecie nam, jak wejść do pałacu, i drugie tyle, jeśli nas tam zaraz zaprowadzicie.

265

Przywódca dał znak mieczem i jego kompani zaczęli zajmować pozycje po bokach, formując ścianę najeżoną stalą.

- To wszystko?

- Nie, przynoszę też pozdrowienia od Sprawiedliwego z Krondoru.

Przywódca zatrzymał się na chwilę. - Jestem pod wrażeniem.

Bornic odetchnął z ulgą i usłyszał dalsze słowa łotrzyka: Istotnie... jestem pod wrażeniem. Nieczęsto otrzymuje się pozdrowienia od kogoś, kto nie żyje od kilkunastu lat. Obecnie Szydercom w Krondorze przewodzi Cnotliwy. Twoje listy polecające, szpiclu, są lekko spóźnione. - I zwracając się do swoich ludzi, polecił krótko: - Zabić ich!

W alei było zbyt ciasno, by Ghuda mógł użyć swego katowskiego miecza, najemnik sięgnął więc po dwa sztylety, Borric wydobyl z pochwy swój miecz, Suli

zaś wyciągnął szablę. Formując trzyosobowy szereg, Borric na chwilę zatrzymał się obok Ghudy.

- Możesz otworzyć ten zamek?

- Momencik! - odpowiedział Isalani i w tej chwili runęli na nich napastnicy.

Borric pierwszy rozplatał krtań swemu przeciwnikowi gładkim pchnięciem, podczas gdy Ghuda z trudem parował swymi dwoma kordelasami uderzenia długiego miecza. Suli nigdy przedtem nie trzymał w dłoni szabli, wywijał nią teraz jednak dostatecznie żwawo, by zniechęcić swego przeciwnika do prób przeniknięcia za ścianę migotliwej stali. Po śmierci jednego ze swoich napastnicy jakby stracili zapal. Niezbyt im się uśmiechała perspektywa nacierania na rapier Borrika. Wąska uliczka nie dawała im okazji do wykorzystania przewagi liczebnej - choć zawsze mogli liczyć na zmęczenie przeciwnika. Borric i jego kompania mieli odciętą drogę odwrotu, opryszkowie zadowolili się więc grą na zwłokę, wymieniając ciosy i wycofując się w porę. Tymczasem szperający w swojej przepaścistej sakwie Nakor znalazł wreszcie to, czego szukał. Borric spojrzał przez ramię i zobaczył, że Isalańczyk otwiera jakieś niewielkie pudełeczko.

- Co ty wypr... - nie zdołał dokończyć, bo musiał uchylić się przed cięciem

korda, które o mało co rozplatało mu ramię. Księżę pchnął i kolejny napastnik musiał opuścić plac boju, przyciskając dłoń do wąskiej, głębokiej rany w boku.

Nakor tymczasem wysypał z pudełeczka na dłoń garść szarego proszku i starannie zamknął pokrywę. Następnie przyklęknął przed zamkniętymi drzwiami i uniósłszy dłoń z proszkiem do dziurki od klucza w zamku, ostrożnie dmuchnął, aż wąziutka

smuga proszku wpadła prosto do owej dziurki. Gdy proszek wniknął w głąb zamka,

rozległa się seria cichutkich kliknięć. Nakor wstał, uśmiechnął się dumnie, schował pudełko z proszkiem i nacisnąwszy klamkę, otworzył drzwi.

- Można wchodzić - oznajmił spokojnie. Natychmiast potem Ghuda bezceremonialnie wepchnął go w otwarte drzwi i skoczył za nim. Borric tymczasem natarł na wrogów, błyskawiczną serią pchnięć i cięć osłaniając rejteradę Suliego, który śmignął ku otwartym drzwiom za najemnikiem. Ostatni przemknął przez nie Borric i Ghuda kopnięciem zatrzęsł je na glucho. Nakor już podawał im jakieś krzesło, które Borric wcisnął pod klamkę, (klinując ją przynajmniej na chwilę. Księżę odwrócił się ku wnętrzu i jednocześnie zdał sobie sprawę z dwu faktów. Pierwszym była obecność nagiej dziewczyny o oczach znacznie starszych niż reszta jej kształtnego ciała. Siedziała nieopodal kolejnych drzwi, czekając najwidoczniej na polecenia kogoś, kto się za nimi ukrywał. Drugą był słodkawy zapach wiszący w powietrzu, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym, a na który składały się mieszaniwa intensywnych perfum, mięty, haszyszu i słodko pachnących olejków. Znaleźli się po prostu na tyłach domu uciech. Po kilku sekundach - czego zresztą Borric oczekiwał - w pomieszczeniu zjawili się jakby znikąd trzej rośli mężczyźni z pałami w dłoniach i nożami zatkniętymi za pasy.

- Co się tu dzieje, lotry? - wrzasnął pytająco pierwszy z łamignatów, wyraźnie uradowany perspektywą niecodziennej przecież rozrywki. Borric zrozumiał, że niezależnie od tego, jak będzie się usprawiedliwiał, tamci chcą krwi, całej krwi i tylko krwi. Przepchnął się jednak obok Ghudy, pochylając ku ziemi ostrze sztyletu najemnika - chciał dać tamtym do zrozumienia, że nie zależy im na kłopotach. Obejrząwszy się przez ramię ku zapartym

przed chwilę drzwiom, rzekł krótko:

- Straż miejska. Próbują wylamać te drzwi.

Przeszedł obok pierwszego z wykidajłów w tej samej chwili, w której zwiędzeni opryszkowie z zewnątrz natarli na drzwi, powodując lekkie przesunięcie się krzesła.

- A to chciwe skurwysyny! - warknął barczysty. - Zapłaciliśmy już za ten miesiąc.

Borric lekko, po przyjacielsku, popchnął go ku drzwiom, mówiąc:

267

- Chcą pewnie wycisnąć z was jeszcze więcej. - Drugi z wykidajłów nie dał się zwieść tak łatwo i usiłował zatrzymać księcia, ten jednak chwycił go za ramię i popchnął na pierwszego. - Jest ich tam dziesięciu i są niezłe uzbrojeni! Twierdzą, żeście nie zapłacili dodatkowej opłaty za Jubileusz.

Tymczasem kilkunastu klientów przybytku rozkoszy pootwierało drzwi od swoich pokoików i powytykało z nich głowy, pragnąc zobaczyć, co się stało. Na widok uzbrojonych mężczyzn natychmiast zaczęli cofać się w głąb i zatrząskiwac drzwi. Jakaś dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i zaczęło się to, co James kiedyś opisał zwięźle słowami: „panika w burdelu”. Trzeci z łamignatów zaczął coś podejrzewać.

- Hola! Poczekaj bratku! - ryknął i zamachnął się na księcia pałą.

Borric ledwie zdążył podnieść ramię i przyjąć cios na ochraniacz, ale siła uderzenia pozbawiła go niemal władzy w ręku. Nie bardzo wiedząc, co począć, księżę wrzasnął przeraźliwie:

- Uciekać! Straż miejska! - i natychmiast drzwi na korytarz zaczęły otwierać

się z trzaskiem.

Trzeci wykidajło, nie bacząc na nic, usiłował uderzyć księcia jeszcze raz, ale Ghuda ostudził jego zapał, trzasnąwszy go w ucho rękojęcią jednego ze swoich kordelasów. Borric tymczasem popchnął mocno oszołomionego osiłka na jakiegoś tłustego kupca, który z odzieżą w dłoni usiłował wydostać się na zewnątrz.

- To ojciec twojej dziewczyny! Przyszedł tu, żeby cię zabić, bo zhańbiłeś jego dziecię!

Kupiec jęknął ze zgrozą, wybałuszył oczy i niczym burza, nie bacząc na swą nagość, runął ku drzwiom. Z pokoju, który opuścił w panice, wyjrzała jakaś senna i mocno już przejrzała piękność.

- Tatus' - spytała z nadzieją w głosie, obejmując łamignata.

W tej samej chwili Suli nabrał tchu w płuca i zawył przeraźliwie: - Straż miejska!!!

Tylne drzwi pękły z trzaskiem i do środka wtargnęła grupa uzbrojonych po zęby i żądnych odwetu opryszków, którzy natychmiast ugrzęźli w tłumie nagich dziewcząt, chłopców, oszołomionych klientów i dwu bardzo wściekłych wykidajłów.

Zamieszanie było jeszcze większe, kiedy na drugim końcu korytarza pojawiło się dwu kolejnych władczo wyglądających, krzepkich jegomościów, którzy gniewnymi

268

okrzykami zaczęli domagać się, by ktoś im wreszcie, u licha, powiedział, co się tu dzieje.

- To jacyś fanatycy religijni! - wrzasnął Borric. - Sprzysięgli się uwolnić wasze dziewczęta i chłopców! Tam z tyłu bronią się wasi ludzie! Pomóżcie im!

Tymczasem Ghuda, Suli i Nakor zdołali jakoś przecisnąć się ku frontowym

drzwiom. Wypadający zeń zaraz za nimi goły kupiec wzbudził zainteresowanie dwu stojących spokojnie przed drzwiami strażników miejskich. Podejrzenia stróżów prawa wzmógł Borric, który otworzywszy wejście tak szeroko, jak tylko się dało, załamał przed strażnikami ramiona:

- Och, panowie! To okropne! Zbuntowała się służba i morduje swoich panów!

I klientów! Zażyli coś, co wzmogło ich krzepę! Proszę, pošlijcie po posiłki!

Jeden strażnik dobył miecza i skoczył do środka, drugi wyjął zza pazuchy gwizdek i zadął weń przeraźliwie. Po kilkunastu sekundach na krańcach uliczki pojawili się inni stróże prawa, którzy ochoczo przyłączyli się do ogólnej harataniny. Przebiegłszy dwa kwartały, Borric i jego towarzysze skręcili w bok i dali nura w wejście do jakiejś tawerny, gdzie zdyszani opadli na stolki. Ghuda zdjął hełm i kładąc go na stole, łupnął tak głośno, że niewiele brakło, a byłby złamał mebel. Wymierzywszy palec w Borrika, warknął gniewnie:

- Tylko dlatego nie dam ci w mordę, boby mnie aresztowali!

- Dlaczego ciągle się upierasz przy tym, by mnie prać po gębie? - zdziwił się Borric.

- Bo, Wariacie jeden, nieustannie popełniasz głupstwa, które mogą kosztować mnie życie!

- Ale uciecha była przednia! - sprzeciwił się Nakor. Borric i Ghuda wytrzeszczyli nań oczy.

- Uciecha? - spytał Ghuda.

- Od lat tak się nie bawiłem ! - odparł szeroko uśmiechnięty Isalani. Suli tymczasem wyglądał tak, jakby był bliski omdlenia. - Panie... ale co teraz pocniemy?

Borric myślał przez chwilę, potem potrząsnął głową i powiedział: - Nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ 15 - SIDŁA

269

Erland zbliżył się do drzwi.

Przed drzwiami stało kilkunastu gwardzistów, żaden jednak najwidoczniej nie zamierzał go zapytać, jakim prawem wchodzi do prywatnych komnat księżniczki Skarany. Gdy wchodził do środka, zaraz na początku księżę natknął się na lorda Nirome, który jako mistrz ceremonii witał go wraz z księciem Awarim u wejścia do górnego miasta. Krępy jegomość uśmiechnął się uprzejmie, skłonił się i powiedział:

- Dobry wieczór Waszej Księżęcej Mości. Czy księżę jest zadowolony z pobytu w naszym mieście?

Erland uśmiechnął się i odpowiedział na ukłon z pewną świadomą zwłoką, dłuższą niż ta, do której uprawniała go dworska pozycja Nirome.

- Twoja uprzejmość, panie, jest zniewalająca.

Otyły arystokrata wziął Erlanda pod rękę i obejrzawszy się przez ramię, rzekł:

- Za twym pozwoleniem, panie, proszę na słowo...

Erland pozwolił się zaprowadzić do bocznej, niewielkiej komnaty, znajdującej się poza polem widzenia służby.

- Tylko na chwilę, jeśli łaska. Nie chciałbym, by księżniczka musiała na mnie czekać.

- Rozumiem, Wasza Wysokość, rozumiem. - Uśmiechnął się, Erland zaś

zjeżył się wewnątrz. Jakieś przeczucie kazało mu strzec się tego przyjaznego grubasa - na tym dworze nikt nie osiągał wysokich stanowisk, nie mając na sumieniu kilku ciemnych sprawek.

- Chciałem powiedzieć Waszej Księżęcej Mości, że byłoby aktem dobrej woli i łaskawości, gdybyś zechciał przemówić u Jej Imperialnej Wysokości za młodym Rasajanim, synem lorda Kilawy, który popadł w niełaskę z powodu nierozważnej napaści na ciebie, panie. - Erland milczał i gdy stało się jasne, iż nie zamierza się odezwać, Nirome podjął wątek: - Chłopak jest głupcem, co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Winny jednak jest nie on sam, ale pewni... prowokatorzy z kręgu przyjaciół księcia Awariego. - Rozejrzawszy się, Nirome spytał konspiracyjnym szeptem: - Czy wolno mi objaśnić w kilku słowach sytuację, dostojny księżę'? - Erland skinął przyzwalająco głową i Nirome podjął szeptem: - Awari jest młodszym bratem Sojiany, zatem wedle prawa ona powinna dziedziczyć. Wielu

270

jednak ludzi obawia się kolejnej, trzeciej już kobiety na tronie. Liczne narody wchodzące w skład Imperium mają tradycje silnie patriarchalne. Powiem krótko-są osoby, które kierując się źle pojętym interesem państwa, posuwają się do podgrzewania sporów pomiędzy Awarim i jego siostrą. Młody Rasajani myślał - choć wszyscy zgadzają się, że była to wyjątkowa bezmyślność - że powinien pokazać imperatorowej, iż Awari nie jest słabym mięczakiem, obawiającym się Królestwa Wysp, o co mógł być podejrzany, ponieważ jest przywódcą grupy dążącej do pokoju pomiędzy naszymi narodami. Czyn Rasajaniego był w istocie głupi, zuchwały i niewybaczalny... pewien jestem jednak, iż popchnęli go do niego inni, liczący na aprobatę Awariego. Jeśli Wasza Księżęca Mość mógłby okazać

trochę łaskawości...

Erland milczał przez chwilę, w końcu zaś odpowiedział:

- Rozważę tę sprawę. Omówię ją z moimi doradcami i jeśli przekonają mnie, że mój Król nie utraci twarzy, pomówię z imperatorową.

Nirome chwycił Erlanda za dłoń i wylewnie ucałował go w królewski sygnet.

- Wasza Księżęca Mość jest niezwykle łaskawy... Może któregoś dnia będę miał zaszczyt odwiedzić Rillanon. Jeżeli tak się stanie, opowiem tam wszystkim, jak mądry i dobrotliwy władca im się trafił.

Erland przetknął już więcej pochlebstw i uniżoności, niż mógł strawić, skinął

więc głową, zostawił krępego arystokratę i ruszył wprost ku apartamentom

księżniczki. Przedstawił się „słudze i został wprowadzony do poczekalni

przekraczającej rozmiarami salę audiencyjną w krondorskim pałacu „jego ojca.

Młoda kobieta o kasztanowych włosach -co jak na błękitnokrwistych było dość

niezwykłe - skłoniła się przed Erlandem.

- Jej Wysokość prosi, byś zechciał, Wasza Księżęca Mość, odwiedzić ją w jej ogrodzie.

Erland skinieniem dłoni poprosił, by poszła przodem. Idąc za dziewczyną,

podziwiał wdzięczne ruchy jej bioder, ledwie okrytych kiltem. Czując, że zaczyna go

to podniecać, przypomniał sobie słowa Jamesa, którymi ten pożegnał go tuż po

kolacji: earl dworu jego ojca i wedle podejrzeń Erlanda szef krondorskich tajnych

służb, powiedział:

- Pamiętaj, że jak w twoim przypadku, jej przeznaczeniem jest władza nad

narodem, uważaj więc i niczego nie bierz za dobrą monetę. Może i wygląda na

dwudziestoletnią dziewczynę, może nawet tak się zachowywać, ale jeszcze za twego

życia zostanie imperatorową Kesh. Podejrzewam, iż jej wykształcenie jest dość wszechstronne i pewnie rozleglejsze od twojego. - James był niezwykle nieufny, nawet jak na kogoś tak z natury ostrożnego i podejrzliwego jak on. Po chwili zaś dodał: -Bądź czujny, mości książę. Nie daj się zwieść słodkim obietnicom i pokusie delikatnych uścisków. Ci ludzie mordują się równie łatwo i bezwzględnie jak uliczni opryszkowie w krondorskiej Dzielnicy Biedaków.

Dotarłszy do pawilonu Skarany, Erland musiał przyznać sam przed sobą, że niełatwo mu pamiętać o tych przestroгах. Księżniczka leżała na miękkich poduszkach pod jedwabnym baldachimem - nieopodal czekały na wezwanie cztery służące. Podczas oficjalnych okazji Erland widział ją w kwilcie i bluzie-teraz miała na sobie prostą suknię, spiętą tuż nad piersiami złotą broszą w kształcie sokoła, takiego samego jak na królewskim keshzańskim sztandarze. Suknia była niemal przezroczysta i rozchyliła się nieco, gdy dziewczyna wstała na powitanie gościa, ukazując księciu oszalamiający widok pysznie zbudowanego kobiecego ciała. Efekt był znacznie bardziej podniecający niż powszechnie niemal panująca w pałacu nagość. Erland skłonił się lekko, jak gość witający gospodarza, nie jak poddany przed władcą. Skarana podała mu dłoń i powiedziała po prostu:

- Chodź, książę, przejdźmy się.

Erland odkrył, że powraca doń wrażenie, jakiego doznał, kiedy zobaczył księżniczkę po raz pierwszy. W tym ogrodzie, pełnym egzotycznych kwiatów, ona była kwiatem najpiękniejszym i najbardziej oszalamiającym. Inaczej niż kobiety, które tu poznał dotychczas, giętkie i długonogie, księżniczka miała pełniejszą figurę. Jej toczony uda były o włos cięższe niż uda Miyi, co dla Erlanda było

zachwycające - i z pewnością miała najpełniejszy biust, w jaki zdarzyło mu się wlepić zachwycone spojrzenie. Miała też nieznacznie zadarty nosek, który w połączeniu z pełnymi wargami nadawał jej lekko nadętą minkę. Duże, migdałowego kształtu, ciemne oczy księżniczki były troszeczkę skośne - prawie tak, jak u złotoskórych ludzi z Shing Lai, których widywał na dworze. Ramiona miała szerokie, podobnie jak biodra, wąską kibić i rozkosznie zaokrąglony brzuch. Erland poczuł, że ta kobieta może go zupełnie i bez reszty pogrążyć. Kiedy milczenie stało się niemal nieznośne, zdołał wreszcie wybąkać:

- Wasza Wysokość, czy na tym dworze są w ogóle jakieś brzydkie kobiety?

- Oczywiście! - zaśmiała się Sharana. Głos miała słodki, soczysty, uśmiech zaś ożywił jej twarzyczkę i księciu zaschło w gardle. - Moja babka jednak boi się

272

starości i śmierci, z jej rozkazu więc odesłano wszystkie osoby mniej urodziwe i nie dość młode do dolnego pałacu. Ale są, możesz, książę, być tego pewien. --

Westchnęła. -Jeśli kiedykolwiek zasiądę na tronie, odwołam ten śmieszny i głupi zakaz. Wielu zdolnych i bystrych ludzi pracuje bez uznania dla ich zasług, innym zaś wystarczy piękny wygląd... i bez wysiłku sięgają po najwyższe zaszczyty.

Erland nie bardzo rozumiał, o czym ona mówi. Upajał się cudownym zapachem jej ciała, zmieszanym z woniami pys7,nych kwiatów. - Eee...

zauważyłem jednak, że lord Nirome zdołał jednak wybić się ponad przeciętność.

- On jest wspaniały --roześmiała się księżniczka. - Udało mu się jakoś'

przekonać wszystkich razem i każdego z osobna, że jest po ich lub jego stronie. To jedyny człowiek, który nie ma tu zatargów z nikim. Jest taki kochany. Ze

wszystkich wujów...

- Wujów?

- No, właściwie to jest kuzynem mojej matki, ale nazywam go wujem. Jest jedynym, który potrafił mnie pocieszyć, kiedy płakałam w dzieciństwie... Babcia nieustannie mu przypomina, że powinien coś zrobić ze swoją tuszą, ograniczyć łakomstwo i zacząć wreszcie wyglądać jak prawdziwy myśliwy, syn Błękitnej Krwi... ale i ona ma do niego słabość. Często myślę, że jest on tym, który trzyma Imperium w całości - naprawdę robi co w jego mocy, by zapobiegać dojrzewaniu potencjalnych konfliktów. Próbował nawet jakoś wpłynąć dodatnio na mojego wuja Awariego... - Nie dokończyła, jakby chciała dać do zrozumienia, że przedsięwzięcie to zakończyło się fiaskiem. Erland kiwnął głową.

- Z, jakiej przyczyny twój wuj poróżnił się z babką?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała dziewczyna i naturalnym gestem, niemal nieświadomie wzięła go za rękę. Splótłszy palce, szli dalej, księżniczka zaś mówiła rzeczowym tonem: Poszło chyba o to, iż, Awari uważa, że lepiej od mojej matki nadaje się na władcę - co jest głupie. Przede wszystkim jest za młody - tylko o trzy lata starszy ode mnie. Myślę, że jego ojcem był piąty lub szósty małżonek babki. Moja matka jest najstarsza i jej prawo do dziedziczenia nie powinno być kwestionowane - są jednak tacy, którzy obawiają się matriarchatu w naszej dynastii.

Earl poczuł, że krew zaczyna żwawiej tętnić w jego żyłach, zmusił się jednak do skupienia uwagi na sprawach polityki - co było dlań obecnie niezwykle ciężką

273

próbą, jako że skąpo odziana księżniczka nieustannie ocierała się o niego w wąskich ogrodowych alejkach.

- Niektóre z waszych narodów wołałyby męskiego władcę? - Czyż nie jest to głupie? - Skarana zatrzymała się na chwilę. - Co sądzisz o moim ogrodzie?

- Jestem pod wrażeniem - przyznał Erland zupełnie szczerze. - Na Wyspach nie mamy niczego podobnego.

- Wiele z tych kwiatów rośnie wyłącznie tutaj, w ogrodach imperialnych i nie znajdziesz ich nigdzie indziej na Midkemii. Nie wiem, jak tego dokonano, ale tak mi mówiono. - Sięgnęła ku niemu lewą ręką i ujęła jego przedramię. Teraz trzymała go oburącz - był to gest zwykły pomiędzy kochankami, który jednocześnie podniecił i zmieszał Erlanda. Ruszyli dalej i Skarana poprosiła: - Erlandzie, opowiedz mi coś o swoim kraju, legendarnym u nas Królestwie Wysp.

- Legendarnym? - roześmiał się Erland. - Dla mnie legendarne jest Imperium, a Królestwo to zwyczajny kraj.

- Ale jest u was tak wiele zdumiewających rzeczy - zachichotała Skarana. -

Mówiono mi, że rozmawiacie z elfami i że walczyliście z Bractwem Mrocznego Szlaku. Czy to prawda?

Erland sam nigdy nie spotkał elfa i nie miał okazji do walki z Bractwem Mrocznego Szlaku - jak wyspiarze określali moredhelów - ale pomyślał, że nie zaszkodzi ubarwić nieco prawdę. W Highcastle bił się z goblinami, a to nie mniej egzotyczne dla Skarany stwory. Zaczął więc opowiadać i szybko odkrył, że dziewczynę naprawdę interesują jego opowieści - albo świetnie udaje zainteresowanie. Po pewnym czasie obeszli ogród i wrócili do pawilonu księżniczki. Skarana zupełnie naturalnym gestem wskazała mu rozległe łoże stojące poza pawilonem.

- Latem przeważnie sypiam tutaj, pod gwiazdami. W pałacu jest okropnie

duszno.

- Mnie też jest ciężko się przyzwyczaić - zgodził się Erland. - Ale dobrze jest mieć basen pod bokiem. Wiesz, pani, branie kąpieli przed spoczynkiem zaczyna wchodzić mi w krew.

Skarana zachichotała, podczas gdy sługa odsuwał przejrzyste zasłony, które chroniły pawilon przed nocnymi owadami.

- Wiem, Miya mi mówiła. - Erland zarumienił się jak żak, dziewczyna tymczasem spokojnie i bez śladu skrępowania mówiła dalej: - Powiedziała mi też, że

274

pod pewnymi względami natura hojnie cię obdarowała, co podobno daje wielkie możliwości zabawy. - Zaprosił Erlanda gestem, by usiadł obok niej, musnęła

palcami kołnierz jego tuniki. - Wy, mężczyźni Północy, nosicie tak wiele sztuk odzieży. Jesteście niemal tak samo uparci, jak żeglarze Brijani. Nie zdejmują

swoich futer, choćby im przyszło paść z gorąca. Uważają, że ich życiem kierują duchy zmarłych matek i biorą tylko jedną żonę na całe życie. Straszni dziwacy.

Byłoby ci chyba wygodniej, gdybyś się choć częściowo rozebrał, nie sądzisz?

Erland poczuł, że policzki płoną mu tak, iż za chwilę chyba tryśnie z nich

krew. Gdy dowiedział się o porze spotkania, pamiętając o swoich wcześniejszych doświadczeniach z keshzańskimi arystokratkami, podejrzewał, że wizyta nie będzie

ściśle oficjalna i znajdzie się podczas niej miejsce na pewne akcenty osobiste, teraz jednak nagle poczuł się niezręcznie. Skarana wyczuła jego skrępowanie i jednym

ruchem odpięła broszę, która łączyła poły jej sukni, pozwalając im opaść na pościel.

- Widzisz? To całkiem proste.

Erland pochylił się ku niej i pocałował ją lekko, gotów natychmiast się

cofnąć, gdyby się okazało, że źle zrozumiał intencje księżniczki. Odpowiedzią był jednak namiętny pocałunek, podczas którego jej dwie biegle dłonie zaczęły ściągać z niego ubranie. Kiedy książę pozbył się już resztek przyodziewku, Skarana położyła się na wznak. Pochylając się nad nią, Erland ujrzał, że cztery służące nadal stoją wokół pawilonu -a przejrzyste muślinowe zasłony dają tylko nikłe złudzenie intymności. Zawahał się na moment, widząc, że jedna z dziewczyn jest oddalona odeń zaledwie o kilka cali, ale kiedy księżniczka objęła go i pociągnęła ku sobie, zapomniał o całym świecie. Muszę do tego przywyknąć, pomyślał, pogrążając się w świecie rozkoszy i zmysłów. Kochali się szybko i namiętnie, jakby żadne nie mogło doczekać się kulminacji. Kiedy oboje legli wyczerpani obok siebie, Skarana przytuliła się do Erlanda i pieszczotliwie przesunęła dłonią po jego boku i brzuchu.

-Miya mi powiedziała, że łatwo się rozgrzewasz... Erland znów poczuł wypełzającą mu na policzki czerwień. - Czy omawiacie wszystko szczegółowo?

Skarana naśmiała się beztrąsko, a jej pełne sutki zadrżały lekko, co bardzo się Erlandowi spodobało. Dziewczyna tymczasem położyła mu głowę na piersiach.

- Oczywiście. Kazałam jej opowiedzieć sobie wszystko... wszystko o tym, jak to było, gdy brałeś ją pierwszej nocy... Niezbyt pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź, Erland nie omieszkał jednak spytać:

275

- I co powiedziała?

Skarana wyciągnęła się wygodniej, oparła głowę na prawej dłoni, lewą zaś dokonywała z Erlandem iście zdumiewających rzeczy.

- Powiedziała, że wykazałeś się sporym zapalem i odrobiną niecierpliwości za pierwszym razem, ale powtórka przeszła jej najśmielsze oczekiwania...

Erland wybuchnął śmiechem i pociągnął dziewczynę ku sobie. -

Przekonajmy się, czy mówiła prawdę.

Heroldowie zadęli w swe długie trąby, a dobosze huknęli w bębny. Erland i jego świta, będący dziś gośćmi księcia Awariego i lorda Nirome, zasiedli w jednej z łóż, w których podczas poprzedniego wieczoru przebywali keshkańscy arystokraci.

W drugim dniu Jubileuszu rozpoczęto zawody i przedstawienia. Niezależnie od tego, czy imperatorowa pokazywała się, czy nie, w swojej loży, igrzyska kontynuowano, jakby była stale obecna. Teraz na arenie pojawili się na przykład niewysocy,

muskularni mężczyźni odziani w stroje swych dawnych wojowniczych przodków. Każdy miał na lędźwiach biały woreczek, odsłaniający pośladki. Niektórzy

pozakładali na twarze rzeźbione w drewnie i barwnie malowane maski

wyobrażające demony, inni zaś pomalowali oblicza w niebieskie wzory. Wielu

ogoliło sobie czupryny, inni powiązali włosy w końskie ogony-co było popularne

wśród licznych i wojowniczych plemion. Podczas przedstawień w powietrzu

krzyżowały się dźwięki starożytnych instrumentów muzycznych-pokrytych skórą

bębenków, grzechotek wykonanych ze zwierzęcych czaszek i kozłich rogów. Muzycy

z zapalem godnym wielkiego Jubileuszu rozdierali powietrze kakofonią

przeróżliwych hałasów. Rozpoczęto popisy. Dwunastu chłopów ustawiło pośrodku

amfiteatru ścianę na siedem stóp wysokości, złożoną z kamiennych bloków. Cały

czas śpiewali przy tym dziwaczną, monotonną pieśń. Inni ponaglali ich gestami,

okrzykami i chrząknięciami. Erland odwrócił się do swego gospodarza.

- Miło mi, że trafiła się okazja spędzenia kilku chwil w towarzystwie Waszej

Księżęcej Mości.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się wdzięcznie Awari.

Siedzący za Erlandem, obok Jamesa i tiaminy Nirome powiedział:

- Wszystko z myślą o budowaniu porozumienia między naszymi narodami,

Wasza Księżęca Mość.

Awari patrzył przez chwilę na tęgiego arystokratę i wreszcie zwrócił się do

Erlanda:

276

- Jest tak, jak mówi mój Nirome. Wasze Królestwo od czasów waszego

dziada rośnie w siłę, a teraz, kiedy daliście nauczkę quegańskim piratom...

- Co z nimi? - przerwał Erland.

- Ach, obawiam się, że wasi kurierzy zamarudzili po drodze. Flota

quegańska najechała Wolne Miasta i zuchwale natarła nawet na niektóre z

waszych portów w pobliżu Questor View. Twój ojciec, książę, polecił flocie admirała

Bruhalla znaleźć najeźdźców i posłać ich na dno. I tak się stało.

- Jedną z eskadr najeźdźców szkwał popędził wzdłuż ich wysepek i w naszym

kierunku. Została jednak przechwycona przez nasze imperialne fregaty z Durbinu i

zatopiona.

James i Erland wymienili spojrzenia. James jest zdumiony, usłyszał książę

głos Gaminy w swojej głowie. Czemuż ty? Głośno zaś Erland powiedział:

- Zatem w najbliższej przyszłości Morze Goryczy będzie bezpieczne dla

żeglugi? No... chyba że jakiś drobny pirat czy dwu, z Durbinu...

Awari uśmiechnął się z przymusem.

- Erlandzie, niełatwo jest sprawować pełną kontrolę nad niektórymi z

odleglejszych miast. Jeżeli pirat grasuje poza granicami wód imperialnych... -

Wzruszył niedbale ramionami, jakby chciał powiedzieć: I cóż nas to może

obchodzić? - Głośno natomiast rzekł: - Łatwiej jest tam wysłać Psi Legion, by zgniół Durbin, wieszając gubernatora na blankach, niż zdemaskować przekupnego sędziego tutaj, prawda? - Ton, jakim wypowiedziano te słowa, wyraźnie wskazywał, że pytanie jest czysto retoryczne.

Tymczasem Erland usłyszał myśli Jamesa. Fascynujące. Co robiła ta imperialna eskadra w Durbinie? Ci piraci zwykle nie mogą zgodzić się w niczym, a już na pewno nie potrafią połączyć dziesięciu lub więcej okrętów w eskadrę.

- Milordzie... -- odezwała się Gamina do Nirome. - Co robią ci ludzie na arenie?

- To mieszkańcy Shing Lai, Dong Tai i Tao Zi. W tamtym regionie, dawniej znanym pod nazwą Po-Tao, jest wiele wiosek i miasteczek. Nie jest to już naród wojowników, nadal jednak praktykują i ćwiczą starożytnie sztuki wojenne. Ci ludzie zabawiają nas skokami na ściany.

W chwili, gdy mówił te słowa, pierwszy z szeregu ruszył biegiem ku kamiennej ścianie i gdy zbliżył się do niej na odległość kroku, skoczył, jak mógł

277

najwyżej. Oparłszy jedną stopę o płaszczyznę, odbił się w tył, wykonał w powietrzu salto i wylądował na stopach. Tłum wybuchnął pochwalnym wrzaskiem.

- Jestem pod wrażeniem - przyznał James.

- Celem jest przeskoczenie ściany - wyjaśnił Awari. - To tylko rozgrzewka przed prawdziwą próbą.

- Ile ma ten mur? - spytał James. - Siedem stóp?

- Owszem - odparł Awari. - Sprawny wojownik potrafi skoczyć na ścianę, dotknąć stopą szczytu i przefrunąć na drugą stronę. Prawdziwy mistrz nie tyka

nawet kamieni. Za dawnych czasów tak właśnie ćwiczyli ich wojownicy, i tak pokonywali mury wrogich wiosek.

- Jestem pod wrażeniem - powtórzył James. Awari uśmiechnął się lekko.

-Dawniej po obu stronach ściany ustawiano włócznie ostrzami do góry, by zawodnicy mieli... silniejszą motywację. Wracając jednak do poprzedniego tematu, teraz, gdy gniazdo piratów w Queg zostało zniszczone, mam nadzieję, że sytuacja na północnej granicy trochę się uspokoi. Nie chciałbym cię, książę, nudzić opowiadaniem o zawiłościach naszej polityki wewnętrznej, ale zważywszy wiek mojej matki... - zawiesił głos i przez chwilę patrzył, jak krzepko wyglądający jegomość w masce demona, trzymający w lewej dłoni włócznie, śmignął wysoko nad murem przy akompaniamencie gromkiej wrzawy kibiców - sytuacja wewnętrzna Imperium jest taka, iż konflikt pomiędzy naszymi narodami nikomu nie przyniesie pożytku. Jesteście teraz naszym najsilniejszym sąsiadem, a w przyszłości, mam nadzieję, zostaniecie naszym sprzymierzeńcem i przyjacielem.

- Póki będę żył-odparł Erland- nie omieszkać dokładać starań, by tak się stało.

- To dobrze - zakończył Awari.- Miejmy zatem nadzieję, drogi książę, że bogowie obdarzą cię długim życiem.

Hejnał fanfar oznajmił przybycie kolejnego członka rodziny królewskiej i Erland odwrócił się w nadziei, że zobaczy Sharanę. Zamiast niej do loży weszła księżniczka Sojiana ze swoim orszakem i młody książę z trudem ukrył wybuch śmiechu. Pięknej kobiecie w drodze do jej loży - zbudowanej tuż obok loży księcia Awariego - towarzyszył baron Locklear. W tejże chwili dotarły doń rozbawione myśli Jamesa. Wydaje się, że dla naszego przyjaciela nie istnieje pojęcie przeszkody

nie do pokonania, prawda? Na to wygląda, zgodził się Erland.

278

Księżniczka pierwsza wkroczyła do swej loży, tuż za nią jednak wszedł do niej Locklear, który nie oparł się pokusie posłania Erlandowi zwycięskiego uśmiešku. Gamma uniosła tylko jedną brew i spojrzała na szalawinę z dezaprobatą. I nagle jej oczy rozwarły się szerzej. Locky dowiedział się czegoś, przekazała jednocześnie mężowi i księciu. Czego? spytał natychmiast James. Mówi, że porozmawia z nami później, teraz nie bardzo może się skupić. Jedną rzecz wszakże chce nam przekazać natychmiast. Podejrzewa, że za zamachem na Borrika w Krondorze może kryć się Sojiana. Erland skinieniem głowy skwitował uprzejmie jakąś uwagę Nirome. Do tiaminy zaś i poprzez nią do Jamesa i Lockleara skierował myśl: To czyni z niej pierwszą podejrzaną o napaść na pustyni, podczas której zabito Borrika.

W tej chwili księżniczka, jakby usłyszawszy te myśli, odwróciła się i utkwiała w Erlandzie badawcze spojrzenie, usiłując najwidoczniej porównać księcia z opisem, jaki przekazali jej szpiedzy z ogrodów córki... lub może zastanawiając się, czy samej nie skorzystać z nieprzeciętnych zdolności barbarzyńcy z Północy. Uśmiechnęła się nawet przyjaźnie, ksiązę jednak dostrzegł w jej uśmiechu jedynie drwinę...

Pokazy trwały dalej i choć keshkańscy arystokraci pojawiali się w łóżach i znikali, kiedy chcieli, Erland tkwił na swoim miejscu. Ku swemu niemałemu zdumieniu odkrył, że ciekawią go sprawy, o których kilka miesięcy temu w ogóle by nie pomyślał, i żałował, że nie może teraz porozmawiać z ojcem. Przez cały czas trwały pokazy najrozmaitszych form sztuk wojennych, podczas których narody z

najodleglejszych zakątków Imperium starały się zaprezentować imperatorowej swoich najświetniejszych młodzieńców. Ostatni pokaz był nie tyle demonstracją walki, co rytuałem. Dwie kompanie wojowników rywalizowały w zawodach, których początki ginęły w pomroce dziejów. Namiestnik Jandowae wybrał ze swojej prowincji dwie wioski, by przedstawiły zebranym Bitwę Smoków. Setka wojowników z każdej wioski dźwigała na grzbietach dwa naturalnej wielkości smoki, po mistrzowsku wykonane ze zwojów lin, misternie powiązanych i poskręcanych w grube węzły. Wieśniacy mieli na sobie wycięte z kości i zdobione laką starożytne zbroje, które oczywiście nie sprostałyby współczesnemu orężowi. Każdy miał też na głowie hełm, owinięty wstążkami jednej strony czerwonymi, z drugiej niebieskimi, a kark każdego ze smoków wieńczył pięknie rzeźbiony w drewnie łeb o barwach dźwigającej go drużyny. Na grzbiecie smoków siedzieli w

279

bogato zdobionych i pięknie barwionych zbrojach jeźdźcy, którzy kierowali ruchami swojej drużyny. Dwie rywalizujące ze sobą grupy miały unieść w górę smoki - z których każdy w najgrubszym miejscu miał dobre dziesięć stóp - i uderzyć na siebie. Rozpędziwszy się do odpowiedniej prędkości, nacierały zwykle jedna na drugą, a smoki zwierzały się przy akompaniamencie dzikiej wrzawy tłumu. Dwa linowe potwory napierały na siebie, aż przednie części cielsk unosiły się w górę, a jeźdźcy znajdowali się na wysokości przynajmniej pięćdziesięciu stóp. Po chwili takiej walki smoki zwykle ciężko przewracały się na bok. Jak objaśniono

Erlandowi,

zabawa kończyła się wtedy, kiedy jednemu z jeźdźców udawało się wznieść ponad drugiego i zerwać z jego głowy barwny pióropusz. Księżę spostrzegł, że

wszystko to w jakiś dziwny sposób przemawia do jego wyobraźni. Obie grupy zdążyły się już zetrzeć niemal z pół tuzina razy -choć za każdym razem jedni lub drudzy robili zwód i unikali konfrontacji. Potem trzy razy doszło do starcia, żaden z jeźdźców nie zdołał jednak zderzyć przeciwnikowi pióropusza z głowy, zanim sam nie został zmuszony do rejterady ze smoczego grzbietu. Erlanda zdumiewała sprawność jeźdźców, którzy-choć ubrani w zbroje-bez szkody dla siebie zeskakiwali z wysokości dwudziestu pięciu i więcej stóp.

W końcu zwyciężyli czerwoni, pokazy zaś zaczęły się ponownie i trwały do późnego popołudnia. Po krótkiej przerwie na drzemkę miały ciągnąć się aż do kolacji. Erland rozmyślał właśnie nad posłaniem gońca do księżniczki z prośbą o powtórne spotkanie, kiedy usłyszał myśli tiaminy: James wolałby, żebyś zjadł kolację z nami, księżę.

Erland tak już przywykł do tej mowy umysłów, że odpowiedział prawie na głos. W samą porę jednak się spostrzegł, i udając kaszel, powiedział:
- Earlu... może zjedlibyśmy dziś razem, prywatnie... Jestem już trochę znużony tym wszystkim.

James dość obojętnie wzmszył ramionami.

- Ha! Przed nami jeszcze pięćdziesiąt osiem dni takich rozrywek, może więc w rzeczy samej powinniśmy się zacząć oszczędzać. Stojący przy nich jak zwykle Kafi odezwał się szybko:

- Pozwolę sobie więc życzyć Waszej Księżęcej Mości dobrego wieczoru i wrócę do swoich kwater w dolnym mieście. O świcie naturalnie zjawię się na rozkazy.

- Dziękujemy, emirze - powiedział Erland i skłonił się lekko. Gdy orszak

Erlanda wracał do swoich kwater, wszyscy dbali o to, by nie powiedzieć niczego ważnego ani głośno, ani w myślach. Gdy wreszcie dotarli do skrzydła pałacu, w którym ich umieszczono, Erland powiedział:

- Domyślam się, że imperatorowa ma ważniejsze problemy w innym miejscu.

James wzruszył ramionami, tiamina zaś powiedziała:

- Uroczystości ciągną się bez końca, ona zaś jest już w podeszłym wieku, Erlandzie. Mądrze robi, skupiając się tylko na tych sprawach, przy których jej obecność i decyzje są konieczne. Dzisiejsze pokazy w istocie niewiele różniły się od corocznego święta plonów.

- To prawda...

Dalszą rozmowę przerwało wejście żołnierza, odzianego na modłę błękitnokrwistych, ale bez charakterystycznego dla nich okrycia głowy. Ten założył całkiem zwykły hełm, nogi zaś obuł w zwykłe buty i nagołenniki. Korpus okrył skórzaną kurtką, a do pasa przytroczył sobie skutecznie wyglądający miecz.

- Milordowie -odezwał się, nie czekając na pozwolenie Ta Która Jest Keshem żąda, byście natychmiast stawili się przed Jej majestatem.

Erland dał upust gniewowi i zaskoczeniu: - Żąda? Jakim prawem...

James położył dłoń na ramieniu księcia, powstrzymując go od wypowiedzenia dalszych, nie przemyślanych słów.

- Prowadź waść! - powiedział do żołnierza. W głowie Erlanda zabrzmiały - za pośrednictwem tiaminy - myśli Jamesa: Zdarzyło się coś ważnego. Zachowajmy spokój, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

Księżę milczał więc, gdy szybko przemierzali korytarze w kierunku wejścia

do amfiteatru, potem zaś skierowali się ku pałacowi centralnemu. Po kilku minutach dołączyła do nich grupa szlachty, w większości ponurej i poważnej. Gdy wkroczyli do sali audiencyjnej, rozległej i chyba największej komnaty pałacowej, okazało się, że na galerii, otaczającej od góry podwyższenie na tron, zebrał się spory tłumek lordów i parów Imperium. Na posadzce zaś klębili się dworacy - tak że tylko wąska ścieżka wiodła od wejścia ku podwyższeniu. Tą właśnie ścieżką poprowadzono

281

Erlanda i jego orszak. Gdy dotarli do podwyższenia, Erland i James skłonili się, tiamina zaś dygnęła wytwornie. I wtedy imperatorowa bez żadnego wstępu spytała:

- Czy Wasza Wysokość zechce nam wyjaśnić, dlaczego czym właśnie nas powiadomiono - wasz ojciec zbiera swe armie na zachód od Doliny Snów`?

Erland w pierwszej chwili otworzył usta, potem zaś szybko je zamknął.

Spojrzał na Jamesa, którego mina świadczyła o tym, że zdumiał się równie mocno, jak jego księżę. W końcu Erland zdołał tylko powiedzieć:

- Najjaśniejsza Pani, nie mam pojęcia, o czym raczysz mówić...

Kobieta władająca najpotężniejszym w świecie Imperium cisnęła weń zmiętym pergaminem i miała ochotę wrzasnąć z wściekłości. Pohamowała się jednak i rzekła:

- Z powodów, których nie umiem sobie wyjaśnić, twój ojciec uznał widać, że ja osobiście jestem odpowiedzialna za śmierć twojego brata. Nie pogodziwszy się ze zwykłą w takich wypadkach rolą, jaka przypada monarsze, nie poczekawszy na wyniki śledztwa, postanowił odegrać rolę pogrążonego w rozpaczach ojca i postawił

wasali w stan gotowości. Na naszym wybrzeżu, na południe od Shamaty, wylądował właśnie twój wuj Martin z załogami Crydee, Tulan i Carse. Wsparło ich pięć tysięcy krongorskich kopijników, a nasi agenci donoszą, że następny tysiąc pieszych knechtów nadciąga z Sarth, Questor View, Ylith i Yabonu... Z La Mut idzie zaś na nas trzy tysiące Tsurannich. Postawiono także w stan gotowości garnizony w Darkmoor i Krzyżu Malaka. Nie powiesz mi chyba, że trzydzieści tysięcy Krongorczyków maszeruje ku naszym granicom tylko po to, by pomachać nam przyjaźnie rękoma!

Erland nie mógł uwierzyć własnym uszom. James postąpił krok do przodu.

- Za pozwoleniem, Najjaśniejsza Pani...

- Milcz! - krzyknęła stara kobieta. Widać było, że straciła już resztki cierpliwości. - Głupiec obnosi się ze swoją żalobą po synu, zapominając, że mam drugiego... który będzie dla mnie gwarantem przyzwoitego zachowania Aruthy! -

Opanowawszy się jakoś, imperatorowa rzekła w końcu: - Panowie i ty, pani, wracajcie do swoich kwater. Zadbajcie o to, by wysłać dziś jeszcze wiadomości do swego pana i ojca... i poradźcie mu, by nauczył się panować nad swymi uczuciami. Bo jeśli choć jeden Wyspiarz postawi stopę na ziemi Imperium, by skrzywdzić moich poddanych, dam mu powód do kolejnej żaloby. Czy to jasne?

282

- Tak jest, Miłościwa Pani - odpowiedział James. Niemal ciągnąc Erlanda za sobą, wyprowadził go z sali. Przez cały czas, aż do wyjścia, Wyspiarze czuli na sobie wrogie spojrzenia obecnych. Byli niepożądani i osamotnieni - tak jak tylko było to możliwe pośrodku tłumu doświadczonych dworaków.

Przy wyjściu czekała już na nich kompania straży, która miała odprowadzić

ich na kwatery. Gdy w towarzystwie zbrojnej eskorty przemierzali rozległe przestrzenie pałacowych pomieszczeń, Erland spytał Jamesa za pośrednictwem tiaminy: Kimże teraz jesteście... gośćmi czy więźniami? Jednymi i drugimi, odparł James. Jesteśmy zakładnikami. Gdy grupa Wyspiarzy podążała do swoich kwater, przyłączyli się do nich Kafi Abu Harez i lord Nirome.

- Wasza Księżęca Mość, panie, i ty, pani, spieszę was powiadomić, że dziś wieczór oddano mi apartament tuż u podnóża górnego miasta, zaraz przy wejściu. Jeśli zechcecie mnie wezwać, zjawię się w kilka chwil.

Erland kiwnął głową, cały czas bowiem usiłował zrozumieć, co też mogło podkusić ojca do podjęcia tak nietypowej dla niego decyzji. Arutha, choć sam nie stykał się z Keshem-jak wcześniej Erland-czytał jednak pilnie doniesienia wywiadu i nie zostawiał ich Gardanowi ani Jamesowi, by później mu je streszczali. Znał dokładnie potęgę Imperium i wiedział, że łatwo może ona skruszyć Królestwo.

Niezależność Królestwa od Keshu opierała się na jednej prostej prawdzie: Kesh nie mógł sobie pozwolić na straty, jakie byłby poniósł, usiłując podbić wyspiarski kraj, choćby trzykrotnie odeń mniejszy. Osłabienie sił Keshu w tej walce mogłoby zaćmić krótkotrwałą radość ze zwycięstwa - z czego nie omieszkaliby zresztą skorzystać Konfederaci lub zawsze skorzy do podbojów tyrani ze Wschodnich Królestw. Kesh jednak nigdy nie obawiał się najazdu ze strony Królestwa. Częste utarczki graniczne o tereny w żyznej Dolinie Snów stały się niejako trwałym elementem historii obu krajów, ale tylko raz jeden w przeszłości Imperium zapragnęło podbić ziemie Królestwa - kiedy siły imperialne próbowały utrzymać garnizony w wąskim pasie lądu na północ od Gór Spokoju pomiędzy Głębią Taunton i wschodnim krańcem, gdzie góry stykały się z morzem. Siły Królestwa, pod wodzą Guya du

Bas-Tyra zmiotły oddziały Imperium do Głębi i położyły kres jego ambicjom, by zdobyć przyczółek nad Morzem Królestwa. Od tamtych czasów nie zdarzyły się żadne poważniejsze starcia. W Królestwie jednak nigdy nie przeprowadzono spekulacji dotyczących inwazji na Kesh, ponieważ dla tamtejszych strategów jasne było, że o ile najazd Keshu na Królestwo mógłby okazać się poważnym błędem dla

283

tego pierwszego, inwazja Królestwa na Kesh z pewnością skończyłaby się okropną klęską najeźdźców.

Wracając do rzeczywistości, Erland usłyszał, że Nirome coś mówi - Wybacz mi, waszmość, proszę, bom się zamyślił. Co rzekłeś? - Powiedziałem, że Wasza Księżęca Mość zechcesz pewnie wysłać wieści do ojca. Każę gońcom się przygotować, by mogli wyruszyć, kiedy tylko napiszesz pismo.

- Dziękuję waszmości - odparł Erland.

- Jeszcze jedno - wtrącił James - byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś zechciał, panie, zdobyć dla mnie kopię pisma z wiadomościami o spodziewanej inwazji.

- Zobaczę, co się da zrobić, milordzie. Aber Bukar może się sprzeciwić. W końcu jesteście teraz obywatelami wrogiej nacji. James stłumił nagłą chęć przekleństwa i uśmiechnął się ujmująco. - Dziękujemy zatem.

Za pośrednictwem tiaminy dotarła do Erlanda myśl Jamesa: Coś mi tu okropnie śmierdzi. Nie może być inaczej, odpowiedział Erland. Kiedy dotarli do skrzydła pałacu, oddanego im do dyspozycji, przekonali się, że pozostawiono im swobodę poruszania się po korytarzach łączących poszczególne apartamenty.

- No, przynajmniej możemy się odwiedzać - zauważył Erland.

- Owszem - odpowiedział James. - Pozostaje pytanie, gdzie podziwiała się

Locklear?

Odprawiając tiaminę i Jamesa do ich pokoi, Erland odezwał się nie bez

goryczy: - Gotów jestem postawić sporą sumkę na to, że znów zabawią księżniczkę

Sojiana.

James, który wolał nie ryzykować, odpowiedział mu myślami: Martwię się

o niego. Nigdy przedtem z powodu kobiety nie zachował się tak, jak nam to dziś

zademonstrował. Coś go bardzo zatroskało... a nie należy do osób, które przejmują

się byle czym. Myślę, że z podjęciem decyzji, co czynić dalej, powinniśmy poczekać

na jego powrót. Erland kiwnął głową, zgadzając się bez słowa. Czy znów nas

obserwują? spytał tiaminę. tiamina rozejrzała się wokół i kiwnęła głową. Jesteśmy

w polu obserwacji magicznego urzędnika.

Kiedy usiedli w salonie, James skinieniem dłoni nakazał służącym, by

postawili przystawki i napoje chłodzące na stoliku, i odesłał ich precz. Kiedy

służący wyszli, earl nalał wszystkim wina. Sprawdź, czy możesz się dowiedzieć, kto

284

nas obserwuje, powiedział James i Erland pojął, że tiamina znów połączyła ich

dziwną trójstronną więzią. Było to coś, czego mogła się podjąć jedynie wtedy, gdy

siedziała nieruchomo i nie musiała używać głosu, w przeciwnym wypadku

podlegała zbyt dużemu napięciu psychicznemu. Gdy znajdowali się między ludźmi,

po prostu sama przekazywała cudze myśli. Zamknęła oczy, jakby rozboleła ją

głowa. Przez chwilę pocierała palcami nasadę nosa, potem odezwała się bezgłośnie:

Nie jest to ktoś, kogo potrafiłabym rozpoznać na podstawie jego wzoru

psychicznego. Niełatwo mi rzec na pewno, bez ryzyka, że zostanę wykryta. Mogę jedynie podsłuchiwać, a i to nie dłużej, niż przez parę chwil, w przeciwnym razie obserwatorzy odkryją moją obecność. Gdzie oni są? W pobliżu, odpowiedziała dziewczyna. Prawdopodobnie w komnatach po drugiej stronie ogrodu, na który wychodzą twoje apartamenty, Erlandzie. Erland skinął głową.

- Chyba pójdę się zdrzemnąć. To był bardzo wyczerpujący dzień.

- Owszem - zgodził się James. - Co zatem sądzisz o tej inwazji?

Głośno, tak by zadowolić podsłuchujących, książę powiedział: - Ta inwazja to jakaś bzdura!

James uniósł jedną brew, ale pojąwszy, dokąd zmierza Erland, podjął grę:

- Gotów byłbym się z tobą zgodzić, książę, ale dlaczego tak sądzisz?

- Ojciec nigdy by nie pozwolił, żeby jego osobiste uczucia, takie jak żal czy gniew, wpłynęły na podjęcie tak poważnej i brzemiennej w skutki decyzji!

Ja też tak uważam, pomyślał James, głośno zaś zapytał: Jakież więc są inne możliwości?

- Pierwsza jest taka, że wywiad imperialny został wprowadzony w błąd i że ktoś celowo przekazuje jego agentom informacje o zgromadzeniu sił Królestwa wzdłuż granicy, by wywołać taką reakcję, jakiej byliśmy świadkami. A może ojciec nie gromadzi wojsk Zachodu po to, by najechać Imperium, ale w celu odparcia spodziewanej inwazji na Królestwo!

James obdarzył księcia tym szczególnym spojrzeniem, jakim nauczyciele patrzą niekiedy na uczniów, którzy popiszą się bezbłędnym rozumowaniem.

- To dwa dość oczywiste wyjaśnienia-powiedział. W myślach zaś dodał:

Oczywiście, rozumiesz znaczenie tej drugiej możliwości... jeśli z nią właśnie mamy

do czynienia? A dlaczego miałbym sobie łamać nad tym łeb? Bo oznacza to, że nasza poczta, a co gorsza, cały nasz wywiad zblądziły się, co sil zowie! Oczywiście! Erland miał ochotę palnąć się w łeb, od czego powstrzymał się z najwyższym

285

trudem. Jeżeli przeniknęli do naszej siatki, to każda wiadomość, jaką tu nam dostarczono, może nie być warta funta kłaków! Nie możemy ufać niczemu, czegośmy się dowiedzieli przez pocztę lub od agentów - od początku podróży. Niestety, westchnął James. I aby zwieść podsłuchujących, powiedział głośno:

- Przepraszam Waszą Księżęcą Mość, to było niegrzeczne. Niech moim usprawiedliwieniem będzie zmęczenie.

- Nie przejmuj się waść, proszę - odpowiedział Erland. - Oznacza, to, że jesteśmy zdani tylko na własne siły powiedział James. Nie wiemy nawet, czy owe wieści dotyczące przemieszczania się naszych wojsk są prawdziwe czy fałszywe.

Gamma teatralnym gestem przeciągnęła się i ziewnęła przesadnie.

- Może przyjdzie nam coś mądrego do głów, jeśli się prześpimy?

Najwyższy czas wziąć się samemu do roboty, rzekł James. Co masz na myśli? spytał Erland. Lata całe już nie szalałem po dachach i nie ścigałem morderców, ale jeszcze nie zapomniałem, jak się wspina po ścianach. Erland uśmiechnął się i był to może pierwszy uśmiech rozbawienia, jaki pojawił się na jego twarzy od kilku dni.

- Powinienem chyba posłać wiadomość do Skarany. Może uda mi się jakoś dotrzeć do imperatorowej. Powinna się dowiedzieć, że nie żywimy wrogich uczuć do jej poddanych.

- Dobrze - kiwnął głową James. - Ja sięgam po pióro i posyłam gońców do

Shamaty, by sprawdzić, co się tam właściwie wyrabia.

Erland tymczasem skłonił się Gammie:

- Kuzynko, spodziewam się, że twój ból głowy rankiem minie bez śladu.

- O, jestem pewna, Wasza Wysokość.

Wróciwszy do swoich komnat, Erland przekonał się, że niepotrzebnie

zamierzał wpraszać się do księżniczki Skarany, która

spoczywała już oto na jego łożu. Jej dworskie szatki leżały starannie

poskładane na kanapce przy nogach łoża. Księżniczka uśmiechnęła się do Erlanda i

poklepała znacząco poduszkę:

- Byłam pewna, że zasiedzisz się dziś ze swymi doradcami, wolałam więc nie tracić czasu.

Erland usiłował się uśmiechnąć.

- Rad jestem, że spodobało ci się spędzić ze mną trochę czasu, czy nie moglibyśmy jednak porozmawiać o tym, co się ostatnio wydarzyło?

286

- Jak tylko znajdziesz się w łóżku - odpowiedziała księżniczka, dąsając się lekko. Erland odesłał skinieniem dłoni czekającą obok łoża służbę i szybko się rozebrał. Rozsunąwszy zasłony, położył się obok księżniczki.

- Miałam nadzieję, że tę noc będziemy mieli wyłącznie dla siebie - dąsała się dalej Skarana.

- Oczywiście, kochanie, ale... Księżniczka pocałowała go namiętnie.

- Porozmawiamy później. Teraz chcę się już tobą nacieszyć...

Erland pragnął zaprotestować... mieli w końcu do omówienia ważne

sprawy... szybko jednak dał się przekonać zapalowi Skarany. Rzeczywiście,

pomyślał ostatekami rozsądku, lepiej będzie, jeśli spokojnie pogadamy potem.

287

ROZDZIAŁ 16 - PODCHODY

Borric obserwował fajerwerki.

Spoglądający z tarasu małej knajpki książę, Ghuda i Nakor mieli na nie świetny widok, ponieważ większość tłumu zgromadziła się po przeciwnej stronie placu, który otwierał się na rozległy amfiteatr. Całe niebo, ku uciesze tłumu, pokryte było ognistymi rozpryskami barwnych iskier. Ghuda siedział pogrążony we własnych posepnych myślach, Isalańczyk zaś gapił się z dziecięcym zachwytem w oczach. Borric musiał przyznać, że to, co oglądał, przechodziło wszystko, co widział do tej pory - nawet królewskie pokazy podczas Święta Banapisa w Rillanonie.

Nagle pojawił się Suli. Bez słowa przysiadł na ławie obok księcia i podniósł do ust czekający już nań kufel piwa. Jedną rzecz robił znacznie lepiej niż reszta kompanii - świetnie zbierał informacje. Był może kiepskim złodziejem, ale wyjątkowo skutecznym żebrakiem, co oznaczało, że miał też niezwykle talent do plotek. - Panie, dzieje się coś dziwnego - szepnął.

Ghuda nadstawił ucha. Od czasu niezbyt udanej próby nawiązania kontaktu z miejscowym podziemiem, najemnik miał fatalny humor - uwierzył bowiem, że ścigają ich teraz zarówno imperialni, jak i miejscowe złodziejaszki, pozostało im więc co najwyżej parę godzin życia. Nie bardzo zaś miał ochotę umrzeć, nie zobaczywszy nawet miedziaka z sumy, którą obiecał mu Borric - zamierzał wszak choć jej część przeznaczyć na uciechy.

- Co się dzieje? - spytał.

- Do pałacu nieustannie wchodzi i wychodzi zeń jacyś ważni ludzie i jest ich znacznie więcej, niż można by się spodziewać, nawet jeśli wziąć pod uwagę Jubileusz. Po górnym i dolnym mieście krążą też jeźdźcy z oznakami konnych gońców. Jedni strażnicy pałacowi biegają jak wściekli z miejsca na miejsce, inni nie robią nic, tylko stoją niczym słupy. Wszystko wskazuje na to, że szykuje się coś ważnego: wojna, przewrót albo nagła epidemia. Ale tam, gdzie ludzie zwykle wiedzą, co się szykuje, teraz nikt nie ma o niczym pojęcia. W karawanserajach, na przystaniach, w oberżach i burdelach nie słychać nic szczególnego. A jednak do pałacu ciągle przybywają i opuszczają go służący. I to jest dziwne.

288

Ostatnie zdanie zastanowiło Borrika.

- Dlaczego uważasz, że to jest dziwne?

Suli wzruszył ramionami.

- Panie, według mnie, służba nie należąca do błękitnokrwistych opuszcza zwykle pałac po wieczornym posiłku, a przed północą. Z jakiegoś nie znanego nam powodu wielu jednak wraca teraz do górnego miasta. A w oknach budynków kuchennych widać błyski ognia, jakby przygotowywano posiłki dla setek ludzi. Ci, którzy zwykle tam gotują, zabierają się do roboty dopiero rankiem.

Borric zastanawiał się nad tym w kontekście tego, czego uczono go kiedyś o polityce keshkańskiej. Jedna informacja doskonale pasowała do usłyszanych wieści.

- W mieście fiest kilkuset członków Rady Lordów i Parów. Tych, którzy nie są błękitnokrwistymi, wezwano na nadzwyczajne zebranie Rady. Przygotowuje się posiłki, by nie zgłodnieli podczas obrad. Jeśli zsumować ich orszaki, to na wzgórzu znajdzie się kilka tysięcy ludzi, którzy w zwykłych warunkach nie powinni tam

przebywać. -Zastanawiał się nad znaczeniem tego wszystkiego. - Którędy dostają się do górnego miasta? Tą drogą?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Suli - ale mogę się dowiedzieć. -Zeskoczył z krzesła i ruszył na plac, coraz bardziej zatłoczony mieszkańcami ściągającymi tu z amfiteatru. O tej porze - dwie godziny przed północą - zwykle zamykano już większość kramów, jednak obecność wielu świętujących skłoniła do wydłużenia godzin handlu właściciele wielu sklepików-poza winiarniami, piwiarniami, gospodami i domami uciechy. Borric był lekko oszołomiony. Takiego tłumu nie widział nigdy w Krondorze nawet w południe, a cóż dopiero mówić o środku nocy.

- O jakim wariactwie znów rozmyślasz, Wariacie?- spytał podejrzliwie Ghuda.

- To zależy od tego, czego dowie się Suli -- odpowiedział Borric. - Powiem ci, kiedy wróci. Uważaj tylko na tych opryszków, którzy chcieli nas pozabijać wczoraj w nocy.

- Wiem co nieco o metodach działania imperialnych mruknął Ghuda. -

Wszyscy ci, którzy przeżyli, siedzą teraz pewnie na samym dnie miejskich lochów, a dowódca straży zastanawia się, o co ich oskarżyć, by potem móc ich sprzedać bez kłopotów na targu niewolników. Imperialna sprawiedliwość jest bezstronna-karze jednakowo bezwzględnie wszystkich, co dostali się w jej tryby: winnych i niewinnych.

289

Suliego nie było przez mniej więcej trzecią część godziny, Borrikowi jednak czas dłużył się nieznośnie. Chłopak wrócił mocno zdumiony:

- Dziwne to, panie, ale wydaje się, że każde wejście do górnego miasta stoi otworem, chyba po to, aby ci, co wracają, nie musieli nakładać drogi.

- Ile jest tych wejść? - Borrikowi zwięzły się oczy. - A co ze strażnikami?

Suli wzruszył ramionami.

- Widziałem cztery czy pięć... i żadnej przy nich straży, panie.

Borric wstał i wciągnął na dłonie parę czarnych rękawic, które stanowiły część jego obecnego przebrania. Dziś wieczorem poddał się trzeciej metamorfozie - możliwej dzięki zawartości sakwy Nakora i resztkom pieniędzy, jakie im zostały po sprzedaży imperialnych biegusów. Jego krótkie jasne włosy przyciemniono aż stał się szatynem, odział się zaś w czarną opończę i czarną zbroję. Przypadkowy przechodzień mógłby go wziąć za członka Legionu Wewnętrznego. Przy bliższej obserwacji Borric okazałby się bezimiennym najemnikiem, szukającym rozrywki w noc Jubileuszu. Suli pozostał przy swej pustynnej odzieży, Nakor zaś włożył błękitną szatę, odrobinę mniej poplamioną i brudną niż dwie pozostałe, którymi chełpił się wcześniej. Ghuda oparł się wszelkim wysiłkom przyjaciół i nie chciał zmienić powierzchowności, uważając, że i tak czeka ich zguba. Kupił czerwoną tunikę raczej dla świętego spokoju niż z przekonania, że przebranie uchroni ich przed pojmaniem przez imperialnych lub podejrzeniem gardel przez wysłanników podziemia. Gdy wszyscy wstali, Borric ruszył przed siebie, przeciskając się przez tłum na placu. Przedostawszy się na drugą stronę, dotarli do szerokiej ulicy, zamkniętej przez gwardzistów liną, by mieszkańcy dolnego miasta nie zatarasowali drogi, po której rankiem miały ruszyć uroczyste procesje. Borric spojrzał na drugą stronę i zobaczył, że w kilkunastu budynkach nadal palą się światła. W wielu były też pootwierane drzwi wejściowe. Jakiś człowiek przebiegł przez ulicę i został zatrzymany przez gwardzistę. Zamienili kilka słów i strażnik skinieniem dłoni

przepuścił posłańca. Ten pobiegł dalej i zniknął w jakichś drzwiach.

- Te domy przylegają do płaskowyżu i w istocie są już częścią pałacu.

Mieszkają w nich najmniej znaczący błękitnokrwieści, ale jednak błękitnokrwieści.

Wiele z tych budynków ma też przejścia na górę. - Borric rozejrzał się dookoła i zauważył, że kolejni strażnicy zatrzymują usiłujących przejść na drugą stronę. - Tu

290

jest trochę za duży ruch - mruknął do Ghudy i Nakora. - Spróbujmy znaleźć inną drogę.

- Inną drogę dokąd? - spytał Ghuda. - Zobaczysz - odparł Borric.

- Bałem się, że to powiesz.

Ruszyli ulicą, która otaczała krawędź rozległego płaskowyżu, rzucającego

cień na czwartą część miasta w kilka zaledwie godzin po południu. Na

skrzyżowaniu z kolejną ulicą Borric dostrzegł to, czego szukał.

- Tam! - Wskazał ruchem głowy. - Co, tam? - spytał Ghuda.

- Za rogiem, rębacz! - odpowiedział Nakor. - Nie widzisz? Za rogiem widać

było otwarte wejście na górę, bez strażników. Wybiegali zeń i wbiegali służący.

Borric rozejrzał się dookoła i przemknął pod liną. Szybko przebiegł przez ulicę,

spodziewając się, że ktoś go zaraz zatrzyma przynajmniej okrzykiem, ale czarna

zbroja, jaką miał na sobie, musiała przekonać stojących nieopodal gwardzistów, że

jest jednym z nich. Jego towarzysze podążali za nim, co wyglądało tak, jakby ich

eskortował. Przedostawszy się przez wejście, trafili do ciemnego, oświetlonego

poходniami osadzonymi w ścianie co sto stóp przejścia wiodącego w górę.

- I co dalej? - spytał Ghuda.

- Idziemy do pałacu - odpowiedział książę. - Tak po prostu?

- Możesz mnie nazwać idiotą, bo nie pomyślałem o tym wcześniej. Idźcie za mną z takimi minami, jakbyście świetnie wiedzieli, dokąd idziemy. Jest jedna rzecz, którą powinniście wiedzieć o pałacach i służbie. Służący wolą o niczym nie wiedzieć. To samo oczywiście dotyczy strażników na służbie. Spojrzał wzdłuż przejścia na wyższe piętro, nie zobaczył jednak niczego. - Kiedy traficie w jakieś miejsce, które jest wam obce i gdzie w rzeczy samej nie wolno wam przebywać, zwykle rozglądacie się ukradkiem na wszystkie strony, pochylacie ramiona, jakbyście czekali, aż ktoś chwyci was za kark - i dla każdego, kto ma prawo tam przebywać, wyglądacie obco i podejrzanie, bo zdradzacie się samą postawą. Jeśli zaś będziecie poruszać się śmiało, z podniesioną głową i z oczyma utkwionymi gdzieś w oddali, służba i straż na wasz widok pomyślą: „Oto człowiek prawdziwie ważny i zajęty! Trzeba mu zejść z drogi”. Nie przyjdzie im do głowy, by was zatrzymać i wypytać. Będą się po prostu bali, że jeśli ich pierwotny domysł był słuszny, dostaną po uszach za przeszkadzanie komuś, kto miał wszelkie prawo poczuć irytację z powodu bzdurnej zwłoki. Trzeba się tylko wystrzegać młodszych oficerów i niższych urzędników. Oficerowie lubią zatrzymywać każdego, kogo nie

291

znają-choć zważywszy na obecność paru tysięcy obcych w pałacu, jest mało prawdopodobne, by któryś zechciał się przemęczać. Najgorsze, co może nam się trafić, to jakiś urzędnik średniego szczebla, nadęty własną ważnością i przepelniony chęcią udowadniania całemu światu, jaki to on jest wielki i wspaniały.

- Brzmi to nieźle, Wariacie - zauważył Ghuda. - Ale to samo dało się powiedzieć o twoim pomysle wejścia w komitywę z miejscowymi złodziejaskami.

- Słuchaj no - zatrzymał go Borric. - Zgodnie z umową dotarliśmy do pałacu

i jeśli tak się obawiasz o swoje cenne życie po tym wszystkim, przez cośmy przeszli, to możesz wracać.

Ghuda zacisnął zęby.

- Wariacie, przez te twoje pomysły szukają mnie w każdej zapchlonej dziurze imperialni oraz wszystkie łotrzyki Keshu. Można mi już wypisać świadectwo zgonu.

Mogę oczywiście wrócić i czekać, aż mnie ktoś rozpozna i złapią mnie jedni lub drudzy, żadna w końcu różnica. Istnieje jednak możliwość-choć według mnie dość nikła-że wiesz, co robisz, wszystko ci się uda i w końcu dostanę swoje pieniądze. Oto dlaczego jeszcze się stąd nie wyniosłem... do stu katów!

Borric spojrział w głąb korytarza, skąd dobiegło ich odległe echo czyichś kroków.

- Suli, a może i ty chcesz się wycofać?

Chłopak miał duszę na ramieniu, ale odparł mężnie:

- Ty jesteś moim panem, a ja twoim sługą, jak się umawialiśmy. Idę z tobą.

Borric położył dłoń na ramieniu chłopca i lekko uścisnął. A ty, spryciarzu? - zwrócił się do Nakora. Ten uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie się bawię.

Ghuda wzniosł oczy ku niebu i westchnął do siebie: - On się bawi!

Gdy jednak Borric gestem dłoni wskazał kierunek, najemnik położył dłoń na rękojeści miecza i bez słowa ruszył przodem.

Księżę nigdy wcześniej nie widział budowli, która dałaby się porównać do imperialnego pałacu. Był rozległy niczym miasto, a ruch na jego korytarzach i wewnętrznych alejkach nie był mniejszy niż na targowej ulicy w południe. Jak do tej pory, przypuszczenie Borrika, że nikt ich o nic nie spyta i nie zatrzyma, jeżeli będą

sprawiali wrażenie ludzi zajętych i mających wszelkie prawo tu przebywać, okazało się prawdziwe. Sęk w tym, że żaden z nich nie miał pojęcia, dokąd powinni

292

się udać. Pytanie o kierunek było ryzykowne - każdy, kto miał prawo pobytu w pałacu, z pewnością dobrze wiedział, dokąd iść i co robić. Stracili już godzinę.

Zbliżała się północ - kesański dzień pracy skończył się kilka godzin wcześniej i każdy uczciwy, przestrzegający prawa obywatel dawno już chrapał w ciemnościach cichej alkowy. Borric poprowadził towarzyszy w rejony, gdzie ruch był nieco mniejszy - potem podążyli bocznym korytarzem, na który wychodziły drzwi od kwater prywatnych. Spodziewał się, że lada moment zostaną zatrzymani i odetchnął z ulgą, kiedy trafili na niezbyt rozległy ogród - obecnie opustoszały. Ghuda przyklęknął przy fontannie i napił się krystalicznie czystej wody. Potem westchnął, podniósł wzrok ku niebu i spytał:

- Co teraz?

Borric przysiadł na krawędzi sadzawki.

- Myślę, że powinienem zbadać teren, ale dopiero gdy się uspokoi. - Zdjął opończę i kolczugę i dodał: - A jeżeli mam się tu trochę pokręcić, muszę zostawić ten rynsztunek. - Rozejrzawszy się dookoła, spostrzegł kępę krzewów i paproci rosnących przy murze. - Jeśli się tam wciśniesz, znajdą was tylko wtedy, kiedy ktoś przyjdzie was tu szukać... i będzie wiedział, gdzie patrzeć.

Ghuda zamierzał już coś powiedzieć, kiedy usłyszeli uderzenie dzwonu.

- Co to było?

Za pierwszym poszło drugie, potem następne. Nagle wszędzie rozdzwoniły się dzwony. Ich uderzeniom towarzyszył łoskot stóp wielu ludzi, biegających po

pobliskich korytarzach. Borric porwał kolczugę, podbiegł ku żywopłotowi i dał nura w gęste krzaki. Kuląc się obok kompanów, zaklął sążnięcie:

- A bodajby ich gęsi skopały! Zastanawiam się, czy to nie my jesteśmy powodem całej tej wrzawy?

Wyglądający ostrożnie przez liście i gałęzie Ghuda mruknął ponuro:

- Nie wiem, ale jeżeli zaczną przeczesywać ten ogródek, to tkwimy tu zamknięci jak ryby w saku. Stąd jest tylko jedno wyjście. - Owszem! - warknął

Borric. - Musimy poczekać!

Erlanda i Sharanę uderzenia dzwonów wyrwały ze snu. Nie był to sen

głęboki, po prostu drzemali słodko, nasyceni miłością. Dziewczyna, owszem, wyglądała niewinnie i słodko - ale była młoda, zdrowa, pełna zapału i pomysłów, które niemal kompletnie wyczerpały krzepę Erlanda. Było to najśłodsze z

293

możliwych wyczerpanie i młody książę nie mógł sobie wyobrazić niczego przyjemniejszego - zwłaszcza że pierwsze spojrzenie Sharany obiecywało, iż za chwilę będzie ciąg dalszy.

Gdy jednak zobaczył, jak zareagowała na dzwony, natychmiast zapomniał o figlach.

- Co to było? - spytał.

Sharana wyskoczyła z łóża - służące już biegły ku niej i w locie rozsuwały zasłony.

- Dworskie szaty!

Erland zaczął rozpaczliwie szukać w pościeli swojego ubrania, a służba

błyskawicznie podała księżniczce jej spódniczkę i bluzę. Zamykając klamrę na

pasie, Sharana wyjaśniła:

- To alarm. Sygnał, by zamknąć górne miasto. Musiało się stać coś bardzo niedobrego.

Erland ubrał się pospiesznie i gdy oboje byli gotowi, wyszli z ogrodu i weszli do jego apartamentów. Na księżniczkę czekała mieszana kompania straży pałacowej i czarno odzianych żołnierzy Legionu Wewnętrznego. Skłonili się nisko, a dowodzący nimi oficer przekazał:

- Księżniczko! Szukaliśmy cię w twoich komnatach, ale twoi słudzy poinformowali nas, że znajdziemy cię tutaj. Imperatorowa rozkazała nam, byśmy natychmiast sprowadzili cię do niej.

Sharana skinęła głową, ale kiedy Erland zbliżył się, by jej towarzyszyć, oficer w czerni zatrzymał go, mówiąc:

- Księżniczko, moje rozkazy nie obejmują tego człowieka. Księżniczka błyskawicznie odwróciła się na pięcie.

- Tego człowieka? - syknęła. - Dowiedz się, chamie, że stoisz przed Księciem Wysp! Jest członkiem rodziny królewskiej! - Głos Sharany był teraz władczy, dziewczyna, która jeszcze przed chwilą tuliła się do Erlanda, przemawiała jak królowa, która nie zna słowa nieposłuszeństwo. - Masz się doń zwracać jak do mego wuja, ponieważ nie ustępuje rangą księciu Awariemu! To rozkaz!

Erlanda zdumiała reakcja księżniczki na niewielkie w końcu grubiaństwo oficera i wściekłość, z jaką się wcale nie kryła. Niemal oczekiwał, że zdegraduje tego człowieka - do czego z pewnością miała prawo - zamiast tego jednak księżniczka kiwnęła dłonią, dając mu znak, by jej towarzyszył. Księżę zauważył, że

oficer zbladł niby wór mąki i spocił się obficie - nie popisał się dzisiejszej nocy.

Kiedy skręcali za róg korytarza, Sharana odezwała się doń głosem, który znów był słodki i upajający:

- Myślę, że powodem tego zamieszania są niefortunne wieści o armii twojego ojca. Wątpię, by komukolwiek groziło prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie tutaj, w sercu Imperium, w górnym pałacu.

Erland usiłował jakoś połączyć w jedno wizerunek słodkiej i uśmiechniętej panny, która spokojnie kroczyła obok niego, i władczej furii, która przed chwilą starła niemal w proch bywałego i twardego oficera. Wkroczyli do skrzydła pałacu, w którym znajdował się Dwór Światła, formalny ośrodek władzy. Erland nie był tu nigdy wcześniej, nawet wzywany przez imperatorową. Zawsze spotykał ją w sali audiencyjnej.

Teraz wkraczał do siedziby rządu Keshu, miejsca nigdy nie zbrukanego mrokiem, ponieważ z pułapu zwisało tu tysiąc świeczników, każdy oświetlony tuzinem wielkich świec. Rozległa komnata skąpana była w świetle. Równie jasne jak światło dnia, nie zostawiało cienia, ponieważ padało ze wszystkich stron.

Nawet podczas uroczystości Służba Światła opuszczała świeczniki i wymieniała kopcące świece, ponieważ zarządzono, że Świetlistego Dworu nigdy nie splami mrok. Idąc szybko, przemierzyli długie przejście i przeszli obok urzędników i oficerów. Na przedzie stali najwyżsi rangą wojskowi - sztab Aber Bukara i jego Psich Legionów. Na pozłacanym tronie na poduszkach ze złotogłowiu spoczywała sama imperatorowa. Wokół niej na ustawionych amfiteatralnie w półokrąg siedzeniach usadowili się władcy Keshu, członkowie Rady Lordów i Parów. Gdy Erland zbliżał się do tronu, zjawiali się ciągle nowi, którzy szybko zajmowali

należne im miejsca. Wszędzie w komnacie prowadzono przyciszone rozmowy i nie trzeba było być znawcą życia dworu, by odgadnąć, że nastrój jest przygnębiający i pełen strachu. Zdarzyło się coś okropnego - i wszyscy spekulowali, co się stało i jak to wpłynie na ich losy. Sharana i Erland dotarli do podwyższenia w chwili, w której mistrz ceremonii uderzył o posadzkę żelaznym końcem swej ogromnej ceremonialnej laski. Zwieńczający ją sokół zadrżał, jakby chciał ulecieć ze złotego słonecznego dysku.

- Dajcie baczenie, wszyscy, którzy jesteście przytomni! Przybyła! Przybyła!

Ta Która Jest Keshem zasiadła, by sądzić! W komnacie natychmiast zapadła cisza.

Imperatorowa skinęła

295

dłonią, wzywając Sharaną ku sobie, i dziewczyna wspięła się na wysokość dwu tuzinów stopni - na twarzy księżniczki odmalowała się niepewność. Zdarzyła się oto rzecz niesłychana: wedle imperialnej tradycji nikomu-z wyjątkiem mistrza ceremonii nie wolno było wspinać się po stopniach ku tronowi. Mistrz mógł zresztą podejść do władczyni jedynie wtedy, kiedy trzeba było podać Jej jakiś dokument, a i wówczas musiał zatrzymać się o stopień niżej. Księżniczka zatrzymała się na tym właśnie stopniu i oto babka kiwnięciem dłoni wezwała ją ku sobie. Zbliżywszy się do władczyni, dziewczyna uklękła. Lakeisha zaś, imperatorowa Wielkiego Keshu, objęła ją i zalala się łzami! W komnacie zapadła grobowa cisza - czegoś podobnego nie widział nikt od chwili, kiedy na tym tronie zasiadł pierwszy z długiej linii władców Imperium! W końcu stara kobieta wypuściła z objęć swą skonfundowaną i przestraszoną wnuczkę i wstała. Odetchnąwszy głęboko, zawołała na całą salę:

- Niech będzie wszystkim wiadome, że zabito członka mej najbliższej rodziny!

- Na jej pooranej zmarszczkami twarzy pojawiły się nowe łzy, ale jej głos już nie drżał, gdy podjęła wątek: -Tak jest! Moja córka nie żyje! -Wszyscy słuchacze wstrzymali oddech i jęknęli ze zgrozą. Niektórzy członkowie Rady Lordów i Parów zaczęli spoglądać na siebie, jakby chcieli się upewnić, że dobrze usłyszeli. - Nie inaczej! - zawołała imperatorowa. Odebrano mi córkę! Zamordowano tę, która miała przejąć po mnie władzę! - W głosie starej kobiety zabrzmiała wściekłość. Zostaliśmy zdradzeni! Powitaliśmy szczerym sercem kogoś, kto nas podle zwiódł, i kto sprzymierzył się z naszymi wrogami!

Stojący w dole Erland ujrzał, że imperatorowa wbija weń gniewne spojrzenie, i rozejrzał się za swoimi towarzyszami. James i tiamina stali przy wejściu pod strażą. I nagle usłyszał głos tiaminy: James radzi, byś zachował spokój, niezależnie od rozwoju wydarzeń. Uważa, że ktoś działa przeciwko nam. Księżę nabrał tchu w płuca i z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć, powiedział:

- Zechciej mówić jaśniej, Lakeisho.

Keshańscy arystokraci natychmiast pojęli znaczenie tego, że Erland zwrócił się do imperatorowej po imieniu. Oznajmiał w ten sposób i przypominał tym, co zapomnieli, że jest dziedzicem tronu Królestwa Wysp. Dawał też do zrozumienia, iż należy mu się ochrona odpowiednia do jego pozycji i zgodnie z tradycjami dyplomacji. Imperatorowa niemal spopieliliła go wzrokiem.

296

- Wiesz dobrze, o czym mówię, zwiastunie nieszczęścia. Moja córka Sojiana, która miała objąć po mnie władzę, leży martwa w swojej sypialni. Zabita przez twego ziomka!

Erland raz jeszcze rozejrzył się po sali i nie znalazł twarzy, której szukał.

Jednocześnie usłyszał głos imperatorowej:

- Moją córkę zamordował człowiek, którego tyś wprowadził do mego domu.

Jeśli się okaże, że działał z twego rozkazu lub za twoją zgodą, nie ochronią cię ni twoja pozycja, ni urodzenie!

- Locklear! - szepnął Erland.

- Onże sam! - zawołała imperatorowa. - Baron Locklear uciekł podle po spełnieniu swego morderczego dzieła! Zamknięto pałac i rozpoczęto poszukiwania.

Kiedy go przyprowadzą przed nasze oblicze, wydobędziemy z niego całą prawdę! A teraz... precz z moich oczu! Dość mam już widoku ludzi z Wysp!

Erland odwrócił się sztywno i bez ukłonu. Kiedy dotarł do wyjścia, dołączyli doń otoczeni strażą James i tiamina. Nie odezwawszy się do siebie słowem,

Wyspiarze dotarli do swoich kwater. Tam Erland zwrócił się do kapitana gwardii:

- Zostaw nas samych! - Oficer zawahał się, więc ksiązę powtórzył z

naciskiem: - Powiedziałem: zostaw nas samych! Kapitan skłonił się i rzekł:

- Zgodnie z wolą Waszej Księżęcej Mości... - potem zaś polecił swoim ludziom

opuścić komnaty gościnne. Erland zwrócił się teraz do tiaminy: Możesz odnaleźć

Lockleara? Spróbuję, odpowiedziała dziewczyna. Zamknęła oczy i przez chwilę trwała w bezruchu. Potem nagle otworzyła je i rzekła: - Borric!

- Co takiego? - zdumiał się Erland.

tiamina zmusiła się do spokoju. Przez moment... tylko przez moment...

miałam wrażenie, że wyczuwam... nastąpiła cisza, i po chwili dziewczyna podjęła

wątek. Nie wiem, co to było... W pewnej chwili rozpoznałam znany mi wzór

myślowy... ale w tym samym momencie wszystko rozmyło się w nicość...

Jak to, znikł, czy co? spytał James.

To sprawa jakiegoś maga. Tylko mag mógłby osłonić przede mną jego myśli tak szybko i dokładnie. Potem dodała z nutką smutku: To nie mógł być Borric, nie w tym pałacu. Jestem zmęczona i zmartwiona. Wyczułam coś znajomego i zbyt pośpiesznie wysnułam wniosek, który nie może być prawdziwy... Teraz zajmę się Locklearem. Obaj mężczyźni podeszli do kanapy i usiedli na niej, cały czas obserwując stojącą nieruchomo pośrodku komnaty tiaminę. Dziewczyna

297

przebiegała myślami rozległy pałac, szukając znajomego wzoru myślowego - barona Lockleara. Erland przysunął się do Jamesa, tak by mogli rozmawiać, nie rozpraszając skupienia tiaminy.

- Dowiedziałeś się czegoś? - Pytanie odnosiło się do wcześniejszej propozycji Jamesa, wedle której earl miał pomyszkować

po pałacu. ~, - Niestety nie. To zbyt rozległe miejsce - szepnął James.

- W pałacu twego ojca odnalezienie niektórych sekretnych przejść 'zajęło mi bez mała miesiąc... a ten tu jest dziesięciokrotnie bardziej rozległy!

- Cóż. . . - westchnął Erland. - Myślałem, że coś znajdziesz.

- Ja też tak myślałem - mruknął mocno zawiedziony i jak- ?' by urażony w swej zawodowej dumie były krontorski złodziejaszek. Niewiele już pozostało do powiedzenia, tymczasem zaś Gamina kończyła poszukiwania. Otworzyła oczy, gdy minęło pół godziny.

- Nic - powiedziała łagodnie.

- Znikł bez śladu - rzekł Erland na głos.

Tak, odpowiedziała. Nie ma go w pałacu. Jakby go tu nigdy nie było.

Opierając się o grube i ciężkie poduszki, Erland powiedział: - Sądzę, że teraz możemy tylko czekać. - Wstał i bez " słowa opuścił apartament Jamesa i tiaminy. Borric podskoczył tak żwawo, że niemal wypadł z krzaków. - Co u li... - zaczął, ale Ghuda szarpnął go w tył, zanim ktoś coś zauważył. W pięć może minut po ogłoszeniu alarmu przez ogród zaczęli przebiegać strażnicy, wszyscy zdążyli w jednym kierunku. Byli to odziani w kilty błękitnokrwieści z gwardii pałacowej i noszący czerń członkowie Legionu Wewnętrznego. Borric zaczął podejrzewać, iż ktoś w końcu zainteresował się grupką dziwacznie dobranych śmiałków, buszujących po pałacu.

- Co, u licha, strzeliło ci do głowy? - spytał Ghuda. ' - Wydało mi się, że przed chwilą ktoś jakby mnie wołał - !~ odparł szeptem książe.

- To była magia - uśmiechnął się Nakor.

- Co takiego? - zdumieni się książe i Ghuda.

- Magia - powtórzył Isalańczyk. - Ktoś przeszukiwał pałac. Przez chwilę dotykano twojego umysłu.

- Skąd wiesz? - spytał Borric.

Nakor zignorował pytanie.

- Ale możesz wyzbyć się obaw. Osłoniłem cię. Już cię nie znajdą.

298

Borric chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale w tej właśnie chwili do ogrodu wpadli odziani w czerń śledczy z Legionu Wewnętrznego, którzy zaczęli systematyczne przetrząsanie bujnie rozplenionej zieleni. Ghuda z rozpaczą w twarzy wolno sięgnął po miecz, gotów rozplatać pierwszego, który rozsunie gałęzie, za którymi się ukrywali. Kiedy strażnicy byli już niemal przy nich, Nakor

wypadł z krzaków niczym spłoszony zając i wrzasnął:

- Juhuuu!

Najbliższy ze stróżów prawa niemal zemdlął ze strachu, kiedy niespodzianie wyskoczył nań barwny, roześmiany obszarpaniec. Nakor wykonał kilka obscenicznych, a wymownych i uniwersalnych gestów... i nagle wszyscy strażnicy, dysząc żądzą krwi, runęli za nim niczym stado dzików. Borric wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem, choć patrzył na dokładną powtórkę tego, czego był świadkiem, gdy pierwszy raz spotkał kurdupla na szlaku za Farafrą. Legioniści, choć bardzo się starali, nie potrafili pojmać zwinnego jak wiewiórka franta, który zawsze jakoś wywijał się dosłownie w ostatniej sekundzie. Najpierw jeden, potem drugi stróż prawa zostali błyskawicznie i bez wysiłku wymanewrowani przez roześmianego od ucha do ucha dziwaka. Dwukrotnie wymknął się niedźwiedzim uściskom, za każdym razem podstawiając nogę i przewracając prześladowcę, zanim ktokolwiek zdążył się połapać w sytuacji. Gdy strażnicy rzucali się nań hurmą, padał na ziemię i umykał, tocząc się jak szalony, gdy usiłowali chwycić go nisko, rzucając się na jego nogi, skakał niczym małpa w górę - gdziekolwiek zamykała się jakaś sękata łapa, chwyciła tylko powietrze. Wydawane podczas tego wszystkiego przez przecherę dźwięki-wycie, poświstywanie i wariacki chichot-rozjuszały pałkarzy jeszcze bardziej, podbijając im bębenka i zmuszając do coraz gwałtowniejszych wysiłków. W końcu jakiemuś sierżantowi udało się zapanować nad chaosem siłą swej przepastnej gardzieli i legioniści - których oczy gorzały już nie na żarty żądzą mordy - rozstawili się wokół ścian ogrodu. Powoli zaczęli zaciskać krąg... Nakor tymczasem sięgnął do swej sakwy i wyjął z niej jakiś przedmiot wielkości orzecha. Gdy strażnicy szykowali się już do ostatniego skoku, cisnął przedmiot na ziemię.

Rozległ się straszliwy grzmot, mrok ogrodu rozjaśnił oślepiający błysk i wszystko zakryły kłęby dymu śmierdzącego siarką - Borric znał ten zapach z aresztu wiejskiego pod Jeeloge. Gdy dym się rozwiął, oszołomieni strażnicy odkryli, że stojący przed chwilą pośrodku kręgu wrogów utrapieniec zniknął wraz z dymem. Zaraz potem usłyszeli złośliwy, tryumfalny śmiech, odwrócili się jak oparzeni i

299

zobaczyli przekłętego kurdupła stojącego samotnie u wejścia do ogrodu. Nakor gwizdnął drwiąco i pomknął w głąb pałacu ścigany przez zgraję dziko ryczących strażników, którzy w barwnych słowach opisywali, co zrobią Isalańczykowi, jak go złapią. - Oni go chyba nie lubią - mruknął Borric.

- Jak on to zrobił? - zdumiał się Ghuda.

- On naprawdę musi być magiem... - szepnął Suli. Borric pierwszy

przypomniał sobie o grożącym im niebezpieczeństwie. - Wróć tutaj, jak tylko sierżant przypomni sobie, co robi

li... i że nie skończyli przeszukiwania ogrodu. Musimy szybko znaleźć sobie inną kryjówkę. Jazda.

- Wariacie, jeżeli mamy zginąć, ten ogród wcale nie jest gorszy od innych miejsc - prychnął pogardliwie Ghuda.

Borric spojrzał na najemnika przeciągle, potem zaś rzekł cierpko: - Ghuda,

celem tych ćwiczeń jest pozostanie przy życiu. - Z tym nie będę się spierał-mruknął najemnik. -Dokąd teraz? Książę wyjrzał z ogrodu na korytarz.

- W stronę, z której nadciągnęli strażnicy. Jeżeli ukryjemy się w miejscu, które już przeszukali, zyskamy trochę na czasie. Nie czekając na odpowiedź,

wyszedł na korytarz spokojnie, jakby doskonale wiedział, co robi i dokąd zmierza.

W duchu wyraził życzenie, by bogowie nie pokarali go za nadmierną beczelność.

Erland siedział i rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami. Nic tu nie miało

sensu. To, czego był świadkiem podczas ostatnich dwu dni, było tak

nieprawdopodobne, iż nie mógł uwierzyć, że imperatorowa zaczęła podejrzewać

Wyspiarzy o przybycie do pałacu, by spowodować cały ten chaos. Nie mógł znaleźć

motywu, wyjaśnienia i powodów - poza jednym. Ktokolwiek usiłował rozpalić

plomień nienawiści pomiędzy Królestwem a Imperium i wtrącić oba kraje w wojnę,

podjął kolejną próbę i wyglądało na to, że pragnie przyspieszyć bieg wydarzeń.

Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem, które zresztą nasuwało się samo, było to, że

architekt tego spisku - ktokolwiek nim był ~- zaplanował wszystko tak, by

spropokować konfrontację wtedy, kiedy każdy z możliwych podejrzanych

imperialnych arystokratów znajdował się w pałacu. Erland dużo by dał, by poznać

imiona tych, co chcieli pogrążyć oba narody w szaleństwie wojny, po to choćby, by

podać go (lub ją, poprawił się zaraz - na tym dworze kobiety były nie mniej

niebezpieczne od mężczyzn) imperatorowej, związanego (lub związaną) niczym

300

tuczoną kaczkę. Przyszło mu do głowy, iż powinien przesłać jakąś wiadomość

Sharanie i zapewnić ją, że nie miał nic wspólnego z zamordowaniem jej matki. Po

chwili jednak się rozmyślił. Przecież nawet gdyby osobiście wetknął nóż w pierś

Sojiany lub wlał jej truciznę do pucharu z winem, też byłby ogłaszał wszem wobec

swoją niewinność - osobiste zapewnienia niczego nie oznaczały. I nagle uderzyła go

pewna myśl: jaką śmiercią zginęła Sojiana? Jeśli zaś podejrzewano Lockleara, to

gdzie on przepadł? Nie był w końcu zwykłym, czającym się w mroku mordercą i

złodziejaszkiem - był panem Królestwa Wysp, baronem na dworze Księcia

Krondoru. Nawet jeżeli doszłoby do jakiejś sprzeczki czy sporu choćby i gwałtownego Locklear nie podniósłby dłoni na kobietę. Erland wiedział, że z Lockleara uczyniono kozła ofiarnego - ale jak to udowodnić? Do jego kwatery weszła lady Miya i skłoniła się lekko.

- Erlandzie - odezwała się łagodnie. - Z rozkazu imperatorowej macie zostać zamknięci w swoich komnatach.

Erland wyprostował się i zawrzał gniewem.

- Jak ona śmie! To wbrew tradycjom cywilizowanej dyplomacji!

Miya usiadła obok księcia.

- Posłuchaj, księżę. Odebrano jej córkę. Jej doradcy ostrzegli ją, że jeśli ośmieli się skrzywdzić ciebie albo kogokolwiek z twoich... bez aprobaty waszego Króla, ryzykuje poważne represje i żaden dyplomata nie przekroczy już nigdy granic Keshu. Dziewczyna westchnęła i otoczyła ramieniem szyję Erlanda. Za dzień lub dwa gniew jej przejdzie, jestem tego pewna. Aż do tego czasu, możesz odwiedzać przyjaciół w tym skrzydle pałacu, nie wolno ci jednak go opuścić bez eskorty straży-i tylko wtedy, gdy imperatorowa wezwie cię do siebie.

- Jaką śmiercią zginęła księżniczka? - spytał Erland. Myia zamknęła powieki, by powstrzymać łzy.

- Znalaziono ją ze złamanym karkiem. Księżę zmrużył oczy:

- Miała złamany kark? Jakby upadła?

- Nie - kobieta potrząsnęła głową. - Na jej szyi znaleziono zadrapania i siniaki. Ktoś po prostu skręcił jej kark.

- Myia, to bardzo ważne! - rzekł Erland. - Locklear nie zabił twej kuzynki.

Dziewczyna przez chwilę wpatrywała się w twarz księcia i w końcu spytała

drżącym głosem:

- Skąd ta pewność?

301

- Locklear nie jest człowiekiem, który mógłby skrzywdzić kobietę, nawet gdyby musiał się bronić. Gdyby zaś... - Erland przez chwilę szukał odpowiednich słów-gdyby zdarzyło się coś, co skłoniłoby go do działań gwałtownych i nieprzemyślanych, nawet i wówczas nie rzuciłby się Sojanie do gardła. On jest zawołanym szermierzem, pchnąłby ją rapierem lub sztyletem. Świetnie walczy, ale brak mu brutalnej siły, potrzebnej do tego, by komuś skrócić kark. Księżniczka Skarana to nie żadna tam słodka i słaba dziewczeczka. A jeśli Sojiana choć trochę przypominała córkę, to gotów jestem się założyć, że pod jej atlasową skórą kryły się prężne mięśnie.

- Owszem... - rozmyślała Myia na głos. - Sojiana była znacznie silniejsza, niż mogłoby się wydawać. Tacy są zresztą wszyscy moi krewni ze strony imperatorowej. Wyglądają na mięczaków i słabeuszy, ale nimi nie są. - Milczała jeszcze przez chwilę, potem zaś spytała: - Ale jeśli nie zabił jej Locklear, to kto? I dlaczego Lockleara tu nie ma?

- Obawiam się, że jeśli znajdziemy odpowiedź na pierwsze pytanie, drugie wyjaśni się samo-odparł książę. - A jeżeli moje przypuszczenia są prawdziwe, to Locklear jest w niebezpieczeństwie... o ile jeszcze żyje.

- Myślę, że znam kogoś, kto mógłby wam pomóc - rzekła Myia.

- Kto to taki?

- Lord Nirome. Zawsze gotów jest wysłuchać głosu rozsądku. Teraz zaś, kiedy Sojiana nie żyje, napięcia w Radzie Lordów i Parów będą jeszcze większe, bo

ci, co byli gotowi zaakceptować Sojiane na tronie, z pewnością nie zgodzą się na kogoś tak młodego jak Skarana. Nirome zawsze chętnie podejmuje działania zmniejszające napięcia na dworze - a znalezienie prawdziwego mordercy księżniczki uspokoi nastroje bardziej niż cokolwiek innego.

- Ciekaw jestem... - zaczął Erland, jakby nad czymś się zastanawiał. - Kto popiera księcia Awariego?

- Lord Ravi i ci, co boją się matriarchatu. Wielu jednak z tych, co popierali Sojiane ze względu starszeństwa, teraz przejdzie do obozu Awariego. Nie widzę przeszkody, która zagroziłaby mu teraz drogę do tronu.

- Sprawdź, czy lord Nirome zechce mnie wysłuchać. Musimy powstrzymać to szaleństwo, zanim poleją się strumienie krwi. Dziewczyna wyszła, Erland zaś usiadł i spróbował wezwać

302

Gammę. Zamknąwszy oczy, wyobraził sobie jej twarz. Po chwili usłyszał głos dziewczyny: Słucham, Erlandzie, o co chodzi? Przyjdź z Jamesem do moich komnat. Myślę, że się trochę pospieszyłem z udaniem na spoczynek. Pojawiły się nowe elementy w sprawie i musimy je omówić.

Nastąpiła chwila ciszy, po której Erland usłyszał odpowiedź Gammy: Już idziemy.

303

ROZDZIAŁ 17 - SIDŁA

Borric wyjrzał ostrożnie zza rogu.

Nie dostrzegłszy wśród mroków żadnego ruchu, kiwnięciem dłoni wezwał kompanów, by ruszyli za nim. Godzinę już bez mała ukrywali się przed różnymi

grupami strażników, którzy uparli się, by znaleźć intruzów. Nakor gdzieś przepadł i nie widzieli go od chwili, gdy wyprowadził stróżów prawa z ogrodu. Kilka razy niemal wpadli na wszechobecnych gwardzistów i z najwyższym trudem uniknęli pojmania.

W pewnej chwili Ghuda położył Borrikowi dłoń na ramieniu. - W ten sposób niczego nie osiągniemy - szepnął. Myślę, że musimy złapać jakiegoś sługę i wydusić zeń informację o tym, gdzie przebywają twoi przyjaciele. Jeżeli brzydzi cię myśl o podejrzeniu mu potem gardła, to możemy go związać niczym prosiaka, zatkać mu pysk i zostawić gdzieś na uboczu, ktoś go potem uwolni, a choćby i ty sam, kiedy się wszystko wyjaśni. Co o tym myślisz?

- Nie przychodzi mi do głowy nic lepszego - odpowiedział Borric - pójdziemy więc chyba za twoją radą. - Rozejrzawszy się dookoła, dodał: - Dobrze byłoby przedtem trochę odpocząć.

- O, toś dobrze powiedział! - ucieszył się Ghuda. - Moim nogom przyda się kilka chwil wytchnienia.

- Pełno tu wszędzie pustych komnat. - Wskazując najbliższe drzwi, Borric dodał: - No... sprawdźmy choćby tę.

Otworzył drzwi tak łagodnie, jak tylko potrafił-pchnął delikatnie wykładaną słoniową kością płytę, która jak na złość, głośno zatrzeszczała. Borric uchylił drzwi na kilka cali i zaproponował:

- Może powinniśmy spróbować tamtych z zasłonami? Niecierpliwy Ghuda pchnął tymczasem mocno drzwi, które skrzypnęły raz - zaskakująco łagodnie - i przepchnął kompanów do środka, po czym zamknął drzwi za sobą.

Borric niemal upadł, gdy odwracał się ku towarzyszowi, najemnik

tymczasem przyłożył palec do ust, przypominając o potrzebie zachowania ciszy.

Księżę sięgnął po swój rapier, Suli chwycił szablę, Ghuda zaś cofnął się o krok i dobył swój katowski miecz. Odsunął się od towarzyszy, by w razie czego mieć miejsce na cięcia. Borric rozejrzał się uważnie po pustym pomieszczeniu, sprawdzając, czy w razie walki nie potknie się na jakimś podnóżku czy stołeczku. Z

304

drugiej strony wiedział, że to przesadne obawy jeżeli przyjdzie do rąbaniny, to każdego z trzech towarzyszy opadnie ograniczona jedynie ciasnotą miejsca liczba gwardzistów. W najlepszym razie mógł liczyć na to, że podczas rozpaczliwej wymiany ciosów zdoła przetrwać dostatecznie długo, by przekonać kogoś ważnego, iż w istocie jest synem Księcia Aruthy.

Usiedli zmęczeni na posadzce i rozluźnili mięśnie, napięte niemal nieprzerwanie od czterech godzin.

- Wiesz co, Wariacie? - odezwał się Ghuda. - To całe skradanie się po pałacu wzmogło mój apetyt. Chciałbym mieć teraz choć jedną z tych pomarańczy Nakora.

Borric już miał odpowiedzieć, kiedy usłyszał jakieś stłumione głosy.

Początkowo dość odległe, szybko się zbliżały. Księżę poderwał się na nogi i skoczył ku drzwiom. Suli skulił się i wcisnął Ghudzie pod brodę, tak że też mógł obserwować. Borric już miał odesłać chłopca w tył, ale nieznajomi rozmówcy podeszli już tak blisko, że musiał zrezygnować.

Tymczasem w ich polu widzenia ukazało się dwu mężczyzn, mijających drzwi. Jeden z nich był krępyim jegomościem, dzierżącym w dłoni laskę będącą oznaką jego urzędu. Drugi miał na sobie czarny płaszcz z kapturem. Kiedy jednak obaj minęli drzwi, zawrócili i Borric przez mgnienie oka mógł widzieć jego twarz.

Obaj pogrążeni byli w rozmowie. Mówił krępy.

- ...dziś w nocy. Nie możemy już czekać. Gdy imperatorowej minie złość, może zacząć się rozglądać za prawdziwymi winowajcami. Przekonałem ją, by odesłała Awariego na północ, by zapobiec kłopotom, które się tam pojawiły, ale to kłamstwo ma krótkie nogi. I trzebaż trafu... po pałacu biega jakiś wariat i strażę nie mogą go złapać. Nie wiem, jak to się wiąże z naszymi sprawami, ale wyczuwam kłopoty... - głos ucichł, bo nieznajomi oddalili się w przeciwny koniec korytarza. Suli odwrócił się i pociągnął Borrika za rękaw.

- Panie!

- Co znowu? - syknął Borric, usiłując jakoś uporządkować w myślach to, co usłyszał.

- Człowiek w czerni to ten sam, którego widziałem w pałacu namiestnika w Durbinie, ten ze złotym wtorkiem! On pracuje dla Lorda Ognia.

Borric oparł się plecami o drzwi.

- Tego tylko brakowało! Choć nie powiem, wszystko zaczyna się układać...

Ghuda odłożył miecz pod ścianę i spytał szeptem: - Co się dzieje?

305

- Od samego Durbinu kłopoty deptały mi po piętach mruknął Borric.

-- Co?

- Powiem ci później. Mam nadzieję, żeście obaj wypoczęli. Ruszajmy, musimy przydybać kogoś ze służby.

Borric otworzył ostrożnie drzwi, ciągnąc je lekko w górę, dzięki czemu zgrzyt zawiasów był prawie niesłyszalny. Ruszył w głąb korytarza, nie dając czasu

Ghudzie na dalsze pytania.

Począł na pozostałych i zamknął za nimi drzwi. Potem kiwnięciem dłoni nakazał Ghudzie i Suliemu, by przyłgnęli do ścian. Wszystko tu było pogrążone w mroku, książę zaś wątpił, by keshkańscy arystokraci lubili potykać się po ciemku, doszedł więc do wniosku, że mało jest prawdopodobne, by natknęli się na jednego z nich. Gdy doszli do drugiego krańca korytarza, odwrócił się do towarzyszy.

- Ktoś nadchodzi! - syknął i skinieniem dłoni polecił Ghudzie i Suliemu zająć pozycję pod jedną ścianą, sam zaś przyczaił się pod drugą. W głębi korytarza pojawiła się samotna kobieta i Ghuda zastąpił jej drogę.

- Kim jesteś... - zaczęła, kiedy Borric złapał ją od tyłu. Dziewczyna była gibka i sprawna, Borric jednak przytrzymał ją bez trudu i wciągnął w najbliższe drzwi.

W tej komnacie było nieco jaśniej - światło wpadało przez umieszczone naprzeciwko drzwi okna. Borric nie wypuszczając kobiety z uścisku, szepnął jej prosto w ucho:

- Narobisz wrzasku, a srodze tego pożałujesz. Nic ci się nie stanie, jeżeli zachowasz się rozsądnie. Zrozumiałaś?

Kobieta kiwnęła głową i książę ją puścił. Dziewczyna odwróciła się i powiedziała:

- Jak śmiesz, ty... - I wtedy zobaczyła, kto ją pojmał. Erland? Co ci strzeliło do igła... - Oczy nieznajomej rozszerzyły zdumienie, gdy jej wzrok padł na dziwaczne szaty i fryzurę księcia. - Borric! Jak się tu dostałeś?

Książę od dzieciństwa wysłuchiwał opowieści earla Jamesa o jego złodziejskich przewagach w młodości. Jedną z charakterystycznych cech psychiki Jimmy'ego, która wtedy oddawała mu szczególne przysługi, była reakcja, którą nazywał świerzbem na kłopoty. Kiedy coś było nie tak, Jimmy natychmiast to

wyczuwał. Po raz pierwszy w życiu Borric zrozumiał teraz, o czym earl wtedy mówił. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł go, że stoi w obliczu problemu, co się zowie.

Wyjąwszy rapier, wymierzył go w krtani kobiety.

306

- Wariacie, to niepotrzebne-sarknął Ghuda. -Ta kobieta.. .

- Nie odzywaj się, Ghuda. Jak cię zwać, nieznajoma?

- Myia. Jestem przyjaciółką twego brata. Będzie wstrząśnięty, kiedy się

dowie, że żyjesz. Co ty wyprawiasz... - roześmiała się i Borric zdumiał się jej

opanowaniu i mistrzostwu, bo śmiech zabrzmiał szczerze i prawdziwie, książę

jednak wiedział, że był wymuszony. - Głupstwa gadam. .. To musi być szok po tym,

jak. . .

- ... zobaczyłaś mnie tu, w pałacu? - dokończył Borric. - ...zobaczyłam cię

żywego - poprawiła dziewczyna.

- Och, nie, myślę, że łżesz. Kiedy mnie ujrzałaś, wzięłaś mnie za brata. Potem

szybko... za szybko... zrozumiałaś swoją pomyłkę. Ktoś, kto uważał mnie za

nieboszczyka, nie byłby tak bystry w domysłach. I nie spytałaś: Ty żyjesz? Zamiast

tego spytałaś: Jak się tu dostałaś'? Wiedziałaś, że żyję i jestem gdzieś w dolnym

mieście!

Kobieta pogrążyła się we wrogim milczeniu, Borric zaś odezwał się do Ghudy

i Suliego:

- Ta dama należy do tych, którzy usiłowali mnie zabić i prześladowali od

Krondoru po Kesh. Pracuje dla Lorda Ognia. Oczy dziewczyny rozwarły się

szeroko, gdy Borric wspomniał

imię przywódcy spiskowców, ale nawet nie drgnęła. Powiedziała natomiast:

- Jeśli zacznę wrzeszczeć, natychmiast pojawi się tu przynajmniej kilkunastu gwardzistów.

Borric zaprzeczył ruchem głowy.

- Nic z tego, ślicznotko. To skrzydło zostało już przeszukane. Przetrzęsają pałac systematycznie, ale my się im wymknęliśmy. Szukają zresztą kogoś innego. -

Oczy dziewczyny błysnęły, gdy mierzyła wzrokiem odległość dzielącą ją od drzwi. -

Nawet o tym nie myśl - ostrzegł ją Borric. - Trudno mi będzie walnąć w łeb ładną dziewczynę, ale biegam szybciej, niż na to wyglądam i mam przewagę zasięgu... - wyciągnął ku niej rękę z rapierem.

- Wiesz, że nie ujdiesz z życiem? Sprawy zaszły już za daleko, by można się było wycofać. Polatała się krew i żołnierze

ruszyli w pole. Twój ojciec zbiera Armie Zachodu w Dolinie Marzeń i gotuje się do najazdu.

- Jego ojciec? - spytał Ghuda. - A któż to taki, jeśli wolno spytać?

307

- Moim ojcem jest Książę Arutha z Krondoru - odpowiedział Borric.

Ghuda zamrugał oczami, niczym nagle oślepiąca światłem dziennym sowa.

- K... Książę Kron... Krondoru? - szepnął zamierającym głosem.

- A ja jestem jego osobistym sługą i zostanę nim, kiedy on zasiądzie na tronie Królestwa Wysp! - nadął się Suli.

Ghuda przez chwilę stał bez ruchu i przemyślał usłyszane wieści.

- Wariacie... Borric... Mości Książę... kiedy będzie już po wszystkim, przypomnij mi, że mam ci dać w mordę!

- Jeśli się jakoś z tego wykaraskamy, z radością usłużę ci szczęką. -

Zwracając się zaś do dziewczyny, Borric powiedział: - Mojemu ojcu różne można zarzucić sprawy, nie jest jednak głupcem. Prędeż ja, obciążwszy się kowadłem, pójdę w lotne piaski, niż on poprowadzi wojska na Kesh.

- No - sapnął Ghuda - sądząc z tego, com widział, to pierwsze nie jest takie niemożliwe...

- Ona łże, aż się dymi - rzekł Borric. - Musimy jakoś dotrzeć do Erlanda. Ty nas tam zaprowadzisz - zwrócił się do dziewczyny.

- Za nic w świecie!

Księżę postąpił krok ku niej i oparł ostrze rapiera o jej krtań. - Nie boisz się śmierci?

- Nie jesteś mordercą! - te słowa Myia niemal plunęła księciu w twarz. I wtedy szorstkie dłonie odsunęły księcia na bok. - On może nie, ty suko! - Potężne łapska ujęły dziewczynę

za ramiona i szarpnęły ku najemnikowi. Grymas na twarzy Miyi powiedział księciu, że Ghuda bynajmniej się nie mitygował. Przyciągnął twarz dziewczyny ku swojej i wyszeptał, patrząc jej prosto w oczy:

- Widzisz, kotku, ja jestem człkiem innego pokroju. Nic mi po was, błękitnokrwistych... i po waszej wspaniałości. Wolalbym chędożyć węża niż ciebie, dziwko! Choćbyś nie wiem jak się napaliła... nie przeszedłbym przez ulicę, by naszczać ci w gębę! Jeżeli nie powiesz nam tego, co chcemy wiedzieć, zabiję cię spokojniutko... i bardzo powoli. A zrobię to tak, że nawet nie piśniesz!

Spokój najemnika był widać dość przekonujący, bo Miya wzdrygnęła się i rzekła cichutko:

- Zaprowadzę was, panowie...

Ghuda puścił ją i Borric zobaczył, że po jej policzkach spływają łzy przerażenia. Wsunął rapier do pochwy, wyjął za to sztylet. Pokazawszy jej krótkie ostrze, pchnął ją ku drzwiom, mówiąc:

- Pamiętaj, nie zdołasz uciec. Mój nóż poleci szybciej, niż ty pobiegiesz.

Miya otworzyła drzwi i towarzysze ruszyli za nią. Ghuda zbliżył się do księcia:

- Co obudziło w tobie podejrzenia? - Mój świerzb na kłopoty.

- Nie spierałbym się z tobą, gdybyś mi przedtem rzekł, że nie wiesz, co to takiego - rzekł najemnik. - Rad jestem, żeś go wreszcie w sobie obudził.

- Ja też.

- Ale już przedtem się nastroszyłeś - mruknął Ghuda. Dlaczego jej nie uwierzyłeś?

- Szła w tę samą stronę, co tamci dwaj... a widok jednego z nich nasunął mi pewne podejrzenia.

- Jakie mianowicie?

- Ten jegomość tropi mnie od chwili, w której przekroczyliśmy granice Kronodoru. I jest jednym z niewielu w Keshu, który może rozpoznać moją twarz.

- I co to za ptaszek? - spytał Ghuda, kiedy skręcali za róg, wkraczając w lepiej oświetlony korytarz.

Gdy w oddali pojawiła się pierwsza para strażników, stojących przed drzwiami, Borric przysunął się do dziewczyny, na wypadek gdyby podjęła próbę ucieczki lub postanowiła wzywać pomocy. Do Ghudy zaś powiedział:

- To lord Toren Sie, keshahński ambasador na dworze mojego ojca.

Najemnik potrząsnął głową.

*- On należy do rodziny panującej. Wariacie, przykro mi to mówić, ale by
zdjąć ci głowę z karku, uparli się bardzo ważni ludzie. ..*

*- A inni, równie wami, chcą poznać prawdę - odpowiedział Borric. - I dlatego
jeszcze trochę pożyjemy...*

*- Na wszystkich bogów, mam nadzieję, że tym razem masz rację - odparł
najemnik.*

*Miya prowadziła ich w głąb pałacu, mijając rozmaite drzwi, przed którymi
stali wartownicy. Jeśli nawet dziwili się, że dziewczyna należąca do najbliższej
rodziny imperatorowej prowadzi trzech dziwacznie ubranych cudzoziemców,
starannie to ukrywali. Tymczasem Miya skręciła w szeroki korytarz i minęła po*

309

*drodze kilka nie strzeżonych wejść. Wreszcie dotarli do przeciwległego końca
korytarza. Dziewczyna podeszła do dużych, zamkniętych drzwi i rzekła:*

- Tam jest twój brat.

-- Otwórz i włącz pierwsza! - polecił Borric, popychając ją ku wejściu.

*Urodziwa przewodniczka położyła dłoń na ryglu i przesunąwszy go, otworzyła
drzwi. Książę ostrożnie wsunął się do środka, tuż za nim weszli Ghuda i Suli.*

*Dziewczyna przeprowadziła ich przez nieduży przedpokój ku następnym drzwiom i
cała procedura się powtórzyła. Tym razem jednak, kiedy Suli wszedł do następnego
pomieszczenia, Miya zatrzasnęła za nim drzwi i wrzasnęła:*

- To Borric z Krondoru! Zabijcie go!

*Pod ścianami komnaty siedzieli uzbrojeni błękitnokrwisci członkowie
gwardii pałacowej. Usłyszawszy wrzask dziewczyny, porwali się na nogi, chwycili*

za broń i skoczyli na intruzów.

Sługa oznajmił lorda Nirome i Erland polecił mu wprowadzić gościa. Otyły arystokrata wszedł pospiesznie i skłonił się przed księciem.

- Wasza Księżęca Mość, lady Miya powiedziała mi, że chciałbyś o czymś ze mną pilnie porozmawiać. -Po tych słowach rozejrzał się dookoła i spostrzegł siedzących pod ścianą tiaminę i Jamesa. - Panie, i ty, pani, nie spostrzegłem was od razu. Zechciejcie przyjąć moje przeprosiny.

Wolałby, żebyś przyjął go na osobności, przekazała tiamina Erlandowi. Jest zaniepokojony naszą obecnością.

- Czy dowiedziałeś się, panie, czegoś o losach barona Lockleara?

Nirome wzruszył ramionami.

- Gdyby tak się stało, Wasza Księżęca Mość byłby pierwszą osobą, której przestałbym wieści. Chciałbym, żebyś pojął, księżę, że większość z zasiadających w Radzie nie żywi do was osobistej urazy. My straciliśmy w najlepszym razie krewną. Ta Która Jest Keshem straciła córkę. W podejściu do spraw państwowych matka i córka nieco się różniły, ale zawsze darzyły się głębokim uczuciem. I, jak to zresztą sam już pewnie setki razy sobie mówiłeś, to wszystko nie ma najmniejszego sensu.

- Liczyłem na to, że waszmość też tak powiesz.

- Wasza Księżęca Mość, jestem człowiekiem praktycznym. Od chwili, kiedy zostałem członkiem Rady Lordów i Parów, często musiałem podejmować się misji rozjemczych, ponieważ jak to już pewnie spostrzegłeś, Imperium rozdzierają spory wewnętrzne, wywołane różnicami dzielącymi narody, które się nań składają.

Jesteśmy państwem wielonarodowym, a nasza historia bardzo różni się od waszej.

W dawnych czasach byliście jednym narodem. Teraz w waszych granicach żyją tylko dwie, liczniejsze grupy

obywateli obcej krwi - mieszkańcy Yabonu i nasi dawni poddani z Crydee.

Kesh zaś jest krajem tysiąca języków i obyczajów.

Próbuje zyskać na czasie, ostrzegła Erlanda tiamina. Ale po co? Chce

porozmawiać z tobą na osobności, odpowiedziała tiamina. Nie, chciałby, żebyś został sam, czekaj, w jego myślach jest zamęt... Nie skupia się tak, jak ty, kiedy ze

mną rozmawiasz, myśli teraz o... Nagle zbladła okropnie, w sekundę zaś potem

James porwał się na nogi i chwycił za rapier. Otyły arystokrata wyczytał coś z

twarży Erlanda albo usłyszał ruch Jamesa, szybko się bowiem cofnął pod ścianę i

obronnym gestem uniósł swą ceremonialną - ale całkiem solidną - laskę.

- Co się stało? - spytał Erland.

- Borric żyje! - powiedziała tiamina. - Jest gdzieś w pałacu. Nirome

natomiast chce zabrać cię gdzieś na ubocze, gdzie jego przyjaciele spokojnie będą mogli poderżnąć ci gardło.

Erland w pierwszej chwili nie mógł tego pojąć. - Co takiego?

Twarz Nirome spopieliała. - Co mówisz, pani?

- Moja małżonka, milordzie, ma pewne talenty - wyjaśnił James. - Należy do

nich wyczuwanie fałszu. Zechciej nam więc powiedzieć, jakąż to rolę odegrałeś w morderstwie, które popełniono dzisiejszej nocy?

Nirome zaczął przesuwać się ku drzwiom, James zaś przeciął mu drogę.

Erland sięgnął po rapier i zbliżył się do otyłego arystokraty. - Gdzie jest mój brat?!

Nirome rozejrzał się za jakąś drogą ucieczki. Nie zobaczywszy żadnej, zmiękł niczym tłusta pieczeń.

- *Litości, miłościwy księżę, litości! Wyznam wszystko, wstaw się jednak za mną u imperatorowej. Mój udział w spisku był niewielki... wszystko przez ambicje księcia Awariego. To on zaplanował morderstwo swej siostry, a następnie zamierzał zabić was i poślubić Sharanę!*

- *Toż to jego własna siostrzenica!* - zachnął się Erland.

- *Bywało już tak za wcześniejszych dynastii w Imperium. - James poruszył rapierem. - Jeżeli prawa do tronu były niejasne, kandydat nieraz żenił się z kuzynką, siostrą lub nawet matką, by wzmocnić swoją pozycję. Zresztą*

311

imperatorowa ma tak wielu krewnych, że w zasadzie niemal wszyscy błękitnokrwieści są bliższymi lub dalszymi kuzynami.

- *Nie inaczej!* - wtrącił Nirome. - *Ale jeśli mamy uratować twego przyjaciela, musimy się spieszyć. Uwięziono go w pałacowych lochach i jest ranny.*

James spojrzął na tiaminę. Nie umiem rzec, czy mówi prawdę,

odpowiedziała mu żona. Jak to? spytał Erland. Jest bardzo przebiegły i ma bystry umysł. Może i nie wie, że potrafi czytać jego myśli, ale coś podejrzewa i nieustannie powtarza sobie w myślach to, co nam przed chwilę powiedział. Czytam jeszcze jakieś inne obrazy i nikłe ślady uczuć... i z pewnością łże, mówiąc o swej niewielkiej roli w tym wszystkim, ale nie bardzo umiem się rozeznać w jego umyśle. Musicie na niego uważać. , ,

- *Wróćmy do Borrika* - zażądał Erland.

- *To chyba prawda* - rzekł Nirome. - *Łapacze niewolników przywiedli niedawno z pustyni do Durbinu pewnego młodzieńca, który uciekł. Podobno zabił przy okazji żonę tamtejszego namiestnika. Chciał odwrócić uwagę od swojej*

ucieczki. Odpowiada opisowi swojego brata, księżę.

On jeszcze coś ukrywa. Ale w tym, co powiedział, jest trochę prawdy.

- Musimy znaleźć kogoś, komu będziemy mogli zaufać mruknął Erland. W drzwiach pojawiła się służąca i to odwróciło - na ułamek sekundy - uwagę Erlanda.

Nirome odtrącił rapier księcia swoją laską i - znacznie szybciej niżby należało się tego spodziewać po człeku jego tuszy - uchylił się przed pchnięciem Jamesa.

Wrzasnąwszy dziko: - Wezwij strażę! - zamachnął się potężnie swoją lagą.

Dziewczyna zawahała się na mgnienie oka i z dzikim piskiem pobiegła ku drzwiom.

James złapał Nirome za ramię i zarobił laską w bark. Erland skoczył przed siebie i chwycił

ją oburącz, zmuszając otyłego dworaka do cofnięcia się w głąb

pomieszczenia. W tejże chwili do komnaty wtargnęli gwardziści. W Erlanda i

Jamesa natychmiast wymierzono kilkanaście mieczów i włóczni.

Księżę przyłożył rapier do krtani Nirome, ale dowodzący gwardzistami

oficer w białym kilcie błękitnokrwistych zawołał: - Odłóżcie broń lub zginiecie!

Erland zastanawiał się krótko. Oddając rapier oficerowi, powiedział:

- Pragnę natychmiast przesłać wiadomość imperatorowej. Szykuje się tu podła zdrada!

312

Gwardziści pojмали tymczasem Erlanda i Jamesa za ramiona. - Zabić ich, panie? - spytał oficer Nirome.

- Na razie nie - odpowiedział grubas. - Zabierzcie ich do pustego skrzydła pałacu, ale pod groźbą natychmiastowej śmierci - waszej śmierci - upewnijcie się, że nikt tego nie zobaczy. Muszę znaleźć Miyę, Torem Sie i zaraz do was dołączymy.

Nagle Erland zrozumiał, że ten niepozorny grubas obsadził całe skrzydło ludźmi księcia Awariego - dlatego mógł spokojnie zabić Sojianę i zrzucić winę na Lockleara.

- To ty zabiłeś księżniczkę! - rzucił mu w twarz. - I naszego przyjaciela!

Nirome zamrugął oczami i w jednej chwili przeistoczył się z dobrodusznego pochlebcy w człowieka zdecydowanego, ponurego i bezwzględnego. Podeszedłszy do stołu, wziął zeń orzech i skruszył go w palcach tuż przed twarzą Erlanda.

- Głupi szczeniaku! Wplątałeś się w sprawy, których nie jesteś w stanie zrozumieć... -Przez chwilę przyglądał się księciu z ponurą miną. - Gdyby twój braciszek zechciał uprzejmię zdechnąć w Krondorze, a twój ojciec byłby przystał imperatorowej list z pogroźkami, wszystko to, co zdarzyło się potem, nie byłoby konieczne. Teraz zaś, jeżeli nie będziesz się stawiał i wsadzał nosa w nie swoje sprawy, z radością odeślę cię do twego ojca w jednym - i żywym, zechciej zauważyć! - kawałku. Nie mam najmniejszej ochoty spierać się z trzydziestoma tysiącami wściekłych Wyspiarzy... a kiedy imperatorowa przystanie na nasz plan, nie będziesz mi już potrzebny. - Odwracając się do oficera, polecił: - Zabierzcie ich, ale uważajcie na tę wiedźmę. Pochodzi ze Stardock i ma pewną moc... potrafi odczytać wasze myśli, jeśli nie będziecie uważać. - Obejrząwszy się przez ramię na tiaminę, dodał: - Może ją sobie zatrzymamy. Nie jest wykluczone, że potrafimy jakoś wykorzystać jej talenty. Ale jeżeli którekolwiek z nich zacznie sprawiać kłopoty, zabijcie ich.

Żołnierze usłuchali bez wahań i upewniwszy się tylko, iż więźniowie nie mają możliwości ucieczki, zabrali całą trójkę.

Zbrojni zawahali się na ułamek sekundy, zaskoczył ich bowiem wrzask Miyi.

Borric nie musiał się namyślać - i wziął się do roboty. Cisnął sztyletem w pierwszego, który zaczął wstawać i trafił go w pierś. Drugiego sięgnął długim, pięciostopowym pchnięciem, trzej następni zaś cofnęli się pospiesznie i unieśli oręż. Gdzieś z tyłu dobiegł go charkot i głuchy chrzęst. Borric nie musiał się oglądać, by

313

zrozumieć, że Ghuda dotrzymał słowa i skręceniem karku uciszył wrzeszczącą kobietę, która zwabiła ich do tej pułapki. Następnie najemnik poprosił:

- Wariacie, zrób mi trochę miejsca.

Borric rozumiał, że dwuręczny miecz Ghudy wymagał nieco większej przestrzeni niż jego rapier czy szabla Suliego. Niepokoił się trochę o chłopaka, nie mógł go jednak osłaniać. W tej chwili miał na karku trzech rozjuszonych gwardzistów, którzy sprzysięgli się, by go zabić.

Sparował sztyletem pchnięcie pierwszego, trafił drugiego w krtań rapierem i w porę się schylił, unikając ciosu trzeciego. Za sobą usłyszał świst i głośny wrzask - Ghuda pozbył się jeszcze jednego z wrogów. Czterech mieli już z głowy - i przeciwnicy nie zdążyli się jeszcze pozbierać. Nie tracąc czasu, Borric natarł na kolejnego i podstępny cięciem pozbawił go ucha. Gwardzista wrzasnął przeraźliwie i cofnął się - nie zdołał jednak umknąć

sztyletowi Borrika, którym książę dokończył dzieła, tnąc jednocześnie ostatniego ze swoich wrogów. Dobiegające go z tyłu głuche lupnięcie stali o kości i mięśnie powiedziało mu, że Ghuda zabił lub obezwładnił kolejnego z napastników. Książę sparował ostatnie pchnięcie trzeciego z przeciwników i przebił go sztychem z odwróconej dłoni. Odwróciwszy się szybko, ujrzał Ghudę, który kopnięciem w brzuch odrzucił od siebie kolejnego gwardzistę, jednocześnie usiłując wyszarpnąć

swój miecz z czaszki człowieka zabitego przed sekundą. Suli tymczasem bronił się w kacie rozpaczliwie wymachując szablą, trzymał w szachu dwu napastników, trzeci jednak zachodził go z boku. Borric skoczył na stół i zdążył w porę zniechęcić drania do brudnych podstępów. Następnie odwrócił się szybko i ranił jednego z dwu, którzy spostrzegłszy niedoświadczenie chłopca, żwawo nań napierali. Gdy cięty przez Borrika w łeb padał na ziemię, ostatni zdążył machnąć pałaszem i chłopiec wrzasnął z bólu. Borric siekł prawie na oślep i poczuł, że przynajmniej trzy cale ostrza jego rapiera ugrzęzły w karku gwardzisty. Przeciwnik zawył i runął na ziemię. W sali zapanowała cisza. Księżę złapał za kark nieboszczyka, który przykrył chłopca, odciągnął draba i przyklęknął obok małego żebraka. Suli mocno krwawił z szerokiej rany w brzuchu. Nieborak przyciskał do niej dłoń, Borric jednak widział już zbyt wiele takich ran, by nie zrozumieć natychmiast, że jego mały przyjaciel ma przed sobą jedynie kilka chwil życia.

Czując chłód w piersi, jakiego nie zaznał nigdy przedtem, księżę ujął dłoń chłopca. Suli oddychał chrapliwie, a jego oczy zaczynały się już zasnuwać mgłą.

314

Twarz małego żebraka zbladła okropnie, ale poruszył ustami, usiłując coś powiedzieć.

- Panie...

Borric mocniej ścisnął dłoń chłopca.

- Jestem przy tobie, Suli - powiedział łagodnie. - Byłem twoim sługą'? - spytał chłopiec.

- Tak... byleś najlepszym ze sług - odparł Borric, pokonując dławiący go żal.

- Niech więc będzie zapisane w Księdze Żywotów, że Suli Abul był sługą

wielkiego człowieka... księcia z Wysp.

Palce chłopca zeszywniały i wyslizgnęły się z dłoni Bornica. - Tak. . . mój mały. Umarłeś jako sługa księcia. - Borric widywał śmierć i wcześniej, nigdy jednak śmierć nie zabrała w jego obecności kogoś tak młodego. Klęczał przez całą minutę, walcząc z dziwnym przekonaniem, że gdyby tylko wiedział, co powiedzieć, gdyby przypomniał sobie właściwe słowa, chłopiec byłby ożył.

- Nie możemy tu zostać - rzekł Ghuda. - Na posadzce leży z tuzin trupów. Jak tylko ktoś tu wejdzie, rozpęta się piekło. Ruszajmy!

Borric był już na nogach. Wiedział, że w ciągu kilku najbliższych minut musi dotrzeć do brata albo do imperatorowej. Imperialny pałac Keshu pełen był wrogów i nikomu nie można już było zaufać.

Wrócili pospiesznie drogą, którą przyszli. Dotarli do korytarza z wartownikami. Borric kiwnął obojętnie głową i mijając pierwszą parę, weszli do kolejnego, mrocznego korytarza. W połowie drogi usłyszeli zbliżające się, stłumione głosy. Ghuda i Borric dali nura w najbliższe drzwi. W samą porę, jak się okazało, bo pospiesznie przeszli obok nich dwaj, znani już im mężczyźni. Tęgi jegomość którego Borric słyszał przed kilkoma zaledwie minutami, mówił zdenerwowanym głosem:

- Do licha! Wszystko zaczyna wymykać nam się z rąk! Awari nie powinien był tak wcześnie poznać prawdy o śmierci siostry. Dowiedz się, kto posłał mu wiadomość, i każ zabić nadgorliwca. Księżę miał być w połowie drogi do miejsca spotkania z mityczną armią Aruthy!

Borric zachnął się zdumiony. Księżniczka Sojana nie żyje! Może to było powodem przeszukiwania pałacu, nie zaś polowanie na parę bezimiennych

włóczęgów, którzy przypadkiem wleźli tam, gdzie nie powinni? Poszukiwano morderców księżniczki! Borric skinął na Ghudę i obaj bezszelestnie przebiegli przez

315

skrzyżowanie korytarzy, ponownie zbliżając się do spiskowców. Otyły nadal się skarżył:

- Awari to uparty idiota. W ciągu dnia z pewnością wróci z wojskiem do pałacu. Jeśli wedrze się do komnat imperatorowej i zażąda uznania swoich praw do tronu, podczas gdy ona będzie jeszcze pogrążona w żalu po śmierci córki, staniemy w obliczu otwartego buntu. Trzeba sprawić, żeby wyprowadził armię na północ. Winę zrzucimy na Wyspiarza. Gdzie go trzymacie?

Drugi, również znany Borrikowi głos odpowiedział:

- W magazynach zbożowych, nieopodal kwater służby w dolnym pałacu. - To był lord Toren Sie. - Przenieście go na górę, również do kwater służby, i niech znajdą go gwardziści. Niech któryś z kapitanów zamelduje, że go znaleziono i zabito, bo stawiał opór podczas aresztowania. Rozpuście też plotki wśród Rady, że został zabity; żeby nie można go było przesłuchać. Potem załatwcie tak, żeby kapitan, który go znalazł, zginął w tajemniczych okolicznościach. Na posiedzeniu Rady podniosę sprawę spisku. Ponieważ będę pierwszy, Który to robi, na pewien czas odsunę podejrzenia od nas. A kiedy ludzie zaczną sobie zadawać pytania, będzie już za późno.

- Czy to nie oczyści Wyspiarzy z podejrzeń?

- Nie - odparł krępy Keshanin - ale wszyscy ponownie

zaczną się zastanawiać, kto wiedział, kto brał udział i jak wysoko sięgnęły macki spisku. Każda z frakcji w Radzie będzie przekonana, że rywale sprzymierzyli się z Wyspiarzami. Wszystko, czego nam trzeba, to dwa tygodnie zamieszania i konfuzji. Muszę mieć trochę czasu, by się upewnić, że zwolennicy Skarany i Awariego mają w Radzie równe siły i żadna z grup nie pokona drugiej.

Obaj rozmówcy dotarli do komnaty, którą przed chwilą opuścili Ghuda i Borric, i szli dalej ku odległemu końcowi korytarza. - Ale gdzie się podziała Miya? - spytał krępy, otwierając drzwi. Musiał zauważyć dwie kryjące się i podążające za nimi sylwetki, bo zawołał:

- Hola, wy tam! Coście za jedni?

Borric wyszedł z mroku i stanął przed spiskowcami. Na jego widok szczuplejszy zachwiał się:

316

- To ty?!

Bornic uśmiechnął się szeroko i przytknął mu ostrze rapiera do krtani.

- Ghuda, mam zaszczyt przedstawić ci Jego Ekscelencję lorda Torem Sie, ambasadora imperatorowej Keshu przy książęcym dworze Kronodoru.

Drugi z mężczyzn odwrócił się, jakby zamierzał wbiec do komnaty, Ghuda jednak przeciął mu drogę.

- Tego jegomościa nie znam-ciągnął Bornic - ale sądząc po jego stroju, bez wątpienia jest jeszcze jednym członkiem królewskiej rodziny Kesh.

- Jeśli krzyknę - rzekł Torem Sie - za parę sekund będzie tu kilkunastu strażników.

- Spróbuj waść - zachęcił go Bornic - ale zanim się tu zjawią, będziesz martwy jak poleć boczku.

- Co chcesz w ten sposób osiągnąć? - wściekał się Torem Sie. Muskając od niechcenia krtań ambasadora czubkiem rapiera, Bornic odpowiedział:

- Chcę się zobaczyć z imperatorową. - To niemożliwe!

Bornic poruszył dłonią i ostrze rapiera świsnęło złowrogo tuż pod brodą Torem Sie.

- Nie bardzo wiem, co się tu dzieje - rzekł książę. Widziałem jednak i słyszałem dość, by zrozumieć, że jeśli pożyjemy dostatecznie długo, by spotkać się z imperatorową, wy możecie uznać się za nieboszczyków. Jeżeli chcecie uniknąć śmierci, lepiej zacznijcie odpowiadać na moje pytania.

- Dobrze - odpowiedział otyły. - Powiemy ci, co chcesz wiedzieć. Ale lepiej będzie, jak wejdziemy do środka. Możemy przecież usiąść jak ludzie cywilizowani.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i jedynie szybka reakcja Ghudy uchroniła obu towarzyszy od uderzenia nimi w twarze. Rosły najemnik skoczył ku drzwiom, naparł na nie potężnie... i nagle opór ze środka zelżał, Chuda zaś prawie wleciał do

wewnątrz. Bornic tymczasem porwał Torem Sie za kark i wykręcił jego grubo tkany ze złotogłowa kołnierz, tak że niemal udusił zdraдлиwego arystokratę.

Ciągnąc go za sobą, wpadł do komnaty za Ghudą. W samą porę, by zobaczyć, że pędzący z niezwykłą szybkością grubas znika w przeciwległych drzwiach. Ghuda dopadł go w chwili, kiedy ten przebiegał przez te drzwi, rycząc:

- Zabijcie ich!

Bornic bez wahania trzasnął niezcigodnego ambasadora w łeb rękojęścią swego rapiera. Zdrajca runął ogłuszony na posadzkę, księżę zaś pobiegł ku drzwiom, za którymi zniknął już Ghuda.

Minąwszy je, znalazł Ghudę stojącego niczym posąg zdumienia i patrzącego na otylca, który dyndał w powietrzu do góry nogami na wysokości mniej więcej stopy nad ziemią. W całej, dość rozległej sali, leżeli wszędzie w malowniczych pozach gwardziści w czarnych uniformach Legionu Wewnętrznego i błękitnokrwisci - wszyscy jak jeden ogłuszeni i nieruchomi niczym teatralne dekoracje. Pomiędzy nimi leżeli - również bez ruchu - James, lady tiamina i Erland. Pośrodku tego wszystkiego na dość rozległym i okrągłym stole rozpiął się tryumfalnie siedzący ze skrzyżowanymi nogami Nakor, który krzywiąc się okropnie i wydając dziwaczne dźwięki, celował dwoma palcami w lewitującego bezradnie otylca. Ujarzawszy księcia i najemnika, Isalani przestał chrząkać i odezwał się radośnie:

- Bornic! Ghuda! - Otyły Keshanin zwałił się natychmiast na posadzkę z nicprzyjemnym dźwiękiem i Ghuda złapał go za kark. Bornic przeszedł do leżących nieruchomo przyjaciół.

- Nakor, co ty tu wyprawiasz?

- A, zabawiałem się ze strażnikami w berka i gdzieś mi się pogubili.

Zacząłem ich szukać. Zobaczyłem ciebie-teraz wiem, że tylko mi się tak wydawało - prowadzonego przez strażę i postanowiłem cię spytać, skąd wytrzasnąłeś takie piękne szaty i gdzie zgubiłeś Ghudę i Suliego. Gdzie jest Suli?

Chuda spojrział na Borrika, który powiedział: - Nie żyje... - To smutne. . . prawdziwie smutne. . . -rzekł człowieczek.

Był chłopcem o szlachetnym sercu i wyrósłby na dobrego człowieka... I tak się pewnie stanie, kiedy ponownie wysuszy w podróż na wielkim Kole. To twój brat? - wskazał palcem Erlanda.

- Owszem - odpowiedział Borric. - Coś ty im zrobił? - Och, nic takiego. Kiedy wpadłem do tej komnaty, wszyscy nagle strasznie się podniecili. Niektórzy nie byli zadowoleni, widząc mnie, a ja już miałem dość gonitwy, więc wszystkich ogłuszyłem. Pomyślałem zresztą, że prędzej czy później gdzieś tu się zjawicie. I co? Miałem rację.

Księżę poczuł nagle, że opuszcza go całe napięcie i zdenerwowanie. Ghuda musiał doznać tego samego, bo obaj jednocześnie parsknęli śmiechem.

318

- Owszem, miałeś rację.

Okazało się, że niełatwo im ten śmiech opanować, zwłaszcza że dołączył do nich Nakor. W końcu, otarłszy cieknące mu ciurkiem po twarzy łzy, Borric uspokoił się na tyle, by spytać:

- Powiadasz, że wszystkich ogłuszyłeś? Jakżeś tego dokonał? - Ot,

zwykłasztuczka-Nakor wzruszył ramionami. Borric ponownie wybuchnął śmiechem.

- I co teraz?

Nakor wetknął rękę do swej sakwy. - Chcesz pomarańczę?

- Nigdy nie myślałem, że ci to powiem - mruknął Erland. - Ale wiesz... trochę mi Ciebie brakowało.

- Mnie Ciebie też - kiwnął głową Borric. - Ale do sprawy. Co pocniemy z tym wszystkim?

James otrząsał się z resztek szoku, ale Lamina dopiero odzyskiwała świadomość. Nad budzącymi się do życia gwardzistami i błękitnokrwistymi rozparł się Ghuda, który ze swym katowskim mieczem w ręku wyglądał dostatecznie złowrogo, by stracili ochotę do reakcji gwałtownych i nieprzemyślanych. Erland ocknął się pierwszy, co należało przypisać jego młodemu wiekowi jak utrzymywał Nakor. Bracia szybko wymienili posiadane informacje i doszli do wniosku, że niektórzy z graczy działali na dwa fronty.

- Może spróbujemy przestać imperatorowej wiadomość bezpośrednio'? - zaproponował James.

- A to jakim sposobem? - spytał Borric. - Przez Gaminę - odpowiedział Erland.

Borric zrobił zdziwioną minę, więc Erland musiał mu przypomnieć:

- Ona potrafi przemawiać bezpośrednio do umysłu, nie pamiętasz?

Borric kiwnął głową i nagle poczerwieniał.

- Psia... mogłem wezwać pomoc, kiedy tylko wszedłem do pałacu... ona byłaby usłyszała!

- To czemu tego nie zrobiłeś'? - spytał James, podnosząc wstającą Gaminę.

- Nie przyszło mi to do głowy - uśmiechnął się książę.

- Ale, ale... - spostrzegł się James. - Jak ci się udało umknąć przed jej myślami, kiedy natknęła się na ciebie nieco wcześniej?

Borric wskazał kciukiem Nakora.

319

- To przez tego chwata. Jakoś ją wyczuł i osłonił mnie przed nią. - Jesteś magiem'? - spytał James małego franta.

Nakor skrzywił się okropnie.

- Nie... Jestem Isalani. Magowie to ponurzy jegomoście, którzy kryją się po pieczarach, gdzie robią strasznie poważne rzeczy. Zajmują się wielką magią.

Ludzie nie lubią magów. Ja znam tylko kilka sztuczek, które rozśmieszają widzów.

To wszystko.

Gdy tiamina wstała, James rozejrzał się dookoła i powiedział: - Kiedy tak patrzę na tych gwardzistów i tego tam tłuściocha, dochodzę do wniosku, że nie wszystkie twoje sztuczki są tak niewinne, a niektóre nawet nie są zabawne.

Nakor uśmiechnął się szeroko:

- Dzięki, łaskawy panie. Sęk w tym, że dobrze mi wychodzi to, co robię... a ja uważałem, że to bardzo zabawne.

Wzrok Gaminy padł na Borrika: - Ty żyjesz!

- Nie da się ukryć! - odpowiedział Borric z uśmiechem. Gamma uściskała go serdecznie, potem zaś spytała:

- Jakże więc się stało, że nie mogłam cię odnaleźć na pustyni? Borric

początkowo nie zrozumiał pytania, potem jednak rozjaśniło mu się w głowie:

- A... oczywiście. To przez tę przeklętą szatę, którą wygrałem w Stardock.

Łowcy niewolników wzięli mnie za maga i założyli mi jakieś wymyślne kajdany, które podobno uniemożliwiają magom korzystanie z ich mocy.

- Ba! - wtrącił się Nakor. - Nic takiego nie mogłoby się zdarzyć, gdyby magowie wiedzieli, co robią!

- Może... - mruknął James. - Tak czy owak, nadal stoimy przed problemem, jak dotrzeć do imperatorowej.

- Nic prostszego! - zapewnił ich Nakor. - Chodźcie za mną. I zabierzcie to całe

towarzystwo.

Ghuda

tymczasem

rozbroił

dwunastu

gwardzistów

i

wciągnął

oszołomionego niczym byk przed ubojem Torem Sie do komnaty. Jeńcy, ujrzawszy

czwórkę uzbrojonych przyjaciół (Ghudę, Erlanda, Borrika i Jamesa), upadli na

uchu i wyglądało na to, że nie będą sprawiali kłopotów. Nirome jednak ostrzegł:

- Kiedy tylko natkniemy się na jakąś inną kompanię straży, role się odwrócą.

Tę część pałacu kontrolują ludzie księcia Awariego. - Może tak... a może nie -

wyszczerzył zęby Nakor. Kiedy dotarli do korytarza pełnego straży, Isalańczyk

320

sięgnął do swego wora i coś z niego wyciągnął. Zaznajomieni już przynajmniej

częściowo-z niezwyklejmi właściwościami biesagów małego franta Ghuda i Borric

nawet nie drgnęli, wszyscy pozostali jednak wytrzeszczyli zdumione oczy. Gdy

mały Isalańczyk wyjął dłoń z wora, siedział na niej czerwonozłoty królewski sokół,

ptak będący godłem Keshu i najświętszym z jego symboli. Powszechnie uważano, że

gatunek jest na wymarciu - w imperialnej ptaszarni zostały ostatnie trzy sokolice.

Ptak wydał bojowy

okrzyk, rozpostartł skrzydła, ale nie opuścił dłoni Isalańczyka i pozostał na

miejscu, wczepiony szponami w nadgarstek franta. Nakor ruszył korytarzem,

jakby nic się nie stało. Mijani strażnicy gapili się tylko na pięknego ptaka.

- Chodź z nami -mówił Nakor każdemu z nich. -Musimy zobaczyć się z imperatorową.

Toren Sie i Nirome usiłowali odwrócić sytuację, ale wszyscy gwardziści podążali za Nakorem jak zaczarowani. Przyłączali się do Wyspiarzy i ich jeńców, tak że w końcu zebrały się dobre dwie setki ludzi - i cała procesja bez przeszkód wkroczyła do sali audiencyjnej.

- Co to ma znaczyć? - zagrzemiał na ich widok mistrz ceremonii. Borric i Erland wystąpili naprzód.

- Księżęta Borric i Erland z Królestwa Wysp proszą imperatorową Keshu o natychmiastowe posłuchanie. Pragniemy donieść Jej o zdradzie stanu!

Kiedy do sali audiencyjnej wkroczyła niezwykła procesja, prowadzona przez Nakora ze złotym sokołem na ramieniu, odbywało się właśnie nadzwyczajne posiedzenie Rady Lordów i Parów. Dotarłszy do podium, Wyspiarze skłonili się dwornie, Lakeisha zaś na poły uniosła się na tronie.

- Cóż to za szaleństwo? - Zmierzyła wzrokiem przybyszów i nagle pojęła, że jednym ze stojących niżej jest Borric. Ty... chyba że się fatalnie myłę... miałeś być martwy!

- Najjaśniejsza pani! Te łotry... - odezwał się Nirome i przerwał nagle, gdy Ghuda przyłożył mu do gardła ostrze swego katowskiego miecza.

- Przed obliczem lepszych od siebie nie należy otwierać pyska bez pozwolenia. - Do imperatorowej zaś powiedział: Przepraszam, mateczko. Możesz mówić dalej, jeśli łaska...

Lakeisha wyczuła, że wobec tajemnic, które za chwilę zostaną wyjaśnione, nie warto się obrażać na prostodusznego najemnika. - Dziękuję-powiedziała cierpko. I zwróciła się do Nakora.

-Zacznijmy od ciebie, mój mały panie. Czy wiesz, że za pojmanie królewskiego sokoła każdy sąd w Keshu bez rozprawy skaze cię na śmierć?

- Owszem, o Najjaśniejsza- uśmiechnął się Nakor. - Ale ja nie pojmałem tego ptaka. Po prostu, zgodnie z jego życzeniem, przywiozłem go w darze Twej Boskości.

- Nie czekając na pozwolenie, zuchwały frant wspiął się na podium i podszedł do tronu. Czarno odziani Izmalisi ruszyli mu naprzeciw, on jednak minął tron i podszedł do stojącego za nim symbolu Imperium złotego dysku słonecznego. Wspiął się na palce i posadził sokoła na dysku. Ptak rozpostarł skrzydła.

- Isalańczyku... tylko samiec może dosiadać godła-rzekła imperatorowa.

- Najjaśniejsza, Nakor wszystko rozumie. To młody samczyk. Stanie się ojcem wielu piskląt w twej ptaszarni. Ostatniej wiosny znalazłem go w górach na zachód od Tao Zi. Jest ich tam jeszcze kilka. Jeśli pošlesz imperialnego sokolnika, twoja ptaszarnia znacznie się ożywi. Królewska linia się odnowi i objawi światu w nowej chwale.

Imperatorowa nie uśmiechnęła się ani razu od chwili, w której przyniesiono jej wieść o śmierci córki. Teraz jednak na jej ustach pojawił się ciepły uśmiech.

Słowa małego człowieczka wzruszyły ją głęboko, wiedziała bowiem, że nie mówi on tylko o rzadkich ptakach.

-- Cudzoziemcze... to dar godny króla!

Kiedy Nakor schodził z podium w dół, mijając tron, pochylił się i rzekł konspiracyjnie:

- Mądrze zrobisz, Najjaśniejsza z Jasnych, jeśli uwierzysz tym bliźniakom, bo tamci - wskazał Nirome i Torem Sie - to bardzo źli ludzie.

Imperatorowa przez chwilę przyglądała się stojącej w dole grupie, aż w końcu rzekła:

- Księżę Erlandzie... zacznij, proszę, swoją opowieść, tak, byśmy mogli to wszystko jakoś rozwikłać...

Snując swoje oddzielne, a jednak wspólne opowieści, Borric i Erland skupili niepodzielnie uwagę słuchaczy, opowiadając o wszystkim, co się wydarzyło po napadzie pustynnych łotrów. Nikt im nie przerywał przez niemal pół godziny. Gdy Erland odtworzył wydarzenia tego wieczoru, powiedział na koniec:

322

- Gdy ujrzałem, że Nirome kruszy orzech w palcach, zrozumiałem, iż to on jest mordercą księżniczki Sojiany. Księżniczce skrecono kark - mógł tego dokonać jedynie ktoś o niezwykle silnych dłoniach. Locklear jest świetnym szermierzem, ale brak mu krzepy. - Wskazując palcem na Nirome, dokończył: - Oto macie mordercę. Oto macie tajemniczego Lorda Ognia!

- Lordzie Nirome... - odezwała się imperatorowa, wstając z tronu.

W tejże chwili od drzwi zabrzmiał okrzyk: - Matko!

Do sali wkroczył książę Awari, za którym zdążyli lordowie Jaka, Ravi i kilku innych oficerów. Książę zatrzymał się przed podwyższeniem tronu, skłonił i zapytał:

- Cóż to za okropne wieści opowiadają mi tu o Sojianie? Imperatorowa przez chwilę badawczo przyglądała się synowi, aż w końcu rzekła:

- *Właśnie zamierzaliśmy to zbadać. Bądź łaskaw się nie odzywać, dopóki cię nie wezwiemy. Sprawa dotyczy i twojej przyszłości.* - *I zwróciła się do lorda*

Nirome: - Chciałam cię zapytać, mój Niromc, cóż odpowiesz na te zarzuty?

- *Matko Nas Wszystkich...* - *zaczął otyły dworak.*

- *Dajże spokój -przerwała mu imperatorowa-ze wszystkich tytułów tego właśnie nie znoszę. Szczególnie w tej chwili... i w świetle ostatnich wydarzeń...*

- *Łaski, Najwspanialsza z Władczyń! Wszystko robiłem dla dobra*

Imperium... to znaczy po to, by zdobyć władzę dla twego syna. Nigdy jednak nie chciałem nikogo skrzywdzić. Zamachy na życie księcia Borrika miały być jedynie udawane, chodziło o to, by Wyspiarze nie dotarli do miasta. Chcieliśmy też zwrócić uwagę zwolenników Sojany na zagrożenie z północy - stąd te fałszywe raporty o inwazji. Ale morderstwo twojej córki? Nie... to była robota Awariego, który chciał raz na zawsze usunąć rywalkę z drogi ku tronowi.

Księżę Awari skoczył jak oparzony i niemal udało mu się dobyć miecza, zanim lord Jaka złapał go za ręce. Imperatorowa zaś zakrzyknęła:

- *Dość mi tego! - Rozejrzawszy się po sali, rzekła gorzko: -Jak w tym wszystkim odnaleźć prawdę? Wasze argumenty są przekonujące, ale gdzie dowody? - dodała, zwracając się do bliźniaków.*

- *Potrafisz czytać w myślach? - spytała Gaminę, patrząc na nią z góry.*

Gamma kiwnęła głową, Nirome jednak zakrzyknął wielkim głosem:

323

- *Najjaśniejsza Pani! Ona jest żoną obcego! Zełże nam w żywe oczy, jeżeli uzna, że przysłuży się tym swemu mężowi i sprawie Królestwa Wysp!*

Gamma zaperzyła się i już miała odpowiedzieć, imperatorowa jednak nie

dopuszcila jej do głosu.

- Dziecko, nie wątpię, że nam nie skłamiesz. Ale... skinieniem dłoni wskazała na zawieszoną wyżej galerię - nie sądzę, by zechcieli uwierzyć ci inni. Jeśli tego jeszcze nie zauważyłaś, sytuacja jest bardzo napięta.

W tejże chwili w sali pojawił się oficer w uniformie Legionu Wewnętrznego i podszedłszy do mistrza ceremonii, szepnął mu coś do ucha. Ten z kolei gestem poprosił o możliwość zbliżenia się do imperatorowej. Otrzymałszy zezwolenie, pospieszył po stopniach ku władczyni. Kiedy przekazał jej wieści przyniesione przez gwardzistę, imperatorowa na chwilę zamknęła oczy.

- No tak... - odezwała się po chwili. - Otrzymaliśmy wieści, że dwie kompanie gwardii pałacowej zamknęły się w jednym ze skrzydeł pałacu i nie chcą złożyć broni, po mieście zaś krążą grupy uzbrojonych ludzi! I tak oto - mówiła dalej, wstając z tronu - stanęliśmy w obliczu buntu w naszej własnej stolicy!

Nakładamy zatem na Kesh pieczęć Imperialnego Rozejmu i każdy, kto dobędzie miecza, sam, albo przez ludzi ze swej świty, człowiek z gminu czy najpierwszy z lordów, da głowę na pieńku! Czy to jasnej - ostatnie słowa skierowała wprost do stojącego bez ruchu lorda Raviego. Wygłosiwszy to orędzie, siadła i przemówiła ponownie: -Oto przede mną nielojalność i zdrada.. , a ja nie mam sposobu na odkrycie, prawdy.

Nakor chrząknął znacząco.

- Słucham - spojrzała nań Lakeisha. - Chciałeś coś powiedzieć?

- Najjaśniejsza... Isalani mają stary i niezawodny sposób na poznanie prawdy.

- Chętnie się dowiem, co to takiego. Nakor uśmiechnął się do Ghudy.

- Dawaj tu tego tłuściocha! - Gdy Nirome stanął przed podwyższeniem, mały frant położył na ziemi swój wór i zaczął w nim czegoś szukać. Po chwili zawołał tryumfalnie: - A, tuś mi! - i wyciągnął r wora wspaniałą, królewską kobrę.

Wszyscy cofnęli się o krok, bo wąż był wyjątkowo dorodnym okazem miał ponad sześć stóp długości i był gruby jak męskie ramię. Łuski na grzbiecie gada miały złotą barwę, pod kapturem zaś i na brzuchu lśniły najczystsza zielenią. Na tłumie spoczęło spojrzenie dwojga gadzich oczu - czerwonych z pionowymi, czarnymi

324

żrenicami - zimnych i bezlitosnych. Ludzie cofnęli się jeszcze o krok. Kobra syknęła złowrogo i otworzyła paszczę, odsłaniając dwa długie, białe niczym kość słoniowa kły. Nakor bez lęku ujął węża za kark i usadowił na posadzce przed otyłym spiskowcem. Gad syknął znowu i uniósł się na ogonie, tak że jego ślepia znalazły się na wysokości oczu Nirome. Dworak cofnął się i wpadł tyłem na schody.

- Oto jest isalański Ojciec Prawdy - rzekł tymczasem Nakor. - Skłamać przed jego obliczem, znaczy pocałować śmierć. - I mrugnawszy wesoło do Nirome, dodał:

- Boli, że nie daj bóg!

Wąż podpełznął do leżącego niemal na grzbiecie dworaka i znów uniósł się lekko, kołysząc groźnie głową i patrząc mu prosto w oczy. Na łuskach złotego kaptura zatańczyły isierki światła.

- Wąż nie uderzy, póki będziesz mówił prawdę - wyjaśniał Nakor. - Jedno kłamstwo i jesteś trupem. Nie będzie ostrzeżenia. To pewne... jak śmierć.

Nirome nawet nie drgnął - patrzył w ślepia węża jak zahipnotyzowany.

Kiedy ten uniósł się nad nim na wysokość stopy, arystokrata jęknął:

- Dość! Powiem wszystko... Ja to zaplanowałem, od samego początku! -

Kilkunastu członków Rady zaczęło spieszenie wymieniać szeptem jakieś uwagi.

- Jaka była rola księcia Awariego'? - spytała imperatorowa. Nirome, którego strach przeistoczył się teraz we wściekłość, niemal spopielił księcia wzrokiem.

- Awari! Nadęty dureń i pajac! Myślał, że nie mam niczego lepszego do roboty, niż popierać jego prawo do tronu! A ja zamierzałem zrzucić na niego winę za śmierć Sojiany... a przynajmniej tak go omotać podejrzeniami, żeby nikt nie zechciał zobaczyć go na tronie!

- Aaa. .. - Imperatorowa oparła się wygodniej o poduszki. -więc chciałeś na moim miejscu osadzić Sharanę. Dlaczegoż to? - Ponieważ Ravi i jego zwolennicy nie zgodziliby się na

kolejną imperatorową - odpowiedział Nirome. - Południowe ludy gotowe są do rebelii, a z Bractwem Konia trzymającym przełęcz Pasa Kesh, leżące za nią krainy na zawsze oderwałyby się od Imperium. Lord Jaka i inni błękitnokrwisci nigdy by się nie pogodzili z regentem, który nie miałby w żyłach królewskiej krwi, Rozwiązanie było tylko jedno.

325

- Oczywiście - kiwnęła głową Lakeisha. - Poślubić Sharanę dziedzicowi tronu i koronować go po mojej śmierci imperatorem. - Westchnęła. - A któż by się lepiej nadawał niż Wielki Rozjemca, lord Nirome? Jedyne członek Rady, który nie ma żadnych wrogów... Jedyne człowiek, który potrafi przemawiać w imieniu błękitnokrwistych i nisko urodzonych...

Imperatorowa ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę wydawało się wszystkim, że płacze. Kiedy odjęła ręce od twarzy, w istocie miała zaczerwienione

powieki, ale jej oczy były suche. -Jakże mogło dojść do tego, że najlepsi spośród nas spiskują

jedynie dla swej własnej korzyści, zamiast obracać wysiłki na pomnożenie

chwały Imperium? - Westchnęła głośno i spytała: - Lordzie Ravi, czy ten plan mógł się udać?

Mistrz Bractwa Konia pochylił się w ukłonie.

- Najjaśniejsza Pani, obawiam się, że zdrajca dobrze wszystko zaplanował.

Aż do dzisiejszego wieczoru wierzyliśmy, że odpowiedzialnym za śmierć Sojiany jest twój syn, książę Awari. Żadną miarą nie pogodzilibyśmy się z tronem dla Sharany, ale też nie pozwolilibyśmy, by rozkazywał nam ktoś, kto rozlał królewską krew. W tej sytuacji propozycja Nirome byłaby logicznym i pożądanym przez wszystkich kompromisem.

Przez chwilę wyglądało na to, że imperatorowa zasłabnie, opadła bowiem na tron i zamknęła oczy.

- Och! - jęknęła. - Wszystko byłoby się rozpadło! Całe Imperium wydane

łotrom na igraszki... gdyby nie zrządzenie losu, który kazał tym dwu młodzikom udać się na mój dwór!

- Miłościwa Pani... - odezwał się Erland. - Czy wolno mi poprosić o nagrodę?

- Cóż, książę Erlandzie - odpowiedziała Lakeisha. - Zostałeś tu skrzywdzony i oczerniony jak nikt inny. Proś!

- Chciałbym zadać temu zdrajcy jedno pytanie. - Książę zwrócił się do

roztrzęsionego lorda. - O morderstwo Sojiany oskarżono Lockleara. Powiedziałem

tu, że tylko człowiek o tak łajdacko silnych dłoniach jak ty mógł skręcić jej kark. Czy miałem rację'?

Nirome utkwiał spojrzenie przerażonych oczu w ślepiach wiszącego nad nim węża.

326

- Tak... - wyszeptał zmartwiałymi wargami.

- Gdzie jest Locklear? - spytał James.

Nirome podjął nieudaną próbę wtopienia się w kamienne stopnie.

- Nie żyje. Jego ciało ukryto w spichlerzu na dolnych poziomach.

Oczy Gaminy napęłniły się łzami, James zaś i bliźniacy zachwiali się jak ludzie ogłuszeni nieszczęściem. Wbrew wszystkiemu wierzyli, że ich przyjaciel żyje, teraz jednak usłyszeli wieści, które odebrały im resztki nadziei. Borric pierwszy jakoś się opanował.

- Najjaśniejsza Pani, wiem, że Kesh nie jest winien śmierci naszego ambasadora, i Królestwo Wysp nie będzie żywiło urazy... - Mówił spokojnie, ale ci, co stali bliżej, widzieli, że w kącikach oczu młodego księcia zbierają się łzy.

Imperatorowa wstała i ogarnęła wzrokiem Galerię.

- Wysłuchajcie mego wyroku! - Wskazując dłonią na Nirome, powiedziała: - Ten człowiek sam się oskarżył. - Wbijając płonący wzrok w zdrajcę, ciągnęła głosem zimnym jak powiew wichru znad Świetlistych Szczytów: - Nirome, były lordzie, własnymi słowami przyznałeś się do winy i skazałeś na śmierć. Otyły mężczyzna zeszywniał i stęknął:

- Skorzystam z prawa pozwalającego mi na śmierć z własnych rąk!

- Nic z tego! - zagrzmiała imperatorowa. - Od tej chwili jesteś człowiekiem z gminu! Nie damy ci umrzeć łagodną śmiercią od trucizny, nie pozwolimy ci otworzyć sobie żyły w ciepłej kąpieli i bezboleśnie pogrążyć się w zapomnieniu. Za

dawnych czasów określono sposób, w jaki mają umierać ci, co zdradzili swego króla lub królową. Wyroku tego nie ogłaszano od wieków, mnie pierwszej wypadło przypomnieć stare zwyczaje. Nirome, oto jaki będzie twój los: tej nocy zostaniesz zamknięty w celi, żebyś mógł rozmyślać o nieuchronnej śmierci, a co ćwierć godziny strażnik ponownie odczyta ci wyrok, żebyś nie mógł pocieszyć się spoczynkiem. O świcie zostaniesz zabrany do świątyni i herold odczyta twój wyrok wobec arcykapłana Guis-Wa, by Łowca o Czerwonej

Paszczy dowiedział się, iż nie ma dla ciebie miejsca wśród myśliwych na Wiecznych Łowach. Potem zostaniesz wzięty do dolnego miasta, gdzie kat obedrze cię do naga. Tuzin błękitnokrwistych gwardzistów wychłosta cię i pogoni batami przez miasto. Jeżeli padniesz, przystawi ci się do zadka płonące węgle, aż wstaniesz i pobiegiesz dalej. Przy miejskiej bramie zawieszysz w drewnianej klatce, i co godzina strażnicy będą głośno odczytywali listę twych zbrodni i wyrok, tak by

327

wszyscy przechodnie poznali ogrom twych łajdactw. Najniżej urodzonym wręczy się bambusowe kije, byś mógł poczuć na własnej skórze gniew tych, których zdradziłeś... ale i to wytrzymasz, nikt zaś nie pozwoli ci na litościwą śmierć. Kiedy słońce wysuszy cię tak, że język ci zdrewnieje, otworzy się klatkę i napoi cię winem z octem, i nakarmi chlebem zaprawionym solą. Potem batami i rozgrzanym żelazem zostaniesz pognany na brzeg Głębiny Overn, na bagna, gdzie sprawowali łowy pierwsi błękitnokrwieści. Tam napoi się ciebie gorzkim winem zdrady i nakarmi zgniłym mięsem przeniewierstwa. Zostaniesz też pozbawiony męskości i rzucony w bagna, gdzie pożrą cię krokodyle z Overn. W każdym imperialnym dekreście i we wszystkich zapiskach o naszych czasach twoje imię zostanie wymazane. Nikomu też

nie będzie wolno go wymówić. Od dziś żaden błękitnokrwisty nie będzie mógł nadać tego imienia swemu dziecięciu. Nawet bogowie zapomną, żeś istniał, łajdaku! Czarna otchłań zapomnienia niech pochłonie i twoją duszę! Taki jest mój wyrok!

Mistrz ceremonii obwieścił uroczyście:

- Ta Która Jest Keshem powiedziała! Niech się tak stanie! Ku więźniowi ruszyli gwardziści, lecz zatrzymali się, wlepiając oczy w kobrę. Nakor skinieniem dłoni dał im znak, że wąż ich nie tknie, i strażę wzięły za łeb szarpiącego się Nirome.

- Neeee! -wrzeszczał, gdy wyprowadzano go z sali, a jego lamenty długo jeszcze tłukły się echem pod sklepieniem korytarzy. Tymczasem imperatorowa zwróciła się do Torem Sie.

- Tobie, mój były przyjacielu, jeśli wymienisz wszystkich zamieszanych w ten spisek, być może okażę łaskę: szybką śmierć lub tylko wygnanie. W przeciwnym razie przyłączysz się do swego współnika i podzielisz z nim śmierć i upokorzenie. Torem Sie skłonił się do samej ziemi.

- Jesteś zaiste Źródłem Litości. Opowiem o wszystkim. Gdy go wyprowadzono, imperatorowa zwróciła się do Nakora: - Zróbże coś z tym węzem!

- Z którym, Najmiłościvsza? -roześmiał się Isalani. Sięgnąwszy w dół, złapał węża za korpus, a gdy się wyprostował, w dłoni trzymał już tylko kawał sznura. - To zwykły sznur.

Zwinął go i wetknął do worka. Erland zachnął się zdumiony, ale Borric położył mu dłoń na ramieniu.

- To tylko sztuczka...

ROZDZIAŁ 18 - TRYUMF

Sługa skłonił się nisko.

Borric, Erland i członkowie ich orszaku weszli do małego ogrodu, gdzie sługa wskazał im miękkie poduszki rozłożone wokół wspaniale zastawionego stołu - znaleźli na nim wszelkie smakołyki i najświetniejsze wina. Dla Ghudy i Nakora ustawiono spory dzban zimnego, jasnego, klarownego piwa i mniejszy ciepłego, ciemnego. Goście zaczęli się częstować, nie czekając na gospodynię wieczoru.

Imperatorową wniesiono w lektyce i wszyscy porwali się na nogi, Lakeisha jednak łaskawym gestem poleciła im zostać na miejscach.

Podczas tych nielicznych okazji, kiedy mogę sobie pozwolić na odrobinę swobody, nie zamierzam z niej rezygnować. Służący, którzy wnieśli lektykę, ustawili ją na honorowym miejscu przy niewysokim stole i wyjęli spod niej długie pręty, na których dźwigali dostojny ciężar.

W chwilę później weszła Sharana i wdzięcznie usadowiła się pomiędzy matką i Erlandem. Uśmiechnęła się do Borrika, który patrzył na nią, nie kryjąc zachwytu. Książę miał teraz na sobie własne szaty, wydobyte z bagaży, które nie padły ofiarą pustynnych rabusiów. Jego włosy odzyskały już naturalną barwę, dzięki jakiemuś okropnie smrodliwemu płynowi, który oczywiście wyjął ze swego worka Nakor. Ghuda i mały czarodziej odziali się na tę okazję w piękne stroje, jakich dostarczył im imperialny garderobiany.

- Zapragnęłam porozmawiać z wami, zanim znów wrócimy do tego nieszczęsnego Jubileuszu. Trudno mi pojąć, jak wytrzymamy wszyscy następne cztery i pół tygodnia tych bzdur.

- Miłościwa Pani, kiedy powiedziano, że uroczystości potoczą się zwykłą koleją, nie mogłem uwierzyć - przyznał Erland.

Na twarzy starej kobiety pojawił się przekorny uśmiech.

- Mój książę, masz na to moje słowo, że gdybym spróbowała pozbawić lud spodziewanych rozrywek, wybuchłyby takie zamieszki, przy których spisek Nirome wydałby się nam bitką w żłobku! Lordowie i Parowie pożądamy władzy, ale zwykły mieszkaniec Imperium chce mieć swoją porcję uciech, i to wszystko. Jeżeli spróbujemy go jej pozbawić, poleje się krew. Mości Ghuda, nie wyglądasz mi na arystokratę. Czy mam rację?

329

Ghuda, który czuł się nieswojo wobec tak potężnej i wpływowej osobistości, poruszył się niespokojnie, ale odpowiedział szczerze: - Prawda, Najjaśniejsza Pani.

Większość ludzi nie sprawia

nikomu kłopotów- jeżeli tylko mają co jeść, jakiś kawałek dachu nad głową, od czasu do czasu mogą... eee... poznać jakąś kobietę i trochę się zabawić. O inne sprawy nie warto się troskać.

- Ot, filozofia... - zaśmiała się imperatorowa. - I to jaka głęboka. -

Poważniejszym zaś tonem dodała: - Nawet nie

zauważył, że jest zabawny. - Westchnęła. - Myślę, że straciłam umiejętność

bawienia się życiem. - Zwracając się ponownie do Ghudy, spytała: - Jakiej waść

żądasz nagrody za pomoc w uratowaniu jedności Imperium?

Ghuda zrobił straszliwie zakłopotaną minę i Borric musiał przyjść mu w sukurs:

- Najjaśniejsza Panu, obiecałem mu od siebie dziesięć tysięcy złotych ecu.

- Zgoda! -- rzekła Lakeisha. - I drugie tyle z mojej szkatuły. Mości Ghuda, a może zechciałbyś objąć dowództwo Legionu Wewnętrznego? Mam wiele wakatów na listach oficerów, a będzie ich jeszcze więcej, kiedy Toren Sie skończy zeznawać.

Ghuda uśmiechnął się niewyraźnie, bo nie w smak mu było odmawiać tak dostojnej osobie, ale powiedział:

- Przykro mi, Najjaśniejsza Pani, ale myślę, że lepiej będzie, jak wezmę pieniądze i otworzę gdzieś gospodę, może w Jandowae. Pogoda tam niezła, klimat przyjemny i prawie żadnych utrapień. Zaangażuję kilka hożych dziewczek, a może nawet poślubię którąś z nich, i zajmę się wychowywaniem synów. Zaczynam się starzeć i nie dla mnie już awantury i wędrówki.

Imperatorowa uśmiechnęła się ciepło.

- Zazdroszczę ci twej skromności i umiarkowania, wojowniku. Wieczorami przy piwie będziesz miał co opowiadać przyjaciółom. Pamiętaj jednak, że mam wobec ciebie dług i jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował, prześlij tylko wieści na dwór, a niechybnie doczekasz się pomocy.

Ghuda pochylił głowę.

- Dziękuję, Miłościwa Pani.

- A co z tobą, mój mały? - Imperatorowa spojrzała na Nakora. - Co możemy zrobić dla ciebie'?

Isalańczyk wytarł gębę połą rękawa i spytał:

330

- Mogę dostać konia'? Dużego czarnego rumaka? I piękną błękitną szatę?

Imperatorowa parsknęła śmiechem:

- Tysiąc koni, jeśli tego właśnie chcesz!

- Nie, jeden wystarczy - wyszczerzył zęby Nakor. - Na

tysiącu naraz nie da się jeździć. Niech więc będzie jeden piękny czarny rumak i wspaniała błękitna szata. Świat znowu zobaczy Nakora Błękitnego Jeźdźca! To będzie zabawa!

- A może coś jeszcze? Złoto? Stanowisko na dworzè? Nakor sięgnął do sakwy i wyjął z niej talię kart. Potasowawszy je zręcznie, powiedział:

- Jak długo mam swoje karty, niepotrzebne mi złoto. A jeżeli przyjmę posadę na dworze, nie będę mógł jeździć na moim czarnym rumaku. Dziękuję, o pani, ale nie.

Imperatorowa spojrzała na obu mężczyzn, wielkiego i małego, i powiedziała:

- Ci dwaj są jak powiew świeżego wiatru w moim pałacu i nie mogę ich zatrzymać. Trudno... -i dodała nie bez gorzkiego humoru: - Ale gdybym miała lata Skarany... znalazłabym na was sposób. - Wszyscy parsknęli śmiechem. -Milordzie... zwróciła się imperatorowa do Jamesa - przykro mi wracać do poważnych spraw, ale służba znalazła ciało waszego towarzysza. Wkrótce baron Locklear wróci do Kronodoru, a honorowa eskorta imperialna odwiezie jego ciało na Kraniec Ziemi, do majątku jego ojca. Imperium gotowe jest na każdą rekompensatę, jakiej zażąda wasz Król. Baron był panem Królestwa i naszym gościem, w nasze ręce złożył swoje bezpieczeństwo, a myśmy go zawiedli...

- Sądzę - odezwał się James - że i Księżę Arutha, i Król potrafią to zrozumieć.

- Na jego twarzy pojawiła się powaga. Wiedzieliśmy, że przyjazd do Imperium wiąże się z pewnym ryzykiem. "to cena, jaką przychodzi nam płacić za nasze przywileje. Imperatorowa spojrzała nań przenikliwie.

- *Wy, ludzie z Wysp, jesteście dziwnym narodem. Wydaje się, iż za bardzo bierzecie sobie do serca swoje koncepty o tym, że szlachectwo zobowiązuje i że ludzie z natury rzeczy są wolni... James wzruszył ramionami.*

- *Nawet najniżej urodzeni mają pewne przyrodzone prawa, o których szlachcie nie wolno zapominać. I nawet Król nie stoi ponad prawem.*

- *Brrr - wzdrygnęła się imperatorowa z udaną zgrozą. Nie sposób pomyśleć o tym bez dreszczu. Myśl, że nie mogę zrobić tego, co zechcę, jest odrażająca.*

331

- *Mamy inne obyczaje - uśmiechnął się Borric. - Erland i ja, każdy na swój sposób, przebywając wśród was, nauczyliśmy się wielu rzeczy. - Spojrzawszy na piękną księżniczkę, której przejrzysta szata niczego prawie nie ukrywała, pozwolił sobie na żartobliwą uwagę: - Choć wedle mojej oceny, podejrzewam, iż lekcje, jakich udzielano mojemu bratu były o wiele przyjemniejsze, niż te, które przypadły w udziale mnie.*

- *I co teraz będzie? - spytał Erland. - Mam na myśli, ciebie, pani, i twojego syna.*

- *Awari zawsze był upartym i nieco ograniczonym chłopcem - odpowiedziała imperatorowa. - Dlatego nie będzie władał Keshem po mojej śmierci.*

- *A więc tron przypadnie Skaranie? - spytał James.*

- *Nie - odpowiedziała Lakeisha. - Choć bardzo ją kocham, nie ma ona odpowiedniego charakteru, by władać Imperium. Może, gdyby udało mi się przeżyć najbliższe dwadzieścia lat, nauczyłabym ją dość, by mogła przejąć brzemień władzy, ale wątpię, czy dana mi będzie choćby połowa tego czasu. - Skarana zaczęła protestować, imperatorowa jednak machnęła tylko niecierpliwie dłonią. - Dość.*

Mam siedemdziesiąt pięć lat na karku i jestem już znużona. Nie masz pojęcia, jakim brzemieniem są losy ponad pięciu milionów ludzi, za których odpowiadam dzień po dniu od czterdziestu siedmiu lat. Zasiadłam na tronie, kiedy byłam młodsza od twojej matki, oby bogowie obdarzyli ją spokojem. Miałam dwadzieścia osiem lat, kiedy nie wytrzymało słabe serce mojej matki - w głosie imperatorowej zabrzmiała nutka goryczy. - Nie... kiedy wyznaczę dziedzica, nie będzie to dla niego darem. - Spojrzawszy na Borrika, Erlanda i Jamesa, dodała: Gdybym miała tu na stałe choć jednego z was, pozbyłabym się przynajmniej połowy trosk o losy Imperium. - I spojrzała na Erlanda z osobliwym uśmiechem. - Mogłabym cię tu zatrzymać, chłopcze, mianować spadkobiercą i ożenić z Sharaną. Ależ podniósłby się wrzask! - Roześmiała się, ale wyraz twarzy Erlanda powiedział zebranym, iż młodzieniec wcale nie uznał słów imperatorowej za zabawne. Dostrzegłszy zmieszanie Erlanda, Lakeisha zwróciła się do wnuczki: - Dziewczyno, weźże go gdzieś na bok i rozmów się z nim. Kilka najbliższych tygodni spędzicie razem i musicie jakoś się dogadać. Sharana i Erland wstali i oddalili się do jakiejś bocznej komnaty, imperatorowa zaś powiedziała: - Sharana nie może poślubić nikogo, kto nie ma w żyłach błękitnej - wedle naszych miar- krwi... w przeciwnym razie będziemy mieli

332

przewrót pałacowy i dziedzicem zostanie Awari. Nasi stronnicy z trudem utrzymują równowagę.

James rozważył w myślach to, co wiedział o stosunkach panujących na dworze.

- Więc zamierzasz, pani, wydać ją za Diigaiegò? Imperatorowa spojrzała nań z widocznym uznaniem.

- Jakże bystry jesteś, mój panie! Chciałabym mieć cię tu, w Keshu, ale gotowam się założyć, że twój Król byłby się sprzeciwił. -Spojrzała na tiaminę. -Z małżonką, zdolną do czytania myśli tych, z którymi negocjujesz, byłbyś nieocenionym skarbem, mój szczywany Jamesie. Muszę wspomnieć moim dworakom, by się ciebie wystrzegali, i oczywiście wydać edykt, by -póki żyję - nie wpuszczono cię ponownie do Keshu. Jesteś zbyt niebezpieczny, by raz jeszcze pozwolić ci buszować wśród bezbronnych stad tych gęsi i gąsiorów, jakie tworzą moją imperialną świtę. -James nie umiałby odgadnąć, czy imperatorowa mówi poważnie, czy żartuje. - Owszem - ciągnęła Lakeisha - chcę, by poślubiła najstarszego syna lorda Jaki. Żaden z błękitnokrwistych, z wyjątkiem może mojego syna i jego najzacieklejszych popleczników, nie będzie przeciwny temu, żeby następcą na Tronie Światła został Diigai. Z poparciem swego mądrego ojca, miody imperator wyrośnie na sprawiedliwego i godnego władcę.

Spojrzawszy ku komnacie, w której przypadli Skarana i Erland, dodała z uśmiechem: - Myślę, że wszystko jakoś się ułoży.

-Do Borrika zaś powiedziała: - Wiem, że kiedy zasiądziesz na tronie Królestwa Wysp, będziesz miał u boku brata, który wywiózł z Keshu ciepłe i serdeczne wspomnienia. W Diigaim zaś Królestwo otrzyma władcę, który ma pewne zobowiązanie wobec waszej rodziny. - Borric kiwnął głową ze zrozumieniem, James bowiem opowiedział mu o wydarzeniach na polowaniu.

- Mam nadzieję -odpowiedział książę-że jak długo będę władał Wyspami, w Keshu przetrwa pamięć o tym, że na północy macie przyjaciół.

Lakeisha przez chwilę stuknęła palcami po poręcz swego fotela. - Liczę na to, iż tak będzie. Obawiam się bowiem, że w niedalekiej przyszłości będziemy mieli

pewne kłopoty z naszymi poddanymi na południe od Pasa. Dolny Kesh kiepsko znosi swe jarzmo.

- Jeżeli wolno mi coś zaproponować - odezwał się James - znieś, Pani, to jarzmo. Jest tam wielu zdolnych ludzi, którzy będą ci służyć wiernie i w razie

333

potrzeby nie pożałują krwi, a przecie zamknięto im dostęp do najwyższych godności dworskich tylko dlatego, że nie należą do błękitnokrwistych. W korpusie dyplomatycznym Keshu nigdy nie było chyba bardziej ci oddanego i bystrzejszego człeka niż wasz ostatni ambasador, Hazara-Khan. A skoro już o nim mowa, nasz tłumacz i przewodnik, emir Abu Harez, ogromnie mi go przypomina. Ograniczanie możliwości takiego człowieka tylko z powodu jego pochodzenia wydaje mi się nierozsądnym marnotrawstwem.

- Być może masz rację - powiedziała imperatorowa. Ale nie wszystko da się przeprowadzić od razu, mój bystry panie. Stare obyczaje mają twarde żywoty... w moim zaś otoczeniu są ludzie-i krewniacy -którzy raczej pogodzą się ze śmiercią niż z takimi zmianami. W tej zaś chwili nie mam... jak to się powiada... dobrej pozycji przetargowej. Nie wiem na przykład, do jakiego stopnia mój syn sprzymierzył się z Nirome. Jeśli jednak w istocie nie dostrzegał tego, co zdrajca wyprawiał w jego imieniu, to tylko dlatego, że był ślepy, głuchy i niemy. Nie, nie ma mowy o żadnych rewolucyjnych przemianach.

- Strzeż się więc, pani - rzekł James. -Rewolucje zwykle nie czekają na łaskawe przyzwolenie władców.

Imperatorowa długo milczała, aż wreszcie odezwała się z pewną obawą w głosie. - Pomyślę o tym wszystkim. Jeszcze nie umieram. Może zostało nam trochę

czasu.

Przy stole zapadła cisza... wszyscy mogli tylko żywić nadzieję, że tak jest w istocie.

Erland mocno ujął dziewczynę za rękę.

- Co miała na myśli twoja babka, mówiąc, że musimy się jakoś dogadać?

- Ona wie, że ogromnie lubię nasze zabawy w łóżku... powiedziała Sharana-ale publicznie musimy spotykać się rzadziej. - A to dlaczego?

- Mam poślubić syna lorda Jaki, młodego Diigai. Tak postanowiła babka.

Buntowniczy lordowie dostaną swego samca na tronie, a błękitnokrwieńcy będą mieli swoją imperatorową. On jest moim kuzynem i wszystko zostanie w rodzinie.

Erland spojrział w bok.

- Wiem, że to niemożliwe, byśmy zostali razem, ale... - Co takiego, miły?

- Kocham cię, dziewczyno. Zawsze będę cię kochał. Skarana przyciągnęła go do siebie i ucałowała gorąco.

334

- Bardzo, ale to bardzo cię lubię, Erlandzie. Miła mi będzie świadomość- kiedy już zajmę miejsce na tronie obok imperatora - że jesteś tuż obok tronu Królestwa Wysp.

Erland poczuł się nieco rozczarowany - spodziewał się bardziej entuzjastycznej reakcji na swoją deklarację.

- Powiedziałem, że cię kocham!

- Owszem. - Skarana wlepiła weń niewinne spojrzenie swych wielkich oczu. -

Słyszałam...

- Czy to nic dla ciebie nie znaczy`?

- Ależ tak! To bardzo miłe. I tak powiedziałam. O co ci jeszcze chodzi?

- Miłe. . . -Erland odwrócił się od dziewczyny, poczuł bowiem, że serce przeszywają mu tysięczne lodowe ostrza. - Nic. . . nic. . .

Sharana odwróciła go ku sobie. - Przestań, natychmiast przestań, słyszysz?

Zachowujesz się bardzo dziwnie. Powiedziałeś, że mnie kochasz. Ja powiedziałam, że ogromnie cię lubię. To bardzo miłe. A ty... zachowujesz się tak, jakby stało się coś okropnego!

- Och, nie, rzeczywiście, nic się nie stało - rzekł Erland z przekąsem.-Tyle tylko, że dziewczyna, którą kocham, ma poślubić innego. W rzeczy samej, drobiazg niegodzien wzmianki...

- Wiesz... -odezwała się nadąsana księżniczka-powiedziałeś: dziewczyna, którą kocham, jakbyś już nigdy w życiu nie miał pokochać innej.

- Tak to właśnie czuję.

- Ale to bardzo nierozsądne, Erlandzie. - Księżniczka wzięła jego dłoń i położyła ją sobie na piersi. - Tutaj bije moje serce. Czujesz? - Kiwnął głową, niezdolny do opanowania fali gorąca, jaka zaczęła go ogarniać, kiedy dotknął atlasowej skóry Skarany. - Mam tu miejsce dla wielu ludzi. Kocham moją babkę... Kochałam moich rodziców, kiedy jeszcze żyli, kochałam innych przed tobą i będę jeszcze kochała wielu. Miłość polega na dawaniu, nie na odbieraniu - oddając się jednemu, nie mogę odebrać siebie innym. Rozumiesz?

Erland potrząsnął głową.

- Wiesz... dochodzę do wniosku, że bardzo się różnimy. Zamierzasz poślubić syna lorda Jaki, a mówisz zupełnie lekko o miłostkach z innymi.

- A dlaczegożby nie? Będę imperatorką... i jako takiej będzie mi wolno

kochać, kogo mi się spodoba. Zresztą to samo odnosi się do Diigaiego. Wiele kobiet zechce dzielić z nim łóżko. Mieć dziecko z imperatorem... ba! niejedna o tym marzy.

Erland parsknął śmiechem.

- Chyba nigdy was nie zrozumie. Ale nie skompromituję cię w oczach przyszłego małżonka.

- O jakiej kompromitacji mówisz? - Dziewczyna wyglądała na szczerze zdziwioną. - Owszem, będę musiała spędzić z nim kilka nocy, żeby oswoił się z myślą, że może zostać mężem wnuczki imperatorki. A jeśli zostanie ogłoszony następcą tronu, będę musiała pokazywać się z nim publicznie. Ale dopóki pozostaniesz z nami, większość nocy spędzę z tobą. Jeśli oczywiście zechcesz mnie odwiedzać.

Erlandem szarpały sprzeczne uczucia, o jakie nigdy by się nie podejrzewał.

Wreszcie roześmiał się serdecznie.

- Sądzę, że będziesz miała spore kłopoty, jeśli zechcesz mnie przegonić.

Dziewczyna wsunęła mu się jakoś pod ramię i ocierając o niego, przyłgnęła doń całym ciałem.

- Tak sądziłam. - Pocałowała go i nagle spytała: - Powiedz mi, czy twój brat jest do ciebie podobny...

Erland zachnął się w pierwszej chwili, ale zaraz potem wybuchnął śmiechem.

- W wielu sprawach tak. Ale w niektórych sprawach trzymamy się oddzielnie...

- Szkoda. . . - nadąsała się Skarana. - Myślałam, że otwierają się przed nami nowe i fascynujące możliwości...

U bram Keshu czekał już na nich orszak zbrojnych. Borric, Erland i ich towarzysze jechali konno szeroką ulicą ku peryferiom grodu. Nieopodal miejskich wrót wisiała klatka, w której trzymano Nirome - ponure przypomnienie losu, jaki czeka zdrajców. Były arystokrata tkwił w niej przez dwa dni, cierpiąc zniewagi i udręki od tych, którzy zechcieli tu przyjść i trochę się zabawić. A wielu było takich, których dziwnie podniecała myśl o poniżeniu potężnego nie tak dawno jeszcze wielmoży. Tysiące ludzi wyległo na ulice, gdy skazańca wyciągnięto z klatki, zmuszono do spożycia solonego chleba i wypicia zaprawionej octem wody, a potem batami pognano na skraj bagien nad Głębią Overn. Tam go okaleczono i rzucono na pożarcie krokodylom, czemu towarzyszyły wiwaty setek mieszczuchów. Erland i

336

Borric odrzucili zaproszenie na celebrację wykonania wyroku. Księżę Awari pilnie natomiast wszystko obserwował - i nikt nie umiałby powiedzieć, czy poszedł tam, by obejrzeć wykonanie sprawiedliwego wyroku, czy chciał sprawdzić dyskrecję Nirome względem swoich zwolenników. Wielu podejrzewało, że otyły arystokrata skonał, zachowawszy dla siebie liczne jeszcze sekrety.

Przy bramie odjeżdżających żegnał ze swego rydwanu świeżo upieczony książę Diigai z księżniczką Sharaną u boku. Księżniczka miała na sobie krótki kilt i złoty tork, będący oznaką jej nowej godności. Czekala spokojnie obok swego przyszłego małżonka. Z tyłu, za młodymi arystokratami, zgromadziła się keshkańska szlachta, która również chciała pożegnać królewskich gości. Lord Jaka wysunął się do przodu i ustawił swój rydwan obok synowskiego. Erland zatrzymał konia.

- Witajcie mi, lordowie, mości książę, i ty, księżniczko. Skarana uśmiechnęła

się ciepło.

- I ty nam witaj, książę.

- Miło nam, żeście zechcieli przyjść i życzyć nam dobrej podróży - odezwał się Borric.

- Wasza Książęca Mość-rzekł Diigai -jesteśmy twoimi dłużnikami. Jeśli możemy w jakikolwiek sposób ci się odwdziaczyć, wystarczy, że powiesz...

- Bardzo jesteś łaskawy, książę - skłonił się Borric. Miejmy nadzieję, że przyjaźń, którą tu zawiązaliśmy, przetrwa próbę czasu.

- Będę za tobą tęskniła, Erlandzie - przyznała Skarana. Erland poczuł, że się czerwieni.

- Ja za tobą również, księżniczko...

I wtedy Skarana zwróciła się do Borrika: - Nie zdążyliśmy się poznać za dobrze, książę, ale i za tobą będę tęskniła...

Oczy Erlanda zwężyły się groźnie, kiedy zwrócił konia ku Borrikowi.

- Co to ma zna...

- Zegnajcie, drodzy przyjaciele-uciął Borric i dał koniowi ostrogę. Kilkunastu krondorskich gwardzistów uczyniło podobnie i Erland został z tyłu.

- Czekażże! -zawołał za bratem, również podcinając konia do galopu. -

Musimy się rozmówić!

!j Gdy formowano orszak, do Jamesa podjechał z boku Nakor. a Kiedy minęli miejską bramę i wjechali na drogę do Khattary, earl spytał:

337

- Nakor, pojedziesz z nami? Isalańczyk uśmiechnął się szeroko:

- Na razie tak. Obawiam się, że w Keshu, po wyjeździe Borrika i jego brata,

zrobi się okropnie nudno. Ghuda zresztą już wyjechał do Jandowae, gdzie będzie budował swą gospodę. Kiedy wszyscy znajomi powyjeżdżają, robi się człowiekowi markotno na duszy.

James kiwnął głową na znak, że zgadza się z tą filozofią. - A Stardock? Nie pomyślałeś, żeby tam zajrzeć?

- Ba! Wyspa magów? Któż byłby na tyle głupi, by szukać tam rozrywki?

- Może tego właśnie im potrzeba... żeby ktoś nauczył ich, jak się bawić?

- Może... Ale myślę, że lepiej się nada do tego ktoś inny niż Nakor Błękitny Jeździec.

James parsknął śmiechem.

- Posłuchaj. Możesz przecież pojechać z nami aż do Stardock, zobaczyć, jak tam jest, i dopiero wtedy podjąć decyzję.

- Może. Ale nie sądzę, by mi się tam spodobało.

James coś sobie przypomniał. Przez chwilę jeszcze się zastanawia, aż poczuł pewność.

- Słyszałeś o Pugu Arcymagu?

- Jest sławny. To bardzo potężny mag. Opanował Sztukę jak nikt od czasów Macrosa Czarnego. Ja zaś jestem tylko mizernym człowieczkiem, który poznał kilka sztuczek. Widzisz więc, że wcale tam by mi się nie spodobało.

James tylko się uśmiechnął.

- On mi coś powiedział. Rzekł, co mam powiedzieć, jeśli kiedykolwiek będę o nim mówił.

- I myślisz, że jak mi to powiesz, to zechcę zobaczyć Stardock? - spytał mały człowieczek. - Musi to być coś doprawdy zdumiewającego.

- Jestem przekonany, że jakoś przewidział, iż spotkam ciebie albo kogoś takiego jak ty, kogoś, kto potrafi spojrzeć na magię z innej strony niż wszyscy, co zostali w Stardock. Uważał to za istotne. Myślę że właśnie dlatego kazał mi zapamiętać te słowa: Prawda jest taka, że nie ma żadnej magii.

Nakor parsknął śmiechem. Wydawało się, że z jakiegoś szczególnego powodu wiadomość od Puga osobliwie go rozbawiła. - Tak powiedział Arcymag Pug?

- Owszem...

338

- Bardzo jest bystry, jak na maga... - ocenił Nakor. - Więc pojedziesz do Stardock?

- Tak-kiwnął głową Błękitny Jeździec. - Myślę, że masz rację. Pug chciał, bym tam pojechał, i wiedział, że przekażesz mi jego słowa..., by mnie do tego skłonić.

Gamma dość długo jechała w milczeniu obok męża, w końcu jednak nie wytrzymała:

- Ojciec dość często wiedział o pewnych meczach wcześniej niż inni. Myślę, że zrozumiał, iż jeśli zostawi się ich samych, Akademia Magów przestanie się rozwijać i zamknie sama w sobie... - Magowie lubią jaskinie - zgodził się Nakor.

- Słuchaj, czy możesz coś dla mnie zrobić? - spytał James. - Co takiego?

- Wyjaśnij mi, co to znaczy: Nie ma żadnej magii. Nakor tak się zamyślił, aż zmarszczył czoło z wysiłku.

- Zatrzymajcie się - powiedział w końcu. Gamma i James zjechali na pobocze drogi i zatrzymali konie. Nakor sięgnął do sakwy i wyjął trzy pomarańcze. -

Potrafisz żonglować?

- Trochę - odparł James.

Nakor podał mu pomarańcze. - No to bierz się do roboty.

James, którego zręczność dłoni graniczyła - wedle określeń Szyderców-ze sprawami nadprzyrodzonymi, chwycił trzy owoce i puścił je szybko w ruch. Koń stał spokojnie i wyczyn nie należał do najtrudniejszych. I wtedy Nakor spytał:

- A potrafisz to robić z zamkniętymi oczami'?

James przez chwilę wyczuwał rytm, a gdy mu się to udało, zamknął oczy.

Zmuszał się, by ich nie otwierać, a jednak z każdą chwilą czuł coraz wyraźniej jedność z wirującymi owocami.

- A teraz spróbuj jedną ręką.

James otworzył oczy i pomarańcze kolejno spadły na ziemię. - Co ty sobie wyobrażasz?

- To taka sztuczka. Nie pojmujesz?

- Nie bardzo rozumiem -- odpowiedział James.

- Żonglowanie to sztuczka. Nie jest z pewnością magią. Ale dla tego, kto nie wie, jak to się dzieje, wygląda na magię. Dlatego ludzie na jarmarku ciskają żonglerowi monety. Kiedy nauczysz się robić to jedną ręką, zrozumiesz to lepiej. -

339

Mały frant dał koniowi ostrogę i zakończył: - A kiedy nauczysz się to robić bez użycia rąk, zrozumiesz słowa Puga.

Arutha i Anita stali przed swymi tronami, kiedy ich synowie wkroczyli do sali przyjęć w Krondorze. Podczas czterech miesięcy nieobecności synów Księżę i Księżna Krondoru czuli ból i radość, dowiadując się o utracie i odzyskaniu Borrika. I odczuwali pustkę za każdym razem, kiedy spoglądali na widoczne wśród szlachty

wolne miejsce, które powinien zajmować baron Locklear. Bliźniacy zatrzymali się przed rodzicami i oddali im uroczysty ukłon. Wyglądali trochę inaczej, choć Arutha nie umiał

y określić, na czym polegała zmiana. Wysłał do Keshu młodych chłopców, wrócili zaś stamtąd mężczyźni. Byli pewni siebie tam, gdzie przedtem okazywali zuchwałość, zdecydowani w tym, w czym dawniej działali wedle impulsu - a w ich spojrzeniu dostrzegł ślad po utraconej młodzieńczej niewinności: obaj byli świadkami czynów podstępnych i okrutnych. Arutha czytał raporty, które dostarczali mu kurierzy wyprzedzający wracających księząt, dopiero teraz jednak zaczynał wszystko rozumieć. Odezwał się tak, żeby wszyscy mogli go słyszeć:

- Rad jestem, moi synowie, żeście wrócili. Księżna i ja witamy was ponownie na naszym dworze. - Opuściwszy podwyższenie, uściskał Borrika, potem Erlanda.

Po nim uczyniła to samo Anita, nieco dłużej przytuliwszy do siebie Borrika. Zaraz też podbiegli Elena i Nicholas. Borric uniósł księżniczkę w powietrze, mówiąc:

- Po tych wszystkich keshzańskich szlachciankach jesteś po prostu skarbem, kochanie!

- Po prostu! -zawołała, odpychając go od siebie. -Dobre sobie. -Uśmiechnęła się uwodzicielsko do Erlanda i powiedziała: - Musisz mi opowiedzieć wszystko o damach dworu imperatorowej. Wszystko. Jak się noszą?

Borric i Erland wymienili spojrzenia i parsknęli śmiechem. - Siostrzyczko... - odezwał się Borric. - Nie spodziewaj się, że zmienisz tutejszą modę. Keshzańskie damy nie noszą na sobie prawie nic. Mnie i Erlandowi specjalnie to nie przeszkadzało, myślę jednak, że gdyby ojciec zobaczył cię w dworskim imperialnym stroju, zamknąłby cię w twoich pokojach aż do odwołania... które nastąpiłoby nie

wcześniej niż po kilku latach. Elena spłonęła rumieńcem.

- Hm... i tak mi wszystko opowiecie. Będziemy mieli wkrótce wesele barona Jamesa i muszę włożyć na nie coś oryginalnego.

Nicholas stał spokojnie obok ojca, czekając, aż bracia raczą go zauważyć.

340

- Hola, braciszku! - powiedział Borric. Pochylił się tak, by zajrzeć bratu w oczy. - Jak się masz?

Nicholas objął gwałtownie brata za szyję i wybuchnął płaczem. - Powiedzieli mi o twojej śmierci. Wiedziałem, że to nieprawda, ale wszyscy się upierali... Strasznie się bałem!

Erland poczuł nagle łzy pod powiekami i zupełnie niespodziewanie dla samego siebie wyciągnął ręce, objął Elenę i mocno ją przytulił. Anna łkała z radości, Elena szlochała bezwstydnie i nawet Arutha miał kłopoty z opanowaniem płaczu. Po chwili Borric podniósł Nicholasa z ziemi.

- Dość, Nicky. Jesteśmy cali i zdrowi.

- Nie inaczej - dodał Erland. - Wiesz... stęskniliśmy się za tobą.

Nicholas otarł oczy. - Naprawdę?

- Owszem-odpowiedział mu Borric.- W Keshu zaprzyjaźniłem się z pewnym chłopcem. Był tylko o kilka lat starszy od ciebie. Dzięki niemu zrozumiałem, jak bardzo kocham swojego małego braciszka.

- Jak miał na imię? - spytał Nichlolas.

- Suli Abul - odpowiedział Borric i twarz drgnęła mu z bólu.

- To dziwne imię - stwierdził Nicholas. - Co się z nim stało? - Opowiem ci.

- Kiedy?

Borric postawił chłopca na ziemi.

- Za kilka dni weźmiemy łódkę i wybierzemy się na ryby. Chciałbyś?

Nicholas entuzjastycznie pokiwał głową, a Borric pieszczotliwie rozwichrzył mu włosy.

Arutha skinął dłonią Jamesowi, prosząc, by dyskretnie doń dołączył, a kiedy nieco się oddalili, podszedł do nich diuk Gardan. - Przede wszystkim jutro rano chcę mieć dokładny raport polecił.-Z twych wcześniejszych doniesień wnioskuję, że jesteście ci winni podziękowania.

- Nie zrobiłem nic ponad to, do czego zmusiły mnie okoliczności -

odpowiedział James. - Prawdziwe dzięki należą się chłopcom. Gdyby Borric wrócił do Kronodoru, zamiast szukać nas w stolicy, ryzykując życiem, albo gdyby Erland szybko nie połapał się w podstępach niezwykle przebiegłych przeciwników, któż wie, czym by się to wszystko skończyło...

Arutha położył dłoń na ramieniu Jamesa.

341

- Hm... żartujemy, żartujemy sobie o tym, że któregoś dnia zostaniesz

Księciem Kronodoru, ale...

- ...wiesz, książę, te żarty zaczynają mi się podobać uśmiechnął się James.

- Po tym wszystkim, czego doświadczyłeś, nadal chcesz być prawą ręką władcy? - spytał Gardan z niedowierzaniem.

James spojrział na rozradowane twarze towarzyszy i powiedział:

- Nie wyobrażam sobie lepszego zajęcia.

- Świetnie - skwitował to Arutha. - Pozwól więc, że coś ci powiem: Gardan wreszcie rezygnuje z funkcji...

Oczy Jamesa rozszerzyło zdumienie. - A więc...

- Nie - powiedział Arutha. - Stanowisko i tytuł diuka Kronodoru ofiaruję earlowi Geoffery'emu z Ravenswood, który jest u Lyama w Rillanonie Pierwszym Doradcą.

- Co to znaczy, mój Książę? - spytał James, mrużąc oczy. Książę uśmiechnął się z przekorą i młody earl poczuł chłód w żołądku.

- Mój drogi Jimmy, kiedy skończymy świętować tve wesele, ty i twoja pani udacie się do Rillanonu. Zajmiesz stanowisko, które piastował Geoffery i będziesz drugim po diuku Guyu Bas Tyra. - Roześmiał się, ukazując zęby, czego James bywał świadkiem niezwykle rzadko. - I kto wie... kiedy Borric wreszcie zostanie Królem, może uczyni cię diukiem Rillanonu?

Wezwawszy gestem małżonkę do siebie, James objął ją i powiedział sucho do Aruthy:

- Amos Trask ma rację, pozbawiasz życie całej jego radości...

342

343